

EMIS

Ewa Ostrowska

KAMUFLAŻ



Osięknka

Ewa Ostrowska
KAMUFLAŻ



Mocny, przerażający thriller psychologiczny

Nevada – małe miasteczko w stanie Iowa. Ciche, spokojne, w którym nic się nie dzieje, aż do dnia, kiedy sprzed domu Hellen i Williama Barkinsów znika w dziwnych okolicznościach bawiący się w piaskownicy ich sześciolatek synek, Patrick. Mijają kolejne dni, a kidnaper milczy. Po tygodniu oszalala z niepokoju Hellen dostrzega siedzącego przy piaskownicy synka. Ale to nie Patrick. To manekin dziecka w ubraniu Patricka, z przyklepionym do głowy skalpem chłopca...

Niewyobrażalne okrucieństwo, bezradność ofiar, panika i poczucie narastającej grozy wśród zdezorientowanych mieszkańców Nevady... Ta powieść to zaproszenie do umysłu mordercy. Kto z niego skorzysta, zmieni się na zawsze.

Ewa Ostrowska – pisarka i dziennikarka, autorka kilkudziesięciu książek, w tym wielu opowiadań i powieści dla dzieci i młodzieży, powieści obyczajowych oraz kryminałów i thrillerów. Studiowała socjologię na Uniwersytecie Łódzkim, w tym też mieście rozpoczęła karierę dziennikarską. Znana z takich powieści, jak *Pamiętaj o róży*, *Sidla strachu*, *Gra ze śmiercią w tle*. Laureatka wielu nagród i wyróżnień. Wielbicielka przyrody.



Oficyna

www.oficyna.pl

cena detaliczna 38 zł
(zawiera VAT)

ISBN 978-83-6346-04-0



Książkę polecają

Zbiory
w Bibliotece

cyfadelko

Newsweek

STYL
CHARAKTERY

amaZonka.pl

OFANT

Ewa Ostrowska

KAMUFLAŻ



Oficynka

Copyright © Oficynka & Ewa Ostrowska, Gdańsk 2010

Wszystkie prawa zastrzeżone. Książka ani jej część nie może być przedrukowywana ani w żaden inny sposób reprodukowana lub odczytywana w środkach masowego przekazu bez pisemnej zgody Oficynki.

Wydanie pierwsze, 2011 r.

Opracowanie edytorskie książki: kaziki.pl

Projekt okładki: Anna M. Damasiewicz

www.damasiewicz.idesigner.pl

Fotografie na okładce O Beror | Shutterstock.com

Zeljko Radojko | Shutterstock.com

ISBN: 97883-62465-04-0

Druk: Read Me www.druk.readme.pl

Wyłączy dystrybutor:

Firma Księgarska Olesiejuk Sp.

z ograniczoną odpowiedzialnością S.K.A.

05-850 Ożarów Mazowiecki, ul. Poznańska 91

www.olesiejuk.pl

Oficynka

www.oficynka.pl

email: oficynka@oficynka.pl

Izie i Przemkowi Drygasom

Część pierwsza

Patrick

1.

O Hellen Barkins mówiono w Nevadzie, że otrzymała od życia wszystko, o czym tylko może marzyć młoda kobieta: urodę, która dziesięć lat temu przyniosła jej tytuł pierwszej wicemiss stanu Iowa, i rozsądek — ponieważ nie przewróciło się jej z tego powodu w głowie, gdyż nie zamierzała zostać ani modelką, ani tym bardziej robić kariery aktorskiej, mimo że otrzymała na przykład propozycję zagrania w klipie reklamującym pastę do zębów. Kilka zdjęć na okładki do paru kolorowych magazynów stanowych — tyle sławy Hellen usatysfakcjonowało całkowicie. Pozostała miłą, trochę nieśmiałą dziewczyną o wielkich, błękitnych, jakby lekko zdziwionych oczach, i tak jak życzyli sobie rodzice, skończyła college w Cedar Falls, skąd przywiozła sobie męża. William Barkins, chociaż znacznie od Hellen starszy, był nie tylko przystojnym, po uszy w niej zakochanym facetem. William Barkins był bardzo bogatym facetem. O jego koncie krążyły po miasteczku plotki, że składa się z pięknych, okrągłutkich siedmiu cyfr.

Dlatego powszechnie sądzono, że państwo młodzi z podróży poślubnej do Nevady już nie wrócą. Prowincjonalne, niespełna dziesięciotysięczne miasteczko to nie miejsce dla Williama Barkinsa, znanego kardiochirurga, którego ojciec jest właścicielem słynnej kliniki chirurgii plastycznej w Los Angeles. William na pewno posiada tam luksusowy apartament lub wspaniałą rezydencję z basenem, ochroniarzami i Bóg jeden wie, z czym jeszcze. Hellen od czasu do czasu wraz z mężem wpadnie do Nevady odwiedzić rodziców, olśnić byłę przyjaciółki swoim bogactwem, sukniami za tysiące dolarów, biżuterią, futrami; ach, szkoda gadać! Tytuł wicemiski głowy Hellen nie przemeblował, lecz taka kasa na pewno!

Ku zdumieniu całej Nevady Hellen z Williamem wrócili.

Po co, do diabła? Nevada ma własnego doktora, Marka Tracy'ego, który z równym powodzeniem leczy czyraki na tyłkach okolicznych

farmerów, przyjmuje porody czy wycina migdałki, i byłoby to wielkie świństwo ze strony Barkinsa robić staremu Markowi konkurencję. Oburzeni mieszkańcy zawiązali natychmiast komitet obywatelski, zebrali ponad dwa tysiące podpisów na liście protestacyjnej i przygotowali kilkanaście transparentów z napisami: BARKINS! WRACAJ DO LOS ANGELES!

Komitet obywatelski, lista protestacyjna oraz transparenty okazały się jednak zbyteczne. William Barkins nie zamierzał otwierać w Nevadzie konkurencyjnego gabinetu. Miejski szpital w Cedar Falls, odległym od Nevady o dwadzieścia mil, przyjął doświadczonego kardiochirurga z otwartymi ramionami.

Po kilku miesiącach obserwowania Williama Nevada uznała, że facet jest okay. Jeździ czternastoletnim bmw, chociaż go stać na superwypasioną, kłującą innych w oczy brykę. Mimo swego siedmiocyfrowego konta ubiera się w najzwyklejsze džinsy i bawełnianą, kraciatą koszulę. Nikogo nie poklepuje protekcyjnie po ramieniu. W każdy czwartek wpada na piwo do pubu Jacka Browninga. Nie stroni od postawienia kolejki. Opowiada pieprzne dowcipy. Ba! Nawet czasem drapie się po jajach! Słowem — równy gość,

Pod każdym względem równy gość. Mijasz takiego swoją pordzewiałą bryką i ani pomyślisz, że to i sławny lekarz, i milioner. Po prostu swojak. Jakby urodzony w Nevadzie.

William Barkins kupił przy Flowers Street ładny dom z dużym ogrodem. Ten ogród to prezent dla Hellen, która od dziecka lubiła się grzebać w ziemi, sadzić przeróżne kwiatki. Trzeba przyznać, że miała do tego wyjątkową smykałkę. Raz zdarzyło się, że pnącą różę przywiązała do zwykłego patyka, wetkniętego w ziemię. Potem pół Nevady zlatywało się oglądać patyk, który wypuścił liście, zakwitł i okazał się bzem!

No a Hellen konto męża nie przewróciło nic a nic w głowie.

Przyjemnie na nią patrzeć, jak sama sprząta, gotuje; pielęgnuje swoje ukochane roślinki w ogrodzie, zwiewna niczym nastolatka, w kiece za kilka dolców, kupionej na sezonowej wyprzedaży w markecie Louise Duval. Nie nosi żadnej biżuterii poza cieniutką, złotą obrączką. Nie kupiła sobie żadnego futra. Jeździ starym, jeszcze

panieńskim fordem. Miła, skromna, niezepsuta darami opatrności Hellen; niechaj się jej darzy wszystko, co najlepsze.

W rok po ślubie urodziła dużego, zdrowego synka, Patricka. Pięknie im się chował. I Hellen, i William mieli po prostu bzika na jego punkcie. Nic dziwnego: Patrick był podobny do małego aniołka. Główka cała w jasnych kędziorkach po matce, a po ojcu brązowe, duże oczy. Śliczny chłopaczek. A jaki mądry! Nauczył się czytać, mając zaledwie cztery latka.

Sam z siebie, tak twierdziła Hellen, ale w to akurat jej nikt nie wierzył. Nikt jeszcze nie spotkał dzieciaka, który bez pokazywania liter potrafił sam nauczyć się czytać.

Pokazywała czy nie pokazywała i tak bystrzak.

Szczęśliwa rodzina, szczęśliwa Hellen.

Tak uważano powszechnie do dnia siódmego marca 2010 roku.

2.

Siódmego marca Hellen obudziła się jak zwykle około piątej rano. Nie lubiła, w przeciwieństwie do Willa, spać długo. Było jej żal każdej minuty życia odebranej przez sen. Będzie wylegiwać się w łóżku, gdy zostanie stateczną, siwowłosą staruszką, którą bolą kości i łamie w krzyżu. Na razie ma trzydzieści lat, a życie jest takie piękne i należy je wchłaniać pełną piersią. Człowiek przecież nie wie, co jest mu pisane. Samuel Bennet powiedział żonie: zaraz wracam, kochanie, idę tylko do Jacka po fajki; wyszedł, wpadł pod samochód, a teraz od piętnastu lat jeździ na wózku inwalidzkim; trzeba go myć, karmić, zmieniać pampersy. Oczywiście Hellen nawet nie dopuszczała do siebie myśli, że komukolwiek z jej rodziny mogłoby się coś złego przytrafić. Uważała, że dobry Bóg szczerze ją obdarował. Czasami zastanawiała się, czym zasłużyła na aż takie dary. Na kochającego męża. Zdrowego, pięknego synka. Spokojne, dostatnie życie w ładnym domu z dużym ogrodem przy Flowers Street, bezpiecznej i cichej ulicy położonej na obrzeżu miasta.

Modliła się codziennie gorąco do Pana, dziękując mu za swoje niezakłócone, ciche szczęście. Za spełnione marzenia. Za ten ogród również.

Ubóstwiała oglądać, jak wstaje dzień. Kiedy niebo z granatowego przechodzi w fiolet, aby nagle wybuchnąć błękitem i oślepiającą kulą słońca na horyzoncie, której różowawe błyski sączą się poprzez poranną mgłę, pomarańczowym złotem drżą na liściach, w iskrzący szafir zamieniając krople rosy na żdźbłach traw. Każdy poranek różnił się od poprzedniego. Niezależnie od pory roku zdumiewał i zachwycał Hellen swoją odmiennością. Żałowała, że nie potrafi malować; malowałyby wyłącznie te przedziwne, zachwycające, gwałtowne, czasem dramatyczne spektakle walki nocy z dniem. Żałowała również, że jest taka zwyczajna, ponieważ nie potrafi pisać wierszy lub

komponować muzyki, a to, co oglądała z czołem opartym o szybę, tak szybko mijało. Otulona w szlafrok, często bosa, wybiegała do ogrodu, jakby usiłując dogonić ulatniający się świt.

Na próżno usiłowała namówić męża do wcześniejszego wstawania.

— Skarbie! Obudź się! Zaraz wzejdzie słońce! Choć raz bądź wte-
dy ze mną! — szeptała.

— Hellen! Na litość boską, daj jeszcze chwilkę pospać! — prote-
stował.

— Śpioch. Kochany śpioch — wysuwając się z łóżka, całowała de-
likatnie swego kochanego śpiocha w czubek nosa.

Nim zeszła na dół, zaglądała do sypialni Patricka.

— Ciebie również malowałabym, synku. Gdy tak sobie śpisz z
błękitnawym cieniem rzęs na policzkach i z błogim, ufnym, różowym
spokojem na buzi. Śpij, synku, śpij. Boże, jaka jestem szczęśliwa.

Dziś, siódmego marca, czuła się szczególnie szczęśliwa.

Wczoraj Patrick podarował jej namalowany przez siebie obrazek.
Na obrazku kwitły kwiatki. Świeciło słońce. Fruwały motyle.

— Jest piękny, skarbie — powiedziała. — Poproszę o następny.
Na którym i ja będę.

— Ależ mamusiu! To o tobie mój obrazek! Jesteś na nim moim
słoneczkiem! Kolorowymi kwiatkami! Motylkami!

Od przeszklonej ściany salonu, skąd wychodziło się na taras, wiało
zimnem. Otuliła się szczelnie szlafrokiem. Dopiero początek miesią-
ca, ale wyjątkowy, ponieważ śniegi stopniały już w lutym, co w tutej-
szym klimacie było ewenementem. A wiosna, jakby pragnąc wyna-
grodzić srogie mrozy, trzymające od końca października do stycznia,
podgrzała powietrze do dziesięciu stopni, rozewierkała się ptakami,
zazieleniła pączkami na drzewach, zakwitła szafirkami.

Tę jedną godzinę o brzasku Hellen miała tylko dla siebie. Wypeł-
niała ją zachwytem dla świata, który za tarasem stawał się rozległą
przestrzenią kwiatowego ogrodu, otoczonego niczym ramionami
czulego kochanka szerokim pasmem dość gęstego lasu.

Brzozowy lasek niepokoił męża Hellen. William uważał, że drzewa
powinno się wyciąć, natomiast wokoło ogrodu i domu wybudować
mur, zapewniający bezpieczeństwo jego rodzinie.

— Kochanie, mieszkamy niemal na odludziu. Każdy włóczęga
może przedostać się tym cholernym laskiem do naszego domu. Po-
myśl, zostajesz sama z Patrickiem na tyle godzin, kiedy jadę do

szpitala — tłumaczył.

Lecz Hellen nie chciała żadnych murów ani tym bardziej wycięcia lasku. W nim, pośród gałęzi drzew chroniły się ptaki, zakładające swoje gniazda; w poszyciu roilo się od wszelkiego rodzaju żuczków, rozrastały się dzikie paprocie, mech tworzył aksamitne wysepki, mrówki budowały kopce.

— Kochanie! Nevada to nie Los Angeles. Tu nie działa żadna mafia ani gangsterzy. Wszyscy się znają przynajmniej od trzech pokoleń. Jedynym, spektakularnym sukcesem naszego szeryfa było schwywanie groźnego przestępcy, Charlie Banksa, który mając piętnaście lat, ukradł z piwnicy pani Rose, słynącej ze swoich nalewek, galon porzeczkowego wina. Skarbie, budując mur wokół naszego ogrodu i domu, obraziłbyś wszystkich mieszkańców Nevady. U nas nikt nie zamyka domów na klucz ani tym bardziej nie buduje murów! U nas każdy swoje domy i ogródki ogradza niskimi, pomalowanymi na biało płótkami, jakie bez trudu przeskoczy nawet dziesięciolatek.

Uśmiechnęła się, przypominając sobie niepokój męża. Komuś, kto urodził się, wychował i wykształcił w Los Angeles, trudno zrozumieć specyfikę takich sennych miasteczek, gdzie szeryf za przekroczenie szybkości nie nakłada mandatów, bo jakże ukarać faceta, z którym tyle razy pił piwo u Jacka? Albo do którego przychodził wraz z rodziną na grilla. Tu wszyscy wszystko o sobie wiedzą. Tu wszyscy, łącznie z okolicznymi farmerami, hodującymi bydło lub uprawiającymi kukurydzę czy soję, są w większym lub mniejszym stopniu ze sobą spowinowaceni lub zaprzyjaźnieni.

Nie ma spokojniejszego miasteczka w całym stanie Iowa.

Słońce wschodziło. To wczesnowiosenne, żółte, ostro tnące błyskami powietrze. Hellen przymknęła oczy i poczuła na twarzy dobre, ożywcze ciepło. Chyba ze wszystkich pór roku najbardziej kochała wiosnę: czas kolorów, zapachów, lotów pszczoł i motyli, ważek, ptaków. Czas odradzającego się życia. I chociaż od lat usiłowała nie prze-gapić momentu, w którym pąki na drzewach rozwijają się w młode listki, to jej się to nie udawało; tego podobnego do cudu momentu, bo oto patrzysz na brzozę, jeszcze jest jakby naga, jeszcze jej wiotkie

gałązki ledwo ledwo puściły małe zawiązki przyszłych, podobnych kunsztownym koronkom listków, którymi się otoczy niczym zielonym woalem; więc biegniesz do niej o świcie, biegniesz do niej w środku dnia, biegniesz o zmierzchu i nic, za wcześniej, ciągle pączki, aż tu nagle, albo pomiędzy zmierzchem a brzaskiem, albo w czasie, w którym zajęłaś się sprzątaniami lub gotowaniem obiadu, o Jezusie, rozwinęły się, są, takie młode, delikatne i nic ci już innego nie pozostaje, jak rozplakać się ze szczęścia, że je widzisz, i ze smutku, że znowu cię coś ważnego ominęło.

Zapowiada się wspaniały dzień, pomyślała Hellen. Zaraz po śniadaniu pójdę z Patrickiem do ogrodu i sprawdzimy, jakie cebulki zaczynają przebijać się z ziemi. Krokusy i żonkile już powinny. Potem tulipany i narcyzy. Jezusie, jak one pachną, te narcyzy. Will śmieje się ze mnie, że minęłam się z powołaniem. Will śmieje się, że cokolwiek nie zasadzę, nawet stary patyk w ziemię, to też mi ożyje, wyrośnie, zakwitnie. Jak ten patyk przy pnącej róży, który okazał się liliowym bzem.

Stała i patrzyła na swój ogród, w który włożyła tyle pracy, a który niebawem zamieni się w uroczysko, ponieważ wbrew wszelkim regułom sztuki ogrodniczej posadziła kwiaty i ozdobne krzewy w nieładzie, tak jakby je ktoś rozsypał przez przypadek. Żadnych klombów, nic pod sznurek. Niech jej ogród będzie jak łąka, podobna do nieprzewidywalnych wschodów słońca, zmieniająca barwy niemal każdego dnia, bo w każdym dniu w jakimś nowym miejscu ożyją jak pod pędzlem malarza inne, zaskakujące kolorem połacie kwiatów. Obok dziesiątków błękitnych ostróżek wzniosą się bladoróżowe lilie, w ślad za nimi podążą szkarłatne szaławie i tak aż do pierwszych przymrozków, które jednak nie potrafią zamienić ogrodu w smutek przemijania, ponieważ mimo mrozów, dopóki nie sypnie śniegiem, zapalą się na rokitnikach ich pomarańczowe owocki.

Z głębi domu usłyszała wołanie Patricka: „Mamo! Mamo!”.

Roześmiała się: to też jakby rytuał; to codzienne, poranne wołanie synka. Udaje, że nie wie, w co ma się ubrać, chociaż spodenki, koszulka i sweter leżą ułożone na krześle przy łóżku. Ale jemu chodzi o to, aby chociaż na pięć minut położyła się przy nim, objęła, wytargała czuprynę, wycalowała policzki i odpowiedziała na zadawane od czasu, gdy zaczął dobrze mówić, doskonale znane pytania.

— W co mam się dziś ubrać? — zapytał Patrick. Przesunął się na brzeg łóżka, robiąc Hellen miejsce.

— Jesteś duży facet — powiedziała, obejmując ciepłe ciało dziecka. — Wielkolud. W maju, wielkoludzie, skończysz sześć lat, a zachowujesz się, jakbyś nie skończył dwóch.

— Rano zawsze mam dwa latka. Urosnę dopiero przy śniadaniu.

— Przytulił się mocno. — Mamo? Kochasz mnie?

— A masz wątpliwości, wielkoludzie?

— Tak jak tatę?

— Coś ty! Tatę kocham inaczej, a ciebie inaczej.

— Bo ja ciebie, mamo, kocham bardziej niż tatę.

— E tam, pleciesz!

— Może troszeczkę... Mamo?

— Co, synku? — musiała zadać i to pytanie, chociaż знаła odpowiedź.

— Nie chcę mieć ani braciszka, ani siostrzyczki.

— Jesteś paskudnym, zazdrosnym wielkoludem!

— Mamo! Naprawdę nie chcę!

— Dlaczego, paskudo?

— Bo wówczas będziesz mnie mniej kochać.

— E tam. Pleciesz. — Wyciąowała ze śmiechem nos, brodę, policzki, czoło Patricka. — Zawsze będę ciebie kochać jednakowo, zazdrosna paskudo. A teraz dość czułości. Nie zapomnij umyć zębów i zacznij rosnąć, żebym ci przy śniadaniu nie musiała zakładać śliniaczka, jak prawdziwemu dwulatkowi.

Poszła do sypialni. Obudziła protestującego męża.

— Will, jest szósta. Wstawaj. Spóźnisz się do szpitala.

— Hellen, do szpitala jadę na popołudniowy dyżur. Ale skoro już mnie obudziłaś, musisz ponieść karę. Straszna, sroga karę. Chodź do mnie! — Rozwiązał pasek przy szlafroku żony. — Tak rzadko robimy to rano. Chodź.

— Nic z tego, kochanie. Patrick się obudził.

— Zanim się umyje, ubierze... Hellen, mamy mnóstwo czasu. Chodź. Chociaż na chwilkę.

— Znam ja tę twoją „chwilkę”, Will — odsunęła się od łóżka na bezpieczną odległość — ale jeśli obiecasz mi, że na śniadanie zjesz płatki kukurydziane z mlekiem, to zamiast smażyć ci naleśniki, mogę na chwilkę się przytulić...

Po śniadaniu Hellen sprzątnęła kuchnię, po czym zabrała się jak zwykle za odkurzanie salonu, co Will zawsze uważał za daleko idącą przesadę. Ale Hellen, tak jak ogród, kochała też swój dom i przyjemność sprawiała jej czyszczenie mebli, dywanów, glazury w łazienkach;

nawet dwa, rzadko używane pokoje gościnne na piętrze wyglądały, jakby do państwa Barkinsów zaraz mieli przybyć goście: świeże kwiaty w wazonach, nigdzie ani pyłka, zapach lawendy, którym Hellen spryskiwała powietrze. Moja pracowita mróweczka, śmiał się z żony Will. W dodatku piękna mróweczka. To może byśmy zaprosili gości, urządzili przyjęcie, co ty na to, kochanie?

Jednak Hellen nie znosiła tak zwanych przyjęć, na których mężczyźni stawali się po wypiciu iluś tam drinków hałaśliwi, opowiadali sprośne kawały, poklepywali swoje i cudze żony po tyłkach, natomiast panie zbijały się w gromadki i plotkując, nie zostawiały przysłowiowej suchej nitki na tych wszystkich „drogich”, lecz akurat nieobecnych sąsiadkach.

Najchętniej nie wychodziłaby ani z domu, ani z ogrodu. Nawet jeżdżenie po zakupy sprawiało jej przykrość, ponieważ musiała odpowiadać na idiotyczne pytania: „Och, Hellen, a co u ciebie słychać?”, „Ach, Hellen, jak ty to robisz, że po urodzeniu dziecka jesteś wciąż taka szczupła?”, „Hellen, skarbie, powinnaś pilnować swego męża. Na przyjęciu u Harrisów tańczył tylko z Susan, a przecież wiesz, kochana Hellen, jacy są mężczyźni! Susan jest bardzo, bardzo sexy! A wy już jesteście wiele lat po ślubie”.

— Skarbie, wiesz doskonale, że i ja nie przepadam za tymi wszystkimi grillami czy przyjęciami. Musimy jednak od czasu do czasu do kogoś wpaść albo przyjąć u siebie znajomych. Inaczej nas wezmą na języki, uznają za parę dziwaków — tłumaczył Will.

— Oj, dobra, dobra — odpowiadała z niechęcią. — Masz rację. Niech ci będzie.

Przyjęcia u siebie Hellen organizowała dwa razy do roku: z okazji swoich i męża urodzin. Gdy goście wreszcie wychodzili, biadolili, że ma zdeptane dywany, porysowany parkiet, potłuczone talerze od kompletu. Na urządzenie grilla w ogrodzie w ogóle się nie zgadzała.

— Nie pozwolę nikomu niszczyć moich kwiatów, Will.

— To po co nam taki piękny, wielki ogród, skoro trzęsiesz się nad każdym połamanym kwiatkiem, zerwanym listkiem z krzewu? — pytał Will.

— Ogród jest dla nas. I tylko dla nas. To nasz azyl — odpowiadała, ale on tego nie rozumiał, tak samo jak nie pojmował, dlaczego jego żona zamiast porządnie się wyspać, zrywa się przed świtem z łóżka i zbiega do salonu, obserwować jakiś idiotyczny wschód słońca. O wiele

przyjemniej byłoby budzić się obok ciebie, mawiał Will, i mieć jeszcze mnóstwo czasu na różne pieszczotki.

— Trudno, z pieszczotkami musisz zaczekać do wieczora — odpowiadała. — Natomiast ja nie potrafię pojąć, czemu w każdy czwartek jeździsz do Jacka. Wracasz z pubu, obrzydliwie cuchnąc dymem papierosowym i śmierdząc podłym piwem, jakby cię na lepsze nie było stać.

Sprzątnęła salon, hol, schody. Miała zabrać się za łazienki, gdy Will wrócił z miasta ze stosem gazet.

— Słuchaj — powiedziała — jest ciepło, niech Patrick pobawi się w piaskownicy. Tylko przypilnuj, żeby nie siadał na ziemi, bo jeszcze zimna i wilgotna, przecież w nocy padał deszcz.

— Hellen, litości — zaczął Will. — Zostaw te przekłete łazienki, sama zajmij się Patrickiem, ja chciałbym w spokoju przejrzeć gazety.

— Możesz usiąść z tymi swoimi głupimi gazetami na tarasie, skarbie. Z tarasu widać piaskownicę. Daj mi pół godziny. Łazienki to wizytówka domu. Muszą lśnić.

— Jasne. Inaczej by się świat zawalił — mruknął Will. — Chodź, synu. Twoja mama ma bzika. Na punkcie czystości oraz swego ogrodu.

— Co to jest bzik, tatusiu? — zapytał Patrick.

Sprzątanie łazienek zajęło Hellen prawie godzinę. Patrick nigdy chyba nie nauczy się myć zębów! Glazura wokół umywalki zawsze ochlapana! Ręcznik krzywo zawieszony! Wdał się w swego tatusia. Will również ochlapuje glazurę. Nigdy po sobie nie spłucze wanny!

— Och, wy moje dwa kochane flejtuchy — rozczuliła się Hellen, przyglądając się z zadowoleniem wyblyszczonej posadzce.

Wzięła szybki prysznic. Ubrała luźne, domowe spodnie. Błękitny sweterek, który podkreślał błękit jej oczu.

To będzie ciepły, słoneczny dzień. Może właśnie dziś rozkwitną fiołki?

— Napijesz się kawy? — zawołała do męża, bujającego się w fotelu na tarasie, pochłoniętego lekturą swoich głupich gazet.

— Jasne! Ze śmietanką i czterema kostkami cukru!

Skrzywiła się. Jak można pić tak słodką kawę? Will może. Will zamiast befsztyka woli sernik z kremem. Naleśniki na śniadanie

obowiązkowo podlane syropem klonowym. Rogale z dżemem. Grzanki z masłem kakaowym. Obrzydliwość. Postawiła przed mężem filiżankę z parującą kawą.

— A gdzie Patrick?

— Jak to: gdzie? W piaskownicy — odparł Will zza gazety.

— Nie ma go w piaskownicy, Will.

— Nie marudź. Może poszedł do domu zrobić siusiu.

— Will, właśnie przyszedłem z domu.

— Oj, to poszedł za najbliższe drzewko. Zapomniałaś, że chłopaki mają siusiaki i mogą się odlać za byle krzaczkiem?

— Bardzo śmieszne. Miałaś go pilnować!

— Maruda — roześmiał się Will. Odłożył gazetę. — Chodź do mnie. Pięknie ci w tym błękitnym sweterku. Nawet nie wiesz, jaka jesteś sexy, skarbie.

— Will! Zabieraj łapy! Nigdzie nie widzę Patricka!

Aż po pasmo lasu ogród był pusty.

— Patrick! Patrick! Odezwij się! O Jezu, Will, nie ma go!

— Pewno porwały go ufoludki — zażartował mąż. — I oddadzą go nam zielonego, z antenami na głowie. Hellen! Dopiero co tu był. Bawił się w piasku. Budował zamek. A ty już panikujesz. Usiądź, spokojnie wypij kawę.

Nie chciała siedzieć. Ani tym bardziej pić kawy. Patrick był posłusznym dzieckiem. Wiedział, że nie wolno mu oddalać się od domu. Ani razu dotąd nie zdarzyło się, aby bez pozwolenia opuścił piaskownicę. Oczywiście, mamusiu, mówił, dopóki mnie nie zawołasz, będę się w niej bawił. I bawił się. Jeśli chciał do toalety, przychodził do domu. Nigdy nie załatwiał się pod żadnym krzaczkiem!

— Will, do cholery! — krzyknęła. — Trzeba szukać Patricka!

— Aleś ty uparta. Dobrze. Składałam gazetę, nie wypijam należytą mi o tej porze kawy, idę szukać. Niech ci będzie, chociaż to głupie, ponieważ Patrick pewno chce nam zrobić kawę i schował się gdzieś w pobliżu — zdenerwował się Will. — Gdy go znajdę, dam mu klapsa.

— Najpierw go znajdź — odezwała się cicho drżącymi wargami, czując falę mrozu na plecach. — Błagam, znajdź.

— No i przekonasz się, panikarko, że znajdę. Patrick! Patrick! Natychmiast mi wyłaż! Wiem, gdzie się schowałeś, synu! Siedzisz za tarasem i pękasz ze śmiechu, że masz tak niedorzecznie strachliwą matkę!

Za tarasem Patricka nie było. Nie było go na strychu. Nie było w piwnicy. Ani w pokojach. Ani w szafach. Ani w łazienkach. Nie schował się w garażu.

— Pewno — powiedział z nutką źle skrywanego niepokoju w głosie Will — poszedł gdzieś dalej. Za te twoje ukochane drzewa. Do Miltonów, chociaż tam mu nie wolno chodzić. Jak mi Bóg miły, wytargam szczeniaka za uszy.

U Miltonów, w jedynej posiadłości za laskiem Hellen, u których akurat przygotowywano urodzinowe przyjęcie dla czteroletniej Sylvii, Patricka nie widziano. U Parkerów, zajmujących sąsiedni dom na Flowers Street, dokąd czasem Hellen prowadziła syna, aby się pobawił z ich pięcioletnim Nicholasem, Patricka nie widziano. Will obdzwonił pół miasta. Nikt nigdzie nie widział syna Barkinsów.

Hellen dygotała jak w ataku febry. Szczękała zębami, powtarzając w kółko: Patrick nigdy nie oddalał się od domu. Patrick jest wyjątkowo posłusznym dzieckiem. Will, gdzie jest nasze dziecko?

Mąż zrobił jej zastrzyk uspakajający, położył na kanapie w salonie, okrył kocami. Czuł strach. Jak daleko, w ciągu najwyżej piętnastu minut, może odejść od piaskownicy sześcioletni chłopczyk? Nawet szybko biegnąc na swoich jeszcze krótkich nóżkach? Gdyby powędrował Flowers Street i skręcił w główną ulicę Nevady, Roosevelt Avenue, każdy przechodzień zatrzymałby go i przyprowadził do domu. To samo by się stało, gdyby wszedł do któregośkolwiek sklepu. Każdy zaopiekowałby się małym chłopczykiem. Boże, myślał Will, wiem, że popełniłem wiele ciężkich grzechów, lecz je odpokutowałem, nie rób krzywdy memu synkowi.

— Kochanie — powiedział do przerażonej, dygoczącej żony — kochanie moje. Wszystko będzie dobrze. To spokojne miasto. Patrick się odnajdzie...

— Nie odnajdzie! Straciliśmy dziecko. Ja to wiem! — krzyknęła Hellen.

— Kochanie. Nie mów tak. Leż spokojnie. Po zastrzyku zaśniesz. A gdy się obudzisz, nasz synek będzie siedział przy tobie. Obiecuję.

Lecz gdy się ocknęła, Patricka nadal przy niej nie było. Zobaczyła pobladałą twarz męża. I zwalistą postać szeryfa, Stana Haiga, którego zazwyczaj dobroduszne oczy patrzyły teraz ze źle skrywanym współczuciem.

— Hellen, dobrze się czujesz?

— Nie znaleźliście mojego syna? — odpowiedziała pytaniem.

— Szukamy, Hellen. Tylko się uspokój, nie płacz.

— Ja przecież nie płacę, Stan.

— Hellen... Bardzo mi przykro z powodu Patricka, ale nie ma jeszcze powodu do niepokoju — oznajmił szeryf, starając się, aby jego głos tchnął optymizmem. — Naprawdę. Nie ma. Od zaginięcia minęło dopiero niecałe pięć godzin. W okolicy ani rzeki, ani jeziora, ani stawu. Nie ma lasów. Więc nie utonął ani nie zablądził. W Nevadzie nie zdarzył się też ani jeden wypadek samochodowy. Być może twój syn wyszedł na ulicę i spotkał kogoś z tutejszych farmerów. I na przykład pojechał z nim oglądać koniki. Wszędzie wysłałem patrol. Takie dzieciaki w jego wieku mają różne dziwne pomysły...

— Sam w to nie wierzysz, Stan — przerwała Hellen. — Ja wiem. Czuję. Straciłam syna. Na zawsze.

— Hellen, opowiadasz głupstwa. To duże dziecko, a nie igła w stogu siana. Okolica spokojna. Miasto również...

Oczy Hellen błysnęły białkami.

— Cicho! — krzyknęła. — Ja go widzę! I słyszę!

— Na litość boską, o czym ty mówisz?! — zawołał z przerażeniem Will.

— To przez ciebie! Przez ciebie on właśnie umiera!

— Hellen... Skarbie...

— Siny, siny. Trzepocze rączkami. Otwiera usteczka. Chce mi coś powiedzieć... No, głośniej, głośniej, synku... Tak, synku, tak, najmilszy. Mamusia cię kocha. Zawsze cię będzie kochać — mówiła Hellen. Twarz jej posiniała. Z ust wyrwał się dziki, skamlący, niezrozumiały bełkot.

— Jezu — szepnęła Haig. — Jezu. Pomóż jej.

Uspioną kolejnym zastrzykiem żonę Will zaniósł do sypialni. Sprawiała wrażenie umarłej. Jej ciało zwiotczało, jakby nagle pozbawione wszelkich mięśni. Zsiniła twarz nabrała ostrych rysów, dolna warga opadła, odsłaniając zęby.

— Na razie śpij, kochanie — szepnęła, układając ostrożnie Hellen na łóżku. — Sen powinien ci pomóc. Taką mam przynajmniej nadzieję.

Był zrozpaczony. Zaginięciem syna i wstrząsem psychicznym, jaki przeżyła Hellen.

A tak szczęśliwie i bezpiecznie się nam żyło, myślał, schodząc do salonu. Boże, niech się Patrick odnajdzie. Niech nasze życie wróci do

dawnego rytmu. Niech nadal będę porządnym, uczciwym doktorem Barkinsem.

Szeryf oglądał stojące na kominku zdjęcia. Na każdym Patrick albo Hellen z Patrickiem. Piękna dziewczyna z pięknym dzieckiem.

— Co z twoją żoną? Wyglądała strasznie. A jej bełkot dotąd brzmi mi w uszach. Jezuu, jak żyję, nigdy czegoś takiego nie słyszałem. — Haig odwrócił się od kominka z niemym, przerażonym pytaniem w oczach. — Will! Ona to przetrzyma?

— Przecież Patrick musi się odnaleźć! — krzyknął Will. — Hellen go zobaczy i natychmiast się uspokoi. Na razie śpi. Będzie spała około sześciu godzin. Do tego czasu odnajdziecie naszego syna? Odnajdziecie, prawda? Dlaczego milczysz, człowieku? Sam powiedziałeś, że to nie igła w stogu siana!

— Jezuu, Will. Od pięciu godzin twojego syna szukają nieomal wszyscy mieszkańcy, nie tylko moi ludzie. Will! Trzymaj się. Jezuu, Will! Bądź dobrej myśli.

— Hellen nie przeżyje, jeśli Patrickowi stanie się coś złego. A ja ją kocham. Też nie potrafię bez niej żyć. Ani bez Patricka. Boże, i po co ja czytałem tę pieprzoną gazetę?

— Na twoim miejscu również bym ją spokojnie czytał. Nie zadreżczaj się. Przestań biegać jak wariat od ściany do ściany. Usiądź. Albo nie: najpierw sobie i mnie zrób porządnego drinka. Dobrze nam obu zrobi.

— Nie chcę drinka! Chcę mego syna!

— Za to ja proszę. Podwójną szkocką bez lodu. Rusz się, Will. I mnie puszczają nerwy. A wolę szkocką od twego zastrzyku.

— Co z ciebie za glina? Glinom nie powinny puszczać nerwy! — zawołał ze złością Will. — Jesteś po prostu dupek. Prowincjonalny dupek, który nie potrafi przez pięć godzin odnaleźć małego dzieciaka!

— Podwójną szkocką. Bez lodu — powtórzył szeryf. — Will. Mogę być prowincjonalnym dupkiem. Jeśli obrażanie mnie, twego starego przyjaciela, przyniesie ci ulgę, obrażaj. Ja też mam syna. Mój Steven wiele razy bawił się z twoim Patrickiem w waszym domu. Staram ci się pomóc, Will, ze wszystkich sił.

— Chryste, przecież wiem... — jęknął Will i osunął się w fotel. — Ale tak straszliwie się boję, tak boję, dlaczego go dotąd nie odnaleźliście? Dlaczego, Stan?

Jezuu, Will, ja również się boję. Chyba nawet bardziej od ciebie. Pięć godzin poszukiwań. Za długo. O wiele za długo. Dwie, trzy... Ale

pięć? Haig, opanuj swój strach. Will nie ma prawa tego strachu dostrzec na twojej twarzy. I nie pij, Haig. Alkoholem swego strachu nie zagłuszysz. I tak mu musisz powiedzieć. To okropne zdanie. Twego syna porwano, Will. Umoczył w szkockiej jedynie wargi. Szklaneczkę odstawił.

— Will. Prowincjonalny dupek zada ci teraz kilka pytań. Prowincjonalny dupek prosi cię o skupienie. O precyzyjne odpowiedzi. Okay?

— Okay. I przepraszam za dupka.

— Żona przyniosła ci kawę na taras około godziny jedenastej, tak?

— Dokładnie. Około jedenastej. Chryste, i czemu ja czytałem tę pieprzoną gazetę?

— Zapomnij o gazecie, Will. Powiedziałeś również, że tuż przed jedenastą pomagałeś synkowi wytrześć piasek ze spodni.

— No i co z tego? Tak, cholera, tak! Chwilę wcześniej był, a za moment jak kamień w wodę!

— Ustalmy w takim razie, co według ciebie jest chwila.

— Chwila to chwila! Minuta! Dwie! Może pięć!

— To jak? Minuta? Dwie? A może pięć? Albo i dziesięć?

— Cholera, nie wiem! Coś się przyczepił do tych przeklętych minut? Czytałem pieprzoną gazetę, nie patrzyłem co sekunda na zegarek!

— Więc czemu z taką pewnością twierdzisz, że Hellen przyniosła ci kawę około jedenastej?

— Bo zawsze około jedenastej, jeżeli jestem w domu, piję kawę.

— Zawsze?

— Zawsze. Taki mamy zwyczaj. Od lat... Stan, jaki to ma związek z zaginięciem Patricka?

— A taki, że pragnę ustalić możliwie najdokładniej, w jakim czasie Patrick opuścił piaskownicę. „Około” może oznaczać: za dwadzieścia pięć jedenasta albo za piętnaście jedenasta, albo za dwie jedenaście. A może żona przyniosła kawę pięć po jedenastej? Lub dziesięć po jedenastej? Byłeś zajęty czytaniem gazety i nie potrafisz ustalić dokładnie momentu, w którym Patrick zniknął. A to mnie interesuje, Will. Bardzo. Oznacza bowiem, że ktoś, kto zamierzał porwać twego syna, miał wystarczająco dużo czasu, aby dokonać tego niespostrzeżenie.

— Porwać? Mego syna? Zwariowałaś?! — Will poderwał się z fotela. — Niby dlaczego ktoś miałby porywać mojego syna?

— Will, porwanie to jedyne logiczne wytłumaczenie przyczyny zaginięcia Patricka — odpowiedział z pozornym spokojem Haig. — Wszystkie okoliczne farmy przeszukane. Każda rodzina w mieście zajrzała po kilkanaście razy w każdy zakamarek swego domu. Przez radio co piętnaście minut nadają komunikat o zaginięciu dziecka. I nic. Żadnego odzewu. Nikt go nigdzie nie widział. Will! Ludzie są przejęci waszym nieszczęściem. Gdyby ktokolwiek gdziekolwiek widział waszego syna, dawno by już to zgłosił.

— Na litość boską, dlaczego ktoś miałby porywać moje dziecko? — szept Willa zabrzmiał jak krzyk.

— Dla okupu. Jesteś mocno dzianym facetem.

— Na litość boską... Zarabiam rocznie pięćdziesiąt tysięcy... Dom kupiłem na raty... Jeżdżę starym bmw. Kto przy zdrowych zmysłach porywałby moje dziecko dla okupu? Nie, Stan, nie... Mylisz się... Powiedz, że się mylisz...

Chryste, przecież od ślubu nie zadzwoniłeś ani razu. Ani razu nie usłyszałem twego chrapliwego głosu. Zdążyłem nawet o twoim istnieniu zapomnieć...

— Will. My tu wszyscy szanujemy cię za to, że starasz się nie odróżniać od nas, zwykłych śmiertelników. Nie wysadziłeś się na rezydencję, baseny, korty tenisowe. Owszem, jeździsz starą bryką, ale z kolei każdy w tym miasteczku wie, że poza oficjalnym kontem w naszym prowincjonalnym banku masz inne i wart jesteś przynajmniej milion dolców. Są tacy, którzy twierdzą, że znacznie więcej niż milion. No, a jeżeli się uwzględni, z jakich Barkinsów się wywodzisz, wniosek nasuwa się jeden: należy czekać na telefon od porywacza z żądaniem okupu.

— Ale wszyscy powinni wiedzieć, że zerwałem wszelkie kontakty z ojcem, Stan! Bo zerwałem! Utrzymuję rodzinę ze swojej pensji...

— A jeśli nie chcą w to wierzyć, Will? Rozumowanie porywacza jest proste. Zerwałeś czy nie zerwałeś, jego to nie interesuje. Dla niego jesteś, zgodnie z prawdą, jedynym synem Philipa Barkinsa, dziedzicem jego fortuny. Porywacza nie obchodzi, czy masz kasę. Porywacza obchodzi, że w każdej chwili możesz ją mieć. Nawet gdybyś miał się czołgać na kolanach do Los Angeles, zdobędziesz kasę na okup, którego zażąda.

— Nawet gdybym miał się czołgać na kolanach... — powtórzył szeptem Will. Chryste, czołgałbym się na sam koniec świata, ale nie mam po co ani do kogo... Czy po to ściągnąłeś mnie tutaj, żeby teraz porwać dla okupu moje dziecko? Taki był twój plan? Chryste, tobie chodzi o coś zupełnie innego. Kasy za swoje milczenie mogłeś się domagać jeszcze w Meksyku! To nie ty. Haig się myli. Patrick się odnajdzie. Pięć godzin to zbyt mało czasu na przeszukanie całego miasta. Nie wpadaj w panikę, człowieku. Zachowaj rozsądek. Nie zdradź się niczym. — Masz rację, Stan. Zdążyłem zapomnieć, że jestem synem Philipa Barkinsa. Pytaj, o co chcesz.

— Chciałbym obejrzeć pokój Patricka. — Haig wstał, z trudem dźwigając się z fotela. Miał co dźwigać: z postury podobny do Schwarzeneggera, ale jeszcze wyższy, bardziej muskularny. Bawełniana koszula wprost pękała na nim, opinając potężne bicepsy i muskularną klatkę piersiową.

— Dobrze — zgodził się posłusznie Will.

— A ty zajrzyj do żony. Sprawdź, jak się czuje. Potem waruj przy telefonie. Już wezwałem ekipę z nasłuchem, będziemy próbowali namierzyć faceta. Wydaje mi się jednak, że szybko nie zadzwoni. Im bardziej będziecie przerażeni, tym większą kwotę uzyska — powiedział Haig.

— Ekipę... — Willem wstrząsnął nagły dygot. Jezu, ekipa... Nasłuch... A jeśli mój chrapliwy głos zadzwoni? — Tak, tak. Nasłuch, koniecznie. Rozumiem. Tak, tak. Będę warował.... Stan, czemu chcesz oglądać pokój mego syna? — Willowi załamał się głos.

— Sam nie wiem. Po prostu chcę i tyle — odparł Haig.

— Beze mnie. Ja... Ja po prostu nie mogę.

— W porządku. Rozumiem.

Pokój Patricka tonął w zabawkach.

Rozpieszczali swego jedynaka, pomyślał Haig. Tymi zabawkami dałoby się obdarować kilkoro dzieciaków. Komputer, telewizorek... A jak wysprzątane. Zabawki na baczność, książki pod sznurek. No, matka Hellen też cholerna pedantka. Stary Gordon co i rusz trzepie dywany, a Kathy wciąż myje okna. Oszalałbym w takim domu.

Wrócił do salonu. Will siedział z twarzą zasłoniętą dłońmi. Płakał.

— Jak Hellen?

— Śpi. Chryste, co ja jej powiem, gdy się obudzi? Co powiem?

— Prawdę. Will, opanuj się. Weź się w garść.

— Ona tej prawdy nie przetrzyma. Widziałeś, co się z nią niedawno działo? Stan! Pomóż nam! Dokąd, do cholery, idziesz?

— Rozejrzeć się po ogrodzie.

— A jeśli w tym czasie ktoś zadzwoni?

— Wysłuchasz żądań. Powiesz, że zgadzasz się na wszelkie warunki. Przecięgaj rozmowę, jak długo się da.

— Dlaczego?

— Bo mojej ekipie, która nagra rozmowę, może uda się zlokalizować, skąd porywacz dzwoni. Jest przed domem Parkerów w nieoznakowanym vanie — wyjaśnił Haig, a widząc strach na twarzy Willa, dodał uspakajająco. — Bądź pewien: nie zadzwoni. Nie teraz. Jeszcze dla niego za wcześnie.

— Stan! Ile razy jako glina miałeś do czynienia z porwaniem?

— Ani razu. Nevada to spokojne miasto. Nikt tu nigdy nie porywał dzieci. I to mnie właśnie przeraża.

— Chryste, co cię przeraża? Ty coś wiesz. Wiesz i ukrywasz prawdę!

— Jedno wiem na pewno: twój syn żyje. Jeszcze żyje. Kidnaperzy nie mają zwyczaju zabijać swoich ofiar przed czasem.

— Zmiłuj się, Will! O jakim ty czasie mówisz?

— Will. Taki zboczeniec porywa dzieciaka. Potem bierze rodziców na przetrzymanie. Potem dzwoni z żądaniem okupu. Żeby go otrzymać, potrzebne mu jest żywe dziecko. Za martwe nie dadzą mu ani centa. Dzwoni, wymienia sumę i każe dzieciakowi odezwać się do swoich starych. Załapujesz, Will?

— Powiedziałeś: jeszcze żyje. To oznacza, że później... później może go zabić?

— I tak się zdarza, Will, nie będę niczego owijał w bawełnę. Ale rzadko. Jednak lepiej o tym wiedzieć. A teraz zejdź mi z drogi. Idę do ogrodu.

— Sądzisz, że twój pieprzony porywacz czai się wciąż w krzakach? Zaczynj działać, glino! Chryste, moje dziecko gdzieś cierpi, skrępowane, zakneblowane, bezradne, a ty udajesz zasranego detektywa? Złóżę na ciebie skargę! Pożegnasz się ze stołkiem szeryfa! Ty się nawet na zwykłego krawężnika nie nadajesz, dupku! — wybuchnął nową falą przerażenia Will.

Haig bez słowa pchnął go na fotel. Zabrał swoją torbę i wyszedł na taras. Zamknął za sobą oszklone drzwi, przekręcił w zamku klucz. Will, miotając przekleństwa, szarpał klamką. Bezskutecznie. Ten

cholerny gliniarz naprawdę zamknął go w salonie. Nie pozostawało nic innego, jak obserwować przeszukiwanie ogrodu.

Lub modlić się o cud, pomyślał Will. Jezus, kilka minut nieuwagi! Nie, to niemożliwe! Kto w ciągu kilku minut zdołałby podejść pod taras i zabrać Patricka z piaskownicy? Chyba duch. Duchy nie istnieją. Jedynie niekompetentni gliniarze z Nevady. Nikt nie porwał nam dziecka. Nikt. Patrick gdzieś sobie powędrował. Zmęczył się, zaszył w jakimś ustronnym kątku i sobie słodko śpi. Zaraz się obudzi. Zaraz zadzwoni telefon. Lecz nie od porywacza! Od kogoś, kto znalazł naszego synka.

Tymczasem Haig zatrzymał się przy piaskownicy. Wpatrywał się w nią tak, jakby zamiast zwykłego piasku leżały tam bryły złota. Przeszedł dalej kilka kroków. Przykucnął. Wyciągnął z torby lateksowe, białe rękawiczki. Podniósł coś z ziemi.

Chryste! Łopatką Patricka! Poza piaskownicę? Patrick nie wynosi swoich zabawek poza piaskownicę! Will przywarł twarzą do szyby. Dlaczego poza piaskownicę?

Haig odłożył łopatkę dokładnie w to samo miejsce, w którym ją znalazł. Pogrzebał w torbie. W jego wielkich dłoniach pojawił się mały aparat fotograficzny. Zrobił kilka zdjęć. Ruszył, co kilka kroków zatrzymując się i fotografując raz po raz kolejne miejsca. W końcu zanurzył się w gęstwinie młodych brzoź, ukochanych drzew Hellen, i zniknął z pola widzenia.

Zaczynam rozumieć. Patrick rzucił łopatkę, bo coś go zainteresowało w brzezynie. Może zobaczył stadko gili? Pobiegł do nich. Spłoszone ptaszki odfrunęły, a mój głupi synek je gonił. Za Miltonami od razu jest pięciomilowa droga między polami do fermy Mastersów. Wyboista, rozjeżdżona kombajnami do zbioru pszenicy droga! Patrick potknął się, złamał nogę! Leży i na próżno wzywa ratunku! Tam go należy szukać, Stan!

Znowu zobaczył szeryfa: wycofał się z brzeziny. Pochylony, z nosem prawie przy samej ziemi, najwyraźniej coś filmował komórką. Doszedł do piaskownicy. Wyprostował się. Wyjął z torby zwój żółtej taśmy. Rozpinał ją na różanych krzewach Hellen, cofając się przez cały ogród ku brzozom. I ponownie zniknął z pola widzenia.

Żółtą taśmą policja zabezpiecza teren przestępstwa — przeraził się Will. Nadzieja, że Patrick tylko złamał nogę, prysła. Haig odnalazł ślady porywacza.

Will cofnął się od okna. Usiadł w fotelu. Pociągnął pospiesznie kilka łyków szkockiej.

Patrick się odnajdzie. Na pewno. Byle szybko. Byle obeszło się bez stanowej i przede wszystkim bez FBI — myśl, że FBI mogłoby szperać w jego życiu, przeraziła Willa ostatecznie. Spokój. Muszę zachować spokój. Będzie dobrze. Musi być dobrze. Haig jest prowincjonalnym szeryfem małego prowincjonalnego miasta. Ogrodził teren taśmą, żeby poczuć się ważniakiem. Jaki porywacz? To idiotyzm! Kidnaper w Nevadzie, w której nawet bezpański kot nie przemknie się niezauważony główną ulicą! Palant chce się dowartościować! Powie w telewizji: „Sześćioletni synek znanej, ogólnie szanowanej rodziny Barkinsów porwany dla okupu”. I temu podobne bzdury! Gdy zaś Patricka wreszcie odnajdzie któryś z farmerów, nasz ważny szeryf oznajmi uroczyście, że wszystko wskazywało na porwanie. I że lepiej dmuchać na zimne niż na gorące! Chryste, bo to przecież nie ty! Nie ty! Spełniłem wszystkie twoje warunki i zamilkłeś. Po co ci porywać Patricka? Odezwałbyś się tym swoim chrapliwym głosem, mówiąc: „A teraz milion dolców za milczenie”.

Haig otworzył zamek. Wszedł, zamykając za sobą tarasowe drzwi. Buty miał ubłocone — zostawiał na nieskazitelnym parkiecie Hellen pecyny ziemi.

— Mógłbyś chociaż buciory wytrzeć — rzucił ze złością Will.

— O, cholera, przepraszam. Każę to moim ludziom sprzątnąć. Zaraz tu będą — zmieszał się Haig. Kilka zeschniętych listków przyczepiło się do jego gęstych, rudawych włosów. Spodnie na kolanach miał ubrudzone ziemią.

— Czołgałeś się w naszej brzezynie na czworakach niczym dzielny indiański tropiciel śladów? I co odkryłeś? Mysią dziurę? A może czerwoną wstążeczkę, zawiązaną przez mego syna jako znak dla policji?! — krzyknął Will, ogarnięty irracjonalną paniką, że Haig zaraz go zdemaskuje. — A gdzie ci twoi dzielni gliniarze? Twój radiotelefon, czy jak to się tam po waszemu nazywa, milczy! Powinieneś co chwila odbierać jakieś meldunki w sprawie mojego dziecka!

— Will, proszę. Opanuj się. Moi ludzie robią wszystko, żeby twoje dziecko odnaleźć. — Zmarznięty Haig podszedł do kominka. Grzejąc ręce, przyglądał się zdjęciom. Will poczuł rozpełzające się po plecach lodowate zimno. To Hellen uparła się, żeby zrobić tutaj taki kącik

fotograficzny! Przecież nie mógł jej powiedzieć, dlaczego boi się swoich zdjęć. Udało mu się ją namówić, aby te ze ślubu, z kościoła i z nieudanego przyjęcia zabrała z rodzinnego albumu Kathy. Identyfikator przy lekarskim kitlu chował do górnej kieszeni. Ale swojej przekłętej gęby nie mógł schować. Potem przestał się martwić. Głos przecież milczał. Chryste, wpadam w histerię. Haig nic o mnie nie wie. Jego Emily od podstawówki przyjaźniła się z Hellen. Nasze dzieci bawiły się razem...

— Twoja rodzina nie jest kompletna na tych zdjęciach. Dziwne, lecz brakuje na nich ciebie — zauważył Haig.

— Co chcesz przez to powiedzieć? — Will, nie zdając sobie sprawy, jak bardzo drżą mu ręce, chwycił za butelkę, wypił kilka potężnych łyków, zakrzuszył się palącą gardło ciecżą i rozkaszał się.

— Stwierdzam fakt, że nie lubisz się fotografować, nic więcej. U mnie, w dawnej sypialni, wszystkie ściany są obwieszane naszymi fotkami, na których ja, moja Emily i Steven...

— A co mnie obchodzi twój Steven, Emily, ty i twoje fotki?! Złożę na ciebie za opieszałość i niekompetencję skargę do policji stanowej! — podniósł głos Will.

— Niedługo będziesz miał okazję. Detektyw ze stanowej z ekipą techniczną dojeżdżają do Nevady. — Haig na moment odwrócił głowę. Każde wspomnienie przedwcześnie zmarłej żony wywoływało falę bólu.

— Policja stanowa? Dlaczego stanowa?

— Znalazłem ślady. Sporo interesujących śladów. Sfotografowałem, co mogłem. Sfilmowałem. Zabezpieczyłem podejrzany teren taśmą. Zadzwoiłem do stanowej. Oni dysponują profesjonalnym sprzętem, przeszukają ponownie teren. Wszystko, co jeszcze znajdą, przebadają w laboratorium. Will, przykro mi, lecz nie mam wątpliwości: twego syna porwano. Co gorsza ten, kto porwał Patricka, musiał doskonale orientować się w zwyczajach waszej rodziny, znać wasz rozkład dnia i teren wokół domu. On do porwania przygotowywał się starannie. Od dawna was obserwował. Wiedział, w jaki sposób, bez zwracania uwagi na siebie, bez wychodzenia z ukrycia, zwabić do siebie chłopca. Działał planowo. A to oznacza, Will, że porywaczem jest ktoś stąd.

— Stąd? Chryste, stąd?! — krzyknął zbieleły jak ściana Will. To ty, przeklęty głosie? To ty?

3.

Rodzinne domy Miltonów były jedynymi przy ulicy Short Street. Właściwie powinna nazywać się inaczej. Milton Street. Albo Milton Lane. Cały pas ziemi od ciągnących się aż po horyzont pól Mastersów, od końca do końca wąskiej uliczki, należał od niepamiętnych czasów do protoplastów Jona Milтона. Podobno byli biednymi, żyjącymi z uprawy warzyw ludźmi. Bodajże dziadek Jona, David Milton, mając dość biedy, porzucił Nevadę, ruszył z innymi nad Klondike na Alasce, gdzie mu się powiodło. Za sprzedane złoto kupił akcje, na tych akcjach się wzbogacił i już ojciec Jona, Michael, stał się bardzo zamożnym człowiekiem, zajmującym się handlem. Pozostawił swemu jednynakowi w spadku wielki dom i piękne konto w banku.

Jon Milton skończył obecnie siedemdziesiąt pięć lat. Trzymał się jednak krzepko mimo wyraźnej nadwagi. Jego żona, sześćdziesięcioletnia Ruth, wysoka, dobrze zbudowana, wyglądała jak na swój wiek nadzwyczaj młodo. Gładkie policzki, twarz prawie bez zmarszczek, piękne, czarne falujące włosy, białe zęby, miły uśmiech — patrzysz na nią i dziwisz się, bo twoja żona w jej wieku, cholera, sztuczną szczękę na noc wkłada do szklanki! Ruth powtarzała z uśmiechem, że tak młody wygląd zawdzięcza wrodzonemu optymizmowi oraz głębokiej wierze w Boga, który każe jej cieszyć się każdym kolejnym dniem życia.

Jon miał nosa do interesów. Postawił na motoryzację, która rozwijała się w szaleńczym tempie. Wykupił niemal wszystkie miejscowe warsztaty naprawcze. Wyposażył je w najnowocześniejsze oprzyrządowanie, dobudował hale, automatyczne myjnie; swoich mechaników wysyłał na szkolenia; przy warsztatach otworzył sklepy z częściami zamiennymi. Ceny za usługi uczynił tak konkurencyjnymi, że pozyskiwał klientów nawet z Cedar Falls i innych okolicznych, mniejszych

miasteczek. Klienci byli obsługiwani ze szczególną uprzejmością i mogli liczyć na rabat lub rozłożenie opłat na raty. Następnie Jon odkupił upadającą, przestarzałą stację benzynową, położoną przy wylocie szosy numer 70. Przyjaciele pukali się w czoło i przepowiadali rychłe bankructwo, ponieważ zaledwie trzy mile od niej znakomicie funkcjonowała samoobsługowa stacja Michaela Foreстера z barem szybkiej obsługi i dużym parkingiem dla samochodów ciężarowych. Jon swoją stację wyposażył w nowe dystrybutory, dobudował nie tylko bar, ale i motel. Odtąd stacja Foreстера zaczęła tracić klientów i w końcu ogłosiła upadłość. Jon zatrudnił zwolnionych tam pracowników. Forester sprzedał dom i wraz z rodziną przeniósł się do innego stanu.

Ruth nie pochodziła z Nevady. Skąd ją przywiózł Milton, tego nikt już nie pamiętał. Jon długo, ku zdziwieniu mieszkańców, nie potrafił znaleźć wybranki serca. Ożenił się po czterdziestce. Ruth jako panna młoda olśniewała urodą bujnych, czarnych włosów; piwnymi, promieniującymi szczęściem oczami. Byłaby idealnie piękna, gdyby nie zbyt wystający podbródek. Okazała się osobą wyjątkowej dobroci i szybko zyskała ogólną sympatię mieszkańców. Jej słowa, że do bliźnich należy się odnosić serdecznie i służyć im w nieszczęściu pomocą, znajdowały pełne pokrycie w czynach. Wspomagała finansowo najbardziej ubogie rodziny. Doktor Mark Tracy zawiadamiał ją o ciężkich przypadkach, ona zaś wsiadała w samochód i jechała do odległych farm w charakterze wolontariuszki, czuwając przy chorym dziecku, odmierzając dawki leków, robiąc zastrzyki, pocieszając zrozpaczonych rodziców.

Ubóstwiała rozpieszczać dzieci smakolymi, jak również je fotografować. Zawsze w jej chevrolecie obok canona leżały pudła pełne ciasteczek, cukierków, czekoladek, innych łakoci, toteż nikogo z przechodniów nie dziwił podjeżdżający nagle ku krawężnikowi ulicy wóz Ruth, która akurat wypatrzyła za niewysokim płotkiem czy zielonym żywopłotem bawiące się dzieciaki. Ona nie potrafiła inaczej. Musiała z dzieciakami pożartować, pogłaskać je po główkach, ucałować pulchne policzki, obdarować przysmakami, oczywiście uwieczniając te chwile swoim canonem, żeby potem wywołane przez siebie zdjęcia rozsyłać na pamiątkę zachwyconym rodzicom. Większość dzieciaków w Nevadzie na widok jej ciemnozielonego chevroleta wołała „O! Jdzie ciocia Ruth! Ciociu, ciociu! Co nam dziś przywiozłaś?”. Kochana,

dobra, najlepsza ciocia Ruth. Zawsze gotowa nieść pomoc bliźnim.

Urodziła Jonowi trójkę dzieci: dwie córki i syna. Kiedy najstarsza, Teri, podobna do matki, tak jak ona wysoka, dobrze zbudowana, zaczęła się z Edwardem Nelsonem, synem obecnego burmistrza, Jon zatrudnił ekipę budowlaną, wybudował na swoim ogromnym siedlisku nowy, wygodny, duży dom dla młodej pary. Ta sama historia powtórzyła się, gdy za mąż wychodziła niezbyt rozgarnięta, za to śliczna zielonooka Cristin, w której zakochał się bezprzykładnie Paul Bailey. Ojciec Paula, właściciel dwóch hurtowni i trzech sklepów w Cedar Falls, usiłował tę według niego nieodpowiednią miłość wybić synowi z głowy, ale nawet zapowiedź wydziedziczenia nie odniosła skutku. Paul chciał albo Cristin, albo żadną. Tak więc obok Forestera Milton zyskał drugiego zacieklego wroga: teścia swojej córki. Doprowadził go niemal do zawału, gdy wybudował młodym wspaniały dom z krytym basenem. Był to jak dotąd jedyny kryty basen w Nevadzie.

Tak bardzo wyczekiwany po dwóch córkach syn, Jonathan, nie spełnił oczekiwań swoich znacznych rodziców. Sprawiał im same kłopoty. Pal sześć, że był wyjątkowo szpetny. Miał od dziecka paskudny charakter. Był wrednym sukinsynem, jak mówiono w Nevadzie. Zdolnym do najgorszego łajdactwa. Ruth, która kochała go wręcz bałwochwalczo, zawsze potrafiła usprawiedliwić każde świństwo, jakiego się dopuścił. Po słynnej aferze z zamordowaniem kota Hellen, chyba pod presją męża, wywiozła syna z Nevady. Skończył jakiś kurs bankowy w Cedar Falls. Teść Teri, burmistrz Nelson, dzięki swoim znajomościom znalazł Jonathanowi podręczną posadkę w banku w Des Moines. Jonathan ożenił się z pracownicą banku, o sześć lat starszą kobietą. Do małżeństwa zmusiła go Ruth. Daniela zaszła w ciążę, a Ruth nigdy nie zgodziłaby się na aborcję. Cichy, jakby wstydlivy ślub odbył się u Miltonów. Nie wyprawiono przyjęcia. Jon nie wybudował synowi domu.

Daniela urodziła Miltonom wnuka, Edwarda. Najwyraźniej nie przepadali za nim, gdyż Jonathan rzadko pokazywał się z żoną i synkiem u rodziców na Short Street.

Posiadłość Miltonów niezależnie od pory roku od rana do wieczora tętniła życiem. Teri urodziła czwórkę dzieci. Cristin trójkę. Wnu-kowie szaleli po rozległym podwórzu, gdzie Jon urządził dla nich coś w rodzaju ogródka jordanowskiego, nawet kazał usypać całkiem

wysoką górkę, aby mogli zimą jeździć na sankach. Przed domami rodzinnymi Miltonów często nie sposób było zaparkować, gdyż ich córki z mężami mieli wielu przyjaciół, a w przeciwieństwie do rodziców, lubili towarzystwo. Od wczesnej wiosny do późnej jesieni urządzali huczne przyjęcia. Wybudowanie krytego basenu gwałtownie zwiększyło grono przyjaciół Teri i Cristin do tego stopnia, że w końcu Jon Milton, ceniący spokój, zabronił przyjaciołom córek wjeżdżać na siedlisko. Odtąd wąską uliczkę po obu jej stronach okupowały samochody ich gości, czyniąc ją nieomal nieprzejezdną. Od tej żelaznej reguły Jon czynił wyjątek, jedynie gdy któreś z jego wnucząt obchodziło urodziny.

Siódmego marca Sylvia, córeczka Cristin, kończyła trzy latka. Z tej okazji dziadkowie postanowili urządzić małej huczny bal. Od samego rana wynajęci dekoratorzy ozdabiali domy, ogród i bramę wjazdową. Na trawniku ustawiono olbrzymi, ogrzewany namiot, a pod nim długie stoły dla gości. Półmetrowej wysokości tort dostarczyła firma cukiernicza z Cedar Falls. Furgonetki od Maxima, najlepszego miejscowego restauratora, dowiozły skrzynki coca-coli, soków pomarańczowych, wszelkiego rodzaju ciast, ciasteczek i wymyślnych łakoci dla dzieciaków. Na dorosłych czekały kaczki z pomarańczami, pieczone bażanty, pasztety, wyszukane przystawki, niezliczone ilości alkoholu.

Przyjęcie miało rozpocząć się o trzynastej. Po zapadnięciu zmroku planowano pokaz sztucznych ogni i przeniesienie się gości pod dach, na gorącą kolację dla dorosłych i kukielkowe przedstawienie dla najmłodszych.

Około południa Jon Milton odebrał telefon, który go z lekka zderwował.

— Jeszcze tego nam dziś brakowało! — powiedział do żony. — Barkinsom zapodział się Patrick. Barkins prosi nas o przeszukanie posesji. Mówi, że mały nie odszedł daleko. Przypuszcza, że zapuścił się na nasz teren.

Milton nie ukrywał swego braku sympatii do Barkinsów. Była powszechnie znana. Do Hellen miał żal, że kiedyś tak bez pardonu potraktowała Jonathana. Owszem, rozumiał, że jego syn był mało atrakcyjny, miał trudny charakter, gdyby jednak ktokolwiek kiedykolwiek okazałby mu odrobinę życzliwości, chłopak wyrósłby na normalnego faceta. W Hellen zakochał się jeszcze w liceum. Swój pokój wytapeł jej zdjęciami. Poniżał się, wystając godzinami przed domem

Casselów. Tej pieprzonej ślicznotce korona nie spadłaby z głowy, gdyby zechciała umówić się z nim do kina czy pójść na spacer. Tymczasem ona wspólnie ze swoimi przyjaciółkami wyśmiewała go bezlitośnie. Wydrwiony Jonathan zniecierpiał szkołę, nauczycieli, kolegów, koleżanki. I potrafił tę nienawiść w okrutny sposób okazywać.

Kiedy jednak Jonathan powiesił kota Hellen na furtce prowadzącej przez trawniki do piętrowego domu Casselów, wzbudzając ogólne oburzenie, Miltonowie pojęli, że ich syn nie będzie miał odtąd w Nevadzie łatwego życia. Doktor Mark również doradzał zmianę środowiska.

Zmiana środowiska nie wpłynęła na zmianę charakteru syna. Gdyby nie znajomości teścia Teri, Jonathana dawno wyrzucono by z banku. Cięża Daniela nie była skutkiem romansu, była skutkiem gwałtu, przynajmniej tak twierdziła Daniela, grożąc doniesieniem do prokuratury. Żeby zamknąć kobiecie usta, Milton musiał mocno nadwerężyć swoje konto. Synowej i wnuka nie znośli.

Wiadomość, że Barkinsowie kupili posiadłość przy Flower Street i dzięki temu zostaną ich najbliższymi sąsiadami, wywołała w opanowanym Miltonie atak furii.

— Bóg tak chciał — oznajmiła spokojnie Ruth. Upiękla placek ze śliwkami i zgodnie z tradycją Nevady poszła powitać nowych sąsiadów.

Drzwi otworzył jej Barkins. Nie powiedział: „Witam, pani Milton”. Powiedział: „Przepraszam, moja żona nie życzy sobie pani widzieć, pani Milton. Zbyt wiele wycierpiała przez waszego syna”.

Ruth jak to Ruth, przelknęła zniewagę. Wróciła z plackiem i zaszawionymi oczami.

— Ja ją nawet rozumiem, tę Hellen. No cóż. Nie życzę jej źle, mimo że skrzywdziła naszego Jonathana. Bóg każe wybaczać krzywdy. Pamiętaj o tym, Jon.

Teraz słysząc o dzieciaku Barkinsów, zamiast ucieszyć się, że Hellen z mężem mają zmartwienie, zawołała z przejęciem:

— Więc na co czekasz?! Wołaj wszystkich, niech szukają! Biedna Hellen! Ja bym oszalała, gdyby zapodziało się nagle moje dziecko!

— Ty, kochanie, nie dopuściłabyś do sytuacji, aby nasze dziecko się zapodziało. Ty w przeciwieństwie do Hellen zawsze byłaś odpowiedzialną matką!

— Nie wiesz, jaką matką jest Hellen, Jon! Na pewno Patrick się gdzieś tu płacze! Pospiesz się!

Jednak Patricka nie odnaleziono. Jon powiadomił o tym fakcie Barkinsa. Ruth wyrwała mu komórkę.

— Will, Hellen, nie martwcie się. Na pewno wasze piękne dziecko się odnajdzie. Bardzo wam współczuję. Będę modliła się o jak najszybszy powrót Patricka!

Do godziny trzynastej przyjechali wszyscy zaproszeni goście. Grała muzyka; dzieciaki opychały się tortem, opijały gorącą czekoladą. Co niektórzy tatusiowie osiągnęli stan, w którym języki im się plątały, a i nogi odmawiały posłuszeństwa. Dokładnie o szesnastej dzieci piszczały radośnie podczas pokazu sztucznych ogni, szybujących pod opadające zmrokiem niebo. Zabawa trwała w najlepsze, gdy do Miltonów przyszedł Haig w towarzystwie detektywa stanowego Collina Petersa oraz kilku miejscowych policjantów. Spisano personalia wszystkich gości. Wszystkich wypytywano o to, gdzie i jak spędzili czas między godziną dziesiątą a jedenastą trzydzieści. Pytano również, czy nikt nie zauważył w tym czasie na ulicach Nevady samochodu z obcą rejestracją lub jakiegokolwiek nieznanego osobnika. Nie, nikt nikogo takiego nie widział. Policja przeprosiła Miltonów za zepsucie zabawy. Poprosiła również gospodarzy oraz ich gości o nieopuszczanie miasta w ciągu najbliższego tygodnia.

Wiadomość, że synek Barkinsów do tej pory się nie odnalazł, wzbudziła ogromne współczucie. Matki przytulały swoje zmęczone zabawą, a teraz wystraszone pociechy.

— Taki śliczny, mądry chłopczyk! Boże, jakie straszne nieszczęście! Pozostaje mieć nadzieję w Panu — wybuchnęła płaczem Ruth Milton.

4.

Ekipie kryminalistycznej z policji stanowej przewodził detektyw Collin Peters. Zaraz po przyjeździe fotograf śledczy sfilmował ślady zabezpieczone przez Haiga w ogrodzie i w brzezynie.

Te prowadzące od piaskownicy ku brzezince niewątpliwie należały do Patricka. I tylko do niego. Porzucona łopatka świadczyła, że chłopczyk opuszczał piaskownicę w pośpiechu. Odcisnięte w miękkiej ziemi blisko siebie podeszwy adidasów wskazywały, że Patrick biegł, jakby kogoś gonił. Dziesięć metrów przed brzezinką obok adidasów Patricka pojawiły się ślady, które zdumiały i fotografa, i techników.

Należały do psa. Wnosząc po ich rozmiarach — małego psiaka, może nawet szczeniaka.

Adidasy i psie łapki pognały w głąb brzezinki. Kończyły się między sześcioma rosnącymi blisko siebie brzozami. Dokładnie tam odkryto liczne ślady standardowych męskich butów numer czternaście o gładkiej podeszwie, mocno wyciśniętej w rozmiękłym po deszczu poszyciu i opadłych liściach.

Po dokładnej penetracji brzezinki tych śladów męskich butów znaleziono wiele. Niektóre zupełnie świeże, inne starsze, ale wszystkie z pewnością należące do tego samego mężczyzny, noszącego buty numer czternaście. Stwierdzono ponad wszelką wątpliwość, że owe ślady pojawiały się w brzezince od strony Short Street. Tędy mężczyzna wchodził i tędy wychodził — zawsze jedną, wydeptaną przez siebie ścieżką — z Short Street. Gęsty zagajnik brzozowy zapewniał mu doskonałą kryjówkę, niewidoczną od strony Miltonów i od strony ogrodu Hellen. Ani razu nie opuścił swego stanowiska między sześcioma brzozami, patrząc w kierunku posiadłości Barkinsów. To był jego stały punkt obserwacyjny. Do obserwacji wystarczała mu zwykła

lornetka. Sprawdził to osobiście detektyw Peters. Przeszkłony taras, nawet stolik, przy którym Will pijał poranną kawę, łącznie z piaskownicą, gdzie bawił się Patrick, było widać jak na dłoni.

Musiał przychodzić tu wiele razy. Od kiedy zaczął przychodzić z psiakiem, na razie dokładnie nie ustalono. Ślady łapek wyglądały jednak na świeże. Łapki biegały wokoło dużych butów nerwowo, zakręcając to tu, to tam, pozostawiając od czasu do czasu jakby wyorany w zgniłych liściach długi ślad, co wskazywałoby, że pies stawiał mężczyźnie opór, a ten ciągnął go mocno ku sobie, posługując się smyczą. Pies najwyraźniej nie kochał swego pana. Ślady łapek wskazywały, że zwierzak się szarpał, uciekał za drzewa. Z najbliższych pni zdjęto wiele krótkich, żółtawych kłaczek sierści.

Smycz musiała być długa, ponieważ pies kilka razy wybiegał tuż przed brzezinkę i powracał z powrotem, warując przy dużych butach, jakby czekając na ostateczny rozkaz mężczyzny.

Te najświeższe ślady, z feralnego poranka, pies pozostawił dokładnie dziesięć metrów od brzegu brzezinki. Przy nich pojawiły się adidasy Patricka, który pobiegł za ściąganiem przez mężczyznę zwierzkami. Ślady adidasów chłopca i łapek psa urywały się tuż przy śladach męskich butów numer czternaście. Potem pies i Patrick nagle jakby się ulotnili, wyparowali niczym kamfora, przepadli jak kamień w wodę.

Policja znalazła na ściółce kilkanaście kropeł zakrzepłej krwi.

Detektyw Collin Peters polecił wykonać zdjęcia podejrzanego obszaru w podczerwieni. Radiowóz pognął na sygnale do Cedar Falls, gdzie miejscowa policja dysponowała dobrze wyposażonym laboratorium kryminalistycznym, a z De Moines od prokuratora stanowego otrzymała rozkaz wykonywania wszelkich poleceń Petersa.

Peters pochwalił Haiga za jego operatywność, za pobranie próbek ziemi, chociaż wyśmiał jego amatorski filmik, wykonany za pomocą komórki, oraz przedwczesny lęk, że Patrick nie żyje.

Haig znał detektywa przelotnie. Uczestniczył w kilku szkoleniach prowadzonych przez niego dla lokalnej policji. Collin Peters na szkoleniach sprawiał wrażenie cholernego sztywniaka, którego

prowinjonalni gliniarze powinni całować po rękach. Na każdym kroku podkreślał swoją wyższość. Kiedy proszono go o wyjaśnienie jakiegoś zagadnienia, na jego chudej, ptasiej twarzy z płaskim nosem i wąsko osadzonymi małymi oczkami pojawiał się wyraz lekceważenia, a wargi rozchyłyły się w ironicznym uśmiechku:

— Naprawdę? — pytał — nie potraficie zrozumieć tak prostej sprawy? No cóż, mnie za nadgodziny nie płać. Osobiście zresztą uważam, że szkolenie takich jak wy koleśków jest zbytecznym wyrzucaniem pieniędzy podatników.

Haig zaproponował Petersowi gościnę w swoim domu, mając cichą nadzieję, że detektyw z niej nie skorzysta.

— Dzięki, koleś, ale nie musisz mi się wkręcać w tyłek bez wazeliny. Wynająłem do kimania na te kilka dni pokój w hotelu — zgasił gościnne zapędy Haiga detektyw. — To prościutka sprawa. Przynajmniej dla mnie. Kidnaper nie jest zawodowcem, pozostawił po sobie tyle wizytówek, że raz-raz odnajdę go wraz z dzieciakiem. Na czas śledztwa rekwiruję twój gabinet, koleś. Urządzę w nim stanowisko dowodzenia. Masz się stawić jutro punkt siódma. Odtąd ja tu rządę, tobą i twoimi gliniarzami. Uprzedź ich, niech mi nie podskakują, koleś. Ty również nie podskakuj. Teraz zostaw mnie w spokoju. Wracaj do oczekującej na ciebie tęsknie żonki i licznych dzieciaków! — dokończył z nieoczekiwaną złością Peters.

Trzasnął drzwiczkami mocno poobijanej toyoty i odjechał spod posterunku z wściekłym piskiem opon.

Tylne światła toyoty dawno zniknęły za zakrętem, a Haig wciąż tkwił na chodniku, obezwładniony bolesnym wspomnieniem Emily, które wywołał tak nieoczekiwane ten obcy, niesympatyczny, nadęty waśniak.

5.

Stanley Haig, obejmując urząd szeryfa po zmarłym na udar poprzedniku, uznał, że policjanci potrzebują do pracy porządnego, odpowiednio obszernego pomieszczenia. Nie powinni się tłoczyć niczym śledzie w beczce, biurko w biurko, monitor w monitor. Kazał imponująco duży gabinet, z wielką palmą pod oknem, olbrzymim biurkiem, oddzielnym stolikiem do przyjmowania co bardziej czcigodnych gości, obstawionym czterema skórzanymi fotelami, skrócić jak się skraca za długie spodnie, odcinając w nich nogawki: po prostu odciał od gabinetu ponad dwadzieścia metrów kwadratowych na korzyść policyjnej hali. Pretensjonalne meble zwrócił burmistrzowi. Dzięki temu policjanci nie włązili sobie na odciski, natomiast ciasny gabinet nowego szeryfa ze śmiesznie małym w stosunku do jego potężnej postury biurkiem, na którym mieściły się wyłącznie łącza, telefony, komputer i oprawione w drewniane ramki nieduże zdjęcie drobnej kobiety obejmującej ciemnowłosego chłopczyka, szybko zyskał nazwę kanciapę, co zupełnie Haigowi nie przeszkadzało. Wzywając któregoś ze swoich podwładnych, mówił: „Za pięć minut z raportem u mnie, w kanciapie”.

Gdy ósmego marca o wpół do siódmej Haig przyjechał na posterunek, był przekonany, że swoją kanciapę zastanie pustą i zanim Colin Peters ją zaanektuje, zdąży zabrać kilka osobistych drobiazgów.

Ale Peters już był. Wyglądał tak, jakby nocował nie w hotelu, lecz właśnie tutaj, w kanciapie szeryfa. Nieogolony, w tej samej, najwyraźniej niezmienionej od wczoraj koszuli, wybierał paluchami wprost z papierowego kartonu frytkę, polewał ją keczupem, z tubki wyciskał jeszcze na nią musztardę i taką ociekającą czerwono-brunatną mazią piramidkę wkładał do ust, żuł długo, wreszcie przełykał, po czym

natychmiast ocierał popaprany, rzadki zarost bródki papierową serwetką, którą po prostu odrzucał gdzie bądź. Wnosząc po liczbie pomiętych w kulki serwetek zalegających na biurku, a także wokół niego, Petersowi kończyła się frytkowa wyzerka.

Nie będzie mi z nim łatwo, pomyślał Haig, z żalem patrząc na swoją, zawsze utrzymaną w pedantycznej czystości, kanciapę.

Peters obrzucił wchodzącego ponurym spojrzeniem. Oczywiście miał zmęczone, podkreślone ciemnymi kręgami.

— Miałeś być o siódmej — warknął, chowając karton z resztą frytek oraz tubki z musztardą i keczupem do mocno zniszczonej torby. — No, ale skoro już jesteś, zaparz mocną kawę, koleś. Nie cierpię lury z automatów.

— Cześć, detektywie. Ranny z ciebie ptaszek — zażartował życzliwie Haig. — Z ekspresu ci odpowiada? Czy wolisz sypaną?

— Cztery czubate łyżki i cztery kostki cukru. — W spojrzeniu Petersa nie było ani krzty życzliwości. W głosie też nie. Cisnął na podłogę kolejną zmiętą chusteczkę. Nagle zaatakował ze złością: — Gdy ty, koleś, spałeś sobie słodko przy boku słodkiej jak pączus żonki, ja pracowałem. Żonka całkiem, całkiem... — Peters przysunął zdjęcie Emili ze Stevenem, pochylił się nad nim. — Ładna, młoda... Dzieciak też ładny. Szczęściarz z ciebie, koleś.

— Zostaw — zaprotestował Haig, lecz Peters nie zareagował; nie odstawił zdjęcia; przyglądał mu się nadal w jakiś szczególny sposób, który Haigowi wydał się plugawy. — Peters, zostaw natychmiast — powtórzył.

— Przecież ci jej nie gwałcę, koleś... — cicho, opuszczając głowę, odpowiedział detektyw. — Tylko patrzę, nic więcej... — Nagle wybuchnął: — Zabieraj to swoje pieprzone zdjęcie szczęśliwej rodziny z biurka! Żebyś, póki tu jestem, go nie oglądał!

— Dokładnie taki miałem zamiar — odpowiedział Haig, już z trudem panując nad sobą. Wyjął zdjęcie z rąk Petersa. — I nigdy więcej nie waż się choćby słówkiem wspomnieć o mojej rodzinie, rozumiesz?

Peters wstał zza biurka. Podszedł do okna. Odwrócił się do Haiga plecami. Miał chude plecy ze sterzczącymi łopatkami. A te chude, sterzące łopatki drżały, jakby Peters powstrzymywał płacz.

Co z nim?, pomyślał Haig. Gniew minął w mgnieniu oka. Chude, tak nieoczekiwanie drżące łopatki niesympatycznego detektywa wzbudziły w Haigu współczucie. Coś go musiało zabołec. Ale co?

— Przepraszam — powiedział cicho Peters. Wrócił do biurka z opuszczoną głową. Sięgnął po kubek z kawą. — Wiem, że potrafię być wredny. Zwłaszcza wówczas, gdy mam za sobą nieprzespaną noc... Siadaj, szeryfie. Za chwilę dojdę do siebie... Każdego z nas coś tam czasem zadrapie koło serca. Mnie też. Zaraz się poskładam do kupy i weźmiemy się do roboty...

Peters pił gorącą kawę drobnymi łyżkami. Rzadka bródka sterzała żałośnie. W chudej, długiej szyi poruszała się wystająca grdyka.

Składanie się detektywa „do kupy” trwało dobrą chwilę. Haig czekał cierpliwie, myśląc, że ten facet o brzydkiej, ptasiej, jakże smutnej teraz twarzy w niczym nie przypominał wczorajszego waźniaka.

— Pierwsze wyniki z laboratorium przyjdą najwcześniej jutro — odezwał się wreszcie Peters, wciąż jednak nie podnosząc głowy. — W każdym śledztwie najważniejsza jest zawsze logika. Mój stary był supergliniarzem i te obecne wszystkie supertechniki za jego czasów pozostawały nieznanne, natomiast mój stary łapał zboczków, główkując. Więc i my pogłówkujmy. Od zaginięcia chłopca minęła prawie doba. Telefony u Barkinsów milczą. Czym się specjalnie nie przejmuję, ponieważ często porywacz gra na zwłokę, licząc na bezgraniczne posłuszeństwo coraz bardziej przerażonych rodziców. Przynajmniej jedno wiemy na pewno: dzieciak żyje.

— Może... — bez przekonania, ponuro odparł Haig. Całą noc przewracał się z boku na bok ze sztywnym od strachu karkiem. Im dłużej zastanawiał się nad okolicznościami zniknięcia Patricka, tym mniej wydawała mu się prawdopodobna wersja, że porwano go dla okupu. Peters się myli. Owszem, kidnaperzy często grają na zwłokę. Jednak nie aż na tak długą zwłokę. Zwykle dzwonią po kilku godzinach. Według jego wyliczeń Barkinsowie powinni otrzymać wiadomość z żądaniem okupu najpóźniej od pięciu do dziesięciu godzin od momentu porwania. Lecz nie dostali. Dlaczego? A jeśli porywaczowi nie chodzi o okup? Jeśli to jakiś rodzaj makabrycznego żartu? Kogoś, kto nienawidził Willa lub Hellen. Jonathan Milton nienawidził Hellen. To z jej powodu Jon Milton wywiózł syna do Des Moines.

Wczorajsze, pierwsze przesłuchania, te na gorąco wykazały niezbite alibi Jonathana. Przyjechał on wraz z żoną i synkiem na uroczystości rodzinne kilka minut przed trzynastą prosto z Des Moines. Takie alibi wystawiła mu rodzina. Ruth je uzupełniła, mówiąc, że przez ostatnie pół roku w ogóle ich nie odwiedzał. Ale inni świadkowie po prostu nie zauważyli, kiedy Jonathan przyjechał. Rodzina jak rodzina, gotowa jest kryć swego najbliższego. Zwłaszcza Ruth, której miłość do syna była ogólnie znana. On Ruth nie pytał, kiedy Jonathan był tu ostatni raz, sama z tym wyskoczyła, jakby uprzedzając pytanie. Ale Ruth nie mogła wiedzieć, że porywacz obserwował dom Barkinsow przynajmniej od dwóch tygodni. Z kolei wiadomo, że Jon Milton niechętnie widywał syna z synową u siebie. Że to Ruth często odwiedzała ich w Des Moines. Wczoraj ekipa sfotografowała i wzięła odlewy męskich butów wszystkich bez wyjątku gości Miltonów. Jonathana również. Miał małą stopę. Buty robione na miarę z powodu paskudnych ostróg piętowych. To nie Jonathan.

— Może? Skąd te wątpliwości? — zapytał Peters, zniżając głos do szeptu. Najwyraźniej i on je miał. Zabębnił nerwowo palcami o blat biurka. — Dobra. Zaraz mije wyjaśnisz... Właśnie schodzą się twoje psy. Punktualni są, trzeba przyznać, co do sekundy. Wybija siódma.

Sześciu policjantów z drogówki, ośmiu patrolujących miasto i czterech wolontariuszy wraz z Paulem Thompsonem, zastępcą Haiga tego dnia, ósmego marca, zajmowało swoje miejsca w ciszy, bez zwykłych żartów, okrzyków, pieprznych uwag. Każdy z nich zdawał sobie sprawę z powagi sytuacji. Każdy z nich wczorajszy dzień spędził na rozpaczliwym poszukiwaniu zaginionego Patricka. Każdy z nich znał i Patricka, i Barkinsow. Poza wolontariuszami każdy z nich miał rodzinę. I dzieci. Więc każdy z nich szukał Patricka tak, jakby szukał własnego dzieciaka.

Usiedli, czekając na dyspozycje. Ricky Starks, blondynek o różowych, dziecinnie puciołowatych policzkach, dwudziestoletni wolontariusz w drogówce, który marzył o dostaniu się do szkoły policyjnej i zostaniu prawdziwym patrolowym policjantem, pomachał w kierunku kanciapy ręką. Jego opiekun i partner, czterdziestoletni Johnny Meek, ojciec dwójki urwipolciów, skarcił Starksa mocnym szturchnięciem w plecy.

— Cześć, chłopaki. Nie życzę wam miłego dnia, gdyż nie będzie on miły. Porywacz Patricka należy do milczków. Nie dzwonił do Barkinsów — odezwał się do zebranych przez interkom Haig. — Paul, uporządkujcie raporty z przesłuchań gości Miltonów. Jeśli wam w międzyczasie przyszło coś mądrego do łbów, poróbcie notatki. Ja z detektywem kończę naradę. Więc na razie nam nie przeszkadzać, nie włączyć mi do kanciapy.

Wyłączył interkom. Peters nerwowo skubał rzadkie włoski, udając bródkę.

— Mów, Peters.

— Ja? To ty gadaj o swoich wątpliwościach.

— Wolałbym najpierw posłuchać ciebie.

— Dobra, Haig. I bez badań kryminalistycznych wiemy, że facet nosił nietypowo wielki bucior. Taki bucior wskazuje, że był wielkim facetem. Jak również, że niekiepsko obżerał się hamburgerami, co uczyniło go ciężkim chłopem. Dobrze gadam? Zanim nam z laboratorium podadzą co do grama wagę i co do cala wzrost faceta, każ swoim psom rozjechać się po mieście i okolicy, niech sprawdzą alibi podpadających rozmiarami gości, noszących trzynastkę lub czternastkę; wszystkich grubasów, atletów, mięśniaków między metr osiemdziesiąt a dwa z hakiem wzrostu. Wy się tu wszyscy świetnie znacie do czwartego pokolenia wstecz, więc chyba obejdzie się bez zbędnej biurokracji, sprawdzania w spisach ludności, bazie danych i temu podobne, co?

— Obejdzie się. Ale czy to ma sens, Peters? Nie lepiej poczekać na wyniki z laboratorium, w którym na podstawie odlewu określi producenta i markę buta?

— Dam sobie rękę uciąć, że buciory pochodzą z masowej, zalewanej cały kraj, taniej produkcji; dostępne są w każdej sieci hipermarketów, zwykłych sklepach czy nawet na bazarach. Markę na razie olać, Haig! Nie ona tu najważniejsza, lecz rozmiar buciora. Niewielu facetów ma zamiast stóp kajaki! I ten fakt napawa mnie optymizmem. Zacznijmy szukać właściciela kajaków od Nevady i jej okolic. — Peters nieoczekiwanie rozciągnął usta w uśmiechu. — A ty, koleś, super podpasz pod wizerunek naszego gościa. Też nosisz kajaki i mięśniak z ciebie zajebisty.

Haig włączył interkom. Powtórzył swoim ludziom polecenia Petersa. Za pięć minut hala opustoszała.

— Bucioro to nasz najważniejszy trop — odezwał się Peters. — Chociaż zdaję sobie sprawę, że twoje psy nikogo o tym rozmiarze buciora tutaj nie trafią. Ale przynajmniej zyskamy pewność, że nasz facet nie jest z Nevady. Wtedy rozszerzymy zakres poszukiwań.

— On jest stąd — powiedział Haig. — Wiesz o tym równie dobrze jak ja. Stąd. Z Nevady. Lub z najbliższej okolicy. I to jest najpotworniejsze, Peters. Że to ktoś z naszych. Zadaję sobie bezustannie pytanie: kto? Na litość boską, kto jest tym potworem w naszym spokojnym, cichym miasteczku?

— Dobra. Niech ci będzie, że stąd. Ale to jedna z opcji.

— Nie. To jedyna opcja. Inna nie istnieje.

— Istnieje. Przesłuchani wczoraj goście Miltonów, jak również i cała rodzina podkreślali, że William Barkins jest, wyjątkowo dziwnym gościem, pochodzi z Los Angeles, gdzie jego ojciec zarabia miliony dolców w prywatnej klinice na stuletnich gwiazdach filmowych, pragnących wyglądać na dwudziestoletnie panienki. Czemu więc nie porwać komuś takiemu dzieciaka w zamian za potężny okup? To może być ktoś z Los Angeles. Z Cedar Falls, gdzie pracuje Barkins. Zawszad, koleś! Warto zadać sobie wiele trudu dla wielkiej kasy. W Nevadzie wieczorami brak bujnego życia. Po ciemku ulice stają się jakby wymarłe. Spotykasz zaledwie czkających pijaczków, wytaczających się z pubu Jacka. Więc kto przyuważy brykę z obcą rejestracją? Nasz facet gdzieś ją zostawia, choćby na parkingu hotelowym, w którym nocowałem, pośród innych bryk z obcą rejestracją. Wysiada sobie i spokojnie wali prosto na Short Street, po czym wchodzi w brzezinkę, tam sobie nawet kima, bo noce od dwóch tygodni bez przymrozków, a od wczesnego rana obserwuje teren Barkinsów. Siódmego marca na Short Street panowało takie zamieszanie, że wreszcie mógł swobodnie porwać dzieciaka. Mogło tak być, koleś?

— Teoretycznie mogło — przyznał Haig.

— Dlatego sprawdzimy i tę wersję. Chociaż podobnie jak ty uważam ją za wątpliwą. Zaraz zlecę znajomkom z Cedar Falls, żeby zaoszczędzili nam czasu i przeważkowali pracowników szpitala, ich rodziny, przyjaciół, znajomych. Może ktoś stamtąd pozazdrościł Barkinsowi jego kasy. A może lada chwila porywacz zadzwoni z żądaniem okupu... — westchnął Peters.

— Oby...

— To zbyt piękne, aby okazało się prawdziwe... Idzie o zbyt dużą kasę. On będzie zwlekał... Stąd czy skądkolwiek, będzie zwlekał... — Peters znowu ciężko westchnął, odsunął kubek po kawie, zacisnął dłonie w pięści. — Nienawidzę takich spraw, Haig. Po prostu nienawidzę. Każdemu kidnaperowi osobiście oberżnąłbym jaja! Ten nasz to wyjątkowy spryciul. I zgadzam się z tobą: on jest stąd. Nawet chciałbym, żeby był stąd.

— Dlaczego? — zapytał Haig.

— Bo wówczas nie wtrąci się FBI. Nie cierpię FBI. Miałem już z nimi do czynienia. Robią mnóstwo niepotrzebnego zamieszania. Zachowują się, jakby pozjadali wszystkie możliwe rozumy. Zazwyczaj to my, gliniarze, odwalamy za nich najgorszą robotę, zaś oni spijają miodek i szczerzą zęby do kamer, wypinają piersi po ordery, wyciągają łapska po premie. Pies ich jebał! — Peters poczerwieniał ze złości i sapnął. — Na swoje szczęście nie miałeś z nimi nigdy kontaktu, więc nawet nie zdajesz sobie sprawy, ile takie pacany potrafią wyrządzić szkody w śledztwie!

— To wolę nie mieć — przyznał Haig. — Peters, a jeśli jemu wcale nie chodzi o okup?

— Więc takie te twoje wątpliwości? Dobra, Haig. Kawa na ławę. Znasz Barkinsów, znasz środowisko. Jestem otwarty na wszelkie sugestie.

— Myślę o... — Haig zawahał się, nim dokończył — o akcie zemsty.

— Zemsty? — zdumiał się Peters. — Przecież to taka lubiana tutaj rodzina, ci Barkinsowie!

— Której, mimo powszechnej sympatii, w biały dzień zwabiono dzieciaka do brzezinki i wszelki słuch o nim zaginął? Pół miasta włączyło się w poszukiwania. Przetrząsnięto każdy zakamarek, każdy kąt w domach, strychach, ogrodach, ogródkach, szopach, składzikach.

— No i co z tego? Albo porywacz dzieciaka wywiózł go do innego miasta w stanie, może nawet do innego stanu, albo wcześniej obmyślił dla niego tak sprytną kryjówkę, że teraz sobie spokojnie siedzi i obżerając się kolejnym hamburgerem, zastanawia się, kiedy ma zadzwonić do Barkinsów, żeby wydębic od nich jak najwięcej szmalu. Nie, Haig, żadna zemsta. Wyłącznie okup. — Peters zabrał się za szarpanie swojej rzadkiej bródki. — Musimy cierpliwie czekać na jego

telefon. Cierpliwie nie oznacza bezczynnie. Dawaj raporty z przesłuchań gości Miltonów. Zanim twoi ludzie wrócą z łapanek tutejszych mięśniaków, przejrzymy je ponownie. Wczoraj było za wiele emocji, niesprzyjających logicznemu główkowaniu. Zresztą, wiem z doświadczenia, że takim spisywanym na szybko zeznaniom należy się wielokrotnie i z uwagą przyglądać, ponieważ w pośpiechu opuszcza się wiele, często istotnych dla sprawy szczegółów.

— No tak. Nie pozostaje nam nic innego, jak czekać na telefon... Pewno się wygłupiłem z tym swoim podejrzeniem zemsty... — zgodził się Haig. Stała mu przed oczami pobladła twarz Williama Barkinsa; jego niekontrolowane wybuchy agresji.

Haig uświadomił sobie, że William Barkins wyglądał jak człowiek, który czegoś straszliwie się obawia. Strach Willa pogłębił się w momencie, kiedy zainteresowałem się rodzinnymi zdjęciami, na których byli wyłącznie Hellen z Patrickiem, rozmyślał Haig. Czego się bał? Bo według mnie bał się nie tylko o los Patricka... Jakby sam miał coś na sumieniu... Coś ukrywał... No nie, ponosi mnie! Skąd mogę wiedzieć, jak zachowują się zrozpaczeni ojcowie, na pograniczu wytrzymałości nerwowej? Może właśnie tak jak Will? Z drugiej strony to dziwne, że na rodzinnych zdjęciach Barkinsów nie znalazł się szczęśliwy, tulący do siebie swoją Hellen i swego Patricka kochający ich mąż i ojciec. Nawet więcej niż dziwne. Zastanawiające. Nigdzie, na ani jednej fotce. Zwykle stwierdzenie, że go brak, wywołało w Barkinsie napad agresji.

— Hej, koleś! Nad czym tak dumasz?

— Nieważne — odpowiedział Haig. Pomyślał, że jeszcze nie czas dzielić się z Petersem swoimi spostrzeżeniami. Może Will po prostu jest mało fotogeniczny. Może nie lubi się fotografować. Nigdy by sobie nie darował, gdyby niesłusznie o cokolwiek oskarżył Barkinsa. Rozpacz przyjmuje różne postacie. Wiedział doskonale, czym jest rozpacz. Po gwałtownej śmierci Emily ani nad jej trumną, ani nigdy potem nie zapłakał. Minęły trzy lata od czasu, kiedy jej białe dłonie trzepotały w agonii po kołdrze, a w nim wciąż ani jednej łzy.

6.

Trzy rozpaczliwe, wypełnione oczekiwaniem na telefon, na jakikolwiek znak od porywacza dni — a ten milczał. Peters nie znał ani jednego przykładu w historii kryminalistyki, aby kidnapier, jeżeli nawet zamordował dzieciaka, nie zażądał okupu najdalej po dwóch dobach.

W ciągu tych trzech dni wstrząśnięci mieszkańcy Nevady wciąż i wciąż na nowo, niezależnie od policji, poszukiwali synka Barkinsów, o każdym podejrzanym śladzie donosząc na posterunek. Nikt jak dotąd nie podejrzewał, że porywaczem jest ktoś z nich. Może i dobrze. Inaczej zapanowałaby panika oraz powszechne, wzajemne podejrzewania.

Na wszystkich stacjach benzynowych w mieście i na szosach prowadzących do miasteczka ochotnicy z Nevady ustawili całodobowe warty, notujące numery każdego tankującego samochodu z obcą rejestracją. Za pomocą komórek filmowano kierowców oraz osoby im towarzyszące, nie wykluczając niemowlaków przytroczonych w fotelikach. Identyczne warty ustawiono wokół przydrożnych moteli.

Na biurka policjantów spływały setkami te informacje wraz z „dokumentacją” w postaci filmów z komórek. Peters dostawał szalu. Haig wyznaczył czterech swoich ludzi, którzy albo wisząc przy telefonie sprawdzali rejestracje przypadkowych obcych, albo gonili na sygnale na stacje benzynowe czy do moteli, przyjrzeć się rzekomym podejrzanym.

Jak było do przewidzenia, owe obywatelskie sygnały okazywały się zupełnie nieprzydatne. Jak było też do przewidzenia, w Nevadzie policjanci Haiga nie znaleźli nikogo, kto nosiłby tak wielki buciór.

Laboratorium przysłało wyniki badań.

Jedynym dającym nikłą nadzieję wynikiem, że Patrick być może jeszcze żyje, było DNA krwi ze ściółki w brzezince. Należała do psa.

Olbrzymi rozmiar męskich butów, zgodnie z przewidywaniami Petersa, wskazywał na wysokiego, tęgiego gościa. W laboratorium na podstawie zagłębienia buta oraz jego numeru określono przypuszczalny wzrost i wagę faceta. Nie mniej niż sto dziewięćdziesiąt centymetrów i przynajmniej sto kilogramów wagi. Ustalono również producenta butów. Był nim Jordan i S-ka. W obuwiu marki Jordan z powodu niskiej ceny zaopatrywało się tysiące mężczyzn. Firma Jordan swoimi wyrobami zarzucała wszelkie możliwe markety w całym kraju.

— A nie mówiłem — skomentował Peters.

Badania sierści wykazały, że należała ona do jamnika miniaturki. Ludzie Haiga znowu rozbiegli się po Nevadzie i okolicy w poszukiwaniu jamników, niekoniecznie nawet miniaterek, byle jak najmniejszych.

Niestety, w Nevadzie znaleziono zaledwie cztery mieszańce udające jamniki. Właścicielkami mieszańców były cztery starsze wdowy. Oburzone najściem policji, złożyły w biurze szeryfa oficjalną skargę. Koniecznie chciały wiedzieć, dlaczego policjanci fotografowali zwierzaki wraz z łapkami. Jaki to ma związek z porwaniem biednego Patricka, którego rodzice odchodzą od zmysłów? A wcześniej — wykrzykiwały swoje pretensje, postukując gniewnie obcasikami staroświeckich, zapinanych na guziki pantofelków — również nachodziliście Bogu ducha winnych ludzi, każąc im pokazywać swoje buty! Szeryfie Haig! Gdyby nie pamięć o twojej zmarłej żonie oraz szacunek dla Penny, jej matki, a twojej teściowej, wychowującej ci syna, złożyłybyśmy skargę wprost do gubernatora! I na tego, pewno najmniej rozgarniętego detektywa, którego nam raczono podesłać z policji stanowej, również!

Wyszły z kanciapy, poprawiając przekrzywione od gniewnego postukiwania staroświeckie kapelusiki, przypominające miniaturowe ptasie gniazda.

— Wybacz impulsywność starszych dam — odezwał się Haig ze skurczem w sercu, jaki zawsze wywoływało wspomnienie Emily.

Tymczasem ptasią twarz Petersa, zamiast gniewu, oblókł cień smutku.

— To ty mi wybacz, Stan — po raz pierwszy Peters zwrócił się do Haiga po imieniu. — Nie wiedziałem, że twoja żona... Że jesteś sam. Musiałem mocno cię dotknąć swoim wulgarnym gadaniem o szczęśliwej rodzinie...

— Było, minęło. Nie wracajmy do tego, dobrze? — poprosił Haig i znowu zobaczył białe dłonie Emily trzepoczące po koldrze.

— To wciąż boli, prawda, Stan? Mnie nikt nie umarł, lecz też mnie wciąż boli. Miałem kiedyś rodzinę. Sam nie rozumiałem nigdy, dlaczego taka młoda, atrakcyjna dziewczyna zgodziła się zostać moją żoną. Ale zgodziła się. Przeżyłem z nią w nieustającym zachwycie prawie cztery lata. Marzyły mi się dzieci. Koniecznie córeczki, podobne do niej. Broń Boże syn, ponieważ synowie są z reguły podobni do ojców, a ja... sam widzisz, jaki ze mnie ciężki przystojniak... — w śmiechu Petersa brzmiała gorycz. — Pewnego dnia wróciłem do domu i zastałem ją w łóżku z moim bratem. Ambitna kobieta. Mój młodszy brat piastował wtedy stanowisko zastępcy prokuratora stanowego. Teraz jest prokuratorem stanu i ma dwie prześliczne córeczki... A ja nienawidzę jego prześlicznych córeczek, ponieważ powinny być moje... Nienawidzę wszystkich szczęśliwych rodzin. Rodziny z dziećmi, z których uśmiechają się buziaki dzieciaków, obejmowanych przez radosne mamusie i tatusiów...

— Przestań się katować, Peters — przerwał mu wstrząśnięty spowiedzią detektywa Haig, lecz Peters, nie zważając na dalsze protesty Haiga, ciągnął dalej.

— To nie wszystko. Znienawidziłem swoją robotę, mniemając na-
iwnie, że gdybym nie był tak dobrym gliną, więcej czasu poświęcał-
bym żonie, a ona by mnie wówczas na pewno pokochała, więc mieli-
byśmy te nasze śliczne córeczki o błękitnych oczkach: czułbym za-
pach ich jasnych włosków, całowałbym ich malutkie, różowawe pięt-
ki. Zacząłem chlać. Na umór. Okazało się zresztą, że poza mną oczy-
wiście, złamasem żalosnym, cała stanowa wiedziała o jej romansie z
moim bratem. Robiono zakłady, kiedy wreszcie odkryję, że się bzyka-
ją. Stan! Poniżyłem się do tego stopnia, że błagałem ją, aby do mnie
wróciła. Nigdy nie zapomnę jej śmiechu. Śmiała się i śmiała. Byłeś
dupkiem i pozostaniesz dupkiem, śmiała się. Nigdy cię nie kochałam,
dupku, śmiała się. Ale taka dziewczyna jak ja, która poza urodą nie
posiada ani kasy, ani wykształcenia, natomiast ma swoje ambicje,

tylko wiążąc się z tobą, ważnym gliniarzem, spokrewnionym z jeszcze większym ważniakiem, mogła liczyć, że pozna jakiegoś dzianego prawnika, znanego dziennikarza albo kogoś takiego, kto jej zapewni życie na poziomie, ubierze w futra. Oczywiście, zastanawiałam się również nad twoim bratem. Poszło mi z nim łatwiej, niż przypuszczałam. Wiesz, dupku? Nawet się w nim zakochałam. Więc spadaj. Nie, nie, Stan, nie przerywaj. Zbyt długo to wszystko tłamsiłem w sobie, a ty jesteś porządnym człowiekiem, którego również dotknęło nieszczęście, więc mnie nie wydrwisz, zrozumiesz! Stoczyłem się tak nisko, Stan, że gdyby nie mój szacowny brat, dawno wywaliliby mnie ze stanowej na zbity pysk. No, ale się go boją, stąd od kilku lat jestem kimś w rodzaju zapchajdziury. Jeśli jest sprawa łatwiutka, którą rozwiąże nawet idiota, wyznaczają mnie. Tę uznali za dziecinnie prostą. Dlatego tu jestem.

— Cieszę się, że jesteś — odpowiedział po prostu Haig. — Aż boję się myśleć, że zamiast ciebie stanowa przysłałaby jakiego pieprzonego dupka. To jak? Co teraz robimy, dupku?

— Zabieramy się do główkowania, dupku — sapnął Peters i roześmiał się. — Mam jednak piekielne szczęście, że trafiłem na ciebie, dupku.

— Więc doszliśmy do identycznych wniosków — parsknął krótkim śmiechem Haig, lecz natychmiast spowaźniał. — Główkujmy. Kidnaper dotąd nie zażądał okupu. Są dwie możliwości. Albo Patrick wbrew intencjom kidnapera umarł, na przykład z powodu szoku, albo nie było to porwanie dla okupu. Jeżeli Patrick nie żyje, a kidnaper ma w sobie chociaż odrobinę sumienia, nigdy nie zgłosi się po okup.

— Na sumienie bym nie liczył, lecz podtrzymuję wersję z porwaniem — zaoponował Peters, swoim zwyczajem szarpiąc rzadką bródkę. — Dzieciak żyje. On się z nim obchodzi jak kura ze złotym jajkiem. Fakt, że zwleka. Że przekroczył tak zwane standardowe terminy, znane kryminalistycy. Ale to się da logicznie wytłumaczyć. Widocznie go niekiepsko osaczyliśmy, toteż obawia się wychylić. Według mnie w ogóle nie zadzwoni. Uznał tę drogę kontaktu za spaloną. Szuka obecnie innej drogi. Prześle swoje żądania okupu listem.

— To ktoś, kto świetnie znał zwyczaje Barkinsów... — Haigowi z wszechogarniającego strachu zeszywniał kark. Główkowanie Petersa było i owszem, logiczne, i oby się nie mylił, jednak intuicja

podpowiadała szeryfowi, że zamiary porywacza były inne. Jemu nie chodziło o okup. Gdyby było tak, jak sugeruje Peters, że poczuł się osaczony, taki list poczta już dostarczyłaby Barkinsom. Więc pozostaje najgorsza z możliwych opcji. Opcja zemsty na Barkinsach. I tę należy rozważać na dwa sposoby. Jeżeli zamierzał dla zemsty postraszyć Barkinsów, już by im chłopca oddał. Zostawił go gdzieś na drodze do którejś z okolicznych farm. Wyrzucił pod osłoną nocy na którejś z bocznych uliczek Nevady. Miał sto przeróżnych możliwości, aby dziecko zwrócić. Nie zwrócił, ponieważ Patrick go znał. Wiedział, kim jest. Co oznacza, że jest kimś, kogo i Barkinsowie dobrze znają. Co dalej oznacza, że zwabił chłopca do brzezinki, a potem go zabił. Patrick nie żyje.

— Co tobie? Straszliwie zbladłeś! — przestraszył się Peters. — Wiem, doszedłeś do wniosku, że chłopiec nie żyje. Stan, musimy o nim myśleć jak o żywym, chociaż okrutnie wystraszonym dzieciaku. Emocje nie sprzyjają główkowaniu. A ja na przykład nie załapuję, dlaczego ten ktoś znał według ciebie świetnie zwyczaję Barkinsów. Zgadza się. Obserwował ich teren przez dłuższy czas, zdążył to i owo przyuważyć, czyli dokładnie tyle, ile mu było potrzeba, aby dzieciaka porwać. Ale aż świetnie? Wtedy musiałyby należeć do bliskich znajomych Barkinsów. Przemaglowaliśmy wszystkich. Każdy ma alibi, nikt nie wygląda jak mięśniak ani nie nosi kajaków... Tak nawiasem mówiąc, niewielu oni mieli tych znajomych. Widocznie wystarczali sami sobie. Musieli się bardzo kochać. Trzymali się z dala od ludzi. Nie, Stan, nie. Tego nie zrobił nikt z ich bliskich. To zrobił ktoś stąd, temu już nie zaprzeczam i na tym zamierzam się skupić. W każdym mieście może zdarzyć się taki porąbaniec, którego nagle olśni myśl: porwę dzieciaka, dostanę masę kasy i prysnę sobie do Meksyku, gdzie będę wiódł wygodne, dostatnie życie.

— Peters, z całych sił pragnę, abyś się nie mylił. Znam Barkinsów. Z Hellen moja Emily chodziła do tej samej szkoły. Modliliśmy się w tym samym kościele baptystów. Byłem na ich ślubie. Steven jest zaledwie o pół roku starszy od Patricka. Penny, matka Emily, często przyprowadzała go do Patricka i nasi synowie razem bawili się w pięknym ogrodzie Hellen. Nie potrafię wyłączyć emocji. Upieram się też, że to ktoś z bliskiego otoczenia Barkinsów porwał im dziecko. Gdyby było inaczej, zostałyby zauważony. A on jakby wnikał w brzezinkę w

czapce niewidce, nie zwracając na siebie niczyjej uwagi! Pomyśl, Peters. Oto dzień siódmy marca. Bardzo ładna, słoneczna pogoda. Patrick bawi się w piaskownicy. Jego ojciec siedzi na oszklonej werandzie, czyta gazetę, pije kawę. Od werandy do piaskownicy dokładnie dwadzieścia pięć kroków. Od piaskownicy znaleźliśmy wyłącznie ślady adidasów śpieszącego się na skraj lasku Patricka. Dobiegły dokładnie do miejsca, w którym wiele śladów zostawił miniaturowy jamniczek. Następnie ślady łapek psa i ślady adidasów chłopca zginęły w brzezince. I tam mieliśmy ostatni ślad po Patricku i psiaku.

— Porywaczowi sprzyjały okoliczności. Halaśliwa impreza u Miltonów, zatłoczona samochodami Short Street.

— Dość dziwny zbieg okoliczności, nie uważasz?

— Hm... — chrząknął Peters. — Sugerujesz, że wiedział o imprezie?

— Wiedział.

— Ale o imprezie wiedziało pół miasta, Stan! To żaden argument.

— Peters, wczuj się w skórę porywacza! Interesował go rozkład przedpołudnia Barkinsów. Musiał wiedzieć, kiedy Patrick wychodzi do ogrodu sam. Bez Hellen, bez Willa. O której godzinie Will pije na tarasie kawę, czyta gazetę! Ustaliliśmy wcześniej, że żadna inna pora dnia, poza tymi ściśle określonymi godzinami, nie wchodziła w grę, ponieważ dzieciak stale przebywał z matką! Ustaliliśmy czy nie?

— No tak... — westchnął ciężko Peters.

— Ustaliliśmy również, że porywacz wchodził do brzezinki kilkakrotnie. Znalazł w niej świetne stanowisko, w którym czuł się bezpieczny. A może nie potrzebował go szukać, może je już znał?

— Teraz sam sobie zaprzeczasz! Skoro znał, po cholere tyle razy włąził do tej pieprzonej brzezinki?

— Upewnić się, że gdy Will pije swoją kawę i czyta gazety, to Patrick wtedy bawi się w piaskownicy! Że Hellen zagląda na taras o określonej godzinie! Bo taki ma rozkład dnia! Po śniadaniu sprząta część domu. Cholera, Peters! Ten ktoś zbyt wiele wiedział o Barkinsach! To ktoś dobrze im znajomy. Ktoś, kto mieszka w pobliżu. Ktoś, kto był częstym gościem Barkinsów, Miltonów i najbliższych sąsiadów.

— Przesłuchaliśmy kilkakrotnie rodzinę Miltonów, ich bliższych i dalszych znajomych. Wymaglowaliśmy wszystkich sąsiadów

Barkinsów. Pobraliśmy, już olewając rozmiar buciorów, od wszystkich próbki ziemi, nawet z kobiecych pantofli. Ani jedna nie pochodziła z ogrodu czy z brzezinki! Co wyklucza ostatecznie kogoś z najbliższego sąsiedztwa lub nielicznego kręgu znajomych Barkinsów. Patrick żyje. Chociaż jednego nie rozumiem. Po jaką cholere kidneyrowi potrzebny był jamnik? To wyjątkowo szczekliwa rasa. Raczej mu przeszkadzał, niż pomagał. Szczekaniem w każdej chwili mógł zdradzić jego stanowisko.

— To akurat jest proste, do czego posłużył jamnik...

— To wbrew logice, ten jamnik — przerwał zezłoszczony Peters. — On tylko utrudniał zadanie porywaczowi. Szarpał się, ujadał! Zwłaszcza że facet obchodził się z nim brutalnie!

— Peters, dojdziemy i do roli, jaką musiał odegrać ten jamnik. Powróćmy raz jeszcze do tego feralnego, marcowego dnia. Cała Nevada opowiada o cudach, jakie pragną zafundować ukochanej, najmłodszej wnuczce jej dziadkowie. Wiadomo, że od samego rana u Miltonów będzie się wiele działo, Miltonowie zamówili budowę olbrzymiego ogrzewanego namiotu, zjeżdżają się robotnicy, kursują furgonetki od Maxima, przywożące napoje i zimne przekąski, jednym słowem — gwarno, tłoczno, hałaśliwie. Wąska uliczka zastawiana jest coraz to nowymi samochodami. Porywacz już wcześniej ma przygotowane stanowisko. Bez zwracania niczyjej uwagi parkuje swój wóz ze znaną Miltonom rejestracją przekonany, że nie wzbudzi w tym rozgardiaszu ciekawości. Wchodzi w brzezinkę. Prawdopodobnie z torbą przerzuconą przez ramię. Trzyma w niej koc, w który potem owinie uśpionego Patricka... Dobrze mówię, Peters?

— Uśpił dzieciaka chloroformem... Chryste Panie — usta Petersa zbieleły. — Psiaka pewno też. Albo mu wcześniej skręcił kark. Wnieść tak małego psiaka łatwo. Choćby za pazuchą... Nie szczekał, bo uciął mu język. Stąd ta świeża krew psa na ściółce...

— Wniósł, jak słusznie zauważyłeś, psa pod kurtką. Nie ubrał płaszcz, bo by mu zawadzał i płaszczem łatwo zaczepić o sęk, wyrwać nitkę, czyli zostawić ślad dla policji. Dlatego był mu potrzebny mały piesek. Mały i śliczny piesek. Tak śliczny, że z pewnością ściągnie na siebie uwagę bawiącego się w piaskownicy Patricka. Rozumiesz już, do czego zmierzam, Peters?

— Psiak spełniający rolę wabia... Śliczny, mały psiacek, którym zainteresuje się dzieciak... Ale dlaczego Patrick miałby się do tego stopnia nim zainteresować, że porzucił zabawę w piaskownicy i pognął pod brzezinkę?

— Widziałeś dom Barkinsów? — odpowiedział pytaniem Haig.

— No. I co z tego?

— Jest w nim nieprzyzwoicie czysto.

— No. I co dalej?

— Pokój Patricka również widziałeś?

— Też nieprzyzwoicie czysty, jeśli o to ci chodzi.

— Dokładnie o to. Po pięciu godzinach bezskutecznych poszukiwań byłem pewny: dzieciaka porwano. Oczywiście dla okupu, bo Will jest dzianym gościem, o czym wszyscy w naszym mieście wiedzą. W naszym mieście, Peters, w naszym! Natychmiast pojawiła się przerażająca myśl: a jeśli porywacz jest stąd? Chciałem tę myśl odrzucić, lecz ona we mnie tkwiła jak zadra. Wszystko ułożyło się w logiczną całość. Punkt obserwacyjny w brzezince. Samotny bieg Patricka do jej skraju. Pozostawało znaleźć odpowiedź na pytanie: Co Patricka tak silnie zainteresowało, że przestał się bawić w piaskownicy, upuścił łopatkę i pognął pod lasek? Wtedy pomyślałem: pies. Mały, śliczny piesek. Kapujesz?

— Ani w ząb. Jaki związek ma pies z pokojem dzieciaka?

— Ponieważ Hellen Barkins w swoim pedantycznie wysprzątanym domu nie zniosłaby obecności żadnego zwierzaka, zwłaszcza psa, który brudziłby jej dywany, wyblęszczone parkiety, zostawiał po sobie sierść i tak dalej. A wszystkie dzieciaki, obdarowane nawet najwspanialszymi zabawkami, zawsze pragną mieć żywe, własne zwierzątko. Takie, które mogą kochać. Takie, które i im odwdzięczą się przywiązaniem.

— Stąd pies?

— Dokładnie. I ten nasz ktoś o tym wiedział. Bawiący się w piaskownicy Patrick widzi pieska, to wybiegającego, to chowającego się w brzezince.

— Małego pieska. Dużego dzieciak mógłby się wystraszyć. O, cholera! Dlatego jamnik... Jednak brutalnie okaleczony jamnik nie miałby siły, żeby wybiegać i chować się w brzezince — zastanawiał się Peters.

— Dostał środek pobudzający, na przykład efedrynę. Psiak nie odczuwa bólu, a jest nakręcony. Raz po raz na popuszczonej smyczy

wybiega na skraj lasu. Patrick go zauważa. Porzuca łopatkę, biegnie szybko, chociaż dotknąć, chociaż pogłaskać, ach, jaki śliczny i maleńki, taki maleńki, że mama, jeśli ją się ładnie poprosi, na pewno zgodzi się go zatrzymać. Kto wie, co tam się kłębiło w główce smarkacza? A tu piesek się cofa między drzewa, ojej, nie chowaj się, nie uciekaj! Patrick wbiega w brzezinkę. Spostrzega faceta. Dlaczego nie ucieka? Bo go zna! Podchodzi śmiało i za sekundę uśpiony chloroformem traci przytomność. Jamnika, który odegrał rolę wabia, porywacz ogłusza i zawija razem z Patrickiem na przykład w koc. Nie wiemy, w co, bo nie znaleziono żadnej nitki; nic, niczego poza sierścią psa i jego krwią na ściółce. W posiadłości Miltonów tymczasem trwają gorączkowe przygotowania. Porywacz najspokojniej wraca do wozu, ładuje toból do bagażnika, odjeżdża. Potem zabija Patricka. Zabija jamnika.

— Haig! Dopóki nie mamy zwłok dzieciaka, dopóty istnieje cień szansy, że żyje! Należy posprawdzać okoliczne schroniska dla zwierząt. Może stamtąd ktoś ostatnio wziął jamnika?

— Ale co to nam da? Patrick znał swego oprawcę i dlatego musiał umrzeć. Skupmy się na Nevadzie. Patrick nie żyje. To akt zemsty, Peters. Nie porwanie dla okupu.

— Chryste! Sprawdziliśmy wszystkich bliższych i dalszych znajomych Barkinsów! Lekarze, pielęgniarki, salowe ze szpitala w Cedar Falls wypowiadają się o Barkinsie w samych superlatywach. Jest świetnym kardiologiem, ogólnie lubianym, cenionym, poważanym i aprobowanym przez pacjentów. Za co, dlaczego i kto miałby się na nim mścić, posuwając się do zabójstwa jego dzieciaka? Albo na Helen? Wszyscy tu ją przecież lubią. Chłopak żyje. Na dziewięćdziesiąt dziewięć procent żyje. Porywacz musiałby być nie tylko wrogiem Barkinsów, ale i socjopatycznym potworem, pozbawionym wszelkich skrupułów. Pamiętasz sprawę Johna Rida sprzed dziesięciu lat?

— Tego płatnego zabójcy?

— Tego. Pamiętasz, na czym się wyłożył?

— Nie bardzo.

— Na dzieciaku. Z zimną krwią zabijał facetów, nie oszczędzał kobiet. Było mu bez różnicy, kogo zabija. Po ujęciu przyznał się do trzydziestu morderstw. Kwadratowa szczęka, niskie czółko, zero emocji. Podcinał gardła, dusił, strzelał. Twardziel. Twardziel dostał zlecenie zlikwidowania Kimberly Cross. Kimberly Cross pracowała

jako księgowa w pewnym legalnym przedsiębiorstwie, które legalne było jedynie pozornie, a w gruncie rzeczy stanowiło przykrywkę działań mafijnych. No i wywęszyła, bystra kobitka, pewne dziwne przelewy do banku. Sądziła, że zrobi na tym interes swego życia.

— Już sobie przypominam. Interes jej życia miał polegać na szantażu.

— No. Ale nie wiedziała, z kim zadziera. Mafia zapłaciła Ridowi pięć tysięcy dolców. Cross mieszkała w parterowym domku na przedmieściu Des Moines. Łatwe zadanie: Rid zamierzał, bo to lubił najbardziej, poderżnąć jej gardło, gdy będzie spała. Spała. Ale nie sama. Z trzyletnią córeczką w jednym łóżku. Mała się obudziła. I ten twardziel nie potrafił poderżnąć gardła matce w obecności dziecka ani tym bardziej nie potrafiłby poderżnąć gardła dziewczynce, która go zapytała: „Wujku, dlaczego wszedłeś do nas oknem?”. Jaki stąd wniosek, Stan?

— Właśnie taki: mamy do czynienia z potworem. Dałbym pięć lat swego życia za to, żebyś się nie mylił. Gdyby mi mego syna porwano... Jezu, Peters! Nie wiem, co bym zrobił. Zwariowałbym. Nie pojmuję, w jaki sposób Hellen i Will wytrzymali to do tej pory!

— Ich trzyma nadzieja. I ty również taką byś w sobie odnalazł, nie dopuszczając nawet do siebie myśli, że twemu chłopcu przytrafiło się to najstraszniejsze. Dopóki nie znajdziemy Patricka, dopóty Barkin-sowie będą czekać i wierzyć. Nawet gdyby mieli czekać rok, dwa, pięć, dziesięć. Muszą otrzymać niezbitę dowody, żeby swoją nadzieję stracić.

7.

Will Barkins wziął w szpitalu miesięczny urlop. Bał się o Hellen. Miał wszelkie powody, aby się bać. Co prawda następnego dnia po porwaniu Patricka Hellen wstała z łóżka o świcie, wzięła prysznic, ubrała się i zabrała się natychmiast za sprzątanie salonu.

— Hellen, chodź na śniadanie. Usmażyłem twoje ulubione naleśniki — Will próbował ją objąć, lecz Hellen milcząco odsuwała się od męża, patrząc na niego, jakby go widziała po raz pierwszy w życiu. — Hellen, to ja, Will...

Milcząc, pochylała się nad odkurzaczem.

— Na litość boską, Hellen, odezwij się...

Kończyła odkurzanie. Szła po płyty do mycia szyb. Tarła je zapamiętale.

— Hellen, to ja, doktor Tracy. Pozwól, kochanie, zrobić sobie zastrzyk.

Nie odpowiadała. Na doktora również patrzyła jak na kogoś absolutnie jej obcego. Nie pozwalała się do siebie zbliżyć. Sprzątała. Wyprane godzinę temu firany zdejmowała do ponownego prania. Dopiero co wyczyszczone srebra czyściła od nowa. Po kilka razy odkurzała ten sam dywan. Z blatu stołu w jadalni po wielokroć ścierała białą szmatką nieistniejący kurz. To zlewała płynami do czyszczenia glazury w łazienkach, to je wycierała do sucha, polerowała do połysku i zaczynała całą czynność od początku.

— Hellen, błagam cię, przestań — mówił Will i wyjmował z ręki żony szmatkę. — Spójrz, tu już sprzątałaś dzisiaj z dziesięć razy.

Hellen kiwała głową, że tak, rozumie; po czym zaczynała sprzątać dokładnie w tym miejscu, w którym przerwał jej Will.

— Hellen, nie zjadłaś nawet kęsa grzanki przez cały dzień. Nie wypijaś łyka herbaty. Hellen, musisz jeść.

Nie jadła. Sprzątała.

Trzeciego dnia Will wezwał na pomoc Kathy Cassel.

— Skarbie, spójrz na mnie. To ja, twoja mama. Upiekłam dla ciebie kruche rogaliki... Dziecko, odezwij się! Wszystko będzie dobrze. Patrick wróci, kochanie... — powstrzymując płacz, mówiła pani Cassel.

Nawet imię synka nie spowodowało najmniejszej reakcji. Hellen sprzątała.

— Jezu, Will! Tylko spójrz, co się z nią dzieje. Zagłodzi się na śmierć, odwodni! Wychudła, szerniała na twarzy. Nikogo nie pozna-je. Zero kontaktu. Boże, zmiłuj się nad nami, moja córka oszalała. Will! Hellen potrzebuje pomocy psychiatry.

— Nie potrzebuje — odpowiedział. — Jeszcze nie teraz. Kathy, ja wierzę, że nasz syn się odnajdzie. I Hellen w to wierzy. Psychiatra to zły pomysł. W tym stanie zapakuje ją do szpitala, oszołomi pigułami. Tego nam nie wolno zrobić, ponieważ ona, kiedy Patrick się odnajdzie, musi być tutaj. W domu. Rozumiesz, Kathy? Ja również muszę być tutaj, bo tak jak Hellen, czekam na Patricka. I tak jak Hellen, dopóki nie zobaczę go martwego, będę czekał na nasze dziecko, mając ufność w Bogu, że ani nas, ani Patricka nie opuścił.

— Nawet nie ośmielaj się myśleć, że mój wnuk nie żyje! — krzyk-nęła Kathy.

— Więc dajmy Hellen spokój. Niech sprząta. Wiem, że to wygląda paranoicznie. Ale ona w taki sposób wypełnia czas. Czas oczekiwania. Zauważyłaś, gdzie Hellen sprząta przez większą część dnia? W salo-nie. A salon łączy się z tarasem. Przez okna salonu widać doskonale cały ogród. Jej się wydaje, że Patrick powróci w to samo miejsce, z którego od nas odszedł.

— Mamy nieudolną policję! — krzyknęła histerycznie Kathy. — Nie wierzę w żadnego porywacza! Patrick po prostu się oddalił, gdzieś tam sobie poszedł, zablądził i może teraz leży na czyjejs ozimynie, omdlały z głodu, z wycieńczenia! Jak to możliwe, żeby do tej pory policja nie natrafiła na najmniejszy po nim ślad? Przecież wiele kana-łów telewizyjnych emituje co kilka godzin jego zdjęcia! Naszego chłopczyka, ubranego w błękitną koszulkę, szare dżinsy, granatowe adidasy! A głos spikera mówi: „To ja, Patrick Barkins. Mam sześć lat. Jeżeli mnie widziałeś, proszę, zawiadom policję. Bardzo tęsknię za mamą i tatą. Pomóż mi”. — Kathy rzuciła się na Willa z pięściami. — Co z ciebie za ojciec? Jezu, Will, zadzwoń do gubernatora, do FBI, ratuj dziecko!

Hellen, nie zważając na matkę, zapamiętała czyściła dywanik przed fotelem. Potem zabrała się do mycia szyb. Will zamówił tak-sówkę. Odprowadził do niej slaniającą się teściową, powtarzając niczym mantrę jedno zdanie: „Patrick żyje. Patrick żyje. Patrick żyje”.

— Błagam cię, Panie, pomóż nam — powiedział Will, wracając do salonu, w którym Hellen wciąż myła szyby. I mnie pomóż, chociaż niegodnym twojej łaski, myślał, siadając obok telefonu, kładąc obok niego swoją komórkę. Niech on zadzwoni i okaże się zwykłym kidnap-erem. Nie moim upiornym głosem z przeszłości. Byle nie nim. Co ci zawinił mój synek? Moja żona? Skąd o niej jednak wiedziałeś, dzwoniąc do mnie do Tampico? Dlaczego kazałeś mi wziąć ślub akurat z Hellen Cassel? Zamieszkać w Nevadzie? Pracować w szpitalu w Cedar Falls? Co uknułeś przeciwko nam? I dlaczego? Nie. To nie ty. To zwy-
kły kidnaper.

Lecz telefony milczały. Kidnaper nie żądał okupu. Chrapliwy głos milczał. A Haig twierdził, że kidnaper jest stąd.

Stąd. Stąd.

Ktoś, kto nas zna. A my znamy jego. Chryste! Skoro nie dla okupu ani z zemsty, tym gorzej dla Patricka! W Nevadzie lub w jej okolicach mieszka psychopatyczny zabójca. Socjopaci przez wiele lat mogą zachowywać się normalnie. Zakładają rodziny. Są dobrymi mężami i ojcami. Do czasu gdy muszą zaspokoić swoje patologiczne skłonności. Czy to ty, głosie? Ale Haig i detektyw uporczywie twierdzą, że to zwy-
kły kidnaper. A jeśli się mylą? Albo nie chcą powiedzieć prawdy? Z litości. Oni już nie szukają Patricka. Wiedzą, że nie żyje. Szukają zwłok. Jeśli Patricka porwał ktoś stąd, chłopiec na pewno go znał. Mógł zginąć w kilka godzin po porwaniu. Nie, nie. To nie socjopata. Ani nikt, kogo Patrick znał. Patrick żyje.

— Boże — modlił się przez dni oczekiwania na dzwoniący od kidnapera telefon Will i tak jak pierwszego dnia Hellen, tak on teraz miewał omamy słuchowe. Słyszał przeraźliwe krzyki mordowanego Patricka, jego wołanie o pomoc, jego jęki, cichnące szlochanie. — Boże! Nie pozwól, aby moje dziecko cierpiało. Jeżeli już musiało umrzeć, wierzę, że dałeś mu śmierć łatwą, łagodną i bez strachu.

Lecz cieniutka niteczka nadziei nie zerwała się do końca.

— Dopóki nie znajdą ciała, nie ma dowodu, że nie żyje. Do tego

czasu oboje z Hellen będziemy wierzyć. I czekać — mówił. Ale, dodał zaraz w myślach, mogą nigdy nie znaleźć Patricka ani żywego, ani martwego. Wiele dzieci ginie bez śladu i zaledwie niewielką część zaginionych udaje się policji odszukać. Więc jak wyznaczyć tę granicę: dotąd czekamy, a odtąd już nie? Hellen długo nie wytrzyma. Nie je, milczy, sprząta. Już teraz kwalifikuje się na pacjentkę szpitala psychiatrycznego. A ja? Również pękniętą. Moje życie nabrało sensu z Hellen i dla Hellen. Moje życie dopełniło się uczuciem, jakiego nie znałem: miłością do syna. Syna, być może, straciłem na zawsze. Hellen tracę z dnia na dzień. Boże, jeżeli zamierzałeś mnie ukarać za mój dawny grzech, to powinieneś ukarać mnie i wyłącznie mnie. Dlaczego posłużyłeś się sześćioletnim chłopcem? A w czym Ci zawiniła moja żona? Która cieszyła się jak dziecko z każdego kwiatka, każdej trawki. Która nie potrafiła nikogo ani niczego skrzywdzić. Która kochała te drzewa przy jej ogrodzie i nie pozwoliła ich wyciąć, ponieważ w nich żyły gniazda ptaki. Roily się z larw kolorowe motyle.

— Boże, daj mi siłę przetrwania. Nawet umrzeć mi nie wolno.

Wysokie temperatury w dzień, brak przymrozków w nocy i ciepłe deszcze spowodowały istny wybuch wiosny. Wiotkie gałęzie brzoź wyglądały niczym delikatne, lekko drżące na wietrze wachlarze. W ogrodzie Hellen zakwitło morze różnobarwnych tulipanów, lecz ona zawzięcie sprzątała salon.

Trzynastego marca Hellen wstała o piątej rano. Nalała wodę do wiaderka, wzięła higroskopijną ściereczkę do mycia okien i udała się do salonu. Rozsunęła na bok zasłony i firanki. Ogród mienił się barwami tulipanów. Piasek w piaskownicy stał się złoty w błyskach słońca. Wiaderko wypadło z ręki Hellen.

— Synku? To ty? — odezwała się po raz pierwszy od dnia porwania. — Synku?

Bo Patrick wrócił.

Wrócił i siedział na brzegu piaskownicy. Spod niebieskiej czapeczki z daszkiem wymykały się jasne kędziory. W rękę trzymał łopatkę.

Zamknęła, a potem otworzyła oczy.

— Synku! Nie znikaj.

Nie znikał. Wydało się jej, że poruszył nogą obutą w granatowy adidas.

— Synku — powtarzała — synku.

Szarpnęła drzwiami, zbiegła z tarasu, gubiąc po drodze domowe pantofle, i już przy nim była, już go trzymała mocno w objęciach, całowała jego różowe policzki, różowe usteczka.

Dlaczego takie zimne?

Dlaczego takie różowe?

Dlaczego z rączki Patricka wypadła łopatką?

Przecież to ty, mój synek. W swojej czapeczce z daszkiem, dżinsowych spodenkach, granatowych adidasach.

Dlaczego się nie ruszasz?

Cały zimny.

Szarpnęła dzieckiem. Raz, drugi, trzeci. Z głowy Patricka spadła czapeczka.

Spojrzały na nią puste, namalowane niebieską farbą oczy.

— Nie, nie — powiedziała. — To ty. Mój synek.

Pogłaskała jego główkę, całą w złotych loczkach.

To były włosy jej synka. Jakże by mogła nie rozpoznać włosów własnego dziecka?

— Ja wiem. Czekasz tu na mnie od świtu. Zmarzłeś. Dlatego jesteś taki zimny. I taki nieruchomy. Zaraz cię mamusia ogrzeje.

Przygarnęła go do siebie. Usiłowała w jego usta tchnąć swój oddech.

Usta Patricka się nie otwierały.

Z jego głowy zsunął się wyschnięty skalp skóry pokrytej złotymi loczkami.

— Nie! Nie! — zawyła Hellen. Wsunęła rękę pod koszulkę. Napotkała zimny, twardy tułów, który nie poddawał się uciskowi.

Wyjąc, zrywała z Patricka ubranie. Chrupnęło i odłamała się ręka w przegubie. Nagi, pozbawiony ubrania tułów był jednakowo różowawy. Różowe, odlane z masy plastycznej policzki, różowe, uśmiechające się w jednakowo zastygłym grymasie usta, martwe niebieskie oczy. Na złotym piasku rozsypane złote loczki.

Nie wiedząc, że wyje i że jej wycie obudziło męża, który właśnie zbiega po schodach z tarasu, deptała nagimi stopami, kalecząc je do krwi, tułów Patricka, a kiedy Will dobiegł do niej, siedziała na brzegu piaskownicy, kołysząc w ramionach uśmiechającą się pokolorowanymi ustami nagą, łysą, różowawą głowę manekina.

8.

Collin Peters pił nie wiadomo którą z rzędu kawę. Jego wystająca w chudej szyi grdyka nieustannie drgała. Haiga prześladował obraz Hellen podśpiewującej kołysankę i tulącej do piersi głowę manekina, porzrucanych wokoło piaskownicy nóg, przedramion, dłoni, jednako różowych, wstrząsająco szyderczych, przerażająco okrutnych. Szczupłe ramiona Hellen jakby zakleszczone, jakby z żelaza, nie zamierzały głowy, która dla niej była głową syna, oddać nikomu; ani policji, ani pielęgniarzom z wezwanej karetki. Broniła jej zaciekle, wyjąc przejmującym, niepodobnym do ludzkiego głosem. Dopiero gdy powiedział: „Ludzie, zostawcie ją, nie odbierajcie jej dziecka”, Hellen zamilkła i spojrzała na niego pełnym wdzięczności, przytymnym chyba po raz ostatni wzrokiem. Ale zaraz jej oczy zamieniły się w dwie szklane, przezroczyste kulki. Tuląc swój policzek do różowego policzka manekina, nucąc kołysankę, poszła posłusznie do karetki. Poszarzały na twarzy Will nie bardzo rozumiał, co się do niego mówi. Karetka odjechała. Will zemdlął. Wspólnie z Petersem zanieśli go do salonu, ułożyli na kanapie. Tętno Willa było nitkowate. Na pewno potrzebował lekarza. Wezwano Marka Tracy'ego. Musiał być gdzieś w pobliżu, gdyż przyjechał po kilku minutach. Wyglądał fatalnie. Jakby przed chwilą kogoś bezskutecznie reanimował i sam potrzebował pomocy.

— Chryste, ulituj się nad nami grzesznymi — powiedział, pochylając się nad zwiotczalym ciałem Willa. Duże, upstrzone starczyimi, brązowymi plamami dłonie doktora drżały tak silnie, że z trudnością utrzymywały stetoskop. — Chryste, ulituj się nad nami grzesznymi — powtórzył. — Will, mój biedaku — dodał. — Dam ci zastrzyk. Ale to tylko chemia, przynosząca doraźną ulgę. Nic więcej dla ciebie nie mogę zrobić. Ani dla nikogo...

Mark Tracy wybiegł z salonu, płacząc.

Tragedia Barkinsów pogрузyła Nevadę w żalobie. Gubernator stanu przysłał na ręce burmistrza kondolencje. Przy każdym domu zawieszono żalobne flagi. Na Flowers Street mieszkańcy składali wiązanki kwiatów, zapalali znicze.

Nevadę zaatakował tłum żądnych sensacji dziennikarzy ze wszystkich stanów. Hotel Fleminga odmawiał im zakwaterowania. Ludzie zatraskiwali przed nimi drzwi. Obrzucali wyzwiskami. Niektórym paparazzi wybito szyby w samochodach. Rozbito kilka kamer telewizyjnych. Miejskowy dziennik, „Głos Nevady”, nazwał ich „krwiożerczymi padlinożercami”. Policja przyjmowała skargi poszkodowanych, doradzając jednak jak najszybsze opuszczenie miasta.

Stanowy prokurator, Edward Peters, doniesienia dziennikarzy w sprawie napaści odrzucił. Gubernator podtrzymał jego stanowisko na specjalnej konferencji prasowej.

— Powoływanie się mediów zainteresowanych zbrodnią w Nevadzie na Pierwszą Poprawkę Konstytucji jest bezzasadne. Owszem, gwarantuje ona obywatelom wolność słowa i prasy, lecz jednocześnie mówi, że nie można nikogo pociągnąć do odpowiedzialności karnej bez aktu oskarżenia, ustalonego na wniosek prokuratora. A taki wniosek prokurator odrzucił. Śledztwo poza tym zostało objęte klauzulą tajności. Kiedy zostanie odtajnione, policja udzieli wyczerpujących informacji.

Samochody wściekłych, wciąż odgrających się dziennikarzy opuściły Nevadę. Barkins nie wychodził za próg domu. Przygarbił się, osiwił, całe jego ciało drżało, usta wykrzywił nerwowy tik. Szpital przedłużył mu zwolnienie do trzech miesięcy. Kathy Cassel proponowała zięciowi pokój gościnny u siebie.

Nie chciał przeprowadzić się do teściów.

— On wróci — powtarzał każdemu, kto go odwiedzał. — Ten manekin świadczy, że Patrick żyje. To jest wiadomość od porywacza. Bardzo dobra wiadomość. Mówiąca: masz czekać cierpliwie na powrót swego syna. Więc nie wciskajcie mi kitu o skalpie. To nie był skalp Patricka. Patrick miał bardziej złote włosy. I bardziej kręcone. Odczepcie się ode mnie. Nie rozpraszać mojej uwagi. Ja czekam na syna. Gdy wróci, pojedę z nim do Hellen i Hellen odzyska zmysły. Znowu będziemy najszczęśliwszą rodziną w całym stanie.

Policja na nowo przeczesala każdy skrawek ziemi w ogrodzie. Oprawca pozostawił znowu jedynie ślady wielkich buciorów. Prowadziły

z brzezinki do piaskownicy. Następnie od piaskownicy do brzezinki. Zdjęcia w podczerwieni ujawniły ślady butów na wąskim chodniku. Ślady kończyły się przy krawężniku i jakby wyparowywały. A ponieważ nie mogły ot, tak sobie, wyparować, nasuwał się jedyny logiczny wniosek, że kierowca wszedł do samochodu i odjechał. Zdjęto wszystkie ślady opon przy obu chodnikach Short Street. Należały, jak przypuszczano, do licznych znajomych Miltonów. Przesłuchano ich ponownie, sprawdzono w każdym wozie każde ziarenko piasku, najdrobniejszy fragmencik liści, psiej sierści, szczątków biologicznych owadów. Bez rezultatów. Zero podejrzanych. Wszyscy czysti. Łącznie z Miltonami. Nikt z licznej rodziny Miltonów nie zauważył obcego samochodu parkującego naprzeciwko ich domów o świcie w dniu trzynastego marca. Wszyscy o tej porze spali.

— Przecież Jonathan, szeryfie, o którego bez przerwy wypytyujesz — oświadczyła ze złością Ruth, odpowiadając na podejrzliwe pytania Haiga — wyjechał wraz z żoną i synem następnego dnia po zaginięciu Patricka. Tak mocno przeżył dramat Hellen, że nie nadawał się do pracy, więc w banku go nie szukaj; wziął dwutygodniowy urlop. Za to codziennie bombarduje nas esemesami z Des Moines, pytając o losy tego nieszczęsnego dziecka. Możesz to sam sprawdzić, Stan. Nie tylko treść, lecz dzień i czas nadania. Pierwszy esemes wysłał, zanim jeszcze dojechał do Des Moines. Jon, daj swoją komórkę.

Zgadzało się. Od ósmego marca pamięć komórki Jona zanotowała dokładnie dwadzieścia dwa esemesy z powtarzającymi się pytaniami: „Tato! Co z Patrickiem? Policja go znalazła? Odpisz natychmiast! Czekam! Wariuję z niepokoju!”.

— Masz jeszcze jakieś pytania dotyczące naszego syna? — zapytała Ruth. Złożyła ręce jak do modlitwy. — Stan, Jonathan jeszcze nic nie wie. Proszę, proszę, nawet błagam, zostawcie to nam. Sami go o tym zawiadomimy. Chryste, Stan, kto mógł dokonać takiej potworności? Żałuję, że w naszym stanie zniesiono karę śmierci. Ten socjopata zasługuje na komorę gazową. W Bogu cała nadzieja, że go szybko znajdziecie!

Jednak nie zapowiadało się na szybkie wykrycie mordercy chłopca. Odcisków palców nie było ani na ubraniu Patricka, ani na plastikowej kukle. Za to w prawej kieszonce przy spodniach tkwiła kartka. Zwykła kartka w kratkę, wyrwana ze zwykłego, standardowego zeszytu w kratkę. Zwykłym ołówkiem firmy Hardmud kierowca napisał

drukowanymi literami: WSZYSCY.

Co miała oznaczać kartka ze słowem WSZYSCY? Ostrzeżenie? Przestrożę? Początek zdania? Skoro je zaczął, dlaczego nie dokończył?

WSZYSCY

WSZYSCY brzmiało groźnie.

Jakby zapowiadało ciąg dalszy.

Ani Haig, ani Peters nie potrafili zinterpretować, co słowem WSZYSCY zamierzał przekazać morderca.

Patolog sądowy, doktor Martin Edens, uznał, że skalp z głowy dziecka wycięto najprawdopodobniej skalpelem, ponieważ skóra nie została nigdzie postrzępiona czy rozerwana. Cięcie profesjonalisty, który korzystał również z nożyka chirurgicznego. Nożyk chirurgiczny był niezbędny do dokładnego usunięcia wszelkich tkanek miękkich. Pytany, czy oprawca ściągał skalp post mortem, zdenerwował się.

— Wasz facet zna się na anatomii i z precyzją doskonałego chirurga potrafi posługiwać się narzędziami chirurgicznymi. Wasz facet także doskonale orientuje się w kryminalistyce! Nieobce mu są wiadomości z zakresu różnych metod, na podstawie których określa się czas zgonu. Dlatego usunął tak dokładnie wszelkie tkanki miękkie ze skóry, żeby badania interletalne okazały się nieprzydatne, właściwie wręcz niemożliwe do wykonania. Na czym miałem je przeprowadzać? Na wysuszonym skalpie? Wasz facet, żeby uniemożliwić te badania, przechowywał skalp w szczelnym, wysterylizowanym naczyniu bez dopływu powietrza. W ten sposób wykluczył również zastosowanie metody entomologicznej! Na skalpie nie żerowały owady, larwy czy roztocza. Skóra nie uległa procesowi gnilnemu. Skalp jest idealnie wysuszony i wyjałowiony, co oznacza, iż gość musiał mieć doskonale przygotowane miejsce do przeprowadzenia podobnego zabiegu, sterylne czyste; odpowiednie narzędzia, jakieś pieprzone laboratorium, cholera. Wasz facet to wysokiej klasy profesjonalista; jakby połączenie supergliniarza z superchirurgiem! Kurwa, nie wiem, czy post mortem! Od porwania dzieciaka do podrzucenia manekina minęło równo sześć pieprzonych dni. Miejmy w Bogu nadzieję, że wcześniej zabił dziecko, a dopiero potem je oskalpował. Jasna cholera! Dajcie mi spokój! Dajcie mi choćby jego palec, to wam i sobie odpowiem, czy post mortem! Nie mogę spać, jeść, wciąż myślę o tym dzieciaku! Czy post mortem?

Kurwa, przestańcie się opierdalać! Co wy tam robicie w tej policji? Czekacie na kolejne skalpy kolejnych dzieciaków? Jeśli nie przy-skrzycicie szybko zbrodźca, będą następne!

WSZYSCY

To słowo porażało strachem.

I poczuciem bezsilności.

Nadal nie mieli nic na faceta.

Część włosów z przesuszonego skalpu Patricka wypadła, lecz oprawca przykleił je do skóry klejem. W laboratorium ustalono rodzaj kleju. Był to klej cyjanoakrylowy, stosowany między innymi do klejenia tworzyw sztucznych, takich z jakich są produkowane manekiny reklamujące po sklepach ubrania kobiece czy dziecięce. Wszystko świadczyło o tym, że oprawcy nie zależało na dokładnym przyklejeniu skalpu. Kępki włosów umieścił punktowo w trzech miejscach u podstawy głowy manekina, resztę skalpu przytrzymała czapeczka chłopca. On chciał, aby skalp odpadł podczas zdejmowania czapki lub w trakcie uścisków oszalałej z radości matki.

Kleje cyjanoakrylowe produkowała ponad setka firm. Powszechnie używane kleje są do kupienia w każdym chemicznym sklepie i w działach chemicznych supermarketów na terenie całego kraju.

Inaczej mówiąc: szukaj wiatru w polu.

Badania w ultrafiolecie punktów po klejeniu wykazały jedynie obecność pyłków kurzu oraz kilkunastu jasnych włosków, należących do Patricka, co potwierdziło DNA.

Manekin, jakim się posłużył porywacz, został złożony z kilku różnych części.

Sklepy odzieżowe po prostu wyrzucają uszkodzone manekiny do pojemników ze śmieciami. Każda część manekina udającego Patricka — ręce, nogi, tułów, głowa — były wykonane z innej masy plastycznej, miały liczne pęknięcia, mechaniczne uszkodzenia. Policji udało się zlokalizować na podstawie resztek biologicznych dwa składowiska śmieci. Jedno w pobliżu Cedar Falls. Drugie — w odległym, położonym nad Missisipi Davenport.

Peters wezwał posiłki z policji stanowej. Przewalono oba składowiska, szukając śladów buciorów, wykonano setki odlewów przeróżnych opon przeróżnych marek samochodów, sprawdzono alibi wszystkich ich właścicieli, przepytano dozorców, okolicznych

mieszkańców; wykonano tytaniczną wprost pracę — bez efektów.

Morderca jakby przewidział wszystko. Manekin, podobnie jak klej, okazał się beużytecznym dowodem.

Kanciapa i hala policyjna tonęły w stosach beużytecznych raportów.

— Chryste, Peters! — odezwał się Haig. — A jeśli on znowu zabije?

Peters nie odpowiedział. Napełnił kubek kolejną kawą. Upił łyk. Wykrzywił się, jakby połknął ocet. Podszedł do okna. — Dziwne...

— Co cię dziwi, do diabła?!

— Ulica... Taka normalna... Ludzie na chodniku... Słońce... Zielona trawa...

— Odbija ci?

— Stan. Boję się.

— Ja również. Bardzo. Mam synka. Myślę Patrick, a widzę swego Stevena. Peters. Nie wolno nam się poddać.

— Wcale nie zamierzam się poddawać. Jestem zmęczony, fakt. Ale przede wszystkim jestem wściekły! Poddawać się, Stan? Nigdy. Ja muszę zobaczyć twarz tego faceta. Zajrzeć mu w oczy. W ciągu piętnastu lat pracy tropiłem seryjnych morderców, gwałcicieli dziewczynek, zboczonych świrów. Dopóki nie dopadłem drania, dręczyły mnie senne koszmary. Kończyły się w momencie, gdy zajrzałem mu w oczy. Z twarzy niby człowiek. Czasami nawet to była zaskakująco zwyczajna, pospolita twarz. Czasami nawet sympatyczna. Bez tak zwanego piętna. Ale oczy? Oczy każdego z nich wywoływały dreszcz przerażenia. Samo zło. To nie człowiek. To tylko i wyłącznie zło. Więc oddychałem z ulgą. Że to jednak nie człowiek. Rozumiesz?

— Ten również jest samym złem — odpowiedział Haig. Zaciśnął swoje wielkie dłonie w pięści. — Nie zobaczysz w jego oczach nic ludzkiego. Potwór, który gdzieś przyczał się w pobliżu. Czeka. Czeka, aby znowu zabić. My natomiast niczym ślepcy błądzimy po omacku. W Nevadzie mieszka, poza chirurgiem Williamem Barkinsem, doktorem Tracym, dwoma stomatologami i weterynarzem Keyem, jeszcze czterech lekarzy: pediatra, ortopeda, neurolog i ginekolog. Barkins jest ofiarą, jego skreślamy. Doktor Mark ma siedemdziesiąt pięć lat i jest chudym, niskim facecikiem, też go skreślamy. Weterynarz Key

miał pod koniec lutego wypadek i dotąd leży na ortopedii w szpitalu stanowym. Jeden stomatolog, Joan Lewis, to młoda kobieta, a drugi od roku jest za granicą. Neurolog, Henry Crows, ma endoprotezę w biodrze. Ortopeda na miesięcznym urlopie grzeje tyłek na Hawajach. Pediatria ma metr sześćdziesiąt w kapeluszu! Ginekolog jest kobietą! W Nevadzie mieszka też sześć pielęgniarek, dwie położne i żadna z nich, jak Boga kocham, nie jest facetem o wzroście około sześciu stóp i posturze Schwarzeneggera! Tylko czekać, jak wtrąci się FBI i odbierze nam sprawę.

— FBI nie przyjedzie. Zapomniałeś, że mam brata waźniaka? Zawarłem z nim układ. W końcu coś mi się należy za bzykanie mojej żony. — Peters znowu wykrzywił się, jakby wypił ocet. — Nasze drep-tanie w miejscu wynika z fałszywej przesłanki. Morderca nie jest stąd, chociaż zna Barkinsów. Morderca nie porwał dzieciaka dla okupu. Tak, to zemsta, Stan. Na Hellen albo na jej mężu. — Peters spojrział na Haiga z przenikliwością sępa. — Przyznaj się, że już wcześniej sądziłeś podobnie. Nie wspomniałeś mi o tym w obawie, że uznam cię za paranoicznego dupka. Dobrze gadam?

— Dobrze, ale nie do końca dobrze — przyznał Haig. — Brałem pod uwagę ewentualny motyw zemsty, ale odrzuciłem go jako zupełnie nieprawdopodobny, bo komu Hellen lub Will mogliby narazić się do tego stopnia? W kim wywołać aż taką socjopatyczną nienawiść? Natomiast z uporem osła będę się upierał, że on jest stąd.

— Rzeczywiście upór godny osła! Nie ma takiej rodziny w Nevadzie, której nasi chłopcy nie wymaglowaliby na wszelkie możliwe okoliczności. Nie ma. Koniec. Kropka. Skoro nie ma, należy rozszerzyć zakres poszukiwań. Przenicować Cedar Falls oraz Davenport. Dokładnie tak, jak przenicowaliśmy Nevadę z okolicznymi farmerami. To jeden kierunek naszych aktualnych działań. Drugi — cofnąć się w czasie. Hellen kończyła college w Cedar Falls. Może tam komuś się naraziła? Piękna dziewczyna, wielu odrzuconych adoratorów, zazdrosnych koleżanek... Jakiś molestujący ją wciąż student lub wykładowca...

— To głupie — mruknął Haig. — Idiotyczne.

— Wiem. Ale ze swego doświadczenia wiem również, że w takim człowieku uraza może przyjąć postać obsesji. Obsesja może zamienić się w patologię. Nie wolno nam lekceważyć przeszłości Hellen. Ani jej męża. Trzeba wyjść poza Nevadę, Haig. Bo tu, na miejscu będziemy

się nieustannie natykać na same ślepe uliczki.

Haig spojrział na stopy bezużytecznych raportów. A jeśli Peters ma rację? Te raporty na to wskazują. Nie stąd. Obcy. Nikt z tych, których zna. Dlaczego więc zamiast ulgi, czuje w sobie jeszcze silniejszy niepokój? Sądzi, że jednak coś przeoczyli?

— Niech ci będzie. Za mną nie stoi piętnastoletnie doświadczenie. W ogóle nie mam doświadczenia. Założmy, że się pomyliłem... — przyznał Haig. Przymknął oczy. Był, podobnie jak Peters, wykończony. Ostatnie dni wykończyły zresztą wszystkich gliniarzy. Narady ciągnęły się do późnych godzin nocnych. Kiedy wreszcie rozchodzili się do domów, żaden z nich nie zaznawał spokoju w krótkim śnie. Haiga nie opuszczał widok Hellen, tulącej do siebie głowę manekina, nucącej kołysankę.

— Hej, koleś! Przestań o tym myśleć. Bo sam trafisz jak Hellen do wariatkowa.

— A tobie się udaje o tym nie myśleć?

— Przynajmniej się staram.

— Łykając garściami clonozepam i pijąc litrami kawę!

— Clonozepam odmóżdza, dupku! Przyjmuję nitrozepam. Działa nasennie i równocześnie rozładowuje napięcie.

— Jeden czort — mruknął Haig. — A co do Hellen... To porządna dziewczyna z porządnej, wrośniętej od pokoleń w Nevadę rodziny. Skupmy się na jej mężu.

— Bo obcy element? — Peters zdobył się na krzywy uśmiech.

— Nie. Ponieważ mało o nim wiemy.

— Mieszka w Nevadzie od ślubu z Hellen. Przez dziesięć lat nie zdążyliście go poznać?

— A jeśli poznaliśmy go tylko na tyle, na ile on sam nam pozwolił?

— Twierdziłeś dotąd, że to porządny gość. Wszyscy mu tu wystawiają podobnie chwalebne świadectwa. Łącznie z personelem szpitala w Cedar Falls.

— Chryste, to ty chcesz sięgać dalej i głębiej! Robisz sobie ze mnie jaja? Znowu zgrywasz pieprzonego ważniaka ze stanowej? — wybuchnął Haig. — Mnie nie zależy jak tobie na odzyskaniu marki superdetektywa!

— To nie było fair — zauważył Peters. — Pytałem o Barkinsa, bo nie rozumiem, czemu z taką pewnością siebie chronisz Hellen,

natomiast z chęcią pogrzebiesz w przeszłości jej dotąd idealnego męża?

— Wcale nie z chęcią! Istnieje jednak pewna luka dotycząca Willa. Jego pacjenci. Ci, którzy zmarli mu na stole operacyjnym albo w wyniku pooperacyjnych powikłań. Albo w wyniku komplikacji doznałi trwałych urazów czy okaleczeń. Ze szczególnym uwzględnieniem tych, którym Will operował dzieci.

— Gdyby Barkins spartolił kiedykolwiek jakąkolwiek operację, popełnił poważny błąd w sztuce, szpital natychmiast zwolniłby go. Rodzinie poszkodowanego sąd przyznałby milionowe odszkodowanie. Barkinsem zajęłyby się media. Takiego zdarzenia nie dałoby się zamieść pod dywan.

— Racja. Jednak Barkins mógł zatuszować sprawę. Opłacając poszkodowaną rodzinę z własnych funduszy. To był bogaty gościu, Peters.

— Był?

— Kiedy powiedziałem Willowi, że musi się liczyć z ewentualnością zapłacenia okupu, bardzo się zmieszał. Tłumaczył, że dla okupu nikt nie porwałby jego dziecka, ponieważ każdy w Nevadzie wie, iż on nie posiada żadnego majątku, utrzymuje rodzinę ze swojej pensji, dom kupił na raty, nawet go nie stać na nową brykę i dlatego wciąż jeździ piętnastoletnim bmw, zaś na koncie brak nawet jednego dolara oszczędności. Wszystko się niby zgadza. I ten dom na raty, i stary rżęch, i nawet to konto w naszym banku, bo je sprawdziłem. Ale może mieć gdzieś drugie, skrzętnie skrywane, którego ze znanych sobie przyczyn nie zamierza ujawniać. Poza tym, jeśli zabraknie mu kasy, od czego dziany tatuś? Więc dlaczego Will tak się przejął okupem? Teraz myślę tak: porwanie sześciolatka to zemsta jakiegoś rodzica za swoje zmarłe lub okaleczone dziecko. Will zapłacił mu za milczenie. Sądził, że jest kryty...

— Czekaj, Haig, ale się rozpędziłeś! Powoli, bo nie rozumiem: Barkins, żeniąc się z Hellen, miał kasę, tak? W takim razie dlaczego wciąż jeździ starym bmw? I kupił dom na raty?

— Taka zmyłka. Nie zamierzał się wyróżniać spośród mieszkańców Nevady. U nas nie ma synów milionerów. Co bardzo się zresztą ludziom spodobało. Patrzcie: oto syn milionera, ale się nie wywyższa, nawet na piwo wpada do pubu Jacka, każdemu ściska rękę, klepie przyjacielsko po plecach, każe mówić do siebie po imieniu. Równy

gość. No i ożenił się z naszą Hellen. Ta dopiero w czepku urodzona, mówiono powszechnie.

Peters podrapał się po rzadkiej bródce.

— Mówiąc wprost: zmyłka z premedytacją, lecz według mnie tak głupawa, że warta zastanowienia. Dobra. Zmyłkę na razie odstawiamy do kąta. Twoja wersja: spartolił robotę. Jakiś dzieciak umarł mu podczas operacji. Tatuś dzieciaka postanowił Barkinsa szantażować. Zażądał kasy. Barkins opłacał mu się z tego drugiego konta... Ale tatusiowi odbiło. Taka nagła miłość do straconego synka... Więc porywa i zabija z zemsty Patricka... Stan, to piramidalna bzdura. Oczywiście, do sprawdzenia. Oczywiście, trzeba prześledzić wszystkie nieudane operacje Barkinsa; odnaleźć, o ile je posiada, to drugie, tajemnicze konto... Hm... Stan, powiedz mi o ślubie Hellen.

Tłum gości? Fajerwerki? Stary Willa, Philip Barkins z żoną podjeżdżający limuzyną? Prezent od teściów dla synowej: kolia czy bransoleta za kilkanaście tysięcy dolarów? Ależ to niesamowite wydarzenie, takie wesele z udziałem milionera!

Haig należał do nielicznych gości zaproszonych na ślub Hellen. Nevada oczekiwała hucznych uroczystości, fajerwerków, orkiestry. W końcu Casselowie wydawali za mąż jedynaczkę, a wydawali nie za byle kogo! Za syna słynnego chirurga, gościa z milionami dolców na koncie. Tymczasem pastor odczytał w kościele po mszy list pary młodej, w którym oświadczyli, że ich pragnieniem jest ślub kameralny i serdecznie proszą wszystkich mieszkańców o uszanowanie tej decyzji.

Daty uroczystości nie dało się jednak utrzymać w tajemnicy. Tłumy ciekawskich zapełniły kościół. Ci, dla których zabrakło tam miejsca, zgromadzili się na ulicy. Hellen w koronkowej sukni wyglądała zjawiskowo pięknie. William Barkins — przystojny, ciemnowłosy, niebieskooki; wpatrzony w nią jak w obraz. Ceremonia ślubna się odwlekała. Zdenerwowany Will wciąż czekał na swego ojca. Prosił pastora o cierpliwość.

— Mam informację, że nad lotniskiem w Cedar Falls panuje gęsta mgła. Hellen, wybacz! Musimy poczekać na tatę! Na lotnisku czeka na niego wynajęta limuzyna! Żeby tylko wylądował bezpiecznie! Z Cedar Falls dojedzie do nas w dwadzieścia minut!

Po godzinie nerwowego czekania Will otrzymał z samolotu telefon. Jego ojciec dostał arytmii. Od dawna miał kłopoty z sercem. Samolot nie wylądował w Cedar Falls, zawrócił pospiesznie do Los Angeles.

Pastor równie pospiesznie udzielił ślubu. Casselowie, młoda para, nieliczni zaproszeni goście jeszcze szybciej odjechali spod kościoła do domu panny młodej. Przyjęcie trwało krótko. Każdy współczuł Wilłowi.

— Aha — skwitował opowieść Haiga Peters. — Niczego nie opuściłeś? Na przykład depeszy gratulacyjnej od tatuśka, wysłanej na pociechę młodożeńcom też z samolotu?

— Rzeczywiście! Była taka! Przyjechał z nią kurier, gdy siadaliśmy do stołu.

— Tatuś milioner wysilił się jedynie na depeszę? Może jednak tatuś milioner przysłał synowej kwiaty? Plus prezent? Kolię za dwadzieścia tysięcy dolców? Chociaż perfumy? Albo dezodorant?

— Kpisz sobie? — oburzył się Haig. — Hellen dostała ciężkiej migreny. Płakała. A Will? Will wyglądał jak z krzyża zdjęty!

— Odpowiedz — z nagłą surowością w głosie powiedział Peters.

— Nie rozumiem...

— Nie szkodzi. Zaraz zrozumiesz. Były kwiaty od teścia?

— Były. Olbrzymi bukiet błękitnych róż. Wtedy właśnie Hellen się rozpłakała.

— A prezent?

— Cholera, odczep się. Nie pamiętam!

— Dobra. Pamiętasz chociaż, skąd był kurier?

— Z firmy kurierskiej w Nevadzie!

— Tak przypuszczałem — mruknął Peters. — Reasumując: kameeralny, cichy, nieudany ślub. Tatuś nie dolatuje, ponieważ nagle zakłuło go serduszko. Z samolotu przesyła nowożeńcom depeszę gratulacyjną. Bardzo uprzejmy tatuś. Nie zapomina o bukiecie błękitnych róż dla panny młodej. Chociaż zapomina o prezencie. No tak, prezent wiozł ze sobą. Nie mógł go spuścić na sznurku wprost do kurierskiej firmy w Nevadzie. Powiedz mi, Stan, ojciec Williama jest naprawdę takim przystojnym macho? Bo pamiętam Philipa Barkinsa z jakiegoś telewizyjnego wywiadu. No i kilka razy kolorowe pisma zamieszczały z nim wywiady. Trudno uwierzyć, że to gościu po siedemdziesiątce. Mógłby grać amanta w filmach.

— Nigdy go nie oglądałem na oczy. Nikt go tu nigdy nie widział... Cholera, Peters! — wykrzyknął Haig. — Zaczynam łapać, o co ci chodzi, ale to raczej niemożliwe.

— Sam powiedziałeś: „raczej”. Nie dziwi cię, że tatuś milioner ani razu nie pokazał swojej buźki, odwiedzając syneczka i synową? Nawet w czapce niewidce nie udałoby mu się ukryć swego pobytu we wszystko wiedzącej Nevadzie. Wnuczek też go nie zainteresował? A może to Hellen z mężem i Patrickiem odwiedzali w Los Angeles tatuśka milionera?

— Obawiam się, że nie... — odparł Haig. Ścisnął skronie. — Nie. Nigdy nie opuszczali Nevady.

— Jedziemy, koleś. Najpierw do rodziców Hellen. — Peters wstał. Oczy mu błyszczały jak drapieżnikowi, który zwęszył trop.

9.

Dom Casselów połyskiwał w słońcu nieskazitelną bielą ścian, lśnieniem szyb i intensywną czerwienią zwisających ze skrzynek wczesnych pelargonii. Otoczony niewysokim płotkiem z pomalowanych na biało desek, przy którym rozrastały się bujne krzewy pienych róż, już obsypane drobnymi listkami, sprawiał sielskie wrażenie, wydając się oazą ładu i spokoju, zakłóconą tylko warkotem kosiarki: to Gordon Cassel kosił przed domem rozległy trawnik. Miał na głowie mocno sfilcowany kapelusz z dużym rondem, zakrywającym pół twarzy. Rękawy kraciastej bawełnianej koszuli zawinięte do łokci odsłaniały silne, żylaste przeguby.

— Kathy odkurza salon! — zawołał, nie przerywając pracy.

Przestronny hol, z którego drewniane schody prowadziły do pokoi gościnnych, pachniał lawendą. Hellen kochała wszystko, co kwitnie. Jej matka — róże zaledwie tolerowała, na pelargonie patrzyła krzywym okiem, a cały ogród obsadziła krzewami lawendy o fioletowych kwiatach i oszałamiającym zapachu. Nie pozwalała zmarnować się ani jednej kwitnącej gałązce. Ich zasuszone bukiety rozwieszała na ścianach pokoi i ustawiała w wazonach. Co roku wymieniała je na nowe. Dlatego w Nevadzie Kathy Cassel nazywano żartobliwie Suszszą Lawendą.

Mój Boże, pomyślał Haig ze ściśniętym gardłem, otwierając drzwi do salonu. Tyle się na nią zważyło nieszczęść. A teraz my. Ze swoimi podejrzeniami zaczniemy rozdrapywać świeże rany. Wybacz, Kathy. Wybacz, Gordonie.

Kathy z upiętym kokiem posiwiałyh włosów, w bawełnianej szarej spódnicy i czarnej bluzce jakby nie zauważyła wejścia mężczyzn. Głowę trzymała nisko pochyloną. Wychudzone ponad miarę plecy drżały.

Podszedł do niej, wyłączył odkurzacz.

— Kathy, to ja. Stan Haig.

Nie chciał, aby obcy dla Kathy Peters zobaczył, że ona płacze. Objął ją ramieniem, przytulił. Usłyszał łomot jej serca. Najchętniej uciekłby nie tylko z tego naznaczonego piętnem rozpaczy domu, lecz w ogóle stąd. Zabrał Stevena, wyjechał z nim jak najdalej od Nevady, od tej nagle złowrogiej Nevady, w której grasuje szaleniec. I oby Peters się mylił, nachodząc dom Casselów. Chryste, spraw, żeby się mylił!

— Dziękuję — usłyszał szept Kathy.

Szybko wytarła oczy i policzki. Wyprostowała się.

— Jak się masz, Stan? Witam pana, detektywie — odezwała się opanowanym głosem. — Czym mogę służyć? Bo jeśli chodzi o Hellen, jej stan jest bez zmian.

Wiedzieli, jaki jest stan Hellen. Wciąż nie pozwalała sobie odebrać głowy manekina. Karmiono ją sondą. Trwała w stanie, który psychiatra nazywał stuporem.

— Kathy, my do ciebie. O ile znajdziesz dla nas trochę czasu — powiedział Haig. — Bo możemy przyjść później.

— Nie musicie. Teraz mam mnóstwo czasu. O wiele za dużo czasu. Ale jak widzisz, Stan, trzymam się. Oboje z Gordonem się trzymamy. Nie zmieniliśmy nawet rozkładu dnia. Wstajemy jak zawsze o tej samej godzinie. Punkt szósta. Bierzymy prysznic. Ubieramy się. Gordon o wpół do siódmej udaje się do sklepu po świeże pieczywo i śmietankę do herbaty. Ja gotuję mu płatki owsiane. Gordon ostatnio z niewiadomych przyczyn choruje na żołądek. Mark Tracy zalecił ścisłą dietę. Pociesza, że ta chwilowa dolegliwość minie... Potem Gordon wraca, myje ręce, ja nakrywam do stołu, jak zawsze w kuchni... Potem...

— Pani Cassel — przerwał Peters. Też sprawiał wrażenie człowieka, który najchętniej znalazłby się kilkanaście przecznic od domu Casselów. Małe, zbyt blisko nosa osadzone oczy patrzyły na Kathy ze smutkiem i nie był to smutek udawany. — Proszę raz jeszcze przyjąć wyrazy najgłębszego współczucia.

Otarła dłonie o spódnice. Milczała.

— Taki nasz wredny zawód, pani Cassel. Musimy jednak zadać kilka pytań.

— Odpowiem na każde. Usiądźcie, proszę. Zaraz zaparzę kawę. Przepraszam was na chwilę.

Gdy wyszła, Peters wyjął chustkę i otarł pot z czoła.

— O Boże, koleś — zasapał. — Ruth Milton ma rację. Nie powinno się likwidować kary śmierci. Socjopaci nie zasługują na litość. Takich jak nasz należy eliminować ze społeczeństwa. Ta nieszczęsna kobieta to żywy trup. Ona pęka, Haig. Pęknie ostatecznie, jeśli Hellen umrze.

Warcząca za oknami kosiarka ucichła. Widocznie Kathy powiedziała mężowi, że hałas będzie przeszkadzać w rozmowie.

— Cokolwiek złego zrobił w przeszłości Barkins, poniósł karę najstraszliwszą z możliwych — jęknął Haig. — Pamiętaj o tym, Peters.

— Ale kary nie poniósł zabójca jego syna. Też wolałbym, żeby Barkins okazał się kryształowo czysty. Koniec tematu, miłosierny glino. A gadać z Kathy nie musisz. Siedz na tyłku i słuchaj.

Skrzypnęły drzwi. Kathy wniosła na tacy dzbanek z kawą, cukier, śmietankę, ciasteczka. Z serwantki wyjęła filiżanki, talerzyki. Poruszała się wolno, jakby każdy ruch sprawiał jej ból. Peters się nie mylił. Kathy Cassel trzyma się dotąd wyłącznie dzięki nadziei. Czeka. Na telefon ze szpitala. Że jej jedyna córka wróci do żywych. Że przytuli ją do siebie. Odgarnie włosy z czoła. Poczuje ciepło ciała swego dziecka. Zobaczy błękit oczu. Że razem będą rozpaczać i razem się pocieszać.

Łaskawy Boże, spraw, niech się doczeka, pomyślał Haig, wstrzymując niemęskie łzy.

Naląła im kawę. Podsunęła ciasteczka.

— Rano je upiekłam. Zawsze rano piekę ciasteczka. Dwie brytfanki. Potem Gordon zawozi je Patrickowi i Hellen. Patrick przepada za moimi ciasteczkami. Zawsze mówi, że mamusia takich rozpływających się w ustach pyszności nie potrafi upiec. Tylko ty, babciu, mówi Patrick...

— Pani Cassel — przerwał Peters z udręką w głosie. — Chciałbym obejrzeć zdjęcia córki ze ślubu.

— Mogą być i zdjęcia. Czemu by nie? Hellen wyszła na nich przepięknie. Nadal jest piękna. Nic się nie zmieniła...

— Pani Cassel, nie wątpię, że Hellen jest wciąż piękna. — Peters spojrział na Haiga, jakby u niego szukając pomocy. — A ciasteczka naprawdę pyszne.

— Kathy, pokaż nam te zdjęcia — poprosił Haig. Chciał stąd wyjść. Zaraz. Natychmiast. Dusił się.

— Trochę są zniszczone, Stan. Trzymamy je w sypialni. Oglądamy z Gordonem codziennie, odkąd Hellen....

— Kathy, na litość boską, przynieś je!

Wyszła i długo nie wracała. Siedzieli, milcząc, nie patrząc na siebie. Za oknami znowu rozszalała się kosiarka. Tak lepiej. Cisza była nie do zniesienia. Ta cisza tutaj krzyczała głosem oszalałej Hellen. I tłumionym krzykiem Kathy.

Kathy zjawiała się po piętnastu minutach. Położyła na stole kilka kolorowych zdjęć w rozmiarach pocztówki.

Pięć zdjęć.

Dlaczego zaledwie pięć?

Na wszystkich uśmiechnięta Hellen. Przymierza koronkową suknię przed lustrem. Wpina pęk róży we włosy. Tańczy z matką. Całuje w policzek ojca.

Na każdym — tylko szczęśliwa Hellen. Z dnia ślubu, lecz jeszcze przed ślubem, w domu.

— Kathy, a gdzie reszta? Z kościoła. Z przyjęcia. Pamiętam, że Gordon bezustannie robił zdjęcia. Mnóstwo zdjęć. Waszych, a przede wszystkim Hellen z Willem? — zdumiał się Haig.

— Hellen zabrała. Do swego albumu.

— Pani Cassel. Hellen? Czy William? — zapytał Peters.

— Hellen. Być może na prośbę Willa. Nie wiem zresztą. W każdym razie zabrała. Mnie i mężowi te wystarczą — Kathy wzruszyła ramionami.

— Nie lubi pani swego zięcia?

Znowu ten niechętny ruch chudych ramion.

— Hellen go kochała. Will był dobrym mężem, troskliwym ojcem.

— Pytałem o pani stosunek do zięcia. To ważne.

— To bez znaczenia, detektywie. Mnie wystarczyło szczęście mojej córki. William robił wszystko, czego tylko Hellen sobie zażyczyła. Gdyby kazała mu skoczyć z dachu, to by skoczył — powiedziała Kathy jakby z żalem, że Hellen nie kazała mu tego zrobić. — Ślub był nieudany. Ty, Stan, doskonale wiesz, dlaczego i przez kogo. Powiedziałam zięciowi prosto w oczy, co sądzę o jego sławnym ojcu!

— Co pani powiedziała?

— Że powinien się za niego wstydzić.

— Jak zareagował na te słowa zięć?

— Usprawiedliwił ojca. Chory na serce, długi lot, mgła na lotnisku, więc zasłabł i temu podobne. Hellen dała się nabrać. Ja nie. Od początku intuicyjnie wyczuwałam, że sławny doktor jest przeciwny temu małżeństwu. Will przyjechał za Hellen wprost z Cedar Falls.

Ich tak zwane narzeczeństwo trwało krótko. Ślub po trzech tygodniach znajomości. Sama błagałam córkę, żeby to tempo zwolniła! Czy można poznać kogoś przez trzy tygodnie? Dowiedzieć się, jakim jest człowiekiem? Owszem, Will był miły. Zakochany nieprzytomnie. Nigdy nie wątpiłam w jego uczucie, ale dla mnie i Gordona działa się to za szybko. Związek zawiera się na całe życie! A tu starszy o dwanaście lat mężczyzna, którego w ogóle nie znamy. O którym wiemy jedynie, że ma sławnego i bogatego ojca oraz że sam jest lekarzem... — Kathy szarpnęła kołnierzykiem bluzki. — Przyznaję: nie polubiłam Willa. Był przymilny, układny. Zbyt układny. Zbyt przymilny. I ten jego ojciec!

— Przechwalał się nim, pani Cassel?

— Will? Początkowo w ogóle o nim nie wspominał. Nawet wtedy, gdy po mieście rozniosła się plotka, że jest tym, kim jest. Plotka dotarła do nas. To Gordon zapytał Willa, czy jest spokrewniony z tym sławnym chirurgiem plastycznym, Philipem Barkinsem. Will przyznał, że tak. Że to jego ojciec. A nie ujawniał tego faktu, ponieważ wolałby nie być tym Barkinsem. Znane nazwisko częściej przeszkadza, niż pomaga. Przekonał się o tym wielokrotnie. Natychmiast pojawia się tłum fałszywych przyjaciół. Dlatego wyprowadził się z Los Angeles, chociaż miał udział w klinice ojca. Nie chciał jego pieniędzy. Od lat żyje na własny rachunek. Nawet zastanawiał się, czy nie zmienić nazwiska. Ale oczywiście, ojca kocha i pozostaje z nim w dobrych stosunkach. Nas przeprasza gorąco. Jego intencje są czyste. Chciał, abyśmy poznali go jako zwykłego faceta, bo takim właśnie jest. Nawet nie posiada majątku. Postara się jednak ze wszelkich sił zapewnić naszej córce dostatnie życie. Zapewniał, że jego ojciec jest porządnym, uczciwym, ogólnie szanowanym człowiekiem. O czym się sami w najbliższym czasie przekonamy, gdy złoży nam wizytę... — Oczy Kathy pały ogniem. — Bezczelnie kłamał.

— Zdumiewasz mnie, Kathy. Byłem przekonany, że przepadasz za Willem. Podczas ślubu pocieszałaś go jak matka — odezwał się Haig. Pamiętał doskonale Kathy obejmującą załamane dziecko. Powtarzając: „Will, nie przejmuj się tak. Przecież twój ojciec ma świetną, najlepszą opiekę lekarską”.

— Udawałam. Ze względu na Hellen. Na gości. Od początku udawałam. Ufać człowiekowi, który gdyby nie Gordon, nadal zatajałby swoją tożsamość? On kłamał, Stan. Niewiem, z jakiego powodu.

Niby jego ojciec wiedział o związku z Hellen. Wiedział, cieszył się, a jednak nie zaprosił swojej przyszłej synowej do Los Angeles? Nawet nie raczył do niej zadzwonić? Ani do nas? Will tłumaczył, że jest niesłychanie zajęty. Aż tak zajęty, że nie miał czasu na wykonanie kurtuzyjnego telefonu?

— Dlaczego ty, Kathy, nie zadzwoniłaś do przyszłego teścia Hellen? Nie sprawdziłaś swoich podejrzeń wobec Willa?

— Mam swój honor, Haig. W kręgu moich podejrzeń był Will, nie jego ojciec! Nie wątpiłam wcale, że jest synem Philipa Barkinsa! Z jakiego powodu zresztą?

— A w co pani wątpiła, pani Cassel?

— W owe dobre kontakty z ojcem. Codziennie nam relacjonował swoje rzekome z nim rozmowy. Dziwne, że telefonował do ojca wyłącznie z hotelu. Nigdy z naszego domu, w naszej obecności. Zdobyłam się na odwagę. Zapytałam Hellen, czy rozmawiała z przyszłym teściem. Nie rozmawiała! Ani razu! Zapytałam, czy była chociaż świadkiem rozmowy Willa z ojcem. Nie ufasz Willowi, mamgo?, zapytała z wyrzutem. Jak możesz! Moja zakochana córka, niestety, ufała mu bezgranicznie. Pomyślałam więc, że chodzi o jej szczęście, a to, czy Will kłamie w sprawie Philipa Barkinsa, jest jego osobistą sprawą. Modliłam się, żeby okazał się dobrym mężem. Był najczulszym, najtroskliwszym mężem.

— Jednak dla niego swoich pysznych ciasteczek pani nie piekła? — uśmiechnął się Peters. Jego uśmiech nie spodobał się Haigowi. Był wąziutki, chytry. Peters szykował się do ataku na Kathy. Szeryf pomyślał, że Kathy winą za tragedię obciążyła Willa. Nim do niej doszło, traktowała zięcia jak syna.

— Nie piekłam. I co z tego?

— Nadal pani nie ufała zięciowi.

— Nie tak! Nie wybaczyłam mu, że urządził ze ślubu mojej córki cyrk. Czekaliśmy na jego ojca ponad godzinę! Przypuszczam, że Philip Barkins w ogóle nie wyleciał z Los Angeles. Myślę, że Will nie z własnej woli zrzekł się pracy w klinice. Czymś podpadł ojcu. Więc ten się go wyrzekł. Kazał mu się wynosić i nigdy nie wracać.

— Kathy, a depeza gratulacyjna? Kwiaty dla Hellen? Byłaś zachwycona — wtrącił Haig. — Pamiętam, jak wołałaś: „Hellen! Jak Nevada Nevadą, żadna panna młoda nigdy nie otrzymała tak cudownego bukietu! Will, masz wspaniałego ojca!”.

— Ratowałam sytuację, Stan. Depesza! Kwiaty! Gdyby kurier dostarczył tylko depeszę, uwierzyłabym! Ale bukiet? Pamiętasz go? Trzydzieści niebieskich róż! W żadnej naszej kwiaciarni nigdy nie natknęłam się na niebieskie róże! Musiały być piekielnie drogie. To jedna z najrzadszych odmian! Wszyscy się tymi różami zachwycali. Will zamydlił nimi wszystkim oczy. Ale nie mnie. Philip Barkins mógł z samolotu nadać gratulacyjny telegram, ale zamówić wiązanekę niebieskich róż? Nawet u nas trzeba przynajmniej z jednodniowym wyprzedzeniem zamawiać ozdobny bukiet! Stan! Czemu patrzysz na mnie z takim wyrzutem w oczach?

— Ponieważ zastanawiam się, czy zdajesz sobie sprawę, jak bardzo nienawidzisz Willa. Od kiedy, Kathy? Bo ja ci nie wierzę, że od początku. Ty go kochałaś. Oboje z Gordonem kochaliście swego zięcia.

— Haig! Siedz na tyłku i lepiej milcz. Nie skończyłem przesłuchiwać pani Cassel — Peters podniósł głos.

— Przesłuchiwać? — powtórzyła za Petersem Kathy. — Wy mnie przesłuchujecie? Jestem o coś podejrzana?

— Nie, pani Cassel. Jest pani mądrą i spostrzegawczą kobietą. Bardzo nam pani pomogła.

— Jezuu, w czym? — przeraziła się kobieta. — Nie toleruję kłamstwa, dlatego nie przepadam za Willem. Pytaliście, więc odpowiadałam. Zgodnie z prawdą.

— Dziękujemy za szczerość, pani Cassel... — zaczął Peters, lecz przerwała mu gwałtownie.

— On nie chciał źle. Chciał zatuszować swoje złe stosunki z ojcem. To nie zbrodnia. Zresztą potem nigdy już o ojcu nie wspominał. Teraz jest załamany człowiekiem. Stracił syna, którego ubóstwiał. Gnębi go poczucie trudnej do udźwignięcia winy, ponieważ Patricka uprowadzono przez jego nieuwagę, a Hellen oszalała. Jezuu! Moja córka wyzdrowieje. Moja córka kochała swego męża. Jest młoda. Urodzi dziecko. Będzie znowu szczęśliwa. Proszę, błagam! Nie zróbcie Willowi krzywdy! — Kathy rozplakała się.

— Po prostu wyjaśniamy wątpliwości. Nikogo nie zamierzamy krzywdzić. — Peters chyba zrozumiał, że za bardzo naciskał i spłoszył Kathy. — Nikogo, pani Cassel. Willa również. Nas interesuje wyłącznie jego ojciec.

— A Will? Tyle nagadałam na niego. Stan, masz rację. Podczas ślubu nad niczym się nie zastanawiałam. Dopiero później... — Kathy

ścisnęła wychudłymi palcami skronie. — Jestem zmęczona. Idźcie sobie.

— Muszę zadać jeszcze kilka pytań, pani Cassel...

— Nie odpowiem na żadne! Wynoście się! — krzyknęła Kathy. Osunęła się na fotel. Zasłoniła twarz dłońmi.

Przed domem Gordon zamienił kosiarkę na sekator. Przycinał gałązki różanych krzewów.

— Ani mi się waży, Peters, napastować Gordona — uprzedził szeptem Haig.

— Bo co? Każdego, komu współczujesz, zasłonisz własną, potężnie rozrośniętą piersią? — odgryzł się Peters, lecz posłusznie ruszył ku furcie.

— Palant — mruknął Haig. Wsiadając do mustanga, trzasnął drzwiami. Ruszył, nie zapinając pasów. Za najbliższym skrzyżowaniem zahamował. Wjechał na parking. Zgasił silnik.

— O co ci chodzi, Stan? Nie mam ochoty na wysłuchiwanie twoich kolejnych gadek, koleś! Gdybyś się litościwie nie wtrącił, wyciągnąłbym z Kathy znacznie więcej! Założę się, że targana wyrzutami sumienia, dokładnie w tym momencie telefonicznie ostrzega Willa. On nam zwieje. Facet ma zababraną przeszłość i tego dokładnie się spodziewaliśmy. Noga na gaz i jazda. Na Flowers Street. Inaczej wydam przez radio dyspozycje twoim ludziom. Chcesz, żeby pół Nevady widziało Barkinsa wiezionego na posterunek w asyście policji? Bo ja nie. Wolę mu tego oszczędzić. Wolę z nim najpierw pogawędzić. Taką mu daję szansę, chociaż nie jestem jego przyjacielem. Od niego zależy, czy z niej skorzysta. — W głosie Petersa nie było złości. Było zmęczenie. Westchnął. Spojrzał prosząco na Haiga.

— On nie ucieknie. Nie ma dokąd — odpowiedział Haig. Pomyślał, że to straszne nie mieć dokąd uciec. Pomyślał także, że Peters nie nadaje się na glinę. Nie jest twardzielem. Może kiedyś nim był. Ale już nie jest. I bardzo dobrze, że nie jest.

— Zawsze można uciec — uśmiechnął się z wysiłkiem Peters. — Chociażby w śmierć.

Nie zapytał Petersa, czy po zakończeniu swego związku z ukochaną kobietą rozważał ucieczkę w śmierć. Nie musiał pytać. Małe, okrągłe jak u ptaka oczy Petersa zamieniły się w dwie czarne, przepastne dziury. Dwie studnie. Dwie otchłanie. Znał takie oczy. Gdy Emily odeszła, patrząc w lustro, przez wiele miesięcy je widział. U siebie. Gdyby nie Steven, wybrałby tę ostateczną ucieczkę.

— Will czeka. Czeka na swoją Hellen. Dopóki ona żyje, nie ucieknie.

— Słusznie gadasz, Haig — Peters odwrócił głowę. — Jakbyś rozumiał, ile trzeba zaznać cierpienia, bólu i upokorzenia, żeby w ten sposób uciekać.

Odchodziłaś, krzycząc, że oślepią cię światło, więc je z doktorem Tracym zgasiłiśmy. Zanurzyłaś się gwałtownie w półmrok wieczoru i tylko twoje ręce, Emily, twoje białe ręce trzepotały jak ptaki ze złamanymi skrzydłami, protestując przeciwko nieuchronności losu, do którego się już zbliżałaś równie nieuchronnie. Zdziwiłbyś się, Peters, jak bardzo rozumiem.

Teraz on odwrócił głowę. Udał, że przygląda się zawieszanej nad parkingiem ulicznej latarni. Odpędzając obraz trzepoczących w agonii rąk Emily, przelykając gęstniejącą w ustach ślinę, krzyknął, że szkoda czasu na Barkinsa. Posądzenia rozchwianej psychicznie Kathy to niewiele, żeby pojechać do gościa i postawić mu zarzut: twoja teściowa sugeruje, że łiesz w sprawie ojca. Najpierw trzeba sprawdzić kontrolę lotów w Cedar Falls, gdyż pilot prywatnego samolotu Philipa Barkinsa musiał ją zawiadomić, że nie wylądjuje, bo zawraca do Los Angeles. Odnaleźć kwaciarnię, z której wysłano bukiet. Przepytań pracowników poczty. Skoro i telegram, i bukiet dostarczył miejscowy kurier, to ojciec Barkinsa słynny bukiet najprawdopodobniej zamawiał w Nevadzie. Jeżeli jednak zamawiał w Cedar Falls, to i tak bukiet kazał przesłać do którejś z trzech miejscowych kwaciarni! Tak czy siak, po zamówieniu został ślad, który doprowadzi, o ile Kathy niczego nie konfabulowała, właśnie do Willa. Ale i nawet wtedy jeszcze nie wolno Willa płoszyć. Ich wiedza o Philipie Barkinsie jest żadna. Tyle, co z mediów. A jedynie Philip Barkins może im powiedzieć, dlaczego zerwał z synem. Co takiego zrobił, że nie chce go znać? Że Will nie odważył się zaprosić go na ślub? A przyjaciółki Hellen? Dwie z nich, siostry Adams, były druhniami na ślubie. I z nimi, i z pozostałymi utrzymywała kontakt również po ślubie. Na pewno im się zwierzała...

— Ej, przystopuj. Aleś się rozpędził, koleś!

— Peters! Jest mnóstwo nowych, ważnych pytań, których nie zadaliliśmy tym, co trzeba! O których nawet nie pomyśleliśmy, żeby im zadać, goniąc za śladem buciora! Chryste Panie! Ale z nas dupki! Tyle bezsensownej pracy!

— To nie była bezsensowna praca, Stan. Doprowadziła nas do Willa. Nasz psychopata wynurza się z jego przeszłości. Z niej przybywa. —

Ale znajduje się gdzieś tu! WSZYSCY, Peters, WSZYSCY, pozostawione w kieszonce spodni Patricka, to złowrogie memento, to zapowiedź, że ciąg dalszy nastąpi! Że morderstw będzie więcej! — WSZYSCY może dotyczyć na przykład jedynie rodziny Barkinsów. Ciebie, doktorze Barkins. Twojej żony. Twoich teściów. Nie pozbieracie się nigdy po śmierci dzieciaka. Więc wszystkich was ukarałem. Na was wszystkich się zemściłem... — mówił Peters bez przekonania. Szarpnął rzadką bródką.

— To byłoby optymalne rozwiązanie. Najlepsze z możliwych.

— Sam w to nie wierzysz!

— Ano, nie wierzę. — Westchnienie Petersa przypominało miech kowalski. — Teraz jednak wiemy, gdzie go szukać. Nie wymknie się nam, Stan. Nie zdąży nikogo więcej skrzywdzić.

— Cholera, Peters! Prześladowuje mnie uczucie, że tańczymy, jak on nam zagra! Że gdzieś się przyczaił i obserwuje każdy nasz ruch.

— Za tą latarnią, której przyglądałeś się z takim gwałtownym zainteresowaniem, jakby za nią skrywał się nasz zboczek? Zaczynasz mnie wkurwiać, Haig. Zamknij dziób. Będę gadał z bratem — Peters wygrzebał z kieszeni komórkę. Wybrał numer. — Cześć, Ed. Wydaj polecenie stanowej w Cedar Falls, niech migiem sprawdzają planowany, a następnie odwołany przylot prywatnego odrzutowca z Los Angeles dziesiątego maja dwutysięcznego roku na lotnisko w Cedar Falls. Jakie były warunki pogodowe? Czy przed lotniskiem czekała wynajęta limuzyna, a jeśli tak, to przez kogo? Potem natychmiast oddzwon na moją komórkę. Rób, co każę. To pilne. I morda w kubel. Dlaczego w kubel? Nie twoja broszka. Dostaniesz raport w odpowiednim czasie.

Odrzucił komórkę z wyraźnym wstrętem. Nozdrza jego nosa drgały nerwowo. Haig pomyślał, że Peters rozmawia ze swoim ważnym bratem jak z krawężnikiem, a nie z prokuratorem stanowym, kandydującym na gubernatora. FBI na przykład. FBI od dawna już powinno było przejąć sprawę. Peters powiedział bratu: „Nie życzę sobie FBI”. I FBI się nie pojawia. Peters powiedział: „Nie życzę sobie żadnych mediów. I media opuściły Nevadę...”

— Dobra, lotnisko załatwione — odezwał się Peters. — Barkinsa sobie na razie darujemy. Przekonałeś mnie, Stan. On nie ucieknie.

Nasz plan działania na dziś to: objechać kwiaciarnie, pocztę, firmę kurierską. Następnie pociągnąć za język przyjaciółki Hellen. Będzie super, jeśli wyrobimy się do wieczora.

— Sam sprawdzę kwiaciarnie i resztę. Ty zajmij się Philipem Barkinsem. Zaoszczędzimy na czasie — zaproponował Haig. Miał na dziś dość towarzystwa Petersa. Anna i Carol Adams są wrażliwymi kobietami. Mają chorą na serce matkę. Ciężko przeżywają tragedię Barkinśów. A ten dupek zamierza je pociągnąć za język!

— Dobra. Już się zajmuję — Peters wykrzywił wąskie usta w kpiącym uśmiechu. Połączył się przez radio z posterunkiem. — Ilu was tam pierdzi w stołki? Do roboty, kolesie. Wszystko o Philipie Barkinsie. Ściągnąć materiały z internetu, z bibliotek, zewsząd! Chcę mieć komplet danych w kanciapie szeryfa do godziny dziewiętnastej! Wykonać! — Peters roześmiał się. — Zamierzałeś mnie wykołegować, co? Nic z tego. Lubię być na bieżąco. Jedź.

— Żeby cię cholera, Peters. Nie umiesz gadać z miejscowymi. Jesteś dla nich obcym gliną. Przynajmniej siostry Adams odpuść.

— Zastanowię się. Jedź.

— Żeby cię cholera, Peters. Dokąd?

— Najpierw do firmy kurierskiej.

— Pociągnąć za język kuriera? Nie da się. Zmarł ze starości. Firma była jednoosobowa. Zbankrutowała jakieś siedem lat temu. Po co ludziom kurier w dobie komórek, maili, esemesów, ememesów? Wybierz inny adres, koles.

— Bardzo śmieszne — sapnął Peters. — Żeby cię cholera! Nie splawisz mnie. Jedź, partnerze. Kwiaciarnie, potem poczta.

10.

Zaczęli od kwiaciarni Elizabeth Norton. Usytuowana przy Roosevelt Avenue, z trzema wielkimi witrynami wystawowymi, gdzie codziennie Elizabeth zmieniała wystrój, wabiąc przechodniów egzotycznymi roślinami w ozdobnych donicach i artystycznie ułożonymi bukietami zawsze świeżych kwiatów przeróżnych gatunków, była w Nevadzie największą, najbardziej reprezentatywną kwiaciarnią i według Haiga jedynie tam Philip Barkins mógł z wyprzedzeniem zamówić błękitne róże dla Hellen. Energiczna, dbająca o kwiatowy interes Elizabeth sprowadziłaby tę rzadką odmianę nawet z podziemi.

Elizabeth Norton, wciąż zaskakująco atrakcyjna mimo swoich pięćdziesięciu lat, szczupła, bez śladu makijażu na pięknej twarzy, odpowiedziała zdecydowanie:

— Nie. Wielki Philip Barkins ani nikt inny nie składał u mnie zamówienia na trzydzieści błękitnych róż, panowie. Nawet poczułam się tym urażona. Róże dostarczyła Clara Boden, która nie ma zielonego pojęcia o kwiatach, a jej kwiaciarnię uważam za kiosk z nędznymi, pospolitymi roślinami. Clara Boden i błękitne róże! Ona zaledwie rozróżnia goździk od peonii! Wynajęła starego Maksa, więc wyobrażam sobie, w jak opłakanym stanie wiązanka, wieziona rozklekotanym złomem, dotarła do nieszczęsnej Hellen.

— To naprawdę tak delikatna odmiana, pani Norton? Przyznam szczerze, że po raz pierwszy w życiu dowiedziałem się o istnieniu błękitnych róż. — Peters z trudem powstrzymywał kichanie. Konglomerat kwiatowych zapachów kwiaciarni mógł przyprawić o zawrót głowy.

Elizabeth Norton nie była zdziwiona pytaniem.

— Nic dziwnego, panie detektywie. Błękitne róże... Kiedyś były synonimem rośliny niemożliwej i nieprawdopodobnej. Róże są uprawiane od kilku tysięcy lat, doczekały się dziesiątek tysięcy odmian o cudownych kształtach, kolorach, zapachach, lecz błękitne pozostawały ciągle w sferze niespełnionych marzeń, mimo że próby zapaleńców wciąż trwały. Udało się je wyhodować w dziewięćdziesiątym piątym dzięki przeniesieniu do róż genów petunii. Ale było im jeszcze daleko do doskonałości. Niedawno przeczytałam w fachowej prasie, że udało się wreszcie uzyskać prawdziwy błękit poprzez umieszczenie w genomie róż genów przeniesionych z fiołków.

— Teraz? Mamy rok dwa tysiące dziesiąty, pani Norton! — wykrzyknął, kichając, Peters.

Elizabeth Norton uśmiechnęła się z lekkim politowaniem.

— Słuszna uwaga, panie detektywie. Prawdziwe błękitne róże nie trafiły jeszcze z pracowni botanicznych do handlu. Jednak w katalogach ogrodniczych, oferujących ich sprzedaż, pojawiło się pod koniec lat dziewięćdziesiątych zeszłego wieku wiele podrabianych odmian róż, których kwiaty mają na obrzeżach lekko niebieskawą obwódkę. Biznes to biznes, panowie. Sprzedają się znakomicie, mimo że są potwornie drogie, właśnie pod nazwą róż błękitnych. Widziałam je na wielu wystawach. Naprawdę są niezwykle delikatne i zaskakująco piękne. — Elizabeth Norton odęła pogardliwie ładne usta. — Na miejscu tej kioskarki wynająłabym taksówkę do przewozu, a nie starego Maksa z jego trzydziestoletnim pyrkotem! Co ja mówię? Osobiście, własnym samochodem zawiozłabym Hellen ten, co by nie sądzić o autentyczności odmiany, rzeczywiście cudowny bukiet.

Z Roosevelt Avenue pojechali do Clary Boden, na Red Street. Oczywiście, Elizabeth Norton złośliwie przesadzała, nazywając konkurencyjną kwiaciarnię kioskiem. Składała się z jednej salki, wypełnionej wieloma gatunkami kwiatów, wśród których królowały zgodnie z porą roku tulipany, żonkile, narcyzy. Clara Boden pamiętała świetnie dzień ślubu Hellen i swoje zaskoczenie, kiedy nagle zatrzymał się przed jej kwiaciarnią samochód, wyskoczył z niego jakiś mężczyzna, wniósł wielkie, opakowane w srebrny papier pudło, położył je przed nią na ladzie i wręczając banknot studolarowy, oznajmił, że pudło zawiera trzydzieści błękitnych róż, ona zaś ma je rozpakować, po czym dostarczyć przez miejscowego kuriera, w żadnym wypadku osobiście, wprost do domu Casselów.

— I tyle go widziałam — opowiadała z przejęciem Clara Boden. — Pospiesznie wyszedł, równie pośpiesznie odjechał. Zrobiłam, co mi polecił. Boże, nie widziałam piękniejszych róż! Były naprawdę prawie błękitne! A jak przybrane! W koronkę, podobną do mgiełki! Zadzwo- niłam do Maksa. Powiedział, że za kilka minut już bym go nie zastała, ponieważ wezwano go na pocztę, skąd do domu panny młodej musi zawieźć telegram gratulacyjny, nadany z samolotu. Co za zbieg oko- liczności! Dokładnie w tym samym czasie telegram i ten gość z wią- zanką dla Hellen? Jakież mi się to wszystko wydało dziwne, zwłaszcza że ślub Barkinsów, o czym dowiedziałam się potem, odbył się z go- dzinnym opóźnieniem. Dlaczego gość sam nie pojechał do kościoła z wiązką? Dostarczyłby ją o wiele szybciej, to raz, a dwa: czemu za- strzegł, że koniecznie przez starego Maksa? Moja bryczka jest wysłu- żona, ale zawiozłabym tę delikatną wiązkę o wiele szybciej, a przede wszystkim bezpieczniej niż Maks.

— Słuszna uwaga, pani Boden — przyznał Peters. Pochylił się nad wazonem z żółtymi tulipanami. — Piękne tulipany... Pani Boden, potrafiłaby pani opisać nam tego gościa?

Clara Boden uśmiechnęła się przepraszająco.

— To było tak dawno... Chyba białe, ale głowy nie dam... Nosił długi, ciemny płaszcz, filcowy kapelusz, rękawiczki... Sporo niższy od ciebie, Stan, ale przy tobie każdy wygląda na liliputa... Więc raczej wysoki... Tęgawy. Płaszcz opinał się na wydatnym brzuchu... Najle- piej pamiętam jego głos: mocno chrapliwy, jakby bolało go gardło... Marki wozu też nie potrafię określić... Ani rejestracji. Kathy Cassel kilkakrotnie mnie nagabywała o tego mężczyznę, jego samochód, rejestrację, lecz to wszystko odbyło się tak szybko i byłam tak bardzo zaskoczona...

— Kathy Cassel wypytywała panią? Kiedy? — Peters pochylił się niżej nad tulipanami, jakby je wąchał lub szukał wśród nich ukrytego skarbu. Haig również udawał, że bardziej interesują go kwiaty Clary Boden niż jej odpowiedź. Clara jest bystrą osobą. Niechaj sobie po- myśli, że wpadli do niej nieprzypadkowo. Byli u Elizabeth Norton, o czym Clara niewątpliwie się dowie, więc żeby nie poczuła się urażona, postanowili i jej zadać kilka pytań.

— Może tydzień po ślubie Hellen, może troszkę później... Wyglą- dała na zmartwioną, nawet przybitą. Przypomnij sobie, Claro, mówiła,

to dla mnie niesłychanie ważne, to dla dobra Hellen! Boże kochany, Kathy, odpowiadałam, przecież wiesz, jak lubię twoją córkę. Nie mam bladego pojęcia, skąd przyjechał ten mężczyzna! Na pewno widziałam go po raz pierwszy na oczy, więc nie był stąd! Stan, wytłumacz swemu koledze, że nie należę do wścibskich. Oczywiście, zastanawiałam się, czemu Kathy tak się tym interesuje. Ale to jej sprawa, nie moja! Musiała mieć jakiś istotny powód. W tym czasie krążyły różne wredne ploty na temat zięcia Casselów! Głównie o jego siedmiocyfrowym koncie. Tymczasem Will okazał się kochającym, czułym mężem; nie odebrał Kathy Hellen, nie wywiózł jej do dalekiego Los Angeles, a rozstania z jedyną córką bardzo się obawiała, jak każda matka. Może lepiej byłoby dla Hellen, żeby Will ją wywiózł. Dla Kathy i Gordona też. Patrick by żył... — szare oczy Clary Boden wypełniły się łzami. Kobieta wybuchnęła płaczem i uciekła na zaplecze.

Milcząc, opuścili kwaciarnię. Haig ze zgrzytem wrzucił bieg. Obie rozmowy, zamiast wyjaśniać sprawę, stawiały nowe znaki zapytania.

— Poczta — polecił posępnym głosem Peters. — Kurwa! Ale się nagle wszystko pieprzy. Z kim mamy do czynienia, Stan? Skąd on wiedział, że panna młoda jest już w domu? Upał, a facet w długim płaszczu, filcowym kapeluszu, rękawiczkach? Niczym agent z kiepskiego kryminału, który się maskuje przed Clarą Boden. To znaczy, koleś, jedno: gdyby nie jego kamuflujący ubiór, kwaciarka by go rozpoznała! Czyli, że to ktoś stąd! Z tego twojego, rzekomo spokojnego, sielskiego miasta! Pierdolone błękitne róże, żeby je szlag! Podaj dokładną datę ślubu Hellen, bo z nerwów zapomniałem.

— Dziesiąty maja dwutysięcznego roku.

W kościstych dłoniach Petersa pojawiła się komórka.

— To ja, ważniaku. Cholera, wiem, że jeszcze nie masz nic o tym pieprzonym odrzutowcu. Weź kartkę, notuj kolejne zadanie na przedwczoraj. W Cedar Falls psy niech sprawdzą wszelkie możliwe kwaciarnie, firmy ogrodnicze, w mieście, poza miastem, wszędzie, nawet najmniejszy kiosk z kwiatami, czy w okresie między pierwszym a dziesiątym maja dwutysięcznego roku oferowano do sprzedaży błękitne róże... Gównu mnie to obchodzi, że o takich nie słyszałeś! Jeżeli oferowano, niech psy węszą, komu. Jak wyglądał? Jaką bryką jeździł? Płacił gotówką czy kartą za trzydzieści podrabianych

błękitnych róż? To są cholernie drogie podróbki, więc istnieje realna szansa, że faceta zapamiętano! Jeśli płacił kartą, łatwo go łapsniemy! Identycznymi czynnościami obejmij naszą ukochaną stolicę stanu. Diabli go wiedzą, bo to supercwaniak, może przygnał do Nevady z Des Moines! Spiesz się. W końcu ja pracuję nie na awans dla siebie, lecz na twój zajebany, wymarzony stołek gubernatora... — Peters wyszczerzył zęby w krzywym, zjadliwym uśmiechu. — Ja ciebie też nienawidzę, braciszku.

Z obrzydzeniem zamknął komórkę, schował do kieszeni. Wylał dłonie chusteczką. Haig właśnie parkował mustanga przed pocztą.

Kierowniczką poczty, Edna Miller, sześćdziesięcioletnia, mocno otyła kobieta, z okruszkami chipsów na zielonym swetrze ciasno opinającym jej potężny biust, zaprowadziła ich do swego gabinetu. Podziękowali jej za kawę, herbatę, coca-cola. Kurtuazyjnie poczęstowali się kruchymi ciasteczkami.

Pamiętała telegram z życzeniami dla nieszczęsnej Hellen. Zaraz wezwwała świętej pamięci, niech mu ziemia lekka będzie, Maksa Babiego, aby wycisnął gaz do dechy ze swego trzydziestoletniego forda, bo ten telegram jak zółw, a nie telegram, poczta główna z Cedar Falls nadeszła z półgodzinnym opóźnieniem, niczym musztardę po obiedzie, ponieważ ślub Hellen już się byłby odbył, gdyby nie oczekiwanie na słynnego Philipa Barkinsa, zaś według zwyczaju wszelkie depesze gratulacyjne w takich okolicznościach pastor odczytuje parze młodej po dokonaniu ceremonii.

— A tu taki pasztet! — klepała Edna, polykając ciasteczka jedno za drugim. — Omal nie dostałam zawału, kiedy ten telegram nadszedł. Bo i zbyt późno, i dlaczego z Cedar Falls? Na dodatek nawet nie był ozdobny! No, ale ja się nie znam na samolotach prywatnych, z których nadaje się telegramy! Pewno coś im się tam z powodu nagłego zasląbnienia ojca Willa pokręciło! Za to bukiet Hellen otrzymała taki, jakiego jeszcze nikt w Nevadzie nie oglądał! Trzydzieści błękitnych róż. Podobno dostała również od swego słynnego teścia platynowy naszyjnik, wysadzany brylantami! Podobno taki naszyjnik kosztuje co najmniej pięć tysięcy dolarów! I co jej, biednej, teraz po naszyjniku za pięć tysięcy dolarów? Takie straszne nieszczęście! Niewyobrażalne! Stan, znajdziecie tego potwora, prawda? Krążą ploty, że to ktoś z naszego miasta. Ja na waszym miejscu zajęłabym się Jonathaniem Miltonem. On nienawidził Hellen, prześladował... — na szczęście dla Petersa i Haiga Edna zakrzuszyła się ciasteczką, rozkasła, więc

potok słów ustał, a zanim kobieta zaczerpnęła haust powietrza, Peters zapytał:

— Jest pani pewna, że telegram wysłano z Cedar Falls?

— Uhum — potwierdziła, wycierając oplute wargi Edna Miller.

— Bardzo nam pani pomogła. Dziękujemy. — Peters trącił znacząco Haiga, dając znak do odwrotu.

— Stan! Dokąd to? Poczekajcie! Powinniście wiedzieć, że Jonathan Milton zdolny jest do najgorszego, tylko zawsze kryła go Ruth!

— Nieladnie jest plotkować, Edno — powiedział Haig.

— Ależ, Stan! Ja nigdy nie plotkuję. Mówię zawsze szczerą prawdę — obfity biust Edny Miller zafalował oburzeniem. — Świr, zбочek i tyle! Nie bez powodu Jon Milton nie wybudował mu domu! Córkom wybudował, a jedyne go syna wyprawił do Des Moines! Will chyba zwariował, kupując ten dom w najbliższym sąsiedztwie Miltonów! W naszym mieście, Stan, nie znajdziesz drugiego takiego czubka jak Jonathan! Gdyby nie Ruth, dawno wylądowałby w wariatkowie! Zapytajcie o Jonathana, kogo chcecie! Przede wszystkim Kathy i Gordona Casselów! Mścił się na Hellen za to, że omijała go z daleka! Zapytajcie Kathy, co zrobił ukochanemu kotkowi Hellen, mszcząc się za odrzucanie jego chorych amatorów! Zamordował, powiesił za flaki na furtce! Albo zapytajcie Casselów, co zrobił psu Hellen! Bo ja tam ani przez moment nie uwierzyłam, że psiaka przejechał samochód!

— A co zrobił psu Hellen, pani Miller?

— Nie powiem więcej ani słowa. A na ciebie, Stan, napiszę skargę. Zostałam obrażona. Pan jest świadkiem, detektywie, jak bardzo seryf Haig mnie obraził, nazywając plotkarą.

— Edna Miller, stękając, uniosła swoje otyłe ciało z krzesła.

— Żegnam panów.

11.

— Dlaczego nic nie wiem ani o kocie, ani o psie Hellen Cassel? — Peters, wsiadając do mustanga, trzasnął gniewnie drzwiczkami.

— Odpuść sobie. To stare dzieje.

— Przeszłość Willa to też stare dzieje, koleś, a ją sprawdzamy.

— Edna Miller jest znaną plotkarą i rodzoną siostrą Forastera, który kiedyś splajtował przez Jona Milтона. Nienawidzi Miltonów i tyle.

— Czyli to o kocie, psie i prześladowaniu Hellen przez Jonathana po prostu zmyśliła? Ściemniasz, koleś. Czegoś takiego nie da się zmyślić. Kathy Cassel wszystkie podejrzzenia skierowała na Barkinsa. Zastanawiające, że nie wspomniała słówkiem o prześladowaniu córki przez Jonathana Milтона. Hellen była piękną dziewczyną. Jonathan natomiast wyjątkowo szpetny. Piękne dziewczyny potrafią być okrutne w stosunku do szpetnych adoratorów; wiem coś o tym. Odrzuceni okrutnie adoratorzy długo chowają urazę w sercach. Uraza prowadzi do nienawiści. Nienawiść do fobii. Fobia do obsesji. Obsesja do patologii. Patologia do zemsty. Wracamy do Casselów — oświadczył stanowczo Peters.

— Peters. Odpuść...

— W żadnym wypadku.

— Peters... Pozwól przynajmniej, że to ja będę rozmawiał z Kathy.

— Dobra. Gadaj. Gdy mi się nie spodoba twoje gadanie, przerwę!

Kathy Cassel stała przy furtce, jakby na kogoś czekała. Widząc parkujących policjantów, pomachała im ręką.

— Wiedziałam, że wróciście. Przecież nie pokazałam wam zdjęć Hellen, gdy była moim ślicznym, małym aniołkiem! Detektywie Peters, załóż się, że nie widział pan ślicniejszej dziewczynki! Prawdziwy aniołek, przekona się pan! — Oczy Kathy błyszczały chorobliwą radością. — Prawda, Stan, że Hellen to najpiękniejsza dziewczyna w Nevadzie? I nie zaprzeczaj, ty się w niej także kochałeś na zabój! Każdy chłopak kochał się w niej na zabój! Nic dziwnego, że Will stracił głowę dla mojej Hellen! Byłam szczęśliwa, że trafiła na Willa. Kocham go jak rodzzonego syna. Najlepszy mąż, wspaniały ojciec, wręcz wymarzony, idealny... No, co wam, moi drodzy? Czemu przyglądacie się starej, poczciwej Kathy, jakby jej nie poznając? Chodźcie, chodźcie. Gordon nie będzie nam przeszkadzał.

Położył się, zmęczony koszeniem trawnika. Dziwne. Nigdy go to nie męczyło. A ja wprost przeciwnie! Tryskam energią.

Nie oglądając się na policjantów, gospodyni pobiegła do domu.

— Trudno. Idziemy — zdecydował po chwili wahania Peters. — Nie trzeba być psychiatrą, aby pojąć, że Kathy ze stanu przygnębienia wpadła w stan euforii. Pozwól jej się wygadać, Stan. Niech wyrzuci z siebie emocje. Pokaże zdjęcia swego ślicznego aniołka. Ona w tej chwili nawet nie pamięta, że nadawała na Barkinsa. Wiem, że to świństwo wobec niej grzebać w przeszłości Hellen, lecz taki nasz parazyty zawód.

Zastali Kathy w salonie. Uśmiechając się, rozkładała rodzinne albumy, które były kroniką życia jej córki, gdyż zdjęcia starszych Casselów zajmowały w nich niewiele miejsca. Każdy album opowiadał o Hellen. Każdy opatrzony był odpowiednim tytułem. „Nasza Hellen — spójrzcie, jakie śliczne z niej niemowlę”. „Nasza Hellen stawia pierwsze kroczki”. „Nasza Hellen idzie do szkoły”. „Nasza Hellen, najpiękniejsza nastolatka w Nevadzie”. Kathy komentowała każde zdjęcie, zgodnie z przewidywaniem Petersa coraz silniej podniecona, z nienaturalnymi wypiekami na twarzy, podnosząca głos do histerycznego krzyku.

Sięgnęła po ostatni album z napisem: „Nasza Hellen — przyszła Miss Stanu Iowa”. Otworzyła go. Znieruchomiała. Usta jej zbieleły. Wbiła się w fotel, zwinęła w kłębek. Album wypadł jej z rąk.

— Pani Cassel?! — przestraszył się Peters. — Haig?! Co z nią? Pani Cassel! Pani Cassel!

Nie reagowała.

Do salonu wszedł Gordon Cassel. Podniósł album. Położył go na stoliku przed policjantami.

— Zamierzała go dawno zniszczyć — powiedział cicho. — Potem wyjaśnię dlaczego. Bo ona — wskazał na znieruchomiałą w fotelu żonę — dziś na żadne pytanie już wam nie odpowie. Zaniosę ją do sypialni. Dam zastrzyk uspakajający, po którym uśnie. Potem do was wrócę.

Album „Nasza Hellen — przyszła Miss Stanu Iowa” zawierał kilkadziesiąt zdjęć siedemnastoletniej dziewczyny, ubranej w przeróżne suknie balowe i kostiumy kąpielowe, w sztucznych pozach; z mocnym makijażem na twarzy, pozbawionej uśmiechu, zachmurzonej, na niektórych wyraźnie rozszoszczonej.

— Nie wygląda na zachwyconą perspektywą brania udziału w wyborach Miss Iowa. — Peters powoli przewracał strony albumu. — Jakby te zdjęcia były robione wbrew jej woli... Jakby ją przymuszano. Znam takie zbyt ambitne matki, które swoje, najczęściej niespełnione marzenia o własnych karierach przenoszą na córki. Kathy w młodości musiała być niezwykle piękną dziewczyną...

— Zgadza się, detektywie Peters. Była uznaną w Nevadzie piękną — Gordon Cassel stał w drzwiach salonu, opierając się o framugę. — Trochę mi słabo... — Usiłując się uśmiechnąć, chwiejnym krokiem przemierzył salon i z trudem dotarł do fotela. — Sama kiedyś chciała brać udział we wszelkich możliwych konkursach piękności, zostać sławną gwiazdą filmową, czemu sprzeciwiali się stanowczo jej rodzice. Poznała mnie. Pobraliśmy się. Urodziła się Hellen. Rosła na prześliczną dziewczuszkę i Kathy postanowiła z niej uczynić gwiazdę. Ale Hellen była skromną, cichą dziewczyną. Lubiała dom, kochała kwiaty, przyrodę... Nie chodziła na imprezy, dyskoteki. Utrzymywała kontakty z nielicznymi, równie mało zabawowymi przyjaciółkami, do jakich zaliczała się twoja Emily, Stan, siostry Adams, Amelia, obecnie żona naszego pastora, i ta, tak młodo, niespodziewanie na dwa tygodnie przed własnym ślubem zmarła Annette Hening... Jezu, Stan, zbladłeś... Przepraszam, nie powinienem był wymieniać imienia twojej żony... Ależ ze mnie głupiec, zajęty wyłącznie własnym nieszczęściem! Wybacz... — Gordon otworzył album z upozowaną do zdjęcia córką, aby natychmiast odsunąć go z odrazą. — Hellen doskonale wiedziała, że wybory miss nie polegają tylko na wdzięczeniu się przed

jury i publicznością w sukniach wieczorowych czy kostiumach bikini. Wiedziała, że za kulisami trwa walka, bezpardonowa i bezwzględna. Nasza córka nie zamierzała w niej uczestniczyć. Sypiać z kolejnymi członkami jury. Kathy jednak dopięła swego. Hellen wróciła z Des Moines roztrzęsiona, mówiąc, że usiłowano ją molestować i że te całe wybory to jeden wielki burdel. Czuli się zbrukana. Spełniło się również to najgorsze, czego tak się obawiała. Jonathan. Jonathan Milton, który od dawna ją prześladował, nasilił swoje zбочzone pogroźki do tego stopnia, że Hellen bała się wyjść z domu. Rozchorowała się. Wpadła w depresję maniakalną. Wydawało się jej, że Jonathan nieomal potrafi przenikać przez ściany, czai się w każdym kącie, za oknami, wszędzie, wszędzie! Przerażona krzyczała: „Proszę, nie! Proszę nie robić mi krzywdy! Proszę, to boli!”. Doktor Tracy nawet obawiał się, czy nie trzeba będzie leczyć Hellen w psychiatryku. Dlatego ten album dla Kathy jest jak palący ogniem wyrzut sumienia, więc nie dziwcie się jej reakcji. Obwiniła się nieustannie, że znając chore zapędy Jonathana, naraziła naszą córkę na strach, chorobę, cierpienie... Odetchnęła dopiero, gdy Jon Milton po ostatnim, zбочzonym wybryku przeniósł syna do Cedar Falls. Miltonowie są porządnymi ludźmi. Ruth najzaciejszą osobą, która nie skrzywdziłaby nawet muchy. Jednak tak wyczekiwany przez nich syn nie dał im radości. Nie chodzi o to, że był wyjątkowo szpetnym dzieckiem. On od dziecka był nieobliczalny, okrutny; przyjemność sprawiało mu znęcanie się nad słabszymi od siebie. Krzywdził mniejsze od siebie dzieciaki. Znęcał się nad zwierzętami. Miltonowie przeżyli z nim krzyż pański. Ruth chroniła go, ale gdy poszedł do szkoły, pewnych wyczynów Jonathana ukryć już nie była w stanie. Choćby takiego, że w podstawówce podczas dużej przerwy Jonathan na oczach kolegów i koleżanek zabił kota, uderzając jego głową o mur. Sprawę zatuszowano, przecież nasz burmistrz, od lat ten sam, jest ojcem zięcia Miltonów, zaś biedna Ruth przysięgła, że będzie chłopaka leczyć z nadpobudliwości. Lecz nie należy dziwić się ludziom, że na widok Jonathana przechodzili na drugą stronę ulicy. Że szeptano o nim, iż zбочzeniec i świr... Że żadna dziewczyna nie chciała mieć nic do czynienia z Jonathanem. A ten upodobał sobie naszą Hellen. Od liceum nie dawał jej spokoju. Nachodził. Wydzwaniał z groźbami... To był jakiś koszmar. Horror.

Kathy poszła ze skargą na niego do Ruth. Ruth obiecała, że przemówi synowi do rozumu... I wtedy właśnie ukochany kotek Hellen... To wtedy właśnie... To było straszne, straszne! Hellen zemdląca... Sam byłem bliski omdlenia...

— Panie Cassel! Co Jonathan Milton zrobił kotu Hellen? — zapytał Peters.

— Pewnego dnia kotek zaginął — Gordon mówił wolno, jakby szukał odpowiednich słów. — Szukaliśmy go wszędzie. Przez trzy dni. Byłem z żoną w domu. Usłyszeliśmy dziki krzyk Hellen. Wybiegliśmy. Zobaczyliśmy ją osuwającą się na chodnik. A na furtce jej kotka. Miał rozcięty brzusek. Wyłupane oczy. Powieszono go za flaki na klamce.

— Na litość boską, Gordonie, dlaczego nie zawiadomiliście policji?

— Stan, woleliśmy porozmawiać z Miltonami po przyjacielsku. Poszedłem do nich. Jona nie zastałem. Ruth zapytała: „Masz dowody, że to mój syn, Gordonie? Mój syn kocha Hellen. Mój syn, Gordonie, nie jest zboczkiem. Owszem, kiedyś zrobił w szkole coś straszego. Poniósł za to karę. Jak długo macie zamiar zwałać na niego wszystko, co złe, co podle? Mój syn, Gordonie, kocha Hellen. Mój syn cierpi, ponieważ wie, że nie ma najmniejszej szansy na odwzajemnienie uczucia. Odejdź, Gordonie. Uszanuj cierpienie mego syna”. Odszedłem, bo rzeczywiście nie mieliśmy dowodu, że to sprawka Jonathana. Odszedłem, bo nie potrafiłem znieść męki w oczach Ruth. Odszedłem, myśląc, że teraz już na pewno Ruth powstrzyma syna i Hellen będzie bezpieczna... — głos Gordona załamał się tłumionym jękiem, jego ciało zadrżało, spod porysowanych fioletowymi żyłkami powiek, podobnych do żywych ran, potoczyły się łzy.

Haig z Petersem milczeli, przejęci do głębi udręką płaczącego otwarcie mężczyzny. Casselowie, których wszyscy dokoła uważali za normalną, wręcz szczęśliwą rodzinę, od lat żyli w piekle strachu, obaw i panicznego lęku. Podczas wielokrotnych przesłuchań nikt z gości Miltonów słówkiem nie wspomniał o wybrykach Jonathana. Dlaczego? Miltonowie aż taki wzbudzali szacunek, że puszczono w niepamięć wyczyny ich syna? Gdyby nie Edna Miller, nie byłiby tutaj, nie odkrywali tych strasznych dla obu rodzin wzajemnych powiązań.

— I rzeczywiście, kilka następnych tygodni upłynęło w spokoju. — Gordon Cassel opanował się, otarł z łez policzki. — Ale to był

pozorny spokój. On szykował się do ataku. Nie zamierzał przestać... Całe szczęście, że my, ja i Kathy, byliśmy czujni. Lecz ani ja, ani Kathy nie przewidzieliśmy, do czego jeszcze w swoim akcie zemsty posunie się Jonathan... Tego szczeniaczka, którego kupiliśmy córce po stracie kota... tego szczeniaczka z rozprutym brzuchem przerzucił nam przez ogrodzenie.

— Skąd wiesz, że to on?

— Zostawił liścik. Do mojej córki. „Jeżeli ośmielisz się związać z jakimś facetem, to samo spotka jego”. Tak napisał.

— Jezu, i Hellen to widziała?! — wyrwał się Haigowi okrzyk zgrozy.

— Nie, na litość boską, nie! Wyszedłem jak zwykle po szóstej rano po świeże pieczywo. Wtedy to zobaczyłem. Przeniosłem zwłoki szczeniaka do garażu. Po śniadaniu powiedziałem, że mam pilną sprawę do załatwienia. Wywiozłem zmasakrowanego psiaka za miasto. Zakopałem go w kukurydzy Mastersów. Potem wspólnie z żoną i córką udawałem, że go szukam. Tak przez kilka dni szukaliśmy i szukaliśmy, aż któryś z sąsiadów przypomniał sobie, że widział jakiegoś rozjechanego szczeniaczka na Roosvelt Avenue. Hellen popłakała się, natomiast Kathy... Kathy nie dało się oszukać... Kazała mi ostatecznie rozmówić się z Miltonami. Zresztą taki miałem zamiar. Tym razem był dowód. Przewidując zachowałem liścik do Hellen. Niepodpisany, co prawda, lecz każdy grafolog z łatwością zidentyfikowałby pismo Jonathana. Ruth zareagowała bardzo agresywnie. Krzyczała, że Hellen jest zwykłą dziwką, której przespanie się z kilkunastoma członkami jury w konkursie piękności niewiele dało, bo została tylko wicemiss, że jeszcze będąc nastolatką, puszczała się z chłopakami, którzy zaliczali ją i te inne dziwki, jej przyjaciółki, na tylnych siedzeniach samochodów, więc dlaczego nagle zrobiła się święta i odmówiła jej synowi? Wszedł Jon. Podszedł do Ruth, uderzył ją w twarz. Powiedział, że ma milczeć. Dodał, że teraz on weźmie sprawę w swoje ręce i załatwi to tak, że nasza Hellen będzie miała spokój. Wkrótce Jonathan wyjechał z Nevady do Des Moines.

— Jon Milton dotrzymał słowa — stwierdzi Haig.

— W pewnym sensie tak... — odpowiedział po chwili wahania Gordon Cassel.

— Możesz jaśniej?

— Dopóki nasza córka nie wyjechała do college'u, Jonathan prześladował ją jeszcze z Des Moines różnymi listami pełnymi pogroźek. Że prędzej ją zabije, niż zobaczy ją przy boku innego mężczyzny.

— Cholera, Gordonie! Dawaj te listy!

— Pilnowaliśmy z żoną poczty. Paliliśmy je, chroniąc Hellen przed stresem.

— Panie Cassel — odezwał się Peters. — Popelniliście potworny błąd, nie zgłaszając się na policję. Takie telefony, listy z pogroźkami, zamordowany kot czy pies są przestępstwami ściganymi z urzędu.

— Uznaliśmy z Kathy, że tak będzie lepiej dla Hellen. Jonathan ograniczał się do straszenia, lecz zaatakowany, kto wie, do czego byłby zdolny się posunąć?

— Liścik znaleziony przy psiaku pewno też zniszczyłeś, cholera!

— Tamten podarła na strzępki rozwścieczona Ruth...

— Cholera, Gordonie! Wiedząc o tym wszystkim, pozwoliliście Barkinsowi kupić dom w najbliższym sąsiedztwie Miltonów? Chyba zwariowaliście oboje?

— Hellen uparła się na ten dom. Nie lubiła Miltonów; twierdziła, że nie będzie nawet z ich córkami utrzymywać zwyczajowych kontaktów towarzyskich, lecz dom jest piękny, ogród zaś po prostu jak marzenie, a Jonathan niegroźny, ponieważ daleko.

— Kłamiesz, Gordonie! Coś ukrywasz!

— Stan... Niczego nie ukrywam. Skoro mi nie wierzysz, pojedź do sióstr Adams, najlepszych przyjaciółek mojej córki. One... One również wiele wiedzą o Jonathanie — powiedział Gordon Cassel. — Tak, one wiedzą o Jonathanie bardzo dużo — dodał z naciskiem. Wstał. — Przepraszam. Muszę zajrzeć do Kathy.

12.

Mieszkały wspólnie z dawno owdowiałą matką w parterowym domu z ładnym trawnikiem, na Emerson Street, za pierwszymi światłami Roosevelt Avenue w prawo. Mąż Barbary Adams zmarł na cukrzycę w wieku czterdziestu lat. Zostawił po sobie niespłacony kredyt za dom, tysiąc dwieście dolarów na koncie i dwie nastoletnie córki. Pani Adams, której dotąd jedynym zajęciem było sprzątanie oraz przyrządzanie posiłków; drobna, wątła, skarżąca się na bóle serca kobiетка, zadziwiła bliższych i dalszych znajomych nieoczekiwaną energią. Następnego dnia po pogrzebie podjęła z konta pięćset dolarów, kupiła trzy elektryczne piekarniki i zajęła się wypiekaniem nadziewanych masą migdałową drożdżowych rogalików. Nie minął miesiąc, a o rogaliki Barbary Adams ubiegały się wszystkie cukiernie w Nevadzie. Pół roku później pod parterowy domek na Emerson Street dwa razy w tygodniu podjeżdżał van z rejestracją Cedar Falls znanej firmy Sweet Cake. Sweet Cake była gotowa zakupić każdą liczbę rogalików Barbary. Kobieta harowała po dwadzieścia godzin na dobę. Spłaciła dom. Zmieniła meble. Córkom kupiła samochody. Zdołała odłożyć kilka tysięcy dolarów na ich wykształcenie, lecz ani starsza Anna, ani o rok młodsza Carol, nie poszły do college'u. Barbarę Adams prosto od jej piekarników zabrało pogotowie. Ze szpitala wróciła z rozrusznikiem w sercu. Wypiekami zajęły się córki. Niestety Anna już wtedy zbyt często zaglądała do kieliszka, zaś dwudziestolatnia Carol zakochana bez pamięci w Charleyu Limanie, ciężkim przystojniaku pracującym dorywczo w pubie Jacka, mimo błagań matki szybko wyszła za mąż. Tak więc klienci się pomału wykruszali i pewno wykruszyliby się do końca, gdyby nie fakt, że małżeństwo nie trwało roku. Częste jęki Carol dochodzące z sypialni młodej pary nie

były jękami rozkoszy. Carol wstydliwie ukrywała siniaki po mężowskich pieszczotach, aż wreszcie na oczach matki i siostry pobił ją tak, że wylądowała w szpitalu z dwoma złamanymi żebrami. Sąd wydał męskiemu bokserowi bezwzględny zakaz zbliżania się do byłej żony. Po tych małżeńskich doświadczeniach ładniutka Carol odrzucała wszystkich starających się o jej rękę adoratorów. Anna zaś twierdziła schrypniętym od przepicia głosem, że wszyscy faceci to skończeni dranie i woli wypiekać do końca życia drożdżowe rogaliki niż skończyć tak, jak jej siostra. Rogaliki w wykonaniu Carol powróciły do łask klientów. Siostry Adams rzadko widywano w mieście. Czas im na to nie pozwalał. Poza tym ich matka wymagała starannej opieki. Otworzyła im Anna. W rękę trzymała puszkę piwa.

— Czego, pieprzeni gliniarze? — warknęła i się zatoczyła. — Wynocha. Nie prowadzimy sprzedaży detalicznej, dupki!

— Anno! Znowu przeklinasz jak szewc? — Na korytarz wyrzała Carol. Na widok policjantów jęknęła. — Jezu, to wy? Przecież już nas wasze psy dokładnie przemaglowały! Stan, to jest małe miasto! Tu się nic przed nikim nie ukryje. Każdy się zastanawia, kto to zrobił. Krążą najprzeróżniejsze plotki. Zostawcie nas w spokoju. Powiedziałyśmy w sprawie Patricka wszystko!

— Chodzi o Jonathana Milтона, Carol.

Puszka wypadła z dłoni Anny. Carol, jakby i ona była po kilku głębszych, przytrzymała się framugi.

— Nic nie wiemy! Nic! Wynocha! Wynocha! — rozwrzeszczała się piskliwie Anna.

— Na Boga, Anno, ciszej... — szepnęła, bielejąc na twarzy Carol. — Stan. Kochany. Zostaw nas. Błagam. Proszę. Choćby ze względu na naszą mamę. Niedawno wróciła ze szpitala.

— A ja mówię: wynocha. Znam swoje prawa — zabelkotała Anna.

— Carol, wpuścisz nas czy mamy ciebie wraz z nawaloną jak sto- doła siostrą zawieźć na posterunek?

— A ja powtarzam wynocha! — bełkotała Anna.

— Anno, milcz! Milcz! Stan... Sąsiedzi patrzą... Wezmą nas na języki... Od lat nie mamy nic wspólnego z tym, o kogo pytacie... — Carol jakby nawet obawiała się wymówić imię Jonathana Milтона. Patrzyła błagalnie przerażonymi oczami to na Haiga, to na Petersa. — Przysięgam. Uwiercie mi i odjedźcie.

— Kłamiesz, Carol. Masz wypisany na twarzy strach. Decyzja należy do ciebie. Zaprosisz nas do domu albo zawieziemy was na posterunek, gdzie dokonamy oficjalnego przesłuchania.

— Stan, kochany... Sąsiedzi... Stan, uważałam cię za przyjaciela... Pozwól przynajmniej spotkać się gdzie indziej... Bo sąsiedzi... Gdzieś za miastem... Żeby nas nikt nie widział z wami... Motel... Motel Starlite na głównej szosie numer osiemdziesiąt. Zgódź się...

— Może być — wyręczył Haiga Peters. — Ale bez nawalank. Radzę też wsadzić siostrę pod zimny prysznic, żeby wytrzeźwiała. Czekamy na was nie dłużej niż dwadzieścia minut.

— Och, dziękuję, dziękuję, detektywie! Motel Starlite, znasz go Stan, prawda? Zaledwie cztery mile stąd... Przyjedziemy szybciej. — Carol nieoczekiwanie dla Haiga objęła go mocno. Usłyszał łomot jej serca. I szepc: — Pomóż nam, Stan. Pomóż.

Nim zdążył pogłaskać ją po rozdygotanych plecach, Carol uciekła. Za nią podążyła chwiejnym krokiem Anna.

— Gordon Cassel postanowił wyręczyć się siostrami Adams, te zaś na sam dźwięk imienia Jonathana omal nie umarły z przerażenia — stwierdził z ponurym wyrazem twarzy Peters, wsiadając do mustanga. — Za bardzo nam się to wszystko zaczyna gmatwać, koleś. Jakbym zamiast jednej, sto srok równocześnie ciągnął za ogony... Przeszłość Barkinsa... Przeszłość Hellen... Tajemniczy przebieraniec... Same znaki zapytania. Przestając cokolwiek rozumieć... Przyhamuj! Moja komórka dzwoni!

Rozmowa była krótka. Haig usłyszał równie krótkie „dobra, Ed” Petersa. Zajęty wyprzedzaniem starego, rozklekotanego buicka zapytał: — I co?

— I co? — powtórzył, ponieważ Peters, zamiast swoim zwyczajem obrzucać brata inwektywami, milczał. — Peters! W dniu ślubu Hellen wieża kontrolna w Cedar Falls nie miała w planach przylotów prywatnego odrzutowca Philipa Barkinsa? Nie było mgły? Idealne warunki do lądowania?

— Dokładnie, koleś. Ani mgły, ani limuzyny, ani samolotu prywatnego z Los Angeles. Will Barkins ściemniał jak cholera. Wobec tego żaden tatusiek nie nadał z samolotu żadnego telegramu. Ani nie zamawiał trzydziestu pieprzonych podróbek błękitnych róż. A i telegram, i róże do Hellen dotarły. Ktoś wysłał telegram, ktoś dostarczył Clarze Boden róże. Chyba dziś, koleś, nie pójdziemy w ogóle lulu. Na

dodatek w to wszystko zaplątał się nam jeszcze Jonathan Milton, o którym dowiadujemy się, że był świrem oraz zбочkiem! Siostry Adams do tej pory obawiają się go niczym grzechotnika. Daleko jeszcze do motelu? Muszę sobie chlapnąć jednego, bo sam zaczynam svirować.

Motel Starlite oferował pięć standardowych, parterowych domków, otoczonych rachitycznymi świerkami i wąskimi podjazdami. Natomiast parking przed ustrojoną w tandetne srebrne gwiazdy restauracją był imponująco duży, zapchany samochodami, przeważnie z rejestracją z Cedar Falls, lecz także z Cedar Rapids, a nawet Davenport. W restauracji niemal wszystkie stoliki były zajęte. Carol wybrała doskonale miejsce; w takim tłoku łatwo pozostać anonimowym.

Znaleźli wolny stolik przy oknie wychodzącym na parking. Peters zamówił słabo wysmażony stek, frytki, sos żurawinowy i podwójnego bourbona. Haig naleśniki z truskawkami i bitą śmietaną. Z żalem patrzył, jak Peters wlał w siebie jednym haustem alkohol. Sam musiał poprzestać na coca-coli.

— Popraw mikrofon, koleś. Wystaje ci zza odznaki niczym wąsik ufoludka. Ta Anna Adams nie była aż tak nawalona, na jaką chciała wyglądać. A my nagrywamy swoje rozmowy nielegalnie. Bez zezwolenia od sędziego. Łamiąc konstytucję.

Siostry Adams przyjechały czerwoną, co najmniej dziesięcioletnią toyotą. Wysiadały, rozglądając się dokoła trwożnie, jakby na widok kogoś znajomego gotowe były wskoczyć do samochodu i nawiać. Twarze kryły pod rondami kapeluszy. Carol prowadziła pod rękę zataczającą się co krok siostrę.

— Rozdały między siebie role. Udają obie. Annie niby nie pomógł zimny prysznic. A przebrały się, biedaczki, niczym Maty Hari przed wykonaniem szpiegowskiego zadania — mruknął Peters. Dziabną widelcem w mięso. — Jakoś straciłem apetyt...

Carol zamówiła herbatę z cytryną. Anna, zerkając pożądliwie na niedopitego bourbona, z godnością oświadczyła, że wystarczy jej zwykła woda. Obie usiłowały zapanować nad dygotem dłoni. Bez powodzenia. Pomóż nam, Stan, pomóż, zdawały się krzyzczeć te dłonie.

— Pytaj, Stan. Chcemy to mieć za sobą. Mamie powiedziałyśmy, że jedziemy po masę migdałową... Ona o niczym nie wie. Przysięgnij, że mama o niczym się nie dowie. To by ją zabiło — oblizując koniuszkiem

języka spieczone wargi, odezwała się Carol. Anna powtórzyła za siostrą szeptem: „Zabiło. Zabiło”.

— Carol, o czym nie wie wasza matka? — Haig starał się nie patrzeć na trzepoczące dłonie siostr. Mojej Emily też tak trzepotały...

— O nim. To trwa dotąd... Jonathan... Jonathan nigdy nie przestał nas prześladować. Dzwoni od lat. Na nasze komórki. Albo do mnie, albo do Anny. Mówi tym swoim strasznym, zachrypłym głosem, że najpierw dopadnie Hellen, a potem mnie i Annę. Hellen, ponieważ odrzuciła jego miłość; nas, bo jesteśmy zboczonymi lesbami, które jego Hellen całowały w usta. Teraz, po śmierci Patricka, że wy, gliny, kiedy już nas zabije, nigdy nie poznacie sprawcy. Nigdy. Bo jesteście tylko ograniczonymi umysłowo glinami, natomiast on obmyślił plan absolutnie doskonały. Stan! Umieramy ze strachu. Wstajemy codziennie ze strachem. Kładziemy się spać ze strachem. Nocami dręczą nas senne koszmary. Hellen dopadł. Zabił jej synka. Teraz nasza kolej. Nasza, Stan. Nasza. Nasza. Nasza... — powtarzała nieprzytomnie Carol.

— Carol, uspokój się. Sprawdzimy Jonathana. Jego billingi...

— Gównu sprawdzicie! — krzyknęła Anna. — Gównu! Chociaż jest świrem, pieprzonym zboczeńcem, zawsze mu wszystko uchodziło płazem. Nawet ten malutki kotek, który przybłąkał się na szkolne boisko. Jezu! Schwycił go za ogon, wywijał nim młynka. Śmiał się i walnął zwierzakiem o mur. Jezu, lata minęły, a ja wciąż widzę zmiażdżony łeppek... I co? Ruth Milton postarała się, żeby jej ukochanemu zboczkowi darowano! Nam, dziewczynom, wrzucał za dekolty różne świństwa, na przykład garść robali. Kolegom potrafił wsadzić do szkolnej torby zdechłego szczura. Przestań mnie szturchać, Carol! Chcą poznać prawdę o Jonathanie Miltonie, to niech ją poznają! — Anna zerwała z głowy kapelusz; ciemne włosy rozsypały się na ramiona, szare oczy ziały nienawiścią. — Niech się na przykład dowiedzą, że gdyby nie nasz miłosierny doktor Tracy, zresztą przyjaciel Miltonów, Jonathan dawno by wylądował w wariatkowie, bo tam jest miejsce dla takich świrów! Ruth Milton każdemu wmawiała, że jej synalek jest dlatego niedobry, bo odrzucany przez kolegów, wyszydzany przez koleżanki, a to z powodu, że Bozia nie obdarzyła go urodą! Był brzydki jak noc, to fakt; nawet operacja plastyczna nochala go nie upiększyła. Ale co ma wygląd do charakteru? Urodził się zboczony

i taki pozostał! Życie swojej umiłowanej Hellen zamienił w piekło. Doszło do tego, że nakazał jej zerwać wszelkie kontakty, nawet z dziewczynami! Jesteś moja i tylko moja, takimi telefonami budził ją po nocach. Przez niego sama omal nie znalazła się w wariatkowie. Mnie i Carol też opowiadał, co zrobi Hellen, jeśli się uśmiechnie do jakiegokolwiek faceta! Że udusi, potem wyłupi oczy, którymi ośmielał się na nią patrzeć! Wyrwie język, którym ośmielał się z nią rozmawiać. Błagałam Kathy Cassel: idź do szeryfa, złóż doniesienie. Nie chciała. Może miała rację? W końcu poza kotem Hellen nikomu fizycznej krzywdy nie wyrządził. Jonathanowi daliby pewno zakaz zbliżania się do Hellen i tyle!

— Anno, na litość boską, nie mieszaj w to Casselów — jęknęła Carol.

— Sama przystałaś na to pieprzone spotkanie, więc siedź na tyłku i nie wtrącaj się! A ta głupia Kathy zmusiła Hellen do udziału w konkursie na miss piękności! Podobno Jonathan, widząc swoją umiłowaną paradującą w bikini, w ataku szału zdemolował swój pokój, no i Miltonowie musieli swego czubka związać, wzywać na pomoc doktora Tracy'ego. O, doktorek wie o swoim zboczonym pacjencie o wiele więcej niż ktokolwiek w tym mieście, ale on pary z gęby nie puści, bo wspólnie z Miltonami chronił i chroni Jonathana! Nawet teraz ani mru mru, chociaż Jonathan zamordował Patricka. Wreszcie się zemścił na Hellen. Wreszcie ją dopadł. Teraz dopadnie nas. Wiem, co powiecie, durne gliny! Że przecież Jonathan od lat mieszka w Des Moines, ożenił się, ma dzieciaka. Ta odległość jednak jakoś mu nie przeszkadza w bezustannym grożeniu nam śmiercią. Ja topię strach w alkoholu, spójrzcie jednak na moją siostrę? Co zostało z uroczej, wesołej niczym szczygiełek Carol? Wyszła na wiór, same kości. Zrywa się z krzykiem po nocach. A my, żeby się utrzymać, musimy wypiekać te pieprzone rogaliki, udawać przed chorą matką, przed wścibskimi sąsiadami, że wszystko okay. Nawet wyprowadzić się stąd nie ma jak, bo niby dokąd...

— Anno, Carol! Sprawdźmy billingi Jonathana... — zaczął Haig, lecz mu przerwała histerycznym śmiechem.

— Jasne, sprawdzicie! Przez tydzień szukacie gościa, który zamordował dzieciaka Hellen, i gówno! Wam się wydaje, że przechytzycie Jonathana? Carol, oni sprawdzą billingi, co za dupki! Okaże

się, że za każdym razem dzwonił do nas z jakiejś pieprzonej budki telefonicznej! I pewno wcale nie z Des Moines! Wsiadał w brykę, krążył po różnych szosach stanu, jak najdalej od Des Moines, dupki, i wydzwaniał z przydrożnych stacji benzynowych, zawsze nocą, dwa, trzy razy w tygodniu, dupki, tym swoim chrapliwym głosem, że teraz nasza kolej. Pamiętacie kotka, jak mu na oczach wszystkich rozwalilem łeb o mur? Z wami zrobię to samo. Zwiążę, zaknebluję, wrzucę do bagażnika, wywiozę poza stan, a na pierwszy ogień pójdzie Anna, ta podstarzała kurwa, która moją Hellen całowała w usta, więc jej te usta wytnę, a głowę będę pomału rozwaliał młotkiem, aż wytryśnie mózg, a potem zabiorę się za Carol, która moją Hellen podmacywała; wy dwie niewyżyte lesby. Tym swoim chrapliwym głosem mówił, że nasze ciała rzuci na pożarcie krokodylom. I nigdy ich nie znajdziecie. Nigdy. Nigdy. Nigdy. Bo on jest doskonały. On jest ponad. A jeśli któraś z nas komukolwiek się poskarży, dowie się o tym. I wówczas uczyni naszą śmierć jeszcze straszniejszą. I co wy na to, gliny?

Haig zignorował agresję Anny.

— Do której z was ostatnio dzwonił?

— Do mnie... — ledwo słyszalnie poruszyła wargami Carol. — Dziś. Jak zwykle nocą... To było straszne, straszne. Bo on w ogóle się nie odezwał. Słyszałam tylko jego sapanie. Krzyknęłam, żeby wreszcie przestał... I nic. Nadal tylko to sapanie...

— Sapanie?

— I jakby nie był sam. Bo usłyszałam jeszcze czyjś chichot... Stan. Pomóż nam. Pomóż.

— Dlaczego nie zmieniliście operatorów? Dlaczego na noc nie wyłączałyście komórek?

— Pieprzony glino, bo nam zakazał! Wiedział o naszej chorej matce! Groził, że jeśli cokolwiek zrobimy wbrew jego woli, zadzwoni do niej! — krzyknęła Anna. — Nawet te pieprzone billingi, jakie przychodzą wraz z rachunkiem, kazał palić!

— Rozumiem. Sprawdźmy wobec tego i wasze.

— Gówno rozumiesz!

— Anno, zamknij się wreszcie! Carol, podaj numery waszych komórek. Okay, dzięki. Dowiemy się, skąd wydzwaniał. Budki telefoniczne przy szosach też mają swoje numery. Teraz spokojnie wracajcie do domu. Przydzielimy wam całodobową ochronę.

13.

Patrzyli na oddalające się kobiety. Tym razem to Anna podtrzymała troskliwie siostrę. Coś do niej mówiła, pocieszająco gładziła po ramieniu. Haig przez moment zobaczył ściągniętą strachem twarz Carol. Zastanawiał się, czy Miltonowie wiedzą, co nadal wyczynia ich syn.

— Kompletny świr, zgadza się. Miltonowie nie muszą znać całej prawdy o swoim synalku — jakby odgadując myśli Haiga, posępnie stwierdził Peters. — Ale to nie on zabił Patricka, sam wiesz, że nie on, chociaż pasuje mi profilem psychicznym. Swoją psychopatyczną satysfakcję zaspokajał groźbami.

— Zaspokaja ją nadal, Peters. Wyżywa się na siostrach wyłącznie dlatego, że przyjaźniły się z Hellen. To chore, to zboczone jak cholera. Bardzo mi się ten facet nie podoba.

— Mnie również, koleś. Trzeba zboczka przyskrzynić. Na to istnieje odpowiedni paragraf. Tym razem kochająca Ruth Milton nie osłoni synalka. Trafi do psychiatryka jak amen w pacierzu. O ile to on wydzwaniał. Kiedy z nim gadałem w dniu porwania Patricka, głos miał normalny. Cichy, przerażony, lecz bez najmniejszej chryпки. Ów posłaniec z różami także chrypiał... W dodatku był wysoki i tęgi. Jonathan jest niewysoki i szczuły. Z całą pewnością nie on udawał posłańca z bukietem. Cholera, w takim razie: kto?!

— Trzeba wystąpić do sędziego o nakazy na założenie podsłuchów na komórki Jonathana, Miltonów, siostr Adams...

— Nie wymądrzaj się, dobra?

— Ależ, Peters...

— Wystarczą nam billingi! Mój ukochany braciszek domaga się szybkiego ujęcia faceta, bo mu stanowisko gubernatora odpłynie w siną dal! Zdajesz sobie sprawę z tego, jak bardzo zainteresowałby się

sędzia, gdybym poprosił o takie nakazy? Pierwszy wniosek wyciągnąłby następujący: Nie dają sobie rady ze śledztwem, jak dotąd żadnych raportów od prokuratora, który oczywiście osłania swego nieudolnego brata, więc odebrać mu śledztwo, przekazać je FBI! Chcesz FBI w Nevadzie? Najazd wszelkich możliwych mediów? Tych hien z bulwarowej prasy?

— No nie... — przyznał Haig. — W żadnym wypadku nie — dodał zdecydowanie.

— Więc nie bredź jak pojebany! Damy radę bez podsłuchów. Cholera, koleś! Wnerwiłeś mnie! Chłapnę jeszcze jednego bourbona...

— Ani mi się waź. Wiesz, jak od tego jednego poczerwieniała ci gęba? Spadamy stąd. Na pewno ściągnięto już komplet informacji na temat Philipa Barkinsa. Matko, Peters! Co robisz? — wykrzyknął Haig, ponieważ detektyw zawijał niedojedzony stek wraz z frytkami w papierowe serwetki.

— Zapłacone, więc moje. Przeżuję tę podeszwę w drodze powrotnej, koleś. Dobra, spadamy. Ten pieprzony Jonathan potrzebny nam jak dziura w moście... — pomrukiwał wściekle detektyw, idąc do mustanga. Zanim zapiął pas, połączył się przez radio z posterunkiem, polecił zająć się sprawdzeniem billingów Carol i Anny Adams. Ryknął: „Idioto, wiem, że to wymaga czasu! Posłuchaj, zakuta pało, na razie wystarczy mi ostatnie połączenie z Carol Adams! Masz na to pół godziny, popaprańcu!”, po czym odwiesił słuchawkę, klnąc Haiga, że w jego zespole pracują sami kretyni, którzy niczego nie potrafią, poza pierdzeniem w stolki, „toteż nie spodziewaj się, koleś, pełnego dossier tatuśka Barkinsa”.

Miał rację. Dotychczas informacji o Philipie Barkinsie było niewiele. Kilka zdjęć jego kliniki. Jej prospekty reklamowe, prezentujące jakieś anonimowe, podstarzałe brzydule przed operacją plastyczną, która odmieniała je w piękności, mogące konkurować z gwiazdami filmowymi. Zeskanowane z kolorowych magazynów skandalizujące historie o życiu prywatnym słynnego chirurga: trzech żonach, którym płacił astronomiczne alimenty, dziesiątkach romansów, rozrzutnym stylu życia, orgietkach na jachcie. Ze zdjęć Philip Barkins, przystojny facet z gładką twarzą bez jednej zmarszczki, który sam mógłby być chodzącą reklamą swojej kliniki, patrzył piwnymi, jak Willa, oczami. Uśmiechał się uśmiechem Willa. Nos miał z charakterystycznym, jak u Willa, niewielkim garbkiem.

Było również kilka zdjęć jedyne go syna Barkinsa. Przedstawiały młodego Willa w niewyznaczonych sytuacjach. Z gołymi panienkami w łóżku. Albo z gołymi panienkami na jachcie. Upitego w sztok, z butelką trunku w ręku.

— Gdyby Kathy Cassel poszukała informacji o swoim przyszłym zięciu w internecie i zobaczyła, jaki z niego był skandalista, założy się, koleś, że nie dopuściłaby do ślubu.

Haig przyglądając się tym zdjęciom, poczuł nagły przypływ niechęci do Willa.

— Obrzydliwość — mruknął.

— Za to podobieństwo tak uderzające, że rozwiewa wszelkie wątpliwości. Philip Barkins jest ojcem Willa. Dlaczego się go wyparł? Może z powodu tych orgietek? Ciągłych skandali? Może któraś z tych panienek miała na jego syna haka i na przykład szantażowała go, domagając się kasy? Diabli wiedzą. W każdym razie posuwamy się w dobrym kierunku, koleś. Stary wywalił syna na zbity pysk. Dlatego Will opuścił Los Angeles. Trzeba grzebać dalej, drążyć głębiej. Kiedy opuścił Los Angeles? Gdzie podziewał się przez te lata, zanim przyjechał do Cedar Falls i poznał Hellen Cassel? Thompson, szperajcie nadal. Dziwnie mało tych informacji internetowych o tak znanym facecie. Jakby je ktoś celowo zablokował. Dobra. Jeśli zajdzie potrzeba, przyciśniemy osobiście samego Philipa Barkinsa. Dobrze gadam, koleś? Willa mamy pod nosem. Nie nawieje. Czeka na swoją Hellen... Żeby to szlag! Co on ukrywa?

On się boi tego, co ukrywa, Peters. Teraz rozumiem, dlaczego tak się zdenerwował, gdy zapytałem go o te zdjęcia, na których byli wyłącznie Hellen z Patrickiem. Dlatego usunął wszystkie swoje zdjęcia z ceremonii ślubnej. Boi się kogoś, kto go zna. Kogoś stąd. Inaczej nie usuwałby swoich zdjęć. I tu nie chodzi o nieudaną operację; gadałeś słusznie, Peters. Chodzi o kogoś stąd, kto być może go szantażuje lub grozi. Jak siostry Adams. Jonathan? Za młody! Miltonowie, wyjątkowo poważana rodzina. Ale ani Hellen, ani Will nie utrzymywali z nimi mimo tak bliskiego sąsiedztwa żadnych towarzyskich kontaktów. To wbrew przyjętym w naszym mieście obyczajom. Wnukowie Miltonów nigdy nie bawili się z Patrickiem... Will chciał ogrodzić posiadłość wysokim murem...

— Haig, aleś się zamyślił! Ocknij się, koleś. Miniesz własny posterunek!

— Bo tak sobie właśnie rozważam, z jakich powodów nieszczęsny Will udawał, że jest z ojcem w dobrych stosunkach? Urządził przedstawienie z oczekiwaniem na samolot. Sprokurował nadanie telegramu, rzekomy bukiet dla Hellen — skłamał Haig, wjeżdżając na policyjny parking. Jeszcze za wcześnie, Peters, żebym się z tobą dzielił swoimi podejrzeniami. Ludzie się zmieniają. Przyjaźniłem się z Willem. Był w porządku. Najlepszy mąż, najlepszy ojciec.

— Tego właśnie musimy się dowiedzieć, koleś. Tego i jeszcze więcej... — pośpnie stwierdził Peters.

Weszli na halę. Na ich widok Ricky poderwał się gwałtownie.

— Co jest, koleś? Masz minę, jakbyś odkrył Amerykę!

— Bo zdobyłem od operatora Carol Adams numer komórki, z której do niej dzwoniło wczoraj w nocy! — pucułowate policzki Ricky'ego pały z podniecenia. — Bo jestem w tej samej telefonii co Carol i trochę nałgałem... Bo mam tam kumpla i on...

— Ricky — przerwał Peters. — Numer!

— Ojej, szefie... To numer Jona Milтона. Dziwne, co nie, szefie? Czemu Jon Milton wydzwaniał do Carol nocą?

Ptasia twarz Petersa na ułamek sekundy skamieniała. Ruch jego dłoni za to był błyskawiczny. Uchwycił ramię Ricky'ego i jakby ten wysoki, dobrze zbudowany dwudziestoletni mężczyzna był kurczakiem, przyciągnął go do siebie i potrząsając nim, powiedział stłumionym głosem:

— Nie twoja sprawa, Ricky. I morda w kubeł. Was wszystkich tu obecnych dotyczy ta uwaga o mordzie w kubeł. Ścisłe tajne, zrozumiano? A teraz, dupku, nazwisko kumpla i łącz mnie z nim. Natychmiast.

— Jon Milton? Jon? Ależ to jakaś totalna pomyłka... — zaprotestował Haig, czując drętwienie karku.

— Ty również mordę w kubeł, koleś. Nawet jeśli pomyłka, pół miasta za moment się o niej dowie. Chcesz tego, koleś? Ricky! Nazwisko!

— Jerry Roy, szefie... O rany, szefie... Ale szef ma uścisk... Żelazny... — przestraszony Ricky rozcierał ramię. — Będę miał siniaki...

— Komóra i łącz! — Peters wyrwał Ricky'emu komórkę, ledwo ten wybrał numer. — Jerry Roy? Posłuchaj, Jerry. Mówi detektyw stanowy Collin Peters. Twój kumpel Ricky wydebił od ciebie pewien

numer. Mówiłeś o nim komukolwiek? Nie? Słuchaj dalej, Jerry. I tak ma zostać, kapujesz? Od teraz zostaje to objęte klauzulą tajności. Puścisz parę, choćby przez sen, pójdziesz siedzieć. — Peters wetknął komórkę w kieszeń Ricky'ego. — Chyba twój kumpel zesrał się w portki ze strachu. Haig, jedziemy. Thompson! Philip Barkins w odstawkę. Wyciągnąć raporty z przesłuchań Miltonów. Sprawdzić słówko po słówku. Zdanie po zdaniu. Nie sugerować się, że to tak zwana porządna rodzina. Do roboty, koleś!

14.

Gdy dojeżdżali do Short Street, Haigowi mignął biały pontiac. Taki, jakim jeździł doktor Mark Tracy. Ale w Nevadzie kilkunastu facetów jeździło białymi, nadającymi się do zezłomowania pontiacami. Co by zresztą robił u Miltonów doktor Tracy w godzinach przyjęć swoich pacjentów? Jona i Ruth Haig widział przedwczoraj parkujących przed marketem Louise Duval. Trzymali się czule pod rękę, roześmiani, zadowoleni...

— Chryste, Peters, nie wierzę, że to Jon... Jon do niczego nie pasuje. Ricky się myli — oponował Haig, któremu w głowie się nie mieściło, żeby Jon był zdolny do wyrządzenia komukolwiek jakiegokolwiek krzywdy. Tym bardziej do wygadywania nocnych potworności.

— Tu już nic do niczego nie pasuje, koleś. Poza numerem komórki Jona Milтона.

— Nie znasz treści rozmowy, jedynie numer komórki!

— Należy do Milтона. Jednak masz rację. To nie on dzwonił do Carol — ze stoickim spokojem stwierdził Peters, wprawiając Haiga w osłupienie.

— Chryste, ja z tobą zwariuję!

— Zamiast wariować, patrz przed siebie, bo wjeżdżamy w Short Street. Zwolnij. Jedź powoli, jakbyś patrolował uliczkę. Wjeżdżając na posesję Miltonów, obejdz wszystkie rodzinne domostwa, jakbyśmy naprawdę byli na służbowym patrolu. Ciekawe...

— Co ciekawe?

— Te gęste szpalery topoli. Bardzo, bardzo gęste. Zaslaniają domy córek od strony domu rodziców.

— Teri z Cristin prowadzą bujne życie towarzyskie. Miltonowie najwidoczniej pragnęli zachować intymność swego.

— Może... — odparł bez przekonania Peters. — Dobra, koleś. A teraz buźka w ciup. U Miltonów też. Twoi zacni Miltonowie zataili przed nami sprawki swego chłoptasia. Nie wszystko da się wytłumaczyć matczyną czy ojcowską miłością w okolicznościach, gdy zdecydowanie nie lubianym przez Miltonów Barkinsom porywa się i morduje dzieciaka... Dobra, teraz zatrzymaj brykę przed domem Jona. Posiedzimy tu chwilkę. Widzisz? Poruszyła się firanka w oknie. O ile dobrze pamiętam rozkład domu, z kuchennego okna widać każdego, kto wjeżdża lub wchodzi na ich posesję. Ktoś tam za nią stał. Obserwował. Dlaczego obserwował? Od kiedy? Założę się, że drzwi otworzy nam Ruth Milton i nawet nie zdziwi jej nasz przyjazd. Zawoła: „A, to ty, Stan! I pan, detektywie! Miło mi, że zechcieliście nas odwiedzić. Właśnie pieklam ciasteczka na podwieczorek. Zapraszam serdecznie! Prosto do salonu”.

Ruth Milton, stając w drzwiach, pospiesznie odwiązywała gospodarski fartuch.

— O, kogo ja widzę? Nasz kochany szeryf i pan detektyw. Cieszę się, że do nas wpadliście. Właśnie pieklam waniliowe ciasteczka. O tej porze zazwyczaj piekę ciasteczka dla swoich ukochanych wnuków. Zapraszam z radością. Zaraz zawołam Jona. Też się ucieszy. Po tej tragedii z Patrickiem rzadko ktoś nas odwiedza. Stan, źle wyglądasz, mój drogi. Po panu, detektywie, także widać nieprzespane noce... Jon! Mamy gości! — krzyknęła w głąb domu. — Gdzie jesteś, Jon? Bo ja muszę do kuchni... Ciasteczka mi się przypała. Och, Stan! Znasz drogę, zaprowadź detektywa do salonu. Czujcie się panowie jak u siebie w domu.

— Z chęcią dotrzemy pani towarzystwa w kuchni — uśmiechnął się Peters.

— W kuchni? Ależ to miejsce nieodpowiednie dla gości!

— Bardzo lubię kuchnię... Zwłaszcza zapach świeżo pieczonych ciasteczek, pani Milton. — Peters pociągnął nosem, jakby zapach waniliowych ciasteczek przenikał do holu.

Nie przenikał. A powinien, ponieważ Ruth pozostawiła drzwi od kuchni lekko uchylone. Fartuch, jaki trzymała w rękę, był idealnie biały, bez jednej plamki, zgniecenia, śladu mąki.

— No trudno. Przyznaję się bez bicia. Nie pieklam ciasteczek — powiedziała szybko Ruth. — Z kuchennego okna widać nie tylko podjazd, lecz prawie całą uliczkę, jeśli korzysta się z dobrej lornetki.

Obserwujemy na zmianę. Ja i Jon. Dopóki nie schwytaacie oprawcy Patricka, boimy się o wnuki. Nasz teren jest bardziej rozległy niż u nieszczęsnych Barkinsów. Nie ma ogrodzenia, za to mnóstwo starych, rozrośniętych drzew. Zauważyliście chyba, że mimo ładnej pogody nie bawi się na zewnątrz żaden z naszych wnuków?

— Zauważyliśmy, pani Milton — uśmiech Petersa stał się zjadliwy. — Tak po przyjacielsku jednak udzielę pewnej dobrej rady. Zdradził panią nie tylko brak zapachu wanilii w holu. Na drugi raz proszę sobie przygotować lepszy kamuflaż. Wybiegać na powitanie gości z przybrudzonym mąką fartuchem. No i choćby jej odrobiną na dłoniach. Pani są idealnie czyste.

Przymilny wyraz jak zdmuchnięty wiatrem płomień świeczki zniknął z twarzy Ruth.

— A wy właściwie tu czego? W gości was nie zapraszałam.

— Nie? — zadrwił otwarcie Peters. — Dopiero przed chwilką mówiła pani, abyśmy się tu czuli jak u siebie.

— Zmieniłam zdanie. Wynoście się z mego domu. Chyba że macie nakaz.

— Pani Milton, o nakaz nietrudno. Mamy z nim wrócić i dokonać przeszukania?

— Przeszukanie? U mnie? Na jakiej podstawie? Teść mojej córki jest w tym mieście burmistrzem!

— A mój brat prokuratorem stanowym, pani Milton. Dość zabawy w ciuciubabkę. Proszę zawołać męża. Boicie się, o tak, bardzo się boicie. Ale nie o wnuki. O tego, kogo ukrywacie w domu. O Jonathana.

Ruth krzyknęła. Zasłoniła twarz fartuchem.

— O Jonathana? — powtórzył niczym echo Haig. Pomyślał: O, cholera! Ukrywają Jonathana? Jak Peters na to wpadł?

— Nie wtrącaj się, koleś — uciął Peters. — Jonathan tu jest. Nie wiem jednak jeszcze od kiedy. Ale pan zaraz nam wszystko grzecznie wyjaśni, prawda? — zwrócił się do poszarzałego na twarzy Jona, który wysunął się z kuchni, podszedł do płaczącej żony i objął ją pocieszająco ramieniem. — Kiedyś pan, panie Milton, obiecał zrozpaczonemu ojcu Hellen, prześladowanej przez Jonathana, że ten więcej nikomu nie będzie urządzał prania mózgów swoimi zboczonymi groźbami. Nie dotrzymał pan słowa. Być może sądził pan, że Jonathan się uspokoił. My jednak posiadamy dowody na to, że się nie uspokoił. Chwila,

panie Milton. Zaraz dopuszczę pana do głosu. Wiem, co oboje przeżyliście przez Jonathana. Jakie to dla was potworne nieszczęście, mieć zбочzonego syna, może nawet socjopatę. Borykać się z taką świadomością. Drzeć każdego dnia, żeby jakiemuś bezbronnemu zwierzkowi nie wypruł flaków. Domyślam się, jaką gehennę musieliście przeżyć, dowiadując się najpierw o porwaniu, później o zamordowaniu synka Hellen. Na pewno sądziliście, że to wasz syn. Nie, to nie on, panie Milton. W tym jednym mogę pana uspokoić. Nie on. Lecz nie potrafię zrozumieć, dlaczego i przed kim chronicie teraz Jonathana. Ani dlaczego udostępnił pan mu swoją komórkę w środku nocy. Nie jest pan głupcem. Sprawdził pan ostatnie połączenie. Wiedział doskonale, że Jonathan dzwonił do Carol Adams. I nie zapytał, po co dzwonił?

— Jon, nie pozwól mu zrobić krzywdy! — krzyknęła dzikim głosem Ruth.

— Nie pozwolę, kochanie. Idź do sypialni. Połóż się. Zajmę się panami. Nie martw się. Zrozumieją... — Jon ucałował czoło Ruth, pogłaskał ją po włosach. — No, idź. Idź... Będzie dobrze.

Wyszła z holu, ślaniając się na nogach.

— Zanim wszystko wyjaśnię, pozwólcie za mną. Tymi schodami na górę. Tam mamy gościnne sypialnie. W jednej z nich ukryliśmy Jonathana — Jon mówił matowym, pozbawionym emocji głosem. — Wybaczcie, pójde pierwszy. Od razu wiedziałem, że prędzej czy później to się wyda. Błagałem Ruth, aby obecności syna nie utajniać, ale się uparła... Najpierw, mówiła, niech Jonathan odzyska spokój, a potem... — machnął ręką, minął kilka drzwi, zatrzymał się. Zapukał. — Nie bój się, synu. To ja, tata. Są ze mną panowie z policji. Ich też się nie bój. Nie zrobią ci krzywdy.

Pchnął drzwi.

— Chryste... — szepnął Haig.

Pożółkła skóra opinająca wystające kości policzkowe. Usta posiniałe. Pod oczami nieomal czarne wory. Po obu stronach łóżka dwie kroplówki, z których do wenflonów przyklejonych plastrami do zsiniałych dłoni sączyły się leki.

— Glukoza, środki wzmacniające i nawadniające. Odkąd wrócił z Des Moines, odmawia przyjmowania pokarmów... Doktor Tracy odradza szpital... Twierdzi, że w otoczeniu najbliższych mu osób Jonathan poczuje się bezpieczny. Że te kroplówki go wzmocnią, a prozac

wyprowadzi z depresji... — Głos Jona Milтона zadrżał. — Chcecie mu zadać jakieś pytania?

— Jemu nie — odparł krótko Peters, odchodząc od łóżka.

— Detektywie... Co z Hellen? Wyzdrowiała? — W kierunku Petera szarpnęła się dłoń Jonathana. Stojak z butlą kroplówki zakolewał się.

— Synku, leż spokojnie! Przecież ci powtarzam codziennie i doktor powtarza, że Hellen wyzdrowiała.

— Kłamiecie. Detektywie! Szeryfie! Kłamią, bo wiedzą, że umrę, jeśli Hellen umrze.

— Nie umrze, Jonathanie. Przestań się zadręczać. Hellen by tego sobie nie życzyła — odpowiedział, starając się uśmiechnąć Haig.

— Hellen sądzi, że to ja... Że ja skrzywdziłem Patricka... A ja... Ja go kochałem. Taki podobny do mojej Hellen... Mojej. Wciąż mojej. Zawsze mojej — na ustach Jonathana pokazała się piana. — Mojej. Mojej. Mojej.

— Tak, Jonathanie. Wciąż twojej — powiedział Haig, bo cóż mógł powiedzieć temu oszalałemu mężczyźnie? Poprawił naruszoną szarpnięciem igłę w wenflonie. Dłoń Jonathana sparzyła go zimnem. Bił od niej specyficzny zapach. Jakby jakiegoś kosmetyku. Może odkażającego spirytusu?

— Na pewno mojej?

— Na pewno, Jonathanie.

— Wobec tego umrę szczęśliwy... Mojej. Tak, tak. Mojej... — coraz ciszej powtarzał Jonathan. Zamknął oczy. Powieki miał fioletowe. Zasnął.

Ruth nie pokazała się w salonie. Jon Milton nie zajął do żony.

— Teraz pan rozumie, detektywie, przed kim chronimy naszego syna — odezwał się Jon Milton. — Przed nim samym. I przed ludźmi, ponieważ oni zawsze widzieli w Jonathanie wyłącznie zło. Wy macie dowody, że Jonathan jest niewinny. Wielu jednak uważa przeciwnie. Że wyłącznie Jonathan pasuje jak ulał do wizerunku oprawcy. Że to on, bo kto inny z tego naszego spokojnego miasta? No, kto? Oczywiście Jonathan! Świr, który zabił kotka i psa Hellen!

— A nie zabił, panie Milton?

— Chryste, nie wiem! Przysięgał, że nie! Że zbyt kocha Hellen, aby narażać ją na cierpienie! Czy miłość jest zbrodnią?

— Często do niej prowadzi, panie Milton. Pana syn, jak przekonaliśmy się przed chwilą, dotąd nie uporał się ze swoją obsesyjną miłością do Hellen.

— I z tej miłości postanowił umrzeć... — Jon Milton zaniósł się suchym, bezradnym szlochem. — Staraliśmy się z żoną wychować go na porządnego człowieka. Leczyliśmy go z nadpobudliwości. Był pod stałą opieką doktora Tracy'ego. Lecz to prawda, nasz syn od dziecka wykazywał złe skłonności. Przysporzył nam wielu cierpień. Żeby wybić mu jego szalone uczucie do Hellen, wyprawilem go do Des Moines. Tam również się nie popisał. Niezbyt wierzyłem Danieli, że ją zgwałcił. Sądzę, że to raczej ona go zgwałciła. Jonathan był prawiczkiem, Daniela doświadczoną w seksie kobietą. Ruth popełniła zasadniczy błąd, zmuszając Jonathana do wzięcia ślubu ze znacznie starszą od siebie, cwaną kobietą. Nie musiał się z nią żenić. Wystarczyło podwoić żadaną za milczenie stawkę. Daniela zamieniła życie Jonathana w piekło. Drwiła z niego, że dziewictwo pewno zachował dla swojej ukochanej Hellen. Że jego syn jest równie szpetny jak on i pewno mu trzeba będzie zrobić operację plastyczną, aby kiedykolwiek zechciała go jakaś dziewczyna. Nienawidzę Danieli. To zła kobieta. Ciągłe domagała się pieniędzy, grożąc, że rozwiedzie się z Jonathanem i odbierze mu dziecko. A mój biedny syn kochał małego, bo mu się ubzdurało, że chłopczyk jest podobny do Hellen... W dniu zaginięcia Patricka śmiała się, że jego umiłowanej Hellen podobny do niego zboczek porwał dzieciaka i na pewno go zabije... Pytał się pan, detektywie, od kiedy ukrywamy Jonathana. Dokładnie od momentu, w którym dowiedział się o tym potwornym manekinie. Daniela zadzwoniła do Ruth, mówiąc, że Jonathan w ataku furii zdemolował mieszkanie. Udało jej się zamknąć go w łazience. Policji nie wezwała, ponieważ liczyła jak zwykle na naszą wdzięczność. Niemal co tydzień musiałem na jej konto posyłać a to dwieście, a to trzysta dolarów. Nienasycona suka! Ruth przywiozła Jonathana w stanie absolutnej psychicznej rozsypki. Nie usprawiedliwiam syna z jego złej przeszłości. Widzieliście go. To nie on dzwonił z groźbami wczorajszej nocy do Carol Adams.

— Pan dzwonił, panie Milton.

— Z groźbami? Nie, detektywie. Gdzieś grasuje prawdziwy socjopata, a wy nachodzicie niewinnych, porządných ludzi!

— Dzwonił pan. Proszę o komórkę.

— A ja o nakaz!

— Daj im tę pieprzoną komórkę, Jon! Inaczej nigdy się od nas nie odczepią. — Ruth stanęła w drzwiach salonu. Patrzyła na policjantów z nienawiścią.

Peters długo sprawdzał połączenia Milтона.

— Do kogo należy powtarzający się numer 5552324258?

— Peters, to numer doktora Tracy'ego — wtrącił Haig.

— Dobra, rozumiem — mruknął Peters. — Numer 4566678992 jest numerem komórki Carol Adams. Dzwonił pan do niej dokładnie o godzinie trzeciej zero dwie...

— Jeżeli nawet dzwonił, co z tego? Czy to karalne? — prychnęła pogardliwie Ruth.

— Groźby są karalne, pani Milton.

— Nie groziłem Carol! Co noc pełnię dyżur przy Jonathanie. Ruth, nie przerywaj. Nic o tym nie wiesz, bo nie chciałem cię denerwować. To był wyjątkowo trudny dyżur. Jonathan ciągle dopytywał się o Hellen. Potem, ponieważ chyba wszystko mu się pokręciło w tej jego biednej głowie, zapytał, czy Anna i Carol jeszcze żyją. Zapewniałem go, że żyją, bo dlaczego miałyby nie żyć. Krzyczał, że teraz ich kolej. One muszą umrzeć jak Patrick. Jak inni. Byłem przerażony. Chcąc go uspokoić, powiedziałem, że mimo późnej pory zadzwonię do Carol. Odezwała się przerażonym głosem: „Jonathan, zostaw nas wreszcie w spokoju. Błagam, zostaw!”. Chryste, przeraziłem się tak, że komórka wypadła mi z ręki. A z niej krzyczała Carol: „Jonathan, zostaw nas! Zostaw!”. Chryste, niczego z tego nie rozumiem! Odkąd oszalał na punkcie Hellen, na wszystkie jej przyjaciółki patrzył z uwielbieniem, ponieważ one dla niego były jakby częścią ubóstwianej przez niego istoty. A tu nagle ten zamierający od strachu głos Carol: „Jonathan, zostaw nas wreszcie w spokoju”. I te oszalałe pytania Jonathana, czy Anna i Carol jeszcze żyją. Bo muszą umrzeć jak Patrick. Jak inni. Panowie! Wydawało mi się, że sam zwariowałem!

— Jon! Przyznaj się! Chlapnąłeś sobie wczoraj niekiepsko! Ostatnio w ogóle za dużo pijesz! — krzyknęła rozwścieczona Ruth. — Uchlany w sztok dostałeś delirium, ty nędzny pijaczyno!

Peters zignorował wrzask kobiety.

— Natomiast ja nie rozumiem, panie Milton, czemu wypierał się pan, że dzwonił do Carol — zapytał.

— Bo nie uwierzyłby pan, gdyż i mnie samemu ciężko jest uwierzyć w to, co usłyszałem. Nawet moja żona mi nie wierzy. Ruth, na litość boską, przecież wiesz, że ja nie piję!

— Upijasz się codziennie!

— Panie Milton — Peters nadal nie zwracał uwagi na Ruth. — Otóż ja panu wierzę. Ktoś od lat podszywa się pod Jonathana.

— Chryste, dlaczego?

— Może Jonathan wie od dawna o czymś, o czym nie powinien wiedzieć. Może domyśla się czegoś, czego nie powinien się domyślać. Nie wiem, panie Milton. Sprawdzimy billingi sióstr Adams...

— To na pewno ta suka, Daniela! — krzyknęła Ruth.

— Sprawdzimy i jej billingi. Wasze również. Wystarczą nam za ostatnie dwa miesiące. Poproszę o nie.

— A któż przy zdrowych zmysłach by je przechowywał? Opłacamy rachunki w terminie. Po co nam podobne śmieci? — prychnęła pogardliwie Ruth.

— Rozumiem. — Peters wstał. Skinął na Haiga. — Proszę uważać na syna. Gdyby działo się coś podejrzanego, natychmiast niech pan dzwoni pod alarmowy.

— Co to znaczy? Czy memu synowi ktoś zagraża? — Ruth wbiła w Petersa nagle nieprzytomne z przerażenia oczy.

— Obawiam się, że tak, pani Milton.

— Matko przenajświętsza.... — Ruth, mdlejąc, okręciła się jakby tanecznym ruchem i osunęła wprost w ramiona męża.

15.

Tym razem Haig, bez czekania na polecenie Petersa, sam zatrzymał się na najbliższym parkingu przy Roosevelt Avenue. Prześladowało go uczucie, że coś ważnego im u Miltonów umknęło. Teraz był niemal na sto procent pewny, że biały pontiac, z którym się wyminął, skręcając w Short Street, należał do doktora Tracy'ego. Między szesnastą a osiemnastą doktor przyjmował u siebie drugą, popołudniową turę pacjentów. Jedynie nagle wezwanie do ciężkiego przypadku trafiłoby go wyrwać z gabinetu. Musiał gnać do Miltonów, co oznaczałoby, że stan Jonathana pogorszył się i doktor udzielał mu pomocy. Tymczasem Ruth przywitała ich, udając radosne zaskoczenie, potem stała się agresywna, a wreszcie słysząc, że chodzi im o Jonathana, przeraziła się — lecz nie wyglądała na matkę, która niedawno wzywała na pomoc lekarza. Ostatnie połączenie z komórki Jona było do Carol. Mogli, oczywiście, zadzwonić po doktora ze stacjonarnego... Dlaczego jednak żadne z nich nie wspomniało, że Jonathan wymagał gwałtownej pomocy?

— Jakbyś czytał w moich myślach — odezwał się Peters, odpinając pas. — Poruszamy się niczym w labiryncie. Nie da się tyłu srok równocześnie ciągnąć za ogon. Stan, Jon Milton jest alkoholikiem? Pytam, bo wy tu wszystko o wszystkich wiecie. W dniu zniknięcia Patricka był trzeźwy jak świnia, chociaż z okazji urodzin wnuczki miał prawo sobie zdrowo gołnąć. Dziś chuch również niczym u niemowlaka. Aż tak się kamuflował?

— Jon jest abstynentem. Nie pije nawet piwa. Ruth kłamała, bo dostała niezłego pierdolca, gdy Jon powiedział o telefonie do Carol, usiłując przekonać nas, że w alkoholowym delirium Jonowi się wszystko przywidziało. Zastanawiam się, czemu Jon zataił to nocne połączenie z Carol przed żoną? Co może oznaczać pytanie Jonathana,

czy Carol oraz Anna jeszcze żyją? Bo umrą jak Patrick, jak inni! Peters! Naprawdę uważasz, że Jonathanowi grozi niebezpieczeństwo? Czy tylko Miltonów tak popuszcili?

— Grozi. Nie popuszcili. Jonathan nie bez powodu zadawał te straszliwe pytania. On nie wydzwaniał ani do Carol, ani do Anny, przynajmniej w ciągu ostatniego tygodnia. Sądzę, że Jonathan w ogóle nie dzwonił do sióstr. Ktoś jednak wydzwaniał. Ktoś, kto mówi mocno chrypiącym głosem. Tajemniczy posłaniec z różami również chrypiał. Dlaczego chrypi? Bo zmienia głos. Bo jego prawdziwy głos jest rozpoznawalny. To jest głos mordercy Patricka, Haig. Kogoś z przeszłości Willa Barkinsa, którego na razie nie ruszamy. Bo ten morderca gdzieś się czai. Blisko, bardzo blisko. Miltonowie będą pilnować syna jak żrenicy w oku. Barkins natomiast mieszka sam. Dać mu obstawę znacząłoby dać sygnał mordercy, że powinien Barkinsa sprzątnąć jako niewygodnego świadka. Dobrze gadam?

— Twoje dobre gadanie niczego do sprawy nie wnosi. Przeciwnie, bardziej ją gmatwa.

— To nie ja gmatwam. To on, nasz facet. Mówił siostrom Adams, że uważa się za nadczłowieka. I bardzo dobrze. Większość socjopatów tak o sobie sądzi. Że są nie do wytropienia. I to ich gubi. Każdy z nich w jakimś momencie popełnia błąd. Koniec wykładu. — Peters wyjął komórkę i połączył się z bratem. — Zanotuj, Ed. Nazywa się Daniela Milton. Żona Jonathana Milтона. Pracuje w banku... Cholera, nie mam pojęcia w którym! Adresu również nie znam. Twój znajdą i adres, i bank w bazie danych. Chcę o tej kobiecie wiedzieć wszystko! Znajomi, przyjaciele, sąsiedzi, ciotki, babcie, opinie pracodawcy, dozorecy, marka bryki, stan licznika, stan konta, billingi rozmów z ostatnich dwóch lat. To pilne! Ed, wiem, że twój dotąd niczego nie wywęszyli o tych pieprzonych błękitnych różach! Oczywiście, że mają węszyć! Ed, jeśli chodzi o tę Daniellę Milton, zacznij od billingów i jej konta w banku! A co mnie obchodzi, że jesz spóźniony lunch z moją byłą żoneczką? Bzykniesz ją wieczorkiem. Na billingi oraz stan konta Daniela Milton czekam do dwudziestej drugiej. Prześlij je faksem. Do roboty, przyszły gubernatorze pięknego stanu Iowa! I ja ciebie nienawidzę, braciszku. — Peters odłożył komórkę. Spojrzał na Haiga czarnymi kulkami oczu, jakby i jego nienawidził. Wylał dłonie chusteczką. — Sorry, koleś. Każda rozmowa z ukochanym braciszkiem wiele mnie kosztuje. Od razu ich widzę razem w moim łóżku. Ona na

nim... Jęcząca z rozkoszy. Gdy kochała się ze mną, nigdy nie jęczała z rozkoszy. Wysuwała się pospiesznie, gnała do łazienki, długo brała prysznic. Jakby odbywała stosunek z obślizgłą ropuchą.

— Przestań się katować, Peters. Czas goi rany.

— A twoje zagoił, koleś? Wystarczy przy tobie wymienić imię twojej żony, a od razu bledniesz. Cholera, przepraszam!

— Nie szkodzi — Haig zdobył się na uśmiech. — Mam syna, kochającą teściową. Mam dokąd wracać. Mam po prostu rodzinę.

— Której od dwóch tygodni właściwie nie widzisz. Koleś, na dzisiejszy wieczór udzielam ci urlopu. Twój Steven zapomniał, jak wygląda jego ojciec. Dziś i tak niewiele będzie się działo. Odwieź mnie na posterunek i spadaj.

— Ale...

— Bez „ale”! Na bieżąco będę cię informował o wszystkim, o czym się dowiem. Odpocznij, koleś. Pójdź z synkiem do kina. Opowiedz mu bajkę na dobranoc. Porozmawiaj z teściową. Zamiast hot doga zjedz dobrą kolację. Choć na chwilę oderwij się od sprawy. Ty jesteś stąd. To twoi znajomi lub bliscy. Nawet mnie, obcemu, czasem trudno zapanować na dławieniem w gardle, więc co musisz czuć ty? Schudłeś, twoje wielkie łapska ci dygocą... Jedź. Albo nie. Przespaceruj się na posterunek. Wysiadam. — Peters trzasnęła drzwiczkami mustanga i pomachała ręką. Oddalił się szybkim krokiem słabo oświetloną Roosevelt Avenue. Palila się co trzecia latarnia. Zgodnie z rozporządzeniem burmistrza, że miasto musi oszczędzać.

Idiota, zdenerwował się Haig, cofając wóz. Kretyn. Oszczędza na oświetleniu ulic, po których łązi morderca. O tak, odpocząć. O tak, Peters, przytulić Stevena... Dzięki, koleś.

Jechał wolno. Aleja jakby wymarła, pojedynczy przechodnie przemykali się pod ścianami, a była dopiero szesnasta... O tej porze zawsze był tam ruch..

Nie myśleć, powtarzał sobie szeryf. Odpocząć. Lecz w jaki sposób wyrzucić ze łba te wszystkie straszne myśli? Swój strach? Przed tym, co już się stało, a co jeszcze stać się musi. Mijam znajome od dzieciństwa domy. W którymś z nich mieszka potwór. W którym? Na tej ulicy czy na innej? Siostry Adams. Dlaczego Jonathan pytał swego ojca, czy one jeszcze żyją? Znaczący, że mają umrzeć. One oraz inni? Dość, Haig, bo naprawdę się rozkleisz! Gaz i do domu! W domu przestaniesz myśleć.

Skreślił w swoją ulicę. Ten trzeci dom, otoczony białym płotkiem, z niewielkim trawnikiem, który tak lubiła plewić Emily, to jego. Białe ściany lśniły nawet po zmroku. Malował na biało dom, ponieważ Emily... Nie myśleć o niej... Poprzez koronkową, wydzierganą pracowicie przez Emily firaneczkę dostrzegł Stevena. Siedział na parapecie okiennym z noskiem opartym o szybę.

— Mój synek... Być może codziennie tak czeka na swego tatę...

Steven zeskoczył z parapetu. Zniknął z pola widzenia.

— Pewno Penny pozwoliła mu włączyć kanał z bajeczkami. Nie spodziewają się mnie. Zrobię im niespodziankę — Haig zaparkował wóz przy krawężniku, zgasił silnik, odpiął pasy, lecz tkwił dalej w mustangu. — Emily, kochanie. Za miesiąc będzie trzecia rocznica. Odchodziłaś, krzycząc, że oślepią cię światło, więc je z doktorem zgasililiśmy. Zanurzyłaś się gwałtownie w półmrok wieczoru i tylko twoje ręce, Emily, twoje białe ręce trzepotały jak ptaki ze złamanymi skrzydłami, protestując przeciwko nieuchronności losu, do którego się już zbliżałaś równie nieuchronnie. Emily, tęsknię za tobą. Budzę się rano i wciąż szukam twego ciała obok siebie, twego zapachu szukam... twoich ust, Emily. Nie dotknąłem innej kobiety i żadnej nie pragnę. Nienawidzę tej pory dnia, ponieważ przywołuje twój obraz, Emily; ciebie ze spoconą gęstwiną włosów na poduszce, krwawą wymiociną, ściekającą strumyczkiem z przygryzionych warg; wysypką rozlewającą się w krwawe plamy na policzkach, szyi, wszędzie, wszędzie!

— Chryste, nie wspominać — szeptał wciąż Haig, opierając głowę o kierownicę. — Kilka godzin wcześniej nic nie zapowiadało nieszczęścia. Bawiła się, siedząc na dywanie ze Stevenem, by nagle chwycić się za brzuch i jęknąć przeraźliwie: jak boli, jak mnie nagle boli, Stan! Mark przyjechał w pięć minut, niczego nie rozumiał, brzuch miała miękki, dał jej zastrzyk z ketanolu, lecz nadal wyła, i te wymiociny, i te plamy, więc wezwaliśmy karetkę; niestety, za późno, odeszła, trzepocząc białymi dłońmi o kołdrę. Lekarz z karetki o coś się spierał z doktorem Tracym. Chyba o to, dlaczego natychmiast nie dzwonił po pogotowie. Potem oznajmił, że zabiera Emily na sekcję. Sekcja? Wyobraziłem sobie nagie ciało Emily rozdzierane skalpelami. Czy sekcja przywróci je do życia? Niech odpoczywa nienaruszona, w spokoju. Kazałem im wyjść. Nie wiadomo skąd pojawiła się twoja matka,

Emily. Doktor Mark mówił, że wezwał Penny natychmiast, gdy do ciebie przyjechał. Ktoś musiał zająć się Stevenem. Penny zaprowadziła go do sąsiadów. Dziecko nie powinno oglądać matki w takim stanie, podobno tak do mnie powiedziała. Podobno, wszystko podobno, ponieważ ja również jakby umarłem. Penny zajęła się twoim pogrzebem, z którego zapamiętałem jedynie wzgórce kwiatów otaczających jak tęczą prosty, jasny krzyż. Potem znalazłem się w domu. Ktoś mnie prowadził jak dziecko za rękę, ktoś kazał usiąść w fotelu, ktoś powiedział do mnie: „Wiem, że cierpisz. Ja również cierpię. Ale nie wolno nam teraz pogrążyć się ani w żalobie, ani w smutku. Emily życzyłaby sobie, aby Steven dorastał w normalnej rodzinie. Od dziś tu zamieszkam, czy ci się to podoba, czy nie, Stan. Będzie tu tak, jak zawsze. Jakby Emily nie odeszła. Rozumiesz, Stan?”. To ty, Penny? Nie poznawałem nikogo, nawet twojej matki, Emily. Nawet nie zapytałem, gdzie nasz syn. „Ja, Stan. Nawet nie zapytałeś o Stevena. Dopóki się nie opamiętasz, pozostanie u Fordów”.

— Dokładnie tak powiedziałam. Powiedziałam również, że Stevenowi potrzebny jest silny ojciec, który pomoże mu znieść stratę matki, a nie jakiś rozmamłany mięczak.

Matka Emily, wysoka, szczupła, ubrana w dżinsy, z narzuconą na ramiona kurtką, wsunęła się do mustanga. Usiadła obok. Nie zaskoczyło go pojawienie się teściowej. Nie pierwszy raz przesiadywał w mustangu przed domem, obezwładniony bolesnymi wspomnieniami. Nie pierwszy raz wszystkowiedząca, czujna Penny przychodziła po niego ze swoim pocieszeniem.

— Specjalnie odciągnęłam Stevena od okna, olbrzymie. Zawsze go odciągam, żebyś miał czas się pozbierać. Steven nie powinien oglądać ojca w takim stanie. Walącego głową o kierownicę. Mówiącego na głos.

— Dziękuję, Penny....

Nie wyobrażał już sobie życia bez Penny. W ciągu trzech lat od tamtego tragicznego zmięzchu wrosła w ten dom korzeniami. Jakby w nim zawsze była. Dobra, mądra, troskliwa i uśmiechnięta. Jediną zmianą, jaką wprowadziła, było oprawienie niezliczonych zdjęć Emily w ramki i rozwieszenie ich w pokoju wnuka. Niech ją pamięta taką śliczną, pogodną. Żywą. Niech za taką tęskni. Emily w trumnie z tymi sinymi plamami, których nie zdołał pokryć nawet mocny makijaż, wyglądała upiornie.

Miała rację. Wielokrotnie wypytywał Marka, dlaczego Emily umarła tak gwałtowną śmiercią. Skąd wzięły się te sine plamy na jej twarzy, szyi, piersiach, brzuchu? „Stan, to typowe symptomy ostrego zatrucia” — odpowiadał doktor. Może ze dwa, trzy dni wcześniej podczas porannych zakupów skusiła się na hamburgera, a ten był niedosmażony i zawierał bakterie typu *Listeria monocytogenes*, wywołujące sepsę? A może zaraziła się innym typem bakterii, na przykład gronkowcem złocistym, jedząc nieświeżą kremówkę? „Stan! Przestań wreszcie zadrećzać siebie i mnie! Zrobiłem wszystko, co było możliwe, żeby ją ratować. Jeżeli masz wątpliwości co do mojej diagnozy, ekshumuj ciało. Badania toksykologiczne znajdą morderczą bakterię twojej żony! Pozostaje pytanie: co ci to da, jaka bakteria ją zabiła?” „Ani się waż naruszać spokój mojej córki!” — krzyknęła Penny.

— Gotowy? — zapytała Penny.

— Tak. Już dobrze... Nigdy nie ośmielę się naruszyć twego spokoju, Emily... Kocham cię, Emily. Kocham cię, Penny — powiedział.

— Z wzajemnością. Chodź. Od razu do Stevena. Jest w salonie. Ogląda telewizję. Ale mu zrobisz niespodziankę!

W salonie przewidująca Penny wymieniła po śmierci córki wszystkie meble, łącznie z dywanem, na którym do momentu gwałtownego ataku Emily bawiła się z synem. Ich małżeńską sypialnię zamknęła na klucz. „Szybciej się pozbierasz. Im mniej w tym domu będzie ci przypominało Emily, tym lepiej dla ciebie”. Nie było lepiej. Obraz tamtego salonu zakodował się w pamięci na zawsze.

— Tata?! — Steven już pędził prosto w wyciągnięte ramiona Haiga. — Tata! Tata! — rozplakał się.

— No coś ty, synku? Beczysz? — Haig ze Stevenem w ramionach osunął się w fotel. Scałował słone łezki, sam z trudem powstrzymując własne. Peters, przyjacielu, dziękuję ci, że mogę teraz obejmować swego syna; że wspólnie z nim zjem kolację, że go utulę do snu...

— Nie... Mnie tylko coś wpadło do oczka...

— Aha. A czemu płaczesz i drugim?

— Bo i do drugiego wpadło — chlipnął Steven. — Ale właśnie wypadło... Tato? A czemu ty tak siorbiesz nosem?

— Bo mam katar...

— Akurat! Wiem, czemu. Bo wyrzucili cię z roboty — ucieszył się Steven. — Wyrzucili! Wyrzucili! Nareszcie!

— Hm — chrząknął dyplomatycznie Haig, nie chcąc psuć radości dziecka. — Tak całkiem to jeszcze nie wyrzucili. Ale wyrzucą, obiecuję ci — powiedział, myśląc, że po zakończeniu sprawy Patricka natychmiast poda się do dymisji.

— Babcia jest strasznie kochana, tylko ostatnio okropnie jakaś nerwowa. Prawie na nic mi nie pozwala. Nawet bawić się przed domem. I w ogóle babcia każe mi być zawsze w tym samym pokoju co ona. Jakby mogła, to by mnie przywiązała do swojej nogi — rozżalił się Steven. — I przestała mnie wozić do Erica. Mówi, że od dwóch tygodni jest chory.

— Hej, chłopaczyska! Kolacja gotowa! Proszę do kuchni!

Zawsze z Emily jadali w kuchni, mimo że mieli pięknie urządzony pokój stołowy. Emily jednak uważała, że w kuchni panuje bardziej intymny nastrój, „taki rodzinny” mówiła, rozstawiając nakrycia i wygładzając jakąś widoczną tylko jej fałdkę serwety. Chryste, tyle lat, a ja wciąż ją widzę, pochyloną nad stołem, z figlarnymi kędziorkami ciemnokasztanowych włosów na smukłej, długiej szyi, która budzi we mnie wzruszenie, i nie potrafię się oprzeć, aby nie musnąć jej ustami, zaś w odpowiedzi słyszę lekki jak westchnienie śmiech: „Stan, kochanie, łaskoczesz”.

Stół w kuchni czekał, nakryty. Pachniało czosnkiem, gałką muszkatołową.

— Wasze ulubione lasagne — obwieściła triumfalnie Penny, wyjmując z piekarnika żaroodporny półmisek.

Po kolacji Penny zabrała się za zmywanie. Haig ze Stevenem pobawili się trochę w pokemony, opijając się sokiem pomarańczowym. Stevenowi kleiły się już oczy. Haig po raz pierwszy od dwóch tygodni wyszorował synkowi plecy. Po raz pierwszy od dwóch tygodni wycalował je. Zaniósł dziecko do łóżka. Otulił koldrą. Przyglądał się, jak spokojnie oddychając, zasypia.

Penny czekała na niego w kuchni. Piła herbatę.

— Nalać ci?

— No coś ty! Pękłbym!

— Boję się, olbrzymie — powiedziała po prostu. — Bardzo się boję. Z dnia na dzień coraz silniej.

— Ja również się boję, Penny. Z dnia na dzień silniej.

— Kiedy go dopadniecie?

— Nie wiem.

— Tylko tyle, olbrzymi szeryfie? — głos Penny zabrzmiał słabo.

— Tylko. Dziękuję, że tak pilnujesz Stevena.

— Przecież to mój wnuk, Goliacie.

Sygnal komórki przeszył Haiga dreszczem lęku. Niepotrzebnie. Peters informował, że Daniela Milton regularnie wydzwaniała do teściów. Ostatnie połączenie było w dniu odnalezienia manekina Patricia. Dwa razy w miesiącu poza pensją na jej osobiste konto wpłacano równiutko trzysta dolców. Miltonowie mówili prawdę, musi być z niej niezła suka. To tyle na razie, Haig. Odpoczywaj na łonie rodziny. Ja też spadam. Z flachą bourbona, koleś, oraz wyłączoną komorą. Będę pił twoje zdrowie. Postanowiłem się zalać w trupa. Nie martw się. Do jutra wytrzeźwieję.

— Wzywają cię?

— Penny, odpreż się. Nie wzywają. Chryste, dziś po raz pierwszy spokojnie się wyśpię!

— Pościelę ci łóżko — uśmiechnęła się Penny.

— Słuchaj — wypalił bez zastanowienia Haig. — Czemu ty nigdy nie wyszłaś drugi raz za mąż? Nie ułożyłaś sobie życia na nowo?

— Z takiej samej przyczyny, dla jakiej ty, chociaż od śmierci Emily upłynęły trzy lata, nie spojrzaleś na inną kobietę. Kochałam i przysięgałam wierność jednemu mężczyźnie. Memu mężowi.

Część druga

Eric

1.

Zasnął natychmiast i budząc się, był przekonany, że spał całe wieki. Jęknął, zerkając na zegarek, stojący na szafeczce przy łóżku. Spał zaledwie niecałą godzinę. Dopiero minęła północ. Pięć po dwunastej.

Przykrył głowę poduszką; jednostajne, miarowe tykanie zegarka przypominało zacinający o szyby deszcz. Tamtej nocy po twojej śmierci, Emily, padał deszcz... Nie myśleć. Tej nocy nie pada...

Odrzucił poduszkę. Schował zegarek do szufladki w szafce. Znacznie lepiej.

Leżał, czekając na sen. Nie drgnął nawet, słysząc sygnał komórki. To nawalony Peters, pomyślał. Niech się odczepi.

Komórka dzwoniła nieprzerwanie.

Żeby cię szlag, Peters, odczep się. Chcę spać.

Komórka dzwoniła. Sięgał po nią ze złością.

— Chryste — powiedział, podrywając się gwałtownie. Na komórcę wyświetlało się imię Brian. — Chryste, Brian, tylko mi nie mów, że Eric... Chryste, Brian, jadę! Nie dotykajcie z Amelią niczego!

Brian Ford, jego rówieśnik. Kumplowali się od piaskownicy. W szkole siedzieli w jednej ławce. Należeli do tego samego zboru baptystów. Potem ich drogi się rozeszły. Brian w wieku szesnastu lat miał wytyczony cel: zostać pastorem. Skończył seminarium z wyróżnieniem. Marzenie Briana, aby wierni wybrali go na swego duchowego przewodnika, spełniło się osiem lat temu. Wygłaszał charyzmatyczne kazania, w których mawiał, że chociaż człowiek jest z natury grzeszny, to powinien radować się całym sercem ze swego życia i dziękować z całych sił Jezusowi, ponieważ Jezus zapewnił mu swoją męką na krzyżu grzechów wybaczenie oraz życie wieczne po śmierci. Nikt z

was nie zasługuje na potępienie, poza tymi, którzy nie dochowują wierności małżeńskiej, popełniając plugawy grzech nieczystości, wołał Brian, a kobiety płakały. Wysoki, wysportowany, przystojny musiał oganiać się od dziewczyn, których uwielbienie niewiele miało wspólnego z pobożnością. Ożenił się mniej więcej w tym samym czasie co Haig, ze skromną, cichą Amelią Crow, należąca do nielicznego grona przyjaciółek Hellen. Synek Briana i Amelii, o zadartym nosku i jaśniutkich niczym len włosach, był uroczym, bystrym dzieckiem o wybudzającej wyobraźni. Za miesiąc wypadały jego szóste urodziny. Penny opowiadała ze śmiechem, że ta wariatka, Amelia, już układa menu: „Prosiła mnie o upieczenie mego słynnego tortu czekoladowego! Zamówiła u sióstr Adams stосу rogalików!”.

Nie będzie tortu. Ani stosu rogalików. A przecież tej nocy nie pada deszcz...

Haigowi udało się wymknąć z domu bezszelestnie. Na szczęście nie wprowadzał mustanga do garażu. Światła włączył dopiero, gdy wyjechał z Emmerson Street. Przemknął Roosevelt Avenue do skrzyżowania z Long Street. Tu zwolnił, wygasił światła. Wbrew nazwie ulica nie była długa, zaś domy na małych, ciasnych działkach rozdzielały niewysokie, wiecznie zielone, bukszpanowe żywopłoty.

Long Street spała. Gdziekolwiek granice trawników wyznaczały nisko światelka ozdobnych latarenek. Poza tym cisza. Sprzyjająca mordercy. Jechał tędy wolno, z wygaszonymi światłami, jak ja. Gdzie zaparkowałeś, draniu? Nie padał deszcz, toteż ślady opon twego wozu na suchej jezdni przemierzają się z dziesiątkami innych. Wiesz, draniu, że nie znamy dotąd marki twojej przeklętej bryki. Czując się bezpieczny, zatrzymujesz wóz przed domem ofiary. Wysiadając, uśmiechasz się z triumfem. Masz plan. Przygotowany, opracowany do ostatniego szczegółu. Tak, sądzisz, że jest doskonały. Mylisz się. Jak powiedział Peters, w którymś momencie popełnisz błąd. Może tym razem właśnie go popełniłeś? Boże przenajświętszy, spraw, niech popełni! Ocal Erica, Panie.

Nie chcąc wzbudzać zainteresowania jakiegoś nocnego marko, zatrzymał mustanga cztery budynki przed domem pastora. Zadzwoił do Petersa. Odpowiedział mu automatyczny głos: „Abonent obecnie nieosiągalny”. Zawiadomić dyżurującego na posterunku Morgana, żeby wysłał do hotelu patrol, który sprowadzi tu Petersa? Nawalony

Peters wezwie ekipę techników z Cedar Falls. Long Street obudzi się w panice. Rozdzwonią się telefony. Do rana całe miasto dowie się, że morderca Patricka zaatakował ponownie.

Nie. Niech ta ulica nadal śpi. Niech i miasto śpi, nieświadome pełnionej zbrodni. Niech i morderca sądzi, że uśpione, nieporuszone miasto nie ma o niczym pojęcia, więc nikt go nie szuka. To jedyna szansa na ocalenie Erica. Inna nie istnieje.

Haig pchnął furtkę. Przeszedł tak sobie dobrze znaną, wysypaną białym żwirkiem ścieżką pomiędzy czarnymi teraz od nocy trawnikami. Żwirek, chociaż szeryf starał się stawiać kroki jak najciszej, chrząścił pod nogami. Morderca tędy nie szedł. Ślady buciorów prowadzą od żywopłotu przez trawnik.

Brian czekał na ganku. Bose stopy. Piżama rozchełstana na pierśiach. Błady, lecz spokojny.

— Amelia też nie płacze. Czeka w saloniku.

Idąc za pastorem, Haig pomyślał, że Hellen również nie płakała.

Przed drzwiami saloniku Brian się zatrzymał.

— To moje jedyne dziecko. Nie przeżyję, jeśli je spotka los Patriczka. Rozumiesz, Stan?

— Rozumiem — odpowiedział, myśląc, że Patrick był również jedynym dzieckiem Barkinsów.

Amelia w nocnej koszuli do pięt przycupnięta na samym brzegu fotela. Dłonie ułożone równiutko, grzecznie, na kolanach, jak u posłusznej dziewczynki oczekującej na zasłużoną pochwałę. Oczy z rozszerzonymi nienaturalnie źrenicami utkwione w jakiś punkt na ścianie. Nie drgnęła na widok wchodzącego szeryfa. Jakby punkt na ścianie był najważniejszy. Jakby ją nic poza tym punktem nie interesowało. Może z niego czerpała siły, żeby nie rozpacząć?

— Dawno jest w takim stanie? — zapytał szeptem Haig. Wolął taką Amelię niż tamtą, wyjąca Hellen.

— Za dziesięć dwunasta poszła do Erica podać mu antybiotyki. Wróciła bez słowa. Usiadła. Położyła dłonie na kolanach. Powiedziała: „Okno otwarte. Eric zniknął. Porwano go jak synka Hellen. Zabito jak synka Hellen. My kochaliśmy się za ścianą, kiedy Eric umierał”. I zapatrzyła się w ścianę... Od razu wiedziałem, że mówi prawdę... — A jednak pastor zachłysnął się powstrzymanym krzykiem. — Nawet nie poszedłem sprawdzić... Dzwoniłem i dzwoniłem do ciebie... Stan? Dlaczego przyjechałeś sam? Zamiast podnieść alarm, wysłać wszystkie

patrole na miasto, niech go łapią, szukają! Nie zdążył uciec daleko!

— Pościel była zimna. Na poduszce wyschły ślady potu. — Amelia oderwała oczy od swego punktu na ścianie. — Gadasz bzdury, Brian. Stan nie jest cudotwórcą. Erica porwano dawno. Ostatni raz zaglądałam do niego o dziesiątej. Otarłam mu buzię z potu. Znów był rozpalony i gorączkował. Pomyślałam, że poprawa była chwilowa i trzeba rano dzwonić po doktora Marka. Niech mu zmieni leki. Już mu nie zmieni. Eric nie żyje. Ale ja nie zwariuję jak Hellen. Wyglądam na wątłą, lecz jestem silna. Zaparzyć ci kawę, Stan? Czy najpierw pójdziesz obejrzeć pokój Erica? Na okres choroby przenieśliśmy go z jego sypialni na pięterku do gościnnego pokoju. To był mój pomysł. Leniłam się wspinać po kilkunastu stopniach. Gdybym się nie leniła, Eric by żył. — Głos Amelii brzmiał zwyczajnie. Zbyt zwyczajnie. — Nie patrz na mnie z takim przerażeniem, Stan. Wytrzymam. Kawę ze śmietanką? Brian nie pije innej. Zawsze ze śmietanką. I trzema łyżeczkami cukru. Brian, rusz się. Trzeba się czymś zająć. My kawą, Stan pokojem gościnnym.

— Amelio, jedno pytanie. Eric zasypiał przy zapalonym świetle? Bo mój Steven inaczej nie zaśnie, jak przy zapalonym.

— Mój Eric odwrotnie. Gdy weszłam, zapaliłam nocną lampkę. Stoi na stoliku obok tapczanu. Ale nie pamiętam, czy ją zgasiłam. To kawę dla ciebie ze śmietanką, mocno słodzoną?

— Poproszę bez śmietanki i gorzką.

Drzwi lekko zaskrzypiały. Haig wszedł w mrok pokoju. Odszukał kontakt. Więc jednak Amelia, opuszczając pokój, odruchowo zgasiła światło, pomyślał. Przez otwarte okno wiatr poruszał koronkową firanką, dziełem pracowitych dłoni Amelii. I ona, i Emily ubóstwiały ręczne robótki... Firanka była zsunięta na bok. Na poduszce leżał puszysty Pikachu. Tapczan stał przy ścianie naprzeciwko okna. Kołdra zaledwie odchyłona. Przy tapczanie domowe kapcioszki dziecka. Spieszył się... Jak Patrick... Na co go zwabiłeś, draniu? Tego okna nie da się otworzyć od zewnątrz. Eric ci je otworzył. Boże mój, nie rozumiem. Podeszedłeś do okna, zasłoniętego firanką; do okna, za którym ciemno. Musiałeś najpierw dzieciaka obudzić... Pukałeś w szybę? Jesteś zbyt mądry, aby pukać. Musiałeś się liczyć, że twoje pukanie może zwrócić uwagę rodziców... Tapczan naprzeciwko okna. Firanka przejrzysta... Latarka! Masz ze sobą latarkę. Taką z różnymi

kolorowymi światełkami. Odszukujesz twarz chorego dziecka. Rzucaś na nią punktowo światełka. Któryś z kolorów podrażni powieki śpiącego... Otworzy oczy... Chryste, a skąd wiedziałeś, że dzieciak jest chory? Chryste, skąd wiedziałeś, że Amelia przeniosła go z jego pokoju na piętterku tutaj? Do gościnnego.

— Wiedział, ponieważ u Fordów bywał. Często. Podczas choroby Erica również — powiedział do tego otwartego okna Haig, czując znów sztywnienie karku. — Jest kimś, kto doskonale zna ten dom. Czuje się tu jak u siebie. Może od dawna to planował. Czekał na sprzyjający moment. Ten nadszedł. Eric zachorował. Rodzice przenieśli go na parter. Idealne warunki do porwania. Tapczan z dzieckiem naprzeciwko okna. Podjechać, przeskoczyć żywopłot, zwabić.

Latarka.

Steven miał taką. Gasił światło w pokoju, włożył Penny na kolana i na ścianę puszczał kolorową płataninę zygzaków, zawijasów. Babciu, a teraz słoneczko! — wołał Steven, zataczając pomarańczowe kręgi. Babciu, a teraz niebieskie zajączki! A teraz zielona łączka! A teraz różowe kwiatki!

Eric też taką miał.

— Sam mu ją kupiłem, pomyślał, a sztywnienie objęło plecy. — Mieli świetną zabawę. Albo wieczorami Amelia przywoziła do nas Erica, albo Penny do Erica Stevena. Wybiegali przed dom, urządzając zawody, czyje światełko najwyżej poleci? Sięgnie korony topoli? Lub tamtego domu po drugiej stronie ulicy? Nie musiałeś się wysilać, żeby wyrwać ze snu dzieciaka. Puściłeś snop najsilniejszego, pomarańczowego światełka wprost na jego uśpione powieki. Jediną twoją obawą było, że Eric przestraszy się i krzyknie... Lecz zanim przybiegną do niego rodzice, zdążysz przebiec trawnik, przeskoczyć żywopłot, odjechać. Amelia z Brianem uznają opowieść Erica o pomarańczowym światełku za majaczenie w gorączce. Udało ci się, draniu. Eric się nie przestraszył. Usiadł, zaintrygowany, na tapczanie. A twoje światełko, draniu, poczęło wywijać znajome dziecku, kolorowe zawijasy. Zapraszało wprost do zabawy. Eric podbiegł do okna. Przeszkadzała mu firanka, więc ją odsunął na bok. Zobaczył...

— Zobaczył kogoś, kogo dobrze znał — odezwał się w przestrzeń za oknem Haig. — Kogo lubił. Kogo się nie obawiał. Kogo może nawet widział wczoraj. A ty położyłeś sobie palec na ustach, dając chłopcu

do zrozumienia, żeby zachowywał się cichutko... I co dalej, draniu? Co dalej? Patricka zwabiłeś na szczeniaka. Ericowi musiałeś pokazać coś, czego bardzo pragnął... Tak bardzo chciał to mieć, że otworzył okno. I ty o tym wiedziałeś. Chryste! Jesteś kimś z najbliższego kręgu przyjaciół Briana. Kimś, kogo i ja w takim razie znam. Ja i mój Steven...

Przez krótką chwilę walczył z irracjonalnym strachem, że teraz, kiedy tak tu stoi, morderca wnosi do samochodu drugie ciało. Zwiotczałe, nieprzytomne, uśpione chloroformem ciało jego syna.

Walnął głową o ścianę. Raz i drugi. Pomogło. Jeszcze tylko ta słabość w kolanach. Musiał trzymać się ścian, wracając do saloniku.

Kawa pachniała. Grzanki parowały ciepłem.

— Pij, póki gorąca. Jedz. Strasznie wyglądasz, Stan — odezwała się tym swoim przerażająco normalnym głosem Amelia.

Brian milczał. Spoglądał na Haiga z taką nadzieją, jakby Eric zaraz miał się pokazać w drzwiach.

Upił łyk kawy. Zdziwił się — była tak gorąca, że sparzyła mu usta. A wydawało mu się, że w gościnnym pokoju spędził nieomal wieki.

— Amelio, moje pytanie zabrzmia głupio. Kto was odwiedzał podczas choroby Erica?

— Rzeczywiście, Stan, pytanie wręcz idiotyczne. Jak to kto? Siostry Adams ze swoimi rogalikami. Doktor Tracy. Codziennie, bo niepokoił się przewlekającą się infekcją. Ruth Milton, oczywiście. Ona nas często odwiedza, przepada za Erikiem. Kilka razy wpadła Clara Brown, nasza sąsiadka z domu obok. Znasz ją, Stan. Dobra, czynna kobieta. Eric ją ubóstwia. Nazywa cicią. Clara ma do niego anielską cierpliwość. Godzinami bawi się z nim w te okropne pokemony...

— I nikt więcej?

— Nikt. Nasze kółko wykruszyło się, Stan. Twoja Emily, potem Annette, mój Boże, Hellen... Kathy Cassel nie ma obecnie głowy do towarzyskich spotkań. Nie podejrzewasz chyba Anny lub Carol, Stan. Albo doktora? Czy Clary? Albo Ruth?

— Nie... Mój Boże! Ich nie...

— Możesz jaśniej, Stan? Ty coś wiesz... — odezwał się szeptem Brian.

— Wiem tyle, co wy. Porwano wam syna — odparł wymijająco Haig. Jezus, kim ty jesteś, draniu? Kim? Bywałeś tu. Lub umiejętnie od przyjaciół pastora wyciągałeś potrzebne ci informacje...

Udając spokój, dopił kawę. Zjadł grzanki. Brian z Amelią przyglądali mu się w milczeniu. Wiedział, że ich milczenie nie potrwa długo. Wybuchną krzykiem pytań, na które nie zna odpowiedzi. Trudno, Peters. Jeżeli nadal jesteś niedostępny, podłożę ci świnie; zadzwonię do Cedar Falls. Po innego detektywa. Po ekipę techniczną.

— Przepraszam was. Muszę do toalety.

Gdy zamykał za sobą drzwi, dopadł go jęk Briana.

— I czemu go wezwałem, tego durnia, zgrywającego się na doświadczonego glinę? Przez niego zabiją nam synka.

Brian, on wam go już zabił. Miał czas zabić. Ale dlaczego wam? Na którym z was się mścił i za co? Na tobie, cicha, nieśmiała Amelio? Na tobie, Brian? Wasza przeszłość nie skrywa ani jednej ciemnej strony. Nigdy nie wyrządziliście nikomu żadnego zła, żadnej krzywdy.

Po drugim sygnale usłyszał krótkie: „Kogo i gdzie?”. Zaskoczony tym, że Peters odebrał telefon i jakby wiedział, że morderca ponownie zaatakował, omal nie upuścił komórki.

— Haig! Adres, do kurwy nędzy! Dobra. Long Street siedemnaście. Czekać na mnie przed domem. Będę za dziesięć minut.

2.

Ślady wielkich buciorów, odcisnięte w wilgotnym podłożu trawnika, prowadziły od żywopłotu prosto jak strzełił ku oknu w pokoju gościnnym. Tam porywacz przeszedł się kilka razy wzdłuż ściany, jakby szukał odpowiedniego miejsca, z którego poprzez firankę widać było dokładnie śpiącego chłopca. Znalazł takie. Stał i stał na tyle długo, że wgłębienia były tam szczególnie wyraźne. Parapet od zewnątrz na przestrzeni pół metra był jakby wytarty z kurzu. Peters przypuszczał, że właśnie tędy morderca przeciągnął uśpione chloroformem dziecko.

Tuż pod żywopłotem srebrzyła się pokryta rosą pękata figurka poczwarnego stworka z dwoma kłami w rozdziawionej paszczy, przypominająca kształtem dzbanek do kawy.

Peters zdumiał się:

— Cóż to za straszycło?

— Pokemon. Eric ubóstwiał pokemony. Zwabił go na pokemona — wyjaśnił Haig. — Tu nieprzytomny chłopiec upuścił zabawkę.

— Chryste, niósł dzieciaka przerzuconego przez ramię niczym to-ból — stwierdził zdławionym głosem Peters. — Widzisz te dwie przygniecione gałązki? Nie wyprostowały się dotąd. Musiał w tym miejscu zawadzić głową dziecka, gdy dawał chodu przez żywopłot. Wracamy do Fordów. Na razie ulica śpi. Gdy przyjadą technicy, zrobi się tu istny kocioł. Jezu, dlaczego dzieciak pastora?! Nic się nie zgadza, nic. Wszystko wbrew logice. Nasza teza o mścicielu staje się mało wiarygodna. Jednak zamordowanie Patricka, porwanie Erica, nieustające od lat groźby wobec sióstr Adams, pytanie Jonathana, czy one jeszcze żyją, muszą mieć wspólny mianownik. Jest nim morderca. — Peters ścisnął skronie. — Jak upiór. Jak widmo. Skąd on wylazi?

— Z przeszłości — odpowiedział Haig. — Peters, mylisz się. To jednak mściciel. Wspólnym mianownikiem jest jego motyw. Motyw łączy te wszystkie sprawy. Nawet błękitne róże dla Hellen.

Amelia z Brianem siedzieli w saloniku, trzymając się za ręce, tak jak ich zostawili po przyjeździe Petersa. Nie poruszyli się. Milczeli.

— Ekipa techników dojedzie za pół godziny. To znakomici fachowcy. Profesjonaliści. Najmniejszy ślad nie umknie ich uwadze. — Profesjonalizm Petersa także odniósł zwycięstwo. Głos detektywa był opanowany, wręcz oschły.

Milczeli.

— Mogę zajrzeć do pokoju waszego synka?

Milczeli.

— Tego, w którym przebywał, zanim nie przenieśliście go do gościnnego?

Milczeli.

— Chodź, Peters. Zaprowadzę cię.

W holu Peters zmienił zdanie. Chciał ponownie obejrzeć miejsce porwania. Wyjaśnienia Haiga o latarce i kolorowych światełkach uznał za naciągane.

— Nie obejrzelśmy dokładnie pościeli, w której spał dzieciak. Nie zajrzelśmy ani pod poduszkę, ani pod kołdrę. Zanim ekipa ogołoci tapczan, sprawdzmy, czy czegoś pod nim nie ukrył. Ze strachu. Według mnie dzieciak nie spał, zobaczył w oknie faceta, przestraszył się i szybko schował swoją ukochaną przytulankę. Misiaczka albo coś w tym stylu.

— Gdyby się wystraszył, narobiłby wrzasku. Peters, jesteś ciągle nawalony jak stodoła — obruszył się Haig.

— W ogóle nie piłem, koleś. Wyłączyłem komórkę, żeby mieć spokój. Ale nie miałem. Prześladował mnie głos Jonathana: czy one jeszcze żyją? Śmiertelnie przerażone oczy sióstr Adams. Chciałem nawet do nich dzwonić. Miotalem się po tym pieprzonym pokoju hotelowym w tę i we w tę. O północy się ubrałem. Postanowiłem pojechać dla uspokojenia po mieście. Twoją wiadomość odebrałem, schodząc do bryki. Od razu zawiadomiłem stanową. Żeby przysłali ekipę i na razie trzymali mordy w kubel. Dobra, może i gadam od rzeczy. Ale nie uwierzę, że facet zwabił chłopaka na taką poczwarną zabawkę.

— Uwierzysz, gdy zobaczysz jego pokój. — Haig skierował się ku schodom. Na pięterku odszukał kontakt. Zapalił światło. — Widzisz

tamte drzwi? Z namalowanym żółtym, uśmiechniętym stworkiem? To pokemon. Nazywa się Pikachu. Serdeczny przyjaciel Asha, chłopca z sagi o pokemonach. Zadaniem Asha jest walka ze złymi pokemonami. Ash dla wielu dzieciaków to bohater. Chcą być tacy jak on. Pokemony zawładnęły ich wyobraźnią, a produkowane masowo gry komputerowe sprzedają się jak świeże bułeczki. Mój Steven, podobnie jak Eric, ubóstwia pokemony. Nie lubię, gdy Steven włącza te gry. Dużo w nich okrucieństwa. Ale spróbuj zabronić tego dzieciakom... — Haig otworzył drzwi z uśmiechającym się Pikachu. Znowu odszukał kontakt.

— A niech mnie, koleś... — powiedział Peters. — A niech mnie...

Pokemony były w pokoju Erica wszechobecne. Ich figurki stały na półkach. Spoglądały skośnymi, zwężonymi w złe szparki oczami z plakatów, którymi Eric wytapetował ściany.

— Eric marzył o tym, żeby stać się Ashem. Wędrować po świecie, walczyć z tymi złymi, których jest od cholery. Nie mam pojęcia, jak się nazywa ten upuszczony pod żywoplotem, szczerzący kły, pękaty potworek, lecz na pewno jego właśnie brakowało w kolekcji Erica. I porywacz o tym wiedział.

Wrócili do Fordów. W samą porę. Uśpioną dotąd Long . Street stawał na nogi wyjący sygnał wozu z technikami.

— Brian, wyprowadź żonę do sypialni. Zostań tam z nią, dopóki ekipa nie wyjedzie. Już, już, Brian! Bez protestów. Wasza obecność nie ułatwi pracy technikom... — Haig przerwał, gdyż Brian z Amelią nawet nie drgnęli. Widział, jak w ich oczach zapala się nadzieja. Trudno, skłamię, niech nią żyją. — Nie możecie się płatać technikom pod nogami. Nie daj Bóg, zniszczycie jakiś ważny ślad, który nas doprowadzi do Erica. Patrick nie umarł od razu. Nie rozgłaszaliśmy wtedy tego faktu ze względu na dobro śledztwa. My prawie wiemy, kto to. Tym razem mu się nie uda. Był nieostrożny. Chyba go spłoszyłaś, Amelio...

— Dobry Jezu! Słyszysz?! Eric wciąż żyje... Brian, człowieku! Rusz się. Stan, nie wychylimy nosa z sypialni, dopóki nam nie pozwolisz. — Amelia poderwała się z fotela. — Rusz się, Brian, bądź silny. Nasz syn żyje i wróci do nas. Wróci, wróci — powtarzała, ciągnąc męża za rękaw piżamy.

— Kurwa! Aleś ich podpuścił! Ale co im powiesz, gdy ten zboczeniec przerzuci przez żywoplot bebechy ich syna? — wściekł się Peters. — Dobra. Opierdoleć cię potem... Witajcie, chłopaki. I do roboty.

Dzieciaka porwano z pokoju obok. Zboczek przelazi przez żywopłot. Zabezpieczyć mi cały teren przed domem pastora, chodniki wzdłuż ulicy...

— Peters, waźniaku, my znamy się na swojej robocie — obruszył się jeden z siedmiu techników. — Natomiast ty na swojej chyba nie za bardzo, skoro się znowu spotykamy! Kolejny dzieciak! Co za pierdolone miasto! A z was pierdoleni gliniarze! Jezu, ile on miał lat?

— Prawie sześć — odpowiedział Haig. — Był chory. Za ścianą czuwali rodzice...

— Pierdoleni rodzice! — wykrzyknął technik. — Jezu, sześć lat... Tamten, po którym został skalp, też miał sześć lat... Czy to jakaś rzeźnia sześciolatków? Kurwa, chłopaki! Milimetr po milimetrze... Dwóch do tego pierdolonego pokoju. Dwóch trawnik, żywopłot. Dwóch natychmiast rozciągać taśmę, jak gadał ten pierdolony waźniak, wzdłuż całej ulicy! Jezu! Sześć lat... Kurwa, szeryfie! Gdzie twoi ludzie? Trzeba natychmiast zablokować ulicę. Do momentu, aż nie zabezpieczymy wszelkich śladów na chodnikach i na jezdni. To potrwa. Będą ich setki, tysiące. Mieszkańcy Long Street mają siedzieć na tyłkach, nie wychodzić dalej niż do furtek. Aż do odwołania. Kurwa, powinieneś był to zrobić natychmiast!

— Od północy, poza mną i Petersem, nikt tędy nie przejeżdżał. Owszem, każę ulicę zamknąć, ale do piątej rano. Ani ty, ani ja nie mamy prawa więzić ludzi w ich domach. To wolny kraj. — Haig rozumiał zdenerwowanie kierownika ekipy, na jego miejscu zachowałby się podobnie. Dodał z gorzkim, przepaszającym uśmiechem: — Znałem obu od pampersów. Widziałem, jak rośli. Bawili się z moim synem. Jest od nich zaledwie o pół roku starszy.

— Przepraszam, człowieku. Puściły mi nerwy. Wciąż prześladowuje mnie widok wysuszonego skalpu z tą żalostną kępką jasnoblonde włosów... Nie tylko mnie... Wciąż czekamy na komunikat, że złapaliście potwora... A on tymczasem... Jezu, kolejny dzieciak! — Technik, powtarzając wciąż: „Jezu, kolejny dzieciak, kolejny”, gwałtownie, jakby przed czymś uciekał, wypadł z saloniku.

Haig połączył się z pełniącym na posterunku dyżur Thompsonem. Pastorowi porwano syna. Wszystkie nocne patrole skierować na Long Street. Zablokować wjazd od Roosevelt Avenue i od Carlton Gardens. Bez włączonych kogutów.

— Nie życzę sobie przedwczesnej paniki na mieście, dlatego gęby na kłódkę. Jeśli ktoś puści parę, uduszę osobiście. Bez odbioru, Thompson.

— Nie unikniesz paniki, koleś. Wyjrzyj przez okno. Te dupki z ekipy nie wyłączyły koguta — odezwał się Peters.

Jak okiem sięgnąć, prawie we wszystkich domach paliły się światła. Ludzie w szlafrokach oblegali swoje żywopłoty, dopytując się, co się stało. Dlaczego ich domy odgradzono od chodników taśmami policyjnymi?

A potem nagle ucichli.

Domyślili się.

I kolejno, pospiesznie chowali się w swoich domach. Trzaskały zamykane drzwi, szczękały zamki, szeleściły spuszczone żaluzje w oknach.

Z radiowozu blokującego wjazd od strony Roosevelt Avenue Haig otrzymał wiadomość, że wóz transmisyjny lokalnej telewizji, powołując się na pierwszą poprawkę, żąda natychmiastowego wpuszczenia na Long Street.

— Ricky, powiedz im, że wjadą punkt piąta. Trwają prace zabezpieczające ślady przestępstwa. Niech sobie sprawdzą, co powiada w tym temacie konstytucja.

Siny na twarzy Peters wyrwał ze snu swego ważnego brata. Od razu zastrzegł, że chociaż niewątpliwie mają do czynienia z seryjnym zabójcą, FBI trzeba trzymać z daleka. Nie, Ed, nie życzę sobie policyjnych drużyn ze stanowej. W niczym nie pomogą, narobią wyłącznie zamieszania. Damy radę z Haigiem i jego psami. Potrzebujemy natomiast najlepszego specjalisty od portretów psychologicznych seryjnych zabójców. Trudno, Ed. Wiem, że cię opadną wszystkie możliwe dziennikarskie hieny, więc je uprzedź. Urządź raniutko konferencję prasową. Krótka informacja i podsumowanie. Ze względu na dobro śledztwa, sorry, sorry, nic więcej nie wolno mi... Będziesz miał media przeciwko sobie? Ed, jeśli w swoim wyścigu do stołka gubernatora nie zdążysz jako prokurator stanowy poinformować mediów o schwytaniu zbrojki, to naprawdę będziesz miał kłopoty, nie tylko z mediami. Przegrasz wybory. Osobiście się o to postaram, braciszku. Na lewo i na prawo rozprowadzając, jak prokurator stanowy utrudniał pracę policji. Ja też cię nienawidzę, braciszku... Haig! Łeb mi pęka. Jesteś pewien, że żona pastora wymieniła wszystkie osoby odwiedzające ich podczas choroby dzieciaka?

— Wszystkie, Peters. Żadnej z nich wprost nie sposób podejrzewać.

— Ale któraś z nich zna mordercę. Pozostaje z nim w dobrych, przyjacielskich stosunkach. Nic trudnego wyciągnąć od takiej osoby potrzebne informacje o rozkładzie domu pastora, chorobie Erica, jego rozmówaniu w tych ohydnych pokemonach, przeniesieniu go do gościnnego. A potem wybrać moment i uderzyć. Dobrze gadam?

— Myślałem wcześniej o tym samym. Niby dobrze... A jednak coś mi tu nie pasuje.

— Co?

— Ten upuszczony przez Erica pokemon. Był... Był, jakby ci to wytłumaczyć, dokładnie taki, o jakim dzieciak marzył.

— Marzył? Skąd wiesz, o jakim marzył?

— Bo o takim marzył również mój Steven!

— Możesz jaśniej, koleś? Cholera, te dzieciaki mają jakieś zбочone marzenia! Marzyć o takich ohydztwach?!

— Peters, dla nich to nie ohydztwa. To upragnione zabawki. Widziałeś pokój Erica... Jego kolekcję... Steven też ma kolekcję pokemonów i wielkie pretensje do mnie i do Penny, że nie kupiliśmy mu ani jednej gry z pokemonami.

— Do rzeczy, koleś! — wnerwił się Peters. — Dlaczego akurat o takim stworze marzył?

— Bo... Jakby ci to...? Steven z Erikiem marzyli o pokemonie, który by po zgaszeniu światła sam świecił jak latarenka. Różnokolorowa. Ten się nadawał. Pękaty, z rozdziawioną gębą, w którą da się zamontować malutką żarówkę. Skąd drań wiedział, że się nadawał?

— Na pewno chłopak opowiadał na lewo i na prawo, o jakim marzy.

— Może... — odparł bez przekonania Haig.

— Tej Clarze Brown na przykład, z którą się bawił w pokemony. Przepytały babkę, koleś, i się dowiemy.

— Może... Wybacz, Peters. Nie znasz się na dzieciach. Dzieci zwierają się ze swoich marzeń głównie komuś zaufanemu, najbliższemu. Swemu przyjacielowi. Clara Brown? No, bawił się z nią. Ale czy była przyjaciółką Erica? Wątpię. Wątpię nawet, czy zwierzał się swoim rodzicom. Podobnie jak ja woleliby, żeby ich syna nie fascynowały pokemony, chociaż kupowali mu te okropne gry.

— Więc komu, do diabła?

— Eric przyjaźnił się z moim Stevenem. Nie patrz tak, Peters. Nie zadzwonię do domu, nie obudzę teraz syna. Wiem od Penny, Steven nie ma przed nią tajemnic... Chryste, Peters! Przecież Steven, podobnie jak Eric, marzył o takim samym pokemonie! — Dopiero teraz dotarła do Haiga porażająca myśl, iż morderca mógł w podobny sposób wywabić jego syna. Zabrakło mu tchu. Dusił się. Steven również spał na parterze. Również od strony ulicy. Chryste, a jeśli najpierw podjechałeś pod mój dom? Od dwóch tygodni nie wracałem wcześniej niż nad ranem. Nie wiedziałeś, że Peters mnie zwolnił. Zobaczyłeś mojego mustanga, palące się w oknie kuchennym światła. Byłeś przygotowany do skoku, ale ten ci nie wypalił. Przypomniałeś sobie o Ericu. Czemu by nie? Eric, Steven, co za różnica? Niech będzie Eric... Potem Steven... WSZYSCY. Zapowiedź następnych ofiar, zemst? WSZYSCY. Chryste, to się łączy! Hellen przyjaźniła się z Emily. Z Amelią. Siostrami Adams. Czy Carol i Anna jeszcze żyją? Umrą jak inni. Złowrogie pytanie Jonathana dopełniło się, potwór dorwał Erica! Chryste, skąd Jonathan wiedział o siostrach Adams? O tych innych, którzy mają umrzeć?

Dygocącymi palcami wybrał numer komórki Penny. Odebrała natychmiast.

— Nie zmrużyłam oka. Widziałam, jak się wymykasz. Już wiem o Ericu. Boże, miej go w swojej opiece. Steven śpi. Drzwi zaryglowałam. Zapaliłam wszystkie światła w domu...

— Penny! Steven, podobnie jak Eric, kolekcjonował pokemony. Tobie się zwierzał! Jaki mu się marzył? Taki sam jak Ericowi? — Haig nie wiedział, że krzyczy. — Marzył o takim samym, Penny?

— Dokładnie o takim samym... Ale takich brak w sprzedaży... Takich świecących. Żeby się w nich jak w kolorowej latarence zapalały światełka...

— Steven taki ma?

— Przecież ci mówię, że takich jeszcze nikt nie wymyślił...

— Penny, ani słowa Stevenowi o Ericu!

— I tak się w którymś momencie dowie...

— Sam mu powiem!

— Nie krzycz! — teraz Penny podniosła głos. — Kiedy mu powiesz, Stan? Wracając nad ranem? Wyrываяć go ze snu? Gładząc po włosach, oznajmisz, że nigdy więcej nie będzie się bawił z Erikiem, bo

Eric odszedł do aniołków? Opanuj się. Mnie także pozwól się pozbiierać. Przecież to mógł być Steven. Chcę wyglądać normalnie, gdy Steven się obudzi, rozumiesz?

Penny się rozłączyła.

— Mów. Powiedziała ci, o jakim marzyli?

Szeryf wyjaśnił Petersowi, że o świecącym. I że takich brak w sprzedaży. Oczywiście Petersa zwięzły się w szparki.

— Czyli sam ten świecący wabik zmontował. Popęłnił błąd. Nareszcie. Napij się wody, koleś. Przez moment sądziłem, że zejdziesz. Idę do techników. Muszą wiedzieć, jak się obchodzić z tą poczwara. Bo to nasz dowód.

Oby, pomyślał Haig.

Świtało, kiedy technicy skończyli. Szybko rozjaśniające się nieskazitelnym błękitem niebo przecinały od czasu do czasu jak strzały białe smugi samolotów odrzutowych. Zapowiadał się kolejny nietypowo ciepły dzień.

Long Street odblokowano punkt piąta. Natychmiast pod domem pastora pojawił się reporter z „Głosu Nevady”, a po nim dwa wozy transmisyjne. Jeden z lokalnej telewizji, drugi zdążył przygnać z Cedar Falls.

Haig nie wpuścił reporterów za furtkę.

Tak, porwano pastorowi sześćioletnie dziecko. Tak, zezwalam na sfilmowanie okna. Nie, nie wyrażam zgody na filmowanie wnętrza domu. Tak, okoliczności wskazują na tego samego sprawcę co w przypadku Patricka Barkinsa. Tak, dysponujemy ważnymi dowodami. Nie, nie ujawnię ich ze względu na dobro śledztwa. Nie, to nie jest unik. W tym mieście grasuje seryjny morderca. Wierzę, że mediom zależy na jego ujęciu, zanim popełni kolejną zbrodnię. Zwracam się z prośbą o nieutrudnianie nam pracy. Tak, natychmiast po ujęciu ujawnimy wszelkie szczegóły śledztwa. Kiedy? Powiedziałem: natychmiast. Najpierw musimy jednak mordercę ująć, prawda?

3.

Na posterunku zebrał się komplet policjantów Haiga. Błdych, przerażonych, milczących. Wpatrywali się w Petersa i swego szefa w napięciu.

Polecenia były proste. Jechać na Long Street, przesłuchiwać mieszkańców. Sprawdzać alibi wszystkich bez wyjątku. Pytać o znajomych. O znajomych znajomych. Sprawdzać ich alibi. Nagrywać rozmowy. Gdzie się uda bez nakazu, włączyć do pokoi dzieciaków, fotografować ich zabawki. Nie wdawać się w dyskusje o Ericu. Mieć oczy dokoła głowy.

— Ty, Paul, zostajesz — powiedział Haig do Thompsona.

Kilka minut i posterunek się wyciszył.

— Paul, wiem, że jesteś zmęczony. Ale jesteś też mądrym, doświadczoneym gliną. Linię miejską przełącz na głośnik. W razie sygnału od kogokolwiek z miasta, że zaobserwował coś podejrzanego tej nocy, łączysz go natychmiast wprost ze mną. Rozumiesz, Paul?

— Jasne — odparł po prostu Thompson. Po jego twarzy nie dało się poznać, że jest wstrząśnięty porwaniem syna pastora. Taki był. Nie ujawniał swoich uczuć. Zawsze opanowany. Chociaż teraz na pewno myślał, że jego młodszy syn skończył cztery lata, a starszy osiem — potencjalne kolejne ofiary.

Clarę Brown postanowili przesłuchać sami.

Przejeżdżając rozświetloną mimo wczesnej pory Long Street, mijali zaparkowane już przy krawężnikach policyjne radiowozy.

Haiga zaniepokoił stojący przed domem pastora biały pontiac doktora Tracy'ego. Niedomknięte drzwi świadczyły, że doktor się śpieszył. Wymijając pontiaca, dostrzegł pozostawioną na fotelu do brze sobie znaną, wielką, wypchaną medykamentami i narzędziami

do udzielania pierwszej pomocy torbę lekarską. Odetchnął z ulgą. Amelia i Brian nie potrzebowali interwencji lekarskiej. Przynajmniej na razie. Za to przyda im się w tych trudnych godzinach ktoś bliski. Nie powinni spędzać ich sami. I doktor Tracy o tym pomyślał. Dobry, kochany, stary doktor...

Dom Clary Brown nie pasował do Long Street. Ulica była stosunkowo nowa jak na Nevadę, zbudowano ją dopiero jakieś czterdzieści lat temu. Wcześniej rozciągał się tu szeroki, prostokątny pas miejskiej zieleni, zwany po prostu Green Square. Wtopił się on w krajobraz miasteczka, jednak bogate rodziny pragnące mieć nowe domy w śródmieściu zaczęły domagać się wycięcia drzew i pozwolenia na zbudowanie w miejscu skweru ich przyszłych posiadłości. Oburzeni mieszkańcy Nevady protestowali, oczywiście, u burmistrza i w radzie miejskiej, zgadzając się jedynie na wyburzenie parterowego drewniaka Brownów — sterczał on szpetnie na obrzeżu Square Green, a na domiar złego stary Henry Brown upijał się na pobliskich ławkach i zaczął spacerujące z dziećmi kobiety, zaś jego zawsze niechlujna żona zamiast do pojemnika na śmieci, wyrzucała smrodliwe worki z odpadkami wprost pod drzewa w parku i to tak chytrze, że straż miejska nigdy jej na tym nie przyłapała.

Lobby bogatych rodzin okazało się silniejsze — rada jednogłośnie odrzuciła protest mieszkańców. Podatki od nowych domów oraz pieniądze za sprzedaż gruntu były łakomym kąskiem, poważnie wzbogaciłyby kasę miejską. Ówczesny burmistrz znalazł salomonowe wyjście, żeby i wilk był syty, i owca cała. Pod budowę wyznaczył tylko część Green Square, tę ze szpecącym go i wzbudzającym emocje domkiem Brownów, pozostawiając mieszkańcom miasta okrojony znacznie, lecz ciągle jeszcze mogący uchodzić od biedy za skwer pas zieleni, oddzielony od przyszłej ulicy wąskim asfaltem z ustanowionym tam zakazem wszelkiego ruchu samochodowego. W ten sposób właściciele domów nowo powstałej ulicy zyskiwali podwójnie — mogli zamieszkać w śródmieściu, a w pobliżu mieli przynoszący chwilę orzeźwienia w letnie upały Green Square. Większość z nich, w tym również i rodzice Briana, na tyłach domów, kosztem trawników, urządzili całkiem przyjemne miejsca do odpoczynku i do wchodzącego w modę grillowania, z klombikami kwiatów i ozdobnymi drzewkami. Od asfaltu przeznaczonego do spacerowania odgradzili się

wysokimi, malowanymi na biało deskami z zamykaną na noc furką, z której korzystali w ciągu dnia, udając się choćby na lody, sprzedawane przez krążących po skwerze lodziarzy.

Mąż Clary Brown obudował stary drewniak cegłą, dach pokrył czerwoną falistą blachą. Te zabiegi poprawiły wizerunek domu, jednak był to nadal jedyny parterowy budynek na całej Long Street.

Kuchnia, bawialnia, jedna sypialnia, jedna łazienka łącznie z toaletą, wąski hol. Clara Brown żyła biednie. Utrzymywała się z niewielkiej renty po mężu, który poniósł śmierć na miejscu jakieś dwadzieścia lat temu w zderzeniu czołowym z ciężarówką, wracając po pijaku od swojej kochanki, mieszkającej w Cedar Falls. Clara pochowała męża bez żalu. Zdjęła obrączkę z palca, a zdjęcia ślubne spaliła w kominku. Przez długi czas dorabiała, wynajmując się za niańkę do dzieci. Kochała dzieci. Niańcząc cudze pociechy, zaspokajała własny instynkt macierzyński. Pokazując któremuś niańczonemu dzieciakowi, jak wysoko można się bujać na huśtawce, spadła, doznając wstrząsu mózgu i uszkodzenia błony bębenkowej oraz łamiąc nogę. Była tęga, noga źle się zrastała. Wyszła ze szpitala o kulach i z aparatem słuchowym w uchu. Na szczęście dla niej pastorowi urodził się syn. Penny opowiadała, że odtąd Clara codziennie kuśtykała do Fordów, pomagając młodej matce nawet w usypianiu dziecka. Mój skarbek, mówiła do niego. Mój kwiatuszek. Mój robaczek.

Clarze teraz także przydałby się ktoś bliski, pomyślał Haig. Nie my, gliniarze zadający pytania.

Clara Brown była zapuchnięta od płaczu. Nieubrana, nieuczesa, opierając się na kulach, zaprowadziła ich do bawialni. Widać było, że często bawiła się tu z Erikiem. Na stoliku leżało kilkanaście ułożonych w stosik książeczek o pokemonach, a na ścianie zamiast obrazków wisiały plakaty reklamujące pokemonowe gry.

— Od roku odkładałam co miesiąc po sto dolarów — odezwała się gospodyni. — Zebrałam prawie całą potrzebną kwotę. Resztę miała dołożyć Amelia. W tajemnicy przed Brianem. Brian był przeciwny. On nie lubi pokemonów. Uważa, że zła nie zwalcza się złem, lecz dobrem. — Poruszyła jakby protestująco zgrubiałymi od reumatyzmu palcami. Zamilkła.

— Claro, na co oszczędzałaś pieniądze? — zapytał Haig.

— Przecież za dwa tygodnie będą urodziny Erica. Byłyby — poprawiła się, a jej palce znieruchomiały.

— Claro, na co?

— Eric marzył o własnej konsoli do gier. Gry komputerowe mu nie wystarczały. Chciałam mu ją kupić. Ustawić tutaj, w bawialni. Gdzie zawsze bawiliśmy się w pokemony. Eric zawsze był Ashem. Ja różnie. Czasem należałam do zespołu Asha. Czasem stawałam się wredną Jessie, członkinią Zespołu R, rywalizującego z Ashem.

— Dużo wiesz o pokemonach, Claro.

— Z twoim synem również się w nie bawiłam, Stan. Eric ze Stevenem wymieniali się, czym mogli. Nie sposób kupić wszystkiego, co oferuje rynek. Carol i Anna często kupowały Ericowi jakąś pokemonową zabawkę. A doktor ciągle dopytywał Erica, jakiej mu jeszcze brakuje do kolekcji. Śmiał się, że Eric chyba zgromadził wszystkie możliwe do kupienia gry, książeczki i te, jak je określał, zabawkowe poczwarki. Ależ, wujku, odpowiadał Eric, pokemonów jest ze dwa tysiące! Ostatnio doktor mu kupił Victreebela.

— Ostatnio, to znaczy kiedy?

— Gdy Ericowi się pogorszyło i doktor przepisał mu antybiotyki. Amelia przeniosła chłopca do gościnnego. I nie upilnowała. Powtarzałam jej, że będę przy Ericu czuwać nocami. Kiepsko sypiam. Noga dokucza, paluchy wykręca reumatyzm... Ja bym upilnowała...

— Pamiętasz dokładnie, kiedy mu kupił?

— Czy to ważne? Czemu wypytyujesz mnie o jakieś nic nieznaczące pokemony? — Clara Brown znowu zasupłała palce w pokraczny, podobny do stworka węzeł.

— Widocznie, pani Brown, nie bez powodu — wtrącił łagodnie Peters. — Wszystko może mieć swoje znaczenie. Nawet nic nieznaczące pokemony.

— Nie pamiętam dokładnie. Jakieś dwa, trzy dni temu — Clara wybuchnęła szlochem. Czekali cierpliwie, aż się uspokoi. — Przepraszam. Powinnam być silna. Powinnam być teraz przy Amelii i Brianie...

— Powinnaś odpocząć, Claro. Eric to jakby twoje własne dziecko. Amelia i Brian nie są sami. Jest z nimi doktor Tracy.

— Kochany Mark. Zawsze jest tam, gdzie go potrzebują. Ma tyle na głowie, a nie zapomni o nikim. Wystarczy zadzwonić, a gna tym

swoim starym gruchotem. Najlepszy człowiek pod słońcem. Eric podskakiwał z radości, gdy dostał Victreebela.

— To taki rzadki pokemon, pani Brown?

— U nas tak. Nie mam pojęcia, czy Louise zdołała go sprowadzić do swego marketu.

— Czemu akurat ten pokemon tak ucieszył Erica, Claro?

— Powinieneś od Stevena wiedzieć czemu, Stan. Bo jest bardziej brzuchaty od innych. Jego mordka z dwoma kłami znajduje się na szczycie ciała, a liść, jaki ją przykrywa, działa tak, że łatwo daje się otwierać i zamykać bez uszkodzenia zabawki. Obu dzieciakom marzył się pokemon, jakiego nikt nie ma. Żeby świecił od środka. Na kolorowo. Tak jak latarenki, którymi puszczali kolorowe światełka w okna sąsiadów... Eric od razu zorientował się, że Victreebel się nadaje...

— Do czego, pani Brown?

— Zapytał doktora, czy potrafi wstawić w Victreebela kolorowe lampki, chociaż ze dwie, najlepiej świecące na pomarańczowo i zielono.

— A co na to doktor, pani Brown?

— Uśmiechnął się. Pogłaskał Erica. Przytulił. Powiedział, że on nie potrafi, lecz dobry elektryk na pewno tak... Eric rozplakał się z radości. Doktor zaraz zbadał mu tętno. Odwołał Amelię na bok. Serduszko Erica bije jak szalone. To niedobrze. Uspokoję je teraz zastrzykiem, po którym Eric zaśnie. Ten mój głupi prezent schowajcie. Dopóki dziecko nie wyzdrowieje, niech go nie ogląda. Za bardzo się nim ekscytuje. Powiedz mu po przebudzeniu, Amelio, że po prostu mu się wszystko przyśniło.

— A co na to Amelia?

— Że w ogóle wyrzuci zabawkę. Wystarczą jej skargi sąsiadów, których Eric denerwuje puszczaniem kolorowych światełek prosto w ich okna... Mój Boże. Eric nigdy już ich nie będzie denerwował kolorowymi światełkami...

— Nie trać nadziei, Claro...

— To samo powtarzałaś Hellen i Willowi? — z nagłą złością spytała Clara Brown. — A potem jak ich pocieszałaś? Podobnie zamierzasz pocieszać Amelię i Briana? Ja się nie nabiorę na twoje kłamstwa o nadziei, Haig! Eric nie żyje. Obaj o tym doskonale wiecie! Idźcie sobie. Nie mogę na was patrzeć! Wypytujecie o bzdury! Mielicie mnóstwo czasu, żeby schwytać mordercę! To wasza wina, że porwał Erica, zabił go! Wasza! Wasza! — Kobieta zaniosła się szlochem.

Wyszli bez słowa.

— Peters — powiedział Haig. — Nie tylko ona tak nas osądza.

— Wiem, koleś. I rozumiem.

Pontiac doktora stał przed domem pastora. Ptasia twarz detektywa nagle stężała.

— Ciekawe... — zauważył. — Po kiego grzyba nasz dobrotliwy doktorek przyznał do Fordów natychmiast po zwolnieniu blokady?

— Peters! To, co powiedziała Clara Brown, nie czyni doktora podejrzany! Czysty przypadek, że kupił akurat takiego pokemona! Nic więcej! Doktor jest...

— Przekonujesz siebie czy mnie, koleś? — przerwał Peters. — Nie istnieją „czyste przypadki”!

— Ależ, Peters! Doktor jest stary, słaby, a przede wszystkim ma małą stopę. Nie nosi buciorów numer czternaście. Nosi ósemkę.

— Właż do wozu i przestań mi wymachiwać koło gęby swoimi łapskami! Zjedź na drugą stronę ulicy. Zaparkuj tak, żeby naszą brykę było widać z okien domu pastora. — Peters zapiął pas. — Dobrze. Grzeczny chłopczyk, który na moment zapomniał, że jest całkiem dobrym gliniarzem. Nie zastanowiło cię, koleś, że twój ukochany doktor, śpiesząc do pastora i jego żony, z tego pośpiechu zapomniał zamknąć drzwi w pontiacu? Pognał jak do wypadku. Ale bez torby lekarskiej! Co z niego za doktor, skoro nawet nie pomyślał, że poza słowem wsparcia Amelii i Brianowi może się przydać jakiś zastrzyk uspokajający? Jakaś pigułka? A może ten twój doktorek pojawił się u nich w innym celu? Wmówić im, że tego pieprzonego pokemona podarował Ericowi nie dwa, nie trzy dni przed porwaniem, lecz na przykład tydzień wcześniej, kiedy jeszcze dzieciak przebywał na pięterku? Zrozpaczonych, wpół przytomnych ludzi, na dodatek ufających mu bezgranicznie, łatwo zmanipulować. Wtedy zeznania Clary Brown okażą się bezużyteczne, bo rodzice im zaprzeczą. Ot, pomyliło się biedaczce i tyle. A o buciorach zapomnij, koleś. Bucior to supercwany kamuflaż.

— Peters! Tobie odbiło! Przecież i na trawniku, i pod oknem były ślady wielkich butów!

— Zgadza się. Były. Ty na nie ledwo spojrzaleś. Ja przyuważyłem, że chociaż trawa mięciutka, nie wbiły się w nią głęboko. I pewno

nadal sądziłbym, że wszystko gra z tymi śladami buciorów. Dziś jednak, dzięki bryce doktora, zrozumiałem, że wcale nie gra. Spójrz na maskę wozu. Sięga szczytu żywoplotu. Żywoplot ma wysokość co najmniej sześćdziesięciu centymetrów. Oprawca nie mógł go przeskoczyć z obciążeniem.

— Cholera, Peters, naprawdę ci zdrowo odbiło!

— Wchodząc do brzezinki Barkinsów, założył na siebie jakieś kilkanaście kilogramów żelastwa — ciągnął niezrażony wykrzykiwaniem Haiga Peters. — Opasał się jakimiś łańcuchami. Albo załadował kieszenie spodni lub kurtki kamieniami. Nie wiem czym, koleś. Ale tak zrobił. Chciał, abyśmy szukali wielkiego, ciężkiego faceta. I takiego szukaliśmy. Dokładnie, jak sobie życzył, kurwa... Dalej nie łapiesz, koleś? Do brzezinki Barkinsów podjeżdżał, wchodził w nią bez przeszkód w postaci żywoplotu...

— A tu musiał przeskoczyć żywoplot... Z obciążeniem nie dałby rady...

— Nijak, Haig, nijak.

— Ale przecież on wie, że w laboratorium zbadają pozostawione ślady buciorów. I prawda wyjdzie na jaw.

— Wie, koleś. Wie i pęka ze śmiechu. Bo wie, że teraz niemal każdy facet z tego miasta stanie się naszym podejrzanym. Młody, stary, w średnim wieku. Inna waga, inny wzrost. Wie też, że całą naszą poprzednią robotę diabli wzięli.

— W takim razie czemu przyczepiłeś się do doktora? On nie udźwignąłby kilkunasotkilowego ciężaru.

— A jeśli zboczek miał współnika?... Pokemon, kupiony dopiero wtedy, gdy dzieciaka przeniesiono na parter. Akurat taki, w którego pękaty brzuchol i szeroką japę łatwo wmontować zwój kolorowych lampek. Taki, jakiego dzieciak sobie wymarzył. Którego wcześniej widział, a który się mu gdzieś zapodział. Bo rodzice wmówili mu za radą doktora, że brzuchacz mu się przyśnił w gorączce. A tu nagle mruga do niego światełkami za oknem.

— Peters, szanuję Clarę Brown. Nie wydaje ci się jednak, że ona nieco ubarwiła swoją opowieść? Porusza się o kulach. Słyszysz od wypadku dość kiepsko. A gadała tak, jakby całą rozmowę na boku między Amelią i doktorem nagrała co do słowa na dyktafon. Doktor подарował Ericowi wyjątkowego pokemona. To Clara wie na pewno. Ale

nie wie, że Erica zwabiono właśnie na tego pokemonowego stwora. Jeśli nasz zboczeniec ma współnika, to nie jest nim doktor Tracy. Aleś wymyślił! Zresztą i tak go przesłuchamy. Fordów, gdy jako tako wróćą do równowagi, również. Ruszamy, Peters. Do marketu Louise.

4.

Market Louise Duval, z pewnością najbardziej przedsiębiorczej i pracowitej kobiety w Nevadzie, był olbrzymią parterową halą, zbudowaną z pustaków i pokrytą pomalowanym na jaskrawoczerwony kolor płaskim dachem. Louise swoją działalność handlową rozpoczęła po urodzeniu ósmego dziecka, dzierżawiąc malutki sklepik z mydłem i powidłom od Johna Gardena. Za ladą stała, kołysząc w wózku wrzeszczącego niemowlaka. Liczyła wtedy trzydzieści trzy lata, lecz wyglądała na własną babkę — tak ją wyniszczyły powtarzające się rokrocznie ciążę, chorowite dzieci oraz mąż, seksoholik. Gdy po raz dziewiąty stała się brzemienna, postawiła mężowi warunek: albo wykastruje sobie jaja, albo niech spieprza z jej życia. Urażony w męskiej ambicji Teddy Duval nie oszczędzał pięści ani butów, sprawiając żonie tak potężne lanie, że nim go ówczesny szeryf zdążył aresztować, Louise na oczach interweniujących policjantów wydała na świat martwe dziecko. Sekcja wykazała, że przyczyną zgonu ośmiomiesięcznego płodu był krwotok wewnętrzny z macicy. Sąd nie dopatrzył się okoliczności łagodzących. Uznał atak Duvala za działanie z premedytacją i skazał go na dwadzieścia lat więzienia. Louise zaś po dwóch tygodniach pobytu w szpitalu wróciła za ladę. Wstrząśnięci jej nieszczęściem mieszkańcy wykupili ze sklepiku wszystkie całkiem im zbyt dobre produkty. Jon Milton przesłał czek na pięć tysięcy dolców, które Louise natychmiast zainwestowała w nowe, bardziej atrakcyjne towary. Clara Brown zgłosiła się na darmową opiekunkę do dzieciaków sklepikarki. Wszyscy w Nevadzie uznali za punkt honoru kupować głównie u Louise. Po roku pani Duval przestała zamartwiać się, co włoży do garnka, żeby jej ósemka nie chodziła głodna. Po trzech stanęła do przetargu o pusty plac przeznaczony pod niską zabudowę

przy Roosevelt Avenue. Radni miejscy mieli nie lada orzech do zgryzienia. Proponowana przez Louise kwota równała się kwocie wywoławczej. Za to dołączony przez nią projekt w razie powodzenia spełniałby potrzeby miasta, które dotąd nie miało marketu. Market oznaczał nowe miejsca pracy. Radni zwrócili się do eksperta bankowego. Odpowiedź była krótka. Skoro Louise Duval w ciągu trzech lat zdołała odłożyć na konto ponad cztery tysiące dolarów, bank ją popiera oraz udzieli kredytu na budowę. Market stanął. Dzieci Louise dorosły. Wykształciła je. Cała ósemka skończyła uniwersytet w Iowa City. Uznając, że w Nevadzie nie ma dla nich przyszłości, wyprawiła je do innych stanów. Była z nich dumna. Sama nadal harowała od świtu do nocy. Pańskie oko konia tuczy, mawiała.

Odnaleźli ją na ruchliwym zapleczu, między wózkami widłowymi, na jakie ładowano nowe towary. Bez zbędnych pytań o Erica ani czemu interesują się pokemonami, przeprowadziła ich przez istny labirynt korytarzy marketu wprost do działu pokemonowego. Na specjalnym, obrotowym stojaku spostrzegli wyeksponowane dwa stwory. W jednym rozpoznali porzuconego przez Erica brzuchacza. Drugi był dłuższy, nie tak pękaty.

— To są nowości. Idą jak woda. Ale nie sądzę, żebyś przyszedł tu kupować cokolwiek dla Stevena, Stan. O co chodzi, szeryfie? — pokryta głębokimi zmarszczkami twarz Louise Duval zachowała kamienną obojętność. Twarze mijanych po drodze osób również wydawały się całkowicie obojętne. Maski, pod którymi kryją się strach przed zbrodźcą i bezradna litość wobec ogromu nieszczęścia rodziny pastora. Może nawet nienawiść do nas. Podobna do tej, jaką wybuchnęła nawet poczciwa Clara Brown. Że nie uchroniliśmy Erica. Jezu, sam siebie nienawidzę. I tego nagle ogłupiałego Petersa, który przyczepił się do doktora... Chociaż... Chociaż doktor nie powinien był zapomnieć o torbie lekarskiej... To przecież zakodowany w podświadomości odruch... Zwłaszcza w takiej sytuacji... Doktor chodzi zawsze i wszędzie z nieodłączną torbą...

— Haig! O co chodzi? — powtórzyła pytanie Louise Duval.

Przełknął zgęstniałą ślinę. Wyjaśnił o co.

— Doktor Tracy? Często kupował Ericowi różne książeczki, gry komputerowe, wycinanki z Ashem i jego drużyną, plakaty. Tego brzuchacza kupił dokładnie w dniu wystawienia go na sprzedaż. Czyli

tydzień temu. Mówił, że musi czymś Erica rozbawić w chorobie. Trzy dni potem przybiegł i kupił mu też tego drugiego. Owszem, detektyw, powiedział dlaczego... Chłopca tak podniecił brzuchacz, że doktor polecił Amelii go schować. Ten drugi, tłumaczył mi doktor, jest zbyt wąski na wstawianie do niego świecących lampek... Dzieci mają niesłychaną wyobraźnię, wiem coś o tym.

— No i co na to powiesz, Peters? — zapytał Haig, ruszając spod marketu. Przynajmniej jedno się wyjaśniło. Doktor nie jest współnikiem zbrojki. Czemu nie zabrał torby, też się wyjaśni...

— Na razie tyle, że nie widzieliśmy nigdzie tego drugiego stwora. A powinniśmy. Na przykład przy tapczanie na stoliku. Obok tego żółtego przyjemniaczka. Widać dzieciak szczególnie go sobie upodobał, skoro się z nim nie rozstawał. A czemu nie ustawił obok tego drugiego od doktora? Nie miał go w swojej kolekcji! Musiał się ucieszyć z tak wyjątkowego prezentu... — Peters urwał w pół zdania. W mustangu rozległ się przez radio głos Thompsona:

— Z Des Moines przyszedł faks, szefie.

— Bez odbioru — odpowiedział za Haiga Peters. — Włącz koguta. Gaz do dechy.

Billing Daniela Milton obejmował półroczny okres połączeń. Żona Jonathana dzwoniła do teścia raz na tydzień. Zawsze wieczorem, w czwartek. Rozmowy nie trwały dłużej niż minutę. Ostatni raz zatelefonowała — o godzinie dwudziestej trzeciej czterdzieści pięć, czternastego marca, w dniu podrzucenia Barkinsom manekina — do teściowej. Rozmowa trwała dziesięć minut i dwie sekundy. Zastanawiająco długo w porównaniu z lapidarnymi rozmowami z Jonem. Z billingu wynikało, że komórka służyła Danieli wyłącznie do owych zastanawiających regularnością i lapidarnością rozmów z Miltonem. Żadnych innych połączeń billing nie wykazał.

Wyciąg z konta obejmował rok. Poza niewielką pensją, odnotowywaną każdego drugiego dnia miesiąca, regularnie, raz na tydzień, w piątek konto Daniela powiększało się o sto, dwieście, czasem o trzysta dolarów. Przelewy pochodziły z konta Jona Miltona.

Faks zawierał też kilka raportów policyjnych. Opinia kierownika działu obsługi klienta banku, w którym pracowała Daniela Milton, brzmiała: „Przenoszona z działu do działu z powodu intryg. Ogólnie

nielubiana. Klótliva. Arogancka wobec klientów. Bierzemy pod uwagę wypowiedzenie pracy”. Sąsiedzi z bloku określali Daniellę jako klótliwą sekutnicę. Nikt jej nie odwiedzał. Nie miała koleżanek. Wszyscy współczuli jej mężowi. Wiele razy słyszano jej groźby, że odbierze mu prawa do dziecka. Być może biła męża. Czasem widywano Jonathana posiniaczonego na twarzy. Pomiatała nim, urządzała mu dzikie awantury. Najgłośniejsza, tak głośna, że sąsiedzi mieli zamiar wezwać policję, odbyła się w dniu czternastego marca, w godzinach nocnych. Przyjechała wówczas jego matka. Zabrała go, a raczej zniosła do samochodu i odjechała. Odtąd mąż Daniela Milton się nie pojawił.

— Miltonowie mówili prawdę. Istna suka. — Peters odrzucił faks. — Ale to nie ona wydzwaniała z groźbami do sióstr Adams. Ani do Casselów. Ją skreślamy.... A ty tu czego, do cholery?!

W drzwiach kanciapy stała młoda kobieta. Nie więcej niż trzydzieści pięć lat. Szare, duże, inteligentne oczy. Wysokie czoło. Popielate włosy upięte w nobliwy kok. Zero makijażu. Lekki uśmiech na ładnych, pełnych, zmysłowych ustach. Ubrana w ciemnoszary kostium. Z przerzuconą przez ramię ciemnoszarą torebką.

— I ja się cieszę, że cię widzę, Peters — odparła, poszerzając uśmiech. Miała olśniewająco białe i równe zęby.

Pewnym krokiem podeszła do biurka. Z przypiętego do klapy żakietu identyfikatora Haig odczytał: „Doktor Jennifer Whitaker. Psycholog sądowy”. Wstał szybko. Za ładna, za młoda, za to pewna siebie. Ale z doktoratem. Będzie się wymądrzać.

— Będę, ale tylko trochę — odpowiedziała, jakby czytając w jego myślach. Haig poczuł, że się czerwieni. Wyciągnęła na powitanie wypielęgowaną dłoń. — Nieco tu u pana ciasno, szeryfie. Rekwiruję pana biurko. Poproszę o wszystkie materiały dotyczące pierwszego zajścia. Naprawdę wszystkie. Oraz o mocną kawę. Bez cukru. Peters, nie morduj mnie wzrokiem. Jadąc do was, połączyłam się z laboratorium. Zaraz dostaniecie pierwsze wyniki. Buciory jako koronny dowód możecie od razu skreślić. To kamuflaż. Wasz socjopata jest przebiegły, inteligentny i doskonale zorganizowany. To strateg. Spodziewajcie się po nim najgorszego... Dostanę tę kawę, szeryfie?

— Thompson, kawa dla pani doktor! Zaprawiona cyjankiem! — krzyknął rozwścieczony Peters przez interkom.

— Wyłącz interkom, Peters — poleciła tonem nieuznającym sprzeciwu. — Wszystko, co tu będziemy analizować, jest poufne. Zachowuj się jak profesjonalista, a nie jak rozłoszczony smarkacz. Po panu, szeryfie, również spodziewam się profesjonalizmu. Dziękuję za akta. Dużo tego. To na pewno wszystkie?

— Nie. Wiele rozmów nagraliśmy z detektywem na taśmy, pani doktor.

— Okay. Przesłuchamy je później wspólnie. Mam na imię Jennifer. Obejdę się bez „pani doktor”.

— Jak sobie życzysz, Jennifer.

— I ja cię zdążyłam polubić od pierwszego spojrzenia, szeryfie. — Parsknęła krótkim śmiechem. Rozsiadła się za biurkiem. Wyjęła paczkę chesterfieldów, notatnik i długopis z obgryzioną końcówką. — Aha, uprzedzam, że kopce niczym lokomotywa z zeszłego wieku. Poproszę o popielniczkę. Owszem, Peters, widzę napis, że palenie wzbronione. Kicham na to. Bez fajki nie potrafię się skupić. Aha, rozmowę z laboratorium przełączcie na głośnik. Chcę się temu przysłuchać ponownie i poznać najnowsze wyniki. Aha! Nim weszłam do twojego kantorka, szeryfie, ucięłam sobie króciutką rozmówkę z dyżurnym. Łebski facet. Też był zadziwiony, że z linii miejskiej słyszy same trzaski. Po porwaniu Patricka linia rozgrzała się do czerwoności, ludzie prześcigali się z informacjami, że kogoś dostrzegli albo coś im mignęło podejrzanego, zaś dzisiaj milczą. Nie zadzwonił nikt. To jakby cisza przed burzą. Wystarczy byle plotka, a będziesz miał lincz, szeryfie. Podejrzanego ludzie rozerwą gołymi rękoma na strzępy. Twój dyżurny, szeryfie, wspomniał o jakimś Jonathanie. Że to o nim ludzie mówią jako o sprawcy, bo to czubek. Znając ciebie, Peters, rozumiem, że tegoż Jonathana dokładnie sprawdziłeś? I jest czysty? Szeryfie, jest czysty?

— Według nas jest absolutnie czysty.

— Daliście mu ochronę?

— Ledwo wlaźła, a już się rządzi! Wetknij nos w materiały dochodzeniowe! Zajmij się swoją działką, nie moją!

— Okay, Peters. Już wtykam. — Jennifer Whitaker zapaliła papierosa i zaciągając się z wyraźną przyjemnością, pochyliła się nad papierzyskami.

Ładna, młoda, spostrzegawcza, zdecydowana, szybko wyciągająca wnioski. Ma rację. To cisza przed burzą. Ma rację, Jonathanowi

powinniśmy przydzielić ochronę, pomyślał Haig. Przez chwilę obserwował otoczoną już kłębam dymu psycholożkę. Przewracała strony błyskawicznie. Długopis śmigał po notatniku. Często, może żeby ograniczyć palenie, zamiast papierosa obgryzała jego końcówkę.

— A wy, panowie, tak beczynnie? — zakpiła Jennifer, przewracając kolejną stronę.

— Cholera, ja myślę!

— Okay, Peters. Myśl. Myślenie zawsze było twoją mocną stroną. To komplement, detektywie stanowy, nie złośliwość. — Uśmiechnęła się, uprzedzając wybuch złości Petersa. Dodała: — Nie przepadałam za tobą nigdy, co nie znaczy, że nie doceniałam twojej pracy.

— Powiedzmy... — mruknął rozdrażniony Peters. — A ty, koleś, zabieraj się za raporty! Daj część mnie. Pójdzie nam szybciej. Żeby szanowna pani doktor nie sądziła, że pierdzimy w stołki.

— Nie musisz być wulgarny, Peters — odezwała się Jennifer, znów zamiast papierosa obgryzając długopis.

Przejrzali pierwsze raporty z przesłuchań mieszkańców Long Street. Nikt niczego nie widział ani nie słyszał. Aż do przyjazdu na sygnale ekipy technicznej ulica spała. Pastor Brian i jego żona Amelia należeli do osób cichych. Nie urządzali grilla ani imprez. Ich grono przyjaciół było nieliczne. Najczęściej odwiedzał ich doktor Tracy. Nic dziwnego, Eric był dzieckiem chorowitym. Amelia również nie siłaczka, przeziębiała się od byle podmuchu zimniejszego wiatru.

Peters ostentacyjnie otworzył na całą szerokość okno. Pomrukiwał pod nosem, że to wyjątkowa bezczelność palić w obecności niepalących, narażając ich na bierne palenie, które grozi rakiem płuc, i pewno ciągnąłby dalej w podobnym tonie, lecz linia z Cedar Falls rozbłysła zielonym sygnałem. Haig włączył głośnik. Jennifer Whitaker odrzuciła długopis.

— Nagrywajcie — poleciła.

Dowiedzieli się, że w pokoju gościnnym poza rodzicami chłopca wiele odcisków pozostawił doktor Tracy, którego daktyloskopijne wizytówki, zdjęte podczas śledztwa w sprawie Patricka Barkinsa, technicy mieli już w bazie danych. Są też dziesiątki innych do zidentyfikowania. Z pewnością należą do osób odwiedzających chore dziecko. Na razie zidentyfikowano odciski Ruth Milton, bo one też już były w bazie. Analiza potu na poduszce wykazała, że wysechł około

dwóch godzin po porwaniu. Na tej podstawie nie da się określić precyzyjnie, co do minuty czasu porwania. Nastąpiło ono między godziną dwudziestą drugą trzydzieści a dwudziestą trzecią. Na parapecie wewnętrznym też znaleziono sporo niezidentyfikowanych odcisków, z pewnością również należących do rodziców chłopca i do niego samego. Na parapecie zewnętrznym odcisków brak. Na szybie zewnętrznej podobnie. Ślady pod oknem oraz na trawniku, identyczne jak w brzezince Barkinsów, tym razem o wiele płytsze, wskazywałyby, że z buciorów korzystał facet przynajmniej o osiemnaście kilogramów lżejszy. Natomiast wgłębienia od okna do żywopłotu okazały się już głębsze. Specjalista wyliczył, że o jedenaście do dwunastu kilogramów. Waga faceta wzrosła, bo niósł dzieciaka. Facet sprawny fizycznie. Przeskakując żywopłot, ledwo go musnął. Znaleziony przed żywopłotem pękaty stworek to pokemon. Nazywa się Victreebel.

— Boimy się go na razie ruszyć, żeby niczego nie spieprzyć. Zauważyliśmy, że ma w gębie między dwoma kłami wsadzone jakieś druciki. Damy natychmiast znać, gdy go rozbebeszymy. Macie dodatkowe pytania?

— Tak. Przeliteruj nazwę pokemona. Okay, zapisałam. Victreebel. A odciski na pokemonie? Okay. Zrozumiałam — powiedziała Jennifer Whitaker, lekko blednąc.

— Tyle, to i my wyglówkowaliśmy bez pieprzonych technik kryminalistycznych! Nawet wiemy, po jaką cholere te druciki! Żeby miگاł kolorowymi światełkami! W taki sposób zwabił dzieciaka, szanowna pani doktor od portretów seryjnych morderców! — krzyknął rozsierdzony Peters.

— I ja za tobą przepadam, Peters, lecz staram się panować nad swoją do ciebie wyjątkową sympatią. Więc i ty swoją bądź łaskaw przyhamować, dobrze? Po prostu zamknij się, okay? Moja uwaga dotyczy i ciebie, szeryfie. Od razu uprzedzam, że będę się we wszystko wtrącać. Uczestniczyć w waszym dochodzeniu. Bo to mi pomoże ustalić portret waszego zbrojca, który odbiega od standardowych, zwykłych, seryjnych morderców. Popelniliście poważny błąd. Powinnam się tu pojawić w momencie podrzucenia manekina Patricka Barkinsa, panowie. Kartka znaleziona w ubranku zamordowanego dziecka z słowem WSZYSCY zapowiadała ciąg dalszy. Zapowiadała, że na tym jednym morderstwie się nie skończy, cholera jedna! Zapomniałeś o procedurach, Peters? Tak straszliwie ci zależało, aby udowodnić

swemu bratu, jaki z ciebie superglina? — Szare oczy Jennifer Whitaker pociemniały z gniewu. Zapaliła papierosa. Zgasiła go. Zapaliła kolejnego. — Czy ten złom, szeryfie, jest na chodzie? — Wskazała na komputer. Nie czekając na odpowiedź, włączyła go. Wstukała w Google hasło „pokemony”. Kiedy wyświetliły się jej wyniki, przeglądała długo, uważnie ukazujące się stworki. — Są ich setki... Wiele pękających, brzuchatych... Dlaczego wybrał akurat tego Victreebela? To nie przypadek... On działa z premedytacją. W każdego z tych pękających i brzuchatych da się wmontować kilka świecących miniaturowych lampek... Zobaczmy Victreebela... Cóż za obrzydlistwo... Poczytajmy, kim ty jesteś, poczwaro... No tak... Zaczynam rozumieć... — Z kłębow dymu wynurzyła się pobladła twarz Jennifer. — Na pokemonie brak jakichkolwiek odcisków. Nie przekazałam wam tej informacji celowo. Musiałam sprawdzić, czy moje domysły są właściwe. Są właściwe. Tak podejrzewałam. Dzieciak nie upuścił zabawki. Oprawca sam ją podrzucił. Chciał, żebyście ją znaleźli. To kolejna groźba. Victreebel. Jego imię pochodzi od słowa *victory*, które co oznacza, Peters?

— Zwycięstwo... Nie łączy się jednak z groźbą WSZYSCY...

— *Bell* to dzwonek. A *tree* drzewo. Łączy się, Peters. *Bell*, czyli dzwonek lub dzwon, pobrzmiwa zwycięstwem. Proszę, oto porwał kolejne dziecko. Skąd porwał Patricka, Peters? Spomiędzy drzew. Kim jest Victreebel? Tu jest napisane, kim! Potworem żyjącym w głębokiej dżungli. Swoje ofiary usypia słodkim zapachem miodu i atakuje winoroślą rosnącą na jego głowie. Ofiary trawi kwasami produkowanymi przez żołądek, tak silnymi, że potrafią rozpuścić nawet ich kości. Eric nie żyje. Victreebel go strawił. Nie do końca. Victreebel zwycięzca podrzuci gdzieś jakąś niestrawioną część dziecka. Gdzie podrzuci? Jest przebiegły. Wie, że ulica Long Street nawet nocą będzie monitorowana. Gdzieś w publicznym miejscu. W kościele... Na skwerze... Na parkingu...

— Jennifer! Nie obstawię całego miasta glinami! Peters, dzwoń do stanowej po posiłki! — krzyknął Haig, chwytając się za głowę.

— To nic nie da, szeryfie. Poza wybuchem paniki, nic. On jest stąd. Facet bez twarzy. Bez znaków szczególnych. Musiałbyś, szeryfie, każdemu mężczyźnie z Nevady przydzielić anioła stróża.

— To co robić? Co?

— Czekać na niestrawioną część Erica. — Jennifer zasłoniła twarz chmurą dymu.

— Chryste, Jennifer! Tobie chyba w ogóle brak jakiegokolwiek empatii!

Chmura dymu wokół twarzy Jennifer zgęstniała, jakby paliła dwa papierosy równocześnie.

— Zbyt wiele oglądałam potworności, szeryfie, żeby włączać empatię podczas wykonywania swojej pracy. Empatia nie sprzyja myśleniu. Ty ją również wyłącz. Wiem, że w twoim przypadku to trudne. Ale konieczne. Obawiam się, że na Ericu się nie skończy.

— Ona zawsze była zimna jak ryba, koleś. Gorzej: jak zamrażarka. Swego męża zamroziła po dwóch tygodniach. Uciekł od niej w jednym garniturku.

— Bo tylko jeden był jego. Resztę mu zafundowałam, łącznie ze szlafrokiem od Armaniego. Zapomniałeś, Peters, że jestem dzianą babką, z willą, basenem i temu podobne? Poza tym odczep się od mojego życia prywatnego, bo ci wypomnę twoje. — Jennifer walnęła pięścią w biurko. Wstała. — Żebyś mi nigdy nie śmiał więcej wspomnieć o moim mężu, rozumiesz, Peters? Nigdy!

Peters się zmieszał.

— Przepraszam. Wybacz.

— Nigdy — powtórzyła.

— Powiedziałem przepraszam, Jennifer.

Zapalając kolejnego papierosa, przeszła się po kanciapie.

— Okay, Peters. Szeryfie, tej wymiany zdań nie słyszałeś. Zabieramy się do pracy. Moje dotychczasowe wnioski z tego, z czym zdążyłam się zapoznać, są następujące. Teza: mściciel mi pasuje. Grzebanie w przeszłości Barkinsa także. Coś z tym Barkinsem jest nie tak. Porwanie Erica ewidentnie wskazuje, że jednak zemsta dotyczy nie tylko Barkinsa. Musi istnieć łącznik między Barkinsem a rodziną pastora. Macie rozbabranych wiele wątków. Chcę poznać nagrane przez was rozmowy. Może w nich kryje się odpowiedź?

5.

Louise Duval była początkowo zdumiona zainteresowaniem policjantów pokemonami. Ale jako że była bystra, przypomniała sobie okoliczności towarzyszące porwaniu Patricka i wnet pojęła, iż ów Victreebel, podobnie jak jamnik, posłużył oprawcy za wabika. Dotąd jakoś udało jej się panować nad strachem, utrzymywać nerwy w ryzach. Jak długo jeszcze jednak wytrzyma? Jak długo wytrzymają inni mieszkańcy? A zwłaszcza kobiety? Widziała ich twarze, podobne zastępnym maskom. Dłonie zaciśnięte na poręczach wózków. Miasto jest jak wulkan przed wybuchem. Wystarczy byle plotka. A krąży ich wiele. Głównie o Jonathanie. Że to on. Że policja dała się wykiwać. Kto prześladował Hellen? Zboczony Jonathan. Kto wypruł flaki z kota Hellen? Zboczony Jonathan. Kto miał najlepsze warunki do obserwowania posiadłości Barkinsów? Zboczony Jonathan. Kto był tuż obok w dniu porwania synka Hellen? Zboczony Jonathan. Podobno doktor Tracy ciągle jeździ do Miltonów. Dlaczego? Kto im tak choruje? Córki zdrowe. Zięciowie zdrowi. Wnuczki zdrowe. Czemu Ruth Milton od tygodnia nie pojawia się na mieście? Nie robi już za dobrą ciocię? Nie wysiada co i rusz ze swojej bryki, aby fotografować dzieciaki? Głaskać je czule po główkach, wypychać im kieszonki łakociami? A może Jonathan wrócił? A doktor jeździ, żeby czuba oszalać psychotropami? Wczoraj, przed zamknięciem marketu Leda Hening, która dotąd nie pogodziła się z nagłą śmiercią Annette, wciąż uważając, że doktor Tracy za późno wezwał pogotowie, powiedziała: „Louise, załóż się, że ten konował jeździ do Miltonów. Bo Jonathan wrócił, Louise. Powinno się skrzyknąć mężczyźni. Żeby ruszyli na Miltonów i rozdeptali zbrodnicę jak robaka, zanim zamorduje kolejne dziecko. Albo kogoś, kogo nienawidzi. Choćby którąś z siostr

Adams. Czub nienawidził wszystkie przyjaciółki Hellen. Moją Annette. Emily. Amelię. Eric skończy niebawem sześć lat... Jak Patrick...” Kobieto, opamiętaj się. Milcz. Nawołujesz do linczu. Tego nam jeszcze brakowało. Żeby połała się krew. Daj zakupy. Odwiozę cię do domu. Wpakuję do łóżka. Przypilnuję, żebyś naćpała się swoich prochów nasennych, zasnęła, nie zwołując pospolitego ruszenia na Miltonów. Chyba ci zupełnie odbiło, Ledo Hening.

Dziś około szóstej Louise Duval dowiedziała się o Ericu.

Po wizycie policjantów wiedziała, czym oprawca zwabił Erica. Przypomniała sobie wczorajszą rozmowę. Zamknęła się w swoim gabinecie na zapleczu. Postanowiła zwołać pospolite ruszenie. Ale nie takie, jakie chodziło po chorej głowie Ledy Hening. Policja nie jest w stanie zapobiec ewentualnemu linczowi, ma za mało gliniarzy. Nie tylko Leda gotowa jest rzucić hasło do linczu. Niekoniecznie przeciwko Jonathanowi. Wystarczy, że komuś podejrzany wyda się wóz sąsiada, bo sąsiad wrócił do domu nocą. Chryste, wystarczy cokolwiek! I rozerwą Bogu ducha winnego człowieka na strzępy! Obdzwoniła kilkudziesięciu znajomych facetów. Zaproponowała utworzenie komitetu obywatelskiego, który natychmiast zajęłby się zorganizowaniem obywatelskich patroli, jeżdżących dniem i nocą po ulicach Nevady.

Poszło łatwiej, niż sądziła. W dwadzieścia minut później odebrała telefon, że dwadzieścia wozów wyjechało już na miasto, a dwadzieścia następnych przejmie ulice wraz zapadnięciem zmroku.

Wypiła dla uspokojenia odrobinę wytrawnego martini. Myśląc, że mężczyźni jak małe dzieciaki lubią bawić się w supergliniarzy, wróciła na halę marketu. O tej porze powinna szumieć głosami kupujących.

Nie szumiała. Gdzieniegdzie jakaś klientka pchała ku kasom wyładowany towarami wózek.

Ledę Hening spotkała przy półkach z kawą.

— Wybacz, że ci wczoraj nawtykałam.

— Uprzedzałam, że dojdzie do nieszczęścia. I doszło. Gdybyś mnie wczoraj nie uspiła prochami, zboczek by nie żył. Mam w tyłku twoje „wybacz”, Louise. Powiedz to swoje „wybacz” Amelii! Albo jeszcze lepiej, leć uściskać dobrotliwą ciocię Ruth! Dziwne, że odważyła się pokazać ludziom na oczy po tym, co zrobił jej zboczony synalek!

Chryste, pomyślała Louise Duval. Ruth tutaj?

- Świetnie, że przyłazła. Chociaż plunę jej w twarz!
- Na Boga, Ledo, ciszej. Wezwę ochronę. Każę cię wyprowadzić.
- Pchając swój wózek, przybiegła do nich zdenerwowana i wystraszona Barbara Adams.
- Louise! Szybko! Szybko! Przy stoisku z karmą dla zwierzaków leży jakaś podejrzana paczka.
- Mam nadzieję, że z bombą — syknęła Leda Hening.
- Matko święta! Bomba?! — podchwyciła przechodząca obok Rossie Thompson. — Natychmiast dzwonię do męża. Niech zawiadomi szeryfa, a ten niech wezwie saperów!
- Ani mi się waź, Rossie. Najpierw ją sobie obejrzymy, tę rzekomą bombę. Twój mąż wraz ze Stanem mają ważniejsze sprawy niż wzywanie saperów do jakiejś tam paczki.
- To prawda, Louise — westchnęła Rossie Thompson. — Jak wczoraj rano wyszedł, tak dotąd się w domu nie pojawił. Matko święta, takie nieszczęście...
- Więc gdzie konkretnie leży ta bomba? — roześmiała się Louise Duval, modląc się w duchu, żeby Ruth Milton jak najszybciej opuściła jej sklep.
- Nie opuściła. Gdy kobiety dotarły do stoiska z karmą, Ruth właśnie ładowała do wózka dziesięciokilogramowy wór z Royal Canin Sensible.
- Paczka owinięta w pognieciony brązowy papier i obwiązana sznurkiem leżała na podłodze, przy porządnie ułożonych dwukilogramowych workach z Royal Canin Exigent dla kotów.
- Louise, a jeśli to jednak bomba? Media co i rusz ostrzegają przed terrorystami.
- Pleciesz, Rossie! Bomba? Terroryci? U nas? W moim markecie? — zdenerwowała się Louise Duval, nie tyle paczką, co zaciśniętymi wściekle wargami Ledy Hening. Naprawdę wywoła zaraz dziką awanturę. — Ktoś mi tu zrobił głupi dowcip. I tyle. Przeniesiemy paczkę na ladę. Otworzymy ją.
- I znajdziesz w niej wybebeszonego kociaka! — krzyknęła Leda.
- Ruth nie zareagowała na zaczepkę. Władowała do wózka kolejny wór z karmą.
- Wtedy wezwę policję, Ledo. Na razie bądź uprzejma się zamknąć.
- Louise ma rację. To ordynarny kawał. Otwierajmy. A twoje uwagi, Ledo, są nie na miejscu — powiedziała Barbara Adams.

Sznurek okazał się sparciąły. Barbara rozerwała go bez wysiłku. Ściągnęła wymięty papier. Po nim ukazał się następny, równie wymięty. Pod nim jeszcze jeden.

— Mówiłam, że to kawał — roześmiała się Barbara, zdzierając kolejny papier. Ukazała się sama paczka. Była z grubej tektury. — A teraz, kobiety, uwaga! Twoja bomba, Rossie! W postaci słoika z białym wieczkiem! To twist. Taki, w jakim utrwalasz swoje znane powidła śliwkowe, a ja przechowuję masę migdałową do naszych rogali-ków.

Zaciekawione kobiety wydzierały sobie słoik z rąk do rąk.

— Na pewno nie powidła. Ani nic podobnego... — stwierdziła Rossie Thompson. — Tam coś pływa... Jakby w żółtawej herbacie.. Coś w rodzaju woreczka... Węższego na dole, rozszerzonego u góry...

— Pokaż — Ruth Milton pochyliła się nad słoikiem. Przyglądała mu się długo. Zbyt długo. Straszliwie długo. Wreszcie odezwała się schrypniętym głosem: — Louise, wzywaj policję. Natychmiast.

— Ruth, co tam wypatrzyłaś, do cholery?! — krzyknęła Barbara Adams.

— Serce... — odpowiedziała Ruth Milton, nie odrywając wzroku od słoika.

— Boże miłosiwny... Ludzie! Ona się myli... — wyszeptwała Rossie Thompson.

— On wyrwał mu serce... — Głowa Ruth Milton opadła na ladę.

Ze swoim własnym sercem w gardle Louise Duval wyrwała z kieszeni krótkofalówkę. Nosiła ją stale przy sobie, aby w razie pijackiej awantury wezwać ochronę. Nie zdając sobie sprawy z tego, że ona, tak zwykle opanowana, krzyczy, kazała ochronie zamknąć wszystkie cztery wejścia do marketu. Nikogo nie wypuszczać! Nikogo poza policją! Gdy wyjęła komórkę, aby zadzwonić na posterunek, usłyszała Rossie Thompson:

— Już zadzwoniłam. Już jadą.

Cztery wozy patrolowe w kilka minut obstawiły market. Przyłączyły się do nich dwa ze straży obywatelskiej.

Do środka wszedł Haig, w asyście Petersa, kilkorga gliniarzy i Jennifer Whitaker. Ochrona wpuściła też doktora Tracy'ego, którego wezwał Haig, żeby udzielił pomocy na wpół omdłym kobietom. Lekarz na widok zawartości słoika sam o mało nie zemdlał.

Van z ekipą techników z Cedar Falls pojawił się po czterdziestu minutach. W tym czasie policjanci Haiga zdążyli pobrać odciski palców sześćdziesięciu siedmiu osób przybywających na terenie marketu. Technicy zajęli się fotografowaniem stoiska z karmą. Zaznaczyli miejsce, w którym znaleziono paczkę; zdjęli dziesiątki śladów obuwia z posadzki. Sfotografowali ladę, na którą Louise Duval przeniosła paczkę. Ponumerowali i sfotografowali ściągnięte z paczki sznurki. Ponumerowali i sfotografowali ściągnięte z paczki papiery. Zabezpieczyli złowieszcze tekturowe pudełko. Wszystko schowali w foliowe worki. Mimo protestów doktora Tracy'ego sfotografowali obuwie czterech kobiet. Nie pатыczkując się, zdjęli też odciski butów.

— Nie płacz się, doktorku. One są w stanie tak ciężkiego szoku, że im wszystko jedno, co z nimi robimy. Nam się śpieszy. Patomorfolog czeka. To ten sam, który badał skalp tamtego chłopaczka. Jezu! Wtedy biadał, że gdyby dostał chociaż kawaleczek paluszka... Kurwa, teraz dostanie świeżutkie serce! Cholera, szeryfie, ten wasz doktorek zaraz tu zemdleje! Jezu, chłopaki, a z tym słoikiem ostrożniej niż z jajkiem! Peters! Ustaw pozostałych klientów w szeregu... Cholera, wiem, że już pobraliście ich odciski. Nam są do kompletu potrzebne dolne. Proszę nóżki w górę. Bez protestów! Każdy z was mógł podrzucić tę paczkę! To ktoś stąd, dranie! Ktoś stąd wyrwał dzieciakowi serce! Więc mordy w kubeł. Cisza ma być! Nam również puszczają nerwy!

Ekipa techników opuściła sparaliżowany strachem market po dwóch godzinach. Policjanci w tym czasie przesłuchali klientów. Nikt, jak było do przewidzenia, nikogo z podejrzaną paczką nie widział.

Do oblegających market wozów z mediami, po konsultacji z Jennifer Whitaker, wyszedł Haig. Tym razem udzielił szczegółowych informacji o zawartości paczki. Tak, powiedział, napiszcie, że morderca wyrwał dziecku serce. Czy post mortem? To ustali patomorfolog. Tak, natychmiast was poinformuję, czy post mortem. Wszystkie wyniki uzyskiwane z laboratorium kryminalistycznego będę przekazywał na bieżąco. Ja albo detektyw Collin Peters. Nie, nie obawiam się paniki wśród mieszkańców. Liczę na spanikowanie oprawcy. Poczuje się coraz bardziej osaczony waszymi przekazami. Jedyna prośba do was: zostawcie w spokoju pogrążonych w nieszczęściu rodziców chłopca.

6.

Polecili Louise Duval zamknąć market do odwołania. Nie zaprotestowała. Zszokowane kobiety policyjnymi wozami odwieziono do ich domów. Doktor Tracy chciał udać się do Amelii i Briana, delikatnie powiadomić ich o potwornym znalezisku. Udzielić wszelkiej lekarskiej pomocy. Niepotrzebnie. Brian zadzwonił do Haiga.

— Wiemy. Amelia jest szczęśliwa. Jest serce naszego synka. Będzie mogła je pochować, modlić się do niego — głos Briana wydał się Haigowi jakby ironiczny.

— Brian! Dlaczego mówisz wyłącznie o Amelii? A ty?

— Ja? To ona jest szczęśliwa, nie ja. Jakby nie dochodziło do niej, że Eric nie żyje! Głędzi wyłącznie, że jest jego kochane serduszek... Stan, przypadkiem niech ci się nie zachce przyjeżdżać do nas! Ani żadnemu innemu glinie! Potrzebuję spokoju!

— Dobrze, Brian. Rozumiem.

— Niczego nie rozumiesz! Twój Steven żyje! Memu synowi wyrwano serce! Więc nie pokazuj mi się na oczy!

— Dobrze, Brian....

Co z nim? Jakby miał do mnie pretensje, że to nie Stevenowi wyrwano serce...

— Koleś, zbladłeś... Z pastorem coś nie tak? Może mu potrzebna pomoc lekarska?

— Raczej spokój... Przeżył szok.

— I nieprędko się pozbiera. Oszczędzimy ich na razie z przepytowaniem, powinni odpocząć, uspokoić się... Nam również przydałby się odpoczynek i spokój, nie koleś? Jezu, co za potwór! Pani Louise, proszę o klucze od sklepu. Ekipa obejrzy tu wszystko jeszcze raz. Do odwołania market pozostanie zamknięty.

Wrócili na posterunek.

Thompson niepokoił się o stan żony. Prowadzona do radiowozu wyrwała się policjantom, doskoczyła do Haiga i zanosząc się histerycznym łkaniem, krzyknęła: „Stan! Teraz kolej na twojego Stevena! Wy głupcy! Leda ma rację! To Jonathan! On jest w mieście! Na miejscu Ruth też bym kryła swego syna!”. Żeby ją uspokoić, zsiniały na twarzy doktor Tracy musiał dać jej zastrzyk uspokajający. Zazwyczaj sprawne dłonie doktora dygotały tak silnie, że kilka razy nie potrafił wkuć się w żyłę.

— Rossie śpi po zastrzyku. Spokojnie, Paul. O północy cię zwolnię z dyżuru — obiecał Haig. — Wytrzymaj. Linie miejską mógłbyś przełączyć do mojej kanciapy, ale i nam teraz potrzebny absolutny spokój.

— Zostanę do rana, szefie. Zostanę tyle, ile będzie trzeba.

Jennifer Whitaker, jakby to ona tu była szefem, od razu zajęła miejsce za biurkiem. Silna. Nadal zero emocji. Może trochę bledsza, lecz nic więcej. Chryste, jak ona to robi? Nawet jej palce nie drżą, gdy zapala papierosa. Chryste, Brian! Amelia szczęśliwa? Szczęśliwa, bo waszemu dziecku wydarto serce? Rozumiem twój wybuch. Boisz się, że Amelia zwariuje jak Hellen...

— Proszę o uwagę — Jennifer stuknęła o blat biurka obgryzionym długopisem. Zaciągnęła się zachłannie papierosem. — Aha! Wam obu dobrze zrobi łyk czegoś mocniejszego. Nie udawaj świętoszka, szeryfie. Na pewno w lodówce poza colą trzymasz whisky albo gin. Wyglądacie oboje gorzej od doktora Tracy'ego. Pociągnijcie sobie z gwinta. Nie, ja dziękuję... Aha! Pozwalam sobie przerywać. Byle mądrze. Na pierwsze wyniki z laboratorium nie będziemy długo czekać. Zresztą znam je z góry. Okazą się nam nieprzydatne. Tym razem czas zgonu patomorfolog określi dokładnie. Ale to nam psu na budę. Uważam podobnie jak ty, Peters, że logicznego myślenia nie zastąpią najnowsze metody badań laboratoryjnych. Są pomocne i na tym się ich rola kończy. Jedynie w kretyńskich serialach, w przeróżnych *Kryminalnych zagadkach Miami* i im podobnych bzdetach, detektywi w pięć sekund otrzymują z bazy danych odciski wraz ze zdjęciem i personalią mordercy. A po kolejnych dziesięciu minutach zakładają mu kajdanki. Moje obserwacje z marketu przedstawiają się następująco. Poza Louise Duval, która zachowała zimną krew, pozostałe kobiety doznały szoku. To naturalna reakcja. Ale Louise Duval zeznała, że to Ruth Milton rozpoznała w zawieszynie serce. „Wyrwał mu serce” — tak

oznajmiła pani Milton. Zastanawiające. Przyglądałam się temu czemuś, opadniętemu na dno słoika. Owszem, kształtem podobne do serca. Trzeba być jednak doświadczonym lekarzem albo pielęgniarką asystującą przy operacjach, żeby w tym czymś rozpoznać serce. Szeryfie, czy Ruth Milton pracowała jako pielęgniarka?

— Nic mi o tym nie wiadomo. Ale...

— Bez „ale”, szeryfie. Wiem, nie szukamy kobiety. Leda Hening urządziła wcześniej awanturę właścicielce marketu, że Ruth Milton jest matką zbrodniczą, Jonathana, którego część mieszkańców uważa za mordercę Patricka.

— Ale...

— Chyba ci zalepię usta plastrem, szeryfie. Tak, wiem, że Jonathan nie zabił Patricka, chociaż bardzo mi pasuje do portretu psychologicznego socjopaty-mściciela. Z przesłuchanej dotąd na szybko części waszych taśm wiem również, że leży chory u Miltonów, a leczy go jakby ukradkiem doktor Tracy. — Zapaliła kolejnego papierosa. — Doktor Tracy... Zadzwońeś po niego, szeryfie, a on pojawił się nieomal natychmiast. Jakby przyjechał z sąsiedniego parkingu, oddalonego o kilkadziesiąt metrów od marketu. Jakby spodziewał się wezwania. Lub jakby kogoś śledził. Powiedziałeś mu tylko: „Doktorze, jesteś potrzebny w markecie”, a on za kilka minut już był. Zapytał przynajmniej, o co chodzi, szeryfie?

— Nie. Rozłączył się. Ależ ty, Jennifer...

— Wiem. Mam fotograficzną pamięć, nieprzeciętną spostrzegawczość oraz umiejętność kojarzenia faktów. Rozłączył się. Więc oczekiwał wezwania. Siedział i czekał. Okay. To się zgadza z moimi obserwacjami. Wpadł do marketu. Słuchajcie, widziałam wielu przerażonych ludzi, ale tak przerażonego jak doktor, chociaż nie wiedział, po co go się wzywa, nie widziałam nigdy. Był na granicy załamania nerwowego. Najpierw ocucił tę tęgawą żonę Thompsona. Następnie włożył pod język jakąś pigułkę Barbarze Adams. Barbara Adams, matka Anny i Carol, którym ktoś od lat grozi nocnymi, chrapliwymi telefonami... Chora na serce. Z rozrusznikiem. Pewno podał jej nitroglicerynę. Następnie ruszył do innych histeryzujących klientek. Omiijając Ruth Milton. Ta ześlizgnęła się z lady. Upadając, rozcięła czoło o jej kant. Mocno krwawiła. Upadła na tył głowy. To jest duża, dobrze zbudowana kobieta. Mogła doznać wstrząsu mózgu. Potrzebowała

pomocy lekarskiej bardziej od zanoszących się szlochami facetek. Doktor ją ominął, szeryfie. Spojrzał na nią i ominął. Gdy już wreszcie musiał się nią zająć, odniosłam wrażenie, że dotyka jej tak, jakby miał do czynienia z grzechotnikiem. Obchodził się z Ruth brutalnie. Pacnął na ranę zwykły plaster. Plaster bez opatrunku, szeryfie. Potem przywalił następny. Będzie ją nieźle bolało zdzieranie tych plastrów z rany. Wyciągnęła do niego rękę, żeby pomógł jej wstać. Nie pomógł. Zacharczał: „Na mnie więcej nie licz, Ruth”. A potem łyknął z pięć pigułek, bo chyba by sam zemdlął. I nadal trzymał się od Ruth z daleka. Doktor Tracy bardzo mi się nie podoba. Bardzo, szeryfie.

— Musiałaś się przesłyszeć. Doktor Tracy należy do najbliższych przyjaciół Miltonów. Jest człowiekiem słynącym z dobroci serca. Leczy za darmo biedaków. Zamierzasz mi wmówić, że ten stary człowiek morduje dzieci?

— Nie przesłyszałam się. „Na mnie więcej nie licz, Ruth”. Jak zinterpretujesz zachowanie doktora wobec Ruth Milton i tę odzywkę, szeryfie?

— Z całą pewnością się przesłyszałaś, pani doktor. — Haig poczuł zdecydowaną antypatię do Jennifer Whitaker. Przemądrzała lalunia. Udająca wszystkowiedzącą. — Twoja ocena Louise Duval jest mylna. Louise również była w szoku. Znam ją od lat, ty z nią zetknęłaś się po raz pierwszy! Panowała nad twarzą, ale zupełnie nie panowała nad tym, co wy, psychologowie, nazywacie mową ciała. Nie zwróciłaś uwagi na jej nogi, pani doktor. Bez przerwy dreptała. Drobiła krocuki, szurając o posadzkę. Wcale nie jestem taki pewien, że usłyszała Ruth mówiącą „On jej wyrwał serce!”. Ruth, jak ustaliliśmy, długo przyglądała się zawartości słoika. Każda inna kobieta tak długo wpatrująca się w to coś też mogła skojarzyć sobie owo coś z sercem. Czyim sercem? Wszyscy wiedzieli o porwaniu Erica. Ruth skojarzyła fakty. Dlatego kazała Louise natychmiast nas wezwać. Cholera, może i nawet powiedziała, że wyrwał serce. I co z tego? Każdy w tym mieście wie, że Patricka oskalpował! To logiczne skojarzenie: słoik, zawiesina, w której pływa coś przypominającego kształtem serce! A doktora nie było ani dzisiaj, ani wczoraj w markecie, co potwierdziły i Louise Duval, i wszystkie jej pracownice. Nie on podrzucił słoik.

— Okay. Nie było. Nie podrzucił — stwierdziła Jennifer, ignorując wypowiedź Haiga wzruszeniem ramion. Zmiała pustą paczkę po

papierosach. Zajął się gorączkowym przeszukiwaniem torebki. — Ale jego zachowanie jest podejrzane. Grzebiecie w przeszłości Barkinsa. Słusznie. Dopiszcie do listy kolejnego, w którego przeszłości musicie pogrzebać. Marka Tracy'ego. Jego związek z Miltonami, a głównie z Ruth Milton... Jezu, są! — Wyjęła paczkę chesterfieldów i rozrywała opakowanie z takim zapamiętaniem, jakby chodziło o życie. Zaciągnęła się łapczywie, mrużąc z zadowolenia szare oczy.

— Koleś, ja za naszą panią psycholog bynajmniej nie przepadam — wtrącił milczący dotąd Peters — jednak ten twój doktorek również mi nie przypadł do gustu. Ona — wycelował palcem w Jennifer Whitaker — rzadko się myli. Jest najlepsza. Taka zamrażarka z najwyższej półki.

Linia z Cedar Falls odezwała się stłumionym głosem technika.

— Jesteście tam? Mówi Roy. Spieszymy się jak cholera. Na razie mamy niezbyt wiele, ale dobre dla was i tyle. Na wszystkich papierzyśkach paczki i na samej paczce odciski Rossie Thomson, Louise Duval, Barbary Adams i Ledy Hening. Na tekturowej paczce to samo. Na słoiku to samo plus odciski Ruth Milton. Papier pakowy, koloru brązowego, dostępny powszechnie, pewno i w tym pieprzonym markecie też. Sznurek sparcały; nadal go obrabiamy. Słoik to zwykły twist, jaki można kupić wszędzie. Na posadzce przy stoisku z karmą tak wiele niewyraźnych śladów, że musicie uzbroić się w cierpliwość. Analogicznie rzecz się przedstawia ze śladami sfotografowanymi w całym markecie. Podjęliśmy tu decyzję, że interesują was wyłącznie ślady męskich butów.

— Słusznie — powiedziała Jennifer Whitaker. — Ale wszystkie. Duże, średnie, każde.

— Jak zwykle się wymądrzasz, Whitaker. Zamknij się. Mam tu patologa, którego muszę podtrzymywać, żeby mi się nie omsknął. A mnie podtrzymuje kumpel. Ten wasz zboczek to potwór. Jezu, potwór, nie człowiek!

Z głośnika rozległo się jęknięcie. Było tak przejmujące, że nawet szare oczy Jennifer wypełniły się nieukrywanym łękiem.

— Określam czas zgonu dziecka. Skonał o godzinie dwudziestej trzeciej. Serce typowe jak na sześciolatka. Wielkości piąstki. Otworzył mu klatkę piersiową. Fachowo. Precyzyjnie wyciął serce z gąbczastej tkanki płuc. Umieścił je w roztworze wodnym formaldehydu. Krew w

roztworze należy do tej samej grupy krwi, jaką znalazłem w aorcie. Pomiędzy lewą a prawą przegrodą znalazłem owiniętą w folię małą karteczkę. A na niej wypisane drukowanymi literami słowo. Brzmi ono BĘDZIECIE. To wszystko. Muszę odpocząć. — Patolog zamilkł, aby za sekundę wybuchnąć krzykiem: — Obie komory serca wypełnione krwią, rozumiecie? Nie post mortem! Nie post mortem! Dziecko żyło, kiedy rozciął mu klatkę piersiową, rozumiecie? Módlcie się wraz ze mną, że było wciąż uśpione chloroformem! Ale tylko on wie, jaką dawką chloroformu je oszołomił! Nieważne jaką! Zadany ból przywróciłby przytomność nawet wołu! Nieważne, że na moment, rozumiecie? Ten moment dla dziecka trwał niczym wieczność, rozumiecie?

— Rozumiemy, doktorze — Jennifer Whitaker płakała.

Amelia jest szczęśliwa. Jest serce naszego synka. Będzie mogła je pochować, modlić się do niego...

— Jennifer!

— Słucham, doktorze?

— Jennifer, rodzice dziecka...

— Rozumiem, doktorze. Nie dowiedzą się, że nie post mortem.

Amelia jest szczęśliwa. Jest serce naszego synka. Będzie mogła je pochować, modlić się do niego...

— Dziękuję, Jennifer. Niech powiedzą im, że się nie męczył. Umarł, nie wiedząc, że umiera...

— Tak powiedzą, doktorze... Szeryf zawiadomił ojca o sercu...

— O mój Boże! — jęknął patolog.

— Ale tylko o sercu... O tym, że nie post mortem, nie dowiedzą się nigdy...

Amelia jest szczęśliwa. Jest serce naszego synka. Będzie mogła je pochować, modlić się do niego...

— A media, Jennifer? Żeby rodzice dziecka nie poznali przerażającej prawdy, musiałbym sfalszować wyniki.

— Sfalszuj je. — Jennifer otarła łzy. Jej szare oczy przybrały kolor stali.

— Dziękuję, Jennifer. Bo rodzice tego chłopczyka...

— Doktorze! Tu już nie chodzi jedynie o wiedzę rodziców Erica. Chodzi o dobro śledztwa. Po pierwsze, nie uniknęlibyśmy najazdu mediów, tym razem z całego kraju. Po drugie, w Nevadzie wybuchłaby panika nie do opanowania. Nam tu potrzebny teraz jak nigdy

spokój, spokój i jeszcze raz spokój. W oficjalnym protokole napisz, że post mortem. Szybko. Bezboleśnie. Potrafisz, doktorze, spreparować to serce tak, żeby nie było żadnej krwi w komorach ani nic, co by wskazywało, że nie post mortem?

— Potrafię, Jennifer...

— Okay. Więc zrób to natychmiast, bez względu na to, jak się czujesz! I ani słowa o karteczce z napisem BĘDZIECIE. Niech oprawca sądzi, że ta wiadomość do nas nie dotarła. Rozumiesz, doktorze?

— Nie bardzo...

— Nieważne. Przekaż ją Royowi. Roy! Kto poza tobą i twoim omdlewającym kumplem zna wyniki doktora?

— Nikt. Reszta techników zajmuje się sznurkiem, tymi pieprzonymi śladami obuwia z marketu, śladami opon z ulicy. Doktor mnie wezwał... Miał taki głos, że...

— Okay. Więc macie oboje trzymać gębę na kłódkę. Kartkę ukryj. Wyślę po nią do ciebie jutro Petersa.

— Cholera, Jennifer, a odciski?

— Nasz facet ich nie zostawia. Na karteczce nie zostawił ich tym bardziej. Jakbym ją widziała, Roy. Wyrwana ze zwykłego zeszytu w kratkę. Identycznie jak w przypadku Patricka. Zgadza się?

— Dokładnie.

— Więc spadaj. Koniec rozmowy.

7.

Wyłączyła głośnik. Zamiast po papierosa sięgnęła po butelkę z ginem. Pociągnęła tęgi łyk. Otarła wargi. Spojrzała wyzywająco na mężczyzn. Jej oczy nadal miały kolor stali.

— Panowie milczą? Nie protestują, że zamrażarka przejęła dowodzenie? Nie? Okay. Była chwila, że zamrażarka sądziła, iż powinna wzywać do was pogotowie.

— Ty również się odmroziłaś. Płakałaś — powiedział Haig.

— Czasami mi się zdarza taka niemęska słabość, Stan — po raz pierwszy Jennifer Whitaker zwróciła się do Haiga po imieniu. — Na szczęście pozbieraliście się szybko. Teraz nawet mi się podobacie. Też wyglądacie na zamrażarki. To dobrze. Podwyższona adrenalina nie wspomaga myślenia. Emocje wyłączamy, okay? W przeciwieństwie do oprawcy. Wiem, co chcesz powiedzieć, Peters. Owszem, zaciera za sobą wszelkie ślady. Owszem, postępuje według dokładnie opracowanej wcześniej strategii. Ale czy dokonuje aktu zemsty na zimno? Akt zemsty sprawia mu satysfakcję, więcej: radość, wprawia go w uniesienie, daje rozkosz podobną do szczytowania. Może krzyczy razem ze swoją ofiarą, ale z tej rozkoszy właśnie i satysfakcji, ponieważ dopełniła się jego zemsta? I że następna też się dopełni. Czysta, wysublimowana radość. Ja, mściciel. Ja, który jestem tak doskonały, że nigdy mnie nie zidentyfikujecie. Czyż nie tymi słowami groził siostrze Adams? Okay. Jego wybujałe ego nam sprzyja. Do wściekłości doprowadzi go cisza w mediach. Sfabrykowany przez patologa protokół. Brak jakiegokolwiek wzmianki, że patolog odkrył wiadomość od niego. To plama na jego honorze. Jest przecież profesjonalistą w każdym calu. Posługuje się lancetem jak precyzyjny chirurg, obcinając Patrickowi skalp, oddzielając serce Erica od tkanki płucnej. Nieobca

mu wiedza kryminalistyczna, jej techniki. Dostanie ataku furii. Łatwo popełni błąd.

— Chryste, Jennifer! Uważasz, że na tym nie koniec?

— Stan, dodaj do WSZYSCY słowo wypisane na kartce.

— WSZYSCY BĘDZIECIE...

— UKARANI — dokończyła Jennifer.

— Tu by nam pasował Jonathan. Jak cholera by pasował! Dobrze gadam, koleś?

— Źle. Jonathan leży pod kroplówkami. Sam widziałeś, jak wygląda.

— Stan, kroplówki podłączył mu doktor Tracy. A każdego da się ucharakteryzować na trupa. To jedynie luźna uwaga, Stan. Żebyś za bardzo nie ufał temu, co widzisz, oraz temu, co słyszysz. Jonathan, to prawda, jednak nie pasuje do profilu sprawcy. Jego uczucie do Hellen było zboczone, lecz tak silne, że raczej zabiłby w jej obronie, niż by ją skrzywdził. Jednak chętnie poznałabym i pogadała z gościem, którego mieszkańcy Nevady uważają za takiego zбочzka. Którego oskarżają siostry Adams. Który, jak wynika z waszych rozmów z Casselami, przysporzył im oraz Hellen wielu bolesnych doświadczeń. Któremu Jon Milton, jako jedynemu ze swoich dzieci, nie wybudował domu i znalazł pracę w odległym Des Moines, jakby celowo izolując go od własnej rodziny. Z samym Jonem Miltonem również bym pogadała. Z jego żoną też. W waszych rozmowach z Miltonami są poważne luki. Ty, Peters, oparłeś swoje przekonanie, że Jonathanowi grozi niebezpieczeństwo, wyłącznie na przekazie jego ojca. A jeśli je zmyślił? Bo skąd to zadziwiające pytanie Jonathana, czy Anna i Carol jeszcze żyją? Czemu Ruth, słysząc męża usprawiedliwiającego się, dlaczego zadzwonił do Carol, z taką agresją na niego napadła, że jest pijakiem, od pijaństwa popadającym w delirium? Jakby chciała odwrócić waszą uwagę od tego, co powiedział jej mąż. Czemu rozwścieczona Ruth zemdląła, gdy ty, Peters, zwróciłeś uwagę, iż owo zagrożenie Jonathana bierze się stąd, że coś mógł przypadkowo zobaczyć, usłyszeć? Gdzie niby zobaczyć, usłyszeć, skoro go sama po awanturze z Danielą przywiozła chorego do domu i ukrywała, nawet przed wami, początkowo udając, że w domu jest sama z mężem? Zemdląła? Skąd pewność, że zemdląła? A może udawała? Rodzina Miltonów, jestem o tym przekonana, ukrywa przed światem jakieś kompromitujące tajemnice. Okay. Wiele z pewnością dowiemy się z podsłuchów założonych

na ich komórki. I na komórki siostr Adams. Peters, dlaczego nagle twoje policzki zamieniły się w ćwikłę bez chrzanu? Szeryfie, do diabła! Mam twoje zmieszanie oraz ćwikłę Petersa rozumieć, że nie wystąpiliście do sędziego o nakazy? Nie?

— Sama dopiero stwierdziłaś, że potrzebny nam jest teraz przede wszystkim spokój — szarpnęła nerwowo rzadką bródką Peters.

— Okay. TERAZ tak. Lecz PRZEDTEM? Popełniłeś kardynalny, wręcz fatalny w skutkach błąd, Peters. O podsłuchy powinieneś był wystąpić natychmiast po rozmowie z siostrami Adams. Nie wystąpiłeś. Znam twoje uprzedzenia do FBI. Obawiałeś się, że się wtrąci. Okay. Na tym etapie wcale jeszcze nie musiałyby się wtrącać. Już twój ukochany braciszek postarałby się, aby się nie wtrąciło!

— Odczep się ode mnie! To ja jestem detektywem stanowym, nie ty!

— Okay. Jesteś. Detektywem stanowym, popełniającym z pełną świadomością proceduralne błędy.

— No dobra. Zgadza się, szanowna pani psycholog. Świadomie nie wystąpiłem po rozmowie z siostrami Adams o założenie podsłuchów. Nie życzyłem sobie wtrącańskich z FBI, uważając, że billingi wystarczą. Wystarczyły. Dokładnie, jak gadały siostry, facet łączył się z nimi nie przez swoją komórkę, ale z przeróżnych budek telefonicznych, z telefonów przy przeróżnych stacjach benzynowych. Sprawdź sobie te billingi, szanowna pani doktor, i odpieprz się od nas!

— Gdybyś miał podsłuchy na komórkach siostr, znalazłbyś pełną treść gróźb.

— I co by to nam dało? Groził im od lat. Tym samym tekstem. Tym samym chrapliwym głosem. Nie ulega wątpliwości, że głos celowo zmieniał. Chryste, aleś ty upierdliwa!

— Okay. Powiedzmy, że do pewnego momentu wystarczały billingi. Do pewnego, podkreślam. Ten moment się skończył po waszym odkryciu, że Jonathan przebywa w domu rodziców. Aż tak głupi nie jesteś, Peters. Znowu nie wystąpiłeś o założenie podsłuchów z obawy przed FBI. Dziwię się tobie, Haig. Tak sobie wyszedłeś od Miltonów bez najmniejszych wątpliwości?

— Przykro mi, Jennifer. Omdlenie Ruth było dla mnie oczywiste — skłamał Haig, postanawiając zachować lojalność wobec Petersa. Zresztą i z nim swoimi wątpliwościami się nie podzielił.

— Okay. Nie ma podsłuchów, nie ma kontroli. Zdajecie sobie obaj, czym jest brak kontroli? Jakże mogą być skutki takiego braku? Być może nawet i takie, że nie doszłoby do kolejnego morderstwa!

— Wysoki Sądzie! Oddałam wniosek pani prokurator Whitaker! To domniemanie! — krzyknął Peters, błędąc.

— Okay. Mój Boże, Peters, oby! Tego sobie i wam życzę! Oby! W każdym razie jutro, Peters, jeżeli ty tego nie zrobisz, ja się zwrócę do sędziego o nakazy. Jutro, z samego rana.

— Dobra, występuj. Ściągniesz nam natychmiast FBI.

— Nie ściągnę. I ja mam swoje różne układy, układziki. Mnie również przeszkadzałyby teraz FBI. Okay. Chociaż nie okay. Przynajmniej siostram Adams zapewniliście całodobową ochronę po tym, co wam powiedział Jon Milton? Zapewniliście, dupki? — Jennifer Whitaker zabijała Haiga i Petersa wzrokiem. — Żeby was cholera! Nie zapewniliście!

— Kobieto, tyle się działo, że zapomnieliśmy! — jęknął Peters.

Haig pospiesznie włączył interkom, wezwał Thompsona.

— Paul, trzeba natychmiast wysłać pod dom Adamsów aniołów stróżów. Kogo proponujesz?

— O Jezuu, szefie, słusznie! Wszystkie wozy patrolują miasto... Kogo? Może ściągnę Ricky'ego z Eddiem Carnerem? Nad ranem ich wymienię na innych.

— Okay. Każ im, Paul, mieć oczy wokół głowy — zadysponowała Jennifer.

— Ma się rozumieć, pani doktor. Znamy się na swojej robocie.

Po wyjściu Thompsona Jennifer uśmiechnęła się z przekąsem.

— No i co, palanci? Zapomnieliście? Ciekawostka, o czym jeszcze zapomnieliście, wy moje detektywistyczne orły?

— Na szczęście Bóg nam ciebie zesłał, wszechdoskonałą w każdym calu, upierdliwą do granic możliwości, szanowna pani doktor. Ty o niczym nie zapomnisz — odciął się skonsternowany Peters, znów szarpiąc bródkę.

— Żebyś wiedział, że na szczęście. Przynajmniej moja upierdliwość do czegoś się przydała. Okay, Peters. Przestań znęcać się nad własną brodą. Aż tak pamiętliwa nie jestem. Podobasz mi się z brodą, dodaje ci męskości...

— To nie fair, pani doktor — zauważył Haig.

— Okay, nie fair. Przepraszam, Peters. — Kąśliwy uśmiech zniknął z ładnych, zmysłowych warg Jennifer. — A FBI się nie przejmuj. Wszystkich ich nienawidzę równo, bez wyjątku. Ty, Peters, wiesz czemu...

— No wiem... — mruknął Peters. — Dobra, Jennifer. Nie myśl o tym draniu. Było, minęło. Jeszcze się nam tu rozkleisz.

— Ja? Przeciwnie, od razu złodowaciałam. Okay. Od jutra zadziałają podsłuchy. Jutro też wpadniemy do Miltonów. Ten Jonathan nie daje mi spokoju. Cholera, że też musi mieć niepodważalne alibi! Okay. Ma. To nie on. Ktoś inny. Schizofrenik paranoidalny. Schizofrenia dotknęła go w młodości. Zapewne leczony. Co spowodowało remisję choroby? Taka remisja może trwać i trwać, nawet do dwudziestu lat. Facet funkcjonuje normalnie, dlatego nie zwraca na siebie uwagi. Nasz nie zwracał. Nie zwracał, chociaż nastąpił nawrót, najprawdopodobniej znacznie wcześniej. Schizofrenia paranoidalna to rozbudowany, skomplikowany zespół urojeń prześladowczych. Urojeń o własnej wielkości, możliwości wykradania cudzych myśli, urojeń o zdradzie połączonych z halucynacjami słuchowymi. Pojawiają się głosy, które grożą czymś potwornym. Rozkazują na przykład mścić się na kimś za urojone krzywdy. Nawet zabijać. Bywa, że schizofrenika cechuje wyjątkowa inteligencja. Znane są przykłady genialnych matematyków, fizyków, naukowców, artystów, pisarzy, malarzy, że choćby wspomnę tu o van Goghu. Nasz jest inteligentny. Przypuszczam, że gwałtowny nawrót choroby wywołało u niego jakieś niesłychanie ważne wydarzenie, przeżycie, trauma. Na przykład zdrada osoby, której ufał. Albo głęboki zawód w stosunku do osoby, którą sobie szczególnie upodobał, a która nie spełniła jego oczekiwań, więc też jakby go zdradziła. **WSZYSCY BĘDZIECIE UKARANI.** Dlaczego **WSZYSCY?** Dlatego, że obciążył winą wszystkich tych, którzy w jakiś sposób są związani bezpośrednio lub pośrednio z jego urojeniem o doznanej krzywdzie. Kto mu tę krzywdę wyrządził? Hellen Barkins. Jej mąż. Jej rodzice. Mordując Patricka, zemścił się na nich wszystkich. Mordując synka pastora, zemścił się na Amelii i Brianie. Gdyby chodziło wyłącznie o Barkinsów, sprawa by się nam uprościła, ponieważ przeszłość Willa Barkinsa jest nader podejrzana. Nie protestuj, Stan, ale należy przyjrzeć się uważniej i Brianowi. To, że pastor jest charyzmatyczny, nie oznacza, że żyje w nieustającym stanie łaski,

niezdolny do grzechu czy nawet popełnienia starannie ukrywanego świństwa. Coś wiem z autopsji na ten temat... — Twarz Jennifer Whittaker stężała. Jej palce nerwowo chwyciły papieros. Drżały. Otoczyła się chmurą dymu. Milczała dłuższą chwilę. — Okay. Charyzma, Stan, to cecha osobnicza jednostki, która czyni ją wyjątkową w społeczności, nadaje jej status lidera, otoczonego rzeszą zwolenników. Podobno wasz kościół baptystów pęka w szwach, odkąd pastorem został Brian. Dom pastora również powinien pękać od odwiedzających go wiernych. A nie pęka. Dlaczego Amelia z Brianem prowadzą tak wyizolowany tryb życia? Malutkie grono przyjaciół, a właściwie wyłącznie przyjaciółek Amelii? Twój pastor nie ma przyjaciół? Samotny lider? Zastanawiające. Zabrać się za grzebanie w przeszłości pastora. Bez żadnych „ale”, Stan. Barkins i pastor. Doktora Tracy'ego na razie odpuszczamy. Rzeczywiście, mogłam się przesłyszeć. Jego brutalne traktowanie Ruth Milton? Hm... Może po prostu jej, z wiadomych dla siebie powodów, nie znosi? Okay. Bez „ale”, Stan. Bawiłeś się z Brianem już w piaskownicy. Ale co wiesz o okresie jego studiów teologicznych? Że z nich wrócił już z charyzmą. I że studiował nie w naszym stanie. Dlaczego nie w naszym? Zadzwońię do Roya. Niech schowa kartkę w sejfie. Peters, zmiana planów. Skoro świt zasuway do Medison na ich uniwersytet. Nikt lepiej od ciebie nie wywęszy, jakim był studentem i w co się zabawiał, albo z kim, nasz charyzmatyczny pastor.

— Kobieto, jeden dzień to za mało!

— Niech cię pogania myśl, że nasz facet się śpieszy. A to oznacza, że jego choroba się nasila. Uderzy znowu. Nie tej nocy. Jutro dowie się z gazet, że patolog nie odkrył karteczki. Albo że celowo jej treść zatailiśmy przed mediami. Nie uwierzy w protokół patologa. Przecież zna się na anatomii. Uzna to za prowokację. Mamy mało czasu. Tę noc i następny dzień. W dzień nie odważy się wypełznąć. Sprężysz się, Peters. Idź do hotelu, przyłóż łeb do poduszki, prześpij się kilka godzin. Będziemy z tobą w stałym kontakcie. Łebski z ciebie gliniarz, dasz radę. Powodzenia, Peters. Nie zabijaj mnie wzrokiem. I ja za tobą przepadam.

Wychodząc, detektyw trzasnął drzwiami.

— Okay. Naprawdę uważam, że Peters odzyskał dawną formę. Gdy go ostatni raz widziałam, przypominał wrak człowieka. Przydzielili

mu tę sprawę z litości, bo wydawała się prościutka... Cholera, Stan, odbierz tę przeklętą komórkę. Powiedz teściowej, że nie wrócisz na noc, okay?

Haig, zasugerowany, że to właśnie Penny (bo któż by inny?), poczuł zaskoczenie, gdy usłyszał głos Willa.

— Stan. Hellen umarła. Stan, na litość boską, nie zostawiaj mnie teraz samego. Czekam, Stan. Czekam.

Zasłonięta nową chmurą dymu Jennifer zapytała:

— W domu okay, Stan?

A ponieważ milczał, uznała, że okay, i postukała gniewnie długopisem o blat biurka.

— Stan, zapomniałeś języka w gębie?

A ponieważ nadal milczał, wychyliła gniewną twarz z dymnej zasłony.

— Chryste, Stan, tylko mi nie mów, że on znowu...

— W pewnym sensie tak, Jennifer. Dzwonił Will. Hellen umarła.

Papieros wypadł jej z dłoni.

— Jezu, Stan...

— Will prosił, żeby do niego przyjechać. Nie zostawiać go samego.

— Jedź.

- A ty?

— Ja? Przesłucham ponownie nagrania. Jedź.

8.

Jechał przez swoje miasto, w którym się urodził, wychował, założył rodzinę. Miasto mu bliskie jak dom rodzinny. Miasto, które kochał. Miasto zwykłych, poczciwych ludzi. Bez zła. Aż do siódmego marca.

Do tego dnia był przekonany, że je zna. Nie znał.

Był przekonany, że Kathy Cassel uwielbia swego zięcia. Nie uwielbiała. Nie cierpiała męża Hellen. I miała powody, żeby go nie znosić.

Wierzył, że Brian to najporządniejszy z ludzi. Jennifer Whitaker tę wiarę mocno nadwerężyła.

Sądził, że rodzina Adamsów, choć biednie, żyje sobie w spokoju, a jej jedynym zmartwieniem jest chore serce Barbary Adams. Nie żyła w spokoju. Żyła w strachu, ponieważ ulicami tego miasta chodzi człowiek opętany pragnieniem zemsty. Wita się, z miłym uśmiechem pytając: „Co słyhać?”. Czy ściskając drobną dłoń Hellen, myślała: „Kochana Hellen, już niedługo zabiję twego syna”? Czy modląc się w zborze Briana, powtarzał sobie: „Uwielbiany pastorze, już niedługo zabiję i twego syna”? O czym teraz rozmyślasz? O Carol? O Annie? A może rozkoszujesz się cierpieniem Willa, bo już wiesz, że Hellen umarła?

Jechał przez swoje miasto. Zbliżała się północ. O tej porze jego miasto zawsze spało. Ciemne okna. Gdzieś tam jedynie wątle światelko czyjeś niezgaszonej nocnej lampki.

Teraz miasto było jak pożoga. W każdym mijanym domu, w każdym oknie światła, światła, światła.

To strach kazał je mieszkańcom pozapalać.

Być może za którymś z tych rześście oświetlonych okien siedzisz i ty. Być może widzisz mego mustanga. Być może nawet wiesz, do kogo

jadę. Być może jesteś zajęty wybieraniem ze swojej listy tego, którego zamierzasz ukarać najbliższej nocy. Ta twoja lista musi być długa. WSZYSCY BĘDZIECIE UKARANI. Czy znajduję się na niej i ja? Nie. Ja nie. Moja przeszłość nie kryje podejrzanych koneksji ani nawiedzanej charyzmy. Ale czy ty sądzisz podobnie, oprawco dzieci? Skąd pewność, że ci się nie naraziłem? Jesteś obłąkany. WSZYSCY BĘDZIECIE UKARANI. Może zawrócić, sprawdzić, czy Steven śpi swoim zwyczajem zwinięty w kłębuszek? Will może poczekać. Ale Jennifer powiedziała, że tej nocy nie uderzysz. A Will nie powinien być sam.

Dom Barkinsa był również oświetlony. Drzwi na w pół otwarte, zapraszające do wejścia.

Spodziewał się zobaczyć Willa w holu. Przecież mnie oczekuje, myślał.

— Halo, Will! Odpowiedziała mu cisza.

— Upiłeś się czy jak? Will! Do cholery, gdzie jesteś? Cisza. Nawalił się. Trudno. Przyjechałem, to już zajrzę. Niech mu tam... Pewno siedzi w salonie. Albo na tarasie, wyplakując się do butelki.

Siedział w salonie. W kominku paliły się polana, sielsko rozrzucając blask ognia. Wysokie oparcie fotela zasłaniało jego głowę. Haig dostrzegł jedynie wysunięte stopy, obute w czarne lakierki.

— Hej, Will! Jestem.

Stopy nie drgnęły.

— Aleś się nawalił...

Nie nawalił się. Głowa zsunęła mu się lekko na ramię. Z lewego boku sączył się wąski strumyk krwi. Lewa dłoń w lateksowej rękawiczce ścisnęła walthera P22. Druga też w rękawiczce, przyciskała do brzucha kopertę, której już sięgał strumyk krwi.

— Boże, Will...

Otwartych oczu śmierć jeszcze jakby nie dopadła. Wpatrywały się łagodnie i bez lęku w coś, co musiało być piękne. Usta Willa uśmiechały się i Haig wiedział do kogo.

Przed fotelem stał stolik. Na stoliku dwie filiżanki, jakby Will i Hellen mieli zasiąść do popołudniowej herbaty, popijając nią krusze ciasteczka, ułożone na porcelanowym talerzyku. O dzbanek z herbatą stało oparte zdjęcie Hellen obejmującej jasnowłosego Patricka.

Przyłożył lufę do piersi i strzelił prosto w serce.

Haig poszukał tętna na szyi. Nie było. Lecz szyja Willa była ciepła.

Lufa walthera również.

Zadzwoił do mnie i pociągnął za spust. Dlaczego chciałeś, Will, żebym to ja cię odnalazł po śmierci? Czemu ja? Masz na obu dłoniach lateksowe rękawiczki. Żeby nie zostawić swoich odcisków na broni. Will, czemu? I czemu ja?

Zabrał walthera i odłożył go obok fotela. Wyjął z drugiej dłoni kopertę. Wytarł krew, nieco rozmazując wypisane na niej zdania: „Zanim mnie potępisz, przyjacielu, przeczytaj. A potem? Potem podejmij decyzję”.

Boże, Will, zgodnie z procedurami muszę zawiadomić Petersa, koronera...

Zanim mnie potępisz, przyjacielu...

Dobrze, przyjacielu. Zaufałeś mi. Przeczytam.

Otworzył kopertę. Przeliczył kartki. Było ich pięć. Zapisanych drobnym, starannym, wyraźnym pismem.

Hellen umarła dziś o czternastej dziesięć, z głową Patricka w ramionach.

Kathy Cassel nazwała mnie zbrodniarzem. W pewnym sensie ma rację.

Powiedziała również, że mam na zawsze zniknąć z ich życia. Więc zniknę.

Miałem dużo czasu na napisanie tego listu do ciebie.

Nie nazywam się Will Barkins, chociaż jestem biologicznym synem Philipa Barkinsa. Nazywam się Tom Harding. Po matce Harding.

Nie sądz, że to, co napiszę poniżej, ma wzbudzić twoje współczucie.

Matce nigdy nie wybaczyłem dwóch spraw. Że zadała się z Barkinsem i że oddała mnie, niemowlaka, do rodziny zastępczej. Byłem wrednym dzieciakiem. Przewinąłem się przez kilka takich rodzin. Pewno skończyłbym jako zaćpany menel, lecz nakręcała mnie nie-nawiść do matki. Byłem inteligentny, nauka przychodziła mi z łatwością. Byłem też zdrowy, sprawny fizycznie. Postanowiłem wykorzystać te atuty i zostać kimś sławnym i bogatym. Kimś, kogo zdjęcia i nazwisko zaczną się pojawiać w mediach. Wtedy ta suka

dowie się, jakiego syna porzuciła.

Zdajesz sobie sprawę, że skończenie szkoły z wyróżnieniem, uzyskanie stypendium umożliwiającego naukę w college'u, gdzie też byłem najlepszy, a następnie studia medyczne i specjalizacje kosztowały mnie wiele pracy. Nikt mi niczego nie dał za darmo. Wszędzie byłem najlepszy.

Początkowo sądziłem, że najlepiej koszą szmal kardiochirurdzy. Błąd. Straciłem cztery lata na staż. Tyle mego, że jako chirurg po stażu mogłem skrócić czas stażu na chirurgii plastycznej.

I od tego momentu pojawia się mój biologiczny ojciec.

Mechanizm jest prosty. Zdarzyło mi się trafić na jakimś tam kanale telewizyjnym na wywiad z nim. Aż takie podobieństwo nie mogło być przypadkiem.

Wysłałem mu swoje zdjęcie. Poprosiłem o spotkanie. Zgodził się. Moja głupota nie znała granic. Byłem w stanie euforii. Już widziałem się w jego ramionach.

Przyglądał mi się długo. Powiedział: „Nie dam się szantażować. Spięprzaj, lachu. Albo każę cię wyrzucić goryłowi”.

Na to wszedł podobny do mnie bliźniaczo gość. Mniej więcej w moim wieku. To był syn Barkinsa, Will. „Popatrz na niego, tatuńciu – powiedział – lepiej mieć go na oku. Wystarczy, że uda się do któregoś z bulwarowych magazynów. Nie wyprzesz się ojcostwa, tatuńciu. Znowu ci obsmarują tyłek. A mnie się przyda bliźniaczo podobny braciszek. I taki zdolny braciszek. Sie masz, drogi braciszku. Zamieszkaś ze mną, co ty na to? Być jedynakiem znaczy mieć przesrane. Na dąsy naszego tatuńcia nie zwracaj uwagi. Miną mu. Kto wie, może z czasem i pokocha, i usynowi? Bo co spojrzy na ciebie, będzie mu się wydawało, że patrzy na mnie. A mnie ubóstwia. Prawda, tatuńciu, że ubóstwiasz swego Willa?”

Nie zamieszkałem z bratem. Honor, kapujesz, Stan? Jednak lata bez rodziny, z nienawiścią do matki, zrobiły swoje. Will stał mi się bliski. Gdyby nie był synem Barkinsa, dawno by go wylano z kliniki. Gdybym nie odwaliał za niego wszystkiego, co można było odwalić, również by go wywalono. Ale nie sprawiało mi przykrości pisanie w dwóch wersjach tych samych prac. Przecież to dla Willa, który na każdym kroku okazywał mi braterską serdeczność. Ojca nie odzyskałem, lecz odzyskałem brata. Will był leniwy, tępawy; miał w dupie studia, wołał szaleć z panienkami. Prowadził typowe życie playboya. Staralem się wpłynąć na niego, aby się ustatkował, bo

narażał się ojcu. Ten kilka razy groził Willowi, że go wydziedziczy. Will śmiał się z tego. Nie traktował tych ostrzeżeń poważnie. Ja też nie. No i stało się. Will tak balował przed końcowym egzaminem, że oblał. Ja skończyłem staż z wyróżnieniem — przed nim pojawiła się perspektywa powtarzania całego roku. Poszedł błagać „tatuńcia”, żeby wpłynął na swoich znajomków w komisji. Byłem przekonany, że jak zwykle ubłaga. Will przez następne tygodnie ćpał i chlał, tym razem — jak sądziłem — z radości, że „tatuńcio” mu wybaczył. Spałem spokojny w swojej przyczepie campingowej, gdy obudził mnie pijany w sztok, rozwścieczony. Rzucił się z pięściami. Belkotał, że poza jego plecami, udając kochającego brata, cały czas urabiałem przeciwko niemu ojca. No i mi się udało. Ojciec zagroził mu wydziedziczeniem na moją korzyść. Prędeż cię zabiję, niż dopuszczę, żeby jakiś bękart odebrał to, co mi się należy, krzyczał, wymachując pistoletem.

Nie wierzyłem, że naprawdę chce mnie zabić. Nawet wtedy, gdy wcisnął mi w brzuch łufę. Lecz był tak pijany i tak wściekły, że się przestraszyłem. Zaczęliśmy się szamotać.

Nie wiem, w którym momencie szarpaniny broń wypaliła. Will osuwał się powoli, patrząc na mnie z bezmiernym zdumieniem. Tylko ta cieniutka strużka krwi... Dostał w serce.

W pierwszym odruchu zamierzałem wezwać policję. Bo pogotowie było zbyteczne, skonał natychmiast. Ale co bym powiedział policji? A jeśli na rewolwerze znaleźliby i moje odciski palców? Mogłem podczas szarpaniny go dotknąć. Obrona własna? Kto uwierzyłby Tomowi Hardingowi, gdyby okazało się, że Philip Barkins rzeczywiście postanowił wydziedziczyć prawowitego syna na rzecz bękartata? Prokurator oskarżyłby mnie o morderstwo pierwszego stopnia. Skończyłbym w komorze gazowej.

Od tego momentu działałem z pełną premedytacją. Założyłem rękawiczki. Przebrałem się w ubranie Willa. Zabrałem jego komórkę oraz portfel z prawem jazdy i kilkuset dolcami. Willa przebrałem w swoje wysłużone dżinsy i adidasasy. Do kieszeni włożyłem mu swój portfel i komórkę.

Wytarłem dokładnie broń. Znałem ją. Kiedyś Will podwędził ją ojcu, bo chciał postrzelać do puszek po piwie. Nie wiedziałem, że jej nie zwrócił. Ponownie włożyłem pistolet w dłoń Willa. Broń z odciskami jego palców schowałem do foliowej torebki, a następnie do kieszeni.

Włączyłem laptop. Napisałem list do Philipa Barkinsa. Mniej więcej takiej treści: „Tatuńciu, właśnie z twojego walthera zabiłem

Toma Hardinga. Kula tkwi w jego sercu. Nie pozwolę na to, abyś usynowił i obdarował bękartą tym, co jest moje. Policja znajdzie na waltherze odciski palców twego ukochanego syna. Co stanie się dalej, dowiesz się już od policji. I z prasy. Masz wybór, tatuńciu. Możesz mnie wydać, a wtedy czapa murowana (a jaka reklama dla twojej kliniki: syn Philipa Barkinsa mordercą!). Możesz jednak potwierdzić wersję policji. Ona i ciebie niekiepsko przemagluje, a nie wszystkie twoje interesy były legalne. No i ten walther, tatuńciu. Czy to nie zastanawiające, że są na nim tylko odciski twego syna? A gdzie podziały się twoje? A gdzie twój walther, tatuńciu, bo go przy zwłokach Hardinga nie znajdują?” Wydrukowałem list. Nie podpisałem go. Adres na kopercie również wydrukowałem. Pierwszy lepszy grafolog zdemaskowałby fakt, że to nie jest pismo Willa.

Usunąłem starannie ślady krwi z podłogi przyczepy. Will przyjechał swoim mercem. Usadowiłem zwłoki brata na siedzeniu pasażera. Laptop zabrałem.

Pojechałem na Sunset Boulevard. Tam, na plaży zostawiłem mercedesa. Wsiadłem w autobus. Przejechałem kilka przystanków. Przesiadłem się w inny. Tak sobie pojeździłem do rana, ciągle się przesiadając. Rano wynajmłem starego forda. Udałem się na lotnisko. Wystartowałem z terminalu 8 do Panamy. Z Panamy do Meksyku.

Z gazet dowiedziałem się, że Philip Barkins zidentyfikował ciało syna jako Toma Hardinga, a walthera nie odnaleziono. No cóż, Stan, pomyśleli, że ocean jest głęboki...

Według zeznań samego Barkinsa, kilku stażystów i lekarza psychiatry Willowi Barkinsowi po nieudanym egzaminie wysiadły nerwy. Załamał się ostatecznie na wiadomość o śmierci swego najlepszego przyjaciela. Na razie przebywa na leczeniu w klinice psychiatrycznej.

Barkins musiał użyć wielu swoich wpływów i poważnie nadweńczyć stan konta, żeby chronić mój tyłek. I swój też.

W którymś z kolejnych wywiadów Barkins oświadczył: „Gdy tylko syn poczuje się lepiej, dam państwu znać. Tom Harding był jego najlepszym przyjacielem. Wciąż jednak nie potrafi pogodzić się z jego tragiczną śmiercią”. Ta wypowiedź była skierowana do mnie. Szczwany lis z tego Barkinsa, Stan.

Zrozumiałem, że potrzebuje ostatecznego dowodu, iż jego syn rzekomo żyje. Z Meksyku wysłałem mu kilka listów, że dziękuję za

wsparcie moralne w tych, tak trudnych dla mnie chwilach, za finansowe również — podróż się udała, w Meksyku podoba mi się tak bardzo, że chyba do kraju, z którym wiążą się same złe wspomnienia, już nie wrócę... Kocham cię, tato, nie martw się i temu podobne banialuki. Podpisywałem się bezczelnie jako Will Barkins. Wiedziałem, że nie odda moich synowskich wyznań do grafologa. Potrzebował dowodu, więc go miał.

Zatrudniłem się w jednym ze szpitali w Tampico, niespełna milionowym mieście. Przeżyłem spokojne cztery lata. Praca, mieszkanie, szacunek, uznanie. Awans na ordynatora oddziału. Kilka wiadomości w prasie.

Naprawdę podobało mi się w Meksyku. Naprawdę nie miałem zamiaru wracać do kraju.

Pewno dnia w mojej komórce zachrypiał męski głos. „Wiem, kim jesteś, rzekomy doktorku. Jesteś bliźniaczko podobny do Willa, poza jednym. Will był praworęczny, doktorku. A ty, którą ręką drapiesz się po tyłku, hę? Kiedyś miałem z tobą w pewien sposób osobiście do czynienia. Jeszcze w Los Angeles. Podczas twego stażu jako chirurga plastycznego. Lewa rączka, doktorku, lewa. Niedawno znalazłem twoje aktualne zdjęcie. Z Tampico. Znowu ta lewa rączka, doktorku. Wydam cię bez wahania. Spierdoliłeś tamtą operację w Los Angeles, Tomie Harding. Cierpliwie czekałem, wierząc, że prędzej czy później w jakiś sposób się ujawnisz. Nie czekałem długo. Spryciarz Barkins rozwił wszelkie wątpliwości dotyczące dość tajemniczego morderstwa, ogłaszając twoje listy. Meksyk sobie wybrałeś, do kraju nie wracasz. Tak to sobie zaplanowałeś, Tomie Harding. Na pewno nie zamierzasz w Meksyku zamiatać ulic, pomyślałem. Na pewno wykorzystasz swój pierwszy dyplom kardiochirurga. Na pewno osiągniesz sukces. Na pewno, gdy ten sukces wspomóżesz jakimś niesłychanie udanym zabiegiem, zaczną o tobie pisać. To ja ciebie wówczas zlokalizuję. No i osiągnąłeś sukces. Pozwoliłeś się nawet sfotografować z kieliszkiem szampana w lewej ręce. Więc zlokalizowałem cię i wydam, jeśli nie spełnisz moich warunków. Są następujące. Masz za dwa miesiące pojawić się w Cedar Falls. Poszukaj na mapie, to w stanie Iowa. Dokładnie za dwa. Tam czeka na ciebie pewna ślicznotka. Kończy za dwa miesiące college. Naiwna, głupiutka, oczekująca na miłość swego życia. Ty nią będziesz. Masz ją w sobie rozkochać. Ożenić się. I zamieszkać w Nevadzie. Ja tam

właśnie mieszkam, doktoru. Twoja wybranka nazywa się Hellen Cassel”.

Tak mi chrypiał, Stan.

Nie zostawił wyboru.

Nienawidziłem Hellen Cassel.

Nienawidziłem... dopóki jej nie spotkałem.

Potem, gdyby mi kazano kogoś zabić dla Hellen, zabiłbym.

Tak się zdarza w życiu, Stan. Pokochałem Hellen od pierwszego spojrzenia.

Tak więc pojawiłem się tutaj jako narzeczony Hellen.

„Dobrze się sprawiłeś, Tom — zachrypiał głos. — W tym grajdole twoje nazwisko nic nikomu nie mówi, lecz ja postaram się, żeby mówiło. Będzie o tobie głośno. Milcz, Tom. Twój los jest w moich rękach. Nie uznaję sprzeciwu. Masz pojechać do Cedar Falls. Jako Willa Barkinsa przyjmą cię tam w szpitalu natychmiast. Nie próbuj w Nevadzie otwierać prywatnego gabinetu, robić konkurencji doktorowi Markowi Tracy'emu. Weźmiesz ślub w nieprzekraczalnym terminie jednego miesiąca. Masz powiedzieć Kathy Cassel, że słynny Philip Barkins zaszczyca go swoją obecnością, lecz ślub ma być kameralny, cichy. Masz zwlekać przez godzinę w kościele, udając, że czekasz na przybycie ojca. Ani tłum gapiów, ani rodzice panny młodej, ani ona sama, ani nikt z zaproszonych na wesele gości nie oczekają się słynnego milionera. Twoja sprawa, w jaki sposób będziesz się usprawiedliwiał. Coś wymyślisz. Po godzinie czekania pastor połączy was na wieki. Wróćcie na przyjęcie. Wówczas otrzymasz telegram gratulacyjny, rzekomo nadany z samolotu, i jedyną w swoim rodzaju wiązankę ślubną dla panny młodej. To polecenia, które masz dokładnie wykonać. A potem uwijesz swoje szczęśliwe, rodzinne gniazdko. Będę cię cały czas obserwował, Tom. Gdzieś się w pobliżu czaił. Jeśli mi się cokolwiek nie spodoba, zadzwonię”.

Tak to się odbyło, Stan.

Kathy Cassel jest inteligentną osobą. Powiedziała mi raz: „A wiesz, to jest dziwne, Will. Tak z ciekawości sprawdziłam w Internecie. Znalazłam tam twoje zdjęcia. Z panienkami. Trzymałeś kieliszek z szampanem w prawej ręce. A ty jesteś mańkutem”.

Poprosiłem Hellen, żeby zabrała z albumu wszystkie moje zdjęcia, na których moja leworęczność jest ewidentna. Staralem się w obecności innych posługiwać prawą. Trenowałem zaciekle. Nie

zawsze mi się udawało. Operacje zawsze niestety robiłem lewą ręką. Unikałem wszelkich zdjęć. Dlatego na kominku przywazyłeś jedynie zdjęcia Hellen i Patricka.

Żyłem przez wiele lat w ustawicznym strachu, że usłyszę chrypiący głos.

Nie odzywał się. W końcu po prostu o nim zapomniałem. Może umarł?

Kiedy porwał Patricka, czepiałem się kurczowo pierwszej wersji, że chodzi o okup.

Potem wiedziałem, że to on, ale nie wiedziałem dlaczego.

Do tej pory nie wiem, dlaczego zabił nasze dziecko. Na kim i za co zamierzał się mścić? Na mnie? Na Hellen?

Wiem jedno, byliśmy oboje częścią jego potwornego planu.

Gdybym wiedział o tym wcześniej, pozwoliłbym mu na wydanie mnie policji.

Znajdź tego potwora, Stan.

Ufam, że zdążysz na czas.

Od ciebie zależy, czy pochowacie mnie jako Willa Barkinsa.

Tak bym chciał. Ze względu na moją Hellen, żeby jej po śmierci nie szarpały różne dziennikarskie hieny. I z powodu Kathy i Gordona Casselów.

Pochowaliby mnie obok mojej żony.

Choć tyle, przyjacielu.

Choć tyle.

— Choć tyle? Och, Will... — westchnął Haig i pomyślał, że on nie wyobraża sobie, aby mógł spocząć gdziekolwiek indziej niż obok swojej Emily. Patrzył na dwie filiżanki, na ciasteczka, tackę z winogronami. Na szereg zdjęć szczęśliwej Hellen, obejmującej szczęśliwego Patricka. Na tę wielką, przeszkloną ścianę od tarasu, za którym rozciągał się ogród Hellen, gdzie wszystko bez niej zdziczeje, porośnie chwastami zapomnienia; gdzie nigdy już więcej nie zabrzmiał ani jej śmiech, ani śmiech Patricka czy Willa. Pomyślał, że gdy już dopadną ten chrapliwy głos, a sąd skáže go na dożywocie, to fakt ten dla rodziny Casselów pozostanie bez znaczenia. Znaczenie będzie miało to, że człowiek, który był mężem Hellen, nazywał się Tom Harding. Oszust. Może nawet z krwią prawdziwego Willa na rękach. Nie pochowają go razem z Hellen. A sami staną się po raz wtóry ofiarami chrapliwego głosu, ponieważ i im nie przepuści ani policja, ani media. Wznowione śledztwo.

Przesłuchania. Nikt im nie uwierzy, że nie zauważyli leworęczności swego zięcia. Chronili mordercę. W imię sprawiedliwości sąd wymierzy odpowiednią karę. Sprawiedliwość? A cóż to takiego? Dla mnie będzie miała zawsze twarz mordercy Patricka i Erica. Twarz Hellen, śpiewającej kołysankę głowie manekina. I twoją twarz, Will. Człowieka zapędzonego w ślepy zaułek, z którego nie ma innego wyjścia jak to, które wybrałeś.

Zadzwoił do Petersa.

— Przyjedź natychmiast. Jestem u Barkinsa. Will popełnił samobójstwo.

— Koleś, przecież skoro świt jadę do Medison. Cholera, zapomniałeś o podstawowych procedurach? Zawiadom policję i koronera.

— Nigdy cię o nic nie prosiłem, Peters. Teraz proszę. Przyjedź. Bez koguta. Bez syreny. Drzwi są otwarte. Znajdziesz nas w salonie. — Rozłączył się. Czekał, myśląc o tym, że zrobi to, bez względu na to, czy Peters przyjedzie, czy nie.

Przyjechał, wściekły. Obszedł hotel z uśmiechającym się Willem.

— Dlaczego założył rękawiczki? I dlatego mnie wezwałeś, koleś? Po raz pierwszy widzę samobójcę w rękawiczkach.

— Przeczytaj, to się dowiesz.

Przeczytał.

— Jezu — powiedział. — Jezu, koleś... I co z tym fantem pocznemy?

— To zależy od ciebie, Peters. Od twojego sumienia. Jeśli je masz, to wiesz, co z tym fantem zrobić.

— Dobra — odparł Peters. Schował list do kieszeni. — Koroner go nie dostanie w swoje łapska. Ani żaden policyjny pies.

— Nie lepiej spalić, Peters?

— Koleś, to kopalnia informacji. Brak nam czasu, aby list przeanalizować, zdanie po zdaniu. Pamiętaj o niejkiej Jennifer Whitaker. Ona zamiast sumienia ma bryłę lodu. A jest zbyt mądra, nie pozwoli się wymanewrować. Założę się, że przyjedzie tutaj węszyć razem z policją. Naszym zadaniem na teraz, koleś, jest wymanewrować policję, koronera oraz panią doktor. Żeby ten biedak pozostał Willem Barkinsem. Co potem? Pogłówkujemy. Pieprzyć Jennifer Whitaker. Pieprzyć koronera.

Peters z napiętą uwagą przyjrzał się zastawionemu stolikowi. Przetawiał jedną z filiżanek tak, że jej ucho wyglądało, jakby podnoszono ją do ust prawą ręką. Zdjął z dłoni Willa rękawiczki. Wrzucił do kominka. Zaskwierczały, płonąć. Przez chusteczkę przełożył walthera na podłogę obok prawej dłoni Willa.

— Przeoczyłeś to, koleś. On swoją ostatnią filiżankę herbaty podnosił prawą ręką. Zastrzelił się prawą ręką. Dobra.

Teraz wezwiemy policję i koronera, Stan. Nasza wersja dla policji i koronera brzmi tak: Will zadzwonił do ciebie. Nie żył, gdy przyjechałeś. Walther wypadł mu z prawej dłoni. Na wszelki jednak wypadek obszedłeś dom. Potem wezwałeś mnie, co nikogo nie zdziwi, gdyż jestem twoim szefem. Policja znajdzie na waltherze odciski palców Willa Barkinsa. To jej wystarczy. Koroner stwierdzi samobójstwo. Motyw dla wszystkich jasny jak słońce.

Pochylił się nad Willem.

— Pochowają cię razem z twoją Hellen, biedaku.

9.

Razem z policją przyjechała Jennifer Whitaker. Obejrzała ciało Willa. Długo przyglądała się zastawionemu stolikowi, zdjęciom Helen z Patrickiem, uśmiechającemu się Willowi. Milczała.

Podczas oględzin koronera również milczała.

W milczeniu słuchała wyjaśnień Haiga i Petersa. Ale gdy koroner polecił zabrać ciało do kostnicy, zaprotestowała gwałtownie.

— Wszystkie okoliczności śmierci są jasne. Czas zgonu ustalony. Po co kostnica? Will Barkins ma rodzinę, a jej tragiczne losy są panu znane. Każę pan tym dwojgu nieszczęśliwym ludziom odbierać ciało zięcia z łódówki? Oni jeszcze nawet nie wiedzą o jego samobójczej śmierci. To kolejny cios. Niech pan pozwoli im osobiście zająć się mężem zmarłej córki. Niech tutaj, w tym domu, przebiorą go, pomodlą się przy nim; niech stąd wyruszy kondukt pogrzebowy, bez targania zwłok a to do kostnicy, a to z kostnicy. Istnieje prawo o naruszeniu prywatności śmierci. Uszanujmy prawo do prywatności tej śmierci, doktorze. Chyba nie ma pan najmniejszych wątpliwości, że to samobójstwo?

— Nie mam — odpowiedział koroner. Był podstarzałym facetem, przyzwyczajonym z racji urzędu do widoku śmierci, lecz i na nim wywarł wrażenie uśmiechający się Will. — Dobrze, wyjątkowo odstąpię od procedury. Sprawa w sądzie w Cedar Falls odbędzie się jutro, o godzinie dziesiątej. Obecność teściów tego nieszczęśliwca nie jest konieczna. Pana, szeryfie, natomiast obowiązkowa. I twoja, Peters. Pani również, doktor Whitaker. Pojutrze rodzina może go pochować... Doktor Whitaker! Dlaczego on się uśmiecha?

— Ponieważ umarł szczęśliwy, doktorze.

— Szczęśliwy?

— Był pan kochany przez kogoś aż tak, żeby umierać szczęśliwym, bo ze świadomością, że zostanie pochowany razem ze swoją ukochaną osobą? — odpowiedziała cicho Jennifer. Jej szare, zazwyczaj zimne oczy rozjaśniły się lśnieniem łez. — Ja, niestety, nie. Mało komu dane jest podobne szczęście. Czuć bez końca, jak oddech unosi ją sennie; na sen nie tracić odtąd ani chwili więcej i wciąż, wciąż słyszeć równy puls serca twojej piersi; i żyć tak wiecznie, zapadając w wieczność śmierci... To moja, nieco przerobiona fraza wiersza Johna Keatsa. Will Barkins tak właśnie kochał tę swoją Hellen. Rozumie pan już, doktorze?

Koroner spojrział na Jennifer Whitaker ze zdumieniem.

— Mówią o pani, że jest zimna jak Grenlandia... A pani cytuje wiersze...

— Nawet lody Grenlandii czasem pękają, doktorze. — Jennifer, uśmiechając się, podeszła do kominka, w którym przygasła ostatnie palące się polano. Stała, wpatrzona w ogień, dopóki koroner nie wyszedł z salonu, Peters nie wysłał broni do laboratorium, a Haig nie polecił gliniarzom wracać do patrolowania miasta.

— Zostaliśmy sami? — spytała, tkwiąc przed kominkiem.

— Tak, Jennifer. Sami — odpowiedział Haig.

Nie znam się na wierszach, Jennifer. W ogóle nie jestem czytany. Moja Emily za to ubóstwiała wiersze i nazwisko twego poety nie jest mi obce. Ani ten wiersz, który zacytowałaś. Jeden z ulubionych wierszy Emily. Nosi tytuł *Jasna gwiazda*. Kto był twoją jasną gwiazdą, Jennifer? Kiedy ci ona ostatecznie zagasała, odbierając nadzieję na miłość? Ktoś cię cholernie zranił. Kamuflujesz się, udając przed ludźmi, że wyzbyłaś się wszelkich emocji, taka zimna, opanowana, racjonalna, obojętna, zasadnicza. Struchlałem na twój widok. Pomyślałem, że oboje z Petersem wpadliśmy. Że zasypiesz nas gradem pytań, bezbłędnie, z żelazną logiką wykazujących nasze kręactwa. Dlaczego wezwałem Petersa, a z zawiadomieniem policji i koronera zwlekałem ponad godzinę, zamiast wezwać ich natychmiast, gdy tylko znalazłem zwłoki Willa? Co oboje tu przez tyle czasu robiliśmy? Zacieraliśmy ślady, to oczywiste dla ciebie, Jennifer. A mimo to milczałaś. Ochroniłaś Willa przed kostnicą i potrafiłaś zrozumieć szczęście w jego oczach.

— Więc zadzwoń do Kathy, Stan. Powinna wiedzieć, że jej zięć był tym, za kogo się podawał.

— Chryste, Jennifer! — wykrzyknął Peters. — Ależ to jest Will Barkins.

— Odtąd jest. I pozostanie nim na wieki. Jeszcze należy o tym przekonać Kathy Cassel. Bo ona sądzi, że nie jest.

— Na waltherze są wyłącznie odciski Willa Barkinsa — usiłował bronić się Peters.

— Nie wątpię, że Willa Barkinsa. Uważasz mnie, Peters, za aż tak naiwną? Gdyby na waltherze były odciski tego, który się za niego podawał, nie wciskałbyś kitu koronerowi. Stan. Dzwon.

Kathy odebrała telefon po drugim sygnale. Powiedział jej, że Will popełnił samobójstwo. Nie zostawił pożegnalnego listu.

— A cóż by mógł napisać w tym swoim pożegnalnym liście, Stan? Chyba to, że był oszustem, podającym się za syna Philipa Barkinsa — głos Kathy brzmiał twardo, pobrzmiwała w nim nieukrywana nie-nawiść. — Niech będzie przeklęty ten dzień, w którym spotkał Hellen. Zadzwoiłam do niego, gdy już przywieźliśmy z Gordonem naszą martwą córkę, nawet po śmierci tulącą do siebie głowę manekina. Ordynator wydał nam ciało, a firma pogrzebowa przysłała zaraz trumnę. Leży w niej, Stan, razem ze swoim Patrickiem. Ubraliśmy ją, umyliśmy włosy i wygląda, jakby spała... Proszę, nie przerywaj. Wtedy dopiero do niego zadzwoiłam. Nazwałam go zbrodniarzem. Powiedziałam, że ma na zawsze zniknąć z naszego życia. Sądziłam, że wyraziłam się jasno i dobitnie. Ale nie. Ten zbrodniarz postanowił się zemścić. Bo czym jest jego samobójstwo, Stan? Perfidną zemstą.

— Kathy, Will...

— Milcz, Stan. Wiem, co powiesz. Że kochał Hellen. I Patricka kochał. Lecz gdyby ich kochał naprawdę, nie ukrywałby swojej zafałszowanej tożsamości. Hellen by mu wybaczyła, my również. Jednak on musiał ukrywać coś bardzo złego. Tak złego, że nie liczył na przebaczenie. Może w ogóle tę swoją wielką miłość do Hellen udawał? On się po prostu przed kimś, kogo się obawiał, schował za naszymi plecami, w tym naszym małym mieście, gdzie ludzie są łatwowierni. Pewno już nie miał gdzie uciekać, więc się zabił. Przy okazji mszcząc się. Przecież teraz w śledztwie wyjdzie na jaw, że nie był synem Barkinsa. Przecież teraz wszystkie dziennikarskie hieny rzucają się na nas.

Będą szargać dobre imię naszej córki. Nas ciągać po sądach. Dociekać, dlaczego go ukrywaliśmy?

— Nie będą, Kathy. Zdążyliśmy ustalić tożsamość twego zięcia. Na bronii były odciski palców. Należą do Willa Barkinsa... — Haig spojrział pytająco na Jennifer. Skinęła głową. Jakby mówiła: „Kłam dalej, Stan”. — Zadzwoniliśmy do jego ojca. Bynajmniej się nie przejął śmiercią syna. Powiedział, że wydziedziczył go wiele lat temu i zerwał z nim wszelkie kontakty. Powiedział, Kathy, że Will próbował je nawiązać, gdy poznał Hellen. Ale kazał mu iść do diabła. „Mój syn był bękartem. Spłodziłem wielu bękartów. Tego bym również nie usynowił, gdyby nie ta dziwka, jego matka, która twierdziła, że ją zgwałciłem, i szantażowała dopóty, dopóki się z nią nie ożeniłem. Na moje szczęście szybko zwinęła się na raka trzustki. Pozostał mi po niej bękart, którego nie cierpiałem, nie mogłem wprost na niego patrzeć, bo był jak moje lustrzane odbicie, taki podobny”. — Chryste, co tu jeszcze, żeby mi uwierzyła? — Kathy, Will przeżył piekło. Jego ojciec to człowiek bez żadnych hamulców moralnych. Philip Barkins, opowiadając tę historię, śmiał się. Willa wciąż nazywał bękartem. „Nareszcie mam bękarta z głowy”, śmiał się. „To jedna z lepszych wiadomości, jakie usłyszałem. Jestem bardzo zobowiązany”. Kathy, jeżeli ciągle mi nie wierzysz, całą rozmowę nagraliśmy. Chcesz ją usłyszeć?

Milczenie w słuchawce.

— Kathy, odezwij się. Kathy, nie zostawiaj go samego. Ulituj się nad nim. — Jezu! Może należało powiedzieć prawdę? Próbować przekonać, że jeżeli go teraz zostawi, ludzie zaczną plotkować. Dociekać. Media także. — Kathy!

Milczenie.

— Kathy, jesteś tam?

— Boże, wybac mi, grzesznej — głos Kathy zaniósł się szlochem. — Wybac. Wybac. Wszyscy mi wybaczcie. Stan! Gdzie Willa zabrałi? Do kostnicy w Cedar Falls? Muszę go natychmiast zobaczyć. Prosić o przebaczenie. Jezu, a ja mu powiedziałam, że jest zbrodniarzem. Nigdy sobie tego nie wybaczę. Nigdy. Nigdy.

— Kathy, on jest tutaj. Ustawił przed sobą zdjęcia swojej Hellen i swojego Patricka. Umarł, uśmiechając się do nich. Ma wciąż otwarte oczy. Czeka na ciebie. Żebyś mu je zamknęła. Dasz radę przyjechać?

— Tak — odpowiedziała. — Tak.

— Więc przyjeżdżaj. Zastaniesz mnie. Czuwam przy nim.

Odłożył komórkę.

Jennifer Whitaker trąciła Petersa łokciem.

— Zbieramy się. Dla Kathy jesteśmy obcy.

Mówiła swoim dawnym, zimnym głosem.

— Znajdziesz nas w swojej kanciapie, szeryfie. Zdążę w międzyczasie wyciągnąć z Petersa wszystko, co napisał rzekomy Will Barkins w swoim pożegnalnym liście, który zniszczyliście. Nie musisz się śpieszyć, Stan — a jednak głos Jennifer złagodniał. — Zostań z Kathy tyle, ile trzeba.

10.

Jechał od Barkinsów przez swoje miasto, jakby płonące od lamp w każdym oknie każdego domu na każdej ulicy.

Nie moje już. Po tym, co zrobiło Willowi, nie moje. Obce. Straszne. Z ukrytym od lat potworem. Od lat knującym swój zbrodniczy plan, do którego potrzebny był Will. Być może postanowiłeś, że wszyscy zostaniemy ukarani, już wtedy, gdy jako mały chłopiec biegałem w krótkich spodniach, a ty głaskałeś mnie po głowie. To miasto było twoim największym kamuflażem, dawało ci poczucie bezpieczeństwa i bezkarności. Bo nie uwierzę, że nikt nigdy niczego nie dostrzegł, nie dopatrzył się w twoim zachowaniu czegoś odbiegającego od normy — ale machał ręką obojętnie, mówiąc: „A co mi tam! Przecież to porządny facet, znam go świetnie. Chwilowo mu odbiło i tyle”. Tak, to miasto cię chroniło. Przeraziło się dopiero, gdy Hellen zamiast syna odzyskała jego skalp. Przeraziło się śmiertelnie, pozapalało światła, zaryglowało drzwi, gdy podrzuciłeś do marketu Louise serce Erica. Przerazi się ostatecznie, dowiadując się, że Hellen nie żyje, a jej mąż się zabił. Przerazi się nieodwołalnie, kiedy znowu uderzysz. Przerazi się do tego stopnia, że telefon na posterunku rozkrzyczy się głosami mieszkańców, którzy nagle ze swoich zakamarków pamięci wygrzebią, że kiedyś zachowałeś się dziwnie, podejrzenie, nietypowo, inaczej. Jennifer Whitaker, ze swoją odmrożoną na chwilę jasną gwiazdą, żałuje, że nie widziałaś Kathy zamykającej Willowi powieki. Tej jej bezmiernej, spóźnionej czułości. I tej jej radości, że to Will. I tej jej rozpacz, że nigdy mu nie powie, jak gorzko żałuje swoich podejrzeń. I tego jej pytania nie usłyszałaś, Jennifer, czy zabił się przez nią, bo mu powiedziała, że jest zbrodniarzem. I nie zobaczyłaś jej oczu, gdy odpowiedziałem: „Nie, Kathy. Nie przez ciebie.

Czekał jak ty na swoją Hellen. Hellen odeszła, a on podążył za nią, do niej. Żeby żyć wraz z nią w wieczności śmierci”. Och, Jennifer,

oczy Kathy stały się jasnymi gwiazdami. I tak ją zostawiłem. I taką ją zapamiętam. Bo przecież, Jennifer, nie minie wiele czasu, a Kathy i Gordon podążą za Hellen, za Patrickiem, za Willem. I znowu staną się rodziną, połączoną wspólnym krzyżem.

Jadąc, mijali policyjne patrole. Dawały mu znaki długimi światłami, że go widzą.

On was również widzi, chłopcy. On was zna. Wy go nie. Jennifer, mam gdzieś twój portret psychologiczny. Schizofrenik paranoidalny! Może sobie być opętany dziesiątkami urojeń, lecz jeśli taki portret przedstawiś sądowi, on się wywinie od kary, zamknięty w psychiatryku, zadbany, karmiony. Więc nie, pani doktor. W tym pieprzonym stanie zniesiono karę śmierci, ale on powinien umierać nie raz, nie dwa, nie trzy. Pieprzę prawo. Najwyżej, pani doktor, sporządzisz mój portret psychologiczny. Bo ja go wydam. Temu miastu. To miasto rozedrze go kawałek po kawałeczku. Wydrze mu serce. Wypruje flaki. Wówczas znowu stanie się moim miastem. I nikt mnie nie potępi, pani doktor. Nikt. Nawet ty, bo gdzieś tam w tobie tkwi twoja jasna gwiazda, której mimo wysiłków nie potrafisz zmienić w lód.

Jennifer dokładnie zakopciła jego kanciapę. Dym unosił się szarymi strużkami pod sufitem. Niedopałki wysypywały się z popielniczki. Obok komputera leżała zmięta paczka po chesterfieldach. Druga została po prostu rzucona na podłogę. Zdążyła aż tyle wypalić? A mnie się wydawało, że byłem z Kathy tylko przez chwilę.

— Siadaj — odezwała się Jennifer, zapalając kolejnego papierosa. Nie zapytasz o Kathy? Ani dlaczego tak długo nie wracałem? — Poinformuję cię, do jakich wniosków doszliśmy z Petersem, okay?

— Szła, szła i doszła — zakpił Peters. — Po zapoznaniu się z treścią listu wszystko przewróciła do góry nogami. Dokumentnie.

Haig, słysząc o liście, struchlał. Jennifer, wierzę w twoją jasną gwiazdę...

— Zniszczyłam list, szeryfie — lodowato przyznała Jennifer. Wiedziałam, że kłamiecie, mówiąc, iż takiego nie zostawił. I proszę bez komentarzy, okay? Szkoda czasu. To była długa, ciężka noc. Niedługo świt. Musimy przed kolejnym, ciężkim dniem chociaż trochę odpocząć. Peters, ponieważ nie jedziesz do Medison, spadaj do hotelu, okay? Zapoznam szeryfa z naszymi ustaleniami i też spadam. No, już cię nie ma, Peters, okay?

— Dobra, dobra — zamruczał Peters. — Nawet cię od dziś lubię, Jennifer. Nawet bardzo. Jesteś okay, pani doktor. Nie spodziewałem się, że aż tak okay — dodał, wychodząc z kanciapy.

— I ja ciebie od dziś lubię, Peters — powiedziała cicho Jennifer Whitaker. Osłoniła twarz kłębami dymu. — Nie sądziłam, że potrafię jeszcze kogokolwiek lubić, a zwłaszcza Petersa. Nie sądziłam, że potrafię zachować się tak, jak się zachowałam. Że przedłożę cierpienie obcego mi człowieka ponad prawo. Stan, do końca życia nie zapomnę uśmiechu Willa. Ani jednego zdania z listu... Zazdroszczę Hellen, że była tak kochana... Okay. Starczy, Jennifer Whitaker. Nie darmo porównuję cię do zamrażarki lub Grenlandii.

— A twoja jasna gwiazda? Pozwolisz jej na nowo zlodowacieć? Milczysz, Jennifer? Kończyłem zaledwie liceum i dwuletnią szkołę policyjną, prostak ze mnie. Powiem więc krótko. Ktoś cię dotkliwie poranił, Jennifer. Uważasz, że zamrażając uczucia, zdołasz zapomnieć o bólu. Nie zdołasz. Moja Emily umarła trzy lata temu. Gdyby nie syn, zrobiłbym to samo co Will. Żeby wciąż, wciąż słyszeć równy puls serca w jej piersi i żyć tak wiecznie, czuć wiecznie, jak oddech unosi ją sennie. To moja przeróbka *Jasnej gwiazdy* Keatsa. Emily szczególnie upodobała sobie ten właśnie wiersz.

— Skończyły mi się papierosy... — odpowiedziała jakby bez związku Jennifer. I rozplakała się, jakby naprawdę chodziło o papierosy.

— Chodźmy stąd.

Tak, tak, chodźmy, uciekajmy. Do ciepłego domu. Obudzimy Penney. Zrobi nam dobrą herbatę, usmaży naleśniki, pachnące wanilią. Usiądziesz za prostym stołem, przykrytym serwetą haftowaną przez moją Emily; na prostym drewnianym krześle. Odtajesz. Bo twój dom jest z pewnością zimny jak lód. Bo jesteś w nim sama ze swoimi wspomnieniami. Bogata, mająca kasy jak lodu, mająca wszystko poza zwykłym ciepłem.

— Ależ...

— Bez „ależ”! Przecież skończyły ci się papierosy... — Objął ją, a ona przytuliła się do niego mocno. Od odejścia Emily po raz pierwszy trzymał w ramionach inną młodą kobietę. Od odejścia Emily po raz pierwszy gładził włosy innej młodej kobiety. Lecz ty wiesz, Emily, że ją tylko pocieszam. Ona potrzebuje pocieszenia.

— No właśnie... Skończyły... — siorbnęła nosem jak mała skrzywdzona dziewczynka, której odebrano ulubioną zabawkę.

Sam wpakował do torebki Jennifer jej notatki, komórkę, obgryziony długopis; podał chusteczkę, żeby otarła łzy z policzków. Bez oporu pozwoliła wyprowadzić się z kanciapy. Nie zapytała, dokąd ją wiezie.

I w jego domu Penny zapaliła wszędzie światła. Zaparkował mustanga przy krawężniku. Nie zdziwił się, że nim wyciągnął klucze, Penny otworzyła im drzwi. Tej nocy w mieście setki osób nie położyło się spać. Tej nocy setki osób chroniło swoje dzieciaki przed potworem.

— Witaj, Jennifer — powiedziała po prostu Penny. — Stan sporo opowiadał mi o tobie. Wyglądacie oboje na padniętych.

— Bo jesteśmy padnięci. Marzy nam się mocna, gorąca herbata i stos naleśników z sosem waniliowym. Prawda, Jennifer?

— Herbata zaparzona. Naleśniki usmażone czekają w piekarniku — uśmiechnęła się Penny. — Nie, Jennifer, nie jestem jasnowiedzką. Czymś musiałam się zająć. Pewno będziecie pracować? Przygotuję dla ciebie pokój gościnny, z oddzielną łazienką i bardzo wygodnym łóżkiem.

— Ależ ja...

— Wiem. Nie masz ze sobą piżamy, szlafroku, pasty do zębów, szczoteczki i tak dalej. Nie szkodzi, Jennifer. Jesteśmy mniej więcej tego samego wzrostu. Przysięgam, że dostaniesz czystą piżamę, równie czysty szlafrok i komplet nieużywanych przyborów do osobistej toalety. Przysięgam również, że nie będę podsłuchiwać waszych tajnych obrad. Uff, wreszcie sama położę się z miłą świadomością, że nie na próżno smażyłam naleśniki. Do zobaczenia przy śniadaniu, Kochani. — Penny udała, że nie widzi wzbierających łez w oczach Jennifer. Z uśmiechem dodała: — Przysięgam, że na śniadanie nie będziesz jadła naleśników. Steven, mój wnuk, kładąc się spać, zażyczył sobie diabelskiej pizzy z czosnkiem. Słowo daje, piekę diabelnie pyszną pizzę diabelską. Palce lizać!

— Jak tu u was pięknie... — powiedziała Jennifer, rozglądając się po kuchni. — Jak ciepło... Jak pachnąco... Inaczej... Haftowana serweta... To Emily haftowała, prawda?

— Urządziła kuchnię. Niczego z Penny nie zmieniliśmy. Wszystko jest tak, jak ona ustawiła. Czasami widzę ją w takim śmiesznym, o

wiele za dużym na nią fartuchu, białym w zielone groszki, mieszającą zupę w garnku. Słyszę jej głos: „Olbrzymie, spróbuj, czy nie dosypać pieprzu?”. Jennifer! Znowu płaczesz?

— Zaraz się pozbieram, Stan. Okay?

— Okay. Masz tu nową chusteczkę. Nie przypuszczałem, że zamienisz się w fontannę.

Napełnił kubek herbatą. Wyjął z piekarnika blaszkę z naleśnikami. Rozstawił talerze. Rozłożył sztucce.

— Gotowa?

— Prawie. Dziękuję, Stan.

— No coś ty! Za co? Napij się herbaty, spałaszuj naleśnik Penny i do roboty.

— Nie rozumiesz. Nikt mi, nawet w dzieciństwie, nie smażył naleśników. Pokojówka odgrzewała gotowe żarcie w mikrofali. Rodziców widywałam rzadko. Byli zbyt zajęci prowadzeniem biznesu. Zabierali mnie na wakacje do Europy do wynajętych apartamentów, jadaliliśmy w luksusowych restauracjach. Rezydencję odziedziczyłam wraz z majątkiem w wieku dwudziestu lat. Nigdy nie nosiłam gospodarskiego fartucha. Nie gotowałam nikomu obiadu. Ani śniadania. Podano mi, sprzątnięto. Tak wyglądało moje życie.

— A skąd się w nim znalazł Keats?

— Przyszedł z marzeń. Z tęsknoty za wielką miłością. Pragnęłam takiej. Lecz nie była mi dana. Pozostała w wierszach Keatsa. Niespełniona. Bo ja po raz pierwszy siedzę w normalnym domu i zamierzam objadać się prawdziwymi naleśnikami. No nie, Stan! Bo się całkowicie rozmamlałam!

— To się rozmamlałaj — roześmiał się z jej rzeczywiście jakby przerażonej ewentualnym rozklejeniem się miny.

— Nie, Stan. W żadnym wypadku. Usiłowaliśmy z Petersem jakoś ułożyć w logiczną całość, chociaż fragmentarycznie, ostatnie dramatyczne wydarzenia, ale nam się ta sztuka nie udała. Peters tylko gadał. Znasz go. Po prostu nie dopuścił mnie do głosu. Nie jesteś detektywem, pani doktor, nie próbuj nim być, bo tylko zamącisz. On więc gadał, a ja sobie rozmyślałam. I teraz chciałabym owe własne rozmyślenia spisać, dać ci do przeczytania.

— Nie lepiej mi je przekazać ustnie?

— Nie, bo mogę się pogubić... Będziesz mi się wtrącał, zadawał pytania...

— Mam wyjść?

— Nie. Zostań. Bylebyś siedział cicho, okay? Zajmie mi to najwyżej piętnaście, dwadzieścia minut. Okay?

— Okay, Jennifer. Nawet na ciebie nie zerknę. Zajmę się zmywaniem naczyń.

Zajęło jej to dobre pół godziny. Od czasu do czasu kleła, mamrotała: „Ty głupia babo, nie tak”, co Haiga serdecznie bawiło. Wyczyścił do błysku zlew. Schował naczynia. Poszedł do Stevena. Chłopiec spał słodko. Długo przyglądał się synowi, myśląc ze ściśniętym sercem o Amelii i Brianie. Amelia jest szczęśliwa... Jest serce naszego synka... Będzie mogła je pochować, modlić się do niego... Chryste, pozwól Amelii przestać być szczęśliwą. Hellen również była szczęśliwa, tuląc do siebie manekin... Steven, synku. Boję się. Może jedynie przypadek mi ciebie ocalił...

Dość. Bo i ja się rozmażę, pomyślał.

Kuchnia była już wypełniona dymem papierosów Jennifer.

— Skończyłaś?

— Niby skończyłam. Ale nie spodziewaj się konstruktywnych wniosków. To jedynie luźne spostrzeżenia. Obawiam się, że bez wartości... Peters miał rację. Jestem psychologiem, nie detektywem. Nie obrażę się, jeśli mnie wyśmiejesz...

— Teraz ty siedź cicho!

— Okay, Stan — westchnęła Jennifer. — Albo nie! Oddaj mi te wypociny!

— Nie ma mowy, pani detektyw. Wiesz co? Idź do Penny. Ona nie śpi. Pogadaj sobie z nią. Wyluzujesz się. A potem wróć.

— Okay... — Znów ciężko westchnęła.

— Pokój Penny to te drugie drzwi z korytarza na lewo — dodał. — Spadaj, pani doktor. Umieram z ciekawości, co tu popisałaś.

— O matko! — wyrwało się Jennifer i pognała do drzwi.

Litery jak pod sznurek. Równe, ani jedna nie ośmieliła się wychylić poza szereg.

Z listu Willa wynika, że nasz sprawca jest człowiekiem niemłodym. Możemy założyć, że swój plan sprecyzował wyłącznie dzięki przypadkowi, gdy dowiedział się o śmierci Toma Hardinga.

Uwaga numer jeden: gdyby nie trafił na wiadomości o śmierci Toma Hardinga, w jego chorym umyśle i tak powstałby plan zemsty. Tylko inny.

*Konkluzja numer jeden: Will Barkins stał się dla sprawcy przy-
nęcią, na którą zwabił Hellen Cassel. Dlaczego jednak sądził, że Hel-
len zakocha się w podstawionym, mocno od niej starszym facecie?
Moje domniemanie: sprawca znalazł Hellen tak doskonale, że nawet
jej marzenia nie były mu obce. O czym marzyła podatna na depresję
Hellen po koszmarnych doświadczeniach z Jonathanem? Na zawsze
wyrzekła się związku z mężczyzną? Nie. Przeciwnie. Marzyła o ide-
alnym związku z idealnym partnerem, będącym zaprzeczeniem
Jonathana. Łagodnym, nieśmiałym, troskliwym, czułym. Te jej
oczekiwania spełnił Will Barkins.*

*Konkluzja numer dwa: To Hellen Cassel sprawca zamierzał uka-
rać. Czy tylko ją?*

Odpowiedź znamy. Nie, nie tylko.

*Konkluzja numer trzy: Hellen Cassel przyjaźniła się z Emily Ford,
Annette Hening, Amelią Jordan, Anną i Carol Adams. Dwie pierwsze
zmarły śmiercią naturalną. Gdyby było inaczej, gdyby istniało jakie-
kolwiek podejrzenie, że ich śmierć była NIENATURALNA, Haig prze-
prowadziłby śledztwo. Nie przeprowadził. Więc ich zgony, chociaż
nagle, spowodowane były gwałtownie rozwijającą się chorobą. Py-
tanie: czy im kiedykolwiek grożono, jak siostronom Adams lub Hellen?
Nie grożono. Leda Hening, matka Annette, jest osobą zdecydowaną,
energiczną, nawet krewką — ona w przeciwieństwie do Kathy czy
Gordona Cassela z pewnością zawiadomiłaby o groźbach policję.
Szeryf Haig na pewno dowiedziałby się od żony, że chrapliwy głos
straszył ją kiedyś wydlubaniem oczu i temu podobnymi potworno-
ściami. Takie groźby są karalne, o czym szeryf wie. Więc natychmiast
zawiadomiłby o nich prokuraturę. Pozostały siostry Adams. Te nasz
facet miał w garści. Zastraszył skutecznie, że zabije im matkę. Dlate-
go milczały. Nadal im grozi. Wniosek: prawdopodobnie zamierza je
zabić.*

*Pytanie: czy poza wyżej wymienionymi sprawca zamierza uka-
rać jeszcze inną osobę?*

*Moim zdaniem tak. Jonathana Milтона. Tu Peters ma rację. Co
nie wyklucza, że Miltonowie nadal ukrywają jakąś ponurą tajemni-
cę. Nie wierzę w omdlenie Ruth. Udała, że mdleje. Bała się, że jej
mąż z czymś się przed Petersem i szeryfem wygada.*

*Dlaczego Jonathana? Ponieważ należy do przeszłości Hellen.
Kochał ją. Sprawca mści się na wszystkich, którzy byli blisko z Hel-
len.*

Po zastanowieniu się nad reakcjami Ruth, przede wszystkim nad jej agresywnym zachowaniem wobec męża, zakończonym efektywnym omdleniem, zgadzam się z tobą, Peters, że Jonathan albo coś widział, albo się czegoś domyśla. Jedynymi osobami, przed którymi mógł się zdradzić, są rodzice oraz ewentualnie żona, Daniela. Nie, Daniela nie. Jonathan jej nie cierpiał, trudno sobie wyobrazić go zwierającego się jej ze swoich domysłów. Jonathan obchodził Daniellę głównie z powodu wymuszanej na Miltonach kasie. Za rzekomy gwałt, którego nie popełnił...

Jennifer Whitaker, gdzie się podziła twoja spostrzegawczość? Logika myślenia? Co z tobą, głupia babo?

Pytanie podstawowe: dlaczego Miltonowie UKRYWALI pobyt syna w domu? Przed KIM? Przed NIM, głupia babo! Ze strachu, żeby się NIE DOWIEDZIAŁ! Stąd takie reakcje Ruth!

Konkluzja numer cztery: ON im grozi zabiciem Jonathana. Od kiedy grozi? Może od dawna. Może Jonathan był pierwszy na jego liście? Może z powodu gróźb Jon Milton nie wybudował synowi domu, wyprawił jak najdalej od Nevady? Jonathan prześladował swoim zboczonym uczuciem Hellen. To psuło wszelkie plany sprawy. Cholera, albo przeciwnie — nie psuło! Ukierunkowywało z wyprzedzeniem wszelkie podejrzenia na Jonathana! Dokładnie tak, ty głupia babo!

Konkluzja numer pięć: kiedy policja potwierdziła niezbite alibi Jonathana po pierwszym morderstwie, nadal zamierzał go wrabiać... Bzdura, szanowna pani doktor. Kompletna bzdura. Zapomniałaś o buciorach! Facet doskonale wiedział, że Jonathan takich buciorów nie nosi. Twoja konkluzja numer pięć jest do dupy!

Ale wciąż pozostaje pytanie: dlaczego Miltonowie UKRYWALI Jonathana? I nasuwa się jedyna logiczna odpowiedź. Ze strachu. Z obawy o jego życie. Nie z powodu choroby czy depresji, czy czegokolwiek. Ze strachu. Przed NIM. Czy wiedzą, przed KIM? Nie. Nie wiedzą. Inaczej z radością oddaliby go w ręce policji... Znowu bredzisz, babo! Jeżeli ON im grozi zabiciem ich syna, nie puszczą pary z ust!

Domniemanie: wiedzą lub domyślają się KTO. Będą tak długo trzymać Jonathana w domu, wystawiając te swoje warty, dopóki policja nie ujmie sprawcy.

Sprawca, jak stwierdzono, musiał mieć do czynienia z chirurgią. Nieobca jest mu wiedza kryminalistyczna. Sprawdzić po bibliotekach miejscowych, w Cedar Falls i w innych miastach stanu

wszystkich zagorzałych czytelników fachowych podręczników kryminalistyki. Osobiście uważam, że był zbyt ostrożny, aby korzystać z bibliotek lub zaopatrywać się w podobną literaturę w księgarniach. Lecz nie zawadzi sprawdzić i ten trop.

Konkluzja numer... Pies drapał twój dumny numer, babo! To stonkowo proste: aby tak fachowo spreparować skalp Patricka lub wyciąć serce Ericowi, sprawca musi mieć odpowiednie warunki. Coś w rodzaju laboratorium. Gdzieś na uboczu. Może w znacznej odległości od miasta. Opuszczone ruiny domu lub domów. Jakież wyglądające pozornie na nieużywane, nawet rozpadające się budynki gospodarcze. Sprawca, jak wynika z listu Willa, się nie śpieszył. Miał więc czas uwić takie śmiertelne gniazdko, odpowiednio je wyposażyć i zakamuflować.

Słuszna uwaga Petersa. Żeby nie wyjść z sprawy, sprawca z pewnością ćwiczył rękę na zwierzakach. Bezpańskich psach, kotach. Sprawdzić w archiwach lokalnej gazety wszystkie ogłoszenia — z przynajmniej ostatnich dziesięciu lat — dotyczące zaginięcia psa lub kota.

Żeby oskalpować Patricka czy wyciąć serce Ericowi, morderca musiał posiadać odpowiedni zestaw narzędzi chirurgicznych. Narzędzia te albo kupił, w co osobiście wątpię ze względu na jego przewidującą ostrożność, albo miał do nich swobodny dostęp. Mógł je wnosić i wnosić.

Pytanie: skąd? Lub: od kogo?

Na pewno nie ze szpitala w Cedar Falls. Jediną osobą z Nevady pracującą w tamtejszym szpitalu był Will Barkins. Więc od kogoś stąd. Kogoś, kto ma gabinet lekarski. W grę wchodzi tylko jedna osoba. Doktor Mark Tracy. Lekarz i przyjaciel rodzin Casselów, Adamsów, Miltonów, szeryfa Haiga. Świadomy lub nieświadomy współnik sprawcy.

Mark Tracy. Sprawdzić go nadzwyczaj dyskretnie. Wprost niezauważalnie. W markecie Louise Duval sprawiał na mnie wrażenie człowieka, który wprost umiera ze strachu. Kto wie, może i on jest na liście sprawcy? Może zna sprawcę? Lub, podobnie jak Jonathan, domyśla się, kto nim jest?

Te pytania na razie pozostaną bez odpowiedzi.

Uwaga sumująca. Możemy uznać, że wszystkie zagrożone osoby po otrzymaniu całodobowej, dyskretniej obstawy i po założeniu podsłuchu będą wystarczająco zabezpieczone przed sprawcą, który niewątpliwie następnej nocy na którąś z tych osób uderzy. Będzie

wściekły, gdy dowie się o sfabrykowanym protokole patologa. To dla nas dobrze. Zapomni o ostrożności. Cholera, Jennifer! Obstaw Miltonom zbyteczna. Miltonowie doskonale sami pilnują Jonathana! Jeżeli zaś doktor Tracy jest świadomym lub nieświadomym współnikiem mordercy, to nasz potwór przyuważy nawet najbardziej dyskretną obstawę. On nie jest głupi. Co jak co, ale z pewnością obserwuje przede wszystkim każdy ruch doktora! To by wyjaśniało śmiertelne przerażenie Marka Tracy'ego! Więc nie. Tracy bez aniołów stróżów. Nasz potwór musi się czuć całkowicie bezpieczny.

Zastanów się, babo, kto jest PIERWSZY do eliminacji na jego liście?

Jonathan? Czy doktor?

Doktor. Zdradza go przerażenie.

Nie doktor, głupia babo! Doktor jest MU potrzebny. Dlaczego aż tak potrzebny? Może na przykład zapewnia mu alibi? Albo to na niego zamierza skierować naszą uwagę? Powodów może mieć sto. Może korzysta z jego narzędzi, z leków, z jego wiedzy medycznej. Albo rzuci go nam na pożarcie, albo w odpowiednim czasie zlikwiduje jako niewygodnego świadka.

Więc Jonathan? Bardzo wątpię. ON, na przykład dzięki doktorowi, wie, że pilnują go całą dobę Ruth z Jonem. Jeśli wywabi Ruth, pozostanie Jon. Wywabi Jona, pozostanie Ruth. Musiałby, przy pomocy doktora, wywabić samego Jonathana. Nielatwe zadanie nawet DLA NIEGO. Oczywiście, w którymś momencie COŚ wymyśli. Ale nie teraz. Teraz jest wściekły. Uderzy tam, gdzie mu się wydaje najłatwiej. W siostry Adams. Wpadnie w istną furię, gdy zobaczy, że mają policyjną ochronę. Jutro, najdalej do południa, zdobędę nakazy na podsłuchy. Jedyne, co możesz zrobić, potworze, to zachrypieć swoimi groźbami Carol albo Annie. A wtedy cię zlokalizujemy.

Bzdura, Jennifer. Totalna. Jest cwany jak sto diabłów. Zobaczy obstawę pod domem sióstr i domyśli się natychmiast, że są i te podsłuchy... Swoją uwagę sumującą możesz wyrzucić do śmieci.

Jednak jako psycholog wiesz, że uderzy. Nie za dnia. Nocą. To jedno, głupia babo, co wiesz na pewno. Że nocą!

— Skończyłeś?

— Jeszcze moment — odparł szeryf. Bał się poruszyć. Kark, plecy, ramiona miał jakby sparaliżowane. Emily i Annette. Emily i Annette. Przyjaciółki Hellen. Emily i Annette. Obie umarły z przyczyn

naturalnych. Emily i Annette. Pierwsza zmarła Annette. W dwa miesiące po niej — Emily. Z przyczyn naturalnych? Ćwiczył rękę na zwierzętach. Pewno tak. Emily i Annette. A jeśli je wybrał do swoich pierwszych ćwiczeń? Takie doświadczenie medyczne, czy mu się uda. Obie umarły nagle. W obu wypadkach doktor Tracy był obecny. Obie były młode, zdrowe. U Annette — zawał. U Emily — sepsa. Niewiele pamiętam, poza twoimi trzepoczącymi w agonii o koldrę dłońmi. Pogotowie... Czy lekarz z pogotowia zapytał doktora, dlaczego TAK PÓŹNO? Nie pamiętam... Ale Leda Hening może pamiętać?

— I co sądzisz? — Jennifer nie ukrywała podekscytowania.

— Doskonale pomyślane — udało mu się poruszyć sztywnymi wargami.

Pod warunkiem że Jonathan jest rzeczywiście chory. Sama powiedziałaś, pani doktor, że nie wszystko, co widzimy, jest zgodne z prawdą. Tak, leżał pod kroplówkami. Tak, wyglądał na bardzo, bardzo chorego. Ten zapach, gdy poprawiałem mu wenflon, ten zapach... To nie był zapach spirytusu. To był zapach jakiegoś kosmetyku. Ty, Jennifer, pachniesz podobnym. A jeśli go ucharakteryzowali? Ciemny tusz pod oczami. Podczernione powieki. Sina szminka na wargach. Na dłoniach. Patrzysz i widzisz, co chcę, żebyś widział. Rozmowę z Jonathanem powtarzał nam Jon. Nie wszystko, co słyszysz, musi być prawdą — to twoje słowa, Jennifer. Skąd pewność, że Jon mówił prawdę? Mógł zmyślać. Kamuflaż, powiadasz Jennifer. Ruth ubrana w kamuflujący fartuch gospodarski, rzekomo piekąca ciasteczka dla wnuków... Zaraz, zaraz, Haig. Pomalutku. Zostaw Miltonów i całą resztę słusznych czy niesłusznych uwag Jennifer. Skup się na tej jednej jedynej. Emily. Annette. Zapanuj nad twarzą. Opanuj gonitwę myśli. Emily, Annette. Emily, Annette. Nic więcej cię na razie nie obchodzi. Emily, Annette. Uśmiechnij się do Jennifer. Zapewnij ją, że wszystko jest w porządku!

— Naprawdę? Na coś te moje wypociny się przydadzą?

— Nawet nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się przydadzą, Jennifer.

— Naprawdę są okay? Czy tylko mi kadzisz, żeby oszczędzić wstydu?

— Zgadzam się z Petersem. Potrafisz być upierdliwa. Jezu, Jennifer, odczep się. Idź spać. Nie ze wszystkim się zgadzam, lecz to akurat mało ważne. Zbyt wiele tropów, zbyt wiele podejrzeń, zbyt

wiele zastanawiających zachowań, zbyt trudno je połączyć w logiczną całość; ja w każdym razie na mnóstwo spraw w ogóle nie zwróciłbym uwagi. Choćby na zgony Emily, Annette, które uznałaś za naturalne, mimo że to dwa nagłe zgony, w krótkich odstępach czasu. W tej chwili jedynie one mnie interesują. Wyłącznie one. Reszta — nie. Nad resztą twoich spostrzeżeń zastanowię się później. Nie teraz. Przepraszam, Jennifer, muszę zachować się niegrzecznie. Ziewnął ostentacyjnie, nie zasłaniając ust.

— Stan! Chyba nie powiesz mi, że ciągnie cię do łóżka?

Ziewnij ponownie, udając, że jesteś straszliwie zmęczony. Życz jej dobrej nocy. Moja ostateczna konkluzja, pani doktor, brzmi następująco: sam zajmę się sprawdzeniem, dlaczego moja Emily zmarła tak gwałtownie i czy aby na pewno śmierć Annette spowodował zawał serca. Od tego zacznę. I nie powiem ci, Jennifer, że potencjalne ofiary są bezpieczne. Bo nie są. I nie powiem wam, ani tobie, ani Petersowi, że poprowadzę własne, prywatne śledztwo. Natychmiast. Nie czekając świtu.

— Doskonale wszystko wypunktowałaś, Jennifer. — Znowu ziewnął. — Przepraszam...

— Nie szkodzi. Również marzę o prysznicu i wygodnym łóżku. Nie uważasz jednak, że powinniśmy podyskutować o tym, co napisałam?

— Jennifer, litości! Jest trzecia nad ranem.

— Ale...

— O czym dyskutować? Nie zgłaszam wątpliwości.

— Pochlebiasz mi — ucieszyła się. — Nie został choćby jeden naleśnik? Wszystkie zjadłam?

— Jennifer, litości!

Nie wszystkie! Byle ją mieć z głowy! Gdzie wetknąłem półmisek z resztą naleśników? Aha, tu, do tej szafki.

— Są zimne — powiedział w nadziei, że zimne naleśniki ostudzą apetyt Jennifer.

— Nie szkodzi! Zimne czy nie zimne, są pyszne! Dawno nie jadłam nic równie smacznego. Kto wie, kiedy mi się przytrafi druga okazja. — Łapczywie spałaszowała naleśnik, oblizała palce i parsknęła śmiechem. — Nie pamiętam, żebym kiedykolwiek, ja, nobliwa zamrażarka, Jennifer Whitaker, oblizywała palce...

— Nadrabiasz zaległości — i on mimowolnie się uśmiechnął. — Jutro, a właściwie już dziś, przy śniadaniu radzę ci wylizać talerz.

Diabelska pizza Penny ocieka wspaniałym sosem czosnkowym. Nie da rady bez wylizywania.

— Okay! Wylizę! Pod warunkiem że ty też...

— My obowiązkowo wylizujemy sos z talerzy. Penny poczułaby się dotknięta, gdybyś nie wylizła, zamrażarko. — Pocałował ją w policzek. — Marsz spać!

— Okay. Nigdy jeszcze nie spałam w zwyczajnym pokoju gościnnym... — Znowu szare oczy Jennifer zamglily się powstrzymywanymi łzami. — Boże, Stan! Jakie ja życie dotąd prowadziłam?

Nie odpowiedział. Nie chciał teraz jej zwierzeń. Więc pocałował ją w drugi policzek, ujął za rękę, zaprowadził do pokoju gościnnego, który także urządziła Emily, przyozdabiając komódki i stolik serwetkami, haftowanymi w różnobarwne motyle, srebrzyste ważki czy gwiazdki. Hellen miała swój ogród. Emily — tworzyła ogrody na serwetkach.

— Mój Boże... — usłyszał zachwycone westchnienie Jennifer, zamykając drzwi.

Pokonując opór sztywniejących kolan, wszedł z holu na piętro. Minał sypialnię, w której umierała Emily. Minał pokój Stevena. Tak jak się spodziewał: Penny nie spała.

— Wiedziałam, że przyjdiesz, olbrzymie... — zażartowała, lecz gdy usiadł obok niej, przeraziła się. — Stan, chyba potrzebujesz lekarza!

— Potrzebuję ciebie. Twojej pamięci. Chcę, żebyś w niej wróciła do dnia śmierci Emily. Nie patrz na mnie z takim przerażeniem, Penny. Ja z tamtego dnia niewiele pamiętam.

— I dobrze. Nie rozumiem, po co rozgrzebywać przeszłość. Boleśną dla nas obojga. Czemu ma to służyć?

— Tego nie mogę powiedzieć. Ale to ważne.

— Jezu, tego dnia byłam u siebie... Przyjechałam do was, bo mnie wezwał doktor Tracy. Żebym się zajęła Stevenem! Steven przyglądał się umierającej matce! Ty jakbyś umierał razem z Emily! Zabrałam chłopca do sąsiadów. Wytłumaczyłam mu, że mamusię po prostu bardzo boli brzuszeczek... Martha Starks puściła mu na wideo bajeczki. Przybiegłam z powrotem. Emily już nie żyła. Ci z pogotowia chcieli ją zabrać na sekcję. Nie pozwoliłeś. Słusznie zresztą. Potem umyłam córkę. Ubrałam. Jezu, te wybroczyzny, te plamy wszędzie... Zadzwoiłam do Marthy, żeby przenocowała Stevena. Przecież dziecko nie

powinno oglądać takiej mamusi... Ty nie nadawałeś się do niczego. Zająłam się pogrzebem. Wszystkim, wszystkim! Stan! Odczep się! Sądzisz, że jedynie ty nie potrafisz zapomnieć? Uważasz, że ta Penny to taka silna kobieta? Zastanowiłeś się kiedykolwiek, co ja czuję każdego dnia tu, w tym domu, gdzie na każdym kroku jakbym się spotykała ze swoją córką? I jak potwornie się teraz boję o Stevena? Zabił Patricka, syna Hellen. Zabił Erica, syna Amelii. Przyjdzie zabić Stevena, bo jest synem Emily, przyjaciółki Hellen. Miałeś mnie za aż taką idiotkę, Stan, która nie potrafi skojarzyć faktów? Lepiej się zajmijcie Carol i Anną. One również były najbliższymi przyjaciółkami Hellen!

— Penny, nie wiem, co powiedzieć...

— Nic nie mówić! Nie zadawać pytań!

— Muszę, Penny. Boisz się o Stevena. Ja również. Dla jego dobra, jego bezpiecznego snu powiedz: czy może wiesz, u kogo była tamtego dnia Emily?

— Nie mam pojęcia. Odczep się wreszcie!

— Penny, a przed tym dniem?

— Wiem tyle, że wybierała się do Miltonów... Po przepis na jakieś ciasteczka. Była kilka dni wcześniej ze Stevenem w markecie Louise. Ruth zrobiła kilka fotek Stevenowi, obdarowała go ciasteczkami. Bardzo mu smakowały, a Emily nie знаła przepisu.

— Waniliowe?

— Przepis na waniliowe zna chyba każda kobieta w Nevadzie! Nie mam pojęcia jakie. I nie wiem, czy w ogóle poszła do Ruth po przepis. A jeśli nawet poszła, co to ma wspólnego z jej śmiercią?

— Mam nadzieję, że nic... Posłuchaj, Penny. Dostałem telefon od Petersa — skłamał. — Coś musimy natychmiast sprawdzić. W tajemnicy przed Jennifer. Ona jest... Ona jest okropnie wtrącałska. Czasami nam po prostu przeszkadza, ta nasza pani doktor. Postaram się szybko wrócić. Zanim nasza pani doktor się obudzi, a sen powinna mieć ciężki, bo opchała się twoimi naleśnikami, Penny, twierdząc, że podobnie pysznych w życiu nie jadła...

— Rozumiem. Mam ją w razie czego zagadać?

— Dokładnie, Penny. Dokładnie.

11.

Zostawił mustanga pod osłoną potężnego dębu, na samym końcu Driver Lane. Stąd już blisko było na Oak Street, gdzie mieszkała Leda Hening. Kilka minut szybkiego marszu obsadzoną dębami ulicą zapewniało mu anonimowość, mimo palących się wszędzie w oknach świateł.

Słabo znał matkę Annette. Zapamiętał z pogrzebu jej czarny, mocno zniszczony płaszcz i zaciętą twarz, z jaką przyjmowała kondolencje. Potem widział ją w tym samym płaszczu, płaczącą na pogrzebie Emily.

Leda Hening nie była osobą lubianą. Uważano, że ktoś taki jak ona nie powinien się stawiać, chodzić z podniesionym czołem, powiniennien za to okazywać chociaż trochę skruchy, a przede wszystkim pokory i wstydu. Ona natomiast bez pokory, wstydu i skruchy obnosiła się ze swoim grzesznym, brzemienym brzuchem. Nawet załamanym rodzicom nie wyznała, z kim się puściła, z kim zaszła w ciążę. Odcięła się od Boga, przestała chodzić do kościoła. Po urodzeniu Annette ostentacyjnie kazała wpisać w metrykę „ojciec nieznany”. Ta ostentacja oburzyła większość porządných kobiet w Nevadzie. Owszem, zdarzały się w dzielnicy slumsów, zwanej GIG, zamieszkaney przez miejscową biedotę, dziewczyska bez moralności, rodzące nieślubne dzieciaki, czemu się nikt nie dziwił — ba, słynąca ze swojej dobroci Ruth Milton fundowała takim wyprawkę, doktor Tracy zajmował się i dziewczyskami, i ich potomstwem, a poprzedni pastor czasem nawet wystawiał w Domu Pana puszkę z napisem: „Ofiara na biedne dzieci z dzielnicy GIG”. Lecz na Boga, żeby Leda, córka nauczycielki z liceum, okazała się taką dziewczyną? Nic na to nie wskazywało. Wydawała się cicha i skromna. Surowo wychowywana w pobożności. A tu, proszę, czternastoletniej pannicy rośnie brzuch!

Laura Hening słusznie postąpiła, wyrzucając ją z domu, który zhańbiła. Podobno Richard Hening błagał żonę na kolanach o przebaczenie grzechu jedynaczki. Laura była jednak twardą kobietą. Ona tam rządziła. Leda z tobołkiem wylądowała na ulicy. Dokąd poszła lub pojechała? Nie wiadomo. Richard Hening osiwiiał. Położył się spać czarnowłosy, obudził się siwy niczym gołąb. Zaraz po śniadaniu poszedł do notariusza i dom oraz skromną sumkę na koncie przepisał na córkę. Dom był jego własnością i na próżno rozwścieczona Laura ubiegała się o unieważnienie darowizny. Richard wynajął prywatnego detektywa z Cedar Falls, który odnalazł Ledę na farmie u Mastersów, w stanie skrajnego wyczerpania sprząającą stajnię. Dobrze, niech wraca — podobno tak oświadczyła Laura Hening — pod warunkiem że cofniesz swoją darowiznę. Oczywiście, oczywiście — zgodził się Richard. — Pod warunkiem że ty... Zdania nie dokończył. Upadł. Wylew mózgu był tak rozległy, że zmarł po tygodniu, nie odzyskując przytomności.

Laura została z córką, prawną dziedziczką ładnego, sześciopokojowego domu, odcięta od pozostawionego przez męża kapitaliku. Nie wezwwała lekarza do porodu i nie życzyła sobie oglądać wnuczki. Wyporządziła bezwstydną córkę i wnuczce kąpiel na poddaszu, gdzie latem panował upał nie do zniesienia, zaś zimą szron bielił ściany.

Laura Hening była bezwzględna. Może więc Leda odziedziczyła tę swoją bezwzględność po matce? Albo ta bezwzględność stanowiła jej tarczę obronną przed wciąż ją potępiającymi, wciąż wścibskimi kobietami?

Annette wyrosła na ładną, miłą, cichą dziewczynę. Matka świata poza nią nie widziała. Skromny kapitalik po ojcu wyczerpał się i Leda musiała znaleźć pracę. Edukację przerwała ciąża. Nie skończyła żadnego kursu. Nie umiała też ani przymilać się, ani prosić. Kiedy Louise Duval zaproponowała jej pracę sprzątaczką w markecie, nie powiedziała nawet „dziękuję”. Louise, która na własnej skórze odczuła biedę, nie potrzebowała podziękowań. Nie przeszkadzała jej hardość Ledy, która mówiąc: „Nie jestem żebraczką, nie potrzebuję twojej jałmużny”, nie chciała korzystać z oddawanych pracownikom markecie przeterminowanych konserw czy nadpsutych lekko bananów.

Ciężkie miałaś życie, Ledo Hening. Nigdy nad nim się nie zastanawiałem. Byłaś dla mnie zupełnie obcą kobietą, z zaciętą twarzą na

pogrzebie własnej córki, ubraną w zniszczony, czarny płaszcz. Ja przynajmniej mam Stevena i Penny. A ty nikogo... Pozostały ci tylko wspomnienia o Annette. Przykro mi, ale muszę wiedzieć. Muszę. Na Oak Street jest tylko jeden jedyny nieoświetlony dom. To twój. Ty już o nikogo się nie boisz. Nie musisz się bać, zapalać świateł w każdym pokoju. Twoja Annette nie żyje. Lecz mój syn żyje i zamierzam go ochronić przed potworem, który może w ramach sprawdzianu zabił twoją Annette. Najpierw Annette, potem Emily, moją żonę, przyjaciółkę twojej córki. Toteż liczę na twoją bezwzględność. Przyda mi się, Ledo Hening.

Furtka zwisała na jednym zawiasie. Ścieżkę ku domowi porosły chwasty. Splątanych gałęzi przydomowych jabłoni nikt od dawna nie przycinał. Annette z jabłek smażyła wspaniałą konfiturę. „Kochanie, wołała Emily, wracając od Annette, dostałam aż cztery słoiki! Na spróbowanie. Bo ona przecież nasmaży ich jak zwykle dziesiątki! Objadamy się nimi na każdym spotkaniu przez całą zimę. Te jabłonie posadził jej dziadek. Podobno wbrew woli swojej żony, która je podlewała jakimś paskudztwem, żeby uschły. I ponoć drzewa zaczęły owocować dopiero wówczas, gdy urodziła się Annette. Żebyś je widział, Annette i Ledę, z jakim namaszczeniem traktują swoje jabłonie. Jakby je kochały...” Annette odeszła. Nie smaży swoich wspaniałych konfitur. A ty przestałaś dbać o jabłonie. Chyba cię rozumiem, Ledo Hening. Może nawet, jak kiedyś twoja okrutna dla ciebie matka, podlewasz je teraz chemikaliami, żeby obumarły, bo po co ci one, skoro nie ma twojej Annette?

Zapukał w okno na parterze.

Błagam cię, obudź się.

Zapukał w kolejne.

Tacy jak my, Ledo Hening, śpimy snem niespokojnym, czujnym. Słyszymy przez sen własne westchnienia.

Zastukał ponownie, głośniej.

— Stanleyu Haig, widzę cię. Czego chcesz ode mnie o czwartej nad ranem?

— Zdaję sobie sprawę, że... — zaczął, lecz mu przerwała, ciągle niewidoczna za ciemną szybą:

— Haig, nie znam się na grzecznościach. Wsadź je sobie w tyłek. Do rzeczy. Czego?

— Chcę porozmawiać. Muszę z tobą natychmiast porozmawiać. Wpuść, proszę.

— Służbowo, jako szeryfa? Czy prywatnie, jako męża Emily?

— Prywatnie — odpowiedział bez wahania. Bo tak, tak! Bardziej niż prywatnie! W tajemnicy przed Petersem, przed Jennifer!

— Właż. Drzwi są otwarte. Od śmierci Annette nie zamykam ich na klucz. Nie mam kogo chronić.

Zapaliła się lampka nad drzwiami. Wszedł. Poczul brzydki zapach stęchlizny, kurzu.

— Nie mam też dla kogo sprzątać, więc nie krzyw nosa. Daj rękę. Nienawidzę światła.

Ręka Ledy była sucha i rozpalona.

— Twoją dłoń trawi gorączka. Zaczynasz mnie intrygować, Stanleyu Haig — powiedziała szorstko, popychając go w ciemną czeluść cuchnącego pleśnią wnętrza. Potknął się o jakiś sprzęt. — Siadaj. To kuchenny stółek. Poczekaj moment. Zapalę świecę.

Chrobot zapalki. Błękitnawy ogienek, od którego żółto zadrżał knot świecy.

To nie świeca. To gromnica. Annette umarła tutaj. W kuchni.

— W dzień opuszczam czarne rolety. Powiedziałam ci, Stanleyu Haig, że nienawidzę światła. Wychodząc do Louise Duval, zakładam ciemne okulary. Nawet zimą. Poza marketem nie wychodzę z domu.

— Kiedyś zwracałaś się do mnie nie tak oficjalnie, Ledo.

— Zależy od ciebie, czy zechcę się zwracać jak kiedyś, Stanleyu Haig. Streszczaj się. Patrz mi prosto w oczy. Nikomu nie pozwalam zaglądać w swoje.

Usiadła tak, że pozostawała w cieniu; widział jedynie obrys jej sylwetki. Nie pozwalasz, ponieważ nie chcesz pokazać palącego się w nich bólu. I słusznie, Ledo Hening. Chciałbym mieć twoją siłę. Ja swoje oczy odsłaniam zbyt często, wzbudzając litość. Ten biedny Haig, myślą wówczas — czas, aby zapomniał; czas, aby się ożenił.

— Dopóki w naszym mieście nie pojawił się morderca, nie zastanawiałem się nad gwałtowną śmiercią Emily... — zawiesił głos, bo jeśli źle zaczął, ona mu każe się wynosić. Nie kazała. Milczała, nieporuszona. — Niewiele pamiętam z tamtego dnia. Nie wiem, u kogo Emily była, co u tego kogoś jadła. Penny wie tyle, że dzień przed śmiercią chciała od kogoś wziąć przepis na jakieś ciasteczka, które ogromnie smakowały Stevenowi. Według diagnozy doktora Tracy'ego

zmarła na skutek sepsy, wywołanej wirusem, którego nazwy w tej chwili nie pamiętam, a który występuje na przykład w nieświeżym hamburgerze lub czymś takim. Lekarz z pogotowia, to już wiem od Penny, również podejrzewał sepsę, ale zastanawiał się nad tak gwałtownym przebiegiem, dlatego chcieli mi Emily zabrać. Teraz żałuję, że nie zgodziłem się na sekcję. Teraz sądzę, że popełniłem błąd. Ty nienawidzisz światła, bo Annette zmarła w słoneczny dzień. Ja nienawidzę zmierzchu, ponieważ widzę wtedy trzepoczące po koldrze w agonii białe dłonie Emily, które pokrywały się krwawymi wybroczynami.

Szurnęła krzesłem. Przynęła się do stołu, w krąg żółtego światła gromnicy. Jej twarz przypominała zasuszone jabłko. Zmarszczka na zmarszczce. Jezu, Ledo, wyglądasz na własną babkę, a przecież jesteś znacznie młodsza od Kathy Cassel, od Barbary Adams, od Penny.

— Gdybyś zaczął od wypytywania o Annette, wyrzuciłabym cię za drzwi, bo oznaczałoby to, że zakradłeś się tutaj jako szeryf, a nie mąż Emily. Męża Emily wpuszczę o każdej porze dnia i nocy. W oczach szeryfa, Stanleya Haiga, nie dostrzegłabym tego, co widzę teraz w twoich, Stan. Więc i swoich nie muszę przed tobą ukrywać. — Uśmiechnęła się wysuszonymi jak popiół wargami i przesiadła się tak, że ją widział. — Popęliłam ten sam błąd co ty. Zaufałam Markowi, nie zgodziłam się na sekcję córki. Kiedy umarła tak niespodziewanie, a potem podobny los spotkał Emily, pomyślałam, że to co najmniej dziwne, aby dwie młode, zdrowe kobiety zeszyły z tego świata za każdym razem w obecności ratującego je tego samego lekarza. Kogo w naszym mieście się wzywa, gdy ktoś ma grypę, wysoką gorączkę, kolkę wątrobową albo nagle zasłabnie? Doktora Tracy'ego. To jakby odruch warunkowy, Stan. Zawsze najpierw doktora Tracy'ego. Przyjeżdża natychmiast. Jeżeli stwierdza, że potrzebny szpital, dzwoni po pogotowie. Znamy go od tak wielu lat, że nawet nie pamiętamy, kiedy pojawił się w naszym mieście. Ufamy mu bezgranicznie. Czyż nie tak, Stan? Co jednak wiemy o życiu prywatnym doktora? Gdy się zastanowisz, dojdiesz do wniosku, że nic. Jakby polegało ono wyłącznie na leczeniu chorych. Gdzie się urodził? Jakie było jego dzieciństwo? Miał kochających rodziców? Może podłych? Dobrą młodość? Może złą? Trudności na studiach? Oblany egzamin? Palił trawkę? W

kim się kochał? Jaka jest jego ulubiona potrawa? O takich sprawach opowiada się w gronie przyjaciół. Niby ma ich mnóstwo. Zapytaj Kathy Cassel, co wie o Marku. Odpowie: „Ależ to świetny lekarz i dobry człowiek”. Zapytaj Penny. Usłyszysz podobną odpowiedź. No, może ktoś tam dorzuci, że samotnik. Dlaczego aż taki samotnik, Stan, że nawet w swoim gabinecie nie zatrudnia pielęgniarki? Nad tym wszystkim zaczęłam się zastanawiać po pogrzebie Emily. Jota w jotę powtórzyła się identyczna sytuacja, jak w przypadku Annette. Gwałtowny przebieg choroby, doktor Tracy, próby ratowania, spóźnione wezwanie pogotowia i jednak, Stan, jednak wątpliwości lekarza z pogotowia, bo czyż inaczej zechciano by nasze ukochane istoty zabierać na sekcję, potwierdzać diagnozę doktora? I od razu pojawiające się pytanie, równe oskarżeniu: jeżeli jesteś tak dobrym lekarzem, Marku Tracy, czemu natychmiast nie wezwałeś pogotowia? Przecież wyła z bólu, że boli ją, boli, tu, za mostkiem, a ty, zamiast wzywać pogotowie, wciskałeś pod język nitroglicerynę. Gdy posiniały jej usta, palce, ty, zamiast wzywać pogotowie, reanimowałeś ją, krzycząc: „Annette, na litość boską, nie odchodź. Annette, jesteś zbyt młoda na zawał!”. Więc jednak rozpoznał, że to zawał? I mimo to nie wzywał pogotowia? Dlaczego, Stan? Gdy już wezwał, było po wszystkim. Było po wszystkim, a Mark krzyczał: „Defibrylator! Ona tylko straciła przytomność! Defibrylator! Dwieście dzuli! Trzysta!”. Chryste, człowieku, opamiętaj się. Reanimujesz trupa. Zmarła na zawał. Jaki zawał? Spójrz na nią! Za młoda na zawał! Więc zapytali mnie, czy zrobić sekcję. Bo rzeczywiście, za młoda na zawał, więc może przyczyna zgonu jest inna? Nie zgodziłam się na sekcję. Zamiast mojej córki pogotowie zabrało doktora, bo zemdłał. Albo udał, że zemdłał, rozpaczając nad ciałem Annette. U ciebie, Stan, zapewne również rozpacział i ratował do końca. Późno zrozumiałeś, lecz lepiej późno niż wcale. Penny nie wie, u kogo zatrula się Emily. Albo ją otruto. Z pełną premedytacją. Przepis na ciasteczka? Może nawet domyślam się, do kogo poszła po ten przepis... Jeżeli mnie zapytasz, do kogo, nie powiem więcej ani słowa. Żadnych pytań. Nie ufam ludziom, którzy zadają pytania. Zbyt wiele mi ich zadawano, kiedy rósł mój brzuch, nie szczedzono ich, zjadliwych, poniżających, po urodzeniu Annette ani potem, jak dorastała. Przyszedłeś słuchać, nie pytać. Do ciebie należy decyzja, Stanleyu Haig.

— Będę słuchał. Jezu, będę!

— Annette też do kogoś poszła od Meredith Turner, u której przymierzała swoją suknię ślubną. Bolała ją wtedy głowa. Jedyna niedyspozycja Annette to ta migrena, na którą cierpią kobiety w okresie miesiączki. Nasz kochany doktor przepisał jej takie proszki przeciwbólowe w kapsułkach. Owszem, były skuteczne, pod warunkiem że je zażywała trzy razy dziennie. Meredith wyznaczyła przymiarke na dziewiątą rano. Annette miała zaraz wrócić do domu. Nie wracała. Po dwóch godzinach zadzwoniłam do Meredith. Annette? „No coś ty, Ledo! Wyszła ode mnie co najmniej półtorej godziny temu. Ach, Ledo, suknia leży świetnie! No coś ty, skąd mogę wiedzieć, dokąd twoja córka poszła? Sądziłam, że do domu. Narzekala na ból głowy. Och, Ledo, nie przesadzaj z tą swoją nadopiekuńczością! Zadzwoni do Hellen. Może poszła do niej, pochwalić się suknią”. Zadzwoniłam do Hellen. Tak, spotkała Annette na Roosevelt Avenue. Rozmawiały chwilę. Ktoś do Annette zadzwonił. Chyba ktoś miły, ba, ogólnie szanowany, bo Annette z lekkim zdumieniem powiedziała: „Czuję się zaszczycona! Niespodzianka dla mnie? Z okazji mojego ślubu? Oczywiście, że się cieszę! Zaraz przyjdę. Nie, proszę nie przyjeżdżać. Boli mnie głowa, jest taki ładny, słoneczny dzień, spacerek dobrze mi zrobi”. Uspokoiliam się. Wróciła jeszcze za dnia, w zachodzącym słońcu. Umarła tu, w kuchni. Tu, w kuchni — powtórzyła takim tonem, jakby umieranie w kuchni było czymś zwyczajnym. Wstała. Zachlupotała wodą nalewaną do szklanek. — Zaszło mi w gardle. Tobie pewno też. Jeżeli nie, zaschnie ci po tym, co usłyszysz.

Przeszła się wokoło stołu.

— Za mało światła — mruknęła. Wysunęła jakąś szufladę. — Gdzie się podziałaś, przekłeta? Powinnaś tu być... Muszę go widzieć dokładnie, rozumiesz? Cholera, ostatnia. Trzeba dziś kupić was tuzin. Albo dwa...

Ustawiła obok dopalającej się świecy drugą. Trzask zapalki. Gromniczne światło. Jego pełzające niczym pająki odbłaski na ścianie i blacie stołu.

— Stanleyu Haig, patrz mi w oczy. Nie wierzę w tak zwany honor. Może go masz, a może nie. Wiele ryzykuję. Jeżeli komukolwiek o tym powiesz, choćby Penny czy Kathy, zhańbisz dobre imię mojej córki. Będą pluć na jej grób. Annette nigdy nie powiedziałam, kto jest jej ojcem. Nikomu nie powiedziałam. Wiemy tylko ja i on. Jon Milton.

Kto?! Jon? Zwariowała. Zmarnowałem tyle czasu na rozmowę z oszalałą kobietą, myślisz. Nie, Stanleyu Haig, nie zwariowałam. — Nie spodziewanie uśmiechnęła się. — Bo to jest tak. Mijasz domy. Są zadbane, czyściuteńkie, wyblyszczone. Mieszkają w nich ludzie, których znasz lepiej lub gorzej, ale znasz. Porządni, zacni ludzie, myślisz sobie, mijając ich zadbane, czyściusieńkie domy. Jakiś tam malusieńki grzeszek któregoś z nich, no ale kto nie grzeszy? Cóż za spokojne miasto, ta nasza Nevada. Czy nie tak uważałeś, Stanleyu Haig, dopóty, dopóki mieszkający w którymś z tych czyściuteńkich domów potwór nie oskalpował Patricka Hellen, nie wyrwał serca Ericowi Amelii? Więc dlaczego w twoich oczach pojawiła się zgroza, gdy usłyszałeś szanowane powszechnie nazwisko znanego powszechnie Jona Milтона? Patrick nie bał się swego oprawcy, bo go znał. Eric też się nie bał, bo go znał. A ja znałam Jona Milтона. Już wówczas był kimś. Ogólnie szanowanym, dorabiającym się majątku obywatelem tego miasta. Stawianym za wzór innym. Czemu miałyby się go bać wychowywana w pobożności czternastolatka, nie mająca pojęcia o seksie, o zboczonych pedofilach? Wracalam do domu z kółka różańcowego. Zmierzchało. Podjechał swoim pięknym, lśniącym samochodem, otworzył drzwi. „Takie ładne dziewczynki nie powinny chodzić same bez opieki dorosłych. Zwrócę uwagę twojej mamie. Siadaj. Odwiozę cię do domu. A może przedtem zechciałabyś obejrzeć mój? Mam w lodówce pyszne lody. Lubisz lody?” Stanleyu Haig, zgroza wprost rozsadza ci oczy, bo coś mi się wydaje, że zaczynasz mi wierzyć. Lubiałam lody. Chciałam zobaczyć dom pana Jona Milтона, o którego wspaniałościach tyle rozprawiała moja matka, wyrzucając tacie, że nie potrafi robić interesów. Żałowałam jedynie, że żadna z koleżanek mnie nie widzi, jak wsiadam do tego lśniącego samochodu pana Milтона. Nikt mi nie uwierzy, gdy o tym opowiem. Nawet mama. Och, czułam się wyróżniona, dumna i zaszczycona. I wreszcie miałam najeść się do syta lodów, bo mama wydzielala mi takie malutkie porcyjki, skrobnęło się łyżeczką ze trzy razy i po lodzie. Nie zatrzymał samochodu przed głównym wejściem. Objechał dom, zatrzymał się od strony pól Masterów. Uśmiechał się miło. Lubisz tajemnice, Ledo? Zamknij oczy, skarbie. Daj rączkę. Przeprowadzę cię jak księżniczkę w bajce sekretnym przejściem wprost do bajkowego pokoju, wysłanym latającymi

dywanami, z magicznym stolikiem, na którym, gdy klasnę w dłoń, pojawi się olbrzymi kryształowy puchar z lodami ananasowymi i bitą śmietanką, obsypanymi czekoladowymi wiórkami i orzeszkami. Stanleyu Haig, czy wiesz, jak mocno biło serce czternastoletniej dziewczynki? Jaką czuło wdzięczność? Radość? Szczęście, bo i te lody, i ten magiczny stolik, a pan Jon jest czarodziejem... Nie zamykaj oczu, Stanleyu Haig! Musisz razem ze mną przez to przejść, zobaczyć to, co ja zobaczyłam. Tak, pokój był jak z bajki. Specjalnie dla przyprawdzanych tu dziewczynek. Żeby się nie bały. Ściany pomalowane w kwiaty. Kolorowy, puszysty jak łąka dywan, wyciszający kroki. Dzieśiatki lalek, pluszowych misiaczków. Kwiaty w wazonach. Ich słodki zapach. „Śliczna jesteś, maleńka”, powiedział pan Jon. Usiadł na zasłanym miękką narzutą łóżku. „Usiądź przy mnie, kochanie”. Wyjął z kieszeni garść czekoladek owiniętych w sreberka. „Skosztuj, powiedział pan Jon, są pyszne”. Och, były pyszne, Stanleyu Haig! Po prostu nigdy dotąd nie jadłam tak pysznych! Więc je jadłam, a pan Jon, delikatnie mnie obejmując, niczym dobry czarodziej, mówił łagodnym głosem, że nie rozumie, dlaczego moja mama zaplata tak śliczne włosy w warkocze. „Rozpleciemy je, maleńka. Pewno sięgają ci aż do pasa”. Sięgały, Stanleyu Haig. Gładząc, zapytał, czy mam już okres. Nie wiedziałam, co to jest okres. Mama nazywała to miesiączką. Okres?, zdziwiłam się, a on moje zdziwienie zrozumiał, że nie mam. Cieszę się, skarbie. Nie lubię się zabezpieczać gumką, roześmiał się, a jego dłoń opuściła się niżej, jeszcze niżej, dotknęła mojej pupy, kolan, rozsunała je. Potem już się nie bawił w dobrego czarodzieja. Możesz krzyczeć do woli, maleńka, sapał, robiąc mi to, nikt cię tu nie usłyszy. Nie krzyczałam, Stanleyu Haig, chociaż to, co robił, bardzo bolało. Gdy skończył, zaprowadził mnie pod prysznic, umył z krwi, ubrał, rozczesał włosy, które sięgały do pasa, splótł je w warkocze, kazał zamknąć oczy, wyprowadził do samochodu i odwiózł na róg Oak Street. Roześmiał się i powiedział: „Nie próbuj się poskarżyć rodzicom ani nikomu, bo i tak ci nikt nie uwierzy. Wyjdiesz na paskudną kłamczuchę, skarbie. Nawet nie potrafiłabyś pokazać, którędy cię zaprowadziłem do tego pokoju, gdzie zabawiam się z dziewczynkami. Nikt poza mną nie zna ukrytego przejścia, maleńka. Byłaś słodka”.

Chwyliła za szklankę, piła łapczywie, zachłystując się, nie wiadomo czy wodą, czy tymi wydobywanymi z pamięci wspomnieniami,

z których, mimo upływu czasu, nie potrafiła się otrząsnąć, o których nie pozwoliły jej zapomnieć różne wścibskie, różne ciekawskie paniusie — świdrujące ją oczami i rzucające poniżające, urągliwe aluzje — a przede wszystkim wszechobecny na ustach, podziwiany Jon Milton. Jon Milton, pedofil.

Ja ci wierzę, Ledo Hening. Gdybyś komukolwiek się poskarżyła, uznano by cię za przebiegłą kłamczuchę, może nawet za szantażystkę. Wzbudziłabyś nie nienawiść, lecz wściekłość całego miasta, i kto wie, czy w obronie Jona Milтона nie ruszyłoby ono na Oak Street, żeby dokonać samosądu, podpalić wasz dom lub obrzucić go kamieniami. Nie byłoby dla ciebie ani twojej rodziny w tym mieście miejsca, miasto by was przegnało, uciekalibyście napiętnowani tą wściekłością, pod gradem wyzwisk, cięższych od kamieni, silniej raniących niż kamienie. Jon Milton, pedofil, z sekretnym przejściem do pokoju, w którym molestował nieletnie, słodkie dziewczynki. Pedofil nieleczony na zawsze pozostaje pedofilem. Jezu, a jeśli dobierał się do Emily? Amelii? Anny? Carol? Hellen? Wszystkie były słodkimi dziewczynkami. Nie byłem pierwszym mężczyzną Emily. Kogoś przede mną miała. Nigdy jej nie pytałem kogo. Ja również przed Emily miałem inne dziewczyny. Pamiętam, że długo nie pozwalała mi się dotknąć... Emily, Annette, Amelia, Anna, Carol i Hellen. Przyjaciółki, unikające dyskotek, imprez. Wyłącznie we własnym gronie. Obawiające się Jonathana Milтона, zboczka. Kot z wyprutymi flakami na furtce Cas-selów. A jeśli to nie Jonathan? A jeśli to Jon Milton ostrzegał Hellen, że ma posłusznie nadal milczeć? Stąd jej przerażenie, ucieczka w depresję. A jeśli to Jonowi sprawia przyjemność wciąż grozić chrapliwym głosem Carol i Annie? Chryste, a Ruth? Nie wie o skłonnościach męża, czy udaje, że nie wie?

— Byłaś słodka — powtórzyła Leda Hening. Szklanka wypadła jej z dłoni. — Byłaś słodka. Byłaś słodka. Rozumiesz, Stanleyu Haig? Byłam słodka. Nie chcę cię przerażać, ale obawiam się, że nie tylko ja byłam słodka. Bo po mnie były inne słodkie. Na przykład Hellen Cas-sel. Może i Amelia? Albo Anna? Dlaczego piękna Anna nigdy nie wyszła za mąż? Dlaczego patrzy na mężczyzn z taką nienawiścią? Annette pilnowałam jak żrenicy w oku. Jej nie dorwał. Twojej Emily chyba również nie. Może usiłował, a one mu się wymknęły? Dlatego

musiały umrzeć. Chryste, Stanleyu Haig! Nie masz pojęcia, jak potworny był mój strach, kiedy sama, na podłodze, rodziłam swego bękarta, swoją Annette, myśląc, że okaże się podobna do pana Jona! Mój strach rósł wraz z moim dzieckiem. Byłam gotowa je zabić, gdyby przypominało go choć trochę. Ten strach, Stanleyu Haig, nie do opisanania, trwający do momentu, kiedy spojrzała na mnie błękitem moich oczu, kiedy jej początkowo rudawe jak u pana Jona włosy nie stały się jak moje: lśniące czarne, gęste, długie aż do pasa. Jedyne, co miała po panu Jonie, to usta. Tak samo pełne, tak samo zmysłowe. Ale nic więcej. Ucałowałam jej pełne, zmysłowe usta. Wybaczyłam jej te pełne, zmysłowe usta. Wtedy stała się moja i tylko moja. Postanowiłam ją chronić. Odprowadzałam Annette do szkoły. Przyprawdzałam stamtąd. Nie zrobiła jednego kroku beze mnie. Obrzydziałam jej chłopców i mężczyzn na wszelkie możliwe sposoby. Zmusiłam do obejrzenia filmu pornograficznego, żeby nabrała wstrętu do seksu. No cóż. Pojawił się James i zakochała się w nim, a on w niej. Zgodziłam się na ślub pod jednym warunkiem. Że zamieszkają ze mną. W końcu dom jest duży. Oddam wam cały do dyspozycji, przepiszę na was, mnie wystarczy moja sypialnia. Teraz w tym dużym domu zostałam sama, żyjąc w świetle gromnic, przesiadując tu, w kuchni, gdzie konała moja Annette. Uważasz mnie za szaloną, Stanleyu Haig?

— Nie dziwię się twemu szaleństwu, Ledo — zaryzykował odpowiedź.

— Słusznie, bo i w tobie nie brak szaleństwa. Zaczęło się w dniu śmierci twojej Emily i trwa dotąd. Teraz już wiesz, że Jon Milton to potwór. Był i pozostał potworem. Z pewnością dawno zlikwidował sekretne przejście i pokoik dla słodkich dziewczynek. Nasz szanowany pan Jon, najbogatszy biznesmen, często jeździ po całym kraju w interesach. Ma okazję, aby zaspokajać swoje pedofilskie zachcianki poza Nevadą. Zastanów się nad tym, Stanleyu Haig. Pomyśl. Ciasteczka. Ruth zawsze ma przy sobie łakocie dla dzieciaków, torebki ciasteczek. Przepis na ciasteczka, które tak smakowały twojemu synkowi. Emily poszła do Ruth Milton po przepis. Milcz, Stanleyu Haig! Wiem, że wszyscy uważają Ruth Milton za uosobienie dobroci. Dla mnie jest podstępna zmiją, która kryje występki swego męża. Nie twierdzę, że to ona zabija. Pogardzam nią. Za to, że kryje swego męża.

Czasami nawet jej współczuję. Czasami nawet myślę, że ona się go boi i kryje ze strachu. Może i jej grozi czymś potwornym? Wymusza milczenie? Jest potworem, zdolnym do wszystkiego. Ale godzić się, nawet ze strachu, na męża potwora?! Ruth Milton, jedno muszę jej przyznać, jest dobrą matką. Nie potrafiłaby skrzywdzić dziecka. To on zabija, Jon. Ale Ruth nie jest głupia. Żyjąc z nim tyle lat, nie spostrzegła u męża jego pedofilskich skłonności? Musiała je przyuważyć, Stanleyu Haig. Zaprosiła twoją Emily na jego prośbę. Nieważne, czy wspartą groźbą. Ważne, że przekazała zaproszenie. Czy Emily chętnie poszła do Miltonów? Nie wiesz, prawda, czy chętnie. Bo jeżeli miała jednak do czynienia z panem Jonem, to nie sądzę, żeby zrobiła to chętnie. W ogóle by nie poszła. Skarbie, tak mogła zachęcić ją Ruth, nie rozumiem, czemu tak nas unikasz. Zresztą będziemy same. Och, Stanleyu Haig, tak czy siak, Emily zdecydowała się tam pójść. Z pewnością wcześniej pan Jon spreparował środek, który miał ją zabić. Czy Ruth o tym wiedziała? Nie, jeszcze wtedy nie. Wiedziała jedynie, że ma męża pedofila. Na pewno przeraziła ją już wcześniej śmierć Annette, ale ten ich totumfacki, ten przeklęty doktor Tracy, sam przeżony śmiertelnie, bo przecież wiedział, że to zawał i pewno sam wypisał Jonowi receptę na Digoxin, przekonał Ruth, że to był zwykły zawał. Czuję się zaszczyczona, odpowiedziała moja córka panu Jonowi, bo to on osobiście do niej zadzwonił, sam wielki Jon Milton! Stanleyu Haig, słyszę jego śmiech. Annette, wychodzisz za mąż, lubię ludziom sprawiać radość, moja niespodzianka na pewno ci się spodoba! Dostała ją, w kapsułce. Zastanawiasz się, skąd to wiem. Skąd taka prosta baba wie o tym leku? Rok już będzie, jak poprosiłam Louise Duval, żeby nauczyła mnie posługiwać się komputerem. Nudzi mi się w domu, Louise. Kupię używany komputer, wypełnię pusty czas stawianiem kabały, gierkami lub czymś takim. Nauczyłam się szybko. Komputer z monitorem podarowała mi na moje imieniny Louise. Zainstalowałam internet. Sprawdziłam, jaki lek może wywołać opóźniony zawał. Nazywa się Digoxin. Jest lekiem stosowanym przy chorobach serca. Podaje się go w ściśle określonej przez lekarza dawce. Podanie większej nie leczy. Zabija. Nie od razu, musiałyby wówczas być końska dawka. Digoxin ma postać tabletki. Annette na ból głowy zażywała paracetamol w kapsułkach. Łatwo rozkruszyć kilka tabletek i wymienić w kapsułce paracetamol na Digoxin. Łatwo też zdobyć

ten lek, jeżeli przyjacielem domu jest doktor Tracy, niech będzie przeklęty. Chociaż w pewnym sensie mi go żal. Do końca nie chciał uwierzyć, że to zawał, chociaż wiedział, że jednak zawał. U ciebie, Stan, również do samego końca nie chciał wierzyć, że to dawka odpowiednio spreparowanego mięsa, wywołującego śmiertelną, nieodwracalną sepsę? Stanleyu Haig, dobrze, że przyszedłeś. Wykorzystaj to, czego się ode mnie dowiedziałeś o Miltonach, albo nie. Wybór należy do ciebie. Pamiętaj jednak, że moje nazwisko nie może przy tym paść. Zaufałam ci, Stanleyu Haig.

— Nie padnie, Ledo. Przysięgam na Emily. Ledo! A gdybym nie przyszedł, milczałabyś nadal?

— Po tym, co zrobił Ericowi? Nie. Zadzwońilabym do ciebie, żebyś przyszedł. Nie musiałam jednak. Przyszedłeś. A teraz idź. Jestem zmęczona.

— Ledo, dlaczego Jon zabił moją żonę? Co mu zawiniła twoja córka? A Patrick? A Eric?

— Nie rozumiesz, Stanleyu Haig, czy udajesz, że nie rozumiesz? Pan Jon, chociaż tak bardzo poważany, bał się. Mimo wszystko bał się. Tę sukę, Ruth, w jakiś sposób zmusił do uległości. Kto go tam wie, może i jej groził? Groził czy nie groził, i tak według mnie jest podłą suką, zmiją! Zapomniałeś, że dziewczyny się zaprzyjaźniły? Były jak siostry! A jeśli się sobie pozwierały, co im zrobił? Matce nie, ojcu nie, bo wstyd, bo nie uwierzą, ale między sobą? Pan Jon nie miał zamiaru ryzykować. Pan Jon postanowił kolejno je wyeliminować. Moją Annette, bo zauważył, że ma podobne usta. Twoją Emily, bo była żoną szeryfa. Patricka Hellen, bo słyszał od doktora o jej skłonnościach depresyjnych, a całe miasto wiedziało, że Barkins nie wpuścił Ruth Milton z jej zasranym powitalnym plackiem za próg swego domu! Cholera, Stanleyu Haig! To potwór. Wasz i mój.

— Jest metoda, żeby sprawdzić, co było przyczyną zgonów Emily i Annette. Ekshumacja. Zgodzisz się, Ledo, na ekshumację córki?

— A ty na ekshumację Emily? — odpowiedziała pytaniem.

— Nie. Niech odpoczywa w spokoju.

— Więc i niech moja Annette odpoczywa w spokoju. Ja wiem, kto i w jaki sposób ją zabił. Ty również już wiesz. Zdemaskuj potwora,

Stan. To twoje zadanie. Jako szeryfa. Stan! — Położyła suchą, rozpaloną dłoń na jego dłoni. — Kochałam twoją Emily.

— Wiem, Ledo. Nie tylko ją.

— Dlatego proszę, oszczędź Penny. Nie wypytuj jej, wiesz o co. Ani Barbary Adams; ma takie słabe, chore serce. Ani Kathy Cassel, najnieszczęśliwszej z matek. Niech ich słodkie, śliczne dziewczynki pozostaną czyste, niezbrukane. I te, które jeszcze żyją, również. Pana Jona dosięgnie kara boska, ja to wiem.

— Chryste, Ledo! O kim mówisz? — spytał przerażony szeryf. Jeszcze żyją. Jeszcze żyją. Takich słów użył Jon Milton. Żyją Anna i Carol.

— Stan, wpadnij do mnie czasem. — Nie usłyszała? Usłyszała. Na pewno usłyszała. Przycisnąć ją? Nie, ona mi już dziś nic więcej nie powie. — Aha, Stan.. Zastanawiam się, czy powinnam? Szanuję Louise Duval i tak wiele jej zawdzięczam... No, idź już, idź. Wynoś się! — krzyknęła. —Wynoś. Patrzysz na mnie nie jak Stanley Haig, któremu zaufałam! Patrzysz jak przesłuchujący oskarżaną szeryf!

12.

Świtało. Piętnaście po piątej. Należało czym prędzej wracać do domu. Ani Jennifer Whitaker, ani nikt inny, łącznie z okłamaną Penny, nie mają prawa się dowiedzieć, że był u matki Annette. Jennifer zejdzie na śniadanie, zapyta: „A gdzie Stan?”. Znając Penny, natychmiast się wygada, że w nagłej sprawie zadzwonił do niego Peters. Znając Jennifer, ta natychmiast zadzwoni do Petersa. A potem go wspólnie, Jennifer z Petersem, opieprzą za konfabulację i wezmą w krzyżowy ogień pytań: „Gdzie byłeś? Dokąd jeździłeś w tajemnicy przed nimi? Prowadzisz własne, prywatne śledztwo, koleś? Za naszymi plecami?”.

Czuję się tak, jakby mi Leda Hening urządziła pranie mózgu. Jon Milton — pedofil. Jon Milton — potwór. Jon Milton jest tym, którego szukamy. Dopóki jeszcze żyją... I na dokładkę Louise Duval... Chryste, co może wiedzieć Louise Duval? Dlaczego akurat ona? Żeby to szlag! W głowie nic, poza gonitwą myśli... A w domu dociekliwa Jennifer! Jak ją znam, już siedzi w kuchni! Jak znam Penny, już pewno upiekła przynajmniej jedną blachę pizzy, olbrzymią, obliczoną na apetyt Jennifer! A drugą dla mnie...

Klnąc pod nosem, Haig ruszył spod dębu.

Nie mylił się. Penny, w pizamie, miksowała sos czosnkowy. Z piekarnika uciekały smakowite zapachy piekącego się czosnkowego ciasta.

— Stan! Co z tobą? — przeraziła się Penny. — Wyglądasz jak zombie.

— Ciszej...

— Gdzieś ty był prawie dwie godziny? Kto cię tak urządził?

— Na Boga, ciszej...

— Ona śpi. A ja chcę wiedzieć! Chwiejesz się na nogach!

— Nie musisz tego wiedzieć i nie dowiesz się ode mnie niczego. I

ani słowa Jennifer, rozumiesz? Gęba na kłódkę, Penny.

— Nigdy w ten sposób nie odzywałeś się do mnie! Naprawdę coś się stało! Mam się bać jeszcze i o ciebie? Nie wystarczy mi strach o Stevena? — Rozpląkała się.

Kochana, najlepsza Penny. Stało się. Coś, o czym się nie dowiesz. Niech nasza Emily odpoczywa w spokoju.

— Wybacz, poniosło mnie. Nie płacz... — Przyciągnął do siebie teściową i ucałował słone od łez policzki. — Detektyw Peters i Jennifer są tu obcy. Przed nimi nikt stąd nie otworzy serca. Nie rozplacze się, jak na przykład ty, Penny. Nie zwierzy się.

— Tylko mi nikogo nie skrzywdź, olbrzymie.

— Dlatego właśnie muszę sam. Nieoficjalnie. Bez przypiętej odznaki szeryfa. Rozumiesz, Penny?

— Nie. Ale ci ufam. Jesteś dobrym człowiekiem — odpowiedziała, wycierając twarz brzegiem fartucha. Skrzywiła nos. — Brzydko pachniesz. Idź pod prysznic. Zmień bieliznę — uśmiechnęła się. — Gdybyś był kobietą, doradziłabym nieco rózu na policzki. Wystraszysz Jennifer.

To niezła myśl, Penny. Wystraszyć Jennifer. Potem Petersa. Niech sobie nadal konferują, numerują konkluzje, rozdzielają włos na czworo. Nie jestem im do tego potrzebny. Wymówię się silnym bólem głowy. Poproszę o zwolnienie na kilka godzin. Muszę koniecznie rozmówić się z doktorem. Tu masz rację, Ledo Hening, rzeczywiście, zbyt mało, właściwie niczego o nim nie wiemy, tymczasem to on kupił pokemona Ericowi i zachowywał się podejrzanie w markecie. A wcześniej wypytam o niego Louise Duval, bo są mniej więcej w tym samym wieku. I nie tylko o niego. Nieprzypadkowo akurat jej nazwisko wymieniła Leda.

Puścił gorącą wodę. Rozgrzewał się, tajał. Odzyskiwał powoli zdolność myślenia. Jon Milton molestował Ledę, zanim ożenił się z Ruth. Po ślubie, zatajając przed żoną swoje pedofilskie skłonności, zlikwidował sekretny pokój dla słodkich dziewczynek. Do tego miejsca wszystko pasuje. Dalej już nie. Pokręciło ci się w twojej, jednak chorej głowie, Ledo. Pedofil pozostaje pedofilem, fakt. Może jest tak, jak mówisz, że Jon zaspokaja swoje pedofilskie potrzeby podczas biznesowych podróży. Pewno tak. Był ogólnie szanowanym, powiększającym wciąż majątek facetem, skrzętnie skrywającym ponurą tajemnicę. Powiem ci więcej, Ledo. On się nie bał, że jego tajemnica się

wyda. Wszystkie te słodkie dziewczynki, przed laty sprowadzane do sekretnego pokoju, zastraszył w podobny sposób jak ciebie. To są obecnie kobiety w twoim wieku, po czterdziestce. Dawno powychodziły za mąż, ułożyły sobie życie, urodziły dzieci, a ich dzieci są dokładnie w wieku Amelii czy Anny. Może od czasu do czasu śnią im się koszmary, krzyczą, a przebudzony krzykiem mąż uspakaja je: „Śpij, skarbie, śpij, to tylko zły sen”. Albo może zepchnęły tamten koszmar w podświadomość i nie pamiętają „pana Jona”, który je brał na kolana, rozpuszczał włosy i dopytywał się, czy mają okres? Dla ciebie, Ledo, czas jakby się zatrzymał na tamtym dniu, w którym padłaś jego ofiarą. Myślę, że gdyby nie zrobił ci brzucha, nie naraził na bezlitosne traktowanie twojej i tak srogiej matki, gdybyś tym brzuchem nie została napiętnowana przez innych jako czternastoletnia dziwka — zdołałabyś wydostać się z tamtego pokoju, ale ty w nim wciąż i wciąż przebywasz; wciąż i wciąż pan Jon rozpuszcza twoje włosy, rozsuwa kolana, kładzie się na tobie; wciąż i wciąż czujesz ból rozrywanej błony dziewiczej, ból penetracji jego członka w swojej pochwie; i tę krew na udach widzisz, i słyszysz głos pana Jona, że jeśli komukolwiek powiesz, wyjdiesz na paskudną kłamczuchę, której nikt nie uwierzy, a którą każdy przeklnie. To potwór, Ledo, ale to nie on zabił Digoxinem twoją Annette ani nie on zaraził Emily wirusami wyhodowanymi wcześniej na mięsie wołowym do hamburgera, wywołującymi gwałtowny atak sepsy. Nie musiał się ich obawiać — nie molestował ich, był już żonatym, szczęśliwym ojcem, a Ruth nie pasuje mi do roli kobiety, która wie o „panu Jonie” i milczy; sama jest przecież matką dwóch ślicznych dziewczynek! Stworzyłaś na własny użytek teorię spisku z „panem Jonem” w roli głównej, przenieś swoją nienawiść na Bogu ducha winną Ruth, nie mając żadnych dowodów, że twoja Annette lub moja Emily były w domu Miltonów. Mylisz się, Ledo, jeszcze w jednym. Jon Milton nikogo się nie boi. Ożenił się, zlikwidował swój sekretny pokojik, kocha swoją żonę, swoje dzieci, wnuki. Mocno wątpię, żeby nadal ryzykował uprawianie seksu ze słodkimi dziewczynkami po burdelach, nawet podczas podróży biznesowych. A może na przykład leczył się z pedofilstwem? U kogoś, komu mógł zaufać. Na przykład u doktora Tracy'ego. Przyjaciela domu. Gdybym zachorował na jakąś wstydliwą chorobę, poszedłbym jak w dym do Marka Tracy'ego. Każdy by do niego poszedł. Więc nie, Ledo. Jon Milton nie miał powodu zabijać ani Patricka, ani Erica. To ktoś inny.

Dowiem się kto. Jennifer Whitaker stworzyła jego portret psychologiczny. Portret schizofrenika maniakalnego.

Odświeżony i przebrany wrócił do kuchni. Cholera, Jennifer! Zwariowałaś? Powinnaś spać!

— Nareszcie! — odezwała się Jennifer, okryta szlafrokiem Penny, zajęta łapczywym zlizywaniem z talerza sosu czosnkowego. — Obie z Penny myślałyśmy już, że cię wciągnęło do rury... Stan! Ależ ty się chwiejesz! Jesteś koszmarnie błądy! Daj rękę, zbadam ci tętno... Stan, ty płoniesz! Tętno ze sto trzydzieści... On jest chory, Penny! Trzeba do niego wezwać lekarza!

— Nie trzeba. Nic mi nie jest. Po prostu kolejna nieprzespana noc. Wypiję diabelsko mocną kawę i do pracy, pani doktor. — Opadł na krzesło. Sam był zdumiony, że jego tętno zwariowało.

— Mocna kawa przy takim tętnie? Żadnej kawy, ani mocnej, ani słabej! Herbaty też nie! Sto trzydzieści? To już tachykardia! Penny, dzwonić po pogotowie. Trzeba mu zrobić EKG, echo serca! Do szpitala, szeryfie, nie do pracy! — krzyknęła z niepokojem Jennifer.

— Ciszej, pani doktor. Obudzisz mi syna. Penny, ani mi się waź dzwonić po jakies głupie pogotowie. Z kawy mogę zrezygnować, ale o diabelską pizzę poproszę. Same się nią objadłyście, a ja mam iść na szpitalną owsiankę? Zjem i zaraz poczuję się lepiej. Jennifer, nie patrz na mnie z takim lękiem. Serce mam zdrowe jak dzwon. A że tętno mi podskoczyło? A swoje mierzyłaś? Jest w normie? Ile wynosiło, gdy pochylałaś się na Willem? Gdy cytowałaś *Jasną gwiazdę* Keatsa? Ciągnąć dalej, Jennifer? Nie? To dobrze, że nie. Penny, dawaj pizzę.

— Okay. Nie odezwę się więcej ani słowem — powiedziała lodowato Jennifer.

— Zawsze był uparty jak osioł. Jedz, ośle. — Penny nałożyła na talerz potężną porcję pizzy. — Ty zaś nie obrażaj się na niego. Pod tą potężną muskulaturą kryje się mnóstwo wrażliwości. Nie jest mu łatwo, Jennifer.

— Tym bardziej powinien zwolnić tempo. Odpocząć.

— Tu masz rację — zgodziła się ochoczo Penny. — Trochę poleżeć. Kilka godzin...

— Penny, ja muszę na posterunek! — zawołał, spodziewając się protestu Jennifer.

— Nie musisz! Zostaniesz w łóżku! Patrzcie go, jemu wydaje się, że jest niezastąpiony! — rozłościła się Jennifer. — Nic się złego nie dzieje. Dzwoniłam, gdy cię wciągało do rury. Stan, kochany... Wprost patrzeć się na ciebie nie da... I co nam po tobie, walącym się z nóg? Sam wiesz, że w dzień nic się złego nie zdarzy. Do Miltonów pojedziemy sami. Koniecznie chcę z nimi pogadać.

— Skoro nazywasz mnie „kochanym”, nie mam wyjścia — zażartował.

— Ja? Nazwałam ciebie kochanym? Przesłyszałeś się, szeryfie — zmieszala się Jennifer. Wstała. — Do nikogo nigdy nie mówię kochany! W każdym razie, nie w tym sensie... — zmieszala się jeszcze silniej. Ściągnęła gniewnie brwi. — Okay. Dziękuję za gościnę. Idę się ubrać. Zamówię taksówkę. Proszę mnie nie odprowadzać. Jeżeli okazesz się potrzebny, szeryfie, Peters zadzwoni, okay?

— Okay, zamrażarko — roześmiał się Haig.

Jennifer nie zaszczyciła go spojrzeniem. Pospiesznie opuściła kuchnię.

— Podobasz się jej, olbrzymie.

— Penny... — teraz on się zmieszał.

— A ona tobie.

— Penny, lubię ją. Nic więcej.

— Ale ci się podoba.

— Przestań. Podoba mi się, ale nie w tym sensie.

— A w jakim? Ładna kobieta może podobać się facetowi wyłącznie w jednym sensie. Nie miałaś kobiety od trzech lat, olbrzymie.

— Jennifer zasługuje na szacunek, a nie na zaciągnięcie do łóżka — obruszył się. — Ja również zasługuję na szacunek, Penny — dodał surowo.

— Przepraszam.

— Nie gniewam się. Każdy może palnąć głupotę. Lepiej stań przy oknie. Powiedz, kiedy Jennifer odjedzie.

— To nie pójdziesz odpocząć? Nie ucałujesz Stevena na dzień dobry? Jezu, znowu coś knujesz! Szwendaleś się, nie wiadomo gdzie. Wróciłeś z tego szwendania bardziej podobny do upiora niż do człowieka...

— Penny, okno!

— Przecież tkwię przy nim! Żeby cię cholera, Stan! — zdenerwowała się Penny. — Nawet pizzy nie tknąłeś! Naprawdę, żeby cię cholera!

13.

Piętnaście po szóstej. Z mustanga zadzwonił do Louise. Nie zapytała, dlaczego zamierza ją odwiedzić o tak wczesnej porze. „Dobrze, przyjeżdż. Wiesz, gdzie mieszkam”.

Każdy w Nevadzie wiedział, gdzie mieszka Louise Duval. Oczywiście, nikt nie ośmielił się wprost krytykować właścicielki marketu — której majątek wyceniano w nieoficjalnych rankingach jako drugi po Jonie Miltonie — że nie zafundowała sobie okazałego domu, odpowiedniego dla jej pozycji, lecz nadal zajmuje mały, czteropokojowy domek na pograniczu miejscowych slumsów, gdzie znęcał się nad nią eksmaż. Pewnych osób się nie krytykuje ani nie komentuje ich dziwacznych zachowań. Louise do takich osób zaliczała się od dawna. Ot, każdy ma swoje dziwactwa, mówiono, za to brykę kupiła luksusową, granatowego bentleya Continental. No i ubiera się w kostiumy czy pantofle, za jakie utrzymałoby się kilka rodzin przez kilka miesięcy.

Znał tę uliczkę, a właściwie to, co z niej zostało. Kilkanaście rozpadających się, niezamieszkanymi ruder, otoczonych płataniną chaszczy i zdziczałych drzew owocowych, w których zagnieździły się sowy. Bezpańskie psy polowały tu na bezpańskie koty, cuchnęło padliną i szeleściły ogonami wypasione szczury. Jadąc, pomyślał, że to raczej nie dziwactwo każe Louise nadal mieszkać w takim miejscu. To coś innego. Coś, co ukrywa przed ludźmi. O tak wczesnej porze Louise powinna spać. Nie spała. Telefon odebrała natychmiast. Jakby się go spodziewała. Najmniejszego zdumienia w głosie. Po prostu: „Dobrze, przyjeżdż”.

Dom drugiej na liście najbogatszej osoby w mieście był parterowy, wąski, długi; dawno opadłe tynki odsłaniały poczerniałą cegłę. Jedyne inwestycja budowlana to duży garaż przy domu, z wybetonowanym

od uliczki podjazdem, z którego chyba Louise rzadko korzystała: garaż był otwarty, a jej wspaniałe bentley, zaparkowany przy chodniku, nieomal tarasował uliczkę.

Louise Duval czekała na Haiga w niziutkich, wąskich drzwiach, ubrana w bawełniane, mocno sprany szlafrok i w zniszczone domowe kapcie. Wyczuł od niej zapach alkoholu. Bez słowa zaprowadziła go do kuchni, w której jedynymi nowoczesnymi sprzętami były lodówka i stojąca na niej mikrofalna, a jedynymi dowodami luksusu kryształowy kieliszek, butelka wytrawnego martini, miseczka z oliwkami i porcelanowa filiżanka z pachnącą kawą na stole. Kuchenka gazowa i reszta nędznych sprzętów były chyba dwa razy starsze od niego. Pod nogami, chrzęszcząc, zapadały się deski podłogi.

Już popija? O tej porze? Butelka opróżniona w połowie...

— Tak, jestem alkoholiczką — powiedziała Louise, lekko się uśmiechając. — Zakamuflowaną od lat alkoholiczką. Zdumiony? Nie zaprzeczaj, szeryfie. Powinieneś nauczyć się panować nad twarzą, jest zbyt szczerą, a to niedobrze, ponieważ zdradza twoje uczucia, a nawet myśli. Łatwo cię rozszyfrować. Zdumiony jak cholera. — Roześmiała się. — Na dodatek jeszcze szanowana dama używa wulgarnego słownictwa... Nikt by nie posądził ogólnie szanowanej Louise Duval, nieomal pierwszej damy w tym naszym wspaniałym zakamuflowanym, rzekomo spokojnym mieście, że upija się każdego wieczoru po pracy, a skoro świt musi sobie chlapnąć niekiepsko, aby udawać kogoś innego, niż jest naprawdę; bez wstrętu wbić się w elegancki kostium i jechać swoim wspaniałym bentleyem, klnąc, ile wlezie, na ten swój pieprzony market. Nie widać po mnie, jak go straszliwie nienawidzę, prawda, Stan? Potrafię udawać. Nie ja jedna zresztą. Twoje zdrowie, szeryfie!

Nic tu po mnie. Nigdy bym się nie domyślił, że Louise Duval codziennie zalewa robaka. Jest pijana.

— Nie na tyle jednak, Stan, żeby stracić nad sobą kontrolę. Sądzisz, że zgodziłabym się na spotkanie z tobą, gdybym tej kontroli nie umiała zachować?

— Chyba mimo tej swojej kontroli zbyt wiele mi powiedziałaś. Nie obawiaj się, nikt się nie dowie. Ani w jakim zastałem cię stanie, ani o twoich zwierzeniach — zapewnił, wstając

— A czyż nie zaszczyciłeś mnie swoją obecnością w porze na wszelkie odwiedziny absolutnie niestosowną właśnie po to, abym ci

się zwierzała? Siadaj, Stan. Twoja zbyt szczerą twarz wyraża zmieszanie oraz straszliwą udrękę. Jeśli w czymkolwiek potrafię ci ulżyć, pytaj. Uzyskasz szczerą odpowiedź. Niewielu ludzi szanuję, niewielu lubię, zbyt wieloma pogardzam, ale rosłeś na moich oczach, a twoja teściowa nigdy we mnie nie rzuciła złym słowem, nie nazwała na przykład dziecióróbką, nie potępiła, że zeznawałam w sądzie przeciwko mężowi, chociaż większość tak zwanych porządnych kobiet po wyroku pluła mi pod nogi, bo do obowiązków dobrej żony należy bronić swego męża, cokolwiek by ci nie zrobił. Patrzysz na mnie z takim zdumieniem, Stan. Wiem, legenda opowiada o mnie zupełnie inną historyjkę. Jak to dobrzy ludzie naszego miasta mi pomogli, kupując zupełnie zbyteczne rzeczy w moim sklepiku. A i owszem, zachodzili. A i owszem, rzucali mi centy na ladę wraz z wyzwiskami. Prawda jest inna, mój drogi. To cztery rodziny złożyły się i wykupiły cały towar, płacąc o wiele więcej niż był wart. Nie pytaj, które. Przystęgałam im, że ich nazwisk nie ujawnię. Prawdziwym darczyńcom nie zależy na rozgłosie. Gdyby nie oni, musiałabym oddać swoje dzieciaki do rodzin zastępczych. Albo zarabiać w jakimś burdelu dupą. Nie mam pojęcia zresztą, co by się stało ze mną, z moimi dziećmi, gdyby nie oni. Nie wiem. Nie wiem. — Odsunęła butelkę i kieliszek zdecydowanym ruchem, bez pijackiego drżenia dłoni. Albo mu się przewidziało, albo zobaczył w jej wciąż wielkich, jakby nietkniętych upływem czasu, wciąż pięknych oczach błysk przerażenia. Westchnęła. — Na razie dość zwierzeń, Stan. Reszta jest dla mnie zbyt straszna, więc niech ci ta fałszywa legenda o tym, jak Louise Duval dorobiła się marketu, wystarczy. Powiem jeszcze tyle: oplakiwałam szczerze nagłą śmierć twojej żony, a wcześniej śmierć Annette tej nieszczęsnej Ledy Hening, potępionej za swój brzuch, który jej zrobił pewien zbrodzień, bo mu zaufała, bo to był ktoś ogólnie znany, poważany, z porządnej od pokoleń rodziny. Porządne rodziny są poza wszelkimi podejrzeniami, Stan. Po pierwsze, bo aż tak porządne; po drugie, bo w razie wpadki zawsze mają odpowiednią kasę, aby za nią kupić dla siebie bezkarność. Coś wiem na ten temat, Stan. Słucham. Pytaj.

Louise, nie znam cię takiej. W barchanowym szlafroku, Popijając w samotności, odsłaniającej przed obcym facetem swoje intymne tajemnice. Czemu wybrałaś akurat mnie? Pytać cię? Sprytna jesteś. Ty mi po prostu jakbyś zasznurowała usta. To nie fair, Louise. A jeśli

właśnie interesuję się ową „resztą”, która jest dla ciebie zbyt straszna, aby o niej mówić?

— Gdy zadzwoniłeś, powiedziałam: dobra, przyjeżdżaj. Wystarczyłoby mi pięć minut, żeby przebrać się w jedwabie, przepłukać pachnącą wodą usta. Zamiast do kuchni, mogłam cię zaprowadzić do pokoju, w którym są równie stare graty, ale brak dowodów, że piję. Zobaczyłbyś dobrze sobie znaną Louise Duval: zimną, opanowaną, uprzejmie cię słuchającą, z równie zimną uprzejmością zbywającą twoje pytania. Tak zresztą w pierwszej chwili zamierzałam postąpić. Zrezygnowałam. Chciałam, żebyś mnie zobaczył prawdziwą. Taką, jaką jestem dla moich, jakże nielicznych przyjaciół. Szczerą. Liczyłeś na moją szczerość, prawda, Stan? Nie przyjechałeś rozprawać o pogodzie. Przyjechałeś z ważnymi pytaniami. Sądziłam, że cię ośmielę, a tymczasem widzę, że przeraziłam. To jak? Bo palnę mówkę o tym, jak cenny jest mój czas, czyli wyproszę cię niesłychanie uprzejmie za drzwi. Mam palnąć, Stan?

— Poczekaj. Zaskoczyłaś mnie... — powiedział, czując na sobie przenikliwe spojrzenie Louise. — Muszę się oswoić z tobą, taką inną od tej, jaką znałem. Jaką większość Nevady zna. Przeżyłem szok. Muszę zebrać myśli.

— Dobrze, zbieraj je. Mam mnóstwo czasu. Wcałe mi się nie śpieszy do marketu, który wczoraj pozwolił otworzyć mi twój detektyw. W ogóle po tym, co się w nim stało, może go sprzedam. Może w ogóle po tym wszystkim, co się już stało i co jeszcze na pewno się stanie, wyniosę się z tego pieprzonego miasta i zapomnę, kim byłam... — Zadygotała, otuliła się szczelniej barchanowym szlafrokiem, po czym nagle zerwała z krzesła. — Kawa! Kawa natychmiast. Gorąca, mocna. Zaparzę nam mocnej kawy, Stan. Tobie na zbieranie myśli. Sobie, ponieważ mimo wszystko boję się twoich pytań. Leda Hening, która żyje w świetle gromnic, porażona nienawiścią do Jona Milтона, zadzwoniła do mnie, że byłeś u niej nocą. Zapytałam: „Ledo, a co to ma ze mną wspólnego?”. Odpowiedziała: „Ma. Bo jeśli Haig przyjedzie do ciebie, powiedz mu wszystko o panu Jonie”. — Błysk lęku, a może odrazy w oczach Louise tym razem pojawił się na dłużej. — Poszedłeś zapytać o pana Jona Ledę Hening, prawda, Stan?

— Między innymi o niego. Czemu pan Jon Ledy Hening wzbudza w tobie taką odrazę? Leda przysięgała, że nikt poza nią nie wie, kto był ojcem Annette? Kłamała? Leda Hening jest młodsza od ciebie

przynajmniej o dwadzieścia kilka lat. Co wspólnego masz z jej panem Jonem? Byłaś zbyt dorosła, aby uznał cię za słodką dziewczynkę i zaprowadził do sekretnego pokoju.

— Między innymi... — jęknęła. — O mój Boże, powinnam to była przewidzieć... Grzebiesz w przeszłości, bo w niej ukrywa się potwór. Należało cię odprawić z kwitkiem... Lecz skoro powiedziałam „a”, powiem „zet”.

— Louise, wszystko, co powiesz, zostanie między nami — zapewnił.

Chciałaś, żebym przyszedł. Dużo wiesz. Tak dużo, że ci samej zbyt ciężko tę wiedzę dźwigać. O panu Jonie wiesz również. Dlatego Leda wymieniła twoje nazwisko. Dlatego do ciebie zadzwoniła, pewna, że przyjdę. Ale nie wierzę, aby Leda zdradziła ci swoją tajemnicę. Skąd więc wiesz? Jesteś niewiele młodsza od Jona Milтона. Nienawidzisz go bardziej niż diabła. Za co? Nienawidzisz swego marketu — dlaczego? Mieszkasz w tym rozpadającym się domku — czemu?

Naląła kawę do filiżanek. A jednak ręce jej nie drżą. Jest silna. Będzie kłamać? Zobaczymy, czy schowasz twarz, siadając pod światło. Nie, nie będzie kłamać... Usiadła tak, że ją widzę w pełnym świetle.

— Twoje pierwsze pytanie, Stan, odnosi się wprost do pana Jona, pedofila, i brzmi następująco: skąd wiem, że nim był, skoro Jon Milton jest nieomal moim rówieśnikiem, więc z powodu wieku nie interesowałam się mną jako obiektem swoich pedofilskich skłonności? Dalej, jeżeli o tym wiem, dlaczego nie zgłosiłam tego na policję, do prokuratury? Trzecie pytanie dotyczy Ledy Hening. Czy mi wychlapała, kto zrobił jej brzuch na czternaste urodziny? Zgadza się? Tak? Więc odpowiadam na pierwsze. Urodziłam się wbrew legendzie o mojej osobie w rodzinie patologicznej. Tam, niedaleko, w slumsach. Mój płodzień był wiecznie zapluty pijaczkiem, moja rodzicielka podobnie. Byłam najstarsza. Miałam trójkę rodzeństwa. Dwóch braci, kompletnych meneli, i młodszą o dziesięć lat siostrę, prześliczną, nadającą się do reklam lalek Barbie. Miała na imię Rosa. Piękne imię, piękna, choć brudna, obdarta, wychudzona, zawszona dziewczynka. Ja również byłam śliczna, głodna i zawszona. Moi płodzień, gdy znalazł się amator do ożenku, a zapewniam cię, że do ożenku z nami, dziewczynami ze slumsów, mało kto się kwapił, czym prędzej pozbyli

się zbędnej gęby do żywienia. W taki sposób znalazłam się w tym oto domku, własności niejakiego Duwała, który był uprzejmy pobić mnie tak, że wyłądował na długie lata w więzieniu stanowym. Kochałam Rosę. Gdyby mój mąż nie rznął mnie cztery razy dziennie, może wzięłabym siostrzyczkę do siebie. Bałam się, że ten wiecznie seksualnie niezaspokojony kutas dobierze się i do Rosy. Uwierz mi, Stan, pomagałam jej, jak mogłam. Często odwiedzałam ją z bułką, jakąś kielbasą, uczyłam czytać i pisać. I tak oto pewnego dnia wpadłam do niej z wałówką. Moi płodziciele w pijackich rzygach, co było dla mnie widowiskiem powszednim. Za to Rosa skulona w kącie, nie biegnie do swojej ukochanej, starszej siostry, nie rzuca się jej na szyję. „Skarbie, to ja! Skarbie, co ci jest? Rozchorowałaś się, moja maleńka, moja słodziutka dziewczynko?” Wtedy, Stan, wtedy... O mój Boże, żebyś zobaczył wyraz przerażenia w jej błękitnych oczach! Patrzyła na mnie, nie poznając. Patrzyła jak na straszliwego potwora, który zaraz ją pożre żywcem. Wciskała się w kąt. Wymachiwała rączkami. I... i, o mój Boże, w taki dziwny sposób zaciskała kolanka. Coś wiedziałam na temat podobnego zaciskania kolan. Wielu chłopaków usiłowało dobrać się do mojej pipki. Ale ja umiałam się obronić. Nie tylko zaciskając kolana. Wtykałam z całej siły palec w oko takiemu napalonemu akurat na moją pipkę gościowi; to niezawodny, skuteczny sposób, zniechęcający do ponowienia próby. Seks był dla mnie czymś szczególnie obrzydliwym. Moi płodziciele uprawiali go na naszych oczach. Pamiętam, że braci to podniecało. Wyciągali fiutki, masturbowali się, a ja uciekałam z domu, wymiotując. Jezu, pomyślałam, patrząc na te zaciśnięte kurczowo, chude kolanka, ktoś cię skrzywdził. „Moja maleńka, moja śliczna, nie bój się, to ja, Louise”, powtórzyłam. Wtedy Rosa zwymiotowała. Nie broniła się, Stan, kiedy wzięłam ją na ręce i niosłam do swojego domu. Nie broniła się i wówczas, kiedy ją rozbiebrałam, kiedy rozsunałam kolanka i zajrzałam tam. Jeszcze krwawiła. Miała maleńką pipkę, a ten ktoś swoim wielkim członkiem nieźle ją poharatał... No nie... Muszę się napić...

— Ja też — odezwał się, czując sztywnienie karku, ramion, pleców. — Ja też. Poczekaj. Należę. Jesteś silna, ale nie aż tak. Chryste, żałuję, że przyszedłem.

— Nie żałuj. Pana Jona dotąd nikt nie ukarał. Mam nadzieję, że ty go wsadzisz, Stan. On nie przestał. On to nadal gdzieś robi. Jakimś słodkim dziewczynkom. Po tym okrutnym świecie wszędzie pałęta

się mnóstwo ślicznych dziewczynek. Mnóstwo ślicznych dziewczynek wychodzi rano do szkoły z domów ich kochających rodziców, a potem nie wraca. Rodzice poszukują swoich słodkich dziewczynek poprzez rozpaczliwe apele w telewizji. Zgłaszają ich zaginięcia na policji. Czytam gazety, oglądam telewizję. Śliczne dziewczynki giną na zawsze. Gdzieś w burdelach, porywane przez wyspecjalizowane gangi. Żeby zaspokajać takich, jak pan Jon. Internetowa pornografia takim, jak pan Jon, nie wystarczy. Wsadzają swoje wielkie członki w małe, ciasne pochwy i kpią sobie z policji, prawa. Z nas wszystkich. Ze mnie. Z ciebie. Ba, nawet z naszego któregoś tam prezydenta, który dzień dwudziestego piątego maja ogłosił Dniem Dziecka Zaginionego. Tak, wiem, jakie będzie twoje trzecie pytanie, Stan. Dlaczego nie zgłosiłaś tego w sądzie? Odpowiem ci za chwilę. Najpierw skończę z pierwszym... Miała na imię Rosa. Zapamiętaj to imię, Stan. Członek pana Jona uczynił spustoszenie nie tylko w jej pochwie. Uczynił spustoszenie w jej dwunastoletniej głowie. Przestała mówić. Załatwiała się pod siebie. No cóż, płodziciele odetchnęli z ulgą, że kolejna gęba im ubyła, gdy Rosę zabrała opieka społeczna, umieszczając w domu dla dzieci umyślowo niedorozwiniętych. Tam umarła po dwóch latach. Do końca mnie nie poznając. Do końca zaciskając kurczowo kolanka. Początkowo sądziłam, że zgwałcił ją jakiś menel albo któryś ze slumsowych chłopaczków. Nie dawała mi jednak spokoju reakcja Rosy na moje czule słówka, że jest moją śliczną, maleńką dziewczynką. Często się do niej tak zwracałam. Zawsze w odpowiedzi śmiała się, wołając: „Tak, tak, jestem twoją śliczną, maleńką dziewczynką, Louise!”. Trochę czasu minęło, nim pojęłam, że ten ktoś też się tak zwracał do Rosy. Więc ani menel, ani żaden z tutejszych chłopaków. Kto? Rodziłam dziecko po dziecku, czas mijał, a w moim wnętrzu tkwiło kłujące ostrą szpilą pytanie: „Kto? Kto, Roso, rozsuwając ci kolanka, nazywał cię pieśzcotliwie, czule maleńką, śliczną dziewczynką?”. Duwała skazano. Handel w sklepiku naszył. Czasem stawiałam za ladą najstarszą córkę, łąziłam po mieście, obserwując mężczyzn. „Który z nich, który?” Aż pewnego letniego popołudnia zobaczyłam Jona Milтона. Wyśiadał z Ruth z samochodu. Ulicą szła kobieta trzymając za rączkę jedenastoletnią, może nieco starszą córkę. Milton zatrzymał się i wymienił kilka uprzejmych zdań z matką. Pochylił się, pogłaskał

dziewczynkę po jasnych, rozpuszczonych do pasa włosach. „Ach, jaka śliczna dziewczynka, powiedział, słodka, śliczna dziewczynka”. Jon, nie wypada, mój drogi... — zmieszała się Ruth i nadal zmieszana przeprosiła kobietę za to niestosowne zachowanie swego męża. W taki sposób dowiedziałam się kto... Tego samego dnia zadzwoniłam do niego. „Nie wiem jak, ale dopadnę cię. Będziesz skończony, nawet ci twoja kasa nie pomoże, żaden, nawet najlepszy adwokat cię nie wybroni, skończysz w pierdłu, a tam już ciebie potraktują odpowiednio. Nie przeżyjesz roku. Nawet mordercy nie znają litości dla pedofilów”. Zaniósł się śmiechem. „Jesteś bezgranicznie głupia, Louise. Zauważyłem, w jaki sposób patrzyłaś na mnie, gdy głaskałem tę śliczną dziewczynkę. Moja dobra rada na przyszłość. Nie wyskakuj z groźbami, na które brak ci dowodów. Nie groź takim osobom jak ja, powszechnie szanowanemu człowiekowi, z powszechnie szanowanej rodziny. Nie rozpowszechniaj swoich ohydnych insynuacji pod adresem kogoś takiego jak ja, bo nikt ci nie uwierzy, nawet gdybyś przedstawiła niezbite dowody. Nikt, Louise. Bo kim ty jesteś? Zerem, nikim; pogardzaną dzieciarobką, kobietą ze slumsów, gdzie cię pewno niejeden przeleciał”. Śmiał się. „Twoje szczęście, że nie należę do mściwych, bo po prostu bym cię zniszczył, Louise. Mam długie ręce i dosięgnąłbym cię, gdziekolwiek byś nie uciekła. No, chyba że na Alaskę”. Wprost pękając ze śmiechu, rozłączył się. Miałam ośmioro dzieci, Stan. Kochałam je. Walczyłam o byt. Nic nie mogłam zrobić, nic. Wiedziałam kto i musiałam milczeć. Więc tak to było, Stan. Udzieliłam ci wyczerpującej odpowiedzi na dwa pytania: skąd wiem o panu Jonie i dlaczego nie zgłosiłam tego na policji czy do sądu. Teraz odpowiem ci na trzecie. To dotyczące Ledy Hening.

— Louise, nie musisz... Rozmawiałem z nią nad ranem.

— Ależ muszę, Stan! — krzyknęła, a jej oczy nie wyrażały już niczego, poza nienawiścią. — Bo ty musisz wiedzieć wszystko! Musisz go dopaść! Pana Jona, pedofila. Pana Jona, potwora. To on jest naszym poszukiwanym potworem! On! On! On! Boże mój! Ty, ten cały pieprzony detektyw i cała reszta pieprzonych gliniarzy, wszyscy jesteście jakby odmóżdzeni, jakby ślepi! Tańczycie, jak morderca wam zagra! Po co polazłeś do Ledy nad ranem? Nie, ona mi nie powiedziała po co. Zaprzecz, jeżeli się mylę. Coś tam w waszym śledztwie wylało i kazało ci się zastanowić nad gwałtowną śmiercią Emily,

przyjaciółki Hellen, i równie gwałtowną śmiercią Annette, także jej przyjaciółki. Powiązałeś te dwie śmierci z morderstwami synka Hellen i synka Amelii, która też była przyjaciółką Hellen. Pamiętam cię z pogrzebu twojej żony. Byłeś nieprzytomny. Pewno niewiele zapamiętałeś z tego dramatycznego wieczoru, gdy konała w twoich ramionach. Ale może Leda Hening zapamiętała więcej? I albo rozproszyła twoje podejrzenia, albo je potwierdziła. Myle się, Stan?

— Nie — z trudnością poruszył zmieniającymi się w kamień wargami.

— Potwierdziła?

— Tak.

— Opowiedziała o panu Jonie?

— Nie — skłamał. Jestem zobowiązany przysięgą. Dotrzymam jej, nawet jeśli Leda powiedziała ci o panu Jonie.

— Nie?

— Nie. O panu Jonie dowiedziałem się od ciebie. Ale dzięki Ledzie. Zasugerowała mi, żebym się z tobą zobaczył.

— Straszliwie bełkoczesz, Stan. Wypileś tyciutko i już bełkoczesz?

— Jestem po kilku nieprzespanych nocach. Trudnych nocach, trudnych dniach.

— I po szoku związanym z panem Jonem, którego w najczarniejszym scenariuszu najczarniejszego horroru nie obsadziłbyś w roli pedofila. Wybacz, Stan, że zburzyłam doskonałość wizerunku Jona Milтона. No i swego również przy okazji. Dobrze, że nie widzę twojej twarzy, Stan. Patrzysz na mnie z litością? Czy z rozczarowaniem?

— Patrzę na ciebie inaczej, Louise. Widzę kobietę, której nie znam. Kobietę, która przeszła przez piekło.

— Ona ciągle w nim przebywa. Pozostanie w nim, dopóki nie zdemaskujesz Jona Milтона. Jak Leda Hening, która jest głupia, sądząc, że nikt nie wie, kto jej zrobił brzuch. Ja wiem. Nie, nie od Ledy. Widziałam, jak patrzy na Jona Milтона. Owszem, starałam się z niej wyciągnąć, kto jej to zrobił. Nawet kiedyś, żeby ją ośmielić, opowiedziałam jej o siostrze. O tych zaciśniętych kurczowo kolankach. O tym, że ją, dwunastoletnią, zgwałcił jakiś pedofil. Że gdy ją znalazłam wbitą w kąt i powiedziałam do niej „moja śliczna, mała dziewczynko”, zwymiotowała. Leda zbladła. Chwytała ustami powietrze jak ryba wyrzucona przez wędkarza na brzeg rzeki. Ale milczała. Milczała i

wówczas, gdy powiedziałam, że pewno i inne śliczne małe dziewczynki, takie jak ona, Leda, wpadły w jego łapska. „Bo to, Ledo, jest ktoś ogólnie znany, szanowany, ważny. Nikt ze slumsów, bo nikt ze slumsów ani żaden zapijaczony menel, rozsuwając kolanka, nie powie: moja śliczna, mała dziewczynko. Pomóż mi, Ledo. Chcę go dopaść. Potrzebuję świadka”. Twarda z niej baba, Stan. „Nikt mnie nie zgwałcił”, odpowiedziała wreszcie, wciąż dusząc się jak ryba. „Puściłam się. Nie raz i nie dwa. Nawet nie wiem, kto jest ojcem mojej Annette. Jestem ci wdzięczna, że dałaś mi pracę, nie plułaś mi pod nogi, nigdy nie nazwałaś Annette bękartem, ale odczep się ode mnie, Louise. Radzę ci też, żebyś trzymała język za zębami. Dorobiłaś się majątku, ale twoja Rosa już dawno gryzie ziemię”. „Jak mam to rozumieć, Ledo?” Wzruszyła ramionami. „Udajesz idiotkę? Ja nikomu nie pisnę słowem o tej rozmowie. A ty nikogo nie wypytuj. Niech biedna Rosa spoczywa w pokoju. Inaczej zrobią z niej dziwkę. Tyle osiągniesz, Louise”. Twarda baba, ta Leda Hening, i niegłupia. Wie, że wiem. Dlatego zadzwoniła, że mnie odwiedzisz.

— A mnie niby przypadkiem rzuciła twoje nazwisko.

— Nie wierzysz w przypadki, prawda, Stan? Wyszedłeś od Ledy z mętlikiem we łbie. Pomyślałeś sobie: żeby to szlag, a cóż taka szanowana dama ma wspólnego z panem Jonem? Stan, ja również nie jestem głupia. Kłamałeś. Leda powiedziała ci o panu Jonie. Inaczej nie siedziałbyś tu teraz ze mną i nie patrzyłbyś na mnie tak, jak patrzysz. Poznałeś piekło Ledy, poznałeś moje. Już wiesz, pod jaką maską kryje się wasz potwór. Ma ich w zapasie na pewno wiele, skoro nawet biedna Ruth w niczym się nie zorientowała. Biedna Ruth! Przywiózł ją do Nevady taką młodziutką i śliczną, wpatrzoną w niego jak w święty obraz. Biedna, nieszczęśliwa Ruth... Co musiała przeżyć, gdy niemal wszyscy podejrzewali jej Jonathana?!

— Są tacy w naszym mieście, którzy nadal twierdzą, że to Jonathan. Ludzie nie zapomnieli o jego wynaturzonej miłości do Hellen. Ani wcześniejszych, sadystycznych skłonności, okrucieństwa, agresji, złośliwości, kiedy jeszcze był nastolatkiem.

— Mój Boże, Stan! Powtarzasz kolejną, tym razem podłą, legendę! O zбочzku imieniem Jonathan! — zawołała z tak szczerym oburzeniem, że Haig aż się zdumiał. Leda Hening, co prawda, nie wspominała o Jonathanie, ale współczuła Ruth, podobnie jak Louise. Zastanawiające. W obu kobietach samo nazwisko Miltonów powinno

wywoływać zgrozę, dreszcz przerażenia, wstręt. — Mój Boże, Stan! Jonathan urodził się szpetny. To był najbrzydszy dzieciak, jakiego kiedykolwiek widziałam. Gdyby był śliczny jak dziewczynka, to może Jon Milton by go zaakceptował. Ale szpetnego, chorego na ADHD? On go nie znosił. On go wręcz nienawidził! Zaraz zapytasz, skąd to wiem. Przecież twoja noga nigdy nie przekroczyła progu tego przekłętego domu, powiesz. Nie przekroczyła nigdy, a jednak wiem. Kobiety się sobie zwierzają, Stan. Ruth również. A ja umiem słuchać, więc mi ufają. Ruth spędziła wiele godzin w moim gabinecie na zapleczu marketu. Ach nie, nie oskarżała o nic swego wspaniałego męża! Czasem wymknęło się jej, że chyba Jon nie kocha syna, zupełnie nie ma do niego cierpliwości, nie przytuli, nie pogłaszcze, nie weźmie na kolana. „Zejdź mi z oczu, mówi. Chryste, patrzeć na ciebie przykro, takiś szpetny! Ruth, na Boga, on skończył cztery lata i nie mówi! Jest niedorozwinięty! Ruth, skarbie, wstyd pokazać się z nim w publicznym miejscu, zachowuje się jak zwierzak, opluwa ludzi! Ruth, kochanie, jeżeli Jonathan jeszcze raz ugryzie lub skopie którąś z naszych słodkich dziewczynek, trzeba się będzie poważnie zastanowić, czy nie oddać go do zakładu specjalnego”. A po tym incydencie z kotem w szkole, gdyby nie Mark Tracy, ten potwór najchętniej zamknąłby Jonathana na zawsze w psychiatryku! Jonathan był chory. Urodził się z wredną chorobą, brzydki, odpychany przez własnego ojca, przez podpuszczane przez niego siostry. Biedna Ruth. Wiesz, ona nawet pojechała z nastoletnim synem do jakiejś kliniki plastycznej. Zrobiono mu bolesną operację skrócenia nosa i spiłowania spiczastej brody. Na psu się zdały nadzieje Ruth, że po operacji jej syn stanie się pięknym chłopcem. Bo takie miała. Będzie piękny, Louise, zobaczysz, i od razu przestaną się z niego tak okrutnie wyśmiewać, tak odpychać, tak poniżać. Operacja się nie powiodła, ktoś tam coś sknocił, dzieciak się jedynie nacierpiał, nadal pozostając brzydki jak noc. Wtedy pierwszy raz widziałam Ruth płaczącą. Drugi raz wyplakiwała się, gdy ktoś powiesił na furtce Casselów kotka Hellen. „To nie Jonathan, uwierz mi, Louise. Jonathan całowałby ślady stóp Hellen, to nie on”. Ja również sądzę, że to nie Jonathan. To pan Jon. Im gorzej mówiło się w Nevadzie o Jonathanie, tym lepiej dla pana Jona, który rzeczywiście zamierzał po tym kocie pozbyć się ostatecznie syna z domu. Może

Jonathan coś wykrył? Coś znalazł, coś podsłuchał? Zastanów się nad tym, Stan. Gdyby nie stanowczy sprzeciw Marka, Jonathan z etykietką maniackalnego psychopaty znalazłby się nieodwołalnie w wariatkowie. Skąd prędko by nie wyszedł. Najprawdopodobniej, o ile coś rzeczywiście miał na ojca, nigdy by nie wyszedł. Już pan Jon by się o to postarał. I dorzuciłby do swego ogólnie podziwianego wizerunku kolejny element: oblicze dotkniętego nieszczęściem, cierpiącego tatuśka. Ale mu się nie udało, kutasowi. Mark Tracy stanął murem. Wybronił Jonathana. Mark od dnia urodzenia dziecka był dla niego jakby najczulszym ojcem, nie lekarzem. I Ruth, i Jonathan wiele zawdzięczają naszemu dobremu doktorowi...

— W markecie Mark odnosił się do Ruth brutalnie. Wszyscy zauważyli tę brutalność, wrogość doktora. Pomocy udzielił jej jako ostatniej, omijał ją jak zapowietrzoną. Musiałaś to zauważyć, Louise.

Nim odpowiedziała, nalała sobie do pełna i wypila.

— Zauważyłam. Ale nie rozumiem, dlaczego tak robił. — Nalała znowu, wypila. — Z doktorem, od czasu porwania i śmierci Patricka, dzieje się coś niedobrego, Stan. Postarzał się tak gwałtownie, tak wychudł; tyle ma bólu, a przede wszystkim lęku w oczach, jakby mu ktoś najbliższy umarł i jakby bał się, że jeszcze ktoś taki umrze. Tak, głównie ten strach w oczach. On się potwornie boi. Ale kogo? Lub o kogo? Raczej o kogo... Może i jedno, i drugie. Może on, podobnie jak Jonathan, przydybał naszego pana Jona? A ten mu grozi, że kogoś zabije. Kogoś, kogo doktor kocha...

— Kogo doktor kocha, Louise? — Znowu to drętwienie karku, paraliż ramion, warg. Louise! Pan Jon jest zakamuflowanym potworem, fakt. Ale doktor, sądząc po tym, co usłyszałem od Ledy Hening, boi się, żeby nie wydał się jego kamuflaż. O siebie się boi, Louise. Wyłącznie o siebie.

— Kocha Jonathana, jak własnego syna. Kochał Hellen. Kochał Patricka. Kochał Erica. Mój Boże, twoją Emily Mark również kochał. Na jej pogrzebie, czego nie byłeś w stanie spostrzec, sam jakby umierał. Mój Boże, Stan! Co z tobą? Chyba mi nie zemdlejesz?

— Nie zemdleję. — Prosto od ciebie pojedę do twojego dobrego doktora, który przyglądał się śmierci Emily i Annette i tak długo je obie ratował, żeby pogotowie przyjechało dopiero wówczas, kiedy już żadnej nie dało się uratować. Mam do niego mnóstwo pytań. Leda

Hening jest przebiegłą kobietą. Bardziej przebiegłą, niż się spodziewasz, Louise. — Penny nazywa mnie olbrzymem. Olbrzymi nie mdleją. Pod warunkiem że chlapną sobie jeszcze jednego kielicha.

— Mój Boże, Stan! Ale się wystraszyłam. Oczywiście, chlapnij. Ja razem z tobą. Siedź, siedź. Należę ci. Gdzieś mam jakieś chińskie żarcie... — Zerwała się ze stołka, otworzyła lodówkę, wyjęła z niej tackę i wstawiła ją do mikrofalówki. — Zjesz i poczujesz się lepiej... A ja ci odpowiem na kolejne pytania.

— Nie mam więcej pytań — zaprotestował. Chcę jak najszybciej jechać do twojego dobrego doktora, Louise. Jak najszybciej...

— Kłamiesz. Nie ciekawi cię, w jaki sposób wygrałam przetarg?

— Och, każdy wie, w jaki. Bank za ciebie poręczył. Radni się wstawiali.

Roześmiała się.

— Pan Jon. Pan Jon. Pan Jon. — Śmiała się, sprawiała wrażenie całkowicie pijanej, omal nie zatrzasnęła w mikrofalę rękawa od barchanowego szlafroka. — Dobry pan Jon nie zapomniał o Louise Duval. Był uprzejmy zadzwonić do niej, oznajmić, że gdyby nie jego układy z bankiem, z radnymi, dostałaby figę. „Jak widzisz, nie jestem mściwy, powiedział, a ty Louise zachowywałaś się rozsądnie, ja natomiast potrafię nagradzać rozsądek. Jesteś przedsiębiorczą kobietą. Z pewnością dorobisz się na markecie, którego tak bardzo brakuje naszemu dynamicznie rozwijającemu się miastu. Cała moja liczna rodzina stanie się twoimi pierwszymi oraz stałymi klientami. Dla opinii publicznej będzie to sygnał. Bo skoro Jon Milton kupuje w markecie tej dziecioróbki, niewartej splunienia, oznacza to, że ją szanuje. Wybudujesz wielki dom, kupisz drogi wóz, ubierzesz się w jedwabne bluzki, a podziw oraz szacunek dla ciebie wzrosną. Im większe masz konto w banku, tym większe uznanie”. Tak mi nadawał dobry pan Jon.... Czemu nie jesz? I czemu razem ze mną nie śmiejesz się z dobroci pana Jona?

— Nie podoba mi się twój śmiech, Louise. Ale teraz rozumiem, dlaczego nienawidzisz marketu. I chyba rozumiem, dlaczego wciąż mieszkasz tutaj. Na złość Miltonowi.

Spowaźniała. Kąciki jej pomarszczonych warg zadrżały.

— Otóż mylisz się. Mieszkam tu i łączę w starych łachach, żeby nie zapomnieć. — Jezu, zaraz powróci do tematu Rosy...

— Nie zapomnieć, Stan, kim byłam i skąd się wywodzę. Tu mogę być sobą. W marcecie jestem ogólnie szanowaną panią Louise Duval. Dokładnie taką, jaką dotąd znałeś, Stan. Czyli nie znałeś w ogóle. — Ściągnęła w zamyśleniu wciąż gęste, ciemne brwi. — Nie chcę zapomnieć siebie, rozumiesz?

— Chyba nie... Nigdy nie udawałem kogoś innego niż jestem.

— Twoje szczęście, Stan. Udawanie kogoś innego, codzienne ubieranie twarzy w obcą maskę, której nienawidzisz, która cię uwiera, piecze, to bezustanne zadawanie sobie bólu.

— Louise, nie wiem, co powiedzieć...

— Najlepiej nic, Stan. Może ją zedrę z siebie, gdy dopadniesz pana Jona.

— Potrzebuję więcej informacji, Louise.

— Udzieliłam ci ich mnóstwo.

— Nie chodzi mi o pana Jona...

— A o kogo? — zdumiała się.

— Na przykład o doktora Tracy'ego.

— Mój Boże! Bo zacznę żałować, że ci o nim w ogóle wspomniałam! To najlepszy człowiek, jakiego znam! Teraz przerażony do granic możliwości, bo musiał narazić się panu Jonowi! Zostaw go w spokoju, Stan! Zresztą z doktora niczego nie wyciągniesz. Za bardzo się boi pana Jona! Nie wyzna ci, że odkrył jego pedofilskie skłonności... Albo nawet coś więcej... I nie masz prawa potępiać go za to, że to, co wie o panu Jonie, ukrywa przed całym światem. Gdyby ci ktoś groził, że jeśli nie będziesz milczał, to na przykład zabije twego syna...

— Louise, ale Tracy nie jest ojcem Jonathana!

— Zachowuje się tak, jakby nim był.

— Skąd wiesz?

— Od Ruth. Ruth mówi, że zachowuje się tak od urodzenia Jonathana. Tłumaczy to sobie tym, że doktor nie ma własnych dzieci. Czasami dodaje, śmiejąc się: „A co mi tam! Jonathan jest i tak tylko mój”. Stan, okropnie kręci mi się w głowie. Za dużo wypłam. Muszę się położyć.

14.

Ziemia jakby uciekała mu spod nóg. Starał się stawiać pewne kroki, ale wszystko wokół niego dziwnie się chwiało.

Czyżbym się nawalił?

Usiłował przypomnieć sobie, ile kieliszków wypił. Doliczył się czterech.

Dla faceta o moich gabarytach to pestka. Nie jestem pijany. Po prostu wykończyły mnie rozmowy z tymi dwiema kobietami, Ledą Hening i Louise Duval. Haig! Nie myśl już ani o Ledzie, ani o Louise. Na chwilę wyrzuć z głowy pana Jona. Skup się na doktorze. Leda potwierdziła twoje podejrzenia. Zgadza się, Ledo, doktor czekał na ostatni dzwonek, dopiero wtedy wzywał pogotowie. Nienawidzisz go od śmierci Annette. Dla Louise natomiast doktor jest najporządniejszym człowiekiem pod słońcem. Ale i ty, Louise, od dnia porwania synka Hellen dostrzegasz strach w jego oczach. Nie potrafisz wytłumaczyć brutalnego potraktowania Ruth Milton, której nasz doktor jest podobno najlepszym przyjacielem. A Jonathana kocha niczym własnego syna. Bardzo ciekawe, Louise, te babskie zwierzenia Ruth. Bardzo. Jezu, chyba się jednak spiłem... Nie trafiam kluczami w stacyjkę. Cholera, Haig, weź się w garść. Nawet nie myśl o wygodnym łóżku i diabelskiej pizzy Penny, jeszcze smaczniejszej po odgrzaniu... Cholera, prowadzisz to swoje prywatne śledztwo czy się dalej rozklejasz? Robi się późno. Od dziesiątej doktor przyjmuje pacjentów. Spity czy nie spity, ruszaj!

Skrzynia biegów zaprotestowała zgrzytem, mustangiem zatrzęsło; zamiast jedynki wrzucił trójkę.

Cholera, Haig, uważaj. Wyłącz radiotelefon. Nie istniejesz dla Jennifer ani dla Petersa. Dla nikogo. Przede wszystkim dla własnej drogówki. Spity szef za kierownicą, jadący zygzakiem... Cholera,

komórka dzwoni... Penny, czego ode mnie chcesz?

— Stan, jest po ósmej! Wracaj do domu! Czekam na ciebie z pizzą! Padniesz z głodu — biadolili Penny.

— Penny, prowadzę wóz!

— Stan! Od kiedy prowadzenie wozu przeszkadza ci rozmawiać przez komórkę? Jakoś dziwnie bełkoczesz? Upiłeś się?

— Penny, odczep się. Czemu miałbym się upić i u kogo? Dzieje się coś... poza twoją pizzą?

— Jennifer dzwoniła. — Penny zachichotała. — Co prawda nie nazwała cię „kochanym”, jednak głos miała słodki niczym miód, pytając, czy aby na pewno wypoczywasz. Aha, przekonała Petersa, że potrzebujesz przynajmniej kilkugodzinnego odpoczynku. Ja również tak uważam. Daję ci ultimatum. Godzina, Stan. Za godzinę lądujesz w domu. Inaczej osobiście zawiadomię Petersa o twoich nocno-porannych wyprawach, podczas których za jego plecami przepytujesz ludzi.

— Dobra, Penny. Tylko na litość boską przestań dziamotać mi do ucha.

— Ja nie żartuję, Stan. Godzina.

Ostre słońce nie sprzyjało prowadzeniu mustanga. Na skutek wypicia alkoholu albo z powodu zmęczenia piekły go oczy. Wywołana przez Penny wizja diabelskiej pizzy spowodowała skurcz głodu i napad silnych mdłości. Głowę rozsadzał tępy, jednostajny ból — jakby się mu w niej usadowiły jakieś ufoludki, zawzięcie i z uporem piłujące czaszkę. Penny ma rację. Powinienem wypocząć. Nie potrafię zadać Markowi choćby jednego sensownego pytania.

Postanowił zawrócić. Ze zdumieniem spostrzegł jednak, że przejechał już całą Roosevelt Avenue, skręcił w Carlton Gardens i podjechał pod parterowy, zaniedbany dom doktora. Za późno, aby się wycofać. Doktor Mark Tracy wycinał sekatorem zeschnięte gałązki w bukszpanowym żywopłocie. Rzucił narzędzie i podszedł do furtki.

— Wiedziałem, że się pojawisz, Stan. Nie wiedziałem tylko kiedy... choć to dla mnie bez znaczenia kiedy. Jesteś.

Naprawdę, doktorze? Bez znaczenia? Jezu, wyglądasz tak, jakbyś chciał umrzeć! Dlaczego chcesz uciec w śmierć, doktorze? Przed kim? Przed sobą samym?

— Mówiąc szczerze, czekałem na was, na policję, od porwania Erica. Czekałem każdego dnia. Muszę się wam wydawać podejrzany.

Tak, bałem się tego twojego detektywa, jego pytań. On by mnie nie oszczędził. Nie dałby najmniejszej szansy. Cieszę się, że mimo wszystko nie pozbawiłeś mnie jej, przyjeżdżając sam, bez asysty, bez włączonego koguta, nawet bez odznaki szeryfa.

Mylisz się, doktorze. Szansę miałbyś, gdyby cię przepytował Peters, ponieważ on nie ma bladego pojęcia o tym, co mnie o tobie wiadomo. On cię zaledwie podejrzewa, ja zaś po rozmowach z Ledą i Louise jestem przekonany, że to ty ponosisz odpowiedzialność za zgon mojej Emily i Annette Hening. Ruth Milton zwierzała się Louise, że kochasz Jonathana jak własnego syna. Wiesz, że grozi mu niebezpieczeństwo, i to od dawna. Wiesz, kto mu zagraża. Znasz potwora, doktorze. Domyślam się, że podporządkował sobie ciebie, grożąc, że zabije Jonathana. Ale kryjąc potwora, stałeś się jego współnikiem. Jesteś również potworem, doktorze, schowanym za swoim szacownym, powszechnie szanowanym, znakomicie kamuflującym wizerunkiem.

— I tobie niełatwo. Znasz mnie od dziecka. Ciężko myśleć o kimś, kogo się zna od dziecka, że znalazł się na samym szczycie listy podejrzanych o te koszmarnie zbrodnie. — Uśmiech doktora był gorzki, bolesny.

Mylisz się, doktorze. Nie znam cię. Podobnie jak nie znałem prawdziwej Louise Duval. Ani pana Jona.

— Zapraszam, Stan, do gabinetu. I nie śpiesz się. Zrezygnowałem z praktyki, nie przyjmuję pacjentów. Chodź. Dla zabicia czasu zająłem się całkowicie zbytecznym wycinaniem suchych pędów... Słaby jestem. Zmęczyłem się. Nie tylko tym wycinaniem... Chodź, Stan. Może i mnie rozmowa z tobą ulży. Odpowiem na wszystkie twoje pytania. Wreszcie będę miał to za sobą.

A jednak Haigowi ścisnęło się serce, gdy wszedł za powłóczącym nogami Markiem Tracym do jego gabinetu. Tyle razy tu bywał. Ze swoją nadopiekuńcza matką, która go z byle katarem, z ledwo podwyższoną temperaturą przywoziła do doktora. I ze swoją Emily, która łapała każdą grypę, każdą infekcję. I ze Stevenem również. Oszklone szafy z lekami i narzędziami chirurgicznymi, kozetka przykryta białym prześcieradłem, na której szczęśliwa Emily kładła się, odsłaniała swój coraz większy, brzemienny brzuch, a na monitorze sonografu pojawiał się pulsujący kłębuszek: „Spójrz, Emily, spójrz, Stan, to

główka, a to rączki, a tam bije serduszko waszego synka. Zdrowy, duży chłopczyk, Emily; zaraz dostaniecie jego zdjęcia...” Jezu, doktorze, mówiąc tak do nas, wydawałeś się szczęśliwy, że to zdrowy, duży chłopczyk... Jakby ten chłopczyk był twoim własnym synem... Czy do Hellen, badając jej rozwijającego się zdrowo chłopczyka, mówiłeś podobnie? Plakałeś wspólnie z Brianem i Amelią, bo jej ciąża była zagrożona? Dla wszystkich miałeś dobre słowo. Pocieszałeś strapionych. Przenosiłeś ulgę cierpiącym. Twoje ręce były delikatne, czułe. Czy istnieją takie uczucia, taka miłość, dla których dobry człowiek, najlepszy z najlepszych, taki jak ty właśnie, gotów jest aż tak się upodlić, by chronić potwora? Jennifer, w tej chwili chciałbym stać się lodami Grenlandii. Patrzę na człowieka, który przyczynił się do śmierci mojej Emily, i nie lodowacieję, nie sztywnieje mi nawet kark. Patrzę na niego z litością, a powinienem z nienawiścią. Gdy słuchałem Ledy Hening, nienawiść do doktora omal mnie nie sparaliżowała. No ale gdyby mi ktoś kazał kogoś zabić, bo inaczej on zabije Stevena? Jezu, zabiłbym bez wahania...

— Siadaj, Stan. Nie, nie na tym krześle. Ja na nim usiądę. Żebyś widział moją twarz. Ja nad twoją się ulituję. Niech pozostanie w cieńcu.

Ty i litość? Usiłuje mnie sprowokować? Może celowo zaprosił mnie do gabinetu, wiedząc, że w nim przypomnę sobie, jakim człowiekiem był kiedyś? Tym dobrym, tym cudownym, tym kochanym?

— Rzeczywiście, Stan. Nie znasz doktora Marka Tracy'ego.

— Ano nie znam. Sądzę doktorze, że nikt tak naprawdę cię w naszym mieście nie zna. Zna fałszywy mit o tobie. O dobrym człowieku, czułym lekarzu, pochylającym się nad chorymi. Miłosiernym, świętym, niczym Franciszek z Asyżu. Pędzącym na pomoc za darmo do ubogich o każdej porze dnia i nocy. Przysięgę Hipokratesa wydrukowałeś, oprawiłeś w ramki i powiesiłeś na ścianie. Tak wiele razy bywałem w twoim gabinecie, że nieomal nauczyłem się jej na pamięć, gdy ty z troską zaglądałeś w gardło mojej żony lub ze szczęściem w oczach wołałeś: „Emily, skarbie, urodzisz zdrowego, silnego chłopca!”. Tam jest napisane, między innymi, doktorze, że: „Nikommu, nawet na żądanie, nie podam śmiertelnej trucizny ani nikomu nie będę jej doradzał...”.

— Stan, znam przysięgę Hipokratesa...

— Nie znasz! Tam jest też napisane: „Do jakiegokolwiek wejść domu, wejść doń dla pożytku chorych; nie po to, żeby świadomie wyrządzać krzywdę lub szkodzić w inny sposób...”.

— Jest również napisane, Stan, że „Cokolwiek bym podczas leczenia, czy poza nim, z życia ludzkiego ujrzał, czy usłyszał, czego nie należy rozgłaszać, będę milczał, zachowując to w tajemnicy” — odpowiedział ze spokojem doktor. — Jeżeli przyszedłeś wypytywać mnie o moich pacjentów, daruj sobie, wyjdź.

— Nikomu nie podałeś śmiertelnej trucizny, Mark? A Emily? A Annette?

— Na Boga, Stan! Nigdy nikogo nie otrułem!

— Dobrze. Nie otrułeś. Powróćmy jeszcze do tego tematu. Zaczę inaczej. Żebyś mi nie zamykał gęby powoływaniem się na tajemnicę lekarską. Na ścianie wisi również twój uniwersytecki dyplom. Kończyłeś medycynę na jednym z dziesięciu najlepszych uniwersytetów w kraju, w Filadelfii. Odbyłeś staż w jednym z dziesięciu najlepszych szpitali w kraju, również w Filadelfii. Nawet Will Barkins nie mógł się pochwalić dyplomem tak prestiżowej uczelni jak ty. Powiedz, czemu nie zostałeś w Szpitalu Uniwersytetu Pensylwanii, lecz przyznałeś natychmiast z tym swoim wspaniałym dyplomem do naszej prowincjonalnej dziury? — zapytał Haig, z satysfakcją obserwując zmieszanie na wynędzniałej twarzy doktora.

— Po pierwsze nie „natychmiast”, szeryfie. W klinice uniwersyteckiej pracowałem równe dziesięć lat, co łatwo możecie sprawdzić. Zrezygnowałem z przyczyn osobistych... Dla tych samych przyczyn nigdy się nie ożeniłem. Tyle ci wystarczy?

— Nie. Każdy potrafi się wykpić „przyczynami osobistymi”. — Tym razem Haig się zmieszał. Był przekonany, że Mark Tracy otworzył praktykę tak dawno, że w ogóle nie pracował w żadnym szpitalu.

— No cóż. Wolę spowiadać się przed tobą niż przed jakimiś obcymi gliniarzami. Macie swoje metody, aby wywlec z człowieka najbardziej intymne sprawy. Was żadne przysięgi nie obowiązują. Wy działacie w imię prawa, które pozwala wam włączyć z brudnymi buciorami do duszy. Nawet jako podejrzany nie mogę liczyć na twoją wspaniałomyślność, że to, co powiem, zachowasz wyłącznie dla siebie... — Po zapadniętych policzkach Marka Tracy'ego spłynęły łzy.

— Nie licz na jakąkolwiek wspaniałomyślność. Nie masz do niej prawa. — Płaczący doktor wzbudzał w Haigu odrazę. Najpierw bierze

mnie na litość, teraz domaga się wspaniałomyślności. Niezłe zagrywki. — Proszę o fakty. Oczywiście, że posiadamy metody, aby prześwieślić dokładnie twoje życie. Radzę nie kłamać.

— Gdybym zamierzał kłamać, nie siedziałbyś tu teraz ze mną, Stan. Wpuściłem cię dobrowolnie, bez nakazu sędziego. — Doktor zdecydowanym gestem otarł łzy. — I nie liczę już na jakąkolwiek wspaniałomyślność. Zwłaszcza twoją, szeryfie. Może nawet wołałbym siedzieć teraz w salce przesłuchań, przed obcym mi Petersem. Żądasz faktów? Zanim do nich przejdę, zadam ci jedno pytanie, pozwolisz? Czy od razu mnie skujesz? Bez aktu oskarżenia. Bez prawa do adwokata. Milczysz. Wobec tego zapytam, czy kiedykolwiek zastanawiałeś się, dlaczego żyję sam? Nie założyłem rodziny?

— Może jesteś na przykład gejem albo impotentem? Kręcisz, doktorze.

— Czemu mnie obrażasz? Moje pytanie było proste. Sam ci na nie odpowiem. Opowiem ci pewną banalną historię, a ty sobie wyciągaj z niej te swoje fakty. Nie stroniłem od kobiet ani na studiach, ani później. To były przelotne romanse. Dziewczyny na jedną lub kilka nocy. Akurat trafiałem na takie, którym podobny układ pasował. No i przespałem się z taką jedną, pracującą razem ze mną na oddziale w charakterze wolontariuszki, zbierającą punkty potrzebne do rozpoczęcia nauki w szkole dla pielęgniarek. Dla świętego spokoju, bo nie wiadomo dlaczego zapalała do mnie jakimś wariackim uczuciem. Wystawiała pod moim domem. Przychodziła na moje dyżury. Ciągłe wydzwaniała. Przysyłała drobne prezenty, listy miłosne. „Jestem czysta, żaden mężczyzna mnie nie zbrukał. Pragnę cię! Podaruj mi jedną, jedyłą noc”. I temu podobne wyznania. Więc się z nią przespałem. Była rzeczywiście dziewicą, co mnie nieco przstraszyło. Zostawiłem ją śpiącą, poszedłem na poranny dyżur. Gdy wróciłem, ona zdążyła się w międzyczasie wprowadzić, posprzątać i przygotować lunch. „Jesteś tylko mój. Nikt tak ja cię nie pokocha. Jeżeli każesz mi się wynieść, będę spała na twojej wycieraczce przed drzwiami”. Tak oto wpadłem w pułapkę. Tłumaczenia, że jej nie kocham i nie pokocham, odbijały się niczym groch od ściany. Urządzałem awantury, poniżalem ją, a ona powtarzała z uśmiechem szczęścia: „Jesteś tylko mój, tylko mój. Ja i ty. Ty i ja. Połączeni na wieczność tą jedną nocą. Mąż i żona”. Ożeń się z nią, pomęcz się z rok, a potem rozwiedź, doradzali koledzy.

Wyzaczyłem datę ślubu. Kupiła sobie suknię ślubną, długą, z białej koronki, i welon. Zaprosiłem wszystkich bliższych i dalszych znajomych, przyjaciół; ona nikogo. „Wychowywałam się w rodzinach zastępczych, moja matka jest NN, mój ojciec NN, ale zawsze marzyłam o hucznym ślubie. Pokochasz mnie. Zresztą, to nieważne. Jesteś i tak tylko mój, tylko mój”. Wyobraź ją sobie, Stan. Powtarzającą Jesteś tylko mój”.

— Przeraziła cię, prawda, doktorze?

— Tak. Ale sądziłem, że ślub jej namiętne uczucie przytłumi. Będę tylko jej. Odzyskam spokój.

— I co? Odzyskałeś?

— Ślubu nie było, Stan.

— Stchórzyłeś, oczywiście. Wystawiłeś biedną dziewczynę do wiatru. Okazuje się, że zawsze byłeś draniem.

— Kościół jarzył się światłami. Ksiądz. Muzyka. Tłum gości. A panna młoda się spóźnia. Godzinę, dwie. To ona wystawiła mnie do wiatru. Łatwo sprawdzić, że mówię prawdę... Zaskoczony? Zdziwiony?

— Trochę — przyznał Haig. — Nie kochałeś jej, więc chyba nie rozpaczaleś, że się nie zjawiała. I tak zamierzałeś się z nią rozwieść. Wyobrażam sobie, jaką poczułeś ulgę.

— Otóż mylił się, szeryfie. Nie kochałem, to prawda, ale nie zamierzałem jej skrzywdzić. Przysięga małżeńska zobowiązuje podobnie jak przysięga Hipokratesa. Myślałem sobie: może rzeczywiście uczucie przyjdzie z czasem? Będę miał wierną żonę. Urodzi mi dzieci. Tymczasem gdy czekałem na nią w kościele, ona dokładnie wyczyściła moje mieszkanie.

— Nie rozumiem? Okradła cię?

— Poza liścikiem, rzuconym na ogołoconą z dywanu podłogę w saloniku, z szyderczym wyznaniem „Pamiętaj, że jesteś tylko mój”, zabrała wszystko, nawet garnki, sztuce i talerze. Zdarła zasłony, firanki. Pościel, moje ubrania. Meble. Wszystko. Wszystko. Musiała to sobie dokładnie zaplanować. Wynając wcześniej wóz meblowy. Zostałem z parą ślubnych obrączek i kwiatkiem w butonierce przy wizytowym garniturze.

— A to ci historia! — wyrwało się Haigowi. — Zgłosiłeś kradzież na policję?

— A ty byś zgłosił? Nie zgłosiłem. Przecież by mnie wyśmiano.

— Szukałeś jej?

— Była ostatnią osobą, którą życzyłbym sobie zobaczyć! — Źrenice wyblakłych oczu doktora rozszerzyły się panicznym lękiem. — Nie szukałem. Za to moi koledzy zabawili się w detektywów. Sprawdzili w archiwach miejskich jej dane personalne. Zatrudniła się w szpitalu, podając imię i nazwisko niezującej od lat kobiety.

— Jakże, doktorze?

— Czy to ważne jakże? — Paniczny strach zamienił oczy doktora w dwie czarne plamy.

— Wciąż się jej obawiasz, doktorze, więc ważne.

— Nigdy jej więcej nie spotkałem! — krzyknął i zasłonił oczy ręką.

— Kłamiesz.

— Udowodnij, że kłamię!

— Nazwisko, doktorze.

— Linda Snow. Powodzenia, Stan. Szukaj wiatru w polu.

— To już sprawa policji. Zastanawiam się, czemu ona nadal wołuje w tobie aż takie przerażenie, skoro należy do przeszłości.

— Nie rozumiesz? Zniszczyła mi życie. Odtąd obawiałem się każdej kobiety. Dosłownie, każdej! Dlatego się nie ożeniłem. Dlatego nie mam dzieci ani wnuków! Swoje potrzeby seksualne zaspokajałem u dziwek w burdelach. Po roku, czując na sobie współczujące spojrzenia kolegów i ich równie współczujące poklepywanki po plecach, słysząc ich współczujące niby żarciki, pękłem. Złożyłem podanie o zwolnienie. Spróbowałem pracować w innym szpitalu. Nie dałem rady. Ciągłe słyszałem jej głos: „Jesteś tylko mój”. Wziąłem mapę, zamknąłem oczy i dźgnąłem w nią palcem. Stan Iowa, miasto o nazwie Nevada.

— I co? Wyzwoliłeś się od jej głosu?

— Jezus, tak! Nareszcie tak! — krzyknął.

— Odsłoń oczy, Mark.

— Proszę bardzo!

Odsłonił. Źrenice miał jeszcze rozszerzone, jeszcze lęk z nich nie ustąpił, jeszcze dygotały mu dłonie.

— Nie dręcz mnie. Linda Snow to mój upiór. Udało mi się o niej prawie zapomnieć. Ty ją przywołałeś z powrotem.

— Powiedziałeś „prawie”. Więc jednak nie do końca? Więc jednak ciągle się jej boisz?

— Niczego nie da się do końca zapomnieć, Stan. Spychasz swoje upiory do podświadomości, lecz przyłazą do ciebie w snach, czasem

i w biały dzień ktoś ci mignie na ulicy, kto ci je przypomina sylwetką, pojedynczym gestem, brzmieniem głosu, i twój misternie budowany spokój przyska. Czy to tak trudno pojąć?

Nie, nietrudno, doktorze. Emily odchodziła, krzycząc, że oślepia ją światło, więc je wspólnie z tobą, doktorze, zgasiłiśmy. Zanurzyła się gwałtownie w półmrok wieczoru i tylko jej ręce trzepotały jak ptaki ze złamanymi skrzydłami, protestując przeciwko nieuchronności losu, do którego się już zbliżała równie nieuchronnie. Jezu, dobrze, że nie widzisz teraz moich oczu, doktorze. Że nie widziałeś oczu Ledy Henning.

— Nie tylko Linda Snow jest twoim upiorem. Masz ich kilka. Emily, której krzyk prześladowuje cię dotąd. Annette, w której sine usta pakujesz nitroglicerynę. Patricka, po którym został jedynie skalp. Serce Erica, o którym zapewne wiesz, że mu je wydarto, gdy jeszcze żył. Cały, długi łańcuch upiorów. No i twarz twego współnika, potwora. Kogo tak kochasz, doktorze? Kogo chronisz przed potworem, że sam nim się stałeś? Ja domyślałam się kogo. Ale chcę jego imię usłyszeć od ciebie.

— Nikogo nie kocham. Nikogo nie chronię. Dobrze, szeryfie. Skończmy tę zabawę w ciuciubabkę. To ja. Okłamałem was. Nie było żadnej Lindy Snow. Zmyśliłem tę bajeczkę, mając cię za durnia. Chciałem zyskać na czasie. Wykonać swój plan, bo Carol i Anna jeszcze żyją, a muszą umrzeć. Wszyscy zostaniecie ukarani. Wszyscy! Wszyscy! — krzyknął ochrypłym głosem Mark Tracy. — To ja! Aresztuj mnie, szeryfie. Zaraz, natychmiast i niech się to wreszcie naprawdę skończy! No, czemu nawet nie drgniesz? Nie wzywasz Petersa? Chcę złożyć oficjalne przyznanie się do winy!

— Nie rób z siebie wariata, doktorze. A ja nie jestem durniem — powiedział spokojnie Haig. — Podaj nazwisko współnika.

— Od młodości choruję na schizofrenię! To ja, przysięgam! Nie zwolniłem się ze szpitala. Wyrzucono mnie, bo głos kazał mi udusić pacjenta! Wsadzono mnie do czubków! Ale stamtąd uciekłem! Potem głosy wróciły! Tak, tak, szeryfie! Kazały mi się mścić! Mściłem się! Musiałem!

— Nazwisko współnika, doktorze.

— Nie mam współnika! Wszystko sam!

— Nawet to serce sam wydzierasz konającemu z bólu Ericowi?

— Jezu, podpuszczasz mnie! Chłopak dawno nie żył! Patrick również nie żył! Niemożliwe, aby żył! Chryste Panie, nie wierzę, nigdy

nie uwierzę! Skalpowałem, gdy już nie żył! Tak samo było z tym sercem. Zapewniłem im śmierć cichą, łagodną, bez strachu, bez cierpień. Nawet nie zdawali sobie sprawy, że umierają. Uśmiechali się tak słodko! Tak ufnie! Kołysani w ramionach...

— Jezu — wykrztusił Haig. — Jezu — powtórzył i już nie dziwił się łzom płaczącego znowu doktora. Więc to tak? W taki sposób uspokajał cię twój współnik? — Teraz poznałeś całą prawdę o nim. Nadal znajdziesz w sobie siłę, aby go dalej chronić? Mark, jego nazwisko!

— W moich ramionach... Śpiewałem im kołysankę, zanim usnęli...

— Nie potrafisz wciąż dopuścić do siebie myśli, że twój współnik jest aż takim potworem? Mark, to nie ty zabijałeś. Ale wiesz, kto zabijał. Może jeszcze wtedy, gdy Emily umierała, wydawało ci się to zwyczajnie nieprawdopodobne, że ona naprawdę umiera, bo przecież to niemożliwe, bo on, ten potwór, jeszcze cię nie szantażował groźbami, że zabije i tego, kogo tak kochasz. Ale już się domyślałeś, kto jest tym potworem, odpychając od siebie tę myśl jako nieprawdopodobną, niedorzeczną. Może odpychałeś to straszliwe podejrzenie nawet i wówczas, gdy reanimowałeś Annette. Po śmierci Patricka twoje złudzenia ostatecznie prysły. A po śmierci Erica pękłeś, doktorze. Wykrzyczałeś mu prosto w twarz, że wydasz go policji, że już wiesz i o Emily, i o Annette, że to on, a teraz jego choroba poczyniła takie postępy, że morduje dzieciaki. Mylę się, doktorze?

— W moich ramionach... Śpiewałem im kołysankę, zanim usnęli — powtarzał, a jego oczy były znów dwoma czarnymi dołami.

— Nie myślę się. Wówczas zagroził ci zabiciem kogoś, kogo kochasz. Jak syna...

— Nie mam syna! To ja!

— Dobrze. Nie masz. Oczywiście, że nie masz. Jednak kochasz kogoś jak rodzonego syna. — Powiedzieć mu o Jonathanie? Nie. On sam musi mi o nim powiedzieć. — Pomijając fakt, że posiadasz niezbite alibi, nie potrafiłbyś skrzywdzić ani tym bardziej torturować dziecka. Ten, kogo tak chronisz ze strachu przed nim, oszukał i ciebie...

— Chcę zeznawać! Nikt mnie nie oszukał! To ja usiłowałem oszukać ciebie! Żebyś wiedział, jaką radość sprawiało mi zadawanie bólu tym dzieciakom! Jesteś szeryfem, masz obowiązek aresztować

psychopatycznego mordercę. Jestem nim! Jeżeli tego nie zrobisz, sam się zgłoszę! I to natychmiast! Zadzwońię do detektywa! Do policji stanowej!

— I sądzisz, że twój potwór przestanie wówczas zabijać? Sam przed chwilą powtarzałeś jego hasło, że wszyscy zostaną ukarani. Że Carol i Anna jeszcze żyją...

Wyniszczone ciało doktora zadygotało. Zrozumiał. Ale nie powie. Prędeż wybierze śmierć.

— Tego też nie wolno ci zrobić, doktorze.

— Czego? Czego?

— Powiesić się lub łyknąć zabójczą dawkę Digoxinu, jaką twój potwór podał Annette. Uciec.

— A kto mi w tym przeszkodzi? — zarzęził.

— Twoje sumienie.

— Nie mam sumienia.

— Masz, na swoje nieszczęście. Chronisz mordercę, ponieważ nie tobie on zagraża. Zagraża komuś, kogo kochasz. Przyrzekł ci, że zabije wszystkich, poza tym, kogo tak kochasz. Gdybym cię aresztował, doktorze, to byłby dla niego sygnał, że twoje sumienie pękło. Więc zabiłby bez wahania i tego, kogo kochasz. Gdybyś popełnił samobójstwo, to również byłby dla niego sygnał. Już nie pytam o nazwisko współnika. Powiedz, kogo tak kochasz, doktorze!

— Nie mogę... Na litość boską, nie mogę! On musi żyć!

— A Carol? Anna? One nie muszą?

— Na litość boską, muszą! Wszyscy muszą!

— Kto jest na liście mordercy? Ocal ich, doktorze.

— Carol, Anna... Pilnujcie je! Dajcie im ochronę!

— Dostały ochronę. Są bezpieczne.

— Nie są! Nie zdajecie sobie sprawy z jego przebiegłości! Jezu, żebym wiedział, do czego jest zdolny, sam bez wahania bym go zabił, zaraz po śmierci Annette! Wtedy jeszcze usiłowałem wierzyć, że to nie on, że się mylę. Boże, nie post mortem! Pozna po moich oczach, że wiem, że nie post mortem! Tak straszliwie uczepiłem się tej myśli, że nie cierpieli. Tak straszliwie pragnąłem wierzyć, że umierali, słysząc kołysankę. Wierzysz mi? Wierzysz, Stan?

— W to akurat wierzę, Mark. Wierzę też, że byłbyś zdolny go zabić. Ale nie zabiłeś.

— Chryste, Stan! Jak zabić kogoś, na kogo, poza podejrzeniami, nic się nie ma?

- Nie wypisywałeś recepty na Digoxin?
- Jasne, że wypisywałem. Wielu pacjentom chorującym na serce. Ale nie jemu! Gdyby tak było, sam bym mu podał ten środek! I przyglądałbym się, jak umiera! I byłbym wolny od niego raz na zawsze!
- A potem cię szantażował?
- Każdego dnia!
- Podaj jego nazwisko, doktorze.
- Chryste, nie mogę!
- Więc jesteś jego współnikiem. Odpowiesz przed prawem na równi z nim. Dostaniesz dożywocie. Chyba że zdecydujesz się jednak pójść na współpracę z nami.
- Nie mogę... I tak powiedziałem zbyt wiele... Stan, on wie, że obstawiliście swoimi psami siostry Adams... Nic więcej nie powiem. Ani słowa. Rozumiesz, szeryfie?
- To cenna wskazówka.
- Strzeżcie się. Wszyscy go znają. Nie musi koniecznie porywać nocą. I nie muszą to być dzieciaki. Ma dobrą twarz. Słynie z uczynności i dobroci... Wzbudza zaufanie... Bez trudu zdobywa potrzebne mu informacje... Zwłaszcza od naiwnych kobiet... Jezu, naprawdę więcej nie powiem!
- To również cenna wskazówka.
- Doktor zaśmiał się ochryple, ze zgrozą w oczach.
- I niech wam nie wpadnie do głowy przydzielać mi anioła stróża. Każdego, kto mu stanie na drodze, zabije. To schizofrenik paranoidalny. Nieleczony od lat. W tej fazie choroby ma szczególnie wyostrzone zmysły i zdolność postrzegania. Zawsze był nieprzeciętnie inteligentny, ale o tym zapewne wiesz od waszej pani doktor od portretów psychologicznych. Stan, on jakby grał z wami w szachy. Jak w partii szachów przewiduje i wyprzedza każdy wasz ruch. Trzyma was w szachu swego doskonałego kamuflażu. Szeryfie, zasługuję na potępienie, ale ten, kim on mnie szantażuje, jest... Jest dla mnie prawie tym, czym dla ciebie twój Steven...
- Powiesz mi, kto jest dla ciebie jak syn, doktorze?
- Nie mogę. Wydałbym na niego wyrok śmierci.
- Aż tak go kochasz?
- Aż tak, Stan... — Doktor nie zdołał opanować rozpaczliwego szlochu.
- I tak go Haig zostawił. Z tym rozpaczliwym szlochem.

15.

— Wiem, jak wyglądam — uprzedził okrzyk Penny. — Jedyne, czego teraz potrzebuję, to spokoju, łóżka, wielkiego kubka mrożonej herbaty oraz ketanolu na ból głowy. I zobaczyć Stevena. Dlaczego nie ma go w kuchni? Powinien jeść drugie śniadanie! Zwykle o dziesiątej je jada! Jezu, gdzie Steven, Penny?!

— Odbiło ci? A gdzie ma być? W swoim pokoju! Steven tak się objadł smakołykami od Ruth, że nawet wątpię, czy zje lunch. Zajmij się lepiej sobą. Wyglądasz...

— Cholera, wiem, jak wyglądam! Penny, po jaką cholere była tu Ruth? Zapraszałaś ją?

— Tobie bardziej niż odbiło! — zdenerwowała się Penny, przyglądając się zięciowi z niepokojem. — Nie zapraszałam. Sama wpadła. Często tak wpada. Kochana ciocia Ruth, ubóstwiana przez wszystkie dzieciaki, obławowana pysznościami. Ale masz minę! Jakbyś po raz pierwszy słyszał o kochanej cioci Ruth! Steven się okropnie ucieszył. Wycalował ją tak, że aż poczułam ukłucie zazdrości. Cwany dzieciak. Ruth się wzruszyła niemal do łez. Wypiłyśmy herbatkę. Pogadałyśmy sobie od serca, jak to baby...

— Wypytywała o coś szczególnego?

— A niby czemu by mnie miałaypytywać?

— Czemu, czemu? Cholera, Penny, przecież jestem szeryfem, a ludzie są ciekawi postępów śledztwa, tymczasem Ruth... — W porę ugryzł się w język. Nikt nie powinien wiedzieć, że nieszczęsna Ruth ukrywa Jonathana. Chyba rzeczywiście mi odbiło. Ruth to ofiara pana Jona, nieświadoma przeszłości faceta, za którego wyszła za mąż, urodziła mu dzieci i którego na pewno kocha.

— Odczep się od niej. Ruth nie należy do wścibskich damulek. Nigdy mnie o nic związanego z twoją pracą nieypytywała. Chociaż, przyznaję, wyraźnie była zgnębiona, przybita, a nawet przerażona.

- Przerażona? Czym?
- Nie mogę powiedzieć. Dałam jej słowo honoru, że nie powiem.
- Czym, Penny?! Pal diabli twoje słowo honoru. A jeśli przerażenie Ruth ma związek z naszym śledztwem?
- Raczej nie...
- Raczej czy na pewno nie?
- Cholera, uparty ośle. Sam ją zapytaj.
- Nie jestem babą. Mnie się nie zwierzy. Gadaaj.
- Cholera, żeby cię szlag. Obawia się męża.
- Męża? W jakim sensie?
- „Droga Penny, Jon od pewnego czasu zachowuje się, jakby postradał zmysły. Och, Penny, przed kimś muszę się wyżalić. Tobie ufam. Daj słowo honoru, że nikomu nie powiesz”. Więc dałam. Zawsze uważałam Jona Milтона za dobrego, wspaniałego człowieka bez skazy. On ją bije, Stan. Biję, rozumiesz? Jon Milton bije żonę! Biję, to, cholera, za słabo powiedziane! Nie chciała mi, biedaczka, pokazać... Najpierw pokazała jedynie siniaki na przedramieniu, ogromne siniaki, podbiegłe krwią, ale zdradziło ją to przerażenie w oczach. Domyśliłam się, że na siniakach znęcanie się nie kończyło. „Jezu, Penny, nie nalegaj, bo jeśli Jon się dowie... Nie wiem, nie wiem, co się z nim dzieje... Jakby go diabeł opętał... Na razie tylko mnie... Ja zniosę wszystko, byle nie zaczął krzywdzić moich dzieci”. „Ja mu nie powiem, Ruth, a tobie ulży”. „Zapewniam cię, Penny, że mój Jon był zawsze cudownym mężem. Czułym, troskliwym. Najlepszym. A ostatnio stał się agresywny, podejrzliwy, nieobliczalny...” I się rozpłakała. Stan, to sadysta! Na plecach Ruth ma krwawe nacięcia. On każe jej siadać i nacina skórę nożykiem. Wyobrażasz sobie, co to za potwór? Tnie i się śmieje, zboczeniec!
- Powiedziała ci dokładnie, od kiedy ją torturuje?
- Nie, nie powiedziała, a ja nie pytałam! Byłam wstrząśnięta! Przerażona, że taki człowiek, jak Jon...
- Miała blizny? Czy to były świeże rany? — przerwał jej. Ruth poznała prawdę o panu Jonie? Jego pedofilskich skłonnościach? Cholera, gdy byliśmy u nich z Petersem, to właśnie Ruth zachowywała się agresywnie wobec męża!
- Blizny? Blizny? Nie. Blizn nie. To były świeże nacięcia. Najwyżej sprzed kilku dni.
- Głębokie?
- A bo ja wiem, czy głębokie?
- To ważne, Penny.

Zastanawiała się długo.

— Raczej powierzchowne — powiedziała i otrząsnęła się ze zgrozą.

— Stan, jakie to ma znaczenie? Jon się nad nią znęca.

— Penny, to ma znaczenie. Dużo było tych nacięć na plecach Ruth?

— Cholera, nie liczyłam!

— Penny, dużo?

Znowu się zastanawiała.

— Kilkanaście. Może mniej. Nie pamiętam.

— Opatrzzone? Zalepione plastrami?

— A niby jak miała je sobie na plecach opatrywać? Poprosić córki? Stan — teraz Penny zbladła — chyba jednak Ruth chciała, żebyś o tym wiedział.

— I ja tak sądzę, Penny.

— Stan, jeżeli narazisz Ruth...

— Nie narażę.

— Chryste, Stan! A jeśli waszym potworem jest on? Jon?

— To możliwe. Trzeba to sprawdzić.

— Stan, boję się. Po tym, co usłyszałam od Ruth, boję się teraz jeszcze bardziej. Boję się straszliwie.

— Dość, Penny. Koniec tematu. Usta zabetonowane. Rozumiesz? Idę się położyć. Proszę o kubek mrożonej herbaty, ketanol i ciszę. Przywaliałaś mi z grubej rury, Penny. Muszę odpocząć. Uporządkować myśli.

Sufit falował. Mimo dwóch tabletek ketonalu ufoludki nie przerywały piłowania skroni. Mimo mrożonej herbaty nadal go spalał ogień gorączki. Zamiast ciszy słyszał głosy Ledy Hening i Louise Duval oraz rżenie doktora.

Nie krzyczałam, Stanleyu Haig, chociaż to, co mi robił, bardzo bolało.

Miała maleńką pipkę, a on tę jej pipkę swoim wielkim kutasem poharatał.

Umarła tu, w kuchni, Stanleyu Haig.

Miała na imię Rosa. Wymiotowała. Widziałam już takie ściśnięte kolanka, Stan.

Strzeżcie się. Wszyscy go znają. Niekoniecznie musi porywać nocą. I nie muszą to być dzieciaki. Ma dobrą twarz. Słynie z uczynności i dobroci... Wzbudza zaufanie... Bez trudu zdobywa potrzebne mu informacje... Zwłaszcza od naiwnych kobiet.

Louise, zachowywałaś się rozsądnie, ja natomiast potrafię nagradzać rozsądek.

Nie próbuj się poskarżyć rodzicom ani nikomu, bo i tak ci nikt nie uwierzy. Wyjdiesz na paskudną kłamczuchę, skarbie. Nawet nie potrafiłabyś pokazać, którądy cię zaprowadziłem do tego pokoju, gdzie zabawiam się z dziewczynkami. Nikt poza mną nie zna ukrytego przejścia, maleńka. Byłaś słodka.

Chłopak dawno nie żył! Patrick również nie żył! Niemożliwe, aby żył! Chryste Panie, nie wierzę, nigdy nie uwierzę! Skalpowałem, gdy już nie żył! Tak samo było z tym sercem. Zapewniłem im śmierć cichą, łagodną, bez strachu, bez cierpień. Nawet nie zdawali sobie sprawy, że umierają. Uśmiechali się tak słodko! Tak ufnie! Kołysani w ramionach...

Wysiadła z Ruth z samochodu. Ulicą szła kobieta trzymając za rączkę jedenastoletnią, może nieco starszą córkę. Milton zatrzymał się i wymienił kilka uprzejmych zdań z matką. Pochylił się, pogłaskał dziewczynkę po jasnych, rozpuszczonych do pasa włosach. „Ach, jaka śliczna dziewczynka, powiedział, słodka, śliczna dziewczynka”.

Byłam słodka. Nie chcę cię przerażać, ale obawiam się, że nie tylko ja byłam słodka. Bo po mnie były inne słodkie. Na przykład Hellen Cassel. Może i Amelia? Albo Anna? Dlaczego piękna Anna nigdy nie wyszła za mąż? Dlaczego patrzy na mężczyzn z taką nienawiścią? Annette pilnowałam jak żrenicy w oku. Jej nie dorwał. Twojej Emily chyba również nie. Może usiłował, a one mu się wymknęły? Dlatego musiały umrzeć.

Twojej Emily chyba również nie.

Chyba.

Chyba.

Stan, opanuj się. Nie byłeś pierwszym mężczyzną Emily, ale to nie pan Jon! Jezu, nie pan Jon! Aż tak nie potrafiłaby udawać! Nigdy nie widziałeś w jej oczach choćby błysku przerażenia, gdy spotykaliście Miltonów na ulicy czy w markecie Louise. Leda Hening, która żyje w świetle gromnic, paranoicznie podejrzewa Milтона, że zgwałcił wszystkie dziewczynki w tym mieście.

Twojej Emily chyba też nie.

Chyba?

„Moja maleńka, moja śliczna, nie bój się, to ja, Louise”, powtórzyłam. Wtedy Rosa zwymiotowała. Nie broniła się, Stan, kiedy wzięłam

ją na ręce i niosłam do swojego domu. Nie bronila się i wówczas, kiedy ją rozbierałam, kiedy rozsunęłam kolanka i zajrzałam tam. Jeszcze krwawiła.

Niech moja Annette spoczywa w pokoju.

Jezu! Ledo! Chyba?!

Oszczędź Penny. Nie wypytuj jej; wiesz o co. Ani Barbary Adams; ma takie słabe, chore serce. Ani Kathy Cassel, najniezwyklejszej z matek. Niech ich słodkie, śliczne dziewczynki pozostaną czyste, niezbrukane.

Oszczędzę je, Ledo. Masz rację. Nikt się nie dowie o naszych zmarłych, słodkich dziewczynkach ani o tych, które jeszcze żyją — powiedział do siebie i zapłakał. Nie pozwolę ich splugawić. Teraz wiem, Ledo, że mnie oszczędziłaś. Moja Emily, kochanie. Nawet to straszliwe „chyba” mi cię nie zbruka. Nie jest w stanie zbrukać. I nie będzie. Moja Emily, kochanie. To straszliwe „chyba” wzbudza we mnie gniew mściciela. Gniew zimny jak tchnienie śmierci. Gniew zwracający mi zdolność myślenia. Ledo! Louise! Dopadnę pana Jona.

Ból głowy nagle minął. Przestał się pocić. Ręce już nie drżały.

Wyjął notatnik. Uśmiechnął się. Posłużę się twoją metodą, Jennifer. Na razie bez wniosków. Wyłącznie pytania i uwagi.

Uwaga numer jeden: Ruth Milton nie bez powodu „wpadła” do Penny. Nie bez powodu pokazała jej swoje obrażenia. Ruth wiedziała, że przerażona Penny wygada się przede mną. Czyli sugeruje, że należy podejrzewać jej męża. Chytre posunięcie. Oświadczyła Penny, że Jon zachowuje się podejrzanie od pewnego czasu, ale nie powiedziała od kiedy.

Postawił wielki znak zapytania i kilka wykrzykników.

Dlaczego podejrzewa”? (1) Czy dlatego, że dzięki zbiegowi okoliczności po tylu latach małżeństwa z Jonem odkryła jego seksualne zboczenie? (2) To raczej byłoby dziwne, ponieważ Ruth jest osobą bystrą. Wiele lat temu przepraszała, zmieszana, matkę jakiejś dziewczynki za niestosowne zachowanie męża. (3) Załóżmy jednak, że odtąd Jon bardzo uważał, co jest wielce prawdopodobne. (4) Louise Duval, nienawidząca pana Jona, o Ruth wyraża się w samych superlatywach. I ogromnie jej współczuje. (5) Leda Henning pogardza Ruth, ale uważa ją za dobrą matkę, niezdolną do

wyrządzenia krzywdy dziecku. (6) Czy Ruth grozi ze strony Jona realne niebezpieczeństwo? (7) Doktor Tracy użył określenia, że mamy do czynienia z wyjątkowo inteligentnym przeciwnikiem. (8) Jon zdradziłby się, zabijając żonę.

Cholera, Haig! Wszystko to jest do dupy! Gdyby Ruth wiedziała, że jej mąż jest potworem, nie wytrzymałaby z nim ani chwili! Gdyby wiedziała, że jest pedofilem, krzywdzącym małe dziewczynki, również nie wytrzymałaby z nim ani chwili! Powiedziała Penny, że zawsze byli dobrym, kochającym się małżeństwem. To jakby chciała usprawiedliwić Jona za jego znęcanie się nad sobą! Gdy byliśmy u nich z Petersem, napadła jak wściekła na męża! Zarzuciła mu pijackie delirium! Kto wie, jak zachowywała się potem? Jeżeli nadal tak agresywnie, stracił panowanie nad sobą i ją po prostu pobił. Ubarwiła swoje żale przed Penny. Cholera, ale po co? A może te powierzchowne niby nacięcia to po prostu siniaki? Dobra, dowiem się. I tak mam w planie odwiedzić Miltonów. Coś tam, będąc z Petersem, przeoczyliśmy. Jezu, ale łamię głowę! Z panem Jonem w roli głównej. Oraz z doktorem Tracym.

UWAGA!!! DOKTOR MARK TRACY!!! I KIM JEST OWA LINDA SNOW?!

(1) Mówiąc o współniku, ZAWSZE używał zaimka osobowego rodzaju męskiego ON. Miał na myśli Jona Milтона? (2) Powiedział, że potwór wzbudza zaufanie kobiet, co pasuje do Jona Milтона. Wzbudza zaufanie. Dlaczego? To wyjaśniła dokładnie Louise Duval. (3) Powiedział, że stosuje doskonały kamuflaż. Podobnego określenia użyła w stosunku do Jona Milтона Louise Duval. (4) Powiedział, że ma dobrą, miłą twarz. Jon Milton MA dobrą, miłą twarz. (5) Powiedział, że naszym potworem jest schizofrenik paranoidalny, NIELECZONY OD LAT. Czy to oznacza, że kiedyś Jon Milton był leczony? Przebywał w psychiatryku? (6) Gdyby Jon Milton kiedykolwiek przebywałby choćby jeden dzień w psychiatryku, takiej wiadomości nie udałoby się utrzymać w tajemnicy. Jednak mógł być leczony prywatnie. Może przez samego doktora Tracy 'ego? (7) Ale Jon Milton w dniu porwania Patricka miał niepodważalne alibi. (8) Mark Tracy zwabił Patricka w brzezinkę? Nie, nie Mark. Po pierwsze, miał alibi. Po drugie, jemu raczej potwór nie zwierzyłby

się, że zamierza porwać i zabić Patricka. Mogło być tak: Tracy zrozumiał wtedy wszystko. Śmierć Annette, Emily. Powiedział potworowi, że ma oddać Hellen synka. Bo inaczej go wyda. I dopiero wówczas potwór zagroził doktorowi zabiciem Jonathana. (9) W takim razie, kim się posłużył Jon Milton — zakładając, że to on — aby zwabić Patricka w brzezinkę? Kimś musiał. Kim, do cholery?! Ma jeszcze innego współnika? Totalna bzdura!!! (10) Natomiast nie sprawdzaliśmy alibi Jona w sprawie Erica. Victreebela mógł dostarczyć Jonowi Mark Tracy. Nie. Nie mógł. Louise Duval oświadczyła, że Mark Tracy nabył u niej najpierw Victreebela, a potem tego drugiego stwora. Oba pokemony podarował Ericowi. Zatem ktoś z rodziny Miltonów, któraś z córek na przykład. Nie, to głupie. Jeżeli Jon Milton jest naszym potworem, to mógł kupić pokemony podczas któregoś wyjazdu. Sprawdzić, kiedy i dokąd ostatnio wyjeżdżał. (11) Według opinii patologa sprawca wykazuje się profesjonalizmem chirurga oraz pełną wiedzą o najnowszych technikach kryminalistycznych. Mark Tracy nie jest chirurgiem, nie potrafiłby Miltona nauczyć aż takiej biegłości w tej sztuce. Genialny samouk? A czas na zdobycie wyćwiczonej chirurgicznie dłoni? Na to trzeba lat. Nie wystarczy ćwiczenie ręki na zwierzakach. Jon Milton prowadzi rozległe interesy. Biznes rozwinięty na taką skalę zostawia niewiele wolnego czasu. Do tego dochodzi jeszcze czas poświęcany na zapoznawanie się z wiedzą kryminalistyczną. Coś mi tu z Jonem Miltonem w roli mordercy nie pasuje. Nawet bardzo. To nie Jon jest mordercą! Cholera, nic mi tu nie pasuje! To jakaś przeklęta łami-główka!

— Czego?! — krzyknął, gdy do drzwi ktoś zapukał. — Penny, zostaw mnie w spokoju!

W progu stał Peters.

— Zwijaj się, koleś. Anna Adams i Chris Stayls zniknęli.

Część trzecia

Anna Adams,
Chris Stayls,
Louise Duval

1.

Chris Stayls, przyzwyczajony do pracy w drogówce, z niechęcią przyjął polecenie Thompsona, by według grafiku od piątej rano do godziny szesnastej wspólnie z Billym Sniperem pilnować domu Barbary Adams. Pomyślał, że porobią mu się odciski na tyłku, a ten gołowąs, Bill, któremu gęba się nie zamyka, nawet nie pozwoli uciąć drzemki. I w ogóle to głupota, bo co może się siostronom Adams przytrafić w biały dzień? Zdecydowanie wolałby się załapać na nocny dyżur, byłoby bez porównania ciekawiej — każdy cień, każdy szelest, czyjeś kroki niosłyby ze sobą przynajmniej jakiś dreszczyk emocji. A w dzień? Nuda.

Potem pomyślał, że ani mu się śni wysiadywać cały czas w wozie i słuchać pieprzonych, opowiadanych na okrągło dowcipów Billa. Lub jego zwierzeń o jakiejś kolejnej ślicznotce, w której jest aktualnie zakochany po grób. Bill zakochiwał się po grób regularnie przynajmniej raz na miesiąc. Od czasu do czasu miał poważny dylemat, ponieważ po grób zakochiwał się nie w jednej, ale w dwóch ślicznotkach naraz, i był wówczas potwornie nieszczęśliwy, bo nie wiedział, w której bardziej po ten grób jest zakochany.

Jak tylko siostry wstaną, powiedzmy, od dziewiątej rano, co godzinkę zrobię sobie przerwę — postanowił Chris Stayls. Wyskoczę do nich a to na herbatkę, a to na kawkę, no i na te ich pyszne rogaliki migdałowe.

Wstały znacznie wcześniej. Okno kuchenne Carol otworzyła przed siódmą. Dostrzegła ich wóz. Wychyliła się i pomachała ręką. Była w nocnej koszuli, odsłaniającej ramiona.

— Obrzydliwie chuda — stwierdził z niesmakiem Bill. — Moja Meryl, mówię ci, to ma wszędzie takie ponętne krągłości, że od razu mi staje.

— Zamknij dziób. Widzisz? Dwa domy za Adamsami parkuje podejrzana bryka. Pstryknij zdjęcie.

— Chris, no coś ty! Przecież to bryka mojej ciotki, rodzonej siostry mojej matki! Mieszka dwa domy dalej za Adamsami. Razem z synem i córką, Mary. Gdyby Mary nie była tak bliską krewną, zakochałbym się w niej po grób. Jest prześliczna. Oczy jak gwiazdy. Cycuszki jak dwa jędrne jabłuszka...

— Macałeś cycuszki swojej kuzynki?

— No coś ty! — oburzył się Bill. — Kuzynek nie macam.

— To skąd wiesz, że Mary ma jędrne?

— W przeciwieństwie do ciebie, palancie, znam się na kobietach i ich cycuszkach! Wystarczy mi spojrzeć i od razu wiem, czy warte pomacania — prychnął wyniośle Bill. — Ma się to doświadczenie. Ta Carol, na przykład, niebrzydka, ale ma dwa naleśniki w miejscu cycków. Ohyda. Nie stanąby mi nawet, gdyby rozłożyła nogi. A mnie często staje.

— Zamknij się wreszcie, obleśny erotomanie! Gównu mnie obchodzi, czy ci staje, czy zwija! — krzyknął Chris. Pomyślał, że chętnie walnąby w głowę tego kutasa, właśnie za to, że mu staje. Lada moment otrzyma pozew rozwodowy do podpisania. „Jezu, Jane, powiedz, że żartujesz? Rozwód? Dopiero co się pobraliśmy. Staram się być jak najlepszym mężem. Kocham cię, skarbie. Żartujesz, prawda?” Po jej zaciśniętych mocno wargach poznał, że absolutnie nie żartuje. „Wyjaśnij przynajmniej dlaczego?” „Bo ci zbyt rzadko staje, dupku. A gdy raz na tydzień ci stanie, zbyt szybko się spuszczaś. Jesteś w łóżku do niczego”. „Jezu, Jane, przecież kochaliśmy się przed ślubem. Powtarzałaś mi, że jestem słodki, cudowny, wspaniały”. „Kłamałam”. „Kłamałaś? I że mnie kochasz, też kłamałaś?” „Też”. „Jezu, Jane, dlaczego?” „Odziedzyczyłaś po swoich starych ładny dom i całkiem sympatyczne konto w banku. Moja matka powiedziała: »Nie bądź głupia, Jane. To okazja. Nie zmarnuj jej«. Nie byłam głupia. Za to ty zgłupiałaś doszczętnie; nawet nie musiałam podpisywać intercyzy. Wytrzymałam z tobą rok. Starczy, dupku. Rozwód. Sprzedasz dom, podzielisz kasę. Pół twoje, pół moje. Od dziś śpisz na kanapie w salonie”. Zdołał ubłagać Jane, aby jako przyczynę rozvodu podała, że nie czuje się na siłach być żoną policjanta, którego zbyt rzadko widuje i o którego musi bezustannie się niepokoić.

— O matko, Chris! Czemu się tak wściekasz? Prawdziwi faceci gadają o tym, jak im staje...

Miał dość. Wysiadając, trzasnął drzwiczkami.

— Chris, dokąd?

— Odetchnąć świeżym powietrzem. Za rzadko zmieniasz gacie. Cuchniesz spermą, Bill.

W kuchni zastał Annę. Mieszała drewnianą łyżką w olbrzymim garze pachnący migdałami krem. Pot na jasnej bluzce rozlewał się wielkimi plamami.

— Czego? — warknęła.

— Ojej, Anno... — zmieszał się Chris. — A w ogóle to dzień dobry...

— Czego? — powtórzyła ze złością.

— Ojej, Anno... Poczęstujesz mnie kawą? Tkwimy z Billem pod waszym domem od piątej rano...

— A ja od czwartej stoję przy garze! Zjeżdżaj. Wynocha!

— Ojej, Anno, okropnie jesteś nerwowa... — powiedział zaskoczony agresją Anny Chris. Detektyw Peters na krótkiej naradzie poinformował jedynie, że siostry Adams są zagrożone przez potwora, bez wyjaśnień, na czym to zagrożenie polega, i Chris, słuchając detektywa, pomyślał, że to dwie dorosłe kobiety, a nie sześćioletni chłopcy, więc co im może grozić? Nawet o to zapytał, ale detektyw, szarpiąc nerwowo rzadką bródkę, odparł surowo, że „Nos w sos, koleś. Nie twoja sprawa wiedzieć. Im mniej wiecie, tym lepiej”. Więc teraz, patrząc na rozwścieczoną kobietę, wytłumaczył sobie jej zachowanie strachem, dlatego dodał uspakajająco: — Nie bój się, Anno. Szef wyznaczył całodobową ochronę waszego domu.

— Sram na waszą pieprzoną ochronę! Wynoś się!

— Ojej, Anno, nie uchodzi, żeby kobieta tak klęła — wyjąkał, wycofując się do drzwi.

— Przepraszam za siostrę, Chris. Oczywiście, że poczęstujemy cię kawą. Prawda, Anno? To Chris Stayls, nie poznajesz? Głina z drogówki. — Carol ubrana w dżinsy i bawełnianą koszulkę wbiegła do kuchni. — Siadaj, Chris. Jesteśmy wdzięczne za ochronę, zwłaszcza że zostałyśmy same, bo mama po tym, co stało się w markecie, ostatecznie wyładowała w szpitalu... No, siadaj, siadaj. Nie patrz z taką obawą na Annę... — Carol zajrzała do gara i wyjęła z ręki siostry łyżkę. — Masa gotowa, skarbie. Również usiądź, odpocznij. Ciasto ja zagniotę... Masy nagotowałam na przynajmniej pięćset rogalików, a zamówień mamy zaledwie na sto... — Carol westchnęła. — To ciężka praca, Chris, wypiekanie tych rogalików... I coraz mniej zamówień. A tu

mama w szpitalu... Najwięcej sprzedawałyśmy w markecie. Louise Duval otworzyła dla nas specjalne stoisko... Wcześniej kupowała u nas rogaliki w hurtowych ilościach cukiernia z Cedar Falls i wtedy wiodło nam się naprawdę doskonale... — Carol westchnęła znowu, po czym nastawiła ekspres do kawy. — Ech, było, minęło. Zresztą może nawet i dobrze, bo mówię ci, Chris, pracowałyśmy po osiemnaście godzin na dobę i wyschłyśmy jak stare szkapy. Ale się rozgadałam! Powiedz, co u ciebie? Jane znam z widzenia, bardzo ładna, bardzo...

— W porządku. Właśnie się rozchodzimy. — Chris udał, że się śmieje. I tak się wszyscy dowiedzą za kilka dni. Zaczną się współczujące przepytywanki, współczujące komentarze, przeróżne domysły, obrzydliwe plotki. Uchodzili przecież za kochającą się parę. A tu ni z gruszki, ni z pietruszki nagle rozwód. Jane nie można ufać. Kto wie, jakie świństwa o nim rozpowiada? Więc chociaż sobie ulży, powie prawdę. Siostry Adams nie utrzymają języka za zębami, im ludzie uwierzą.

— Żartujesz, oczywiście? — spytała Carol, rozlewając kawę do kubków.

— Nie żartuję. Wystawiła mnie do wiatru.

— Jak to wystawiła?

— Po prostu. Ja się w niej zakochałem po uszy, a ona zakochała się w moim domu i koncie, zostawionym przez rodziców. Nie zawarłem intercyzy. Mam sprzedać dom i podzielić konto.

— Ale suka! Słyszałaś Anno? Suka.

Chris stracił ochotę na kawę. Niepotrzebnie tu przyszedł, niepotrzebnie się zwierzył.

— Nie nazywaj jej tak, Carol. Dzięki niej miałem swoje chwile szczęścia — powiedział. — Proszę was obie, zachowajcie to, co mi się wyrwało o Jane, dla siebie.

— Dobry Boże, ty ją naprawdę kochałeś! Widzisz, Anno, chodzą jednak po tym świecie mężczyźni, którzy potrafią kochać... — wzruszona Carol pocałowała Chrisa w policzek. — Bądź spokojny. Nie należymy do plotkarek... Przepraszam, Chris... Anno, twoja komórka dzwoni... — głos Carol zabrzmiał lękiem.

— Wyłącz ją — w głosie Anny Chris wyczuł strach.

— Jezu, dzwoni i dzwoni. — Carol spojrzała na wyświetlacz komórki. — O Jezu, Anno, to Louise Duval! Nie on! Skarbie, Louise! — podała komórkę siostrze.

— A jeżeli nie Louise?

— Anno, bo się rozłączy! Pewno otworzyła market... I chce od nas rogaliki... Zawsze z tobą gada w sprawie zamówień... — wetknęła komórkę w dłoń siostry.

— Louise? Louise, to ty? Odezwij się, bo się rozłączę... Możesz głośniej? Słabo cię słyszę... Jakoś bełkoczesz... Aha, masz kaca? No dobra, czego chcesz? Aha, rogalików? Coś kręcisz. Przecież ci market gliny zamknęły... Już otwarty? Czekasz na nasze rogaliki? Porządna z ciebie kobieta, Louise... Mamy na stanie sto. Za mało? Potrzebujesz trzysta? Cholera, na razie ci przywiozę te sto. Na popołudnie wyrobimy się z resztą. Zapłacisz nam z góry? No pewno, kasa bardzo się nam przyda. Oczywiście, natychmiast jadę. Do miłego, Louise! Będę za piętnaście minut.

— Ja pojadę. Ty odpocznij...

— Nie bądź taka cwana, siostró. Obiecałaś poprzednio, że uzupełnisz zapasy ginu, a kupiłaś kilka puszek najpodlejszego piwa, które mi nawet nie zdołało zasumieć w głowie...

— Zaraz, zaraz — przerwał stanowczo Chris. — Sama nie pojedziesz. Otrzymaliśmy wyraźne polecenie nie spuszczać was z oczu.

— Chris, przecież jest dziewiąta rano, bez przesady! On w dzień nie atakuje — roześmiała się uszczęśliwiona zamówieniem Carol.

— Taki otrzymałem rozkaz. Pojadę z tobą, a Bill zostanie przed waszym domem, pilnować Carol.

— Dawaj te pieprzone rogaliki i zabieraj się za pieczenie następnych! I nie patrz tak na mnie! Nie upiję się w kącie marketu! Żeby cię szlag, Carol, w ogóle się nie upiję, dopóki nie skończymy z tymi pieprzonymi rogalami! Idę wyprowadzić brykę z garażu. Ty siedzisz z tyłu, dupku. Nie znoszę bliskości facetów.

— O Jezu, Chris — jęknęła Carol. — Anna lubi sobie golnąć, ale błagam, zachowaj to w tajemnicy.

— Okazuje się, że każdy ma jakieś wstydlive tajemnice. Wy poznaliście moją, ja waszą — uśmiechnął się z goryczą Chris. — To do zobaczenia.

— Do zobaczenia, Chris. Porządny z ciebie facet. Gdy wrócisz, poczęstuję cię naszymi rogalikami. Pewno i kanapek nie miał kto ci zrobić. Gdy wrócisz, zaprosimy cię na lunch... Leć, Chris. I nie bój się, Anna dobrze jeździ...

Wybiegł na ulicę. Powiedział Billemu, że jedzie do marketu Louise jako anioł stróż Anny Adams.

— Ona to w ogóle nie ma cycków. A tyłek, same kości — parsknął Bill. — Nie to, co moja Meryl... Same ponętne krągłości...

— Zboczony erotoman. Wracam za kilkanaście minut. Obserwuj. Pstrykaj zdjęcia każdemu, kto się choćby na sekundę zatrzyma przed domem Adamsów!

— Jak dotąd ulicą przebiegły dwa kundle i jeden sparszywiwały kot. Ej, Chris! Kup mi w markecie chipsy, colę i hamburgera. Z nudów zżarłem wszystkie kanapki, jakie mi przygotowała moja stara...

Anna wyjechała z garażu na pełnym gazie. Zahamowała z piskiem opon. Chris nie zdążył zapiąć pasów i walnął głową o zagłówek, gdy Anna znów dała gaz do dechy.

Wariatka, pomyślała Carol, obserwując pirackie wyczyny siostry. Ale trzeźwa jak niemowlę. I nawet po pijaku nie spowodowała nigdy wypadku... Kochana Louise, niech cię Bóg błogosławi. Spadłaś nam niczym kasza manna z nieba. W portfelu pustki, ostatnie dwadzieścia dolców...

Opasała się fartuchem i zabrała się za wygniatanie ciasta. Automatyczne urządzenia, które kiedyś kupiła Barbara Adams, dawno już odmówiły posłuszeństwa. Całą pracę wykonywały ręcznie.

Chyba też sobie dziś chlapnę... Z radości. Pilnują nas, więc nic nam nie grozi. Mama czuje się lepiej. Moja intuicja podpowiada mi, że teraz nasze rogaliki będą szły jak woda... Tylko ten ból w kręgosłupie staje się nie do wytrzymania... O Jezu, muszę wytrzymać... A jakby rzeczywiście świetnie nam poszło, to należy czym prędzej zaoszczędzić na maszyny... Koniecznie trzeba... Ociekam potem... Ręce mdleją... Cholera, Carol, przestań się użalać, i tak Anna odwała za ciebie większość roboty... Przysiądę na chwilkę, odpocznę... Gdy wrócę, poproszę Chrisa, żeby pomógł wygnieść to cholerne ciasto... A ta twoja Jane to suka i tyle... O Jezu, już powinni wrócić... Za piętnaście dziesiąta... No coś ty, Carol? Zidiociałas? Do marketu dziesięć minut. W markecie przynajmniej następne dziesięć, bo zanim wyłożą rogalę na półkę, zanim Louise wypłaci kasę, a ta moja siostra pijaczka zopatrzy się w swój gin... Gdyby Anna spowodowała wypadek, Chris by zadzwonił... Cholera, Carol, weź zimny prysznic! Przestań wpatrywać się w zegar...

Wskazówki zegara minęły dziesiątą.

Dziesiąta pięć.

Dziesiąta dziesięć.

Dziesiąta piętnaście... dwadzieścia...

Dziesiąta trzydzieści.

O Jezu, zadzwonię do Anny... Jak amen w pacierzu, dorwała się do wody... Ale przecież, jak ona dorwie się do wody, nic ani nikt jej od niej nie odciągnie... Chrisa pewno opieprzyła tak, że biedakowi uszy zwiędły... Przestań wariować, Carol. O Jezu, ciasto!

Wyrośnięte ciasto wylewało się z michy.

— Żeby cię cholera, Anno! — Carol rzuciła się na ratunek ciastu, dospała mąki, dołała mleka, przemieszała. Żeby to szlag! Przerosło! Zamiast rogalików wyjdą naleśniki z zakalce... Trzeba jeszcze mąki... I wyrabiać od nowa... Jezu, akurat te muszą być wyjątkowo udane, pyszne! To nasza szansa! Na spitą siostrzyczkę nie ma co liczyć! Wróci i padnie. Naprawdę poproszę Chrisa, żeby mi pomógł nadziewać rogalę masą...

Kregosłup pękał — cholera z nim, cholera z Anną, przecież jest dzień, w dzień ON nie atakuje, telefony od niego przestały straszyć. Detektyw Peters zapewnił, że są absolutnie bezpieczne, nawet mysz do ich domu nie prześlizgnie się niezauważona.

Zegar wybił jedenastą.

— Ten pieprzony Chris mógłby jednak zadzwonić! No nie, ty kretynko, po co miały dzwonić? Że co? Że z marketu porwały ich smoki? Porwały i zżarły jako przystawkę? Już wiem! Louise urządziła z okazji otwarcia marketu małe przyjętko na zapleczu. Jedzą kanapki z łososiem, bawią się w najlepsze... A mnie olewają, świnię. Nie pomyślą, że mogę się niepokoić... Gówno dostaniesz, nie lunch, Chris! Może ta twoja Jane wcale nie taka suka...

Podzieliła ciasto na porcje. Obsypała olbrzymią stolnicę mąką. Zanurzyła palce w sklarowanym maśle. Zaczęła formować rogalę.

Jedenasta trzydzieści.

— No nie! Ja wam pokażę! Dzwonię do Anny! Nie, nie do niej! Anna znajduje się po takim czasie w stanie nieważkości. Do Louise! Po prostu cię opieprzę, Louise Duval! Znasz Annę i nie powinnaś była jej pozwolić aż tak się upić!

Wytarła ręce w fartuch. Pies to drapał, że teraz cały w tłustych plamach! Wybrała numer Louise. Odetchnęła z ulgą. Nie był zajęty.

— No, cholera, odbierz, odbierz!

Nie odbierała. Włączyła się poczta głosowa: „Jestem zajęta. Zostaw wiadomość”.

— Też się spiła, czy jak?

Wybrała ponownie.

Jestem zajęta. Zostaw wiadomość.

Jestem zajęta. Zostaw wiadomość.

— Jak to jesteś zajęta?! — krzyknęła Carol. Czym możesz być zajęta? To bez sensu! Otworzyłaś market. ZAWSZE w markecie łazisz z komorą w kieszeni swojego pieprzonego, eleganckiego kostiumu! ZAWSZE odbierasz KAŻDY telefon! Dzwonią do ciebie dostawcy i tacy różni, co ci proponują jakieś tam nowości, promocje! Spiłaś się razem z moją siostrzyczką, czy co? Przecież ja tu zaraz zwariuję! Minęły ponad dwie godziny, a ich nie ma! I wiadomości od nich nie ma! Chris, ja ci wydrapię oczy! Opluję! Złożę skargę! Wywałą cię z policji, ty popaprańcu!

Jestem zajęta. Zostaw wiadomość.

Jestem zajęta. Zostaw wiadomość.

Sama się dowiem, Louise. Pieprzę cię! I twoje łaskawe zamówienia pieprzę!

Nie zdejmując poplamionego fartucha, w domowych kapciach wybiegła z domu. Spojrzała z nienawiścią na chrapiącego w najlepsze policjanta. Załomotała pięściami w szybę policyjnego vana. Bill ani drgnął. Obiegła wóz. Szarpnęła drzwiczki. Usiadła obok obrzydliwie chrapiącego, różowutkiego niczym prosiaczek Billa, któremu na brodę spływała strużka śliny. Wrzasnęła mu prosto w ucho:

— Ty zasrańcu! To tak nas pilnujesz? Złożę i na ciebie skargę!

— O mamuniu... Po co te wrzaski? — Bill ziewnął, przeciągnął się.

— O mamuniu... Aleś ty chuda... Nie to, co moja Meryl. Żebyś zobaczyła jej cycuszki...

Uderzyła go prosto w te poruszające się, oblepione śliną, oblesne wargi. Ślina zmieszała się z krwią.

— Odbiło ci?! — teraz Bil wrzasnął i zajęczał z bólu. — To jest czynna napaść na funkcjonariusza na służbie, Carol. Aresztuję cię, wariatko! Rozwaliłaś mi wargi! Może nawet wybiłaś ząb!

— Wybiję ci wszystkie, zasrańcu! Wiesz, która godzina?

— A bo co? — zaniepokoił się Bill. — Zdrzemnąłem się zaledwie chwileczkę... O, do diabła! Niemożliwe. Naprawdę chwileczkę...

— Chrapałeś ponad dwie godziny, zasrańcu jeden! A oni pojechali tylko do marketu i mieli natychmiast wracać.

— Też mi wielkie halo! Może wreszcie Chrisowi stanął i zabawia się z twoją siostrą, chociaż chuda koszmarne... — Szybko uchylił się przed pięścią Carol. — Wariatka! Bo cię skuje! O mamuniu... Kobieto, opanuj się. Siedź spokojnie. Rączki na kolanach. Połączę się z Chrisem... Przecież, wariatko, nie wyparowali w biały dzień!

— To się łącz! Nie gadaj tyle!

— Tu dwójka, tu dwójka. Trójka, odezwij się. Trójka, tu dwójka. Odezwij się. Trójka, bez głupich żartów, odezwij się. Chris, do diabła, odezwij się.

Odezwij się. Odezwij się. Odezwij się. Odezwij się.

— Przestań. Nie odezwie się — powiedziała Carol. — ON ich dopadł.

— Wariatka. W biały dzień? Uzbrojonego glinę i dorosłą kobietę? Chrisowi pewno popsuł się radiotelefon — odpowiedział Bill.

— Sprawdźmy. Jedź.

— Dokąd?

— Do marketu.

— Niech ci będzie. Nawet mi odpowiada. Głodny jestem. Kupię sobie chipsy, podwójnego hamburgera i mrożoną colę.

Market był zamknięty. Czerwonej toyoty ani śladu.

— To jeszcze nie oznacza, że coś się im stało — a jednak Bill zbladł. — Może Louise otworzyła market na kilka godzin i dopiero go zamknęła? A w tym czasie, gdy my tu jechaliśmy, Chris z twoją siostrą wrócili do domu.

— Sprawdźmy. Jedź do domu.

Przed domem toyoty nie było. W garażu też nie.

— Połącz mnie z Petersem.

— O mamuniu, Carol... Ale nie zdradzisz, że zasnąłem na służbie?

— Łącz. Natychmiast. Nie bój się, nie uderzę cię, zasrańcu. Nigdy w życiu nie byłam tak spokojna jak teraz.

2.

Znał ten wyraz ptasiej twarzy Petersa. Z zaciśniętymi w wąską kreseczkę bladymi od wściekłości wargami pod spiczastym nosem przypominał drapieżnika, któremu wymknęła się zwierzyna. Wciągając pospiesznie spodnie, milczał, chociaż w gardle krzykiem wzbierało pytanie: A Carol?! Co z Carol?

— Carol czeka na ciebie w kanciapie. Zaparła się, że nie powie ani słowa, dopóki się nie zjawisz — głos detektywa zazgrzytał niczym żelazo przeciągane po szkłe. — I nie pytaj mnie, jak do tego doszło. Z tego jełopa, Billa Snipera, niczego nie dało się wyciągnąć. Dostał ataku hysterii. Powtarzał w kółko: „Matko, to mogłem być ja! Boże, ja! Jezu, dziękuję ci, że to nie ja! Mam dopiero dwadzieścia dwa lata, chcę żyć. Chris się zdążył nażyć, chociaż mu rzadko staje!”. Musiałem mu przywalić w ryj, żeby się zamknął.

Strzeżcie się. Wszyscy go znają. Nie musi koniecznie porywać nocą. I nie muszą to być dzieciaki. Słynie z uczynności i dobroci... Wzbudza zaufanie... Bez trudu zdobywa potrzebne mu informacje... Zwłaszcza od naiwnych kobiet. Jakbyś przewidział lub znał jego kolejny ruch w tej partii szachów, doktorze Tracy. Mam w dupie twoje uczucie do Jonathana, którego kochasz jak własnego syna. Powiedzieć o tobie Petersowi? Pokazać mu swoje notatki? Cholera, nie. Jeszcze nie. Muszę sam odnaleźć drogę w tym labiryncie śmierci. I ty mi w tym pomożesz, doktorze. Posłużę się tobą jak przynętą. Będiesz moim ślicznym, małym jamniczkiem. Moim Victreebelem. Takiego ruchu ani ty, ani twój potwór się nie spodziewacie. Ledo, nie narażę naszych słodkich dziewczynek na zbrukanie. Ani twojej Rosy, Louise. Porozrzucane kartki z notatkami mogą zwrócić uwagę Petersa... Cholera, podchodzi do biurka!

— Peters, pomóż mi poszukać buta. Gdzieś mi się zapodział! — krzyknął Haig. Cholera, sięga po kartkę!

— Tylko bez paniki, koleś. Bo i ty dostaniesz po ryju. Swoje kajaki masz na nogach. Spodnie też. A bluza wisi na krześle, dupku!

— Faktycznie, na nogach — udał zdziwienie. — Przepraszam, Peters. Faktycznie wpadłem w panikę. Jennifer zapewniała, że w dzień nic nikomu nie grozi... Jakbym dostał obuchem w łeb... Już, już, Peters... Jeszcze odznaka i kabura... Biedny Bill. To niedoświadczony dzieciak. Mimo wszystko zachował się odpowiedzialnie. Zawiadomił was...

— On? On tak oklapł, że to Carol gadała ze mną i prowadziła policyjnego vana. Uparta oślica. „Bez Stana nie powiem ani słowa”. Gotowy?

— Tak. Ale Penny...

— Penny ze Stevenem kazałem nie wychylać nosa z salonu. Jazda, koleś. Tym razem popełnił błąd. Tym razem nam nie umknie. Rozesłałem ludzi, żeby szukali wozu Anny. Co innego wywabiać dzieciaki pod osłoną nocy, a co innego porywać dorosłych w biały dzień. Zwabił ich podstępem w jakieś pustkowie. Przecież, do diabła, nie przesiedli się dobrowolnie do jego bryki! Musieli się bronić. Z Chrisa kawał chłopca. Nawet jeśli ich potraktował gazem pieprzowym, to tym razem zostawił mnóstwo śladów, bo się śpieszył. — Oczy Petersa zmrużyły się w dwie drapieżne szparki. — Jennifer mówi, a ja się z nią zgadzam, że on ich nie zabił. Poczekaj do nocy. Ma gdzieś swoją zakamuflowaną kryjówkę i tam ich zostawił, związanych, zakneblowanych. Brak mu było czasu na zabijanie. Zabijanie sprawia mu rozkosz. Daje poczucie władzy nad ofiarą. Nim wypełnie ze swego domu, dorwiemy go. Tym razem dorwiemy. Właściwie, jakby już był nasz. Masz przycisnąć Carol! Głupie babsko! „Z wami nie rozmawiam, chcę Stana”. Jej też chętnie bym przyłożył w gębę!

Jadąc za wysłużoną bryką Petersa, Haig myślał o jakże przedwczesnej pewności siebie detektywa. Każdego zabije, kto mu stanie na drodze. To schizofrenik paranoidalny. Nieleczony od lat. W tej fazie choroby ma szczególnie wyostrzone zmysły i zdolność postrzegania. Zawsze był nieprzeciętnie inteligentny, ale o tym zapewne wiesz od waszej pani doktor od portretów psychologicznych. On jakby z wami grał w szachy. Jak w partii szachów przewiduje i wyprzedza każdy wasz ruch. Trzyma was w szachu swego doskonałego kamuflażu.

Złowieszca wskazówka doktora. Trzymał się planu. Na dziś zaplanował porwanie Anny. Przewidział, że siostry dostały całodobową ochronę i czują się bezpieczne. Że i nam na myśl nie przyjdzie, co zrobi. Czy poczuł się zaskoczony, widząc Chrisa? Czy też był przygotowany, że przyjedzie z ochroną? Był przygotowany. Mylisz się, Peters. Anna z Chrisem nie bronili się. Nie musieli. Zobaczyli kogoś dobrze sobie znanego, sympatycznego, miłego. Co im ten ktoś powiedział, że dobrowolnie przesiedli się do jego wozu? Coś, co musiało być ważne dla Anny. Wsiedli. Wtedy dopiero ich obezwładnił, może i gazem pieprzowym. W toyocie Anny nie znajdziesz, Peters, ŻADNYCH śladów. Jezu, Jennifer, jeżeli nawet będzie ich zabijał nocą, nie uda się nam go odnaleźć. Poruszamy się po omacku jak ślepcy. Skąd twoje przekonanie, że poczeka do nocy? Może właśnie teraz, czując się całkowicie bezkarny i całkowicie wszechmocny, torturuje Annę, szczerząc radośnie zęby do Chrisa, czekającego na swoją kolej? Jedyne doktor Tracy może nas do niego doprowadzić... Nikt inny. Nikt. Pod warunkiem że Tracy wcześniej nie pęknie. Nie, nie pęknie. Zbyt mocno kocha tego, niby swego, Jonathana. Dlatego gęba na kłódkę, Haig. Ani piśnij o doktorze. Przeciwnie — chroń go. Akurat jego nie mogą podejrzewać. Jezu, szukając potwora, sam się nim staję... Znam współnika, a muszę go kryć. A jeśli ci się nie uda, Haig? Nie powiedzie się twoje prywatne śledztwo? Masz do niego prawo? Kto ci je dał? Kim ty jesteś, do cholery, żeby na siebie przyjmować aż taką odpowiedzialność? Cholera, jak postąpić? Jak? No dobra, Haig. Decyzję „jak” podejmiesz po rozmowie z Carol.

Carol była blada, ale spokojna. Za to Jennifer wściekle zaciągała się papierosem.

— Carol, czemu żądałaś mojej obecności? — zapytał Haig. — Nie chciałaś rozmawiać z detektywem Petersem albo doktor Jennifer Whitaker. Prowadzimy sprawę wspólnie. Twój upór może kosztować życie twojej siostry.

Wzruszyła ramionami.

— Ona już nie żyje, Stan. Chris też. A ten pieprzony detektyw pobił Billa, a na mnie patrzył spode łba, jakbym ponosiła winę za porwanie, i potem wrzeszczał, wymyślał od histeryczek, więc jak takiemu ufać? Jej również nie ufam. Zaczęła od pocieszającego kłamstwa, że Annie nadal nic nie grozi. Paplała głupoty, że on ich nie zabije w dzień, ale dopiero nocą. Z Patrickiem się nie cackał. Patricka porwał

w dzień sprzed nosa ojca. Podobnie jak Annę. A ona, niczym katarynka na odpuście, wcióż, żebym się nie martwiła, bo wszystko pod kontrolą!

— Jest w szoku — wtrąciła Jennifer.

— Nie jestem w szoku! — krzyknęła Carol. — Szok przeżyłam, widząc zamknięty market Louise! Stan! Przy nich nie powiem ani słowa! Niech wyjdą!

— W porządku, Carol. Uprzedzam cię jednak, że zgodnie z procedurami naszą rozmowę będę nagrywał. — Haig zrozumiał, że nie przełamie oporu kobiety. Peters z Jennifer siedzieli nieporuszeni, milcząc. Jennifer ostentacyjnie zapaliła kolejnego papierosa.

— Nagrywaj. Tobie ufam. Jesteś swój. Nasz przyjaciel.

— Carol, tę nagrany rozmowę detektyw z panią doktor potem od słuchają.

— Potem mnie nie obchodzi. Mogą sobie słuchać. Byleby mi nie zadawali pytań.

— Okay, Carol — Jennifer wstała. — Chodź, Peters. Chyba ją rozumiem...

— A ja wcale — odburknął detektyw, wychodząc.

Haig włączył dyktafon. Przyniósł mikrofon bliżej Carol. W jej szeroko otwartych oczach nie dostrzegł przerażenia ani rozpacz. W jej oczach zastygła obojętność.

— Pytaj, Stan — zniecierpliwiła się. — Chcę to mieć za sobą. Wrócić do domu. I czekać.

— Na co czekać, Carol?

— Przecież wiesz. Na niego. Żal mi naszej mamy. Jej serce pęknie jak serce Hellen — odpowiedziała spokojnie.

— Żeby cię szlag, Carol! — krzyknął Haig. — Chętnie bym ci przyłożył, jak Peters Billemu! Dobra, niech i ciebie zabija! Mam to gdzieś! Ale nie mam gdzieś twojej siostry! Ani Chrisa! Ani tych wszystkich, których on jeszcze porwie i zabije, ponieważ ty okazałaś się tchórzliwą, słabą, godną politowania facetką, która nawet własną matkę olewa i łże, że jej jest biednej mamy żal, chociaż sama skazuje ją nieomal na pewną śmierć!

Poskutkowało. Rozpląkała się.

— I jeszcze mi się tu mażesz, kretynko, jakbyś nie rozumiała, że czas nam ucieka! Że jeszcze istnieje szansa, niewielka, ale istnieje, na odnalezienie twojej siostry i Bogu ducha winnego Chrisa żywych!

— Istnieje? Jezu, istnieje! Tobie wierzę... — Otarła szybko łzy.

— Jasne, kretynko! Zaczepnij haust powietrza. Policz do dziesięciu. Przestań histeryzować. Pomyśl dobrze, zanim odpowiesz. Nie pomyśl niczego. Każdy szczegół jest na wagę ich życia. Dlaczego Anna razem z Chrisem pojechali pod market Louise Duval?

Wzięła głęboki oddech. Nawet usiłowała się uśmiechnąć. Powiedziała, że Chris około dziewiątej wpadł na kawę, że Anna jak to Anna potraktowała go podle, kazała mu spieprzać i...

— Stan, gdyby nie ja, wyszedłby, więc to moja wina, bo z nią pojechał do marketu...

— Do rzeczy, Carol! — przerwał jej szeryf. — Wciąż nie wiem, czemu Anna pojechała z Chrisem do marketu.

— Bo Louise do niej zadzwoniła, żeby pilnie dostarczyć nasze rogate. No bo otworzyła market...

— Louise? Louise Duval? Jesteś pewna? — zapytał. Żyją obie od lat w ciągłym strachu. Musiało się jej coś pokręcić. Gdy wychodziłem po ósmej od Louise, była mocno nietrzeźwa.

— Oczywiście! Anna początkowo nie chciała odebrać, bo panicznie boi się każdego telefonu, sądząc, że to on. Ale to nie był on. Dzwoniła Louise Duval...

— Słyszałaś jej głos?

— Nie! Ale na komórce Anny wyświetliło się jej nazwisko... To musiała być Louise, inaczej Anna by z nią nie rozmawiała... Na początku nie spodobał się jej głos Louise. Że jakiś cichy i jakby bełkotliwie niewyraźny... ale zaraz Louise powiedziała jej, że jest na kacu i stąd taki głos... Bardzo potrzebowaliśmy kasy, Stan! Mama w szpitalu, a u nas w portfelu dwadzieścia dolców... Miałyśmy przygotowanych zaledwie sto rogalików, a kochana, dobra Louise chciała ich trzysta albo pięćset. W głowie mi się mąci, nie pamiętam, czy trzysta, czy pięćset, ale pamiętam, że za wszystkie obiecała zapłacić od razu. Chris powiedział, że samej Anny nie puści. Wybuchła awantura. Przecież wiesz, Stan, jak obsesyjnie Anna nie znosi facetów. Brzydzi się nimi. Kazała Chrisowi w naszej bryce usiąść na tylnym siedzeniu, byle nie obok niej... Dlaczego wyłączasz dyktafon, Stan?

— Carol, chcę zapytać o Annę. To równie ważne, także dotyczy zniknięcia twojej siostry, lecz akurat tego nie muszą potem słuchać Peters i pani psycholog... — Czuł na sobie zdumione spojrzenie Carol. Jednak to jedyna okazja, żeby dowiedzieć się, skąd ta obsesja Anny. Pan Jon? Leda Hening wyraźnie zasugerowała, że na niej nie

poprzestał. Louise Duval pragnie na nim zemsty za Rosę... Jasne, że pan Jon swoje pedofilskie zapędy może wyładowywać podczas podróży służbowych... Ale nie pod czujnym okiem Ruth. Pokoik dla słodkich dziewczynek zlikwidował, sprawdzaliśmy dom od strychu po piwnice... Zabierał je do samochodu i wywoził za miasto? Robił to z nimi w samochodzie? — Carol, widziałaś, czy Chris usiadł na tylnym siedzeniu?

— No nie... Od razu zajęłam się wyrabianiem ciasta...

— A gdyby Chris usiadł obok Anny?

— No coś ty, Stan! Anna dostałaby napadu szału! Im starsza, tym z nią pod tym względem gorzej. Kiedyś znosiła to lepiej.

— Kiedy, Carol?

— Kiedy byliśmy nastolatkami... Właściwie zachowywała się zupełnie normalnie. Odbiło jej nagle. Jeszcze tata żył... Przytulił ją do siebie, a ona zwymiotowała. No, i odtąd zrobiła się niedotykalska.

Jezu, zwymiotowała... Jak Rosa... Muszę zapytać o Emily... O Helen... Amelię...

Nie musiał, ponieważ Carol dodała:

— Hellen też trzymała się z daleka od chłopaków. Jeszcze na długo przedtem, nim zaczął ją prześladować Jonathan. Nawet ja z Annette troszeczkę się z niej naśmiewaliśmy.

— A Emily? Amelia? — zdołał z siebie wykrztusić. Więc ciebie ani Annette na pewno nie...

— Emily była zawsze cichutka, jakby przestraszona, nieśmiała, ale to przez to, Stan, że w którymś momencie zaczęła się okropnie jąkać... Rany, Stan! Chłopcy byli tak okropnie nachalni. Ciągłe usiłowali podmacywać co ładniejsze dziewczyny. A nie każda za podmacywaniem przepada. Tylko te, które się nie szanują. Ja też, jak Anna, waliłam podmacywalskich po łapskach! Dlatego w liceum skrzyknęłyśmy się, tworząc nasze kółko przyjacielskie. Żadnych imprez, dyskotek, ech, to były piękne czasy. Marzyłyśmy o czystej, idealnej miłości... — Carol znowu się rozplakała. — Były, minęły. Hellen nie żyje. A Annę pewno już zamordowano... I nieszczęsnego Chrisa... A ty mnie, Stan, wypytujesz o jakieś głupoty!

— Wszystko jest ważne, Carol. Ten, który was przez długie lata prześladował chrapliwym głosem, wiąże się z waszą przeszłością. Rozumiesz to?

Penny, przeoczyłaś nagłą chorobliwą nieśmiałość córki, nie dostrzegłaś w jej oczach rozszerzonych strachem źrenic, zlekceważyłaś

jąkanie się?! Co z ciebie za matka, Penny? Chryste, Haig, nie czepiaj się, pewnie poszła z Emily do psychologa, a ten powiedział, że to normalne u dziewczynek w okresie dojrzewania...

— Rozumiem... Przepraszam. Tak straszliwie boję się o Annę, Stan. Mijały godziny, a oni nie wracali. Tłumaczyłam sobie ich spóźnienie na rozmaite sposoby. A to, że Anna dorwała się do alkoholu i się spiła. A to, że ta durna Louise urządziła z okazji otwarcie marketu imprezę na zapleczu..

— Nie myśl o markecie, Carol — znów jej przerwał, obawiając się kolejnego napadu hysterii. I to nie tylko Carol. Sam czuł, że jeżeli natychmiast nie wyrzuci z głowy pana Jona, wybuchnie histerycznym płaczem. — Nie rozpraszaj się. Najważniejsze pytanie: o której godzinie odebrałyście telefon od Louise?

— Koło dziewiątej. Albo kilka minut po dziewiątej... Jezu, Stan, to naprawdę dzwoniła Louise!

— Wierzę ci, Carol. Dzwoniła Louise.

Wyszedłem po ósmej. Była nietrzeźwa. On do niej przyszedł. Kazał wywabić Annę z domu. Musiał jej zagrozić czymś strasznym. Czym? Tym samym, czym groził Tracy'emu. Zabiciem kogoś, kogo kocha tak mocno, że gotowa dla niego uczynić wszystko. Kogo tak bezgranicznie kocha Louise Duval? Swoje dzieci i wnuki. Kto do niej przyszedł? Pan Jon? Nie, pana Jona Louise się nie obawiała. To raczej pan Jon obawiał się Louise. Ktoś inny. Ktoś, kogo widok spowodował u niej szok. Kogo absolutnie nigdy o nic nie podejrzewała. Z dobrą, miłą, budzącą zaufanie twarzą, która nagle okazała się twarzą potwora. Zobaczyła tę twarz. A to oznaczało i dla niej wyrok śmierci. Czy domyśliła się, że zobaczenie tej twarzy oznacza i dla niej wyrok śmierci? Może. Może? Na pewno! Lecz ją obchodziło głównie ocalenie swojej córki, syna lub wnuka.

Odjechałem po ósmej. On się gdzieś już przyczaił, bo zobaczył mój wóz. Gdzie? Choćby za tą niezamieszkaną rudera obok domu Louise. Czekał, aż odjadę. Tak jak u Barkinsów, wcześniej dokonał wizji lokalnej. Bredzisz, Haig. Nie musiał. Jego wóz ani on sam nie wzbudzał niczyich podejrzeń. Po prostu wiele razy zajeżdżał do Louise na kawę. Albo na herbatę. Albo wypić sobie z nią drinka. Wiedział, że Louise właściwie nie korzysta z garażu. Parkuje bentleya na ulicy... I co dalej, Haig? Jak ty byś postąpił na jego miejscu? Przede wszystkim

zachowałbym nadzwyczajną ostrożność. Nikt nie powinien zobaczyć mojego wozu przed domem Louise, bo jest dzień. Schować go. Gdzie schować? To proste: wjechać do garażu Louise i zamknąć go. Tak to się odbyło. Ukrył swój wóz w garażu. Kazał Louise podjechać bentleyem pod market. Świadcówce zeznają, że widzieli wóz Louise z nią samą za kierownicą pod marketem. On położył się na tylnych siedzeniach, przykrył się kocem. Gdy przyjadą, szeptał swoim chrapliwym głosem, wyjdiesz do nich i powiesz, że policja zawiadomiła cię, że jednak jeszcze nie wolno otworzyć marketu... Co do dalej, Haig? Co dalej? Groźby, że jeśli piśnie lub zdradzi się mową ciała, więcej swego syna, córki lub wnuka nie zobaczy. Ale przecież Louise nie jest głupia! Wszystkie jej dorosłe dzieci mieszkają poza Nevadą! W takim razie powiedział jej, że ma współnika, który tylko czeka na telefon od niego. Czy się wystraszyła tego współnika? Tak, jeżeli wymienił jego nazwisko. Ale nie doktora Tracy'ego. Doktora Tracy'ego Louise by się nie przeraziła. Więc czyje? Również kogoś, kogo doskonale знаła i kto ją przeraził ostatecznie. Tak mogło być... Co kazał jej powiedzieć Annie i Chrisowi, żeby odjechali spod marketu? Anna zabrała ze sobą sto rogalik. Przepraszam was, kochani, nie cofam zamówienia, przyda się na jutro, ale mam mnóstwo pakunków w bagażniku, a i kasy zapomniałam; tobie zaś, Anno, zależy na pieniądzach. Pojedźcie za mną. Zostawisz u mnie w domu swoje pyszne wypieki, ja ci natomiast wypłacę całą sumę...

— Stan! Ty mnie w ogóle nie słuchasz!

— Ależ słucham cię, słucham. Dzwoniłaś wielokrotnie do Louise, ale u niej włączała się poczta głosowa.

— Jezus, że sto razy, Stan! Potem nie wytrzymałam, zbiegłam do Billa, kazałam mu się połączyć z Chrisem! On również nie odpowiadał. Potem...

— Starczy, Carol. Nie mam więcej pytań. Powinnaś odpocząć.

— Nie chcę odpoczywać, kiedy ten potwór morduje moją siostrę!
— krzyknęła.

— Carol, zastanów się, proszę. Porwał dwoje dorosłych ludzi. W tym uzbrojonego, doświadczonego policjanta. To psychopata, Carol. On doświadcza satysfakcji z zabijania jedynie wtedy, kiedy zabija powoli, bardzo, bardzo powoli. Jeszcze ich nie zabił, operacja porwania Anny i Chrisa zajęła mu sporo czasu. Nie sprawiłoby mu

najmniejszej przyjemności podcięcie im gardła. Za szybka i za łatwa śmierć, bez jęków ofiar, bez zadawania im potwornego bólu, bez obserwowania długiej agonii...

— Przestań, przestań! Nie mogę tego słuchać!

— Musisz. Nie podoba mi się twoja zrezygnowana obojętność. Twoje pieprzone gadanie o czekaniu na niego, twoje histeryczne krzyki. Myśl o nim z nienawiścią. Wyobrażaj sobie, jak pochyla się ze skalpelem w dłoni nad nagim ciałem twojej siostry, jak jej tym skalpelem nacina skórę, jakby nim pieszcząc, bo to dla niego jest pieszczota...

— Ty pojebany zbrodźcu! — Carol poderwała się z krzesła i rzuciła na Haiga z pięściami.

— Doskonale, Carol — roześmiał się, przytrzymując jej dłonie. — Nie potraktuję tego jako napaści na szeryfa. Już nie zamierzasz czekać, żeby serce twojej matki pękło z żalu jak serce Hellen?

— Żeby cię cholera, porąbańcu! Nie! Macie go dopaść! Chcę wiedzieć, kto nim jest naprawdę! Bo to nie Jonathan! Jonathan to głupi, nędzny pokurcz, zbyt słaby, żeby porwać Annę i glinę! Cholera, Stan? Więc kto?

— Nie wiem jeszcze, Carol — przyznał Haig. — Ale sądzę, że niedługo już będę wiedział. Bardzo mi pomogłaś.

— A ty mnie. Więcej się nie rozkleję, Stan. Wracam do domu. Zapomniałam zabrać komórkę. Mama na pewno już wiele razy do nas dzwoniła, niepokoi się, że nie odbieramy... Stan! Oni mają jakąś szansę?

— Chyba tak, Carol...

— Chyba?

— Moim zdaniem Jennifer Whitaker ma rację. On poczeka z tym do nocy. Założę się, że teraz siedzi w swoim mieszkaniu i czeka na lunch, jaki przygotowuje mu żona. Powiniennem do nocy zdążyć.

— Zdązysz, Stan. Ja w to wierzę. Zdązysz.

3.

Peters od razu rzucił się na dyktafon.

— Zostaw. Później sobie z Jennifer odsluchacie — powiedział stanowczo Haig.

— Rzuciło ci się na mózg, koleś? Takiś ważniak, że mi będziesz gadał, co mam robić? Cholera, Jennifer! Powinniśmy sami to głupie, uparte babsko przepytąć! On niczego z niej nie wyciągnął!

— Sądzę, że wyciągnął. Jemu ufała. Nam nie. — Jennifer uśmiechnęła się do Haiga.

— On też jest glina! — krzyknął Peters.

— Ale to ty oboiście, nie on, zapewniałeś siostry Adams, że są całkowicie bezpieczne. Nie były. Zawiodłeś Carol. Trudno, żeby ci ufała. Ja również popełniłam podstawowy błąd. Zaczęłam od pocieszenia, że Anna na pewno żyje. Carol nie oczekiwała pocieszeń.

— A czego, do diabła?

— Prawdy, Peters. A prawda jest taka, że nie mamy bladego pojęcia, czy Anna z Chrisem wciąż żyją. Tak jej należało powiedzieć. Że nie wiemy. Bo nie wiemy, Peters. Siedziała przed nami kompletnie załamana kobieta, która przeszła przez piekło oczekiwania na powrót siostry. Ty zasypałeś ją gradem pytań, a ja idiotycznie pocieszałam: „Kochana Carol, wszystko pod kontrolą, twoja siostra żyje, bo nie zdążył jeszcze nikogo zabić”. Słyszysz, Peters, jak to brzmi? Nie zdążył jeszcze nikogo zabić? Więc się nie ciskaj. Skoro Haig życzy sobie, abyśmy przesłuchali nagranie później, musi mieć istotny powód... Powiesz nam, dlaczego nie teraz, a później, Stan?

— Później, Jennifer! Peters! Znaleźliście toyotę Anny?

— A ten znowu ze swoim pieprzonym „później”!

— Znaczy, nie znaleźliście. Jennifer, pytania do ciebie. Uprzedzam, że cię zaskoczą. Czy molestowana seksualnie dziewczynka zdoła kiedykolwiek o tym zapomnieć?

- Mówisz o Carol?
- Nie o Carol! Nieważne, o kim mówię konkretnie! Zdoła czy nie?
- Zależy, w jakim wieku była molestowana i jak bardzo. Czy otrzymała po molestowaniu pomoc psychologa?
- Wiek między osiem a najwyżej czternaście lat. Nie otrzymała pomocy. Bardzo molestowana. Z penetracją pochwy.
- Jezu, Stan...
- Odpowiedz!
- Koles! Ty wiesz o czymś, czego my nie wiemy — czy Petersa błysnęły groźbą. — Co przed nami ukrywasz? Gadaj mi tu, ale już, kto i jaką dziewczynkę molestował?
- Na pewno nie teraz. Jennifer, odpowiedz.
- Stan... Powinieneś powiedzieć. Tej dziewczynce należy pomóc, otoczyć opieką lekarską, złożyć doniesienie do prokuratora — poparła Petersa pobrała Jennifer.
- Ale ze mnie idiota! Wskakiwać ze swoimi pytaniami w obecności Petersa!
- Mogłem cię, Jennifer, odwołać na bok i nie byłoby sprawy — powiedział z wyrzutem. — Przyznaję, wiem o czymś, o czym wy nie wiecie. Muszę to sam sprawdzić. Sam, zrozumcie, sam. Inaczej nie dowiem się WIĘCEJ... Dałem słowo honoru...
- Pieprzę twoje słowo honoru! — wybuchnął Peters.
- Poczekaj, Peters... Chyba rozumiem...
- Gówno rozumiesz!
- Poczekaj, Peters... Haig jest stąd, jemu ufają... Stan, czy twoje pytania odnoszą się do terażniejszości?
- Do przeszłości, Jennifer. Dałem słowo honoru pewnej nie-szczęśliwej matce, że jeżeli odkryję prawdę, nazwisko jej dorosłej córki na zawsze pozostanie anonimowe. Peters, gdybyś miał córkę, którą ktoś kiedyś tak okrutnie skrzywdził, chciałbyś, żeby ta straszna prawda o tym, co ją w dzieciństwie spotkało, została ujawniona? Nawet gdybyś znał sprawcę lub domyślał się, kim jest, złożyłbyś na niego doniesienie do prokuratury? Naraziłbyś jedyną córkę na przesłuchania? Na pytania obrońcy sprawcy w rodzaju, a czemu milczała przez tyle lat? Skoro milczała, powód milczenia jest jeden: zmyśliła wszystko od a do zet. Czemu zmyśliła? Czemu oskarżyła? Mój klient jest bogaty, mój klient twierdzi, że szantażowała go rzekomym brutalnym molestowaniem, domagając się za swoje milczenie pięknej sumki. To

cwana szantażystka, Wysoki Sądzie. Zwracam uwagę ławy przysięgłych, że ta młoda kobieta, mimo swoich traumatycznych doświadczeń, nie żywi uprzedzeń do facetów ani do seksu. Wyszła za mąż. Urodziła dziecko. Czyli prowadzi normalne życie. Jak myślisz, Peters? Wygrałaby czy przegrała? Starczy ci wyobraźni, żeby przewidzieć reakcję tak zwanej opinii publicznej? Te wyzwiska, obelgi? A bulwarowe media? Co wówczas z twoją jedyną, ukochaną, zaszczowaną przez wszystkich córką? Z jej mężem, który zewsząd słyszy, że jego żona to cwana szantażystka? Co z dzieckiem, które wytykają palcami, krzyczą za nim: „Twoja matka to cwana dziwka”? Co...

— Dobra, starczy! — przerwał Peters, wymachując gwałtownie rękoma. — Pytaj, ale pod jednym warunkiem, bo ci tak łatwo nie odpuszczę, koleś. Sprawa molestowania ma związek z naszym potworem?

— Tego akurat do końca nie wiem! Właśnie chcę to sprawdzić. Aby sprawdzić, potrzebne mi wyjaśnienia Jennifer.

— Dobra, ta twoja nieszczęśliwa matka pozostanie anonimowa. Chryste, gdybym miał córkę, chciałbym, aby niczego nie pamiętała! To jak jest z tym pamiętaniem, Jennifer?

— Po aż takiej traumie u dziecka czasem włącza się mechanizm obronny. Wypiera ze świadomości lub utrzymuje poza nią myśli i wspomnienia o tym, co je spotkało — odpowiedziała nie bez wysiłku, nerwowo szukając papierosa.

— Czasem? Więc nie zawsze? — zamiast Haiga zapytał wstrząśnięty Peters.

— Są dwie teorie... Według Freuda...

— Nie wymądrzaj się! Mam w tyłku teorie! Taki pamiętający dzieciak przecież cierpi! Przeżywa horror, koszmar! Pewno wariuje od tego! Wstydzi się powiedzieć, co mu drań zrobił!

— To bardziej skomplikowane, Peters. Najczęściej u ofiary występuje zespół stresu pourazowego, wyrażający się zaburzeniami osobowości, spowolnionym rozwojem umysłowym, otępieniem, nadpobudliwością oraz wieloma innymi objawami. Owszem, bywa, że dziecko się wstydzi, za żadne skarby świata nie zwierzy się przed nikim. Bywa też, że molestowanie uznaje za coś normalnego lub dochodzi do wniosku, iż nastąpiło z jego winy. Te skrzywdzone dziewczynki dorosły, Peters. Stały się kobietami. Ich szczęście, jeżeli

teoria Freuda na nich się sprawdziła. W co osobiście wątpię.

— Dlaczego używasz liczby mnogiej, Jennifer? Mówiłem o jednej dziewczynce. — To przekłete drętwienie warg, karku, bezwład nóg. Zapanować nad twarzą! Po cholere pytałem?

— Stan, po prostu się przejęzyczyłam i tyle — wzruszyła ramionami Jennifer, uciekając spojrzeniem na ścianę. — Mam nadzieję, że moje wyjaśnienia pomogą tobie i tej nieszczęśliwej matce.

— Zaraz, zaraz! Powiedziałeś, koleś, że to, co zamierzasz sprawdzić, odnosi się do przeszłości. Czyli ma bezpośredni związek z prowadzonym śledztwem?

— Ma... — Na rozwinięcie pełnego zdania Haigowi nie pozwoliły sztywne wargi oraz uścisk w gardle.

— W takim razie, koleś, nie wiem, czy...

— Cholera, Peters! — przerwała Jennifer, uparczywie przyglądając się ścianie. — Daj mu wreszcie spokój! Gdy się dowie, poinformuje nas. Im szybciej się dowie, tym lepiej! Aleś ty upierdliwy! Zabierzmy się za nagranie rozmowy z Carol.

— Zamiast mi dyktować, co mam robić, uderz się w piersi, szanowna pani doktor! Twoja mylna ocena sytuacji, że facet słodziutko przeczeka dzionek, doprowadziła do kolejnego dramatu! Ponosisz odpowiedzialność za porwanie!

Jennifer oderwała oczy od ściany. Zasztyletowała nimi Petersa.

— Okay. Pomyliłam się. Za co mnie nie skażą. Ciebie natomiast, Peters, czeka dyscyplinarka, jeżeli prawda wyjdzie na jaw.

— Cholera, kobieto! Jaka prawda?! Zwariowałaś? Uważaj, bo tracę panowanie nad sobą! Omal nie trafił mnie zawał, gdy dowiedziałem się o tej akcji!

— Okay, Peters. Może wygodniej byłoby dla ciebie, gdyby cię ten zawał trafił. Ja się pomyliłam. Ty popełniłeś dwa kardynalne błędy, wynikające z działania wbrew wszelkim procedurom. W dodatku świadomie. Z premedytacją zrezygnowałeś z założenia podsłuchów na komórki Miltonów, siostr Adams i doktora Tracy'ego.

— Cholera, przecież wiesz dlaczego! — jęknął Peters.

— No właśnie, wiem. Haig też wie.

— I nikt poza wami! Doniesiecie na mnie?

— Nie musimy, Peters — ciągnęła zimno Jennifer. — To będzie pierwsze pytanie, jakie ci zadadzą ludzie z wydziału wewnętrznego.

Gdybyś wystąpił do sędziego o nakaz na założenie podsłuchów, znalibyśmy nie tylko głos faceta, lecz i treść jego rozmowy z Anną.

Peters sapnął. Szarpnął bródkę.

— Gonisz w piętkę, Jennifer. Usprawiedliwiasz swoją własną niedołność. Pewno i cały ten twój portret psychologiczny jest do dupy. Zaraz się dowiemy, kto rozmawiał z Carol. Dlatego szanowny koleś zostanie.

— Carol była w szoku, szanowny superdetektywie stanowy. Jej zeznania uznaję za niewiarygodne. Mnie uwierz. Tobie nie.

— Grozisz mi?

— Nie. Uświadamiam ci fakty. Przy świadkach pobijeś Billa. Na Carol wrzeszczałeś, że histeryczka, kretynka, że ma odpowiadać na moje pytania, zapominając o wyłączeniu interkomu. Kilkunastu gliniarzy słyszało twoje wrzaski. Zeznania Carol są niewiarygodne. Haig, na co zwabiono Annę Adams?

— Na rogaliki. Carol powiedziała, że zamówienie złożyła telefonicznie Louise Duval, która prosiła, aby je zaraz przywieźć do marketu.

— Przecież zawiadomiliśmy ją, że dopiero od jutra może otwierać market! — krzyknął Peters.

— Przesłuchaj moją rozmowę z Carol. To nie Louise, Peters. To on.

— Skąd taka pewność, koleś? Łatwo sprawdzić. Zadzwońę po prostu do Louise.

— Nie odbierze komórki — powiedział Haig.

— Naprawdę zadziwiasz mnie, koleś. Dzwonię.

— Dzwon. Odpowie ci poczta głosowa. Że abonent niedostępny. Albo w ogóle nie odpowie.

— Cholera! W co ty ze mną pogrywasz?

— W nic nie pogrywam. Louise wczoraj nas odwiedziła. Znaczący moją teściową. Skarżyła się, że zbyt ufa ludziom, nie zamykając swego bentleya. Ktoś ukradł z wozu jej torebkę. Na szczęście miała w niej jedynie komórkę i portfel z pięćdziesięcioma dolarami. Prawo jazdy, karty kredytowe trzyma w schowku, więc mała strata — skłamał Haig. Peters nie może się TERAZ dowiedzieć, że i Louise stała się kolejną ofiarą. Przeszkodziłby mi w śledztwie. Narobiłby rabanu, odkrywając ukrytą w garażu Louise toyotę. Ma panować cisza. Facet musi sądzić,

że ciągle szukamy tej toyoty. W jednym się chyba Jennifer nie myli. Że zabije ich nocą. Pod warunkiem że go nie rozdrażnimy.

— Chryste, koleś... Więc to on... Ale dlaczego akurat jej ukradł torebkę?

— Ty głupcze — odezwała się Jennifer. Zbladła. Rozszyfrowała moje łągarstwa. Już wie, że dopadł też Louise. — Bo jedynym sposobem zwabienia Anny lub Carol było zamówienie na ich rogaliki od Louise Duval. Śledził ją. Wiedział, że nie zamyka wozu. Należało, superglino, założyć podsłuchy. Bekniesz. Wydział wewnętrzny ci się kłania.

— Dostały całodobową ochronę! Wydębilem od brata ekspresowe nakazy rewizji *in blanco*! Nie beknę! Martw się o swój tyłek! Mój, jak widzisz, siedzi sobie wygodnie na krześle Haiga!

— Do czasu, Peters, do czasu! — zadrwiła Jennifer. — Zaraz go poderwiesz. Bo twój czas się kończy, o ile Haigowi nie uda się twego tyłka ocalić. Co należało zrobić natychmiast po zniknięciu Anny i Chrisa? Zawiadomić swego ukochanego braciszka, prokuratora stanowego, a także sędziego i policję stanową. Nie wymawiaj się, że na skutek nerwów wyciekły ci ze łba procedury. Postanowiłeś poczekać, Peters. Najpierw, aż znajdziesz toyotę Anny. Dotychczas jej nie znaleziono. Więc postanowiłeś czekać nadal. Do czasu aż nie trafisz na jakieś konkretne ślady, dowody, którymi udowodniłbyś bratu, że mordercę masz jak na widelcu. Chociaż nie zbliżyłeś się do niego nawet o jeden maleńki kroczek. Wręcz przeciwnie. Oddaliłeś się o całe mile. I musiałbyś powiedzieć o tym swemu bratu, który już nie mógłby cię dłużej chronić przed FBI. FBI odebrałoby ci sprawę, Peters. To właśnie twój drugi, kardynalny błąd, toteż przestań odstawiać ważniaka. Wątpić w lojalność Stana. Wypytywać go jak oskarżonego, co wie. Sam ci powie, lecz wcześniej musi się upewnić, czy to, co wie, jest tym właściwym tropem. Prawda, Stan?

— Tak. Jezus, czas mi ucieka...

— Stan. Moja rada. Zablokuj w głowie tamte myśli. Wiesz, jakie...

— Tak. Żeby cię cholera, Jennifer! Prawie zdążyłem zapomnieć.

Prawie...

— Dasz radę?

Milczał. Nie mógł poruszyć zdrętwiałymi wargami. Emily budząca się z krzykiem. Obejmij mnie, obejmij mocno! Kochaj się ze mną! Zaraz, natychmiast kochaj się!

— Cholera, gadacie szyfrem? Spadaj, koleś! Bo się rozmyślę!

4.

Te skrzywdzone dziewczynki dorosły. Stały się kobietami.

Użyła liczby mnogiej.

Wspomnienia muszą do nich wracać. Przynajmniej od czasu do czasu. W koszmarach sennych. W napadach lęku. W fobiach. W obsesjach... Do ciebie, Emily, wracały.

Do nich również.

Do nich.

Nie przejęczyła się. Natychmiast pojęła, że przyjacielska grupka dziewcząt skupiona wokół Hellen nie powstała przypadkowo. Że to je kiedyś w dzieciństwie skrzywdzono.

Masz rację, Jennifer, muszę tamte myśli zablokować. Obiecałem Carol, że zdążę do nocy.

Zdążysz, Stan. Ja w to wierzę. Zdążysz.

Postaram się, Carol. Postaram się zdążyć zatrzymać ten pochód śmierci, w którym teraz podąża również Louise Duval, Anna i Chris.

Walną głową o kant deski rozdzielczej. Ból.

Za słaby. Mocniej. Ile sił, Haig.

Ból rozszedł się po całym ciele, targnął każdym nerwem.

Teraz dobrze.

Otarł krew ściekającą mu z włosów poprzez czoło na oczy. Ból trwał.

Bardzo dobrze.

Rozejrzał się po policyjnym parkingu.

Świetnie. Wszystkie wozy w terenie. Szukają toyoty Anny. Nie znajdują.

Ruszył, co chwila sprawdzając w lusterku wstecznym, czy Przepadkiem Peters nie kazał go śledzić. Na wszelki wypadek skręcił w Flowers Street i dopiero z niej wyjechał na Roosevelt Avenue. Nie miał ogona. Nie musiał kluczyć. Zbliżając się w okolice slumsów, usłyszał

odległe wycie, jakby syreny policyjnej. Serce załomotało strachem. A jeśli się myłę? Jeśli nie tu ukrył toyotę? Zwolnił. Wycie ucichło.

Bez paniki, Haig. To jakiś niecierpliwy taksówkarz kogoś otrąbił...

Z daleka spostrzegł zaparkowany przed domem wóz Louise Duval. Tylko że teraz stał na chodniku, nie na jezdni. Garaż natomiast był zamknięty. Wysiadł. Dotknął maski bentleya. Zgadza się, zimna. Tego nie przewidziałeś, draniu. Że tu wrócę. Jesteś przekonany, że skupiliśmy się na poszukiwaniu toyoty Anny na jakimś odległym pustkowiu, gdzieś daleko za miastem, bo wiemy, iż nie ośmieliłbyś się w biały dzień przed marketem obezwładniać dwojga dorosłych ludzi i targać ich nieprzytomnych do swego wozu. Przecież nie nosisz czapki niewidki, zostałbyś natychmiast zauważony. Rozumujesz tak: gdy odnajdziemy toyotę, wyślemy do niej ekipę techników, skrupulatnie badającą ślady po tobie, bo to dla nas najważniejsze, priorytetowe, te ślady...

Pieprzysz, Haig. Przecież on korzystał z komórki Louise... Liczy się z tym, że Carol powie o telefonie Louise do Anny, a wtedy my pojawimy się natychmiast tutaj, odkryjemy i toyotę, i to że posłużył się Louise. Że ona też zniknęła... A to by popsulo wszystkie jego plany... Cholera, myśl, Haig. Jakbyś postąpił na jego miejscu? No jak?

Siedziałbym gdzieś zaczajony w pobliżu domu Carol. Nie, źle! Muszę wiedzieć dokładnie, co do minuty, kiedy Carol po przesłuchaniu opuszcza posterunek. Wcześniej obliczyłem dokładnie czas przejazdu z posterunku do jej domu. Dziesięć minut. Mam taką dobrą, miłą twarz. Nikt nigdy się nie domyśli, że to ja sobie siedzę i obserwuję. Widzę cię, Carol. Wsiadasz z tym głupkiem, Thompsonem, do policyjnego vana. Głupek włącza koguta. Doskonale. W domu znajdziesz się za pięć minut. Za siedem zadzwonię do ciebie. Odbierzesz, Carol, bo czekasz na telefon od chorej matki. Odbierzesz i będziesz słuchać mego chrapliwego głosu, umierając z przerażenia. Bo może coś ci powiem o twojej kochanej siostrzyczce. Zgadłaś, Carol. Powiem. Jeżeli natychmiast nie odwołasz zeznań, twoja Anna umrze w mękach. Powiesz im, że nikt do niej nie dzwonił. Że Anna to pijaczka, nałogowa alkoholiczka. Że skończył się jej alkohol, wpadła w furję i wybiegła z domu kupić wódę. Wsiadła w toyotę, a temu Chrisowi w ostatnim momencie udało się z nią zabrać. „Zmyśliłam bajeczkę o telefonie od

Louise. Przecież doskonale wiedziałyśmy, że ma zamknięty market”, powiesz i się rozszlochasz. „Usiłowałyśmy z mamą utrzymać w tajemnicy nałóg siostry. Piła już w liceum”. Pośpiesz się, Carol. Od ciebie zależy życie Anny i tego gliny, który ze strachu sfajdał się w gacie. Biegnij, ile sił w nogach, do swego nowego anioła stróża. Każ się na sygnale zawieść do tych dupków, Haiga i Petersa...

Chryste, to nie taksówkarz! To Thompson wioził Carol na sygnale... Ale po takim czasie? Minęło dobre pół godziny na wyklócaniu się z Petersem... Nie mogłeś zwlekać, draniu. W takim razie zaraz pojawi się tu Peters... Trzeci raz błędu nie popełni. Jennifer nie uda się go zatrzymać. Carol, przykro mi, nie zdążę...

Lecz uliczka z opuszczonymi ruderami była cicha, zbyt cicha. Szelest liści, miauczenie kota, skowyt psa w chaszczach. Wstrzymał oddech. Nasłuchiwał.

Cicho.

Omiał nie powalił go z nóg dźwięk jego własnej komórki. Jennifer. Jej pomniejszona na wyświetlaczu twarz była jak stężała, gipsowa maska.

— Stan, musisz o tym wiedzieć. Carol odwołała zeznania. Peters wpadł w amok. Usiłuje z niej wycisnąć, dlaczego to zrobiła. A ona szlocha i powtarza, że chciała ochronić siostrę pijackę.

— Uwierzył?

— Grozi jej aresztem za składanie fałszywych zeznań.

— A Carol?

— Bądź spokojny. Carol nie pęknie. Opowiedziała, szlochając, całkiem zgrabną, przekonywającą bajeczkę. Będzie się tej bajeczki uparcie trzymać. Nasz potwór czymś skutecznie Carol nastraszył, to jasne. A Petersowi brak narzędzi, żeby cokolwiek sprawdzić. Mści się na nim niezakończony podsłuchów.

— A jeżeli Peters mimo bajeczki Carol zechce sprawdzić pierwszą wersję i na przykład zadzwoni do Louise?

— Nie zadzwoni — na wyświetlaczu usta Jennifer drgnęły w ironicznym uśmiechu. — Musi chronić swój tyłek przed tymi z wewnętrznego. Jemu ta bajeczka bardzo odpowiada. Wrzeszczy na Carol dla zachowania pozorów. Rób swoje, Stan, okay?

— Okay, Jennifer. Dzięki — powiedział do wyłączzonego telefonu. Kolana mu dygotały, gdy podchodził do garażu.

Na zakurzonym betonowym podjeździe dostrzegł ślady wielu różnych opon. I ślady po wielkich buciorach. Śladów po innym obuwiu było brak.

Cholera, nie rozumiem... Zastawiłeś nam wizytówki? Ślady swoich buciorów i kilka różnych bieżników opon przeróżnych samochodów. Ślady po buciorach olewasz, zostawiłeś ich bez liku w brzezince Barkinsów i na trawniku Briana. Ale ślady opon?

Sfilmował je kamerą komórki. Przyglądał się im uważnie, w napięciu. Naliczył bieżniki trzech wozów.

Trzy, w tym jeden twojego samochodu, draniu. Ciekawe, dlaczego nie usunąłeś tak istotnych śladów? Choćby po swojej bryce? Dlaczego w ogóle zostawiłeś wszystkie? Ten bieżnik wygląda mi znajomo: chyba od bentleya Louise. Ten, prawie łysy, to od toyoty Anny. Ten najszerszy, głęboki ślad, jakby od nowiuteńkiej opony. Od wozu długiego przynajmniej na około pięć metrów... Takiś łaskawy, że zostawiasz nam swoją wizytówkę? To chwila moment przefaksować zdjęcie bieżnika do zakładu kryminalistyki, a tam też raz-dwa i już określą markę opony, takiej nowiutkiej zwłaszcza i przypiszą ją do marki samochodu... No i cię dopadamy, draniu. Zabrakło ci czasu na machnięcie szczotą? Na mój rozum, nie powinno tu być ani jednego śladu po żadnym samochodzie. Skąd taka nieostrożność? Pewność, że mimo odwołania przez Carol zeznań, nie zechcemy sprawdzić jej pierwszej wersji? Że się tu nie pojawimy? Nie masz takiej pewności. Możesz jedynie liczyć, że odwołanie zeznań przez Carol narobi zamieszania, spowoduje konsternację, opóźni znacząco przyjazd policji, tym bardziej że poszukiwania toyoty zakończą się niepowodzeniem.

Cholera, ty draniu! Uwzględniłeś w swoich planach, że tu w końcu przyjedziemy! Zostawiłeś wszystkie ślady celowo! Nie mogłeś usunąć śladów po bentleyu ani po toyocie, nie usuwając własnych! A te miały zostać. Przyjechałeś nieswoim wozem. Cudzym. Czyimś, na kogo zamierzasz skierować nasze podejrzenia. Jakie to cudownie proste! Macie wóz faceta, macie i jego. A jakże piękne odciski palców wszędzie. A tu, proszę, włos Anny. Komórka nieszczęsnej Louise. Kabura Chrisa. Tak, to on, wasz potwór. Patrzenie, jak się ślini, jak nieudolnie się broni, udając, że dowody mu podrzucono, przecież jest znanym, ogólnie szanowanym facetem.

Może tak, a może inaczej. Czy przypadkiem nie za bardzo ponosi cię wyobraźnia, Haig? Wyluzuj.

Sfilmował cały podjazd, a potem również bramę garażu, zamykaną na kłódkę. Nie na pilota. Zwykła brama. Wahadłowo podnoszona. Bardzo dobrze, Louise, że nie fundnęłaś sobie bramy otwieranej pilotem. Kłódkę po prostu wyrwę... o! Nawet nie muszę tego robić. Jest niezamknięta. Sfilmujemy ją. Dobra. Teraz założę rękawiczki, chociaż znając cię, draniu, wiem, że nie znajdziemy tu twoich paluchów... Dobra, kłódkę odkładam. Naciskam na bramę... Podnosi się... I co ty na to, draniu! Jest toyota! Tyle że krzywo zaparkowana... Sfilmujemy twoje nieudolne parkowanie... Kiepski z ciebie kierowca... Louise, nie dbałaś o porządek w garażu... Świetnie odcisnięte ślady znanych nam buciorów. Sfilmujemy je. Zaraz, coś mi tu nie pasuje... — Haig rozglądał się długo po garażu. — Brak śladów nowiutkiego bieźnika. Nie wjeżdżałaś do garażu? Nie chowałaś w nim wozu, którym przyjechałaś? Ale wjechałaś nim na podjazd...

Wyszedł przed dom.

Dobra, prześledźmy wszystko od początku. Zostawiłem podpita Louise około dziewiątej. On siedział zaczajony za rudą obok, bo zobaczył mojego mustanga. Tak mogło być, ale nie musiało. Mógł na przykład zajechał do Louise pięć minut po mnie. Nie miałby wówczas powodu ukrywać się w chaszczach za rudą. Wjechał na podjazd. Z okien domu Louise podjazdu nie widać. Czyli nie chciał, żeby Louise zobaczyła wóz, którym przyjechał. Dlaczego nie chciał? Może dlatego, że Louise знаła doskonale jego właściciela? I ciebie również znała, draniu! Jedyny logiczny, niekoniecznie słuszny wniosek, raczej żałosne, wręcz karkołomne domniemanie, brzmi tak. Wóz należał do osoby, której Louise nienawdziła. Gdyby go dostrzegła przed swoim domem, nie wpuściłaby cię, nawet z twoją dobrą, miłą, budzącą powszechne zaufanie twarzą... Kogo, poza panem Jonem, Louise aż tak nienawdziła? Kogoś jednak musiała aż tak nienawdzić i ty o nim wiedziałeś, draniu. Więc założmy, że tak to się odbyło. Nie zobaczyła wozu, którym przyjechałaś. Dlatego wpuściła cię bez obaw. Potem kazałaś jej zadzwonić do Anny... Cholera, czemu akurat do Anny, a nie do Carol? Wiedziałaś to czy wyciągnąłeś od przerażonej kobiety, u kogo przewaźnie zamawia rogałe do marketu? Nieważne.

Belkotałaś tak, Louise, że niewiele brakowało, aby Anna przerwała połączenie. Zorientowałaś się, że ci nie ufa, szybko naplotłaś o

potężnym zamówieniu i że zapłacisz z góry... Dobra. Tak to się mniej więcej odbyło, tego jestem pewien. Anna z Chrisem spod marketu pojechali za tobą. Pod twój dom... Więc tu musiał was obezwładnić. Ale jak? Anna z Chrisem w toyocie. Louise w bentleyu. Naprawdę, Haig, nie rozumiesz jak? To proste. Louise zaparkowała i wtedy uspił ją gazem. Anna z Chrisem czekali w toyocie, aż Louise wysiadzie. Nie wysiadała. Zaniepokojony Chris powiedział do Anny: „Poczekaj, sprawdzę, czemu nie wysiada”. Albo coś takiego. Poszedł do bentleya. Nie zdążył krzyknąć. Osuwał się na oczach Anny. Upadł na jezdnię. Co wówczas zrobiłaś, Anno? Są dwie możliwości. Albo pomyślałaś, że Chris zasłabł, i pobiegłaś mu na pomoc, co by ułatwiło zadanie facetowi — rozprysk gazu i zwalasz się, Anno, obok Chrisa. Albo nadal tkwiłaś jak sparaliżowana za kierownicą toyoty. I wtedy to on wysiadł. Zbliżał się do ciebie, tak sędzę, z uśmiechem, zaś ty, Anno, zagubiłaś się całkowicie, przecież jakby od zawsze znałaś jego dobrą, miłą, wzbudzającą zaufanie twarz. Skamieniałaś, sparaliżowało cię, niczego nie rozumiałaś, zapadłaś się w ciemność. Dobrze, Haig. Tak to się mniej więcej odbyło. Wziął cię na ręce? Zaniósł do swego wozu, zaparkowanego na podjeździe? Czy wpakował do bentleya? Wpakował do bentleya. Chrisa też. Za daleko by mu było taszczyć dwa bezwładne ciała na podjazd. Więc do bentleya. Nim podjechał na podjazd. Ustawił się drzwi w drzwi obok swego wozu. Chwila i już leżeliście w jego samochodzie. Czy tak było, draniu? Wiem, że ja na twoim miejscu właśnie tak bym zrobił... Potem najpierw wycofałeś na ulicę przed dom bentleya, a po chwili swój wóz. A jeszcze później wjechałeś toytotą do garażu. Opuściłeś bramę. Śpieszyłeś się, dlatego jej nie zamknąłeś. To nic, że uliczka jest jak wymarła, że najbliższa zamieszкана rudera oddalona jest o dobre trzysta metrów. Musiałeś jeszcze usunąć ślady swego pobytu w bentleyu. Nie zostawiłeś tam swoich paluchów, to jasne. Ale to, czym byłeś przykryty... Przerzuciłeś szybko to coś do swego wozu. Reszta — mało istotna. W toyocie powinny zostać ślady po Annie i Chrisie. W bentleyu po Louise. Jeszcze sprawdzasz: komórka Louise w twojej kieszeni. Kabura Chrisa również. Jakaś pamiątka po Annie też. Wsiadasz. Odjeżdżasz. W sobie znane miejsce, gdzie nocą ich zabijesz. Masz rację, Jennifer, nocą. Zbyt mało czasu, aby ich zabijać teraz. Więc w tej swojej, doskonale

zakamuflowanej kryjówce, wiązesz swoje ofiary. Kneblujesz im usta. Cieszy cię myśl, że gdy oprzytomnieją, zaczną umierać z przerażenia. Żałujesz, że tego nie będziesz widział. Obiecujesz sobie, że potem oni będą żałować, iż jednak z tego przerażenia nie umarli, ponieważ śmierć, jaką im zgotujesz i jaką pewno już obmyślasz, przyniesie im takie cierpienia, że będą cię błagali, abyś wreszcie ich dobił.

Gdzie ta twoja kryjówka, draniu? Przeszukaliśmy wszystkie okoliczne farmy, wszystkie okoliczne ruiny, bo zakładaliśmy, że musiałeś wywozić chłopców za miasto, że gdzieś poza miastem urządziłeś swoją rzeźnię, laboratorium, pozwalające ci na preparowanie skalpu Patricia i wycięcie serca Erica. No gdzie? Jesteś stąd. Działasz na pewniaka. Nie możesz zbyt długo pozostawać poza swoim domem, nawet nocą, ponieważ wzbudziłbyś podejrzenia rodziny. Któryś z sąsiadów mógłby cię przyuważyć, jak wyprowadzasz wóz z garażu albo przemykasz chyłkiem do niego, a wówczas nie pomogłaby ci nawet twoja miła, dobra, budząca powszechnie zaufanie gęba! Od porwania Erica szuka cię niemal całe miasto! Cholera, więc może nie za miastem! Gdzieś, gdzie się najmniej spodziewamy... W Nevadzie jest wiele domów zbudowanych na rozległych siedliskach, jak na przykład te Barkinsów, Miltonów czy Jacka Browninga, otoczone starymi, rozrosłymi drzewami... Przynajmniej kilkanaście takich posiadłości. Jednak je wszystkie przeszukaliśmy od strychów po piwnice...

Haig czuł szywnienie karku.

Przyjechałeś do Louise cudzym wozem. Nie ukradłeś go, bo właściciel zgłosiłby już dawno kradzież na policję. Nie zgłosił. Dlaczego nie zgłosił? Dlaczego? Myśl, Haig, dlaczego? Nie zgłosił, gdyż uważał, że to normalne. Mój nie chce mi odpalić, wezmę twój, skarbie. Czyli wóz należy do twojej najbliższej rodziny. Jego właściciel nie ma pojęcia, że ty, draniu, zamierzasz z niego uczynić kozła ofiarnego, odwrócić od siebie naszą uwagę...

Dlaczego akurat z tego kogoś? Bo w czymś ci nagle zagroził! Rzucił jakąś uwagę, która wzbudziła w tobie niepokój. Podzielił się z tobą jakimś spostrzeżeniem, na tyle ważnym, że postanowiłeś go wyeliminować. A może tylko spojrzął na ciebie w sposób, który ci się nie spodobał? Albo od dawna planowałeś, że go wrobisz? Pozbędziesz się, bo i jego nienawidzisz? Dlatego zamierzasz się na tym kimś zemścić? Zabić nie możesz, jeśli jest członkiem twojej rodziny, aż za takich

głupców nas nie uważasz. Jedyne kierując na tego kogoś wszystkie podejrzenia, pozbędziesz się go raz na zawsze. Pewno jest ostatni na twej liście... Aresztujemy człowieka, sąd skaza go na dożywocie... A ty, draniu, zyskasz pełne współczucie całego miasta...

Haig, przystopuj. Zagalopowałeś się. Przecież będziemy chcieli znaleźć jego kryjówkę. Ciała. Narzędzia zbrodni. Przewrócimy tam każdy kamień. Sprowadzimy psy tropiące... Drań o tym wie. Drań nie życzy sobie odkrycia swojej kryjówki. W niej są wszystkie dowody przeciwko niemu. Nie zdążyłby jej zlikwidować. W żadnym wypadku nie zdążyłby. Zwłaszcza że planuje dzisiejszej nocy zabijać długo a powoli, sycić się cierpieniem zabijanych.

Więc dlaczego zostawił tu ślady? Myśl, Haig, masz coraz mniej czasu... On nic nie robi bez powodu... Jezu, tylko jedno przychodzi mi do głowy! Ma sposób, żeby odwrócić naszą uwagę od tego miejsca. Porwać jeszcze kogoś. I to tak, żebyśmy się o tym natychmiast dowiedzieli, żeby wśród nas wzbudzić przerażenie, żeby Peters natychmiast wezwał ekipę techniczną, żeby powstało totalne zamieszanie... Haig, ty głupcze. Brak mu czasu na kolejną zbrodnię. Odjechał stąd do swojej zakamuflowanej kryjówki, mniejsza na razie z tym dokąd. Za miastem czy nie za miastem. Przyciśniesz zaraz doktora Tracy'ego, przecież to on ma być twoim wabiem, doprowadzi cię jeszcze przed nocą do drania, jeżeli mu powiesz, że ten jego niby-syn jest zagrożony. Więc spokojnie, Haig, spokojnie. Drań dziś nikogo nie skrzywdzi... Dawno już związał i zakneblował swoje ofiary. Zamknął je w kryjówce. Odjechał rzekomo swoim wozem do domu. Żre lunch, jaki przygotowała mu żona... Czeką na policyjne syreny...

Kurcze, Haig, znowu chrzanisz jak popieprzony! Dziś te syreny policyjne nie mają prawa zawyc przed jego domem! No bo rewizja, przetrząsanie każdego zakątka, od strychu aż po piwnicę — więc nie dziś! Nie mógłby nawet tyłka ruszyć z domu, a co dopiero jechać i zabijać! Zabił ich od razu? On? Zrezygnowałby z rozkoszy zadawania tortur? Po to zadał sobie tyle trudu, żeby zrezygnować? Chyba że twój portret psychologiczny, Jennifer, jest do dupy! Czy jednak mogłaś się aż tak pomylić? Zakładam, że się nie pomyliłaś. Nie zrezygnował. W takim razie, czemu kazał odwołać Carol zeznania? No pewnie! Żeby zyskać na czasie! On wcale nie zamierzał zostawiać tu śladów swego

rzekomego wozu! Skąd zresztą wiesz, Haig, że to nie był jego wóz? Gównu wiesz! To był jego wóz. Nikogo nie zamierzał wrabiać! Coś go spłoszyło, dlatego odjechał, zostawiając ślady własnego wozu. On tu lada moment wróci. Zatrzeć ślady. Dopadłeś go, Haig. Doktora teraz nie musisz przyciskać. Szybko, Haig. Nie daj Bóg, żeby cię tu zastał.

Odjeżdżając mustangiem w kierunku dzielnicy slumsów, bo jedynie tamtędy mógł wydostać się okreśną drogą, omijając główne ulice miasta — bo diabli wiedzą, jakimi ulicami ON tu zmierza — powtórzył: „Zdażyłem, Carol, zdażyłem. Jennifer, dopadłem go, dopadłem”.

Rozdzwoniła się komórka. Nawet nie spojrzął na wyświetlacz.

— Jennifer, dopadłem go!

— Stan...

— Rozumiesz, dopadłem go! Wracam na posterunek! Z dowodem! Niepodważalnym dowodem!

— Stan. Nie na posterunek.

Dopiero teraz zorientował się, że głos Jennifer jakby ociekał grozą.

— Stan, czekamy z Petersem u Fordów.

— Ależ ja go dopadłem, Jennifer!

— Nie dopadłeś, Stan. On dopadł Amelię. Brian żyje. Aha, nie włączaj koguta.

— Czemu? — zapytał odruchowo, z głosem w głowie: Dopadł Amelię. Dopadł Amelię... Dopadł...

— Ponieważ ma być cisza.

— Cisza? Czemu cisza?

— Ponieważ on ma sądzić, że my o niczym nie wiemy. Bo on nie zdaży ich wszystkich zabić teraz. Zabije nocą.

Część czwarta

Amelia

1.

Brian Ford miał trzynaście lat, gdy przypadkiem nakrył swoją ukochaną matkę, uprawiającą seks w wyzywającej, nienaturalnej pozycji, wijącą się pod ciałem obcego mężczyzny, podczas gdy jego uwielbiany ojciec przyglądał się temu, z nabrzmiałym, wyciągniętym ze spodni członkiem, jęcząc, jakby to on doprowadzał swą żonę do seksualnej rozkoszy.

Zdarzało się wcześniej nocami, że Brian słyszał podobne jęki rodziców z ich sypialni. Sam wtedy poskramiał swego małego, nagle unoszącego się fiutka szybkimi ruchami aż do wytrysku, przynoszącego poza ulgą niesamowitą przyjemność.

Nie wiedział, czy to normalne. Zdobył się na odwagę i zapytał ojca. Ojciec powiedział, że wszedł w wiek dojrzewania i to normalne, nie ma czym się przejmować, bo większość chłopców przez to przechodzi — pod wpływem różnych bodźców nabrzmiewają im członki, czyli czują potrzebę seksualną. Wyjaśnił także Brianowi, na czym polega współzycie między kobietą a mężczyzną.

— Dzięki temu przyszedłeś na świat, synu. Nasz Pan nie potępia seksu. Seks w legalnym związku nie jest grzechem. Grzeszne jest współzycie przed zawarciem ślubu. Dotyczy to w równym stopniu zarówno kobiet, jak i mężczyzn. Gdy będziesz starszy, bacznie obserwuj dziewczęta. Niektóre z nich zachowują się wyuzdanie. Takie omijaj, jeżeli nawet by twój członek domagał się natychmiastowego zaspokojenia. Zwracaj uwagę na te nieśmiałe, skromne. Wśród nich wypatruj swojej przyszłej żony. Żona powinna być nienaruszona. Twoja matka była nienaruszona. Nie kochałem jej, rodzice mijali wybrali, wiedząc, że nie uprawiała seksu z żadnym mężczyzną. Uczucie zrodziło się później. Kochamy się z twoją mamą, synu, bardzo. I szanujemy się nawzajem. Dotrzymujemy sobie wierności. Zdrada w małżeństwie jest wielkim grzechem.

Brian pamiętał, że zapytał ojca, po czym się poznaje, że kobieta jest nienaruszona.

— Podczas pierwszego zbliżenia pęka jej błona dziewicza i krwawi. Synu, dość pytań. Zamierzałem cię wtajemniczyć w te sprawy później. A na drugi raz nie podsłuchuj matki i ojca w ich sypialni. To też grzech.

Po tej rozmowie rodzice przenieśli swoją sypialnię z piętra na parter. A pokój Briana na piętro. Popelnili błąd. Tego dnia, gdy ich nakrył, grzesznych, zwolniono uczniów z ostatniej godziny lekcji. Wrócił do domu, gdy rodzice zupełnie się tego nie spodziewali. Przeżył szok. Znienawidził rodziców. Wzbudzali w nim odrazę tak wielką, że patrząc na nich, czule gruchających, z trudnością powstrzymywał odruch wymiotny. I tacy ośmielali się kalać swymi wyuzdanymi ustami święte imię Wybawiciela, odmawiając do Niego przed każdym posiłkiem modlitwę dziękczynną. Dla takich nie ma miejsca w raj. Postanowił zostać pastorem i tępić wszystkich im podobnych.

W liceum studiował Biblię oraz przyglądał się dziewczętom. Większość z nich była wyuzdana. Był wyjątkowo ładnym chłopcem, a one ocierały się o niego pierściami, wzbudzając fizyczny wstręt. Jego członek jeszcze nie reagował, na razie pozostawał wiotki, co go cieszyło. Jednak obserwował uważnie dziewczyny. Jego przyszła żona ma być nienaruszona. Cichutka, nieśmiała, ładniutka Amelia unikała jak ognia zaczepki chłopaków. Była odpowiednią kandydatką na żonę.

Jeżeli nie wyjdiesz za mąż za kogoś innego ani nie dowiem się, że w czasie gdy studiowałem, stałaś się puszczalska, wyjdiesz za mnie, postanowił.

Rodziny dom mierzył Briana do tego stopnia, że studia teologiczne wybrał w odległym Medison. Na pogrzeb matki nie pojechał. Do ojca nie napisał ani jednego listu. Listy od niego darł, nieczytane. Czuł się podle. Wszak nie umiejąc wybaczać, nie zostanie dobrym pastorem. „Łaską bowiem jesteście zbawieni przez wiarę. A to pochodzi nie od was, lecz jest darem Boga” — powtarzał jak mantrę fragment z Listu do Efezjan. „Przecież dobry Bóg zmiłował się nad ludźmi i przebaczył im grzeszne odstępstwa, pozwalając na rozpoczęcie nowego życia z wymazaną przeszłością... A ja nie potrafię wybaczyć własnym rodzicom. Panie, oświeć mnie. Czy każdy grzech da się wybaczyć? Każdy? Nawet tak plugawy, jak ten, który popełnili moi rodzice?” Zadręczał się tym pytaniem. Zadręczał się tym bardziej, że widok byle tyłka byle jakiej dziewczyny zaczął wzbudzać w nim

pożądanie, a jego członek domagał się zaspokojenia. Na noc wiązał sobie ręce, żeby go nie dotykać. Unikał kolegów. Uznano go za dziwaka. „Tobie nie staje? Jesteś impotentem?”

Ale on przed swoim Bogiem, Jezusem Chrystusem, który i za niego umierał na krzyżu, przysiągł zachować czystość, pokonać żądzę. Skupił wokół siebie grupkę myślących jak on. Stał się ich duchowym przywódcą. Napisał kilkanaście esejów na temat grzechu, które opublikowano w czasopismach baptystów. Na uczelni przestał uchodzić za dziwaka. Uznano, że ma w sobie charyzmę, że jest naznaczony łaską boską. Młodszy studenci uczyli się jego tekstów na pamięć. Zyskiwał coraz to nowych zwolenników. Wieczorami jego pokój w kampusie pękał w szwach, tak wielu chciało słuchać jego interpretacji Biblii. „Biblia daje nam obietnicę — mówił w uniesieniu Brian — że Bóg nie zostawia nas osamotnionych w konfrontacji z życiem. Sam Duch Święty poucza nas, wspiera i prowadzi tak, abyśmy odtąd żyli według boskich standardów, nie powracając do tych cech ludzkiego życia, których Bóg nie aprobuje. Lecz czy wyzwolił nas od popełniania grzechów, bracia? To my sami musimy się od grzechów wyzwolić. Tępić je w sobie i w naszych bliskich bezlitośnie, wyrzekać się cielesnych pokus, wszelkiego zła. Uderzmy się w piersi, bracia. Nie po to Jezus umierał za nas na krzyżu, abyśmy z taką łatwością sobie odpuszczali nasze grzechy! Wybaczenie nie obejmuje zatwardziały grzeszników. Na przykład takich, jak moi rodzice”. Opowiedział o grzechu rodziców. Patrząc na pobladłe z wrażenia twarze, rzekł: „Jeżeli powiecie, że mogę im wybaczyć — wybaczę”. Odpowiedzieli, że takiego grzechu i Bóg by nie wybaczył. „Więc i ja im nie wybaczę” — odparł. Otrzymał gromkie brawa.

Odtąd poczuł się kimś wyjątkowym. Jakby obdarowany szczególną łaską boską. Wrócił do Nevady z uduchowioną twarzą, z przekonaniem o misji, jaką musi wypełnić; powoli, ostrożnie, aby nie zrażać do siebie ludzi. Odwiedził grób matki. Zajmował się troskliwie chorym na raka trzustki ojcem, w duchu modląc się o jego szybką śmierć, bo wciąż patrząc na niego, dostawał odruchów wymiotnych. Jednak ludziom wydawało się, że widzą pełnego poświęcenia, rozpaczającego, najlepszego syna, czuwającego godzinami przy łożu umierającego. Tak tym zaskarbił sobie życzliwość zboru, że zastąpił odchodzącego na emeryturę pastora.

Amelia Jordan nie wyszła za mąż. Przeprowadził dyskretny wywiad. Nie, nie spotykała się z nikim, poza dawnymi przyjaciółkami. Nadal unikała mężczyzn. Nadal była cicha i nieśmiała. Strategia zalotów Briana była prosta. Przez dwa miesiące co tydzień zamawiał w kwiatarni bukiet białych storczyków i wysyłał je Amelii z liścikiem, że pokochał ją jeszcze przed swoim wyjazdem na studia. Pozwalał sobie również na kurtuazyjne składanie wizyt jej rodzicom. Jego dotąd niezaspokojona nigdy seksualność na gwałt domagała się kobiety. Poprosił Jordanów o rękę ich córki. Byli zachwyceni. Amelia powiedziała jednak: „Nie. Nigdy za nikogo nie wyjdę za mąż”.

Odmowy w ogóle nie uwzględniał. Co ona sobie wyobraża, ta Amelia? Czeka na księcia z bajki? Na milionera? Wydał tyle dolców na bukiety. Wypocił tyle kłamliwych liścików, bo przecież nie z miłości upatrzył ją na swoją żonę. Tyle czasu stracił na te wizyty u jej rodziców — prymitywnych prostaków, z którymi nie miał o czym rozmawiać, szczerzył do nich zęby w udawanych uśmiechach, zachwalał zakalcowate ciasteczka, pił lurowatą kawę. Wycofać się? Jak tu się wycofać, skoro bez przerwy członek uwiera go w spodniach? Wycofać się? Całe miasto się dowie, że ta pannica dała mu kosza. Przybrał zboląłą minę. Odezwał się cichym, smutnym głosem:

— Kocham cię wiernie już tyle, tyle lat, Amelio. Będę najlepszym mężem. Najlepszym przyjacielem. Nie wyobrażam sobie życia bez ciebie.

A ona wciąż, że nie.

— Owszem, tak! — zdenerwowała się jej matka. — Jesteś egoistką. Nadarza ci się doskonała partia. Ani słowa, moja panno! Poza tobą mamy na utrzymaniu twoje dwie młodsze siostry! Ledwo wiążemy koniec z końcem. Brian, nie zwracaj uwagi na jej fochy. Miną jej. Wstyd nam za ciebie, Amelio! Pastor, z własnym, pięknym domem, kocha od lat akurat taką niedojdę, a ty mu odmawiasz! Natychmiast przeproś pastora. Powiedz tak. Powiedz, że czujesz się zaszczycona.

— Czuję się zaszczycona — odparła, wykręcając palce, Amelia. Rozplakała się. Wybiegła z pokoju, nazywanego przez Jordanów szumnie salonikiem.

W poślubną noc Brian zrozumiał, dlaczego Amelia upierała się, że nie wyjdzie za nikogo, chociaż posłusznie pozwoliła się rozebrać, położyć na łóżku, rozchylić uda na przyjęcie nabrzmiałego członka męża. Nie znalazł krwi ani na członku, ani na jej udach, ani na prześcieradle. Była naruszona. Leżała w pozycji embrionalnej, ssała kciuk,

z oczami, w których nie było niczego, poza dzikim przerażeniem, bełkocząc coś posiniałymi wargami, jakieś zupełnie niezrozumiałe słowa. Może przeprasza, pomyślał, przyglądając się swojej naruszonej żonie i zastanawiając się, jak to możliwe, aby aż tak się omylił. Zawsze nieśmiała, cichutka, taką ją zapamiętał z liceum. Nadal pozostała nieśmiała, cichutka, wciąż unikała mężczyzn.

„Brian, ona ma chyba nie po kolei w głowie. Wprost nie do pojęcia, że dziewczyna w jej wieku nie czuje pociągu do facetów. Hellen Cassel nie ma się co dziwić, ta po przejściach z tym zboczkiem, Jonathanem, przynajmniej miała powody, ale i ona w końcu wyszła za mąż, podobnie jak Carol Adams. Annette matka trzyma krótką ręką. A Anna? Ta również ma nierówno pod sufitem. Po prostu nienawidzi facetów, jakby ją któryś kiedyś zgwałcił albo co...” — mówili ludzie. Więc się przyglądał swojej żonie bez współczucia, zastanawiając się, czy jej wybaczyć. Ze strachu przede mną aż zsiniały jej wargi... To dobrze. Okażę ci swoją łaskę w imieniu Pana i wybaczę... Nie oczekuj jednak, że zdołam kogoś takiego jak ty pokochać. Przed ludźmi, oczywiście, będę ci okazywał wielką, wielką miłość. Dla ludzi stanie się wzorcem do naśladowania. Idealną parą małżeńską. Jako pastor powinienem innym dawać dobry przykład.

Amelia okazała się posłuszną, dobrą żoną, czego się zupełnie nie spodziewał. Po kilku miesiącach, przytulając się, wyznała, że on, Brian, dał jej szczęście i że go kocha i kochać nie przestanie nigdy, przenigdy; urodzi mu piękne dzieci — zawsze marzyła o dzieciach. A do niego, Briana, takiego innego od tych wstrętnych chłopaków, wdychała skrycie jeszcze w liceum i przeprasza, przeprasza, jeżeli w czymkolwiek swego kochanego męża zawiodła, a przede wszystkim tak głupio powiedziała mu, że nie wyjdzie za niego, zamiast rzucić mu się na szyję z najwyższą radością. „Taka głupia czy taka przebiegła?” — pomyślał wtedy Brian. Poczul do żony wstręt. Przynajmniej by nie kłamała. To po prostu ohydne. Teraz i przed nią będę musiał udawać, że ją kocham.

W drugim roku małżeństwa urodził się Eric. Brian oszalał na jego punkcie. Syn! Syn! Nie dziewczynka, którą by trzeba było strzec przed grzechem rozwiązłości! Syn! Syn! „Rośnij zdrowo, mój synku. Na chwałę naszego Pana! Dobry Jezu, modlił się żarliwie, dziękczynnie, gdy doktor Tracy przekazał mu ze współczuciem wiadomość, że Amelia

z powodu poporodowych powikłań nie będzie mogła mieć więcej dzieci. Nie chcę więcej dzieci. Na samą myśl, że wydałaby na świat dziewczynę, dostaję mdłości!

Amelia po skomplikowanym porodzie ciągle zapadała na zdrowiu. Wychudła i zbrzydła. Swoje dolegliwości znosiła bez skarg, wypełniając jak dawniej obowiązki dobrej, dbającej o dom żony i matki, troszczącej się o syna. Była jednak tak słaba, że Brian sam zaproponował, aby do Erica wynająć opiekunkę. Sprawdził Clarę Brown. Miała doskonałe referencje, a mieszkała po sąsiedzku. Clara zaprzyjaźniła się z Amelią, pokochała Erica jak własnego syna, zajmowała się nim z oddaniem, lecz na swego pracodawcę patrzyła krzywym okiem. Dla Briana jednak najważniejsze było to, że Clara często zabierała Erica na długie godziny do siebie, a wówczas on mógł swobodnie zaspokajać swój nabrzmiały, domagający się kobiety członek. Nie zważał na słabości żony ani na to, że po każdym stosunku krwawi. Zaciągał ją do sypialni i spełniał swoje najbardziej wyuzdane fantazje seksualne.

Porwanie Patricka przejęło Briana zgrozą. Znowu żarliwie dziękował Panu, że ofiarą padł chłopczyk, którego co prawda znał i lubił, lecz który na szczęście nie był jego synem. Potępił i Hellen, i Willa, że Patricka nie dopilnowali. Ci bogacze! To mnie stać na stałą opiekunkę, a ich nie? Nawet wam nie współczuję. Ponosicie całkowitą winę za męczeńską śmierć swego dziecka, pozostawionego bez opieki! W moim domu coś takiego nigdy by się nie zdarzyło.

Kiedy Amelia wróciła z pokoju chorego syna, usiadła, ułożyła dłonie na kolanach i beznamiętnym, jakby zobojętniałym głosem, głosem pozbawionym cienia rozpacz czy strachu, powiedziała: „Okno otwarte, Eric zniknął. Erica porwano jak synka Hellen. Zabito jak synka Hellen”, nawet nie pobiegł, żeby przekonać się na własne oczy o czymś, co nie miało prawa się wydarzyć w jego domu, ponieważ zrozumiał, że to się właśnie zdarzyło, że Amelia nie kłamie. Jeszcze nie analizował jej dziwnego zachowania, uznając je za wynik szoku. Amelia w szoku mało go obchodziła. Mogłaby sobie nawet skonać. Porwano mu syna, mój Boże, porwano, musi zachować spokój, musi działać, zawiadomić Haiga.

Pytania Haiga uznał za idiotyczne, a jego samego za głupca. Patrzył na niego z nienawiścią, myśląc o tym, żeby i jemu porwano tego przygłupiego Stevena! Wciąż jeszcze nie analizował zachowania Amelii, proponującej Haigowi kawę, kanapki, jakby to było towarzyskie

spotkanie. Nic do niego nie docierało poza myślą, że porwano mu syna. Poddawał się biernie poleceniom żony. Nawet uwierzył jej zapewnieniom, że jest nadzieja, iż ich syn żyje. Posłusznie udał się do sypialni. Jacyś obcy ludzie przewracali do góry nogami jego dom, słyszał ich głosy, kroki i powtarzającą jak nakręcona katarynka żonę: „Eric żyje, żyje, ja to czuję, ja to wiem, bądź dzielny, nie upadaj na duchu, uwierz w łaskę Jezusa, on ochroni Erica, wiara czyni cuda...”. Gdyby się nie odwołała do łaski Pana, pewno nadal by tej nadziei nie stracił. Łaska Pana? Jezusa Chrystusa? O tę łaskę błagały go tysiące matek kalekich dzieci, tysiące matek konających w mękach dzieci, i co? Czy kiedykolwiek którąkolwiek wysłuchał? Nie, tkwił na tym swoim krzyżu, z koroną cierniową, przebitymi stopami, rzekomo ponosząc karę za grzesznych z natury ludzi. Wiara czyni cuda? Nie uczynił nigdy żadnego cudu, chociaż wierzono w niego. Wierzono, że dobry Bóg zmiłował się i przebacza każde ludzkie grzeszne odstępstwo, każdą niemoralność, pozwalając na rozpoczęcie życia z wymazaną z grzechów przeszłością. Gdzie to jego miłosierdzie? No, gdzie się podziało, gdy potwór porwał Erica, bezbronnego, sześciolatniego chłopca i teraz na pewno się nad nim znęca, zabija albo już zabił? Gdzie ono było, gdy potwór skalpował Patricka? Gdzie się schowało, gdy oszalała Hellen tuliła do siebie głowę manekina? A ta krowa powtarza od początku: „Eric żyje, bądź dzielny, bo chroni go łaska Jezusa”.

— Zamknij się, idiotko! — krzyknął. Stracił w jednym momencie i syna, i swoją charyzmatyczną wiarę w Boga.

— Brian, matek nie zawodzi intuicja, ja wiem, ja czuję, że...

— Milcz! Ani słowa. Nie zbliżaj się! Bo cię uderzę!

Ucichła. Nie na długo.

— Brian, mój Boże, jesteś osłabiony z głodu! Od wczoraj nie jadłeś! Zaraz ci przyszykuję kilka kanapek, mocną herbatę.

Gdyby nie wyskoczyła z tymi kanapkami, nadal oskarżałby swego Pana. Jego i tylko jego. Ale wyskoczyła, odblokowując mu dotąd zamkniętą szufladkę w pamięci. Wróciła z pokoju Erica zimna jak gład, nie jak kochająca matka, która odkryła, że porwano jej jedyne dziecko. Każda inna kochająca matka na widok pustego tapczanu i otwartego okna albo by zemdląła, albo zawyla z rozpacz. Tymczasem ona sprawdziła nawet ślady potu, potrafiła wyciągnąć wniosek, że są zimne, a więc Erica porwano dawno. Haigowi też zaproponowała kanapki, kawę — co za opanowana suka! — dopytując się, czy pije gorzką

czy ze śmietanką! Przyznała otwarcie, że leniła się wchodzić na piętro i dlatego przeniosła Erica tutaj, na parter, obok naszej sypialni! Eric żyłby, gdyby nie jej lenistwo. Eric żyłby, bo jej lenistwo wynikało z braku macierzyńskich uczuć. Udawała przez lata słabą, wyręczała się Clarą Brown, bo tak naprawdę syn ją mało obchodził. Woląла zajmować się szydełkowaniem tych swoich pieprzonych serwetek, kap, firanek, paplać godzinami o niczym z Hellen i tymi swoimi cholerynymi przyjaciółkami!

— Brian, a może usmażę ci naleśniki?

Naleśniki? Ty o naleśnikach? Przenosząc Erica na parter, wydałaś na niego wyrok śmierci. Śmierć za śmierć.

— Brian! Mój Boże... Brian! Patrzysz na mnie tak, jakbyś chciał mnie zabić... Brian! Eric żyje... Brian... Boję się ciebie...

— I słusznie, Amelio, i słusznie. Śmierć za śmierć, suko — roześmiał się cicho. Nim zdążyła się uchylić, chwycił ją za włosy, szarpnął i powalił na podłogę. Nie bronila się. Chyba nie rozumiała, co do niej mówi. Nie szkodzi. Zaraz zrozumie. Miała taką cienką, kruchą szyję... Charczała. Wybałuszyła oczy. Zrozumiała? Złuznił uścisk. Niech nie umiera za szybko. Może zrozumiała, że chce ją zabić, ale nie rozumie za co. Zaraz ci powiem za co, suko! Za to, że ktoś cię pieprzył, a ty przede mną udawałaś nienaruszoną skromniśnię. I za naleśniki, suko, również. Naleśniki, kiedy mój syn może już skołał w mękach jak Patrick. Naleśniki! Kanapki! Herbata! Kiedy mój syn może właśnie w tej chwili przywołuje mnie na pomoc: „Tatusiu! Ratuj mnie, ratuj!”.

Jeszcze bardziej zmniejszył uścisk. Chwytała ustami powietrze.

Tego się jednak nie spodziewał. Taka słaba, a pięścią trafiła go prosto w łuk brwiowy. Zawył z bólu i wściekłości. Krew zalała mu oko. Dogonił ją przy drzwiach. Szarpnęła się z taką siłą, że gdy zbiegała ze schodów, jemu w rękach pozostał wyrwany ze szlafroka strzępek materiału. Oko rwało. Przez to pieprzone, zalane krwią oko potknął się i objając to o ścianę, to o drewniane sztachetki poręczy, wyładował na podeście schodów. Nim się podniósł, ona zatrzasowała się w łazience.

— Nie uciekniesz! — wrzasnęła. — Nie masz którejdy!

Bo nie miała. Łazienka była bez okna.

— Zaraz wyważę te pieprzone drzwi. Uduszę cię, suko!

Napierał barkiem. Ani drgnęły. Siekiera! Wyrąbię je siekierą! Ciebie też załatwię siekierą! O, tak, siekierą! Siekierą! Gdzie w tym

domu jest jakaś pieprzona siekiera? Gdzie? Czy w ogóle w tym pieprzonym domu jest coś takiego jak siekiera? Nie siekierą! Pogrzebaczem od kominka!

— Zatłukę cię pogrzebaczem! Doskonały, metalowy, ciężki!

Pobiegł do salonu. Dwa fotele, przysunięte blisko siebie. Tu siedzieli. Trzymali się za ręce. Tu im Haig powiedział, że Patricka nie zabito od razu. Tu, wciąż trzymając się za ręce, udając kochające się małżeństwo, otrzymali nadzieję, prawie pewność, że policja dopadnie potwora, zanim wyrządzi tę ostateczną, tę niewyobrażalną krzywdę ich synkowi. Stąd, z tą nadzieją, nią wyciszeni, nią natchnieni, poszli do gościnnego, na górę... Dopiero tam, czekając na opuszczenie domu przez ekipę techniczną, przez tych wszystkich strasznych, obcych ludzi, stracił sens swego życia i uświadomił sobie, kim jest naprawdę jego pieprzona żona.

— Jezu, Brian! Oszalałeś?

Doktor Tracy? Doktor Tracy?

— Brian! Chryste, Brian! Na szczęście zdążyłem! Odlóż natychmiast pogrzebacz, Brian. Bo wezwę policję. Ja się ciebie nie boję.

Skąd wziął się tu ten pieprzony doktor? Przez sekundę pomyślał, że zabije i jego. A potem sam się powiesi i koniec męczarni. Życie bez Boga i bez Erica traciło wszelki sens. Potem doszedł do wniosku, że nie zdąży zabić i Amelii, i doktorka ani tym bardziej powiesić się, bo tam pod domem sterczy policja. Doktorka podniesie wrzask. Nie zdąży.

Odłożył pogrzebacz. Postanowił udawać głupiego.

— Doktorze! To Amelia dostała ataku szału. Obarczała mnie winą za porwanie Erica. Chciała zabić. Spójrz, co mi zrobiła z okiem!

— Kłamiesz — odpowiedział doktor Tracy. — Ty chciałeś ją zabić. I pewno by ci się udało, gdyby nie miała w kieszeni szlafroka komórki. Zadzwoiła z łazienki. Słyszałem twoje wrzaski, Brian. A teraz posłuchaj, pastorze. Mam dwa wyjścia. Albo natychmiast powiadomić Haiga, który wspólnie z detektywem stanowym tkwi po drugiej stronie ulicy i widział, jak tu do ciebie wpadam, i wtedy, pastorze, odpowiesz za próbę zabójstwa żony, a bardzo wątpię, czy potrafisz się wyłgać. Albo przysięgniesz mi na głowę swego nieszczęsnego synka, że nie tkniesz Amelii nawet małym palcem.

— Ja naprawdę groziłem Amelii? Mark, niczego nie pamiętam. Niczego. Nagle otoczyła mnie ciemność. Nasz synek nie żyje! Nigdy

do nas nie wróci! W tej ciemności usłyszałem jego głos: „Tatusiu, na pomoc! Tatusiu, ratunku!”. Mark, przecież ja kocham swoją żonę!

— Przystań się zgrywać. Nie kochasz i nigdy nie kochałeś Amelii. Zbyt często u was bywałem, Brian. To ta biedna, głupiutka dziewczyna kochała ciebie. Ty jej nie. Nigdy nie zapomnę wyrazu twojej twarzy, kiedy Amelia wróciła z Erikiem ze szpitala. Nie zapytałeś nawet, jak się czuje. Powtarzałeś: „Jakie to szczęście, że syn, nie dziewczynka!”. Pogardzasz kobietami, pastorze. Masz manię na punkcie grzechu nieczystości. Z jaką radością przyjąłeś wiadomość, że twoja żona nigdy ci więcej nie urodzi dziecka! Skąd ta radość, ty poprany pastorze? Bo zamiast syna, Amelia mogłaby następnym razem urodzić dziewczynkę. Mimo moich ostrzeżeń, że powinieneś przynajmniej przez dwa miesiące zachować wstrzemięźliwość płciową, już po tygodniu zerznąłeś ją brutalnie, wywołując u niej krwotok — ciągnął zimnym, opanowanym głosem doktor. — Sądziłeś, że ja, lekarz, nie zorientuję się, skąd ten krwotok? Uwierzę twoim zapewnieniom, że widocznie w szpitalu coś pochrzanili, czegoś nie dopatrzyli? Zadręczałeś Amelię seksualnie, a ona znosiła to z pokorą, bo ciebie kochała, podziwiała za twoją chorobą charyzmę, na którą nabrałeś wielu ludzi. Wielu uważa cię niemal za świętego, poza mną, draniu. Żebyś teraz zobaczył siebie w lustrze. Z jaką bezsilną nienawiścią na mnie patrzysz. I z jakim strachem, żebym nie zawiadomił Haiga.

Milczał. Znalazł się w pułapce. Nie zabije teraz Amelii, chociaż zasłużyła na śmierć. Nie skończy ze sobą, chociaż bez Erica i z utraconą wiarą w Pana nie ma celu w życiu. Zostać aresztowanym za próbę zabójstwa? Musi zostać po nim nieskalana opinia. Nadal mają go uważać za świętego, za męczennika nawet, który podążył za swoim ukochanym synkiem, aby się z nim połączyć w raju Pana. Trzeba przeczekać. Trzeba cierpieć. Dopóki policja nie zakończy śledztwa. Nie odnajdzie ciała Erica.

— Milczysz? W takim razie zawiadamiam Haiga.

— Przysięgam na swego syna, że nie tknę Amelii.

— Obyś tej przysięgi dotrzymał! Będę do Amelii dzwonił. Będę co chwilę wpadał bez uprzedzenia, nawet i nocą, żeby cię pilnować. Twoje wyrzeczane groźby mam nagrane na komórce. A teraz chcę obejrzeć Amelię.

Amelia wyszła z łazienki, tę swoją chudą, kruchą szyję chowając przezornie w kołnierzu szlafroka.

— Przepraszam, Mark. Niepotrzebnie wpadłam w panikę. Brian, w przeciwieństwie do mnie, załamał się: przestał mieć jakąkolwiek nadzieję, a ja, głupia, go ciągle tą nadzieją pocieszałam. Prosił, żebym milczała, a ja nadal swoje... Puściły mu nerwy. Krzyknął, żebym milczała, a ja się przestraszyłam, bo przecież nigdy na mnie nie podniósł głosu ani nie używał wulgarnych słów, więc gdy pochylił się nade mną, zatykając mi usta ręką, uderzyłam go pięścią i uciekłam do łazienki... To moja wina, Mark. Sam doskonale wiesz, co człowiek w szoku potrafi wygadywać. Bądź spokojny, Mark. Mój mąż wie, że nie może skrzywdzić swojej żony — dokończyła z naciskiem Amelia. I uśmiechając się, dodała: — Prawda, kochanie?

— Tak — tyle potrafił z siebie wydusić. Pierdolona, przeklęta suka, pomyślał, ta pierdolona, przeklęta suka po prostu mnie znokautowała! Przez te wszystkie lata jedynie udawała naiwną i głupawą, zajęta szydełkowaniem serwetek osóbkę, a ja na to dawałem się nabierać! W rzeczywistości była przebiegła, cwana. Jezu, uwierzę w ciebie na nowo, jeżeli wywołasz u niej jakąś śmiertelną chorobę. Najlepiej niech dostanie raka, niech umiera długo i w męczarniach! Tak, spraw to, dobry, miłosierny Jezu!

— Świetnie, kochanie. Idź się położyć, odpocząć po przeżytym wstrząsie. A my z doktorem posiedzimy w kuchni, napijemy się mocnej kawy, porozmawiamy o Ericu, bo my z doktorem wierzymy, że on żyje i że Haig zdoła go uratować.

— Tak — odpowiedział. Poszedł do sypialni. Aż nim rzuciło. To ich małżeńskie łóżce, te jej ohydne serwetki na komódkach... Ściana, za którą dokonywano zbrodni, gdy on w tym samym czasie uprawiał seks z Amelią. Jednak było mu wciąż mało i potem czekał z na nowo nabrzmiałym członkiem, żeby szybciej podała dziecku antybiotyk, zastanawiając się, czy mają tym razem wziąć od tyłu czy najeżdźca.

Uciekł z sypialni na górę. Do drugiego pokoju gościnnego. Upadł na kolana. „Wierzę w ciebie, Jezu, wierzę! Ukarz tę kobietę imieniem Amelia. To ona we mnie rozbudzała nieczyste żądze! Musi ponieść karę. Ktoś tak grzeszny nie ma prawa stąpać po ziemi! Jezu, nie dla takiej suki przecież umierałeś na krzyżu! Panie mój, stwórcu, Duchu Święty, służyłem ci żarliwie, nawróciłem wielu grzesznych ze złej drogi, wysłuchaj mnie! Pozwól mi doczekać dnia, w którym ta suka skona! Przez nią omal się ciebie nie wyparłem. Przez nią zginął mój synek, mój Eric, moje dziecko” — modlił się, dysząc ze wściekłości.

Zabrał swoje rzeczy z sypialni, przeniósł się na stałe do pokoju gościnnego. Schodził do kuchni dopiero wtedy, gdy Amelia szła spać. W ciągu dnia warowała z komórką w dłoni i z tą radosną nadzieją w oczach, która doprowadzała go do furii. Nic nie mógł zrobić. Na szyi Amelii były dowody przeciwko niemu. Sine pręgi po zaciskających się palcach.

O sercu Erica w słoiku dowiedział się od Louise Duval.

— Brian, ostrożnie przygotuj Amelię na tę straszliwą wiadomość. Ostrożnie, Brian. Potrafisz, ty jesteś silny, Amelia słaba. To o sercu może ją zabić.

Mam nadzieję, że zabije, pomyślał. A potem dołączę do ciebie, synku. Kocham cię. Nie zostawię cię samego.

Amelię zastał w kuchni. Z tą idiotyczną komórką w dłoni. I jeszcze bardziej idiotyczną nadzieją w oczach.

— Kochanie — powiedział. — Koniec twojej nadziei. Eric nie żyje. Morderca zostawił jego serce w słoiku w markecie Louise Duval.

Nie poruszyła się. Lecz z satysfakcją obserwował, jak ta jej nadzieja w oczach gaśnie. Jak komórka wypada jej z dłoni. Jak Amelia osuwa się z krzesła na podłogę, jak zwija się w kłębek, jak wsuwa do ust kciuk i zaczyna go ssać.

Pochylił się, odgarnął włosy z ucha żony. Wprost w to ucho powiedział:

— Zabił i wykroił mu serce, kochanie.

Ssała kciuk. Kwiliła.

To Brianowi wystarczyło.

Zwariuje. Już zwariowała. A potem umrze jak Hellen. Dzięki ci, Panie — pomyślał, wychodząc z kuchni.

Wrócił na górę. Położył się. Płakał, mamrocząc do siebie: „Kocham cię, synku. Musisz jednak na mnie troszeczkę poczekać. Ale tylko trochę. Kilka dni. Twoja matka jest słaba, schorowana, długo nie wytrzyma. Morderca wydarł ci serce, synku. Powinien wydrzeć serce twojej matce. Ona nigdy cię nie kochała. Gdyby kochała, nie leniłaby się wchodzić po schodach. Żyłbyś, gdyby nie twoja matka. Jest tak grzeszna, że nie ma dla niej miejsca w rajskich ogrodach Pana. Zapomnisz o niej szybko, synku. Ja ci zastąpię i ojca, i matkę. Tak bardzo, tak przeraźliwie cię kocham! W rajskich ogrodach Pana czeka na nas, na ciebie i na mnie, wieczne życie w radości. Nie rozstaniemy się już nigdy, synku”.

Stracił poczucie czasu. Spuchł od płaczu. Zaszło mu w gardle.

Powinien też sprawdzić, czy Amelia, nadal kwiląc, ssie kciuk. Wezwać do niej pogotowie. Niech ją usuną z jego oczu, niech sobie zdycha w wariatkowie.

Amelia nie ssła kciuka. Nie kwiliła. Rozmawiała z kimś przez komórkę. Była tak zajęta rozmową, że nie usłyszała kroków Briana. Za to on usłyszał jej radośne:

— Jestem szczęśliwa, Ruth. Tak się bałam, że podrzuci nam jak Hellen jakąś kukłę. Jest serce mego synka. Będę mogła je pochować. Modlić się do niego...

Oszalała, pomyślał Brian. Twoja matka, synku, oszalała. Zaraz wezwę pogotowie.

— O Brian! — Amelia spojrzała na niego rozjaśnionymi oczami, w których nie dostrzegł ani cienia szaleństwa. — W pierwszej chwili, gdy powiedziałeś mi o sercu naszego synka, chciałam umrzeć. Ale teraz już nie. Czuję się, mimo rozpacz, że nasz synek nie żyje, szczęśliwa. Jest jego serduszko. Nie jakaś potworna kukła! Serduszko, Brian! Serduszko! Ucałuję je, ukocham, przytulę do siebie. Nie będę musiała modlić się jak nieszczęsna Kathy Cassel przy pogrzebanym manekinie ze skalpem na plastikowej głowie! Nie zwariowałam, Brian. I nie zwariuję. Naprawdę jestem szczęśliwa. A teraz wynoś się. Zostaw mnie samą. Nie próbuj wpakować mnie w kaftan bezpieczeństwa. Ciągłe mam na szyi sine pręgi. Ciekawe, jakbyś je tłumaczył przed policją?

Rzucił jej spojrzenie, które zabijało.

— Nie boję się ciebie, Brian. Wyjdź.

Znokautowała go znowu, już nie wiadomo, który raz. Wyszedł z kuchni. Zabrał z barku w salonie kilka butelek alkoholu. Gdy zadzwonił Haig, język nieźle mu się plątał. Zapamiętał z tej rozmowy, że powiedział Haigowi o szczęściu Amelii i żeby ich zostawili w spokoju. Rano obudził się z kacem. Słyszał z dołu kroki Amelii. Była ostatnią osobą, którą chciałby oglądać żywą. Płacząc z bezsilności, kaca leczył whisky. Zasnął. Obudziła go pieprzona komórka. Nawet nie spojrzał, kto dzwoni. Był przekonany, że to doktorek.

— Odwal się! — ryknął.

Usłyszał chrapliwy śmiech. A potem równie chrapliwy głos powiedział:

— Radzę ci sprawdzić, jak się miewa twoja kochana żonka.

— Kto mówi?!

— Przyjaciół — zachrypiał ktoś po drugiej stronie i wyłączył się.

Wpatrywał się z wściekłością w komórkę. Chwiejąc się, zszedł na dół. Przekłęty doktor! Pieprzony żartownisi Usiłuje go straszyć. A tak się dobrze spało! Głowa... Głowa wprost pęka z bólu nie do wytrzymania... Musi łyknąć proszek. Cholera, więc i tak musi zejść na dół, bo apteczkę Amelia trzyma w kuchennej szafce.

Drzwi do kuchni były otwarte. Zaraz za progiem poślizgnął się na czymś lepkiem i upadł. Połała posadzkę keczupem czy co? Wstał, rozcierając kolana, ubabrane tym czymś wyglądającym jak keczup. Dłonie też miał w tym czymś, ohydnie lepkiem. Zaraz zwymiotuje, pomyślał. Ta suka zastawiła na mnie pułapkę. Chciała, żebym złamał nogę. Wsadził dłonie pod kran. Woda ściekała, zabarwiając się na czerwono.

To nie keczup. To krew.

Skąd krew? Dlaczego krew?

Kocham cię, synku. Twoja matka pojęła swój grzech. Poderżnęła sobie gardło. Dzięki ci, Panie. Już idę do ciebie, synku.

A jeśli jeszcze żyje? Odczołgała się w jakiś kąt i w nim zdycha?

Niech zdycha.

A te ślady na jej szyi? Koroner stwierdzi, że wyglądają, jakby ją ktoś wcześniej usiłował udusić. Doktor Tracy powie, że to on, Brian.

Muszę odnaleźć twoją matkę, synku. Inaczej długo będziesz czekał na swego ukochanego tatusia.

Odnajdę i co dalej?

Jezu miłosierny, wiem. Pochlasczę jej szyję tak, aby nie było wiadać sinych pręg. Kilka cięć i po wszystkim. Przecież sama, popełniając samobójstwo, mogła się aż tak poharatać w amoku.

No dobrze, lecz co dalej?

Synku, poczekasz na mnie trochę dłużej, niż sądziłem. Samobójstwo twojej matki, moja rozpacz — a przysięgam ci, synku, że będę rozpaczał, wył, rwał włosy z głowy — uczyni ze mnie męczennika. Już widzę te tłumy na moich kazaniach. Słyszę szloch. Stanę się dla wiernych prawie jak ty, Panie. Cierpiący za grzechy innych, zrozpaczony ojciec i mąż.

Wytarł ręce. Spłukał zlew, aby nie została na nim ani jedna kropelka krwi.

Spodnie zmienić na czyste?

Nie. Miałem prawo upaść w krew mojej żony na kolana. Modlić się za jej duszę.

Nóż.

Potrzebny mi nóż.

Ostry. Bardzo ostry.

Noże Amelia chowała przed Erikiem w szufladzie stołu.

Zbliżył się do stołu.

Stół zalany był krwią. Pośrodku stał porcelanowy talerzyk. Na talerzyku dwa urżnięte palce w zastygłej posoce krwi. Wskazujący i środkowy. Na środkowym błyszczała złotem obrączka. Obok talerzyka nóż. Ze strzępkami włókien, skóry, jakichś krwawych nitek.

Stał i patrzył. Nie ruszał się. Chłonał w uniesieniu ten widok, te dwa urżnięte palce Amelii.

Patrzył. Patrzył.

— Musiało cię boleć, suko — powiedział. — Mam nadzieję, że nóż był tępy. Że odżył ci te twoje paluchy bez znieczulenia. Pewno kwiczałaś jak świnia w rzeźni. Zostawię te twoje paluchy, niech się w nich wylegną robaki. Niech je obgryzą do kości. Mój Pan jest miłosierny, żono. Idę do siebie. Odmówić do niego modlitwę dziękczynną.

Wyszedł z kuchni, tym razem starannie omijając krwawe ścieżki. Spostrzegł biegnącą przez hol ku drzwiom do ogródka na tyłach domu strugę krwi. Zrozumiał. Wrzasnął.

On tu był. Morderca Erica.

ON. Jezu, ON!

Mógł mnie zabić.

Moje szczęście, że spałem na górze.

Kto tak wrzeszczy?

Ja? Ja?!

Brian, przestań wrzeszczeć. Sąsiedzi usłyszą.

Brian, nie ukryjesz tego przed policją.

Nie zdając sobie sprawy, że ciągle wrzeszczy, połączył się z posterunkiem i wciąż krzycząc, powiadomił tego kogoś, kto odebrał, że w kuchni jest pełno krwi, zaś na stole leżą dwa oderżnięte palce jego żony, Amelii.

2.

Long Street przywitała Haiga spokojną, poobiednią ciszą. Nikogo z jej mieszkańców nie zainteresował stojący pod domem Fordów znany im wóz Petersa. Myślą, że przyjechał poinformować Amelię i Briana o sercu. Albo powiadomić ich o wynikach postępującego śledztwa.

Dlaczego spotkało to Amelię? Dostatecznie ukarał ją porwaniem Erica! Więc dlaczego? Była na jego liście. Najpierw Eric, potem ona. Ale dlaczego akurat dziś? Kiedy to zrobił? Po tym, jak załatwił Carol, Chrisa i Louise. Na pewno uwzględniał Amelię w swoich planach na dziś? Uwzględniał. Na pewno. Była mu potrzebna. Do czego była mu potrzebna? Jezu, do tego samego, do czego była mu potrzebna Carol ze swoim odwołaniem zeznań. Do odwrócenia naszej uwagi od domu Louise Duval, gdzie z podjazdu nie zdążył usunąć śladów opon swojej wielkiej bryki. On to sobie wszystko perfekcyjnie zaplanował. Wiedział, że nas Carol długo nie przytrzyma. Że pojedziemy pod dom Louise Duval. A musiał stamtąd usunąć ślady opon. Czyli w tym czasie, gdy ja zajmowałam się filmowaniem twoich śladów, draniu, podjechałeś pod dom pastora. Nie zdążyłeś odwiedzić swoich ofiar do kryjóWKI. Leżały nieprzytomne, upchane w twoim wozie. Porwałeś Amelię. I czekałeś gdzieś przyczajony, z kolejną ofiarą w bryce.

Czemu miałyby czekać na nas, Haig? Och, durniu, dlatego że gdy się pojawimy u Fordów, on natychmiast pojedzie usunąć ślady po swoim wozie z podjazdu Louise i najspokojniej wróci do domu. Gdzie czekałeś, draniu? Gdzieś w pobliżu. Do domu Fordów mogłeś się dostać od strony parku! Cholera, już dawno zwracałem uwagę Brianowi, że ta ich furtka wisi na jednym zawiasie. Byle ją pchnąć i wchodzisz na działkę. Od strony asfaltu zasłoniętą wysokim, drewnianym parkanem. Drzwi typowe, przeszkłone, łatwo stłuc szybę, wsadzić

dłoń, przekreślić klucz... Siedziałeś i czekałeś, aż Brian podniesie alarm. Trzeba przyznać, że tym razem wiele ryzykowałeś... Cholera, coś mi tu nie pasuje! Ty nigdy nie ryzykujesz! Przecież ktoś ze spacerowiczów mógł przyuważyć twoją brykę. Dobra, nad tym będziesz potem główkował, Haig... Ale dlaczego Brian ocalał? Ty nie zostawiasz świadków... Brian niczego nie usłyszał? Gdzie był, gdy mu porywano żonę?

Zaparkował za wozem Petersa. Z okna salonu Jennifer machała ręką. Więc to się stało w salonie? Niemożliwe. Ich sypialnia jest tuż przy salonie... Potem pokój, z którego porwał Erica. Jezu, Brian! Pewno i ciebie obezwładnił gazem. Zobaczyłeś tak dobrze ci znajomą, miłą, dobrą twarz i... Haig, ty głupcze! Gdyby Brian zobaczył tę twarz, byłoby i po nim. Ale nadal coś mi nie pasuje... Brian, człowieku, nie czuwałeś przy żonie? Przy swojej Amelii, powtarzającej w szoku, że jest szczęśliwa, bo ma serce Erica?

— Gdzie Brian? — zapytał, wchodząc do salonu. Nie było jeszcze techników. A więc to nie odbyło się tu. Baliby się zdeptać ślady przed przybyciem ekipy.

Peters zademonstrował kamienną twarz. Jennifer podobnie.

— Brian? Rozpacza na górze, w pokoju gościnnym — odezwał się Peters. — O Brianie pogadamy potem, koleś. Cuchnie od niego jak z gorzelnii. Spodnie ma ubabrane krwią, głównie na kolanach. Kaptcie też. Mówi, że niewiele pamięta. Poszedł do kuchni po proszek od bólu głowy. Zobaczył te palce żony i odtąd ciemna mogiła, nawet nie pamięta, że zadzwonił na posterunek. Nic, niczego. Wcześniej również niewiele pamięta. Zalewał swój ojcowski ból whisky. Nawet nie wie, co w tym czasie, gdy ten swój ojcowski ból zalewał, robiła Amelia. Dziwne, co nie, koleś?

— Dlaczego dziwne? Najpierw syn, potem żona. Czemu się go czepiasz, Peters? Był w szoku. Ty byś nie był, do cholery?

— Byłbym. Po zobaczeniu jatki w kuchni byłbym.

— A po dowiedzeniu się, że wydarto serce synowi, nie? — uniósł się Haig.

— Może i byłbym. Ale miałbym przy sobie kochającą żonę, która zechciałaby mnie uspokoić. Nie potrafiłaby ze spokojem obserwować, jak się upijam w trupa. Wezwałaby do mnie lekarza.

Amelia jest szczęśliwa. Jest serce naszego synka. Będzie je mogła pochować. Modlić się do niego... Głos Briana jakby ironiczny. Potem agresywny, pełen wściekłości, że to nie spotkało mojego Stevena...

Nie był w szoku. Wtedy — nie. Był wściekły, agresywny.

— Wytrzeźwieje i przypomni sobie. Nie wierzę, żeby zostawił Amelię samą. Mam rację, Jennifer?

— Chciałabym, abys ją miał — odpowiedziała wymijająco psychołożka. — Pewno masz — dodała szybko. — Znasz Briana lepiej od nas.

— Cholera, Jennifer! Znam go od lat! O co wy go podejrzewacie?

— Cholera, koleś! O nic go nie podejrzewamy! Dziwi nas jedynie jego zachowanie i tyle! Mamy ważniejsze sprawy na głowie od twego charyzmatycznego, utulanego pastora! Cztery porwania! Jatka w kuchni! Czekaliśmy na ciebie...

— I chyba nie tylko na mnie, Peters? Kiedy pojawi się ekipa?

— Nie pojawi się, koleś. Jennifer zarządziła ciszę. Chyba ma rację... Po pierwsze, ekipa gówno znajdzie. Nasz potwór nie zostawia śladów. Sami się zabawimy w ekipę. Wzięliśmy ze sobą podstawowy sprzęt. Wiadomość o porwaniu kolejnej ofiary rozeszłaby się migiem po mieście. Nasz potwór, według Jennifer, powinien czuć się komfortowo bezpieczny. Według niej ich wszystkich nie da rady teraz zabić. Poczekaj do nocy... Koleś, jakoś mi nietępo wyglądasz. A w ogóle, cholera, gdzie się podziewałeś? Wyciągnąłeś od tej nieszczęsnej matki, kto jest tym pieprzonym pedofilem z przeszłości? Czy to się da powiązać z naszym mordercą?

Powiedzieć mu o panu Jonie? Nie. Powiedzieć o swoim prywatnym śledztwie? Cholera, nie! Zbyt wiele pytań, na które nie znam odpowiedzi. Nawet o tych oponach nie powiem. O niczym.

— Może... Nie wiem... Nie wściekaj się, Peters. Chyba w tej chwili najważniejsze jest ustalenie, w jaki sposób doszło do porwania Amelii! Nie rozumiem, czemu tu siedzicie?

— Stan, my już to obejrzelśmy. Peters ma własną teorię, jak do tego doszło. Czekaliśmy na ciebie. — Jennifer się wzdrygnęła, łapczywie zaciągając się papierosem. — Według mnie teoria Petersa jest naciągana. Zawiera istotne luki.

— Przecież nie twierdzę, że jest doskonała! I nie teoria, a pierwsze, luźne wnioski! Luźne! Tu wszystko jest tak popieprzone, że nie wiadomo, co z czym powiązać! Nic do niczego nie pasuje! A jeżeli Jennifer się nie myli, facet zabije ich nocą...

— Nie myślę się — Whitaker przerwała nerwowe okrzyki Petersa. — Nocą. Do nocy jeszcze istnieje szansa.

— Wariatka! Jaka szansa? Nie odnaleźliśmy toyoty Anny. Uchlany pastorek przysięga, że niczego nie słyszał! Nie mamy pojęcia, gdzie jest ta ukryta rzeźnia! A ta nawija o szansie! Najmniejszej szansy, Jennifer. Jezus, a jeżeli należało wezwać ekipę?

— Peters, ekipę wezwiesz, gdy wspólnie z szeryfem stwierdzicie, że wymiękniecie. A swego tyłka tak czy siak nie ochronisz. To również twoja szansa, Peters, żeby zdążyć przed nocą. Upierasz się niczym ostatni osioł, że rzeźnię zorganizował daleko poza miastem. Niemożliwe, Peters. On ją ma tutaj, w mieście. Lub na jego obrzeżach. W każdym razem blisko. Przy swoim domu. Nie jest samotnikiem jak doktor Tracy ani zatwardziałym, starym kawalerem. Ma rodzinę. Żonę, dzieci, może i wnuki. Czy to dla niego problem wrócić do swego domu z nieprzytomną ofiarą w bagażniku? Zjeść sobie spokojnie lunch, kolację, podać żonie środek nasenny, wymknąć się i przenieść ofiarę do swojej kryjówki... Noc. Domownicy śpią. Mnóstwo czasu na powolne, długie zabijanie. Mnóstwo czasu na preparowanie skalpów, na wrywanie serc.

— Bzdura! Idiotyzm! — zasapał rozdygotany Peters.

— Okay. Bzdura. — Uśmiech Jennifer wypadł słabo. — Idźcie już dokumentować zbrodnię.

- A ty?

— Po raz drugi oglądać oderżnięte palce Amelii? Kałuże krwi? Beze mnie, okay?

— Będziesz rozwalala się w fotelu?

— Nie. Obejrzę sobie dokładnie dom. I mnie zastanawia zachowania pastora. To wasza działka, zastąpić ekipę. Do roboty! Pospieszcie się!

— Jeżeli się mylisz, Jennifer, i przez twoje wybujałe ambicje, które ci każą zawsze być najlepszą, wszyscy zginą, odpowiedzialność spadnie na ciebie! Nie na nas!

— Okay. Spadnie. A swoje ambicje, palancie, dawno zamknęłam w sejfie.

— Peters, to jałowa dyskusja. Idziemy. Ponieważ nie mam pojęcia o tym, co już wiecie, wprowadź mnie w to szybko — odezwał się Haig, czując znajome sztywnienie karku. Bał się. Bał się tego, co za moment przyjdzie mu oglądać.

— No dobra, koleś. Porwał ją z kuchni — wyjaśniał chrapliwym od grozy głosem Peters. — Kuchnię zostawimy sobie teraz na koniec, bo w niej łatwo ustalić przebieg zdarzeń. Spójrz, tuż za drzwiami, krew. Rozmazana. Wlazł w nią ululany pastorek, wchodząc do kuchni.

Patrz, dalej smuga krwi ciągnie się przez hol do tylnego wyjścia na ich ogródek. Co sądzisz o tej smudze, koleś?

— Jest długa... Szeroka... Ciągnął Amelię po posadzce. Chyba za włosy... Zrób zdjęcia, Peters. Za włosy, brutalnie. Pozostawił ich tu, wyrwanych, mnóstwo. Spieszył się.

Wiem, dlaczego się śpieszyłeś, draniu. I to jest moja nad tobą przewaga. Zadałeś sobie niepotrzebny trud, usuwając ślady opon z podjazdu Louise. Sfilmowałem je, gnojku. Dopadnę cię. Nie zdążysz ich zabić. Jest tak, jak mówi Jennifer. Dokładnie. Rzeźnię masz przy domu...

— Są też ślady jego buciorów. Ale spójrz tu, koleś. Na zakurzonej posadzce wyraźny kształt ciała. A dalej, poza śladami buciorów, wszystko się urywa. Co zrobił z ciałem? Z krwią? A drzwi do ogródka zamknięte na klucz. Natomiast w ogródku znowu ślady buciorów. Wprost do furtki w parkanie...

— Filmuj... Daruj sobie szukanie odcisków jego paluchów... Niech pomyślę... Na jego miejscu wziąłbym ze sobą wór.

— Po cholere mu wór? Spieszył się... Włókł kobietę, nie zważając, że wraz z jej krwią zostawia ślad ciała na posadzce!

— Włókł za włosy, Peters. Dlaczego akurat za włosy? Żeby samemu nie ubrudzić się jej krwią. Wór, żeby do niego wpakować ciało.

— Koleś! Pakując ciało do wora, również ubrudziłby się krwią! Bardziej mi pasuje facet ubrany w jakiś pieprzony kombinezon ochronny! W strój jakiegoś pieprzonego hydraulika od brudnej roboty! Którego się gdzieś pozbędzie! W tej swojej rzeźni na przykład!

— O ile jego rzeźnia znajduje się na pustkowiu. Nie zabijaj mnie wzrokiem, Peters. Pomyśl. To jest ktoś dobrze ludziom znany. Czy ktoś taki porusza się po mieście ubrany w brudny kombinezon, udając hydraulika? Nie. On, przejeżdżając w świetle dnia przez miasto, ma na sobie elegancki garnitur. Jest kimś, Peters. Kimś ogólnie szanowanym, poza wszelkim podejrzeniem. Dlatego zabiera wór...

— Cholera, racja! W kuchni opasał się fartuchem Amelii! Został zakrwawiony fartuch na krześle! Czyli to musiało być tak: dowłókł Amelię do tego miejsca. Wpakował ją do wora... Koleś, ale ona nadal musiała krwawić, a tu krwi brak?

— Jezu, Peters! On chciał żywą Amelię, niewykrwawioną na śmierć. Zapomniałeś, że zna się na medycynie. Drań się przygotował. Założyć komuś tamujący krew ucisk to dla niego drobiazg, chwila

moment! Zbierz z tego miejsca próbki krwi. Wiem, że to krew Amelii, ale poza jej włosami może znajdą się jakieś włókna wora... Wór zarzucił na plecy... Ślady buciorów prowadzą do oszklonych drzwi. Zamkniętych. Sądziłem, że wybił szybę...

— Co tam mruyczysz pod nosem, koleś?

— Mówię, że drzwi do ogródka są zamknięte... A to znaczy... To znaczy, Peters, że on miał klucz. Chryste, Peters! To znaczy, że ów klucz zabrał Fordom jeszcze przed porwaniem Erica! To znaczy, że początkowo zamierzał porwać dzieciaka z jego pokoju na górze! Dość się od strony ogródka... Peters, byliście z Jennifer w ogródku?

— Nie. Doszliśmy dokładnie tu i zgłupieliśmy. Cofnęliśmy się ponownie do kuchni. Sfilmowałem, co się dało, każdą plamkę, rozprysk krwi, ofiarny stół, zabezpieczyłem dla patologa urzniete palce Amelii... Kurwa, Haig! On je rzępolił tęnym nożem! Nóż zostawił. Też zabezpieczyłem. Jennifer powiedziała, że poza potężną dawką chloroformu nie istnieje taki porażający środek znieczulający, który by sprawił, iż Amelia podczas zadawania tak potwornego bólu pozostała nadal nieprzytomna.

— Znał Amelię. Wiedział, że jest chorowita, słaba. Nie zaryzykował zbyt dużej dawki chloroformu. Chciał ją żywą. Chryste, Peters! Stąd tyle wyrwanych włosów. Ona się broniła, walczyła o życie... Co go zapewne podniecało... — Haigowi głos uwiązł w gardle. Zobaczył ją, drobną, może w tej swojej krwawej drodze bestialsko kopaną, z oczami utkwionymi w tak dobrze sobie znajomą, dobrą, miłą twarz...

— Racja. Nie zaryzykował. Nawet jeśli zalepił jej usta taśmą, szarpała się. Koleś, w tym pieprzonym holu nie udało mu się przeciągnąć ciała bezgłośnie. A ten bydlak, nasz pastorek, gadał, że niczego nie słyszał, bo spał nawalony! Jennifer usiłowała go przycisnąć, ale gadka z nim, srającym w gacie ze strachu, powtarzającym, że to jego mógł zabić, jego, jego, nie miała sensu. Wtedy zadzwoniła po ciebie. Nie ryzykował, przewidujący drań! Kurwa, koleś! W dupie mam, że mi się do niej wewnętrzni dobiorą, bo się dobiorą, odsuną od sprawy, ale wtedy przyjadę tu już nie jako glina, ale jako twój przyjaciel, koleś, i ty mi pozwolisz brać udział w poszukiwaniach tego cholernego zbozczeńca! Muszę mu spojrzeć w oczy. Muszę, rozumiesz?

— Rozumiem. Poza tym jeszcze cię nie wypieprzyli. Jeszcze mamy szansę, Peters. Trzeba teraz zbadać ślady w ogródku Fordów.

Marne szanse, żeby poza odciskami buciorów jakieś pozostawił. Ale trzeba.

Nie pozostawił, żadnych. Jedynie uchyloną furtkę.

Wyszli za parkan na pasek asfaltu.

— No tak — stwierdził ponuro Peters. — Wysokie, rozrośnięte drzewa, zza których nie widać nawet jednej ławki. Podjechał swoją bryką wprost pod furtkę. Nie wysiłał się, wisi na jednym zawiasie... Ślad bieżnika... Cholera, koleś, spójrz: ślady wielu różnych bieżników, nakładających się na siebie! Jakby przyjeżdżał tu wielokrotnie, za każdym razem innym wozem. Aż taki sprytny? No nic... Zrobię zdjęcia w fiolecie i w podczerwieni... Ublągam Roya, żeby je zidentyfikował, trzymając głębę na kłódkę. Jakoś go zabajeruję. Dobrze gadam?

Powiedzieć Petersowi, że to zbyt uczynne? Że ma superwyraźne ślady opon z podjazdu Louise? Ale wówczas musiałby powiedzieć wszystko. Nie. Zaczną się wyrzuty, że milczał. Peters zarzuci go lawiną pytań. Więc nie. Brak czasu na wyjaśnienia. Zobaczyć jeszcze kuchnię. I spłynąć. Do swego prywatnego śledztwa. Nim twój Roy wyodrębni z tej plątaniny śladów fragmenty poszczególnych bieżników, podjadę na posterunek. Według grafiku dyżur pełni Ricky. Nic, co dotyczy samochodów, nawet z zeszłego stulecia, nie jest mu obce. Pokażę mu zdjęcie bieżnika. Jeśli uda mu się rozpoznać markę opony, to resztę znajdę w Googlach. A potem pomalutku, Haig. Znając właściciela, nadal pomalutku, ostrożnie. Byle głupstwo, jedno nieopatrzone słowo, gest, mogą go spłoszyć. Znając właściciela, Haig, zgodnie z planem, przyciśniesz doktora. Doktor jest twoim wabiem. Doktor bezbłędnie doprowadzi cię do mordercy. Wtedy dopiero zawiadomisz Petersa. Nasze wozy otoczą cię, draniu, w ciszy. Bez włączonych syren, bez migających świateł. Chryste, dopomóż mi. Pozwól zdążyć przed nocą. Pozwól ocalić ofiary.

— Doskonale gadasz, Peters. Wracajmy. Chcę zobaczyć kuchnię.

— Nie musisz. Sfilmowałem calutką.

— Nie muszę, ale chcę. Palce Amelii też.

— Porzygasz się. Jennifer się porzygała.

— To się porzygam.

— Znam cię, koleś. Sądziś, że coś przeoczyłem — naburmuszył się Peters.

— Nie. Po prostu chcę.

— No dobra. Jesteś porąbany. Ja tam z tobą nie wejdem.

Haig zatrzymał się w progu. Przed nim — rozmazana plama krwi, jakby się ktoś na niej poślizgnął. Nie morderca. Siady jego buciorów są obok. To Brian. W takim razie mówił prawdę. Nie słyszał ani wejścia mordercy, ani szamotaniny Amelii. Obudził się skacowany. Upijał się, żeby nie pamiętać, nie myśleć, nie cierpieć. Obudził się, powlókł się z sypialni do kuchni, gasić kaca...

Przyglądał się strużkom zakrzepłej krwi. Prowadziły prosto do stołu. A zakrwawione ślady kapci Briana prosto do zlewu. Wszedł. Poślizgnął się. Przyjrzyj się temu poślizgnięciu uważnie, Haig. Tu wyraźnie widać, o tu, dwa okrągławe miejsca prawie bez krwi. Poślizgnął się i upadł, zgarniając krew na kolana? Zgadza się: spodnie Briana we krwi... Nie zorientował się, że to krew? Aż tak był wlane? Dobrze, był aż tak wlane, nie zorientował się. Jednak nie tkwił w tej krwi na kolanach bez końca. Wstał. Jest nieco niższy niż ty, Haig. Lecz nie jest karzełkiem. Strużek krwi mógł nie zauważyć. Ale stół? Jezu, stół przed nim, jak ołtarz ofiarny, cały we krwi. Dlaczego, zamiast biec do tego stołu, krzycząc z przerażenia, wyjąc z rozpaczy, podreptał do zlewu?

— Peters! Jesteś tam?! — krzyknął. — Dłonie Briana! Na dłoniach powinien mieć krew!

— Właśnie o to chodzi, że nie miał. Były czyściuteńkie, koleś.

— A jego komórka?

— Też czyściutka. Pozostaje fundamentalne pytanie: czy ręce umył, zanim do nas zadzwonił, czy potem, gdy zobaczył stół? I gdzie te swoje łapska umył?

Nie ma wątpliwości. Tu upadł na kolana. Potem podszedł do zlewu. Umył ręce z krwi. Spłukał zlew. Musiał długo spłukiwać. Długo puszczać wodę. Od zlewu ślady kapci Briana prowadzą do stołu. Tu, w tym miejscu przy stole, stał. W jednym miejscu. Tylko w jednym, bo od tego miejsca ślady jego kapci zawracają ku drzwiom kuchni. Dlaczego w jednym? Zobaczył palce Amelii na talerzyku. Obok zakrwawiony nóż. Nawet najbardziej pijany facet na ten widok by wytrzeźwiał. Zwłaszcza facet, któremu kilka dni wcześniej porwano i zabito ukochanego syna. Widzi krew, jatkę, palce ukochanej żony... Od razu wie, że żonę spotkał ten sam los co Erica. Dlaczego nie rusza się z miejsca? Paraliżuje go ten koszmarny widok? Odbiera zdolność myślenia? Załóż, że tak, Haig. Brian stoi, patrzy. Nie może się nawet poruszyć. Lecz w którymś momencie dociera do niego cała prawda.

Że Amelię porwał morderca syna. Postanawia zawiadomić policję. Wychodzi. Wychodzi, Haig, nie biegnie, bo te ślady jego kapci wykazują ostrożność, nie pośpiech; omijają ścieżki krwi z taką zastanawiającą rozważą, jakby patrzył pod nogi, aby w nie przypadkiem nie wdepnąć... Ale spodni nie zmienił... Ani nie usiłował zmyć krwi z podeszew kapci...

— No, nareszcie — powiedział Peters. — I co? Strasznie jesteś spięty, koleś? Coś jednak przeoczyłem?

— Ręce umył w kuchennym zlewie. Zlew dokładnie splukał. Zdjąłeś odciski palców ze zlewu, Peters?

— Cholera, nie. Ale zaraz zdejmę.

— Nie dzwonił na policję z kuchni. Dzwonił później.

— Jasnowidz z ciebie czy jak? Co to znaczy: później?

— Opuścił kuchnię bez pośpiechu, tym razem omijając starannie krew na posadzce. Dlatego później. Założę się, że komórkę miał przy sobie. Zadzwoił na posterunek, gdy wyszedł z kuchni. Może stąd, z holu.

— To akurat jest do sprawdzenia. Zaraz gościa wywabimy z jego pokoju rozpaczy.

— Nie. Zostaw go na razie w spokoju, Peters. Powiedz, kto odebrał zgłoszenie od Briana?

— Ricky. Mówił, że wrzeszczał jak opętany. Że cudem uniknął śmierci, bo Amelię porwano, gdy on spał, że oderżnięto jej palce i że w kuchni wszędzie jest krew! Gdy przyjechaliśmy z Jennifer, też ciągle powtarzał, że to cud, że nie jego!

Więc zgadza się. Stał i przyglądał się palcom żony... Jezu, Brian, czemu? Czemu się temu przyglądałeś? Kim ty naprawdę jesteś, człowieku? Sądziłem, że bez skazy... Najlepszym mężem, najlepszym ojcem... A ty stałeś i się przyglądałeś...

— Stan! Peters! Chodźcie, chodźcie! Musicie to zobaczyć! — przywołała ich Jennifer. — Najpierw tu. Do ich sypialni. Widzicie?

Mażeńskie łóżko pastorów było starannie zasłane.

— Spali oddzielnie. Dlaczego? — Jennifer z trudem powstrzymała krzyk. — Dwoje kochających się ludzi, złączonych tragedią, i oddzielnie? Każde gdzie indziej? Nie ze sobą? Taki dramat nie rozdziela, lecz łączy... Spójrzcie jeszcze tu... Koło łóżka. Widzicie? Garść włosów, wyrwana z cebulkami. Amelia je sobie wyrwała w rozpaczy? Czy ktoś ją tu szarpał, znęcał się nad nią w napadzie furii? Kto? Byli sami. Ona i jej mąż. To nie są świeżo wyrwane włosy... Zajrzyjcie tu,

do pokoju przy sypialni, z którego porwano im synka... Widzicie? To kapcie Amelii... Tam jej bielizna... Pościel rozgrzebana... Ona sypiała tu po śmierci syna. Nie z mężem. Dlaczego nie z mężem? Dlaczego sama? Teraz chodźcie tu. Pod łazienkę obok sypialni. Widzicie? Kto usiłował wyważyć drzwi. Zawiasy są obruszone. Na drzwiach wcięcie. Jakby od walenia albo napierania barkiem. Kto usiłował wyważyć te drzwi? I kiedy? Dziś na pewno nie! Więc kiedy? Wtedy gdy Amelii udało się uciec do łazienki i wezwać pomoc. Przed kim uciec? Byli przecież sami. Ona i Brian. A teraz odpowiedzcie na pytanie: dlaczego Brian wyniósł się na górę? Nie wiecie? Bo wcześniej na nią w ataku furii napadł. Uciekła do łazienki. Usiłował wyważyć drzwi. Ktoś temu przeszkodził. Kto? Kogoś udało się Amelii wezwać na pomoc. Kogo? Mówiliście, że gdy ekipa techniczna opuściła Long Street, doktor Tracy nagle pojawił się przed domem pastorów. Śpieszył się tak, że zostawił otwarte drzwi od samochodu, nawet zapomniał o swojej torbie lekarskiej. Razem z wami uznałam zachowanie doktora za mocno podejrzanę. A jeśli wezwany przez Amelię, biegł jej na pomoc? Powstrzymać furiata? Powiem wam więcej. Znam takich charyzmatycznych drani. Wiesz o kim mówię, Peters! Którzy uważają siebie za nadludzi, pogardzają kobietami. Jurnych drani. Potrzebujących tych pogardzanych przez siebie kobiet wieczorem i nad ranem. Wystarczy, że taki drań spojrzy na twój tyłek i już mu staje! Już musi cię mieć. A odmawiając mu, tak ranisz jego męską ambicję, że gotów cię pobić do nieprzytomności i nieprzytomnej wsadzić w pochwę swego wielkiego penisa! — Szare oczy Jennifer nabrały stalowych blasków, stały się dwiema bryłkami lodu. — Nie patrz na mnie w ten sposób, Stan. Zgadza się, przerabiałam to na własnej skórze. Mój mąż... W tak zwanej pierwszej młodości był charyzmatycznym agentem FBI. Bardzo, bardzo charyzmatycznym, prawda, Peters? Chętnie wyciągał spluwę. Zbyt chętnie. Za co go z FBI wywalono. Wtedy doznał objawienia. Odbił studia, został charyzmatycznym pastorem, bez grosza w kieszeni, ponieważ jego charyzma kazała mu miłosiernie wspomagać biednych. Zapomniano o jego wyczynach w FBI. Uważano go niemal za świętego. Porywał wiernych swoimi kazaniami. I mnie porwał. Wychodząc za niego, sądziłam, że zawsze odtąd świecić mi będzie jasna gwiazda. Że będę „czuć bez końca, jak jego oddech unosi mnie sennie; na sen nie tracić odtąd ani chwili więcej, i wciąż, wciąż słyszeć równy puls serca w jego piersi; i żyć tak wiecznie, zapadając w

wieczność śmierci...”. Moja jasna gwiazda szybko zgasła. Nie miał już spluwy, za to pięści, z których korzystał, ucząc mnie posłuszeństwa wobec siebie. Nie byłam posłuszna. W drugim tygodniu małżeństwa ocknęłam się na podłodze z wywichniętą szczęką, a on zapinał rozporok. Po czym udał się wygłosić kolejne charyzmatyczne kazanie. Okay. Cwany facecik. Potrzebna mu była baba z kasą. Jego czeki spłacałam długo po rozwodzie. Okay. Okay, do cholery! Koniec zwierzeń, okay? — Jennifer Whitaker przygryzła wargę. Przez moment przyglądała się Haigowi, jakby go widziała po raz pierwszy w życiu. Zapaliła papierosa, aby go natychmiast zgasić i zapalić następnego. Wybuchnęła tłumionym krzykiem: — Powiem tak, Stan! Tobie się jedynie wydawało, że znasz Briana! Amelia, tak jak ja, nie miała wyboru. Bez wykształcenia, bez własnej kasy, całkowicie uzależniona od tego charyzmatycznego drania. Nie miała też dokąd od niego uciec, zwłaszcza gdy urodziła dziecko. Może go i nawet kochała, bo kobiety są idiotkami. A znając to twoje pieprzone miasto, Stan, nie miała nawet komu się poskarżyć ani przed kim wyzalić, bo przecież jej mąż to nieomal święty, więc by ją oskarżono o niewdzięczność i Bóg wie, o co jeszcze. Okay. Nie było mnie tu, gdy porwano Erica. Nie sądzę, abyście wtedy zwracali szczególną uwagę na Briana...

— Do czego zmierzasz, pani doktor? — zapytał Peters.

— Do tego, barany, że Brian to drań! A ja chciałabym wiedzieć, dlaczego Amelia nie czuwała przy łóżku chorego dziecka! Nie ścierała mu potu z czoła. Nie trzymała go za rączkę. Stan, zastanawiałeś się, dlaczego swoją matczyną troskliwość ograniczała do podawania synkowi antybiotyku, ale zalegała obok męża w sypialni? No tak, dlaczego miałbyś się zastanawiać? Bo on z nią uprawiał seks! I pewno, kiedy poszła dać dziecku lekarstwo, leżał wściekły, bo niezaspokojony, wciąż ze sterczącym fiutem! Odczekał, aż technicy odjadą. Aż zostaną sami. Może, biedaczka, usiłowała go pocieszać, bo ty im, Stan, nałgałeś, dałeś nadzieję, której ona się uczepiła, w przeciwieństwie do Briana. Wystarczyło jedno słowo, żeby dostał napadu furii. Przecież on się nie czuł winny. On całą winą obarczył Amelię. Powiedziała coś nie tak. I wystarczyło. Stał się furią. Wymierzył jej karę za syna... Skończyłam. Aha, jeszcze jedno. Zauważyliście u pastorka opatrunek na łuku brwiowym? Zsiniałą powiekę lewego oka? Amelia się broniła.

— Koles? Co ty na to? Siniak jak diabli. Opatrunek też.

— Nie wiem... Tak mogło być.

Cholera, Brian, tak było. Amelia jest szczęśliwa, bo ma serce wazszego synka. Pochowa je. Będzie się do niego modlić... Twój głos ironiczny, potem wściekły, agresywny... Brian, wyprowadziłeś się na górę, żeby nie widzieć swojej żony? Nie spotykać jej? Byłeś ciągle pełen furii. Chyba masz rację, Jennifer. Doktor Tracy przyznał na pomoc Amelii. Amelia się broniła. Tracy zastał cię, Brian, wylamującego drzwi do łazienki. Niewygodny świadek. Pewno ci zagroził policją. Wyprowadziłeś się na górę ze strachu przed samym sobą. Dyszałeś pragnieniem ukarania kobiety, którą uznałeś za winną porwania twego ukochanego syna, a której nie wolno ci już było tknąć nawet palcem. To dlatego, Brian, stałeś i przyglądałeś się jej oderzniętym palcom... Dlatego tak ostrożnie wycofałeś się z kuchni... Brian, czy w ogóle chciałeś nas powiadomić o porwaniu? Może dopiero tam, za drzwiami kuchni, uświadomiłeś sobie, że morderca mógł i ciebie... i ciebie, Brian...

— Koleś! Mogło czy było? Według mnie było. Dobra. Idę przycisnąć pastorka. Idziesz ze mną?

— Nie. Mnie się nie obawia, bo jestem swój. Ciebie się wystraszy. Nie miej dla niego litości.

— Żadnej, koleś. Potem przyciśniemy doktora Tracy'ego. Na pewno ma coś na pastora. Coś, za co odpowie przed sądem.

Zostali sami, szeryf i psycholożka.

— Jennifer. Ufasz mi?

— Cóż to za idiotyczne pytanie, Stan? Przecież przed chwilą ci zaufałam. Cokolwiek mi teraz, pod nieobecność Petersa, powiesz, zostanie między nami.

— Jennifer, tego, czego się w międzyczasie dowiedziałem, nie potrafię jeszcze ułożyć w logiczną całość. Muszę się stąd natychmiast ulotnić. Na pewno ich zabije nocą?

— Na pewno, Stan. Weź też pod uwagę to, co mówiłam o jego rzeźni. Ulokował ją w pobliżu własnego domu.

— O tym jestem przekonany. Ten klocek pasuje jak ulał do mojej układanki. Brak mi ciągle innych klocków.

— Mogłabym ci jakoś pomóc?

— W jednym tak. Wymyśl przekonywającą bajeczkę usprawiedliwiającą mnie przed Petersem.

— Okay, wymyślę. Stan — spojrzała na niego w napięciu — ty prawie wiesz, kto to jest?

— Prawie nie znaczy, że wiem. Brakuje sporo klocków do tej cholernej układanki. Pędzę na posterunek.

— Odbiło ci, Stan? Na posterunek? To ostatnie miejsce, w jakim wolno ci się teraz pokazać, jeśli Peters ma o niczym nie wiedzieć.

— Jennifer! Muszę się dostać do bazy danych szpitala, w którym pracował doktor Tracy!

— Zrobię to za ciebie. Co ci potrzebne? Mów szybko!

— Rzeczywiście! Byle nie na posterunek... Peters się wścieknie. Wyśle po mnie patrol... Poczekaj, niech pomyślę...

Haig wpadł w panikę. Czas ucieka. Żeby przycisnąć doktora, powinienem wiedzieć, kim była Linda Snow. Ten dziki strach w jego oczach, gdy twierdził, że jej więcej nie spotkał. Ależ on ją spotkał! On się jej straszliwie obawia. Może ciągle go prześladowuje tym swoim Jesteś tylko mój"? Gdzieś tu mieszka pod kolejnym fałszywym nazwiskiem? No i Ricky... Muszę znać markę opony...

— Jennifer, kobieta z życiorysu doktora Tracy. Linda Snow. Pracowała razem z nim w szpitalu uniwersyteckim w Pensylwanii jako wolontariuszka. Posługiwała się fałszywymi dokumentami dawno zmarłej kobiety, właśnie o nazwisku Linda Snow. Prześladowała doktora obsesyjną miłością do tego stopnia, że postanowił się z nią ożenić. Nie przysłała na własny ślub. Gdy na nią czekał w kościele, okradła doszczętnie jego mieszkanie, pozostawiając karteczkę ze swoim obsesyjnie powtarzanym mu wyznaniem miłości: „Jesteś tylko mój”... Cholera, gdzieś niedawno słyszałem podobną odzywkę: „Jesteś tylko mój”...

— Przypomnisz sobie. Okay, sprawdzę i szpital. Mam tam dobrych znajomych, taką wariatkę na pewno zapamiętali. Wolontariuszka. Nosiła identyfikator ze zdjęciem. Może w archiwach szpitala znajdą jej zdjęcie... To nie będzie łatwe, Stan. Warto jednak spróbować, nie? Nie załamuj się. Mam przyjaciela w komendzie w Des Moines. Zadzwońię do niego. Prześle mi na moją komórkę wszystko, co znajdzie o Lindzie Snow, a ja prześlę to natychmiast na twoją. I tak musiałbyś wchodzić w bazę danych komendy. Zrobię to i szybciej, i w tajemnicy przed Petersem. Coś jeszcze, Stan? Bo widzę, że jeszcze jakiś klocek jest ci natychmiast potrzebny.

— Najważniejszy! Potrzebny mi spec od samochodów!

— Od samochodów? Znaczy, że...

— Nic na razie nie znaczy! Zostawił ślady opon na podjeździe Louise Duval.

— On nie zostawia śladów, Stan — zdumiała się Jennifer.

— Tym razem zostawił! Nie zdążył ich usunąć. Sfilmowałem te ślady...

— Chryste, masz dowód...

— Ach, pani doktor. Dość pytań. Nie znasz się na brykach! Ja też nie! A mnie się śpieszy! Ricky się zna! Każę mu zamknąć gębę. Chole-
ra, zadzwonię do niego, bo faktycznie nie wolno mi pokazywać się na posterunku.

— Zależy, na jakich brykach, Stan? Od lat zmieniam bryki jak rękawiczki. Lubię drogie, nowe, modne u nas wozy europejskie. Pokaż film. A nóż widelec...

— O Jezu, Jennifer, aleś ty upierdliwa.

— Pokazuj, szeryfie — powiedziała tonem nieznoszącym sprzeciwu. — Niczego nie ryzykujesz. Ryzykujesz, wciągając w to Ricky'ego. A na objeżdżanie warsztatów samochodowych brak ci czasu.

Im szybciej jej pokażę, tym szybciej będę ją miał z głowy. Co za baba! Zawsze ma rację.

Pokazał jej film. Tylko pośpiesz się, Jennifer! Jezu, ona się uśmiecha?

— Niepotrzebny ci Ricky. Masz szczęście, olbrzymie. To bieżnik opon marki Continental — odpowiedziała z dumą.

— Chryste, skąd wiesz?

— Bo jeżdżę audi Q7. To duży wóz, z potężnym bagażnikiem, zaciemnionymi szybami. Stan, z tobą wszystko w porządku? Zbladłeś... Słabo ci?

— Jesteś pewna na sto procent? — z trudem poruszył drętwiejącymi wargami. Audi z zaciemnionymi szybami jeździ Jon Milton.

— Nawet na sto i jeden procent... Stan! Dokąd to? Dokąd?

3.

Przede wszystkim sprawdzić, czy Jon Milton usunął ślady opon. Jennifer, jeżeli to on, twój portret psychologiczny jest nic niewart. Jon Milton – pedofil, tak. Jon Milton – schizofreniczny paranoidalny psychopata, nie! Nie potrafiłby przez tyle lat utrzymać swojej choroby w tajemnicy. Przed rodziną. Przed ludźmi. Ale doktor Tracy potwierdził, że chodzi o schizofrenika, nieleczzonego od lat! I doktor śmiertelnie się go obawia. Chroni go. Wie, kto nim jest. Był gotów wziąć na siebie winę za jego zbrodnie. Ocalić kogoś, kogo kocha jak syna. Czy na pewno chodzi o Jonathana? Louise Duval powiedziała, że doktor rzeczywiście kocha go jak syna. Powinienem być zapytać Jennifer, czy takie uczucie jest możliwe. Jonathan nie jest synem doktora! Przestań dywagować, Haig. Jedź. Bocznyimi uliczkami. Nie wiesz, czy Jennifer udało się okłamać Petersa. Peters nie ma pojęcia, że jedziesz pod dom Louise Duval. Że potem pojedziesz obejrzeć sobie siedlisko Miltonów. Tam musisz odciągnąć Ruth pod byle pretekstem na bok. Cholera wie, może z niej taka dobra żona, że jednak chroniła męża? Nie, to niemożliwe. Niepasujące do niej. Ruth kocha wszystkie dzieciaki z całego miasta. Nie zniosłaby świadomości, że ma za męża oprawcę dzieci. Zboczonego mordercę.

Morderca ma swoją kryjówkę przy domu. Do dziś mogliśmy sądzić, że zakamuflował ją gdzieś jak najdalej od miasta. Od dziś wiemy, że nie. Nie zdążyłby porwać czterech osób, wywieźć ich za miasto i wrócić do domu bez wzbudzania podejrzeń rodziny.

A jeśli powiedział rodzinie, że dziś ma nie czekać z lunchem? Ani w ogóle nie czekać, bo na przykład musi załatwić jakiś biznes poza granicami stanu. Że przenocuje w hotelu. Jon Milton często wyjeżdża w sprawach biznesowych.

Cholera, znowu Jon Milton! Ale Jon nie zagraża Jonathanowi, o którego tak się boi doktor Tracy! Chroni go wspólnie z Ruth. Przed kim Jon chroni syna? Też zna mordercę? Morderca i jego szantażuje?

A Ruth? Jej miłość do Jonathana, znana powszechnie wszystkim? Ruth, broniąca syna jak lwica przed zarzutami Gordona Cassela. Może wcale nie z powodu awantury pognąła nocą po Jonathana do Des Moines. Bo dlaczego od tego czasu starała się go ukrywać w domu? Jestem przekonany, że choroba Jonathana została upozorowana. Że go na wszelki wypadek, zapobiegawczo ucharakteryzowali, aby wyglądał na ciężko chorego. Doktor Tracy podłączył kroplówki. Z jakimś placebo, obojętnym dla rzekomego pacjenta. Czy w takim razie Ruth też wie?

Jezu, może wie! Może naprawdę zemdląła, słysząc ostrzeżenie Petersa?

Zbyt wiele tych może, Haig.

Najpierw sprawdź podjazd u Louise. Potem zdecydujesz, do kogo najpierw: do Miltonów czy do doktora. W jednym się Jennifer nie myli. Zabije ich nocą.

Boże miłosierny, zaraz się ściemni! Nie zdążę przed nocą. Nie zdążę.

Dojeżdżając pod rudereę Louise, zobaczył podniesioną bramę garażu i dostrzegł czerwień toyoty Anny.

Więc jednak był.

Był i dla zaznaczenia swojej przewagi prowokacyjnie otworzył garaż. Liczył się więc z tym, że prędzej czy później tu za nim trafią.

Ale nie wiesz, draniu, że cię wyprzedziłem. Nie wiesz, że znam markę twojego wozu, panie Jonie. Audi z przyciemnionymi szybami, obszernym bagażnikiem... Jezu, Haig! Takie audi ma jeszcze Jack Browning i chyba... Chyba ostatnio kupił je też nasz świetnie prosperujący weterynarz... On również, jak Miltonowie, mieszka wraz z liczną rodziną w wielkim domu, na ogromnym, zadrzewionym jak park siedlisku... Dobra. Zacznę jednak od ciebie, panie Jonie... Pogadamy z Ruth. Z Jonathanem. O, mam wam wiele pytań do zadania — mnóstwo, mnóstwo pytań!

Zatrzymał mustanga. Wysiadł. Poczuł znajome drętwienie karku, warg, dławienie gardła.

Śladów po oponach marki Continental ani po bentleyu, ani po toyocie, ani po buciorach już nie było. Podjazd został starannie zamieciony z wszelkiego kurzu. W poprzek wielkimi, drukowanymi

literami ciągnął się napis wykonany białą kredą: WSZYSTKIE BĘDZIECIE UKARANE.

Wszystkie? Wszystkie?

Karteczka znaleziona przy Patricku zawierała słowo WSZYSCY. Karteczka w sercu Erica dopowiadała BĘDZIECIE.

Zamienił WSZYSCY na WSZYSTKIE?

Zapomniał, co napisał na pierwszej kartce?

On nie z tych, co zapominają. WSZYSTKIE?

Wszystkie, czyli one?

Rodzaj żeński: wszystkie.

WSZYSTKIE. Najpierw Emily. Potem Annette. Anna. Louise. Amelia. Chris zaplątał mu się przez przypadek. WSZYSTKIE jego słodkie dziewczynki. I te, które z jego słodkimi dziewczynkami miały bezpośredni związek.

WSZYSTKIE BĘDZIECIE UKARANE.

To pan Jon.

Została mu Carol. I Leda Hening.

Do Carol dziś już się nie dobierze. Jezu, a Leda?! Jeśli ją zdążył porwać przed Louise? Zawzięta, twarda Leda Hening. Najbardziej niebezpieczny świadek, odkąd umarła jej Annette.

Sparaliżowanymi palcami wybrał numer Ledy Hening.

— Czego? — warknęła.

— Ledo, na miłość boską, uważaj na siebie! — krzyknął.

— Stanleyu Haig. Przerwałeś mi modlitwę za duszę córki. Odwal się. Dopadnij pana Jona.

Patrzył na gasnący wyświetlacz komórki.

Dopaść pana Jona. Tak, dopaść go. Zaraz, natychmiast. Niech tylko minie drętwienie nóg.

Dopaść.

Dopaść.

WSZYSTKIE BĘDZIECIE UKARANE.

Jeżeli nie dopadnę cię przed nocą, panie Jonie, morderco, znajdziesz sposób i na Carol, i na Ledę. Na Ledę przede wszystkim. Nie rozumiem, czemu od niej nie zacząłeś? Na twoim miejscu zacząłbym od Ledy.

Otwarte drzwi garażu. Trzeba zobaczyć, czy usunął z garażu ślady buciorów.

Pokonując opór nóg, wszedł na podjazd. Sfilmował napis. Zajrzał do garażu.

Nie usunął śladów po swoich buciorach.

Nie usunął, ponieważ liczy na swoje niepodważalne alibi z dnia porwania Patricka. Ponieważ nie wie, że mam dowód przeciwko niemu – ten bieźnik opon.

Dopóki nie znajdę tej jego rzeźni, będzie mi się mógł śmiać w nos. Czy ja jeden jeżdżę audi, szeryfie?

Haig, myśl. A jeżeli jednak ktoś Milтона wrabia? Byłby aż taki głupi, żeby podawać nam siebie jak na tacy? Otwierać garaż? Zostawiać napis, że WSZYSTKIE ukarze? Nie bierze pod uwagę, że zaczniemy się zastanawiać, jakie WSZYSTKIE? Oszczędził Ledę. Dlaczego akurat ją oszczędził? Nadal uważa, że będzie posłusznie milczała? Jest przewidujący. Zadał sobie wiele trudu, żeby nas odciągnąć od domu Louise. Zatarł ślady bieźnika. To ma być dla nas wyzwanie: ten otwarty garaż i ten napis na podjeździe. Myśl, Haig. Czy to na pewno jest wyzwanie? A może kpina? Szyderstwo z naszej nieudolności? WSZYSTKIE. Poza Ledą Hening. Przecież wie, że ten napis połączymy i z Anną, i z Louise Duval. Rozpoczniemy przesłuchania. Prędzej czy później dotrzemy do Ledy Hening. Leda tym razem, wstrząśnięta śmiercią Anny i Louise, cię nie oszczędzi. Od śmierci swojej Annette żyje w świetle gromnic, z jednym, jedynym pragnieniem: „Dopadnij pana Jona, Haig”. Leda pracowała u Louise. Często z nią rozmawiała. Była z nią blisko. Aż tak jej ust nie zatkałeś. Louise również nie. Dwie skrzywdzone przez ciebie kobiety. Wziąłeś to pod uwagę? Że mogły się sobie zwierzyć? Ty, tak perfekcyjnie przewidujący, planujący swoje zbrodnie do ostatniego szczegółu, przeoczyłbyś zastanawiającą przyjaźń Louise i Ledy? Dwóch kobiet z różnych środowisk, różnych światów? Właścicielki marketu i sprzątaczkę?

WSZYSTKIE BĘDZIECIE UKARANE.

Cholera jasna, coś mi tu nie pasuje.

Nic mi tu nie pasuje! Nawet porwanie Anny. Anna z Carol były śmiertelnie zastraszone. Anna nigdy by cię nam nie wydała. Ze względu na chorą matkę. Ze względu na siostrę. Moja Emily nie żyje. Hellen nie żyje. A tobie wyraźnie chodziło o Annę!

Jeżeli ktokolwiek ci zagrażał, to Louise i Leda! Nie Anna!

Czemu więc ją porwał, skoro ci w niczym nie zagrażała?

Czemu nagle wystraszyłeś się Louise, a nie Ledy?

Louise piła. Może dzwoniłeś do niej, na przykład w sprawie marketu? Że współczujesz, bo każdy dzień przynosi straty, ale zwrócisz się do ojca swego zięcia, burmistrza, niech pogoni policję. A pijanej Louise wymknęło się jakieś nieopatrzne słowo. Albo ci, pijana,

niepanująca nad sobą, powiedziała, że ma cię dość, „odczep się, nie udawaj dobrego, panie Jonie, nigdy nie zapomnę o Rosie, twojej słodkiej dziewczynce”...

Przestraszyłeś się. Postanowiłeś ostatecznie zamknąć jej usta. Ale do czego potrzebna ci była Anna? Gdybyś zamiast Anny uciszył na zawsze Ledę Hening, twoje postępowanie byłoby logiczne. Pozbyłbyś się obu kobiet, które mogłyby cię wydać. Oczywiście, ich oskarżenia o pedofilię obaliby pierwszy lepszy adwokacina, potępiłaby te oskarżenia opinia publiczna, ponieważ jesteś kimś ogólnie szanowanym i tak dalej, lecz sam fakt oskarżenia o pedofilię był dla ciebie nie do przyjęcia, bo jeśli na przykład Ruth przypomniałaby sobie tamten incydent sprzed lat z dziewczynką, którą zaczepiłeś... A może właśnie dlatego znęcałeś się ostatnio nad Ruth, bo ona również coś odkryła? I wykrzychała ci prosto w twarz, że żyła ze zbrodźcą, że kochała porąbanego zbrodźcę. Ruth sprzątnąć nie możesz, draniu. W żaden sposób, choćbyś nie wiem jak wysilał swoją zbrozoną mózgownicę. Ale możesz ją tak zastraszyć, jak zastraszyłeś doktora. „Skarbie, pamiętasz, co mówił detektyw Peters o Jonathanie? Że prawdopodobnie jest na liście mordercy. Nic prostszego, skarbie. Policja się nie zdziwi, jeżeli Jonathan nagle umrze. Chcesz, żeby żył, skarbie? Więc milcz. Zachowuj się normalnie. Jak kochająca żona. Rozumiesz, skarbie?”

Tak. Dlatego Ruth przyszła do Penny. Pokazała jej rany na plecach. Celowo. Wiedziała, że Penny wygada się przede mną, a ja zaczęną się zastanawiać, z jakich powodów Jon nad nią się ostatnio znęca.

Nie, Jon — pedofil i morderca za nic teraz nie wypuściłby Ruth poza próg domu!

Cholera, co tu jest grane?

I czemu, do cholery, otworzyłeś garaż? I ten napis, po co?

To nie on! Nie pan Jon! W takim razie kto, do cholery? Kto?!

Zebrać myśli... Czas ucieka... Haig. Odrzuć emocje! Stań się jak Jennifer mroźną Grenlandią. Nic tu po tobie. Jazda stąd. Kimkolwiek on jest i w cokolwiek pogrywa, nie wie, że sfilmowałeś wszystko, co było do sfilmowania po jego pośpiesznym odjeździe. Że dzięki temu wszystko, każdy jego krok tutaj, jest do odtworzenia. Trzymaj się planu. On ma swój, a ty swój. Po pierwsze sprawdź, czy Jon Milton

jest w domu. Po drugie, czy Jonathan nadal rzekomo choruje. Po trzecie, pogadaj z Ruth na boku. Powiedz jej, że Penny się wygadała... Po czwarte, ani słowa o audi... Tak sobie wpadłeś. Dowiedzieć się o zdrowie Jonathana.

Jonathana, którego doktor Tracy kocha jak syna.

Doktorze, wywabię cię na Jonathana. Doprowadzisz mnie do mordercy jak po sznurku.

4.

Mijając dom Barkinsów, pomyślał, że w żadnym z tych okien nie zobaczy wychylającej się Hellen, radośnie machającej dłonią na powitanie. Że Will z uśmiechem nie stanie w progu, mówiąc: „Witaj, Stan. Cześć, Steven. Ależ ty rośniesz jak na drożdżach, chłopie! Leć do Patricka, stary. Prosto do piaskownicy. Dziś uda się wam wybudować tak olbrzymie zamczysko, jakiego jeszcze nie udało się wybudować żadnym chłopakom w całej Nevadzie!”

Nie ma Patricka. Nie ma Hellen. Nie ma Willa. Pozostał po nich dom. Ze zmatowiałymi od kurzu oknami. Ze skołtunią, nieskoszoną trawą za brudnymi sztachetami ogrodzenia, które teraz Will powinien w wolnych chwilach odmalowywać na białą. Bo przecież u Hellen wszystko musiało lśnić, błyszczeć, pachnieć czystością.

Dom grobowiec. Którego długo nikt nie kupi. Albo w ogóle nikt nie kupi nigdy. Nie zechce mieszkać w tych pokojach, chodzić po tych podłogach, wyglądać przez te okna, niemych świadkach dramatu rodziny Barkinsów, których duchy snują się cieniami na ścianach, których nie wypłoszy generalny remont, bo one zostały tu na zawsze. We wspomnieniach ludzi. Nie do zatarcia. Nie do zapomnienia.

Od strony Short Street długi pas rozzielenionych brzoź. Ukochanych brzoź Hellen. Za brzeziną jej ukochany ogród.

„Ta wariatka, wiesz, Stan? Ta moja najśladza wariatka każdego dnia budzi się przed świtem i biegnie oglądać wschód słońca. Sterczy na tarasie i ogląda! A potem przy śniadaniu opowiada w uniesieniu, jakby oglądała jakiś niebywały cud, o różowawych błyskach sączących się poprzez poranną mgłę, pomarańczowym złotem drżących na liściach, w iskrzący się szafir zamieniających krople rosy na żdźbłach traw! Często na bosaka, gubiąc w pośpiechu kapcie, leci do ogrodu sprawdzać te swoje kwiatki, kwiateczki, czy już mają pąki, czy pachną. Jezus, jej pachnie każda trawka! Każdy listek!”

Już nigdy twoja słodka wariatka nie wybiegnie do ogrodu, Will Jej ogród zdziczeje. Porosną go chwasty. Zagłuszą ukochane kwiaty Hellen.

Zatrzymał mustanga dokładnie w tym samym miejscu, w którym do brzezinki wchodził morderca. Nie rozumiał, dlaczego musi, musi koniecznie pożegnać się z ogrodem Hellen. Zanim zdziczeje. Zanim umrze. Raz jeszcze spojrzeć na piaskownicę, w której beztrząsowo bawił się Patrick... Budował razem ze Stevenem ogromniaste zamczyska... Złocił się, gdy się rozwalala najwyższa baszta...

Tu, przy tych brzozech wydeptane...

Dlaczego wydeptane? Przedwczesna wiosna wybuchła istnym szaleństwem bujności roślin. Wszędzie, poza tym miejscem, rozrastał się mech, wszędzie porosty, trawa. Ślady buciorów były świeżutkie... Kończyły się przy tej złowrogiej kępie obrzuconych firanką młodych listków, olśniewających białą pni brzoź. Nie, nie kończyły się. Dostrzegł wydeptany, wąski szlak do brzegu brzezinki.

Jezu...

Ruszył obok śladów buciorów. Prowadziły prosto przez ogród, pewnie, po rozkwitłych kwiatach Hellen — widocznie ten, który je zostawił, nie przejmował się łamanymi brutalnie krzewami róż.

Jezu...

Zatrzymał się przy piaskownicy. W miękkim piasku zostały głębokie wyłobienia. Jakby właściciel buciorów stał tu długo. Jakby tak stojąc, odtwarzał sobie scenę, której nie mógł obserwować. Jakby wyobrażał sobie Hellen biegnącą ku manekinowi, oszalałą z radości, że odzyskała syna. Jakby wyobrażał sobie Hellen, oszalałą z rozpacz, tulącą do piersi głowę manekina.

Jezu...

Zamiast znajomego drętwienia karku i paraliżu warg, Haig poczuł wszechogarniające go zimno. Zamarzał.

Jezu...

To, co ściekało mu po twarzy, nie było łzami. Było lodowatym potem.

Jezu...

Otarł pot. Twarz musi mieć obojętną.

Spróbował się uśmiechnąć.

Okay, jakby powiedziała Jennifer, emocje wyłączyłeś, twój uśmiech jest okay. Idź. Zdązysz.

— Zdążę, Jennifer, chociaż emocji nie wyłączyłem. Zamieniłem je w lodowatą wściekłość. Mój umysł jest jak brzytwa. Moje oczy jak ślepia jastrzębia. Więc tak. Zdążę — powiedział.

Przeszedł przez ogród, przez brzezinę. Oparł się o samochód.

— Nie poganiaj mnie, Jennifer. Wiem, że mnie widzą. I o to mi chodzi. Niech się zaniepokoją, czemu ich obserwuję.

Dom Miltonów. Szyby z czerwonym polyskiem zachodzącego słońca.

Domy ich córek. We wszystkich oknach opuszczone żaluzje.

Huštawki nieruchome.

Na placyku zabaw pusto.

Ani jednej porzuconej zabawki. Nigdzie.

A taki ciepły dzień.

Garaże pozamykane.

Żadnego samochodu. Nigdzie.

Cisza.

Żeby nie przelatujące nad drzewami ptaki — kompletna.

Pagórek. Wysoki. Doskonały do zjeżdżania na sankach.

Do turlania się po trawie też.

Pagórek. Właściwie wzgórze. Stromy z jednej strony. Z drugiej mocno ścięty.

Czemu ścięty?

Jon Milton, wznosząc go dla swoich wnuków, zamierzał na tym ściętym zboczu urządzić skocznię narciarską?

Może...

Haig, odczep się od pagórka. Oglądałeś go z Petersem zaraz po porwaniu Patricka. I następnego dnia po porwaniu. Obchodziłeś go dookoła. Po prostu — pagórek dla uciechy dzieciaków i tyle. Tak, Jennifer, wiem. Już czas. Idę. Tak, Jennifer, uśmiecham się. Tak, Jennifer, jestem lodowato spokojny. Ależ tak, Jennifer, pomacham obserwującej uliczkę Ruth przyjaźnie ręką.

Ruth tym razem nie udawała, że piecze ciasteczka, chociaż drzwi do kuchni były na tyle uchylone, że Haig zauważył odłożoną na stół lornetkę. Ale nie wyglądała dobrze. Wyglądała na bardzo, bardzo zmęczoną. Plecy przygarbione. Policzki zapadłe. Nieomal czarne wory pod oczami, poznaczonymi kreskami pękniętych, krwawych żyłek. Oddech przyspieszony, dyszący. Jakby skończyła niedawno przewalać

tony węgla lub przekopała łopatą milę ziemi pod uprawę buraków cukrowych. Nie wyglądała na zadowoloną z widoku Haiga.

— Stan, miło mi cię widzieć, ale w tej chwili jestem zajęta. Przyjdź jutro. Jutro nie ruszam się z domu na krok.

— Jak sobie życzysz, Ruth. Sądziłem, że oboje z Jonem jesteście ciekawi, jak posuwa się nasze śledztwo. — Tak, Jennifer, uśmiecham się. Tak, Jennifer, nie dam się spławić. — A posuwa się, Ruth. Właściwie nawet na dziewięćdziesiąt dziewięć procent wiemy, kto jest psychopatycznym mordercą.

— O mój Boże! Naprawdę, Stan? — wykrzyknęła.

Tak, Jennifer, zapytała z niepokojem.

— Naprawdę, Ruth. Zdobyliśmy niepodważalne dowody. Kwestia dwóch, najwyżej trzech dni i go dopadniemy. Ale skoro jesteś zajęta...

— Mój Boże, Stan! Wejdz, wejdz! Jasne, że jestem ciekawa! To, co mam do roboty, może spokojnie poczekać. Aż tak nie jest pilne. Dwa, trzy dni, mówisz? Co za ulga! Dwa, trzy dni... Po prostu wspólnie! Miasto odetchnie. My też odetchniemy, Stan. Tak się straszliwie boimy o Jonathana. Przecież jest na liście mordercy!

— Dokładnie, Ruth. Jest. Peters uważa, że teraz morderca zaatakuje właśnie waszego syna.

Tak, Jennifer, powiedziałem to z naciskiem. Nawet ze strachem.

— Chryste, nie przerażaj mnie, Stan. Chryste, zupełnie nie rozumiem, czemu akurat mój syn — mówiła Ruth, wprowadzając Haiga do salonu. — Siadaj. Napijesz się? Whisky? Ginu?

— Dziękuję, ale na służbie? — Tak, Jennifer, roześmiałem się. — Ruth! No coś ty! Ale ty się napij.

— W przeciwieństwie do Jona nie biorę alkoholu do ust, Stan.

— Ciągłe pije?

— Ciągłe. Dlatego jestem taka zmęczona. Jak pijanemu powierzyć pilnowanie Jonathana? Nawet zabrałam mu kluczyki od samochodu. Jeszcze by tego brakowało, żeby spowodował wypadek!

— No tak, słusznie. Współczuję ci, Ruth.

Wiem, Jennifer. Stara się dać mi do zrozumienia, że Jon nie opuszcza domu. Wiem, Jennifer. Nie spłoszyć jej nieopatrzonym pytaniem. Wiem, Jennifer. Coś tu w tym ich domu cuchnie. Jak cholera cuchnie.

— Stan, ja go nie obwiniam. Staram się zrozumieć. Zbyt przeżył śmierć Patricka...

— Dobra z ciebie żona, Ruth.

Tak, Jennifer. Dość tych pogaduszek o niczym.

— Staram się nią być, Stan — westchnęła Ruth. — Więc mówisz, że go prawie macie?

Dosłyszałem, Jennifer. Nacisk na PRAWIE.

— Ruth, więcej zdradzić mi nie wolno. Przyjechałem, aby was uspokoić i równocześnie uczulić. Strzeżcie Jonathana. Nie powinnaś go zostawiać pod opieką pijanego ojca.

— Ależ ja go nie zostawiam ani na chwilkę, Stan!

— A kto dziś odwiedzał Penny? Skarżył się na męża? Pokazywał poranione plecy?

Tak, Jennifer. Powiedziałem jej o tym pół żartem, pół serio.

— A przysięgała mi, że nie piśnie ci ani słówka — oburzyła się Ruth. Znowu westchnęła. — Penny, nie obraż się, Stan, to papla. A ja się po prostu po babsku wyżaliłam. Zresztą to moja wina. Urządzałam Jonowi piekielne awantury, że pije... Trochę mnie wyszturczał i tyle. Kilka siniaków. Penny przesadziła, zwykle siniaki wzięła za rany. Przecież ją znasz, Stan.

— Nie bałaś się zostawić Jonathana samego?

— Ależ nie samego, Stan. Jon od północy cały czas jest przy nim. A ja wyjechałam jedynie na godzinkę. Zakupy i tak dalej. U Penny byłam nie dłużej niż kwadrans. Taki impuls, Stan. Akurat przejeżdżałam obok waszego domu. Wściekła na Jona. To i wpadłam.

Tak, Jennifer. Zgadza się. Jakby dawała Jonowi alibi. Że od północy do tej pory nie ruszał się z pokoju Jonathana.

— A córki?

— Co: córki?

— Nie mogą ci pomóc? W zakupach?

— Córki? Wyjechały. Kazaliśmy im z Jonem natychmiast wyjechać, gdy twój detektyw powiedział, że morderca czyha na Jonathana.

— Mówił o zagrożeniu Jonathana, nie waszych córek, Ruth.

— Stan! Chyba nie kontaktujesz! A nasze wnuki? Wystraszyliśmy się o wnuki. Edward, synek Cristin, skończył jak Patrick i Eric sześć lat! A Amanda pięć! Nie bałyś się na naszym miejscu?

— Bałbym się, fakt. Więc Jon jest w domu? Przy Jonathanie? Od północy? To dobrze, Ruth. Bardzo dobrze. A Jonathan? Czuje się lepiej?

— Chwała Bogu, lepiej. Znacznie lepiej. Mark Tracy dziś rano uwolnił go od kroplówek.

— Mark był u was rano?

— Jak zwykle, Stan, jak zwykle. Przyjeżdża badać Jonathana około dziewiątej. Potem o trzeciej. Jeśli zachodzi potrzeba, dzwonię po niego. Pędzi wtedy na złamanie karku.

— Jest przywiązany do Jonathana. Do całej waszej rodziny.

Tak, Jennifer. Uśmiecham się. Panuję nad sytuacją.

— Mark? On nas kocha, Stan! Mnie, nasze dzieci, a zwłaszcza Jonathana.

— Dlaczego zwłaszcza Jonathana, Ruth?

Tak, Jennifer. To ostatnie pytanie. Chyba wypadło naturalnie?

— Och, Stan. Sama nie wiem. Może dlatego, że Jonathan od urodzenia był dzieckiem wyjątkowej troski. Córki przychodziły na świat śliczne, zdrowe... A Jonathan? Brzydactwo z nadpobudliwością. Nawet Jon go długo nie lubił. Nie chciał się do Jonathana zbliżać. Dotknąć. Wziąć na ręce. — Oczy Ruth ściemniały. Jak sądzisz, Jennifer? Z nienawiści do Jona?

— Ruth, przepraszam. Sprawilem ci ból.

Czy tak powinienem zareagować na jej zwierzenia? A może ona celowo mówi źle o Jonie? Przestaję rozumieć, w co zagrywa. Jezu, Jennifer, znowu kolejne klocki niepasujące do mojej układanki!

— Stan, kocham swojego męża wiernie, chociaż wiele przecierpiałam z jego powodu. Zawsze starałam się zrozumieć, dlaczego nie akceptuje Jonathana. Bo brzydki? Bo chory? Bo trudny? Bo agresywny z powodu nadpobudliwości? Mark tłumaczył, że Jonowi minie... Długo trwało, ale minęło. Dzięki mojej wyrozumiałości i dzięki Markowi, który bezustannie tłumaczył, że Jonathan jest chory, chory, nie wolno go odrzucać, należy mu okazywać jak najwięcej uczucia. Ale zanim Jon pokochał Jonathana, Mark zastępował mu ojca. Zostawał na noc. Och, Stan! To Markowi Jonathan siadał na kolanach, to Mark mu opowiadał bajki, nucił kołysanki, a mnie pocieszał, że nadpobudliwość wyleczy, natomiast operacja plastyczna nosa i brody uczyni z naszego synka całkiem przystojnego chłopca. — Ruth rozplakała się. — Zawsze znalazł dla mnie, nieszczęsnej matki, słowo pocieszenia. Nawet wówczas, kiedy wszyscy się od Jonathana odsunęli, uważając go za zboczkę, Mark stał za nim murem. Kocham Marka Tracy'ego, bo był i pozostał taki dobry dla naszego synka.

Tak, Jennifer. Nie przesyłałaś się. Powiedziała „naszego synka”. Louise Duval mówiła: kocha go jak rodzzonego syna. Naszego synka, Jennifer. Naszego. Ruth romansowała z doktorem? Jon odkrył jej romans? Brakuje mi Ciebie, Jennifer. Te moje klocki rozsypują się jak kostki domina.

— Co ze mną? Rozkleiłam się niczym histeryczna baba... A muszę być silna... Stan. Skłamałam. Jonathan wcale nie czuje się lepiej. Jonathan... O mój Boże, za co nas tak każesz? Mark powiedział dziś rano, że kwalifikuje się do leczenia psychiatrycznego. Zwykle psychotropy na nic! Że on jest bezsilny! Wyłącznie szpital! Bo Jonathan, kiedy tu byłeś z detektywem, zerwał kroplówki, zszedł na dół i wszystko słyszał! O tym, że morderca po niego przyjdzie! Znaleźliśmy go z Jonem za drzwiami, nieprzytomnego, zlanego w spodnie. Natychmiast wezwaliśmy Marka. Przytomność odzyskał, ale przestał mówić, odjęło mu czucie w nogach i w rękach!

Jakby zrozumiała, że zapędziła się za daleko, może z tym „naszym synkiem”, i teraz gwałtownie zmienia temat. Tak, Jennifer. Mam udawać, że wierzę w każde jej słowo. Moja twarz ma wyrażać szczere współczucie.

— Nie trać nadziei, Ruth. W klinice psychiatrycznej szybko postawią Jonathana na nogi.

Zapytać kiedy zamierzają go oddać do tej kliniki? Słusznie, Jennifer. Nie pytać.

Wstał, podszedł do szlochającej Ruth, objął ją, pogłaskał. Kołnierz przy bluzce Ruth odchylił się nieco. Odchylił się głębiej, gdy Ruth z rozdzierającym szlochem przyłgnęła do jego piersi. Odchylił się jeszcze bardziej, gdy Ruth zarzuciła mu ramiona na szyję. Jennifer! Nawet siniaka nie ma. Ani zadrapania. Ucharakteryzowała się. Wpuściła Penny w maliny. Dlaczego odegrała przed nią taką komedię? I przede mną też? Wie o panu Jonie? Stara się skierować podejrzenia na męża? Dlaczego dopiero teraz? Właśnie dzisiaj?

— Jesteś dobrym człowiekiem, Stan — wyszeptła, odsuwając się. Wytarła łzy wierzchem dłoni. — Zawsze nim byłeś. Nie tracę nadziei. Wierzę w miłosierdzie Pana. Przepraszam cię.

— Za co, kochana Ruth? Wszystko rozumiem. Z Jonem ci trudno, przed tobą rozłąka z synem, strach o niego. Trafiłem się ja i po prostu twoje biedne, stargane nerwy puściły...

— Och, Stan! Odniosłam się do Ciebie niegrzecznie! Omal nie

zatrzasnęłam ci drzwi przed nosem.

— A ja przylazłem bez uprzedzenia. — Czy mój przeprasząco współczujący uśmiech wypadł naturalnie, Jennifer? — Z pewnością przeszkodziłem w pakowaniu rzeczy Jonathana. Pewnie lada moment odwieszysz go do kliniki. Trzymam za ciebie i za twego syna kciuki. Będę dzwonił, dowiadywał się. Należę do tych osób, Ruth, które nigdy nie uważały go za zбочzka. Ani ja, ani moja Emily, chociaż przyjaźniła się z Hellen... Emily wielokrotnie prosiła Hellen, żeby traktowała Jonathana jak każdego innego chłopaka.

Dobrze nawijam, Jennifer? Strzał w dziesiątkę. Bingo! Nie potrafiła zapanować nad błyskiem nienawiści w oczach.

— Niech jej ziemia lekką będzie. Niech odpoczywa w spokoju, ta nieszczęsna Hellen. — Ruth szybko przykryła oczy powiekami. Uroniła łzę. — Naprawdę, dobry z ciebie człowiek, Stan.

Wstała.

— Wybaczysz, Stan? Rzeczywiście przygotowuję Jonathana do wyjazdu.

— W porządku. I tak już zbierałem się do wyjścia. Aha, Ruth. To nie moja sprawa, kiedy przyjedzie po Jonathana karetka, ale...

— Karetka? Karetka wzbudziłaby sensację. Nikt poza tobą, detektywem i doktorem nie wie, że Jonathan tu się ukrywa — przerwała blednąc. — Mój Boże, Stan! Wtedy zemdlalam, jednak Jon zapewnił, że daleście słowo... Że nawet wasi policjanci się nie dowiedzą... Bo ten morderca...

— Ruth, dotrzyaliśmy słowa. Dlatego nie przydzieliliśmy wam całodobowej ochrony. Żeby nikt o Jonathanie nie wiedział, łącznie z naszymi policjantami.

— Tak straszliwie boimy się o syna! Cały czas! A teraz jeszcze psychiatryk... Zachowaj to w tajemnicy, błagam. Jon mnie zabije, jeśli się dowie, że powiedziałam!

— Ruth... Kochana... Cała drżysz... Po co miałbym to opowiadać Jonowi? Tylko mu nie pozwól prowadzić. Za dużo pił.

— Ja odwożę swojego syna do kliniki, nie ten alkoholik. I zostanę w niej przez kilka dni. Dopóki mu się nie poprawi.

— Znowu otarła łzy.

Jennifer, słyszysz? Musiało ją przerazić moje najście. Zapomniała, że zapraszała mnie na jutro. Świetnie. Postraszę ją mocniej.

— Byle szybko, Ruth. Jak najszybciej.

— Mój Boże, Stan! Coś przede mną zataiłeś? Czemu jak najszybciej? Jonathana zamierzam wywieźć pod osłoną nocy. Tak chyba najbezpieczniej, prawda, Stan?

Udał, że się waha.

— Stan, mów!

— Ruth... On tu przychodził.

— Niemożliwe! Na zmianę z Jonem obserwujemy uliczkę. Odkąd wyprawiliśmy córki z rodzinami, nie pojawił się tu ani jeden samochód!

— A jednak tak. Nocą przecież śpicie.

— Nie śpimy! Wymieniamy się! Kupiliśmy noktowizor! Przecież wiemy, że on nocą...

— A jednak w jakiś sposób was zmylił. On jest sprytny, Ruth. Zanim przyszedłem do ciebie, byłem w brzezince, w ogrodzie Hellen, doszedłem aż do piaskownicy... Widziałem świeże, świeżutkie ślady jego buciorów.

No, uwaga, Jennifer. Teraz powinna mi zadać pytanie...

Zadała. Osuwając się w fotel, zasłaniając twarz dłońmi, zadała je.

— Więc wszystko od początku? Znowu ci wścibscy technicy? Pewno już ich wezwałeś, Stan?

— Nie, Ruth. Jeszcze nie wezwałem. Skoro dziś w nocy wywozisz Jonathana, w ogóle nie wezwę. On zawsze atakuje nocą. Zawsze morduje nocą...

Cholera, Jennifer! Ruth milczy! Ani drgnie. Popelnilem błąd? Wciąż milczy. Milczy... Milczy...

— Naprawdę wzrusza mnie twoja dobroć, Stan. Dziękuję, że nie wezwiesz ekipy. — Odsłoniła twarz. Za wcześnie. Zanim z jej ust zniknęła ironiczny uśmiezek.

Cholera, Jennifer, zorientowała się...

— Musieliśmy tego potwora przeoczyć, jak wchodził do brzezinki.

— Ironiczny uśmiezek przeobraził się w uśmiech wyrażający wdzięczność. Potem zniknęła. Usta Ruth zadrżały. Oczy wypełniły się strachem. — Mój Boże, Stan! Mój Boże, gdy pomyślę, że ten potwór krążył w pobliżu naszego domu, serce mi staje z przerażenia! Gdybyśmy z Jonem byli bardziej uważni, już byście go ujęli! Nikogo by więcej nie skrzywdził! Nikogo! Mój Boże, krążył, czyhał na mego syna! Ale dopóki go nie dopadniecie, Jonathan będzie bezpieczny w klinice, a moje córki z wnukami również. Tylko jednego nie rozumiem, Stan.

Czemu mam jak najszybciej wywozić syna, skoro on zawsze atakuje nocą? Dopiero zmierzcha, nie zauważyłeś, Stan?

Jezu, Jennifer! Popelnilem błąd, ona sobie ze mnie kpi!

— Och, nie przejmuj się, przecież wpadłeś jedynie po to, aby pochwalić się tymi niezbitymi dowodami i tym, że dopadniecie mordercę za dwa, trzy dni. Och, źle się wyraziłam, Stan! Przepraszam! Przepraszam! Nie tyle pochwalić się, ile nas uspokoić. Raz jeszcze ci ze szczerego serca dziękuję! Nie zatrzymuję dłużej, mimo że wiele spraw bardzo mnie zaciekawilo... Ty się śpieszysz łapać mordercę, a ja do syna. Trzymam kciuki za powodzenie w łapaniu. Trafisz sam do wyjścia? Niekiepsko wystraszyłeś tym „jak najszybciej” starą, poczciwą Ruth. Tak wystraszyłeś, że starej, poczciwej Ruth osłabły kolana.

— Pomóc ci? Podać jakiś lek? Ruth, kochana Ruth. Powinienem był się ugryźć w ten swój głupi jęzor, nie wspominać, że morderca tu przyłaził!

Uśmiechnęła się z wysiłkiem. Udawanym, Jennifer, udawanym. Też wie, że popełniła błąd.

— Mój Boże, Stan! To ja powinnam ugryźć się w język, plotąc te wszystkie głupoty... Żyję w potwornym napięciu... Widzisz? Już wstaję. Widzisz? Nawet się nie chwieję. Chodź, odprowadzę cię do drzwi. Zrobiłeś dla nas tak wiele... Pozwól się uściskać. Przytul mnie, proszę. Och, Stan, jakbyś mi przekazywał dobrą energię... Wspierajmy się nawzajem w naszych trudnych chwilach...

5.

Odjechał. Niedaleko. Zatrzymał się przed martwym domem Barkinsów.

Jennifer, powinienem spróbować ułożyć klocki mojej układanki czy od razu jechać do Marka Tracy'ego?

Pogubiłaś się w kłamstwach, Ruth. Nie jesteś ani mądra, ani sprytna. On takich błędów nie popełnia. Wiesz, kto to i boisz się go. Dlatego wywozisz Jonathana nocą. Sama. Bez swojego męża. Dlaczego bez męża, Ruth?

Pod osłoną nocy, to twoje słowa, Ruth.

Pod osłoną nocy i bez Jona, ponoć pijanego.

Pod osłoną nocy wywozisz syna, rzekomo sparaliżowanego od psychicznego wstrząsu.

Doktor Tracy nie był dziś u ciebie około dziewiętej, Ruth. W tym czasie ja byłem u niego.

Źle, prawda, Jennifer? Trzymać się kolejności zdarzeń. Przerazliwie zmęczona Ruth otwiera drzwi. Każe mi przyjść jutro, chociaż później mówi, że zostaje w klinice z Jonathanem. Ale moja informacja o sukcesach w śledztwie wyraźnie ją niepokoi. Chce się dowiedzieć, jak daleko się posunąłem. Potem zwykle paplanie. Narzekanie, niby przypadkowe, że Jon wciąż pije. Nieprzypadkowe.

Celowo napomknęłaś o zabranych mężowi kluczykach, Ruth. I o tym, że Jon nie opuszcza domu. Ty też nie, nawet na chwilę. Potem tłumaczyłaś mi, dlaczego odwiedziłaś Penny. Chciałaś się wyzalić. „Żadne tam rany, Stan. Parę siniaków”. Ale winę za rzekome siniaki wzięłaś na siebie. I tu wpadka, Ruth. Brak logiki. Niby jesteś wściekła na pijanego męża, a zostawiasz swego ukochanego syna pod jego opieką? Podkreślasz, że od północy czuwa przy nim. Pijany? Podobno się straszliwie boisz o Jonathana, Ruth. Dobra, córki z wnukami wyprawiałaś gdzieś tam, w obawie przed mordercą. Nie pomogą ci w

zakupach. Ale czego ci zabrakło? Masła? Chleba? Cóż prostszego, niż zadzwonić do Marka, a on ci te twoje zakupy zrobi, przywiezie i na dodatek za jednym zamachem zbada Jonathana.

Druga wpadka, Ruth: zapewnienie, że Jonathan czuje się coraz lepiej. Trzecia: stwierdzenie, że Mark był u Jonathana około dziewiątej. No, ale w tej się nie połapałaś, nie wiedząc, że dokładnie w tym czasie rozmawiałem z doktorem.

„Doktor nas kocha. Mnie, moje dzieci, a zwłaszcza Jonathana”. I tu cię poniosło, Ruth. Znowu na tapecie Jon! Zły ojciec. Aż oczy pociemniały ci od nienawiści. Ale się zreflektowałaś. Jednak na krótko. Usprawiedliwiając Jona, musiałaś użyć przekonujących argumentów. Podeprzeć się doktorem Tracym. I znów cię poniosło. Ty chyba rzeczywiście kochasz doktora. Aż się rozplakałaś, opowiadając o jego dobroci dla „naszego synka”.

Potem dotarło do ciebie, że nie jestem babą, jak na przykład Louise Duval lub Penny, i powinnaś natychmiast czymś mnie zagaść, żebym zapomniał o „naszym synku” i o doktorze Tracym, zastępującym Jonathanowi ojca. Czym? W co uwierzę? W co? Przecież kochasz wiernie i czule swego męża! Skłamać. Przyznać się do kłamstwa. Jonathan przeżył wstrząs psychiczny. Aleś ty głupia, Ruth. Beznadziejnie głupia. Pozwoliłaś się pocieszać, obejmować. Szlochałaś rozdzierająco, wciskając we mnie twarz. No i wydało się, Ruth. Brak choćby jednego siniaka. Poszłaś do Penny ze świetnym, perfekcyjnym kamuflażem na plecach. Sama go sobie nie zrobiłaś. Doktor Tracy też nie. Więc albo Jonathan, albo twój mąż. Stawiam na Jona. Ale dlaczego Jon kazał ci pokazać Penny rzekomo skatowane przez niego plecy?

Cholera, Jennifer, tu nadal nic nie pasuje!

Chociaż ten noktowizor, z którym się wygadała Ruth, pasuje! Do Jona Milтона mordercy! Który chodzi nocą do Barkinsów wyobrażać sobie rozpacz Hellen, jej szaleństwo! Ale Jon nie pasuje do twojego portretu psychologicznego mordercy, Jennifer! Okay, Haig. Zostaw to. Jedno wiesz na pewno o Miltonie. Że był pedofilem. Wróć do Ruth. Przeraziła się potwornie, słysząc, że odkryłem świeże ślady buciorów. Ale nie przestraszyła się tych śladów. Boi się ekipy, która zaraz przyjedzie. Wścibscy technicy, to twoje słowa, Ruth. Wścibscy. Błąd, Ruth. Powinnaś się ucieszyć, że przyjadą, może dzięki nim szybciej ujmiemy mordercę, a ty ze strachem, że wścibscy.

Zaraz, zaraz... Planujesz wywieść Jonathana nocą. Bez męża. Eki- pa techniczna na nowo przeszukująca teren i przesłuchująca was ponownie policja przeszkodziłaby twoim planom, Ruth. Uff, chociaż jeden klocek dopasowany. Ale natychmiast kolejne pytanie: dlaczego ci tak bardzo zależy, aby właśnie tej nocy wywieźć syna? Dlaczego, Ruth? Skoro powiadasz, że z Jonathanem jest coraz gorzej?

Błąd, Ruth. Jedno kłamstwo pociąga za sobą następne. Sama sobie zaprzeczasz. Najpierw mówisz, że Jonathan podsłuchiwał naszą rozmowę, z której dowiedział się, co mu grozi, stracił przytomność, od wstrząsu psychicznego wpadł w stan graniczący z katatonią lub czymś podobnym. Doktor Tracy uznał, że jest bezsilny, Jonathana należy zawieźć do kliniki. Czemu więc zwlekałaś? Ty, taka dobra, kochająca, wprost umierająca z niepokoju o syna matka! Nie odwio- złaś na wpół sparaliżowanego Jonathana natychmiast? Czekalaś do dziś? Odwlekając leczenie? Albo jesteś nieprawdopodobnie głupia, albo mnie uważasz za kompletnego idiotę.

Jest i trzecia opcja. Ruth wie, że jej mąż jest mordercą. Od kiedy? Nieważne. Ważne, że wie i Jon wie, że ona wie. Szantażuje ją zabi- ciem Jonathana. „Jego życie zależy od twego posłuszeństwa, skarbie. Wykonasz każde moje polecenie bez sprzeciwu. Potrafię go zabić tak, iż nikomu do głowy nie przyjdzie, że to ja. Przypomnij sobie Emily i Annette, kochanie”.

Dziś Jon uznał, że zdrowy Jonathan mu przeszkadza. „Ty, Ruth, również mi dziś przeszkadzasz. Wpakujesz Jonathana do samochodu i wywieziesz nocą, potajemnie. Do innego stanu. Założysz perukę, okulary. Jonathanowi dolepimy wąsy i brodę. Nikt nie ma prawa was rozpoznać. Zatrzymasz się w jakimś podrzędnym motelu pod fałszy- wym nazwiskiem. Wrócisz za dwa, trzy dni. Także nocą, niepostrze- żenie. Pamiętaj o Emily i Annette. Pamiętaj też, że wiedząc, kim je- stem i nie zgłaszając tego na policję, stałaś się współnikiem moich zbrodni. Jeżeli mnie dopadną, dopadną i ciebie. Czeką cię za współ- udział dożywocie, kochanie”.

Niby się trzyma kupy, a jednak mi nie pasuje...

Cholera, Jennifer, nie pasuje!

Ciągle odnoszę wrażenie, że coś istotnego przeoczyłem. Czuję się tak, jakbym był tuż, tuż...

Jeden klocek mojej układanki jest prawie pewniakiem. Wszystko się kręci wokół rodziny Miltonów. I doktora Tracy'ego.

Postraszyć doktora! Który nie ma pojęcia, że Ruth wywozi Jonathana pod osłoną nocy. Już uspokojona, bo wie, że wścibskiej ekipy nie będzie.

Połączył się z doktorem.

— Mark, jadę do ciebie.

— I tak nic ci nie powiem, szeryfie.

— Sądzę, że powiesz. Właśnie rozmawiałem z Ruth. Podobno Jonathan doznał silnego wstrząsu psychicznego. Podobno stwierdziłeś potrzebę umieszczenia go w klinice psychiatrycznej. Podobno, zgodnie z twoim zaleceniem, Ruth wywozi go dziś, jak się sama wyraziła, pod osłoną nocy, do kliniki. Sama. Osobiście. Bez Jona. Bo Jon spity na amen. Mark, słyszysz mnie?

— Chryste, słyszę...

— Wykiwał cię, prawda, doktoru? Nie spodziewałeś się takiego obrotu sprawy?

— Chryste, nie... Jeszcze nie dziś. Nic nie wskazywało na to, że dzisiaj... Dobrze, szeryfie. Przyjeżdżaj. Czekam. Zresztą, przygotowałem się do tej rozmowy.

— Przygotowałeś?

— Za dobrze cię znam. Jesteś upierdliwy. Swojej porannej rozmowy ze mną nie dokończyłeś. To się do jej dalszego ciągu przygotowałem.

— Tym razem ci nie odpuszczę, Mark. Ten, kogo tak kryjesz, porwał dziś Annę, towarzyszącego jej jako ochrona Chrisa, Louise Duval i Amelię. W domu pastora jatka. Zostawił dwa urżnięte palce Amelii.

— Chryste... Amelia... Anna.. Chris... Louise... Przyjeżdżaj natychmiast szeryfie. Zdążysz. Zabije ich pod osłoną nocy. Dokładnie jak powiedziała Ruth.

6.

Zdążysz, powiedział. Zabije ich pod osłoną nocy.

Pękł. Zdażę, Jennifer. Zdażę. Tracy pękł ostatecznie. Przeliczyłeś się, morderco. Twój wspólnik zachował resztki sumienia. Sumienie nie pozwoli mu nadal milczeć. Wyda cię. Wtedy i twoją rolę, kochana Ruth, dopasuję do swojej układanki.

Zahamował przed nędznym domem doktora. Wypadł z mustanga. A jeśli to ty mnie wykiwałeś, Tracy? Bramka otwarta... Drzwi otwarte... Nawiałeś? Zamydliłeś mi oczy, że czekasz, nawet przygotowany do rozmowy? Cholera, Tracy! Daleko nie uciekniesz. Obstawię patrolami wszystkie wylotówki z miasta!

Biegł korytarzem.

— Tracy, ty draniu! Uciekłeś! Poczekałnia dla pacjentów pusta.

— Tracy, ty pieprzony draniu! Salonik pusty.

— Tracy, ty pieprzony draniu — powtórzył, wpadając do gabinetu, chociaż Mark Tracy tam był. Był i stojąc na krześle w białym, lekarskim fartuchu, zdejmował ze ściany oprawioną w ramki przysięgę Hipokratesa.

— Nie wrzeszcz — odezwał się. Stęknął, schodząc z krzesła. — Nie uciekłem.

— Cholera, Tracy, gadaj!

— Spokojnie, szeryfie. Spójrz na mnie. Jestem spokojny. Zdążysz. I ja zdażę.

— Z czym zdążysz, draniu?

— Nie twoja sprawa, szeryfie. Ty masz swoje powody, a ja swoje. Dla ciebie ważne, aby ocalić Amelię. Jak go znam, założył jej tamujący krew opatrunek. Jak go znam, a znam go doskonale, trzyma ich wszystkich żywych w swojej kryjówce. Przerażonych, lecz żywych, szeryfie. Umierających z przerażenia, lecz żywych. — Doktor Tracy ściągnął fartuch. Wrzucił go do kubła na śmieci. Rzucił na podłogę

oprawioną w ramki przysięgę Hipokratesa. Zachrząściło rozdeptywane nogami szkło.

— Co ty wyprawiasz, Tracy?! — krzyknął Haig.

— Przysięgałem dochowywać tajemnicy lekarskiej, szeryfie. Nie dochowam jej. A to znaczy, że przestaję być lekarzem. Siadaj za biurkiem. Przygotowałem karty zdrowia Jona Milтона. Są w tej kopercie. Zapoznaj się z nimi. Wiele ci one opowiedzą o Jonie. To, co ważne, co istotne, dla ułatwienia podkreśliłem czerwonym flamastrem.

— Bawisz się ze mną w kotka i myszkę? Gadaj sam, co jest w tych kartach zdrowia. Masz mnie za idiotę, Mark? Nie znam się na medycynie! Lektura twoich kart zdrowia zajmie mi mnóstwo czasu. Rozumiem, chcesz na nim zyskać. Albo zwyczajnie mnie wykiwać, podsuwając spreparowane fałszywki. Nadal chronisz swego współnika! Odegrałeś komedię z fartuchem, z deptaniem przysięgi Hipokratesa, bo honor niby nie pozwala ci nadal pozostać lekarzem. Skąd to nagle poczucie honoru, draniu? Cwaniak! Ja zajmę się kartami zdrowia, a ty tymczasem nawiejesz uprzedzić współnika.

Mark Tracy przysunął krzesło do biurka. Usiadł. Spojrzał na Haiga z ironią. I ze współczuciem.

— Szeryfie, nawiać mogłem natychmiast po porannej rozmowie z tobą. Przepaść jak kamień w wodę.

— Czyżby? W obawie przed swoim współnikiem błagałeś mnie, żeby ci nie przydzielać anioła stróża! Bo zabije natychmiast tego, kogo tak straszliwie, bez opamiętania kochasz. A teraz nagle niby mnie oczekiwales! Przygotowany do rozmowy. Naprawdę sądzisz, że pozwolę się wykiwać? W co ty zagrywasz, draniu? Wyduszę to z ciebie!

Doktor patrzył na Haiga już bez ironii. Wyłącznie ze współczuciem.

— Opanuj się, szeryfie. Odrzuć wściekłość, bo nie pozwala ci logicznie myśleć. W tych kartach zawarta jest suma wiedzy o Jonie Miltonie. Jakby historia jego życia, o którym nie masz pojęcia. A powinienes mieć, jeśli chcesz dopaść mordercę. Siedzę naprzeciwko ciebie. Gotowy do objaśnień medycznych terminów, nazw leków. Jeśli obawiasz się, że ci ucieknę, przykuj mnie kajdankami do poręczy krzesła. Ale ja, szeryfie, jak Will Barkins, nie mam dokąd uciekać. Ani po co.

— Will był najniezwyklejszym z ludzi! Jak śmiesz porównywać się do Willa?

— A co ty wiesz o moim nieszczęściu, szeryfie?
— Nic. I dobrze. Bo gównu mnie ono obchodzi!
— Tracisz cenny czas, Stan.
— Zaraz stracę panowanie nad sobą! Ta twoja Ruth się wygadała. Miałaś z nią romans. Jonathan jest twoim synem! Chronisz go przed Jonem Miltonem. Jon to twój zbrodniczy współnik!

— Dopóki nie zapoznasz się z kartami zdrowia, nie powiem ani słowa. Możesz nie zdążyć. Amelia, Anna, Louise, Chris umrą.

— Ty staniesz się odpowiedzialny za ich śmierć, doktorze.

— Tak sądzisz? Że wyłącznie ja? A może winny będzie twój głupi upór, szeryfie? Powtarzam: wszystko, co ważne, podkreśliłem, nawet uzupełniłem dziś notatkami wyjaśniającymi na marginesach. Skup się na tym. Czegoś nie zrozumiesz, zapytasz. A ja wyjaśnię.

Jennifer, nie rozumiem, dlaczego tak mu zależy na tych kartach zdrowia! Bez jego pomocy rzeczywiście nie zdążę. On wie, drań, kogo szukamy. Cholera, i taki opanowany! Nawet nie drgnął, gdy mu powiedziałem, że Jonathan jest jego synem! Jakby się tego spodziewał. Może Ruth go uprzedziła? Dobra. Zajrzę.

Zajrzał i zdumiał się. Pierwsza wizyta Jona Milтона sygnowana datą 27.04.1982. „Czterdziestosiedmioletni pacjent skarży się na trudności w oddawaniu moczu, połączone z silnymi bólami w podbrzuszu. Okolice krocza dotykowo bolesne. Zalecenia: USG jamy brzusznej ze szczególnym uwzględnieniem pęcherza moczowego na cito. Doraźnie: raz na dobę tabletki Doxagenu”.

— Kiedy rozpocząłeś praktykę lekarską w Nevadzie, Tracy?

— Na długo przed ślubem Jona Milтона. Twoje pytanie powinno brzmieć: czy aż do czterdziestego siódmego roku życia Milton był zdrowy jak byk? Mówił, że wcześniej nie chorował nawet na katar. Od razu ci wyjaśnię: Doxagen jest lekiem podawanym na regulację oddawania moczu oraz przy podejrzeniu o raka gruczołu krokowego.

— Miał raka?

— Odpowiedź znajdziesz w karcie.

„05.05.1982. Wyniki USG. Jama brzuszna — czysta. Pęcherz moczowy w normie. Mimo stosowania Doxagenu dolegliwości się utrzymują. Badanie dotykowe: nie stwierdzam przerostu gruczołu krokowego. Biorąc pod uwagę wiek pacjenta, rak gruczołu krokowego może rozwijać się jeszcze bezobjawowo. Zlecam badanie *per rectum* oraz PSA w szpitalu w Cedar Falls. Na cito”.

„15.05.1982. Per rectum zlokalizowało guzek w obrębie prostaty. PSA przekroczone — 3 ng/l. Zlecam transrektalną ultrasonografię z biopsją gruczołu krokowego. Ocena pobranego materiału według skali Gleasona. Na cito!”

„21.05.1982. Skala Gleasona: 5 punktów. Diagnoza: średnio zaawansowany rak gruczołu krokowego. Leczenie: doustne; Cyproteroni acetat”.

— Wyłącznie tabletkami? Ten Cyproteroni acetat jest tak doskonałym lekiem, że nie potrzeba chemioterapii? Lub wycięcia gruczołu?

— Współczujesz mordercy, szeryfie? — uśmiechnął się z ironią Mark Tracy.

— Nie! Ale dziwię się, że Ruth nie zaprotestowała przeciwko twojemu leczeniu! Nie zawiozła męża do onkologa!

— Nie zaprotestowała. I nie zawiozła. Tym lekiem posłużyliśmy się na początek. Przerażony Milton, sądząc, że ma raka, łykał każdą bajeczkę o jak najskuteczniejszych metodach leczenia niczym przepyszny cukiereczek. Inne, towarzyszące rzekomemu rakowi powikłania, na przykład depresja, są równie interesujące, zwłaszcza ich leczenie...

— Rzekomego? Nie miał raka? — przerwał doktorowi Haig.

Jennifer, gubię się. Nic nie rozumiem. A jeśli Tracy gra na zwłokę? Już zapaliły się uliczne latarnie!

— Ani śladu raka. Wszystkie wyniki zostały sfalszowane. Żeby się wystraszył i był nam posłuszny. Przeoczyłeś stempel lekarza.

— Jezu, podpis Williama Barkinsa!

— Tak, szeryfie. Will. Will wiedział. Nie da się całkowicie zablokować aż tak traumatycznych wspomnień, jak molestowanie nieletniej dziewczynki. Pamiętasz skłonności Hellen do depresji? Wszyscy wiązali to z Jonathanem. Dla Hellen jednak prześladowający ją swoim nieszczęsnym uczuciem Jonathan był synem pana Jona. Jonathan dla Hellen był panem Jonem. To od pana Jona, nie od Jonathana, uciekała w depresję. Wspomnienia, tak jak inne ofiary pana Jona, odpychała marzeniami o idealnej miłości. Spotkała Willa. Spełniał jej oczekiwania. I wreszcie, ufając mu, mogła wyzwolić się od swego koszmaru wspomnień. Prosty mechanizm psychologiczny. Do tego momentu nie mogła się nikomu zwierzyć, nawet matce, nawet ojcu...

Bo kto by jej uwierzył? Więc nikomu. Tłamsić to w sobie. Latami tłamsić... Chryste, Stan, domyślam się, czemu tak nagle straszliwie zbladłeś. Tobie Emily nie zaufała. Hellen Willemu zaufała. I wyrzuciła z siebie koszmar. Do tego stopnia, że nie przeszkadzało jej sąsiedztwo Miltonów. Wyrzuciła i dopiero wówczas, szczęśliwa w małżeństwie, szczęśliwa po urodzeniu Patricka, wspomnienia zablokowała. Czy na trwałe? O to musisz zapytać swoją panią doktor Jennifer Whitaker. Według mnie, tak, na trwałe. Inaczej nie wybrałaby dla swojej rodziny tego domu. Zresztą Will dbał o to, aby z Miltonami nie miała najmniejszego kontaktu. Koniecznie chciał odgrodzić się od nich wysokim murem... Biedną Ruth wyrzucił wraz z jej plackiem śliwkowym... Ale mnie odwiedził. Właśnie z pytaniem, czy do Hellen jej koszmar więcej nie wróci. Spadł nam jak z nieba, szeryfie. Zgodził się dostarczać sfalszowane wyniki badań. Nie przerywaj, szeryfie. Zaczęło się od tego, że Ruth zaniepokoił stosunek Jona do córeczek. Żaden facet nie przepada za zmienianiem zakupkanych pampersów. Jon przepadał. Zmieniać, myć pieśczośliwie ich pupki, pieścić malutkie pośladki, kąpać dziewczynki i te ich pupki przy okazji dotykać zamiast gąbką palcami; nazywać córeczki swoimi słodkimi dziewczynkami. Ruth długo nie chciała dopuścić myśli, że to typowe zachowanie pedofilskie. Aż do czasu, kiedy przyszła do niej trzyletnia Teri i opowiedziała, że tatuś bawi się z nią w lekarza. „Zdejmuje mi majteczki, mamusiu i zagląda w moją pupkę. I mówi, że tatusiowie tak się bawią ze swoimi słodkimi dziewczynkami. I kazał mi przysiąc, że tobie o zabawie w lekarza nie powiem ani słowa, bo to jest tylko nasza tajemnica, bo mamusie nie znają się na takich zabawach”.

— Chryste... Pieprzony zboczeniec. Dobierał się do własnych córek! Dlaczego Ruth nie zgłosiła się na policję?

— Z czym, szeryfie? Że tatuś się bawi z córką w lekarza? Kto by jej uwierzył? Najbardziej szanowany obywatel pedofilem? Uznano by ją za niespełna rozumu. Przyszła po pomoc do mnie. Ja jej uwierzyłem. Wiele razy widziałem Jona w taki szczególny sposób przyglądającego się małym, ślicznym, słodkim dziewczynkom. Potrzebowałem jednak bardziej przekonującego dowodu, żeby zrobić to, co zrobiliśmy. Ruth taki dowód znalazła. Nie bezpośredni, lecz wystarczający. Pornograficzne, pedofilskie zdjęcia w biurku Jona. Wyłącznie z dziewczynkami. Widziałem te zdjęcia, szeryfie. Omal nie zwymiotowałem. Poleciłem Ruth odłożyć je na miejsce. Jon nie mógł się w niczym

zorientować. I nie zorientował się. Uwierzył w tego swojego raka. Doxagen, szeryfie, jest lekiem stosowanym nie tylko przy leczeniu raka. Stosuje się go także w leczeniu pedofilii. Podobnie jak Cyproteroni acetat. Blokuje u facetów produkcję testosteronu. Żeby kastracja farmakologiczna była skuteczniejsza, dołączyłem octan medroksyprogesteronu i jeszcze wałnąłem psychotropę o podobnym działaniu, taki doprowadzający gościa prawie do całkowitej impotencji citalopram, no, bo biedny Jon ze strachu wpadł w depresję... Przejrzyj szybciotko dalsze zapisy. Tak, szeryfie, wszystko ułoży ci się w logiczną całość. Jon pedofil i Jon psychopatyczny morderca... Wybacz, muszę do toalety... Zdążysz go dopaść. On zabija nocą! A ja na chwilunię... Potem pojedziemy do niego. Do jego kryjówki... Wiem, gdzie jest, chociaż nigdy moja noga tam nie stała... Zaraz wracam...

Natłok informacji spowodował u Haiga gonitwę myśli. Jakoś mu te informacje nie pasowały do jego klocków. Jennifer, że Jona jako pedofila sprytnie ujajali, zgoda! Ale Jon — psychopatyczny morderca? W kartach doktora nie ma ani śladu o schizofrenii paranoidalnej! Tymczasem w naszej porannej rozmowie ostrzegł mnie przed genialnym schizofrenikiem!

Komórka. To Jennifer.

— Stan! Twój czas się kończy! Peters odnalazł toyotę Anny. Napis na podjeździe. Wpadł w panikę. Chroniąc własny tyłek, wezwał ekipę z Cedar Falls. Lada moment przyjadą. Spiesz się, Stan, gdziekolwiek jesteś, okay? Aha, Stan, odkryłam coś, co może ci się przydać. Linda Snow. Według mnie to osoba umysłowo chora. Z urojeniami wielkościowymi, prześladowczymi, a przede wszystkim z urojeniami zdrady. Długo trwało, nim w klinice psychiatrycznej w Medison odnaleziono kartę tej Lindy. Została tam umieszczona wyrokiem sądu za zamordowanie własnego męża, którego podejrzewała o zdradę. Dożywotnio. Zmarła w wieku sześćdziesięciu pięciu lat. W tym samym czasie leczono tam młodą pacjentkę, schizofreniczkę, o nazwisku Edna Caine. Pewno by o niej nie pamiętano po tylu latach, jednak to był jedyny taki wypadek w tej klinice. Edna ukradła dokumentację Lindy Snow wraz z jej, nieważnym zresztą, prawem jazdy. Ukradła i uciekła. Mimo poszukiwań nigdy jej nie odnaleziono. Dlatego zapamiętali i Lindę Snow, i Ednę Caine. Przesłali mi na komórkę zdjęcie Edny Caine. Przesyłam je tobie. Kogoś mi do cholery przypomina! Przyjrzyj się uważnie. Może to zdjęcie skojarzysz. Pamiętaj, że teraz jest znacznie

starsza niż na zdjęciu, okay? Mogła przejść operację plastyczną. Mogła się przefarbować. Mogła nawet zmienić kolor oczu, zakładając soczewki.

— Jennifer! Szukamy faceta, nie kobiety! Doktor Tracy niedwuznacznie wskazuje na Jona Milтона! Ruth podobnie! Ja go też podejrzewam. Jennifer! Jon Milton nie musi być wcale schizofrenikiem! Pomyliłaś się. Jon Milton jest pedofilem. Wykastrowanym chemicznie przy pomocy Willa Barkinsa! Za zgodą Ruth! Przez Marka Tracy'ego. To on, Jennifer, zabija! Molestowane przez siebie kobiety!

— Bzdura. Rzeczywiście twoje klocki się rozsypały! Dajesz się manipulować doktorowi! Przyjrzyj się zdjęciu Edny Caine, okay? Myśl!

Zdjęcie przedstawiało młodzieńką, najwyżej osiemnastoletnią dziewczynę. Blondynka. Gęste włosy. Niebieskie oczy. Wąskie usta. Zbyt wysunięta, spiczasta broda. Brzydki, duży pieprzyk na szczycie prawego policzka. Twarz owalna.

— Cholera, Jennifer, nie znam!

— Przyjrzyj się uważnie...

— Jennifer, nie znam! Z nikim nie kojarzę! Wyłącz się! Nie zawracaj mi głowy!

Rozłączyła się, a on nadal przyglądał się zdjęciu.

Operacja plastyczna... Gdzieś dziś to już słyszałem... Operacja plastyczna... Will Barkins... Ktoś, komu Will robił operację plastyczną, zidentyfikował go jako Toma Hardinga. Spierdoliłeś tamtą operację w Los Angeles, Tomie Harding. Cierpliwie czekałem, wierząc, że prędzej czy później w jakiś sposób się ujawnisz.

Chrypiący, męski głos...

Męski...

Zawsze męski chrypiący głos...

Kamuflaż? Jak te buciory?

Edna Caine. Znak szczególny: duży pieprzyk na policzku. Zbyt wysunięta, spiczasta broda.

Chryste... To niemożliwe...

Operacja plastyczna nosa i brody uczyni z naszego synka całkiem przystojnego chłopaka... Chryste, nie uczyniła... Jonathan pozostał odrażająco brzydki, mimo wyraźnie skróconej spiczastej brody... Spierdoliłeś tamtą operację w Los Angeles, Tomie Harding... Chryste... Nie do uwierzenia...

— Cholera, Tracy, ty draniu! Wylaż z toalety! Chryste, nie do uwierzenia...

Odpowiedziała mu cisza.

W toalecie zobaczył otwarte okno.

I ja zdążę. Nie twoja sprawa, szeryfie. Ty masz swoje powody, a ja swoje. Nie zabije ich przed nocą. Znam jego zwyczaje.

Uciekł, aby ratować Jonathana... Jak go może uratować? Jak? Zabijając współnika... Tylko tak... Zabijając. Nie, doktorze. Muszę go mieć żywego!

Chryste, nie zdążę...

Kurwa, muszę zdążyć!

Haig, co robisz? Bez koguta!

W ciszy, Haig, w ciszy...

Bo ich spłoszysz.

Jennifer, jeżeli naprawdę jesteś taka mądra, wiesz, gdzie mnie znaleźć. Potrzebuję pomocy, Jennifer.

7.

Wjeżdżając w Short Street, wygasił światła. Mimo wszystko, ostrożnie, powoli, Haig.

Wieczorem mrok uliczki rozpraszały zwykle rześcicie oświetlone okna rodzinnych domów Miltonów oraz ozdobne lampki rozwieszane wzdłuż drogi pomiędzy nimi, wzdłuż kwietnikowych rabat, wokół placzyku zabaw, przy podjazdach pod domy i pod garaże. Wieczorem uliczka rozbrzmiewała często taneczną muzyką oraz śmiechami gości Teri i Cristin, które prowadziły bujne życie towarzyskie. Wieczorem uliczką trudno było przejechać, bo ją tarasowały samochody gości. Jon Milton nie pozwalał wjeżdżać na siedlisko. Dbał o trawniki. O rabatki Ruth. Młodym nie zabraniał się bawić, lecz siedlisko traktował jako własne, nienaruszalne terytorium. W żadnym wypadku nie do trawienia samochodami. Podpitych gości gonił bez pardonu.

Teraz domy Teri i Cristin stały ciemne. Zasadzone w pobliżu topole były aż czarne.

Czemu domy córek Milton obsadził od strony swego domostwa szpalerem topoli? Uznaliśmy z Petersem, że chodziło o zachowanie intymności. Ale czy na pewno o to?

Ozdobne lampki były wygaszone. Wszędzie.

Nie, nie wszędzie. Pałają przy podjeździe Miltonów, i nad ich garażami.

Drzewa brzezinki rzucały długie, nieomal czarne cienie.

Pod nimi zaparkuję...

Cisza.

Chwała Bogu, wyprzedziłem doktora...

Sucho, krótkie kłaśnięcie. Głośny krzyk bólu. Jona Miltona.

Chryste, nie wyprzedziłem! Tracy zdążył! Dlaczego strzela do Miltona?

Wyciągnął z kabury glocka. Odbezpieczył. Przeskoczył na drugą stronę uliczki.

Operacja plastyczna nosa i brody uczyni z naszego synka całkiem przystojnego chłopaka. Spierdoliłeś tamtą operację w Los Angeles, Tomie Harding...

Dlaczego do Milтона, Tracy?

Śmiech Ruth.

Jeszcze tylko kilkanaście metrów... Ostrożnie, Haig. Pochyl się... Niżej... Na kolanach... Pełnij na kolanach, Haig... Uważaj! Szeleścisz trawą...

Śmiech Ruth. Śmiech. Śmiech.

Jęki Milтона.

Chryste...

Jon Milton leżał, obficie krwawiąc z postrzelonego kolana.

Mark Tracy celował do Ruth.

Ruth trzymała w matczynym objęciu Jonathana. Przykładając do jego szyi nóż. Zanosila się śmiechem.

Chryste...

Wąskie wargi konwulsyjnie wykrzywione. Tocząca się z nich pianista ślina. Oczy błyskające białkami.

— Jest tylko mój. Tylko mój — śmiejąc się, tryskała śliną. — Ale mnie zdradził. Och, synku, dlaczego zdradziłeś swoją mamusię?

Wypaść i krzyknąć: „Policja, Ruth, puść Jonathana, mam cię na muszce! To koniec, Ruth. Poddaj się...”? Nie dostrzegli mnie... Kurwa, Haig! Krzykniesz, a ta szalona kobieta poderżnie synowi gardło... Jest w amoku. Poderżnie. Wtedy Mark ją zabije. Milтона też. Bo czemu do niego strzelał? Pewno go oboje szantażowali... Są współnikami... Zabije ich. I siebie. Jak Will. Amelia, Anna, Chris, Louise skona ją z wyczerpania, głodu, nim odnajdziemy tę pieprzoną kryjówkę... Przyczaj się, Haig. Włącz komórkę. Nagrywaj każde słowo... Jest w amoku... Ma urojenia wielkościowe... Uważa się za geniusza. Stoi przed widownią... To ją ekscytuje, podnieca... Chce opowiedzieć o swojej wielkości...

— Z taką rozprawiczoną przez twego niby-tatusia suką! — Biała, pieniąca się ślina ściekała po zbyt wystającej brodzie Ruth, jej głos zamienił się w syk. — Z tą pieprzoną Hellen! Zdradziłyś mnie, synku, z każdą, która by cię zechciała. Ukaralam tę sukę, synku, w twoim imieniu. Wszystkich ukaralam. Wszystkich. Tego sukinsyna, który ci spieprzył operację, też. Nawet nie wiesz, synku, jak mi się ta twoja

spieprzona operacja przydała. Bo twoja mamusia jest mądra. Bardzo, bardzo mądra. Zaraz po operacji przemyślała swój nadzwyczajny plan. Plan totalnej zemsty. Nie rusza się, synku. Tak czy siak, podejrzną ci gardło. Chociaż twoja mamusia nadal cię kocha. Ciii, synku, ciii. Musi ci poderznąć twoje kochane gardziółko, bo się zorientowałaś, że to mamusia zabiła tego paskudnego chłopca tej suki, Hellen. Cii, synku, ciii. Nie próbuj zaprzeczać. Kurwa! — wrzasnęła dziko Ruth. — Kurwa mać, synku! Czemu wtykałeś ten swój spiczasty nochal w kieszeń bluzy mamusi? To był mój jedyny błąd! Mamusia zapomniała wyrzucić z niej taki duży, duży kamień! Zapytałeś, idioto, po co ci taki kamień, mamo? A potem, podły skurwysynku, zdradziłeś swoją mamusię ostatecznie. Nie potrafiłeś opanować strachu w oczach. Broniłeś się, gdy mamusia zabierała cię od tej pierdolonej suki, Danieli! Dobrze, że mamusia miała ze sobą chloroform. Uspiała cię, skurwysynku. Po raz ostatni, ostrożnie, zaniósła nieprzytomnego na piętro. Po raz ostatni ucałowała. Kurwa, bałeś się swojej mamusi tak, że niemal mdlałeś ze strachu, gdy przychodziła sprawdzać, czy dobrze cię ucharakteryzowała na umierającego. Ośmieliłeś się powiedzieć swojej mamusi, żeby do ciebie przychodził jedynie zaszran doktorek i twój niby-tatus! I dopytywałeś tego swojego niby-tatusia, czy Anna i Carol jeszcze żyją! Mark, ani kroku, ty ślepak! Kazałam ci zabić Jona, a nie postrzelić go w kolano! Opuść rewolwer, Mark, bo zamiast naszemu synkowi przeciąć aortę, żeby umarł szybciotko, zacznę go na twoich oczach ciąć, i niech się wtedy długo wykrwawia, jak najdłużej. I tak we mnie nie trafisz tą trzęsącą się ręką! I nikt ci nie przyjdzie z pomocą. Nikt przecież nie podejrzewa kochanej, dobrej cioci Ruth o miłej, pocziwej, budzącej zaufanie twarzy, że jest tym, kim jest! O Jezu, żebyś widział, Mark, minę Louise, kiedy przystawiając jej nóż do gardła, kazałam robić to, co kazałam! Jon, skarbie, nie jęcz. Albo nie. Jęcz. Lubię wsłuchiwać się w jęki. Sprawiają mi rozkosz. Doznają orgazmu. Jednego po drugim. Teraz też doznają orgazmu. Żaden facet, nawet Jon ze swoim wielkim chujem, nie potrafił mnie nigdy zaspokoić! — Przestała wrzeszczeć i roześmiała się, tryskając spienioną śliną. Wciąż też głaskała nożem szyję Jonathana.

— Ruth, puść go. Obiecałaś... Zabij mnie — głos doktora był słaby, błagalny.

Teraz? W głowę...

— Ani drgnij, Haig, okay? Ani drgnij.

Jennifer? Skąd tu Jennifer?

— Ani drgnij. Jest w stanie głębokiego splątania. Musi się wygadać. Zatriumfować. Niech ci, których zaraz zabije, dowiedzą się, jaka jest wielka, wspaniała. Tak każe jej głos w głowie.

— Ciebie, najdroższy? O, nie! Popsułyś mi mój doskonały, dopracowany do ostatniego szczegółu plan. Synku, a fe! Zsikałeś się. Twój niby-tatuś pewno nawet się i zesrał ze strachu. Twój niby-tatuś również zdradził twoją mamusię. A był przecież tylko jej. Pieprzony pedofil! Oglądał się w obecności twojej mamusi za słodkimi, ślicznymi dziewczynkami. Ale mądra mamusia szybkojutko przyskrzynała twojego tatusia. Szybciutko odkryła, że ubóstwia małe, słodkie dziewczynki. Prawda, kochanie, że szybkojutko? Kochanie, przykro mi, naprawdę. Tak ci zależało na ukryciu tej twojej wstydlivej tajemnicy. Nie dziwię ci się, kochanie. Mnie też by zależało. Też robiłabym wszystko, żeby się nie wydała. Byłeś mi taki posłuszny. Po prostu wspaniały, skarbie. Cudownie chrypiałeś, strasząc te swoje byłe słodkie dziewczynki. Naganiając prosto w moje sidła rzekomego Willa Barkinsa. Wysyłając tej suce, Hellen, telegram i błękitne róże. Szczerze wyznałeś, kogo rozprawczyłeś, nie tylko paluszkami. Leda Henning. Rosa Duval. Emily. Anna. Ta suka, Hellen. Słodziutka Amelia. Aleś ty głupi, skarbie. Wiesz, jak się dziś napracowałam od bladego świtu? Twoim audi porwałam Annę, Louise. Przy okazji Chrisa, chociaż przeciwko niemu nic nie mam, ale znalazł się na mojej drodze. Napracowałam się jak cholera! Zdążyłam oderżnąć Amelii dwa paluchy i też ją porwać. Ojej, boli cię kolanko? Zły doktor postrzelił w kolanko, kolaneczko mego kochanego mężusia. Jemu się wydaje, synku, temu pieprzonemu doktorkowi, że przechytrzył twoją mamusię. Twojej mamusi nikt nie przechytrzy. Zwłaszcza taki głupi doktor, który kiedyś również był tylko mój. I sądził, że proponując twojej mamusi ślub, przechytrzy ją, że twoja mamusia zapomni, jak jej nie chciał, poniżał, odrzucał. Sądziłeś, Mark, że uwolnisz się od swojej Lindy Snow? Zapomniałeś o kartce na podłodze, że jesteś tylko i na zawsze mój? Uciekłeś przed swoją Lindą aż tutaj, a ona cię śledziła, tup tup za tobą. Potem musiała znaleźć kolejnego frajera, który byłby tylko jej i pochodził stąd. Przefarbowała swoje piękne blond włosy na czarno. Zmieniła dzięki soczewkom kolor oczu na piwny. Troszeczkę ją szpeciła zbyt wysunięta broda, ale przecież była wysoka, zgrabna

i знаła się na sztuce uwodzenia frajerów. Zadekowała się w Cedar Falls. Od czasu do czasu wpadała do Nevady. Zasięgała języka u głupich kobiet. Dowiedziała się o niej jakimś Jonie Miltonie, w sam raz dla niej, na dodatek bogatym jak cholera i dotąd bez żoneczki. Łatwo mi poszło, prawda, kochany mężusiu? Skromna, ładna i tyle lat młodsza, ty świnio. Przysięgałeś, że będziesz tylko mój, a z Cristin bawiłeś się w lekarza, zbrojeńcu! Wykastrowaliśmy cię. Niby że masz raka, wieprzu. Ale numer, synku! Twój niby-tatuś stał się bezpłodny! Ale numer, synku! Podwójny! Tatuś stał się bezpłodny, a doktorek mi w tym pomagał, nie mając pojęcia, że twoja mamusia jest jego Lindą Snow! Ale twoja mamusia koniecznie chciała mieć syneczka! Poszła do doktora. Wyjęła soczewki. Zajrzała mu w oczy niebieskimi oczami Lindy Snow. Zagroziła, że zgłosi, iż bez wiedzy pacjenta dokonał na nim chemicznej kastracji, za co go skazają i odbiorą prawo do wykonywania zawodu. A potem, synku, kazała się z sobą kochać. Nie bardzo nam to za pierwszym razem wyszło, co, doktoru? Nie chciał ci nijak stanać. No, ale twoja mamusia, synku, wie, jak podniecić faceta rączką. Przychodziła do swego doktora tak długo, aż ją zapłodnił. Stała się jego upiorem z przeszłości. Urodziłeś się, synku, a twoja mamusia groziła twemu prawdziwemu tatusiowi, że cię zabije, jeżeli ją znowu jak kiedyś Lindę Snow odepchnie, nie zechce z nią sypiać. Pokazała mu ukradzioną z kliniki psychiatrycznej dokumentację tej wariatki, Lindy. Ależ nie, synku, twoja mamusia nigdy nie była wariatką, w wariatkowie znalazła się przypadkowo. Gdyby była wariatką, co chciał w nią wmówić przerażony doktorek, nie udałoby się jej uciec z tego ohydneho szpitala, prawda, synku? A doktorek był twojej mamusi bardzo, bardzo potrzebny. Jeszcze wtedy nie planowała tego wszystkiego, co potem zrobiła. Początkowo był jej potrzebny do łóżka, bo temu twojemu niby-tatusiowi kompletnie fujarka nie stawała. Rosłeś, synku, taki brzydki, taki szpetny! Cierpiałam, synku. Ta suka, Hellen, i te inne dziwki drwiły z ciebie, poniżały cię! O, nie! Zemszczę się na was wszystkich. Na was, waszych rodzinach. Przy okazji i na tych, z którymi zdradzał mnie tylko mój, zawsze mój, nawet wykastrowany, ale wciąż mój Jon. Kurwa, co jest? Słucham? Słucham? Kończyć? Kończyć?! Dlaczego mam, kurwa, kończyć, kiedy mi się tak dobrze gada? — wrzasnęła Ruth i błysnęła białkami oczu.

— Jeszcze nie, Haig. Jeszcze poczekaj. Po splątaniu nadejdzie fala osłupienia dysocjacyjnego, blokująca drastycznie ruchy, jednak przy pełnym zachowaniu świadomości. Trwa zwykle krótko, ale ty tę

fazę wykorzystasz. Powiem ci, kiedy.

— No dobra, kurwa. Niech ci będzie — zabełkotała Ruth. — Doktoru, końcowa. On w głowie mi krzyczy, że masz dobić Jona. Natychmiast. Potem się zastrzel. Jak nasz biedny Will. Nie masz wyjścia, doktoru. On daje ci minutę. Kurwa, przecież powtarzam dokładnie, co mi każesz! Od twojego wrzasku głowa mi eksploduje! Urwa! Estań! Ań! Eń! Duje! Awalki! — krzyk Ruth przeszedł w całkowicie niezrozumiały bełkot. Chwiała się na nogach, jakby mocując się z jakąś tylko jej wiadomą siłą.

— Zastrzel ją, doktorze! — rozległ się krzyk Jona. — Ja ją znam! Atak zaraz minie. Zastrzel, póki czas!

— Haig, ani się waż. Nie wtrącaj się. Zaufaj mi.

— Cholera, Tracy! Sparaliżowało cię? Dawaj broń! Sam ją zastrzele!

— A potem Jonathana, bo go nienawidzisz od urodzenia. I wreszcie mnie. Nic z tego, Jon. Jesteś potworem. Niewiele różniącym się od Ruth.

— A ty niby kim jesteś?

— Ja? Ojcem Jonathana, którego kocham.

— Teraz, Haig, teraz! Zastygła w bezruchu. Celuj w jej ramię. Lewe. Nóż trzyma na gardle Jonathana prawą ręką. Najwyżej lekko go skaleczy.

Nie skaleczyła. Zawyla z bólu. Wypuściła nóż. Jonathan niczym bezwładny worek osunął się wzdłuż jej ciała.

— Synku! — krzyknął Mark Tracy. Dobiegł do Jonathana. Przyklęknął. — Synku. Zdążyłem. Boże mój, zdążyłem.

— Haig, nie spiesz się, okay? Czekaj. Widzę, Haig. Jon Milton się czołga. Po nóż. Zaufaj mi, okay? Muszę wiedzieć, jak zachowa się doktor. Określić stopień jego winy.

Mark Tracy, zapominając o Ruth i Jonie, pochylony nad Jonathaniem, płakał. Zapewniał, że jego koszmar już się skończył. Nie musi się bać swojej matki ani nikogo innego. Zawiozą go do szpitala, wyleczą z przeżytego szoku.

— O przyszłość się nie martw, synku. Zabezpieczyłem ją. Masz konto w banku w Des Moines. Urodziłeś się, a ja odkładałem każdy dolar... Nie myśl o mnie źle. Wszystko, co robiłem podłego, robiłem dla ciebie...

Biedny człowiek. Przemawia do syna, który go nie słyszy... Stracił przytomność...

— Kurwa, gdzie mój nóż?! — to wrzask Ruth.

— Teraz, Haig!

Wyskoczył z chroniącego go cienia. Celował w głowę Ruth.

— A ty, kurwa, skąd?! — krzyknęła. Nagle uśmiechnęła się przy-
milnie. — Jezu, no coś ty? Nie poznajesz mnie? Przecież to ja. Kochana,
dobra, poczciwa ciocia Ruth. — Jej uśmiech gwałtownie wykrzy-
wił się w grymas strachu. Wielkie ciało Ruth zadrżało. Uniosła ręce
jakby w dziękczynnym geście. — Stan, zdążyłeś! W ostatniej chwili,
ale zdążyłeś! Chyba cię sam Pan natchnął, żeby tu do nas zajrzeć!
Jezu, Stan, doktor Tracy oszalał! Postrzelił mojego męża! Chciał go
zabić! Mnie również! Byłby zabił, ale własnym ciałem ochronił mnie
Jonathan! Chryste, Stan! Ratuj mojego syna przed tym szaleńcem!
Udaje, że go obejmuje! On dusi Jonathana na twoich oczach, Stan, a
ty celujesz we mnie? We mnie?

— Szeryfie, usłuchaj Ruth! Zastrzel doktora! Przyszedł z rewolwe-
rem. I z tym nożem. — Jon Milton wskazał na nóż. Upuszczony przez
Ruth, leżał niemal w zasięgu jego ręki. — Wpadł do domu. Sterrory-
zował nas. Kazał wyjść na zewnątrz. Strzelił do mnie. Krzyczał, że
dokończy swoje zbrodnicze dzieło! Zabije wszystkich ze swojej mor-
derczej listy. To on! Wasz potwór! Wszyscy będziecie ukarani, krzy-
czał. Szeryfie, na litość boską! Rusz się! Zastrzel go! Nim nas wszyst-
kich pozabija, łącznie z tobą!

— Stan, ani kroku.

To Mark Tracy. Podniósł się z kolan. Jeśli malarz potrzebowałby
modela do namalowania twarzy śmierci, to taką twarz miał Mark.
Wyglądał, jakby sam właśnie umierał.

— Uprzedzałem cię, że zdążę — powiedział, nie zdając sobie
sprawy, że wciąż płacze. — Uprzedzałem, że to nie twoja sprawa, sze-
ryfie. Że ty masz swoje powody, a ja swoje. Powiedzmy, że jej nie
zabiję. Zostawię ją tak zwanemu wymiarowi sprawiedliwości. Odbę-
dzie się proces. Wydadzą wyrok. W imię prawa. Które ją skazuje na
dożywocie w zakładzie psychiatrycznym. Dostanie tam wikt, opieru-
nek, opiekę lekarską. Ona, psychomaniakalna, wielokrotna morder-
czyni, wycinająca żywemu jeszcze Ericowi serce. Zasłużyła na wielo-
krotny wyrok śmierci. Nie odpowiada mi wasza sprawiedliwość. Ro-
zumiesz, szeryfie? Jezu, nie post mortem! Nie post mortem!

— Mark, jeśli ją zabijesz, sam staniesz się mordercą. Oddaj broń.
Wiem, że nikogo nie potrafisz zabić.

Dobry Jezu, niech odda. Dobry Jezu, on ma rację. Sam bym ją za-
bił z przyjemnością.

— A ja wiem, że nawet jeśli jej nie zabiję, czeka mnie wieloletnie więzienie. Od podrzucenia manekina Patricka znam jego zabójcę. Nie przerwałem tego makabrycznego pochodu śmierci. Jestem współwinni. Zastrzel mnie. Albo ja ją zabiję.

— Ława przysięgłych uwzględni, że byłeś szantażowany. Proszę, Mark. Oddaj rewolwer. Znam cię. Nie potrafisz zabić.

— Potrafię... Muszę... Jona postrzeliłem... Potrafiłem...

— Stan! Uważaj! — rozległ się zniecierliwy krzyk Jennifer.

Spóźniony. Dłonie Ruth zacisnęły się na szyi Haiga. Usiłował ją kopnąć w krocze. Szamotał się. Nie był przecież ułomkiem, lecz słabł. Jezu, co za siła...

— Mam cię, robaczku. Każdy, kto wchodzi w drogę dobrej, pocziwej cioci Ruth, musi zostać ukarany. Ciocia Ruth nie lubi niegrzecznych chłopczyków. Udusi cię wolniutko. Pomęcz się, robaczku. Nie licz na doktorka. On rzeczywiście nie potrafi zabijać. Po tym paskudnym chłopaku tej suki Hellen chciał się powiesić. O nie, skarbie, po pierwsze, jesteś tylko mój, a po drugie, bez wahania zabiję naszego kochanego synka... Nie załamuj się, skarbie. Twoja Linda o tobie nie zapomni. Przystaniesz jej być potrzebny, wtedy sobie umrzesz... Jon! Nie certol się z szanowną panią psycholog. Nikt cię tu nie zapraszał, dziwko. Przyłazłaś za Haigiem na własne życzenie. Przede mną nie ukryjesz, że się w nim zakochałaś. Chociaż zdążyliście się pobzykać? Dogodził ci, suko? Jon, szybciej! Nożem ją, nożem, Jon! O, kurwa... Tracy, trafiłeś mnie w nogę... O, kurwa! O, kurwa — powtarzała, rozluźniając uścisk i zwalając się na ziemię.

Drugi strzał. Wycie tarzającego się z bólu Jona.

Mark Tracy odrzucił dymiący rewolwer.

Ramię Jennifer krwawiło.

— Jennifer, dzwoń po pogotowie! — krzyknął Haig, rozcierając szyję. — Jesteś ranna!

— Powierzchowne draśnięcie. Nic mi nie będzie, jest okay. Mnie pogotowie niepotrzebne. Ani tym tu — powiedziała lodowato. — Para morderców.

Podeszła do nich.

— A teraz, was, robaczki, zwiążemy, żebyście nie wierzgali. Stan, skuj ich, okay? Rączka do rączki. Doskonale, Stan. Okay. A teraz, robaczki, rozdziawcie gęby. Za głośno jęczycie. Zaciskacie usta? Stan, nie certol się. Rozdziaw im gęby nożem. Nie szkodzi, że trochę skaleczysz... Jaki posłuszny robaczek. Boisz się noża, którym chciałeś mnie

zadźgać? Okay, Stan. Daj nóż. — Odcięła ze stoickim spokojem kawał rękawa z koszuli Milтона. Duży kawał. Zwinęła go i wetknęła Jonowi aż po gardło. Roześmiała się. — No i jak, robaczku? Chyba okay, bo co nieco siniejesz. — Odcięła kolejny kawał rękawa. — Stan, przyłożę Ruth nóż do gardła. Kłapie zębiskami. A ty zatkaaj tę jej mordę. Okay, zrobione. Co tobie, doktorze? Nie obawiaj się, nie uduszą się.

— Ale wykrwawiają... — jęknął Mark Tracy. — Zraniłem ich. Potrzebują natychmiastowej pomocy...

— Uratowałeś nam życie. A oni nie zasługują na litość. Zajmij się synem, doktorze. Zabierz go stąd. Poza tobą nie ma nikogo. Po tym, co przeżył, nieprędko otrząśnie się z szoku. Stan, pomóż staremu człowiekowi zanieść Jonathana do jego samochodu. Ten biały pontiac, tam, pod garażami Miltonów, to twój, prawda? Zresztą innego tu nie widzę. Doktorze, proszę jak najszybciej odjechać. Razem z synem.

— Nie aresztujecie mnie teraz?

— Ani teraz, ani mam nadzieję nigdy, doktorze. Nie unikniesz przesłuchania, to prawda. Ale ciebie tu dziś nie było. Zgadza się, Stan? Nie było faceta nazwiskiem Mark Tracy. Okay?

— Jennifer, to się nie uda. Jak wytłumaczymy nieobecność Jonathana? Peters wie, że tu był.

— Peters? On zrozumie. Tak jak rozumiał Willa.

— A ci tutaj?

— A kto im uwierzy? Nam czy im? Przyjechałam chwilę po tobie. Jestem świadkiem całego zajścia. Nikt nie podważy moich zeznań.

— Jezzu, zdajesz sobie sprawę, jak ryzykowałam? A gdyby mnie tu nie było?

— Wcale nie spodziewałam się ciebie tu zostać. Olałeś zdjęcie. Powiedziałeś: „Nie znam, nie kojarzę”. Ja je natomiast niemal błyskawicznie skojarzyłam z Ruth Milton. Wysunięta, spiczasta broda. W markecie Louise zauważyłam ślady siwych odrostów w zbyt czarnych jak na jej wiek włosach i bliznę po usuniętym pieprzyku na policzku. Co robić? Dzwonić znowu do ciebie i przekonywać? Brak czasu! Już wieczór. Zabija nocą. Rzeźnia jest w pobliżu domu, to jasne. Zabija nocą. Wyjdzie z domu. Może ją przyskrzynię? Na czymś przyłapię? Niczego nie ryzykowałam. No, może troszeczkę... Gdy jednak zobaczyłam ciebie, wiedziałam już, że sobie poradzimy bez wzywania Petersa ze wsparciem. Stan, staremu człowiekowi z synem w ramionach brakuje sił... Stan, musimy mu pomóc. Jak Willowi.

- Jennifer! A odciski palców doktora na rewolwerze?
- Usunę je. Odcisnę na nim paluchy Lindy Snow vel Edny Caine vel Ruth Milton. Pośpiesz się, Stan, okay?
- Jennifer? Uda się?
- Uda się. Uda się, Stan, bo nawet specjalnie nie będą wypytywali o doktora. Doktor zejdzie na dalszy plan, po tym jak uwolnimy ich ofiary. Chyba wiem, gdzie ta ukryta rzeźnia.
- Skąd wiesz?!
- Cholera, Stan. Doktor upadł. Podnieś go. Podnieś jego syna. Mają zniknąć stąd natychmiast. Mark, jesteś w stanie prowadzić?
- Kiwnął głową.
- Okay. Tylko uważaj. Jedź ostrożnie. Na razie bez świateł. Włącz je dopiero, gdy skręcisz w Roosvelt Avenue. Rozumiesz, Mark?
- Kiwnął głową.
- Stan, zapnij doktora pasami. Cholera, Stan, nie widzisz, jak Markowi trzęsą się ręce? Jonathana ułóż na tylnym siedzeniu. Kluczyk w stacyjce? Okay. Dasz radę, Mark. Ruszaj.
- Wóz doktora wtopił się w mrok zapadającej nocy. Jezu, a jeśli Jennifer nie wie? Jest już ósma. Peters się zorientuje, że gdzieś się zapodziałem! I Jennifer też!
- Jeszcze się nie zorientuje — powiedziała Jennifer, jakby czytając w jego myślach. — Za wcześnie. Ekipę czeka huk roboty. Dom Louise. Dom Briana. Wywal Petersa z głowy, okay? Rozejrzyj się po siedlisku Miltonów. Myśl. Zwróć uwagę na domy córek. Milton wybudował je nieopatrnie za blisko swego domu. Jeszcze wtedy nie podejrzewał żony, że zacznie mordować. Bał się wyłącznie o siebie. Żeby nie wydały się jego pedofilskie wyczyny...
- Cholera, Jennifer, wiesz czy nie wiesz?! — krzyknął Stan.
- Domyślam się...
- Żeby cię szlag, Jennifer razem z twoimi domysłami!
- Nie panikuj, okay? Patrz. Myśl. Topole. Topole należą do drzew szybko rosnących. Bardzo szybko osiagających wysokość do trzydziestu metrów. Te są prawie trzydziestometrowe. Gęsto posadzone. W dwóch albo nawet trzech szpalerach. Myśl. Czemu Milton od strony swego domu obsadził domy córek tak gęstym, zasłaniającym widok własnego siedliska szpalerem drzew?

— Jennifer, to ty myś! Przecież Ruth zaczęła szantażować Willa, kiedy Jonathan był kilkunastoletnim chłopcem! To się nie zgadza!

— Zapomniałaś, co wykrzykiwała pod adresem doktora? A o swoim mężu? Dyszała nienawiścią i pragnieniem zemsty. Do doktora, który ją zdradził, a był tylko jej, na zawsze jej. Potem odkryła, że kolejny facet, który jest tylko i na zawsze jej, też ją zdradza. Jego pedofilstwo uznała za zdradę. Z pewnością zamierzała ukarać te wszystkie słodkie dziewczynki, z którymi, według niej, ją zdradzał. Według mnie owe topole kazała posadzić Jonowi, gdy Barkinsowie kupili swój dom. W głowie układała już plan zemsty. Tylko na obu jej mężczyznach oraz na tych wszystkich słodkich dziewczynkach, do których przyznał się Jon. Musiała mieć swoją rzeźnię obok domu. Obok, zakamuflowaną. Taką, w której najpierw ćwiczyła swoje umiejętności chirurgiczne na zwierzakach. Taką, do której mogła sobie wchodzić, nie zwracając uwagi nawet gości swoich córek. Albo w nią wjeżdżać ze swoją ofiarą w samochodzie. Najciemniej jest pod latarnią. Rozejrzyj się. Co tu jest oświetlone, poza podjazdem?

— Garaże...

— Garaże, Stan. Przyjrzyj się im. Miltonowie mają trzy. Przyjrzyj się temu środkowemu. Na pierwszy rzut oka niczym nie różni się od pozostałych. A jednak jest sporo szerszy. Okay, Stan. Przeszukaj kieszenie Ruth.

Przeszukał. Znalazł centralny klucz, pilot. Jezu, obyś się nie myliła, Jennifer.

— Nie myślę się. Otwieraj.

Audi Jona stało obok zakrytego deskami kanału. Wystarczyło zdjąć cztery, zapalić latarkę, a ukazały się murowane schody, zakończone ślepą ścianą. Nie. Nie ślepą. Na wpół otwarte drzwi. Jezu...

8.

Tego wieczoru mieszkańcom Nevady wspólne, rodzinne oglądanie telewizji, sączenie drinków i układanie dzieci do spania przerwało wycie karetek pogotowia. Karetki pędziły od Cedar Falls przez Roosevelt Avenue, skręcając w Flowers Street, a za opustoszałym domem Barkinsów w Short Street. Za karetkami, jakby je ścigając, podążały miejscowe i stanowe wozy policyjne. W całym mieście rozdzwoniły się telefony. Przekazywano sobie przerażonymi głosami jedyne możliwe wyjaśnienie tego zmasowanego najazdu karetek oraz policji. Potwór zaatakował Miltonów. Tyle karetek, tyle karetek! Chryste, dlaczego aż tyle? Co z dziećmi Teri i Cristin?

Kobiety płakały. Boże, okaż swoje miłosierdzie. Chyba nie zabił ich wszystkich? Siedmioro niewinnych dzieci? A jeśli zabił, to znaczy, że zabił także i Cristin, i Teri, i ich mężów, i pewno Ruth i Jona.

Dyżurny na posterunku odmawiał odpowiedzi. W końcu zablokował połączenia z miasta. Naczelnny „Głosu Nevady” również zablokował swoją komórkę. Komuś udało się dodzwonić do lokalnej telewizji. „Specjalny komunikat nadamy o godzinie dwudziestej trzeciej. Przed kamerami wystąpią szeryf, Stanley Haig, oraz detektyw stanowy, Collin Peters”. Zamarłe z przerażenia miasto czekało na godzinę dwudziestą trzecią.

Tymczasem karetki z ofiarami potwora pędziły znowu na sygnalach przez Flowers Street, skręcały w Roosevelt Avenue i kierowały się na Cedar Falls. Punktualnie o godzinie dwudziestej trzeciej na ekranach telewizorów pojawił się bardzo błady szeryf.

— Zdaję sobie sprawę, że moja krótka wypowiedź wywoła u wielu z was szok. Ujęliśmy morderczynię wraz z jej zbrodniczym współnikiem, którego zresztą zamierzała zlikwidować jako niewygodnego świadka. To Ruth Milton jest poszukiwanym przez nas potworem. Morderstw dokonywała przy pomocy męża, Jona Milтона. Dowody

są niezbite. Na terenie rodzinnego siedliska odnaleźliśmy w podziemiu garażu miejsce kaźni. A w nim ofiary, które dziś, w ciągu dnia, Ruth Milton porwała, planując zabić je nocą: Annę Adams, naszego policjanta, Chrisa Staylsa, przydzielonego w ramach ochrony siostram Adams, Louise Duval i Amelię Ford. Na szczęście nie zdążyła. Amelia Ford, której morderczyni oderznęła dwa palce, jest w stanie krytycznym z powodu wykrwawienia. Louise Duval ma niezagrażające życiu rany na plecach, zadane nożem. Anna Adams podobnie. Chris Stayls doznał głębokiego poparzenia jamy ustnej i przełyku. Wywołał je obezwładniający gaz pieprzowy. Ruth Milton oraz jej męża Jona Milтона w trakcie ujęcia musiałem unieszkodliwić strzałami w kolana i ramiona. Jeżeli chodzi o córki zbrodniarzy i ich rodziny, to były one w czasie zajścia nieobecne. W trakcie śledztwa ustalimy, czy któraś z nich miała jakikolwiek związek z morderstwami dokonywanymi przez ich matkę i ojca. Nie wiem, kiedy obędzie się proces zbrodniczej pary. To wszystko. Zwracam się do was o zachowanie spokoju. Nie życzę dobrej nocy, ponieważ wiem, że informacja o nazwisku morderczyni i jej zbrodniczego współnika wstrząsnęła wami. Ważne jest to, że zostali ujęci i już więcej nikt z naszego miasta nie zginie.

Nie mniej błdy detektyw stanowy Collin Peters oznajmił:

— Ulica Short Street na czas śledztwa zostanie całkowicie zablokowana. Odcięty zostanie również dom Barkinsów wraz z ogrodem. Dodam jeszcze tylko tyle, że w podziemiach garaży, poza miejscem kaźni, odkryliśmy doskonale wyposażone laboratorium, w którym Ruth Milton z pełną znajomością wiedzy kryminalistycznej preparowała skalp Patricka i serce Erica, tak żeby nie zostawiać śladów. Wiedzę czerpała z bogatego zbioru książek medycznych, także z zakresu kryminalistyki. Mogę też wyjawic, że Ruth Milton od ponad czterdziestu lat znajduje się na liście poszukiwanych jako zbiegła z kliniki psychiatrycznej w Medison, chora na schizofrenię Edna Caine. Otrzymaliśmy z kliniki dokumentację teje Edny Caine z testami psychologicznymi. Już w szkole podstawowej interesowała się medycyną. Została przyłapana, gdy w pracowni biologicznej dokonywała sekcji żywego kota. Psycholog dziecięcy stwierdził u kilkunastoletniej Edny zaburzenia schizofreniczne. Psychiatra zlecił odpowiednie leczenie. W klinice psychiatrycznej znalazła się z powodu uduszenia swego młodszego brata. Tak rozkazał jej głos w głowie. Schizofrenicy

rzadko bywają seryjnymi mordercami. Edna Caine nią była. Przy tym charakteryzował ją bardzo wysoki iloraz inteligencji. Wynosił według skali Wechslera 139. Nasza sądowa psycholog, doktor Jennifer Whitaker, podała mi kilka przykładów genialnych schizofreników, których nazwiska nie powinny być państwu obce. Nasz noblista, John Forbes Nash, na przykład, z pewnością oglądaliście państwo film o nim, pod tytułem *Piękny umysł*. Nasz znakomity pisarz science fiction, Philip Dick. Tak, ale oni nie mordowali. Zabójcą był za to schizofrenik Herbert Mullin, który wierzył, że mordując, zapobiega trzęsieniom ziemi. Edmund Kemper, psychopatyczny paranoik z Kalifornii, zamordował dziesięć osób, w tym własną matkę i dziadków. Przykłady można by mnożyć. Mówię państwu o nich nie po to, żeby straszyc, lecz aby wyjaśnić, że osoba tak inteligentna, jak Edna Caine, potrafiła przez długie lata planować zbrodnie i przygotować się do ich popełnienia, nie wzbudzając najmniejszego podejrzenia jako dobra, poczciwa, miłosierna, pomagająca bliźnim, pobożna żona Jona Milтона. Doktor Whitaker ustaliła, że jej schizofrenię zdominowały dwa urojenia. Urojenie tak zwane wielkościowe, a więc uważała się za osobę jakby powołaną przez Boga do wymierzania kary tym, których uznała za swoich wrogów, oraz urojenie zdrady, czyli że mordowała wszystkich tych, którzy ją zawiedli, zdradzili, a więc byli jej wrogami. Zawsze z nieodłącznym aparatem fotograficznym i z łakociami dla waszych dzieci, bywała w waszych domach i pstrykając zdjęcia, robiła równocześnie coś w rodzaju dokumentacji rozkładów waszych mieszkań, siedlisk, zabudowań. Nie znamy i nie poznamy nigdy pełnej listy jej wszystkich ofiar. Wiemy, że nie zamierzała oszczędzić nawet swego syna, Jonathana. Możecie państwo podziękować swemu szeryfowi. Gdyby nie jego intuicja, Ruth Milton dziś wieczorem zlikwidowałaby porwane wcześniej ofiary oraz zabiła syna i męża, Jona Milтона, z którego zresztą zamierzała uczynić kozła ofiarnego, czyli poszukiwanego przez nas potwora. Martwy potwór by jej nie zagrażał. Później zniknęłaby z Nevady, zmieniła nazwisko, wygląd i gdzieś indziej dalej by mordowała. Sądzę, że powyższe wyjaśnienia należały się państwu. Ponieważ śledztwo zostanie objęte najwyższą klauzulą tajności, dodam, że na pierwszej stronie „Głosu Nevady” znajdziecie państwo codziennie komunikat o stanie zdrowia ofiar. Dziękuję za uwagę. Tej nocy w całym mieście nikt nie przyłożył głowy do poduszki.

Tej nocy, po wysłuchaniu szeryfa i detektywa, ludzie zaryglowali drzwi domów, jakby w obawie, że zaraz wejdzie do nich wysoka postać Ruth Milton z uśmiechniętą, wzbudzającą zaufanie, miłą i dobrą twarzą i poderżnie im gardła albo rozpruje brzuchy.

Tej nocy matki czuwały przy łóżeczkach swoich dzieci, zastanawiając się, czy przypadkiem ich dzieci nie miały być kolejnymi ofiarami Ruth. Dziękowały Bogu, że je ocalił. Odmawiały modlitwy za Patricia, nieszczęsną Hellen, Willa. Za Erica i Amelię, błagając, aby po tym co przeszła, miłosierny Bóg pozwolił jej wyzdrowieć i nie dał zwariować tak jak Hellen.

Ranek nikomu nie przyniósł ulgi.

Ani następny dzień.

Ani kolejny.

Miasto przeżyło szok.

Miasto czekało na proces.

Miasto dyszało zemstą.

Miasto łaknęło krwi.

Krwi dobrej, poczciwej cioci Ruth i jej męża.

9.

Po tygodniu ekipy policyjne opuściły Short Street. Dwie godziny po ich odjeździe Sam Parker z Flowers Street, najbliższy sąsiad Barkinsów, zawiadomił straż pożarną oraz policję, że palą się domy Miltonów i ich córek. Dodał, że głównie go obchodzi ten pożar, lecz wieje silny wiatr i szkoda mu ukochanej brzeziny Hellen Barkins, której pożar zagraża. Straż pożarna jakby również miała w dupie palące się niczym pochodnie domy, zajęła się polewaniem wodą lasku Hellen.

Domy spłonęły doszczętnie.

Paul Thomson wraz z ekspertami ustalili umyślne podpalenie.

Sprawcy nie wykryto.

W pubie Jacka Browninga litrami lało się piwo. Wznoszono toasty za zdrowie podpalacza.

Córki Miltonów wraz ze swymi rodzinami nie pokazały się w mieście. Mężczyźni odgrązali się, że jeżeli któraś z nich ośmieli pojawić się w okolicy, kijami bejsbolowymi pogruhoczą jej samochód. Żądali dymisji burmistrza, ojca zięcia pary zbrodniarzy. „Twoje szykowne gniazdko, Nelson, również którejś nocy może spłonąć”. Burmistrz złożył dymisję. Wystawił dom na sprzedaż. Nikt jego domu nie chciał kupić, nawet za pół dolara. Natomiast na swoim trawniku któregoś dnia stary Nelson znalazł zdechłego kota. Pobral z banku całą gotówkę i wyjechał z żoną w niewiadomym kierunku.

— No i dobrze! — wrzeszczeli w pubie Jacka Browninga pijani mężczyźni. — Wybierzemy nowego burmistrza! Stanleya Haiga! A Paula Thomsona zrobimy szeryfem! A Chrisa Staylsa, który, daj Boże, po operacji wróci szybko do zdrowia, zastępcą szeryfa!

Anna Adams i Louise Duval opuściły szpital po tygodniu. Stan Amelii ulegał poprawie, nie budził już obaw lekarzy. Ku zdumieniu mieszkańców pastor Brian ani razu nie odwiedził żony w szpitalu. Ani razu też nie odprawił modlitw i nie wygłosił kazania. Zamknął zbór i

przepadł jak kamień w wodę. Ricky chlapnął jęzorem, że pastora po porwaniu żony detektyw Peters długo maglował, więc zaczęto szeptać, że rzeczywiście to dziwne: pastor spał zachlany, nie pilnując Amelii? Clara Brown była na pastora oburzona. Rozповідаła po sąsiadach, że Brian nie zawsze odnosił się do żony z szacunkiem. „Nieraz wydawało mi się, że patrzy na Amelię z nienawiścią. Czasami gdy przyprowadzałam Erica, krzyczał do mnie, że mam czekać w holu. Zawsze wtedy wychodził z sypialni, tłumacząc się, że podawał Amelii leki, bo nagle zasłabła. Zabraniał mi do niej wchodzić. Kazał z Erikiem iść do pokoju na górze. A sam włożył do łazienki i brał długie prysznic. W ciągu dnia. Aż tak się ubrudził przy tym podawaniu leków? Udało mi się kilka razy zajrzeć do Amelii. Leżała w pogniecionej, jakby stłamszonej pościeli. Wymordowana jak diabli. Pastor w tym czasie po prostu uprawiał z nią seks. Próbowałam z Amelii coś wydobyć. Ale ona za każdym razem wybuchiała płaczem. Mówiła, że jako dobra żona jest zobowiązana spełniać wszelkie żądania męża. Domyślcie się jakie! Wszyscy go mieli za świętego. Poza mną. Ja tam mu nie ufałam i tyle. Nie darmo go policja maglowała. Za tym się coś podłego kryje. Co? Tego nie wiem. Ale kryje, inaczej nasz wspañiały pastor by nie uciekł”.

Amelię często odwiedzała natomiast Kathy Cassel. Gdy po trzech tygodniach pastorowa opuszczała szpital, Kathy przyjechała po nią i zawiozła ją do siebie. Amelia ze swego domu na Long Street nie zabrała ani jednej rzeczy. Zamieszkała u Casselów. Serce Erica pochowała w mogile, w której spoczywały prochy Hellen, Willa i skalp Patricia.

Louise Duval nie otworzyła już marketu. Do czasu procesu mieszkała w swojej ruderze. Ku zdumieniu mieszkańców Nevady market otworzyła za to Leda Hening. Louise notarialnie, pokrywając wszelkie koszty manipulacyjne i podatkowe, sporządziła akt darowizny na rzecz Ledy.

Również ku zdumieniu mieszkańców okazało się, że Jonathanem Miltonem zaopiekował się doktor Tracy. Powszechnie uważano, że każdy z rodziny Miltonów musiał być zamieszany w ich zbrodnie. Więc czemu doktor przyjął pod swój dach tego zbrojnika, Jonathana? Zupełnie nie do wyobrażenia. Doktor Tracy? Nasz dobry, kochany doktor?

W pubie Jacka Browninga kilku mężczyzn postanowiło dorwać Jonathana. Błędym świtem z kijami bejsbolowymi pojawili się przed domem doktora, żądając wydania zboczeńca.

Mark, dźwigając w ramionach Jonathana, wyszedł do nich.

— W takim razie zabijcie i mnie. Jestem stary, nie boję się śmierci. Umrę razem z nim, bo go kocham jak rodzzonego syna. No dalej, zatłuczcie nas kijami.

Mężczyźni chcieli krwi Jonathana, nie doktora. Ich doktor, ich dobry doktor, który wielu leczył za darmo, do wielu pędził w środku nocy, czuwał przy chorych żonach, chorych dzieciach, teraz chyba stracił rozum, skoro o zboczeńcu mówi, że kocha go jak rodzzonego syna...

— Chcemy zboczka, nie ciebie! Zboczka! Zboczka!

— Nigdy nie był zboczkim, wy głupcy. Był od urodzenia ciężko chorym dzieckiem. No dalej, na co czekacie? Wystarczy kilka machnięć kijami. Zabijcie go, skoro jego własna matka nie zdążyła tego zrobić.

— Kurwa! Rzeczywiście! Detektyw Peters mówił, że nie zdążyła!

Mężczyźni odrzucili kije. Powtarzając „Wybacz nam, doktorze. Chryste, doktorze, daruj! Poniosło nas, zapomnieliśmy, że twój Jonathan to również ofiara Miltonów”, wycofywali się przerażeni tym, co zamierzali zrobić.

Ten incydent uświadomił Haigowi, do czego są zdolni ludzie pragnący zemsty. Telewizja lokalna zapowiedziała znów jego wystąpienie.

— Mieszkańcy miasta! — zaczął szeryf. — Ze względu na utajnienie śledztwa niewiele mogę wam powiedzieć. Nie mogę jednak udawać, że nie wiem o napaści na doktora Marka Tracy'ego. Omal nie popełniliście przerażającej zbrodni. Powiem tak: gdyby nie pomoc doktora Tracy'ego, nie zdążyłbym ocalić ofiar, łącznie z Jonathanem. Doktor opiekował się nim przez lata. Mieliśmy do wyboru: albo Jonathana, świadka ujęcia rodziców, w zapaści psychicznej oddać na leczenie do kliniki psychiatrycznej, z której po wyleczeniu nie miałyby dokąd wrócić, bo niby dokąd, skoro jego żona Daniela złożyła już pozew rozwodowy, albo poprosić doktora, aby się nim zajął i stworzył mu dom. Doktor kocha Jonathana jak własnego syna. Jonathan kocha doktora. To chyba najlepsze wyjście, prawda? Mieszkańcy Nevady! Zostawcie wymierzanie kary prawu. I zostawcie doktora

wraz z Jonathanem w spokoju. Cieszcie się wraz ze mną, że sprawiedliwości stanie się zadość. Wróćmy jak najszybciej do normalnego, zwykłego, codziennego życia.

Lecz w jaki sposób prowadzić normalne, codzienne życie, przechodząc obok martwego domu Barkinsów? Spotykając na ulicach idące na cmentarz w żałobnych czerniach Kathy z Amelią? Jak zapomnieć o dobrej, milej cici Ruth, która okazała się potworem? O Jonie Miltonie, najbardziej poważanym człowieku w mieście, który też był potworem?

Miną lata, nim pamięć zatrze koszmar wspomnień. Miną dziesiątki, setki, tysiące wieczorów, zanim ludzie przestaną na noc ryglować drzwi, lękając się każdego, choćby najmniejszego szmeru, szelestu, skrzypienia furtki...

O tym myślał Haig, wracając z telewizji na posterunek.

W kanciapie zastał poszarzałego ze zmęczenia Petersa,

— A gdzie Jennifer?

— Jennifer? Wyjechała.

— Wyjechała? Kiedy wróci?

— Nie wróci, koleś. Zadanie odrobiła. Sądziłeś, że na wieki zostanie w tej dziurze? A że bez czułego pożegnania? Mnie też nie ucałowała w czołko. Powiedziała: „Do zobaczenia na procesie, Peters”. Tym swoim lodowatym głosem. Zabrała manele, wsiadła w brykę, dodała gazu i został po niej jedynie smród jej fajek oraz niesprzątnięte popielniczki pełne petów.

— No tak... — odpowiedział, siląc się na obojętność, szeryf.

Kanciapa bez Jennifer wydała mu się obca. Penny od kilku dni dopytywała, kiedy przyprowadzi Jennifer na kolację. „Podobasz się jej, olbrzymie”. „Przestań, Penny”. „Dlaczego, olbrzymie?” „Kocham Emily, Penny, dlatego”. „Ale i tobie Jennifer się podoba. Gdybyście się bliżej poznali...” „Penny, odczep się. Jennifer nie jest z mojego świata. To bardzo bogata, świetnie wykształcona osoba. Na kolację, oczywiście, ją zaproszę. I na kolacji pożegnalnej się skończy”.

— No tak... — powtórzył. — To zabierajmy się do pracy. Miałeś dzwonić do brata.

— Mój ukochany braciszek jest w siódmym niebie. Za półtora miesiąca wybory na gubernatora. Chce jak najszybszego zakończenia procesu. — Peters wykrzywił się z odrazą. — Rozumiesz, koleś, jaki to sukces dla stanowego prokuratora, taki proces? Jak amen w pacierzu, gwarantuje mu stołek gubernatorski. Przycisnął sędziego Taylora.

Proces za trzy tygodnie, koleś. Mnie obiecał awans. Tobie specjalne odznaczenie...

— Mam w dupie odznaczenie.

— A ja w dupie jego awans. Po procesie przejdę na wcześniejszą emeryturę. Wyjadę z Des Moines. Kupię sobie jakiś mały domek w jakimś małym miasteczku. Mam dość zagładania w oczy morderców. Oglądania ich ofiar. Co noc budzę się z krzykiem, zlany zimnym potem, bo śnią mi się oderżnięte palce Amelii, serce Erica.

— Będzie mi ciebie brakowało, Peters.

— A mnie ciebie, koleś. Bardzo, koleś. Okay, jakby powiedziała nasza arktyczna dama, Jennifer. Zabierajmy się do pracy.

10.

Jon Milton na próżno zwracał się do najlepszych prawników w kraju, na próżno oferował zawrotne honoraria. Żaden nie podjął się bronić morderczej pary. Sąd przydzielił obrońców z urzędu.

Louise Duval wynajęła dla doktora Marka Tracy'ego znakomitego Cravina Masona z Los Angeles, który w swojej dwudziestoletniej karierze prawniczej przegrał tylko jeden proces karny. Markowi postawiono zarzut zatajenia zbrodni pedofilstwa Jona Milтона oraz przeprowadzenia na nim bez jego wiedzy kastracji chemicznej. Odpowiedział z wolnej stopy. Sędzia Hamilton Taylor ze względu na drastyczność sprawy zarządził proces za zamkniętymi drzwiami.

Proces trwał pięć dni.

Pierwszymi świadkami były Louise Duval oraz Leda Hening. Na podchwytliwe pytania stanowego prokuratora, Edwarda Petersa, czy znane są im inne ofiary Jona Milтона, odpowiadały zdecydowanie, że nie. Leda natomiast nie oszczędziła pana Jona, ze wszystkimi szczegółami opowiadając, jak ją, czternastoletnią dziewczynkę, zwałił do siebie i zgwałcił. Louise opowiedziała o ośmioletniej Rosie oraz o groźbach Jona Milтона pod swoim adresem.

Prokurator stanowy nie miał innych pytań. Obrońca Jona Milтона również nie miał. Jako następny zeznawał doktor Mark Tracy.

— Przyznaję się — powiedział tylko.

Jego obrońca, Cravin Mason, zwrócił uwagę ławy przysięgłych na szczególne okoliczności czynów oskarżonego. Po pierwsze, działał on w dobrej wierze, na prośbę matki zrozpaczonej molestowaniem czteroletniej córki, a po drugie, chemiczna kastracja pozwoliła uniknąć kolejnych zbrodni pedofilskich, do których niechybnie by doszło na słodkich, ślicznych dziewczynkach, takich jak Rosa czy Leda Hening.

— Dlatego zwracam się o uniewinnienie mego klienta. Mój klient — zakończył mowę Cravin Mason — co podkreślali liczni, powołani

przeze mnie świadkowie, zawsze był człowiekiem prawym, który większość życia poświęcił bez reszty swoim pacjentom, nie dbając o honoraria, często lecząc za darmo biedne rodziny. W naszym bezwzględny, czczącym dolara społeczeństwie podobny altruizm jest godny szacunku.

Podczas zeznań Haiga i detektywa Collina Petersa sędzia Hamilton Taylor był zmuszony kilka razy ogłaszać przerwy. Ich zeznania były ilustrowane dowodami. Zdjęciami manekina, udającego Patricę. Jego skalpem. Sercem Erica. Urzniętymi palcami Amelii.

Kobiety zasiadające w ławie przysięgłych mdlały.

Jennifer Whitaker pokazała się w sądzie tylko raz. Opanowana, zimna, nie podając ręki Haigowi, powiedziała lodowato: „Gratuluję sukcesu, szeryfie”. Swój portret psychologiczny obojga Miltonów przedstawiła w sposób suchy i zwięzły. Prokurator stanowy zwrócił się do niej z prośbą o ocenę psychologiczną osobowości Jona Miltona.

— Z całym szacunkiem, panie prokuratorze, pedofilską osobowość Jona Miltona najlepiej ocenią jego przyszli współtowarzysze w więzieniu — odparła lodowato.

Obrońca z urzędu zgłosił protest. Sędzia Hamilton Taylor protest obrońcy odrzucił. Prokurator stanowy, Edward Peters, nie miał do doktor Jennifer Whitaker pytań. Obrońca z urzędu również.

Wniosek obrońców o przesłuchanie w charakterze świadków Amelii Ford, Carol i Anny Adams, Jonathana Miltona, Kathy i Gordona Casselów oraz Chrisa Staylsa sędzia Hamilton na skutek sprzeciwu prokuratora stanowego odrzucił. Prokurator, zwracając się do ławy przysięgłych, oświadczył, iż wyżej wymienione osoby nie wniosą nic nowego do sprawy i niehumanitarne byłoby skazywać je na ponowne przeżywanie koszmaru, o którym powinny jak najszybciej zapomnieć.

— Ponadto zarówno Jonathan Milton, jak i Anna Adams znajdują się wciąż w stanie szoku, o czym moi szanowni koledzy doskonale wiedzą z przedstawionych zaświadczeń lekarskich. Chris Stayls na skutek głębokiego oparzenia gazem pieprzowym przełyku czeka w szpitalu na operację. Czy moi szanowni koledzy o tym fakcie zapomnieli?

Szanowni koledzy odtąd nie mieli żadnych pytań do kolejnych świadków.

Piątego, ostatniego dnia procesu prokurator stanowy wygłosił płomienną mowę, podkreślając w niej własne zasługi w tak szybkim ujęciu potworów z Nevady. Żądał dla oskarżonych dożywocia w więzieniu o zaostrzonym rygorze.

Obrońcy z urzędu ograniczyli się do prośby o łaskę, bowiem Ruth Milton nie odpowiada za swoje czyny jako schizofreniczka paranoidalna, natomiast Jonowi Miltonowi udowodniono zaledwie dwa akty pedofilskie i jedynie wymuszony współudział w morderstwach.

W swoim ostatnim słowie Jon Milton przedstawił siebie jako ofiarę własnej żony.

— Musiałem wykonywać jej zbrodnicze polecenia, bo groziła zabiciem naszych dzieci.

Do czynów pedofilskich się nie przyznał. Uznał zeznania Louise Duval oraz Ledy Hening za spisek uknuty przeciwko niemu z zemsty.

Ruth Milton w swoim ostatnim słowie krzyknęła, wskazując palcem na sędziego oraz ławę przysięgłych: „Wszyscy będziecie ukarani!”.

Narada ławy przysięgłych trwała zaledwie piętnaście minut.

Werdykt brzmiał: Ruth Milton winna zbrodni z premedytacją. Mimo choroby wykazała się w ich planowaniu i wykonaniu wyjątkową logiką. Dożywocie w izolatce w więzieniu o zaostrzonym rygorze jest dla niej i tak łagodnym wyrokiem. Jon Milton winien współudziału w zbrodniach żony oraz zbrodni pedofilstwa. Dożywocie w więzieniu o zaostrzonym rygorze. Marka Tracy, zważywszy na okoliczności, uznajemy za niewinnego.

Wyprowadzana w kajdankach Ruth Milton wrzeszczała: „Wszyscy będziecie ukarani! Wszyscy! Wszyscy!”.

Jon Milton szlochał rozpaczliwie, powtarzając: „Jestem niewinny! Jestem niewinny!”.

Haig po zakończonym procesie usiłował połączyć się z Jennifer Whitaker. Bezskutecznie. Zmieniła numer komórki.

No cóż, Jennifer. Może masz rację. Bo o czym mielibyśmy teraz rozmawiać? W każdym razie dziękuję ci, Jennifer. Za Willa i doktora Tracy'ego. I w ogóle — za wszystko.

Żegnając się z Petersem, zapytał, czy naprawdę ma zamiar przejść na wcześniejszą emeryturę, wyprowadzić się z Des Moines i osiedlić w małej mieścinie.

— Naprawdę, koleś — uśmiech Petersa był gorzki. — Niech przestaną mnie dręczyć koszmary. Zapomnę o ułożonych szyderczo na porcelanowym talerzyku palcach Amelii. Zapomnę o swoim pieprzonym braciszku, mojej byłej i ich dzieciach, które mogły być moimi dziećmi...

— Nie zapomnisz. Jakby powiedziała Jennifer Whitaker, pamięci nie da się całkowicie zablokować.

— Okay, koleś. Wiem. Dlatego będę cię dręczył telefonami. Bo o tobie, koleś, na pewno nie zapomnę.

— Peters, dręcz. A najlepiej odwiedzaj nas jak najczęściej. O każdej porze dnia lub nocy. Albo kup sobie domek w Nevadzie. Będziesz przychodził na obiady, kolacje... Bawił się ze Stevenem. Opychał do niestrawności słynną diabelską pizzą Penny, jej naleśnikami. Hej, Peters! Po co ci domek? Zamieszkaj z nami...

— Wiesz co, koleś? Spadaj razem ze swoją litością! — detektyw nieoczekiwanie się rozłościł. I odszedł szybkim krokiem.

Uraziłem go, Penny. Ależ ze mnie dupek. Peters, minie ci. Za dużo nas łączy. I nie powinieneś starzeć się w samotności. Do zobaczenia, Peters. Do zobaczenia.

Epilog

Po powrocie z Des Moines radni zaproponowali Haigowi objęcie stanowiska burmistrza do czasu nowych wyborów. Podziękował za tak szczerą propozycję. Powiedział, że się nad nią zastanowi. Jest obecnie bardzo zmęczony, prosi radnych o udzielenie mu dwutygodniowego urlopu. Urlop otrzymał wraz z zapewnieniem, że gabinet burmistrza czeka, a i tak z całą pewnością w wyborach właśnie jego, Stanleya Haiga, miasto okrzyknie burmistrzem.

— Chyba nie zamierzasz nim zostać? — zapytała z niepokojem Penny. — Nie nadajesz się na polityka, olbrzymie. Jesteś zbyt uczciwy.

— Może temu miastu przydałby się uczciwy burmistrz, Penny?

— Przeżyłam dwóch i żaden nie był uczciwy, chociaż się początkowo starali takimi być. Władza to układ naczyń połączonych, Stan. Układ, z którego, gdy w nim utkwisz, już się nie wycofasz, bo cię zniszczą, zdeptają niczym robaka. Spójrz na mapę naszego stanu. Nevada, niby małe miasto, a ile szos z niej biegnie, łącząc je z innymi, większymi miastami, z których z kolei drogi prowadzą wprost do stolicy Iowa, Des Moines. Gdyby nie ważny brat tego twojego Petersa, udałoby się wam uniknąć najazdu FBI? Albo mediów? Nie miej mnie za idiotkę, olbrzymie. Coś mi się wydaje, że postaraliście się z Petersem niektóre sprawy mocno zatuszować. Czego nie mam wam za złe. Cieszę się z niewinnienia doktora Tracy'ego. — Penny pogłaskała dłoń Haiga i westchnęła. — Oczywiście, decyzja należy do ciebie. Na razie skorzystaj z urlopu. Wyjedź. Sam. Wyłącz komórkę. Zaszuj się w jakiejś głuszy. Odpocznij. Postaraj się zapamiętać.

— Tego nie da się zapomnieć, Penny.

— Wiem. Zbyt wiele brudnych, cuchnących tajemnic odkryłeś za pięknymi, czystymi fasadami wielu rodzin naszego miasta. Nie tylko zbrodnie Miltonów. Ludzie tacy po prostu są, olbrzymie. Co nie oznacza, że są do końca źli. Są raz podli, a kiedy indziej wspaniali, szlachetni. Nie sądz wszystkich jedną miarką. Ci, którzy mieli coś

podłego na sumieniu, jak nasz ogólnie podziwiany, charyzmatyczny pastor lub burmistrz, opuścili już nasze miasto. I pies im mordy lizał. Pakuj rzeczy, olbrzymie. Jutro wyjeżdżasz. A jeśli ośmielisz mi się sprzeciwić czy wrócić wcześniej, sprawię ci tęgie lanie. Miotłą do zamiatania liści.

Zrobiła tak groźną minę, że się roześmiał.

— Jak cię znam, pewno mi i tę głuszę znalazłaś?

— Bardzo ustronny motelik. W Monticello nad jeziorem Delhi. Nie bój się, tama już nie pęknie jak w dwutysięcznym roku, woda nie zaleje znów miasteczka. Pokój ci zarezerwowałam z widokiem na jezioro. Cisza, spokój.

— A Steven?

— Aleś ty upierdliwy! Niby kto zajmuje się twoim synem całymi dniami? Steven nie potrzebuje ojca podobnego do zombie!

Wyjechał. Bez komórki, bo tę odebrała mu Penny. Spędzał dni nad jeziorem, przyglądając się wodzie, wsłuchując się w szum trzciny, obserwując stada dzikiego ptactwa. Podjął decyzję. Jego miasto, tak jak on, po przeżytych szoku potrzebuje ciszy, poczucia bezpieczeństwa. Jego miasto wybrało go szeryfem. Więc nim pozostanie.

Swój dom zastał rzeświście oświetlony. Penny ze Stevenem wybiegli mu na spotkanie. Ależ się za nimi stęsknił!

— Tatusiu, a wiesz, że ciocia...

— Steven, bo cię uduszę! Stan, marsz pod prysznic. Te brudne łachy wrzuć do pralki. W łazience znajdziesz garnitur, koszulę, skarpetki i czyste gatki. Umyj zębiska. Pośpiesz się. Czekamy na ciebie od godziny!

— No, a wujek mówi, że...

— Steven, naprawdę uduszę! — zdenerwowała się Penny.

— Jaki wujek? Jaka ciocia? Penny? Coś ty znowu wymyśliła?

— Powiedziałam! Marsz pod prysznic! — krzyknęła Penny. — Zaprosiłam kilku gości. A co? Nie wolno mi?

— Penny, gdybyś nawet zaprosiła krokodyła, nie przestanę cię kochać!

Zastanawiając się, kogo Penny zaprosiła, umył się, przebrał i zszedł do kuchni.

Oslupiał.

— Czy ja wyglądam na krokodyla, koleś? — zapytał Collin Peters.

— Albo ja? — zapytała lodowatym tonem Jennifer Whitaker.

— Bo, tatusiu, wujek zadzwonił do ciebie, ale ty wyjechałeś, więc babcia...

— No i wpadłeś, koleś. Sam powiedziałaś: „Po co ci domek, Peters? Zamieszkać z nami...”. Mogę? Trochę pobyć z wami? Bawić się ze Stevenem? Zanim sobie kupię jakiś mały domek? — odezwał się cicho, niepewnie Peters.

— Jeżeli chodzi o mnie, Haig, nie mam zamiaru z niczego się tłumaczyć, okay? — głos Jennifer tchnął arktycznym mrozem. — Ani z tego, że opuściłam na zawsze Des Moines. Ani z tego, że kupiłam dom Barkinsow. Ani z tego, że otwieram tu gabinet terapeutyczny. Proszę nie wyciągać fałszywych wniosków, okay, Haig? Moja decyzja nie ma nic wspólnego z tobą, szeryfie. Okay? Nic a nic. Okay? Zrozumiano?

— Żeby was szlag! — krzyknęła Penny. — Siadacie do stołu czy macie zamiar nadal tak tkwić naprzeciwko siebie i głądzić? Ileż razy mam odgrzewać tę cholerną pizzę? Ty, Peters, ani mi się waź dokądkolwiek wyprowadzać! A ty, Jennifer, skończ ze swoim okay, okay?

— Okay — odpowiedziała posłusznie Jennifer.